

Kontynuacja fantastycznego bestsellera  
AMULET z SAMARKANDY



# OKO GOLEMA

JONATHAN STROUD





**JONATHAN STROUD**

**Bartimaeus #2 Oko golema**

**Przekład Maciej Nowak-Kreyer**

**Tytuł oryginału**

**THE GOLEM 'S EYE**

**BOOKII OF THE BARTIMAEUS**

**TRILOGY**

**Redaktorzy serii**

**MAŁGORZATA CEBO-FONIOK**

**EWA TURCZYŃSKA**

**Redakcja stylistyczna IZABELLA SIENKO-HOLEWA**

**Redakcja techniczna ANDRZEJ WITKOWSKI**

**Korekta**

**MAŁGORZATA LAZUREK**

**BARBARA OPIŁOWSKA**

**Ilustracja na okładce DAVIDWYATT**

**Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER**

**Skład WYDAWNICTWO AMBER**

**Wydawnictwo Amber zaprasza na stronę Internetu <http://www.wydawnictwoamber.pl>**

**Copyright © 2004 by Jonathan**

**Stroud.**

**First published by Random House UK**

**Limited, London, 2004 under the**

**title**

***The Golem 's Eye; Book II of the***

***Bartimaeus Trilogy.***

**Published by anangement with the Laura**

**Cecil Literary Agency.**

**AU rights reserved.**

**For the Polish edition Copyright © 2003 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

**ISBN 83-241-2133- I**

**Główne postaci**

**Magowie**

**Rupert Devereaux**

**Carl Mortensen**

**Jessica Whitwell**

**Henry Duvall**

**Marmeduke Fry**

**Helen Malbindi**

**Julius Tallow**

**John Mandrake**

**George Ffoukes**

**Jane Farrar Sholto Pinn**

**Quentin Makepeace**

**premier Wielkiej Brytanii i Imperium Brytyjskiego sekretarz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych**

**szef służb bezpieczeństwa**

**szef policji**

**sekretarz Ministerstwa Spraw**

**Zagranicznych**

**minister informacji**

**minister spraw wewnętrznych**

**asystent ministra**

**spraw wewnętrznych**

**mag czwartej rangi z Ministerstwa Spraw asystentka szefa policji**

**kupiec, właściciel Sklepu u Pinna**

**dramaturg, autor *Łabędzi Arabii* i innych dzieł**

**Plebejusze**

**Kitty Jones**

**Jakob Hyrnek**

**T.E. Pennyfeather**

**Anne Stephens**

**Fred Weaver**

**Stan Hake Nicholas Drew Clem Hopkins**

**Demony Bartimaeus din w ślubie Johna Mandrake'a Queezle din w ślubie George'a Ffoukesa Shubit din w ślubie Jessiki Whitwell Nemaides din w ślubie Juliusa Tallowa Simpkin diablík w ślubie Sholto Pinna**

*Bartimaeus*

**Prolog**

**Praga, 1868 rok**

zmierzchu, jedno po drugim, zapaliły się ogniska w obozie wroga, a było ich więcej niż jakiegokolwiek poprzedniej nocy. Światła iskrzyły się jak płomienne klejnoty na zielonej równinie, nie, że zdawało się, iż zaczarowane miasto wyłoniło się spod ziemi. Ale w obrębie naszych murów domy miały pozamykane okiennice, a światła zaciemniono. To była dziwna zamiana ról – sama Praga stała się ciemna i martwa, a krajobraz wokół niej rozbłyskiwał światłem i tętnił życiem.

Wkrótce potem wiatr zaczął przycichać. Od wielu godzin wiał mocno od zachodu, niosąc wieści o ruchach najeźdźców – grzechotanie maszyn oblężniczych, krzyki żołnierzy i głosy zwierząt, westchnienia nieszczęsnych jeńców i aury zaklęć. Teraz nienaturalnie szybko zamarł i powietrze wypełniła cisza.

Szybowałem wysoko nad klasztorem na Strahovie, przy wspaniałych murach miejskich, które zbudowałem trzysta lat temu. Moje skórzane skrzydła wykonywały powolne, silne ruchy; oczy przeczesywały siedem planów aż po horyzont\*. Nie było to łatwe. Brytyjskie wojsko pokryte

\* Siedem dostępnych planów położonych jest jeden na drugim i każdy z nich ujawnia pewne aspekty rzeczywistości. Pierwszy przedstawia rzeczy materialne (drzewa, budynki, ludzi, zwierzęta itd.), które są widoczne dla wszystkich. Na pozostałych sześciu znajdują się duchy rozmaitych rodzajów zajmujące się w ciszy swoimi sprawami. Wyższe byty

było Ukryciem, ale rozchodzące się od zakłącia drobne fale mocy już pluskały o podnóże wzgórza zamkowego. W mroku widać było aury ogromnego kontyngentu duchów; z każdą minutą kolejne krótkie drżenia na planach sygnalizowały przybycie nowych batalionów. Oddziały żołnierzy-ludzi przemieszczały się planowo po mrocznym terenie. Pośrodku stała grupa wielkich, białych namiotów, sklepionych jak skalne jaja, a wokół nich Tarcze i inne zakłącia wisiały gęsto jak pajęczyna\*.

Uniosłem wzrok ku pociemniałemu niebu. Było wściekłą, czarną płataniną chmur przetykaną od zachodu smugami żółci. Wysoko, ledwie widoczny w gasnącym świetle, szpiegowałem sześć małych plamek krążących daleko poza zasięgiem Detonacji. Poruszały się powoli, kreśląc plany naszych murów, szacując siłę obrony.

Skoro o tym mowa... Musiałem zrobić to samo.

Przy Bramie Strahovskiej, najdalej wysuniętym i najbardziej narażonym na działania nieprzyjaciela fragmencie murów, wzniesiono i umocniono wieżę. Stare drzwi zabezpieczono potrójnym zakłąciami i mnóstwem mechanizmów zatraskowych, zaś posępne blanki i szczyt wieży najeżone były czujnymi wartownikami.

To przynajmniej był jakiś pomysł.

Leciałem ku wieży, miałem głowę sokoła i skórzaste skrzydła. Wylądowałem bosy, bezszelestnie na sterczącym kamiennym wierzchołku.

(takie jak ja) potrafią korzystać z wewnętrznego oka, żeby obserwować wszystkie plany na raz, ale niższe stworzenia, w tym ludzie, muszą się zadowolić umiejętnością widzenia mniejszej liczby płaszczyzn. Czarodzieje wykorzystują soczewki kontaktowe, żeby zobaczyć trzy albo cztery plany, ale większość ludzi widzi tylko pierwszy, co sprawia, że są ignorantami w sprawach magii. Na przykład ty nie czujesz, że unosi się za tobą coś niewidzialnego z mnóstwem macek. Właśnie w tej chwili!

\* Niewątpliwie tam przyczaili się brytyjscy czarodzieje, w bezpiecznej odległości od pierwszych szeregów. Moi czescy panowie byli tacy sami. Podczas wojny magowie lubią zostawiać najniebezpieczniejsze zadania dla siebie, na przykład niestrudzone pilnowanie wielkich ilości jałda i napojów... kilka kilometrów za frontem.



Czekałem na szybkie ostre wyzwanie, by dać pełen wigoru pokaz natychmiastowej gotowości.

Nic się nie zdarzyło. Odrzuciłem Ukrycie i czekałem na jakiś skromny, opóźniony dowód czujności. Zakaszlałem głośno. Nadal nic.

Części blanków broniła połyskliwa Tarcza. Za nią kucalo pięciu wartowników\*. Tarcza była wąska, zaprojektowana dla jednego człowieka albo najwyżej dla trzech dżinów. Dlatego panował za nią niezły tłok.

–Przestajesz się rozpychać?

–Au! Uważaj na szpony, ty idioto!

–Odczep się. Mówię ci, mój grzbiet jest teraz całkiem widoczny. Mogli go zauważyć.

–To powinno wystarczyć, żebyśmy wygrali bitwę.

–Trzymaj te skrzydła przy sobie! Mało mi oka nie wybiłeś.

–No to się zmień w coś mniejszego. Proponuję robaka.

–Jak mnie jeszcze raz trącisz łokciem...

–To nie moja wina, to ten Bartimaeus wsadził nas tutaj. To taki napuszony...

Był to krótki, bolesny pokaz rozluźnienia dyscypliny i niekompetencji. Nie chciałem tego dłużej słuchać. Wojownik z głową sokoła zwinął skrzydła, podszedł parę kroków i przyciągnął uwagę wartowników, zgrabnie uderzając ich głowy jedna o drugą\*\*.

–To tak trzymacie wartę? – parsknąłem. Nie miałem ochoty długo tu

pozostać. Sześć miesięcy nieprzerwanej służby sprawiło, że moja esencja

bardzo wychudła. – Tchórzliwie kryjecie się za Tarczą, jazgoczenie jak

przekupki na rybnym targu... Kazałem wam na wszystko uważać!

\* Każdy z wartowników był niższego poziomu dżinem, niewiele lepszym niż pospolity diablík. W Pradze nastaly ciężkie czasy, magowie odczuwali brak niewolników i wzywali kogo popadnie, nie bacząc na to, czy rzeczywiście mogą być do czegoś przydatni. Dowodziły tego postaci wybrane przez wartowników. Zamiast budzących przestrach krwiożerczych wojowników ujrzałem dwa podejrzanej jakości nietoperze-wampiry, łasicę, jaszczura z wybaluszonymi oczami oraz małą i raczej żalosalną żabę.

**\*\* Pięć głów szybko uderzających o siebie jedna za drugą. Wyglądało to jak jakiś niezwykle gadżet do postawienia na dyrektorskim biurku.**

Usłyszałem głupie mamrotanie. Przeszli z nogi na nogę i gapili się na własne stopy. Wreszcie żaba podniosła rękę.

–Panie Bartimaeusie – powiedziała – jaka korzyść z tego, że się uważa?

Brytyjczycy są wszędzie, na niebie i na ziemi. A jeszcze słyszeliśmy, że mają tam, u siebie, całą kohortę afrytów. Czy to prawda?

Wskazałem dziobem horyzont i zmrużyłem oczy.

–Możliwe.

Żaba jęknęła.

–A my nie mamy nawet jednego, prawda? Odkąd zabrał je Phoebus.

A jeszcze słyszeliśmy, że tam są maridy, i to niejedna. A ich wódz ma Laskę, naprawdę potężną. Podążając tutaj, zniszczył Paryż i Kolonię, tak mówią. Czy to prawda?

Pióra na mojej piersi poruszyły się łagodnie na wietrze.

–Możliwe.

Żaba zaskowyczała.

–Och, to straszne, prawda? Nie ma już dla nas nadziei. Przez całe popołudnie bez przerwy mieli odprawy, a to może oznaczać tylko jedno.

Wieczorem zaatakują. Do rana wszyscy będziemy martwi.

Hm, nie podnosiła naszego morale takim gadaniem. Położyłem dłoń na jej pokrytym brodawkami ramieniu.

–Słuchaj, synu... jak brzmi twoje imię?

–Nubbin, panie.

–Nubbinie. Cóż, nie wierz we wszystko, co usłyszysz. Armia brytyjska jest silna, to prawda. Przyznam, że rzadko widywałem silniejsze. Powiedzmy, że są w niej maridy, całe legiony

afrytów i hordy pełne norii. Powiedzmy, że wszyscy oni rzucają się na nas dziś wieczór, właśnie wtedy, przez Bramę Strahovską. Cóż, niech przyjdą. Znamy takie sztuczki, że wyślemy ich, gdzie pieprz rośnie.

–Jakie, panie?

–Czary, które wysadzą te afryty i maridy w powietrze. Opanowaliśmy je w ogniu wielu bitew. Sztuczki, które streścić można jednym słodkim słowem: przetrwanie.

Żaba zamrugała wylupiastymi oczami.

–To moja pierwsza bitwa, panie.

Uczyniłem gest zniecierpliwienia.

–Ponadto cesarski dżin powiedział, że jego magowie pracują nad tym i owym. Ostatnia linia obrony. Bez wątpienia jakiś idiotyczny plan. – Poklepałem po męsku jego ramię. – Lepiej się teraz czujesz, synu?

–Nie, panie. Czuję się gorzej.

Prawda. Nigdy nie byłem dobry w tych gadkach.

–W porządku – zagrzmiałem. – Radzę robić uniki i, kiedy tylko się uda, zwiewać jak najszybciej. Przy odrobinie szczęścia wasi panowie zginą przed wami. Ja sam na to właśnie liczę.

Mam nadzieję, że moje słowa podniosły ich na duchu, bo właśnie w tej chwili ruszył nieprzyjaciel. Z oddali, na każdym z siedmiu planów, niósł się specyficzny dźwięk. Wszyscy go odczuliśmy, była to jedna władcza nuta rozkazu. Odwróciłem się na pięcie, żeby spojrzeć w ciemność, a głowy wartowników, jedna po drugiej, wychynęły nad blankami.

Na równinach wielka armia rozpoczynała atak.

Na czele, unosząc się na podmuchach nagłego, dzikiego wiatru gnały dżiny, w czerwono-białych zbrojach, niosąc smukłe piki ze srebrnymi ostrzami. Ich skrzydła szumiały, a okrzyki sprawiały, że wieża się trzęsła. Poniżej, stąpając po ziemi, podążała upiorna rzesza: horle z trójzębami wyciętymi z kości; wskakiwały do chat i domów na zewnątrz murów, w poszukiwaniu łupu\*. Obok nich przemykały zamazane cienie – ghule i hapsy, zjawy zimna i nieszczęścia, niematerialne na każdej z płaszczyzn. A za nimi ze stukotem i zgrzytaniem szczękami, tysiąc impów i diablików unosiło się nad ziemią jak burza piaskowa albo monstualny rój pszczół. Wszystkie te demony i wiele innych szły spiesźnie ku Bramie Strahovskiej.

Żaba poklepała mnie po łokciu.

–Dobrze, że z nami porozmawiałeś, panie – powiedział. – Jestem teraz pewien siebie, dzięki tobie.

\* Nikogo nie znalazły, co potwierdził wkrótce ich rozczarowany okrzyk. Przedmieścia były opustoszałe. Ledwie armia brytyjska przekroczyła kanał, władze czeskie zaczęły się przygotowywać do odparcia nieuniknionego ataku na Pragę. Pierwszym środkiem ostrożności było przeniesienie mieszkańców za mury miejskie – które, przy okazji, były najsilniejsze w ówczesnej Europie i stanowiły cud magicznej inżynierii. Czy wspomniałem, że miałem swój udział w ich wznoszeniu?



Ledwie go słyszałem. Patrzyłem dalej, poza tę straszliwą armię, na niskie wzniesienie w pobliżu kopulastych białych namiotów. Stał na nim człowiek, trzymając w górze Laskę. Był zbyt daleko ode mnie, żebym mógł dostrzec jakieś szczegóły, ale doskonale wyczuwałem bijącą od niego moc. Jego aura oświetlała wzgórze, na którym stał. Gdy patrzyłem, kilka piorunów oderwało się od kłębiących się chmur i uderzyło w koniuszek uniesionej Laski. Na krótko, wzgórze, namioty i oczekujący żołnierze, wszystko zostało oświetlone, jakby wstał dzień. Światło zgasło, a Laska wchłonęła energię. Grzmot przetoczył się nad oblężonym m – To on – mruknąłem. – Słynny Gladstone.

Dżiny zbliżały się już do murów, mijały pas spustoszonej ziemi i rozebranych budynków. Wtedy wybuchł zakopany urok; strumienie niebieskozielonego ognia wystrzeliły w górę, podpalając lecące na czele dżiny. Ale płomień szybko przygasł i reszta leciała dalej.

Na ten widok obrońcy wzięli się do działania – sto impów i diablików stanęło na murach, wydając ciche okrzyki. Posłały Detonacje w stronę nadlatującej hordy. Najeźdźcy odpowiedzieli w ten sam sposób. Piekielne Ognie i Potoki spotkały się i zmieszały w półmroku. Cienie zapętały się i kręciły wokół rozbłysków światła. Poniżej, obrzeża Pragi stały w ogniu. Pierwsze szeregi horli toczyły się pod nami, usiłując przełamać zaklęcia wiążące, których użyłem do zabezpieczenia fundamentów murów.

Rozwinąłem skrzydła, gotów rzucić się w wir walki. Żaba u mego boku nadeła gardło i wydała wyzywający rechot. W następnej chwili kulisty piorun wystrzelił z laski czarodzieja stojącego daleko na wzgórzu, przemknął łukiem po niebie i uderzył w wieżę Bramy Strahovskiej tuż pod blankami. Nasza Tarcza została rozdarta jak kartka papieru, zaprawa i kamienie porozbijane, dach wieży zmieciony. Koziółkując, poleciałem w powietrze.

O mało nie uderzyłem o ziemię. Upadłem na wóz wypełniony belami siana, który wciągnięto do środka, zanim zaczęło się oblężenie. Nade mną drewniana struktura wieży stała w płomieniach. Nie byłem w stanie dostrzec żadnego z wartowników. Impy i dżiny kłębiły się w zamieszaniu na niebie, rzucając w siebie czarami. Ciała spadały z góry, zapalając dachy. Kobiety i dzieci uciekały z krzykiem z pobliskich domów. Brama Strahovska drżała od drapania trójzębami horli. Długo nie wytrzyma.

Obrońcy potrzebowali mojej pomocy. Wydobylem się z siana, z charakterystycznym dla mnie pośpiechem.

–Kiedy zdejmiesz ostatnie źdźbło siana z przepaski, Bartimaeusie.

przybądź na zamek, gdzie cię oczekują.

Sokołogłowy wojownik spojrział w górę.

–Cześć, Queezle.

Elegancki leopard siedział pośrodku ulicy, gapiąc się na mnie zielonymi oczami. Od niechcenia wstał, przeszedł kilka kroków w bok i znów usiadł. Bryła płonącej smoły rąbnęła w brukowce i wybiła dymiący krater w miejscu, gdzie przed chwilą siedział.

–Jesteś trochę zajęty – zauważyła Queezle.

–Tak. Tutaj mamy co robić. – Zeskoczyłem z wozu.

–Wygląda na to, że rwą się zakłęcia wiążące w murach – powiedziała, spoglądając na dygocącą bramę. – Co za partactwo. Ciekawe, który z dżinów to zbudował?

–Nie mam pojęcia – rzekłem. – A więc nasz pan wzywa?

Leopard skinął łbem.

–Lepiej się pospieszmy, bo nas zruga. Chodźmy na piechotę. Niebo jest zbyt zatłoczone.

–Prowadź.

Przemieniłem się, stałem się panterą czarną jak noc. Pobiegliśmy wąskimi uliczkami w górę, w stronę Hradczan. Wybieraliśmy puste ulice, unikając tych, na których spanikowani ludzie tłoczyli się jak bydło. Płonęło coraz więcej budynków, dachy i Ściany zapadały się. Nad nimi tańczyły małe impy, machając żagwiami trzymanymi w dłoniach.

Na placu zamkowym cesarscy służący, przy świetle latarni kładli przypadkowe meble na wozy. Obok nich, stajenni zmagali się z końmi, usiłując przywiązać je do wozów. Niebo nad miastem upstrzone było wybuchami różnokolorowego światła. Z tyłu, od Strahova i klasztoru, dochodziło głucho dudnienie eksplozji. Wślizgnęliśmy się bez problemów głównym wejściem.

–Cesarz ucieka, prawda? – wydyszałem. Oszalałe impy mijały nas, balansując tobołkami niesionymi na głowach.



**–Najbardziej troszczy się o swoje ukochane ptaki – powiedziała Queezle. – Chce, żeby nasze afryty przeniosły je w bezpieczne miejsce. – Zielone oczy rozbliły smutnym uśmiechem.**

–Ale wszystkie afryty nie żyją.

–Właśnie. No cóż, prawie wszystkie.

Dotarliśmy do północnego skrzydła pałacu, w którym mieszkali magowie. Na kamieniach widoczne były ślady czarów. Leopard i pantera zbiegały długimi schodami, potem szły obok balkonu wychodzącego na Jelenią Fosę i pod arkadami, które wiodły do dolnych warsztatów. Tak nazywano obszerny, okrągły pokój zajmujący prawie cały parter Białej Wieży. W ciągu ostatnich stuleci często mnie tu wzywano, ale teraz zwykle magiczne utensylia – księgi, garnki z kadzidłami, kandelabry – odsunięto na bok, żeby zrobić miejsce dla dziesięciu krzesel i stołów ustawionych rzędem. Na każdym ze stołów stała kryształowa kula rozbłyskująca światłem; na każdym krześle siedział zgarbiony mag lub czarodziejka, wpatrując się w szklaną kulę. W pomieszczeniu panowała całkowita cisza.

Nasz pan stał przy oknie i patrzył przez teleskop na ciemne niebo\*. Zauważył nas i gestem nakazał ciszę. Potem wskazał, żebyśmy poszli do przyległego pokoju. Ostatni trudny tydzień przyoblekł białą jego szpakowate włosy. Haczykowaty nos zwisał, cienki i wynędzniały, a oczy były czerwone jak u impa\*\*. Podrapał się po karku.

–Nie musicie nic mówić – powiedział. – Ile czasu nam zostało? Pantera machnęła ogonem.

–Daję nam godzinę, nie więcej.

Queezle obejrzała się w stronę głównego pokoju, gdzie w milczeniu trudzili się magowie.

–Jak widzę, tworzysz golemy, mój panie – powiedziała.

Czarodziej oschle skinął głową.

\* W teleskopie siedział imp, którego umiejętności pozwalały człowiekowi widzieć w nocy. Było to użyteczne urządzenie, chociaż kapryśne impy czasem zakłócały obraz albo dodawały od siebie jakieś elementy: strumienie złotego pyłu, dziwne senne wizje albo obrzydliwe postaci z przeszłości użytkownika.

\*\* Porównania dotyczące panów są jak porównywanie krost na twarzy – niektóre bywają gorsze od innych, ale nawet te najlepsze nie lezczą mile twojej próżności. Ten był dwunastym czeskim mistrzem, któremu służyłem. Nie był zanadto okrutny, ale nieco skwaśniały, jakby w żyłach płynął mu sok z cytryny. Miał też cienkie wargi i był pedantyczny, ogarnięty obsesją służby dla Cesarstwa.

–Zadadzą wielkie straty nieprzyjacielowi.

–Nie wystarczą – powiedziałem. – Nawet jakby ich było dziesięć. Widziałeś, panie, rozmiary tamtej armii?

–Jak zwykle, Bartimaeusie, twoja opinia jest nieprzemyślana. W ten sposób jedynie odwrócimy uwagę wroga. Planujemy przenieść Jego Wysokość na wschodnie stopy. Łódź czeka na rzece. Golemy otoczą zamek i będą strzegły naszego odwrotu.

Queezle nadal przypatrywała się magom. Siedzieli nachyleni nad kryształami, nieprzerwanie wypowiadając ciche instrukcje swoim stworom. Słabe, ruchome obrazy w kryształach pokazywały, co widzi każdy z golemów.

–Brytyjczycy nie będą sobie zawracali głowy tymi monstrami – po wiedziała Queezle. – Znajdą ich panów i zabiją ich.

Mój pan obnażył zęby w uśmiechu.

–Do tego czasu cesarza już tu nie będzie. A to, przy okazji, jest nowym zadaniem, które stawiam przed wami dwojgiem. Macie strzec Jego

Wysokości podczas ucieczki. Zrozumiano?

Podniosłem łapę. Czarodziej westchnął ciężko.

–Tak, Bartimaeusie?

–Panie – powiedziałem – jeśli wolno mi coś zauważyć, Praga jest oblężona. Jeżeli spróbujemy uciec z miasta z cesarzem, wszyscy zginiemy straszną śmiercią. Więc dlaczego po prostu nie zapomnieć o starym durniu i samemu się wyślizgnąć? Na ulicy Karlovej jest mała piwiarnia z wyschniętą studnią. Nie za głęboką. Wejście jest troszeczkę przymałe, al Zmarszczył brwi.

–Wydaje ci się, że ja się tam schowam?

–Cóż, będzie ciasno, ale zdaje mi się, że zdołamy cię tam wepchnąć. Twój brzuch jest jak garniec, panie, i może nam to sprawiać pewne trudności, ale jak się porządnie zaprzeć, to musi się udać... Au! – Futro mi zatrzeszczało. Poderwałem się gwałtownie. Jak zwykle, rozgrzane do czerwoności Ciarki sprawiły, że straciłem wątek.

–W przeciwieństwie do ciebie – parsknął mag – wiem, co to znaczy lojalność! Mnie nie trzeba zmuszać, żebym zachował się honorowo i stał u boku mojego pana. Powtarzam, oboje macie

**strzec jego życia, nawet poświęcając własne. Zrozumieliście?**

Pokiwaliśmy z ociąganiem głowami. Wtedy podłoga zatrzęsa się od niedalekiego wybuchu.

–Więc chodźcie za mną – powiedział. – Nie zostało nam wiele czasu.

Szliśmy tylnymi schodami, a potem przez rozbrzmiewające echem zamkowe korytarze. Jaskrawe rozbłyski oświetlały okna; wszędzie wokół słycać było straszne krzyki. Mój pan biegł na chudych nogach, sapiąc co krok. Queezle i ja galopowaliśmy obok.

Wreszcie dotarliśmy na taras, gdzie cesarz od lat trzymał ptaszarnię. Była to wielka konstrukcja ze zdobionego brązu z kopułami i minaretami, półkami do karmienia i wiklinową bramą, którą cesarz mógł dostać się do środka. Wnętrze wypełnione było drzewami i krzewami w donicach oraz godną uwagi różnorodnością papug, których przodkowie zostali sprowadzeni do Pragi z odległych lądów. Władca kochał jedynie te ptaki. Ostatnimi czasy, gdy siła Londynu rosła, a jemu cesarstwo wyslizgiwało się z rąk, zwykł siadywać godzinami w wolierze, jednocząc się ze swymi skrzydlatymi przyjaciółmi. Teraz, gdy nocne niebo rozdzierała magiczna konfrontacja, ptaki wpadły w panikę, latały wewnątrz klatki, gubiąc pióra i wrzeszcząc jak opętane. Cesarz, mały, tłusty dzentelmen w satynowych bryczesach i białej, pogniecionej koszuli, był nieco bardziej opanowany. Ganił swoich dostawców ptaków, nie bacząc na doradców tłoczących się wokół niego.

Meyrink, pierwszy minister, blade o smutnych oczach, chwycił go za rękaw.

–Wasza Wysokość, proszę. Brytyjczycy wdzierają się na wzgórze zamkowe. Musimy zawieźć Waszą Wysokość w bezpieczne miejsce...

–Nie mogę opuścić mojej ptaszarni! Gdzie są moi magowie? Wezwać ich tutaj!

–Panie, oni uczestniczą w bitwie...

–Więc moje afryty? Mój wierny Phoebus...

–Panie, jak już informowaliśmy cię kilkakrotnie...

Mój pan przepchnął się przez tłumek.

–Wasza Wysokość, przedstawiam Queezle i Bartimaeusa, którzy będą nam asystować w odjeździe, a potem uratują twe cudowne ptaki.

–Dwa koty, człowieku? Dwa koty?

Cesarz zebrał usta w ciup, aż zbielały\*.

Queezle i ja zgodnie przewróciliśmy oczami. Ona przemieniła się w dziewczynę nadzwyczajnej piękności, ja przybrałem postać Ptolemeusza.

–A teraz, Wasza Wysokość – powiedział mój pan – na schody

południowe...

W mieście panowało wielkie zamieszanie. Połowa przedmieść stała już w ogniu. Mały imp stoczył się przez parapet na końcu tarasu. Palił mu się koniuszek ogona. Zahamował z poślizgiem obok nas.

–Panie, proszę o pozwolenie na zdanie raportu. Pewna liczba dzikich

afrytów przebija się w stronę zamku. Szarżę prowadzą Honorius i

Patterknife, słudzy Gladstonea. Są straszni, panie. Nasze wojsko podało

przed nimi tyły. – Przerwał, spojrział na kopczący ogonek. – Proszę o po

zwolenie na znalezienie wody, panie.

–A golemy? – zapytał Meyrink.

Imp zadrżał.

–Właśnie ruszyły do walki z wrogiem. Trzymałem się, rzecz jasna, z

dala od tej chmury, ale sądzę, że brytyjskie afryty trochę się cofnęły,

mieszając szyki. A co do tej wody...

Cesarz krzyknął szczebiotliwie:

–Dobrze, dobrze! Zwycięstwo będzie nasze!

–Przewaga jest tylko tymczasowa – powiedział Meyrink. – Proszę, Wasza Wysokość, musimy iść.

Mimo protestów, cesarza wyciągnięto z woliery przez wiklinową bramę. Meyrink i mój pan szli na czele grupy, cesarz podążał za nimi. Jego niska postać niknęła między dworzanami. Queezle i ja zamykaliśmy tyły.

**Rozbłysk światła. Przez parapet za nami przeskoczyły dwie czarne postacie. Poszarpane peleryny trzepotały wokół nich, w głębi kapturów płonęły żółte oczy. Przemieszczały się przez taras wielkimi susami, z rzadka tylko dotykając ziemi. Ptaki w wolierze nagle ucichły.**

**Spojrzałem na Queezle.**

**–Ty ich bierzesz czy ja?**

**Piękną dziewczyna uśmiechnęła się do mnie, ukazując ostre zęby.**

**–Ja. – Została z tyłu, żeby stawić czoła zbliżającym się ghulom. Po  
biegłem dalej, za cesarską świtą.**

**\* Było to, samo w sobie, bardzo kocie, jeśli wiecie, o co mi chodzi.**

Za bramą wąska ścieżka biegła wzdłuż fosy, pod zamkowymi murami, na północ. W dole Stare Miasto stało w ogniu. Widziałem brytyjskich żołnierzy biegnących ulicami i lud Pragi, który uciekał, walczył i padał. Wszystko zdawało się być tak daleko; dochodził do nas tylko jeden dźwięk – odległe westchnienia. Stado impów dryfowało w tę i z powrotem jak ptaki.

Cesarz przestał lamentować. Cała grupa poruszała się spiesznie i w milczeniu. Jak do tej pory wszystko szło dobrze. Byliśmy teraz przy Czarnej Wieży, u szczytu wschodnich schodów, a droga przed nami była wolna.

Usłyszałem trzepot skrzydeł. Queezle wylądowała obok mnie. Twarz miała bladą jak popiół, została zraniona w bok.

–Kłopoty? – zapytałem.

–To nie ghule. Jakiś afryt. Ale nadszedł golem i zniszczył go. Czuję się świetnie.

Znów ruszyliśmy naprzód, w dół schodów wyciętych w zboczu wzgórza. Światło płonącego zamku odbijało się w wodach Wełtawy, dodając widokowi melancholijnego piękna. Nie napotkaliśmy nikogo, nikt nas też nie gonił, to co najgorsze zostawiliśmy za sobą.

Gdy zbliżyliśmy się do rzeki, wymieniliśmy z Queezle pełne nadziei spojrzenia. Miasto było stracone, tak jak i cesarstwo, ale udana ucieczka cesarza pozwoli nam zachować odrobinę dumy. Nienawidziliśmy naszej niewoli, ale nie znaczyło to, że chcieliśmy zebrać cięgi od Brytyjczyków. Wyglądało na to, że nam się upiecze.

Zasadzka czekała na nas prawie u samego podnóża wzniesienia.

Sześć dzinów i banda impów wyskoczyła pędem na schody. Cesarz i dworzanie wrzasnęli i rozbiegli się w nieładzie. Queezle i ja, spięci, gotowaliśmy się do skoku.

Za nami dał się słyszeć lekki kaszelek. Odwróciliśmy się jednocześnie.

Pięć stopni wyżej stał młody, szczupły mężczyzna. Miał ciasno ułożone loki, wielkie niebieskie oczy i nosił sandały oraz togę w późnorzymskim stylu. Ckliwy, zawstydzony wyraz twarzy sugerował, że młodzieniec nie skrzywdziłby nawet muchy. Niemniej jednego szczegółu nie mogłem przeoczyć – monstrualnej kosy ze srebrnym ostrzem.

Sprawdziłem go na innych płaszczyznach, z nikłą nadzieją, że może to jednak ekscentryczny człowiek w drodze na bal przebierańców. Nic z te-



go. Okazał się afrytem o dużej mocy. Przełknąłem ślinę. Było naprawdę źle\*.

–Pozdrowienia od pana Gladstonea dla cesarza – powiedział młody człowiek. – Prosi o honor dotrzymania mu towarzystwa. Reszta z was, hałastro, może uciec.

Brzmiało to rozsądnie. Spojrzałem błagalnie na swojego pana, ale ten z furią kazał mi wystąpić. Westchnąłem i zrobiłem niechętnie krok ku afrytowi.

Młodzieniec rzekł na głos:

–Och, daj sobie spokój, drobny oszuście. Nie masz szans.

Jego drwiny podsyciły moją furię. Wyprostowałem się.

–Strzeż się – powiedziałem zimno. – Nie doceniając mnie, dużo ryzykujesz.

Afryt zatrzepotał rękami, z ostentacyjnym brakiem zainteresowania.

–Doprawdy? Masz jakieś imię?

–Imię? – krzyknąłem. – Mam wiele imion! Jestem Bartimaeusem! Jestem Sachr al-Dżinni, Ngorso Potężny i Srebrnopióry Wąż!

Zrobiłem dramatyczną przerwę. Młodzieniec wyglądał na nieporuszonego.

–Zero. Nigdy o tobie nie słyszałem. A teraz masz...

–Rozmawiałem z Salomonem...

–Och, proszę! – Afryt machnął lekceważąco ręką. – Czyż nie rozmawialiśmy z nim wszyscy? Powiedzmy sobie szczerze, sporo podróżował.

–Odbudowałem mury Uruk, Karnaku i Pragi...

Młodzieniec uśmiechnął się.

–Co, te tutaj? Te, których rozbicie zajęło Gladstone'owi pięć minut? W Jerycho pewnie też pracowałeś, co?

–Owszem, pracował – wtrąciła się Queezle. – To jedno z jego pierwszych zadań. Nie wspomina o tym, ale...

–Słuchaj, Queezle...

Afryt dotknął palcem kosy.

**\* Warto unikać nawet najmniejszych afrytów, a ten był doprawdy wspaniały. Na wyższych planach jego kształty były ogromne i przerażające, toteż ukazanie się w tak marnym przebraniu na pierwszej płaszczyźnie prawdopodobnie odpowiadało jego pokrętnemu poczuciu humoru. Nie mogę jednak powiedzieć, że się roześmiałem.**

–Ostatnia szansa, dżiny – powiedział. – Jestem Vamoose. Nie uda wam się mnie pokonać.

Wzruszyłem ramionami z niejaką rezygnacją.

–Przekonamy się.

Rzeczywiście, przykro powiedzieć, przekonaliśmy się. I to bardzo szybko. Moje pierwsze cztery Detonacje zostały odbite przez wirującą kosę. Piąta, która naprawdę kapitalnie mi wyszła, wróciła, posyłając mnie, w deszczu esencji, w dół wzgórza. Próbowałem się podnieść, ale osłabłem z bólu. Rana była zbyt wielka; nie wydobrzeję na czas.

Na ścieżce impy rzuciły się kupą na dworzan. Zobaczyłem, jak Queezle i jakiś krzepki dżin przelatują obok, trzymając się nawzajem za gardła.

Afryt, z obraźliwą nonszalancją, szedł ku mnie po zboczu. Mrugnął i uniósł srebrną kosę...

I w tym momencie zadziałał mój pan.

Nie traktował mnie zbyt dobrze – za bardzo lubił Ciarki na przekąskę -ale z mojego punktu widzenia jego ostatni uczynek był najlepszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

Wokół niego roilo się od impów, skakały mu po głowie, przemykały między nogami, wyciągały ręce po cesarza. Wydał okrzyk wściekłości i z kieszeni kurtki wyciągnął Laskę Detonacji, jedną z tych nowych. Alchemicy ze Złotej Uliczki zaczęli takie sporządzać, gdy dowiedzieli się o zagrożeniu ze strony Brytyjczyków. Była to masowo produkowana tandeta, mająca skłonność eksplodować za wcześnie albo nie robić tego w ogóle. Tak czy inaczej, najlepiej było rzucić nimi szybko w kierunku nieprzyjaciela. Ale mój pan był typowym magiem nieprzywykłym do walki. Wytrajkotał jak należy słowo rozkazu, ale potem zawahał się. Trzymał Laskę nad głową i fechtował się nią z impami, jakby nie mógł się zdecydować, którego wybrać.

Wahał się chwilę za długo.

Eksplozja rozdarła niebo. Impy, cesarz i dworzanie wylecieli w powietrze jak nasiona dmuchawca. Mój pan zniknął, jakby go nigdy nie było.

A wraz z jego śmiercią więzy, które mnie krępowały, rozwiały się w nicość.

Afryt opuścił ostrze kosy dokładnie w to miejsce, gdzie leżała moja głowa. Wbiło się bezużytecznie w ziemię.

I tak, po kilkuset latach i kilkunastu panach, moje więzi z Pragą zostały zerwane. Ale gdy moja wdzięczna esencja rozlatywała się we wszystkie strony, spojrzałem w dół, na płonące miasto, maszerujących żołnierzy, zawodzące dzieci, pohukujące impy. na śmiertelne drgawki cesarstwa i krwawy chrzest następnego imperium, i muszę powiedzieć, że nie czułem szczególnego triumfu.

Wydawało się raczej, że wszystko zmierza ku czemuś znacznie gorszemu.

## *Część 1*

### *9iathanid*

## 1

ondyn. Wielka i dostatnia stolica licząca dwa tysiące lat, która, znajdując się w rękach magów, aspiruje do miana centrum świata. Udało mu się to, przynajmniej jeśli chodzi o rozmiary. Miasto rosło się potężnie i niezgrabnie na bogatych ucztach Imperium.

Rozciągało się na kilka mil po obu stronach Tamizy – szamerowany dymem pancierz domostw cętkowany pałacami, kościołami i bazarami. O każdej dobie, w każdym miejscu dudniło życiem. Ulice były zatłoczone turystami, robotnikami i innymi przechodniami, a powietrze aż brzęczało od niewidzialnych impów latających na posyłki dla swoich panów.

Na zatłoczonych alejach wychodzących na szare wody Tamizy bataliony żołnierzy i biurokratów czekały, żeby wypłynąć w podróż po całym globie. W cieniu ich okutych żelazem żaglowców barwne statki handlowe wszelkich rozmiarów i kształtów przemierzały zatłoczoną rzekę. Tętniące życiem karaki z Europy, wyładowane korzeniami arabskie dawy o ostrych żaglach, tęponose dżonki z Chin, klipry z Ameryki, eleganckie o wysmukłych żaglach – wszystkie były obleżone przez małe rzeczne łodzie pilotów znad Tamizy, którzy wrzeszcząc, konkurowali o prawo do wprowadzenia ich do doku.

Dwa serca napędzały tę metropolię. Na wschodzie znajdowało się City, gdzie kupcy z odległych lądów zbierali się, żeby wymieniać towary; na zachodzie, wtulony w ostry zakręt rzeki, leżał Westminster, ośrodek polityczny. Magowie pracowali tam bezustannie, żeby chronić i rozszerzać zagraniczne terytoria.

Chłopiec załatwił sprawy w centralnym Londynie i teraz wracał pieszo do Westminsteru. Szedł powoli, bo choć nadal pora była wczesna, to już zrobiło się gorąco i czuł pot spływający mu za kołnierz. Lekki wietrzyk uniósł skraj jego długiego czarnego płaszcza i targał nim podczas przechadzki. Chłopak był świadom efektu, jaki wywołuje, i cieszyło go to. Robił mroczne, silne wrażenie. Wiedział, że głowy odwracają się za nim. W naprawdę wietrzne dni, gdy płaszcz powiewał prawie poziomo, nie wyglądał chyba tak malowniczo.

Przebiegł Regent Street i poszedł dalej, między pobielanymi budynkami w stylu regencji do Haymarket, gdzie sprzątacze uliczni już się trudzili z miotłami i szczotkami przed frontonami teatru, a młodzi sprzedawcy owoców zaczęli wystawiać swoje towary. Jakaś kobieta niosła tacę z ułożonymi wysoko pięknymi dojrzałymi pomarańczami, które były rzadkością w Londynie, odkąd rozpoczęły się wojny w południowej Europie. Chłopiec zbliżył się, zręcznie wrzucił monetę do małej cynowej czarki i płynnym ruchem sięgnął po pomarańczę z samego wierzchu. Zignorował podziękowania przekupki i poszedł dalej. Nie zmieniał kroku. Płaszcz powiewał za nim imponująco.

Na Trafalgar Square postawiono serię wysokich pali, a każdy z nich pomalowany został w spiralne kolorowe paski. Robotnicy wciągali właśnie liny łączące pale. Każda obciążona była jaskrawymi flagami: czerwonymi, białymi i niebieskimi. Chłopiec przystanął, żeby obrać pomarańczę i przyjrzeć się pracom.

Nadszedł robotnik, pocąc się pod ciężarem masy chorągiewek.

Chłopiec pozdrowił go.

–Hej, człowieku. Czemu to wszystko ma służyć?

Mężczyzna spojrział z ukosa, zobaczył długi, czarny płaszcz chłopca i natychmiast niezgrabnie zasalutował. Połowa chorągiewek wysypała mu się z rąk na chodnik.

–To na jutro, panie – powiedział. – Dzień Założyciela. Święto narodowe.

–Ach tak, oczywiście. Urodziny Gladstonea. Zapomniałem. – Chłopiec wrzucił skórkę pomarańczy do rynsztoka i odszedł, zostawiając robotnika zaplątanego w chorągiewki i przeklinającego pod nosem.

A więc dalej, do Whitehall – potężnych szarych gmachów i okolicy, w której czuło się prądną władzę. Komuś, kto zabląkał się tu przypadkiem, wystarczyło spojrzeć na architekturę, by poczuł się nieswojo. Wielkie marmurowe filary, ogromne drzwi z brązu, tysiące okien, w których światło plonie przez cały czas, granitowe posągi Gladstonea i innych notabli o ponurych, pobruźdzonych twarzach obiecujących rychłą sprawiedliwość wrogom państwa; wszystko to robiło przytłaczające wrażenie. Ale chłopiec nie przejmował się tym zupełnie, szedł lekkim krokiem, obierając pomarańczę z pańską beztróską. Skinął głową policjantowi, mignął przepustką przed strażnikiem i boczną bramą wszedł na ocieniony rozłożystymi kasztanowcami dziedziniec Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Dopiero wtedy zatrzymał się, przełknął pozostałość pomarańczy, wytarł ręce w chusteczkę, poprawił kołnierzyk, mankiety i krawat. W końcu przyglądził włosy. Dobrze. Teraz był gotów. Czas pójść do pracy.

Ponad dwa lata minęły od rebelii Lovelace'a i nagłego awansu Nathaniela do elity magów. Miał teraz czternaście lat i był o głowę wyższy niż wtedy, gdy zwrócił Amulet z Samarkandy w opiekuńcze ręce wdzięcznego rządu. Był też tęższy, ale nadal szczupły, a ciemne długie pukle zwisały mu wokół twarzy zgodnie z najnowszą modą. Twarz miał szczupłą i bladą od długich godzin spędzonych nad księgami, ale jasne oczy płonęły żarem. We wszystkich jego ruchach widać było ledwie tłumioną

Nathaniel, jako bystry obserwator, szybko wyczuł, że wśród czynnych zawodowo magów wygląd stanowił wyznacznik statusu. Na niechlujów patrzono z rozdrażnieniem – tak naprawdę była to pewna oznaka przeciętności. Nie chciał robić takiego wrażenia. Za stypendium, które otrzymał z ministerstwa kupił sobie dopasowany czarny garnitur i długi, włoski płaszcz. Ubranie, które jego zdaniem było wprost „niebezpiecznie” modne. Nosił wąskie, lekko szpiczaste buty i kolekcję jaskrawych chusteczek wykwitających mu na piersi. Tak odziany mógł chodzić po kruż-gankach Whitehall zdecydowanym krokiem – choć z powodu patykowatych nóg

przywodził na mysi jakiegoś brodzącego ptaka – trzymając pod pachą plik papieru.

Imię trzymał w ścisłej tajemnicy. Kolegom i współpracownikom znany był pod nazwiskiem wieku dorosłego, John Mandrake.

Imię to nosiło niegdyś dwóch innych magów. Żaden nie zyskał większej sławy. Pierwszy, alchemik z czasów królowej Elżbiety, na oczach dworu przemienił ołów w złoto. Później odkryto, że udało mu się to, gdyż pokrył złote kulki cienką powłoką ołowiu, który rozpuścił się po lekkim podgrzaniu. Oklaskiwano jego pomysłowość, ale i tak go ścięto. Drugi Mandrake był synem producenta mebli i spędził żywot na badaniu demonicznych roztoczy. Zgromadził listę tysiąca siedmiuset trzech mało istotnych podtypów, zanim jeden z nich, falbaniasty zielony szerszeń, go ugryzł. Mag spuchł do rozmiarów szeszlonga i tak umarł.

Nie przynoszące chwały kariery poprzedników nie obchodziły Nathaniela. Prawdę mówiąc, dawały mu cichą satysfakcję. Miał zamiar wsławić swoje imię tylko dzięki sobie.

Mistrzynią Nathaniela była Jessica Whitwell, czarodziejka w nieokreślonym wieku, o równo przyszyżonych białych włosach i szczupłym, prawie wychudłym ciele. Uważano ją za jedną z czworga najpotężniejszych magów w rządzie, a jej wpływy sięgały daleko. Dostrzegła talent ucznia i pilnowała, aby go w pełni rozwinął.

Nathaniel zamieszkał w obszernym apartamencie nadrzecznego, miejskiego domu swojej mistrzyni i prowadził unormowany tryb życia. Dom był nowoczesny i skąpo umeblowany. Dywany miały szarość rysia, a ściany pomalowano surową bielą. Meble sporządzono ze szkła, posrebrzanego metalu i bladego drewna zrąbanego w nordyckich lasach. Atmosfera miejsca była chłodna, biurowa, nieomal szpitalna. Nathaniel przywykł do niej i szybko ją docenił. Przywodziła na myśl trzy cechy, którymi powinien szcycić się każdy współczesny czarodziej: spokój, skrytość i

Ascetyczny styl pani Whitwell odmienił także jej bibliotekę. W większości magicznych domostw biblioteki były ciemnymi, ponurymi miejscami. Stały tam książki oprawione w skóry egzotycznych zwierząt, z haftowanymi pentagramami albo zaklęciami runicznymi na grzbietach. Ale takie wyposażenie, o czym Nathaniel niedawno się dowiedział, należało do

zeszłego stulecia. Pani Whitwell zażyczyła sobie, żeby drukarze i introligatorzy z Jaroslav's oprawili wszystkie należące do niej tomy w białą skórę i oznaczyli je numerami identyfikacyjnymi wypisanymi czarnym atramentem.

Pośrodku tego jasnego pokoju z ładnymi, białymi książkami stał czworokątny szklany stolik, przy którym Nathaniel siadywał dwa razy w tygodniu, studiując wyższe sztuki magiczne.

W pierwszych miesiącach pracy u pani Whitwell zabrał się do intensywnych studiów, i ku jej miłemu zaskoczeniu, w szybkim czasie opanował kolejne stopnie przywoływania demonów. Zaczął od najniższych -roztoczy, moulerów i goblinów (impów) – i w ciągu kilku dni przeszedł ku średniemu – cały asortyment diablików – do zaawansowanego – dziny różnych poziomów.

Mistrzynie nie kryła zachwyty, gdy zobaczyła, jak odprawia krzepkiego dzina improwizowanym zaklęciem, które wymierzyło demonowi klapsa w jego niebieski tyłek.

–Urodziłeś się czarodziejem, John – powiedziała. – Naprawdę. Jesteś odważny, masz dobrą pamięć i umiesz pozbyć się demonów. Nie spodziewałam się, że tak szybko opanujesz przywoływanie. Pracuj ciężko, a zadziesz daleko.

Nathaniel podziękował jej z fałszywą skromnością. Nie przyznał się, że to dla niego nic nowego, że wywołał dziny średniego poziomu, kiedy miał dwanaście lat. Związek z Bartimaeusem zachowywał tylko dla siebie.

Pani Whitwell nagrodziła nad wiek rozwinięte zdolności chłopca, ujawniając mu nowe tajemnice i nakłaniając do dalszej nauki, a było to właśnie to, czego Nathaniel od dawna pragnął. Pod bacznym okiem mistrzyni poznał sztukę zmuszania demonów do wykonywania prac bez odwoływania się do tak nieporęcznych narzędzi jak pentagram Adelbranda. Odkrył, jak chronić się przed szpiegami wroga, rozsnuwając wokół siebie magiczną pajęczynę, jak rozpraszać nagle ataki, wywołując gwałtowne strumienie magii, które otaczały agresywną moc i porywały ją daleko. W bardzo krótkim czasie Nathaniel zdobył taki zasób wiedzy, jaki posiadali koledzy pięć, sześć lat od niego starsi. Czuł, że jest gotów do pierwszego zadania.



Było już tradycją, że wszystkim obiecującym adeptom magii dawano pracę na niższych stanowiskach w ministerstwie, żeby nauczyć ich praktycznego zastosowania mocy. Wiek, w którym to następowało, zależał od talentu ucznia i wpływów jego mistrza. W przypadku Nathaniela zadziałał jeszcze jeden czynnik. W kawiarniach Whitehall doskonale wiedziano, że sam premier śledził jego karierę bystrym i łaskawym okiem. To sprawiło, że od początku Nathaniel stał się obiektem wielkiej uwagi.

Mistrzynie ostrzegła go.

–Zachowuj swoje tajemnice dla siebie – powiedziała – szczególnie swe prawdziwe imię, jeśli je znasz. Trzymaj usta zamknięte jak skorupka małża. Inaczej wszystko ci wyrwą.

–Kto taki? – zapytał.

–Wrogowie, choć jeszcze ich sobie nie narobiłeś. Ludzie tu lubią planować z wyprzedzeniem.

Ten, kto odkrył prawdziwe imię maga, zyskiwał nad nim władzę, toteż Nathaniel strzegł swojego imienia z wielką pieczołowitością. Z początku uważano, że łatwo da się go omamić. Śliczna czarodziejka zbliżyła się do niego na przyjęciu, usypiała czujność komplementami, a potem dopytywała się o szczegóły jego pochodzenia. Nathaniel bez trudu odparł te pospolite zakusy, ale później zadziałano bardziej radykalnie. Pewien imp odwiedził go kiedyś podczas snu i szeptał mu do ucha miłe słówka, pytając zarazem o imię. Być może tylko głośne dzwonienie Big Bena zza rzeki uchroniło Nathaniela przed nieszczęściem. Gdy zegar wybił godzinę, Nathaniel poruszył się, obudził i zauważył demona przykucniętego na słupku łóżka. Natychmiast wezwał oswojonego diablaka, który schwytał impa i wcisnął go w kamień.

W nowej postaci demon niestety nie mógł powiedzieć niczego o magu, który wyprawił go z misją. Po tym epizodzie Nathaniel przywoływał diablaka, żeby co noc sumiennie strzegł jego sypialni.

Szybko okazało się, że tożsamości Johna Mandrakea łatwo nie da się zagrozić i na tym zamachy się skończyły. Wkrótce potem, gdy Nathaniel nadal miał zaledwie czternaście lat, nastąpiło oczekiwane mianowanie i młody czarodziej podjął pracę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

W biurze Nathaniela przywitało gniewne spojrzenie sekretarza i chwiejący się stos nowych papierów na tacce, gdzie kładziono korespondencją przychodzącą.

Sekretarz, schludny młodzieniec o nasyconych oliwką rudych włosach, właśnie wychodził z pokoju, ale zatrzymał się.

–Spóźniłeś się, Mandrake – powiedział, unosząc okulary szybkim, nerwowym gestem. – Jakiej wymówki będziesz szukał tym razem? Wiesz przecież, że masz obowiązki, takie same jak zatrudnieni na pełnym etacie.

Stał przy drzwiach i marszczył się groźnie.

Młody mag opadł na krzesło. Kusilo go, żeby położyć stopy na biurku, ale odrzucił ten zamiar, jako zbyt ostentacyjny. Ograniczył się do leniwego uśmiechu.

–Byłem w miejscu kolejnego wypadku z panem Tallowem – powiedział.

–Pracowałem tam od szóstej. Zapytaj go, kiedy tu dotrze. Może opowie ci parę szczegółów, jeśli nie są zbyt tajne. A co ty robiłeś, Jenkins? Pewnie wykonywałeś fotokopie w pocie czoła?

Sekretarz z sykiem wciągnął powietrze przez zęby i przesunął okulary wyżej na czoło.

–Tylko tak dalej, Mandrake – powiedział. – Tylko tak dalej. Może i jesteś pupilkiem premiera, ale jak długo to potrwa, jeśli twoja praca nie będzie przynosić wyników? Kolejny wypadek? Drugi w tym tygodniu?

Wkrótce znów zaczniesz zmywać filiżanki do herbaty, a wtedy zobaczymy. – Wykonał coś pomiędzy podskokiem a śmignięciem i oddalił się.

Chłopiec wykrzywił się w stronę zamykanych drzwi i przez kilka sekund siedział, gapiąc się w przestrzeń. Przetarł oczy zmęczonym gestem i spojrzął na zegarek. Dopiero dziewięta czterdzieści pięć. A już miał za sobą długi dzień.

**Stos dokumentów trzęsący się na biurku czekał, aż zwróci na niego uwagę. Odetchnął głęboko, poprawił mankiety i sięgnął po najwyżej leżącą teczkę.**

**Nathaniel ze znanych tylko sobie powodów od dawna interesował się pracą w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, które podlegało rozrastającemu się aparatowi służb bezpieczeństwa, kierowanemu przez Jessikę**

**Whitwell. Ministerstwo prowadziło dochodzenia w rozmaitych sprawach kryminalnych. Zazwyczaj zajmowano się tu zagranicznymi buntami i wewnętrznym terroryzmem skierowanym przeciwko władzy. Kiedy Nathaniel zaczął pracę, dostawał jedynie prościutkie zadania, takie jak wypełnianie formularzy, wykonywanie fotokopii i robienie herbaty. Ale nie trwało to długo.**

**Jego błyskawiczny awans nie był wynikiem nepotyzmu (jak poszeptywali jego wrogowie). Prawda, skorzystał z życzliwości pierwszego ministra i olbrzymich wpływów pani Whitwell, której nie chciał się narazić żaden z magów w ministerstwie, ale na nic by się to zdało, gdyby okazał się niekompetentny albo zaledwie mierny w swoim rzemiośle. Jednak Nathaniel był utalentowany, a co więcej, ciężko pracował. Promocja nadeszła bardzo szybko. W kilka miesięcy przebrnął przez monotonię zajęć urzędniczych, aż - nie mając jeszcze piętnastu lat - został osobistym asystentem ministra Juliusa Tallowa.,**

**Tallow, niski, krępy, o byczej budowie ciała i identycznym temperamentem, w przyływach dobrego humoru bywał raptowny i szorstki. Miał też skłonność do nagłych wybuchów. Pienił się wtedy z wściekłości, a jego pupilkowie czmychali w bezpieczne miejsca. Poza temperamentem wyróżniała go żółtawa cera, jak żonkil w samo południe. Podległy mu personel nie wiedział, skąd brała się ta dolegliwość; niektórzy utrzymywali, że to dziedziczne, że był potomkiem związku pomiędzy magiem a sukkubem. Inni odrzucali to ze względów biologicznych i podejrzewali, że minister padł ofiarą złośliwej magii. Nathaniel skłaniał się ku temu ostatniemu pogładowi. Jakakolwiek była tego przyczyna, Tallow ukrywał swój problem, najlepiej jak umiał. Nosił wysokie kołnierzyki, zapuścił włosy i przez cały czas chodził w kapeluszach o szerokim rondzie. I nastawiał uszu na plotki personelu, który mógłby nierozważnie poruszyć ten**

**W urzędzie pracowało osiemnaście osób, wliczając Nathaniela i Tallowa, począwszy od dwóch plebejuszy, którzy wykonywali obowiązki administracyjne niewiążące się bezpośrednio ze sprawami magicznymi, po pana Ffoukesa, czarodzieja czwartej rangi. Nathaniel przyjął politykę obojętnej uprzejmości wobec wszystkich, z wyjątkiem Clive'a Jenkinsa, sekretarza. Zawiść, jaką Jenkins żywił wobec jego młodości i stanowiska,**

była oczywista od samego początku. Z kolei Nathaniel traktował go z radosnym zuchwalstwem. Mógł sobie na to pozwolić. Jenkins nie miał ani koneksji, ani zdolności.

Julius Tallow szybko zorientował się, jak wielkie możliwości drzemią w jego asystencji, i przydzielił mu ważne i niełatwe zadanie – pościg za kryjącą się w cieniu grupą znaną jako ruch oporu.

Motywy tych fanatyków były oczywiste, choć dziwaczne. Byli przeciwni dobroczynnemu przywództwu magów i chcieli wrócić do anarchii rządów pospólstwa. Z roku na rok ich działalność stawała się coraz bardziej irytująca. Kradli rozmaite magiczne artefakty nieuważnym lub pechowym czarodziejom, a potem wykorzystywali je podczas napadów na magów i własność rządową. Parę budynków mocno uszkodzono, kilka osób zabito. Ruch oporu, w najbardziej śmiałym z ataków, próbował nawet zabić premiera. Odpowiedź rządu była surowa – aresztowano wielu plebejuszy, kilku stracono, a innych deportowano na statku-więzieniu do kolonii. Niemniej mimo tych represji incydenty powtarzały się i Tallow zaczął odczuwać niechęć swoich przełożonych.

Nathaniel przyjął to wyzwanie z ogromną gorliwością. Kilka lat wcześniej drogi ruchu oporu i Nathaniela skrzyżowały się, toteż teraz młody mag czuł, że rozumie naturę tej organizacji. Pewnej ciemnej nocy spotkał troje plebejskich dzieci handlujących magicznymi towarami. Nie wspominał tego miło. Ta trójka ukradła mu czarodziejskie zwierciadło, a potem omal go nie zabiła. Teraz z gorliwością szukał okazji do zemsty.

Ale zadanie okazało się niełatwe.

Niewiele wiedział o trojgu plebejuszy. Znał tylko ich imiona: Fred, Stanley i Kitty. Fred i Stanley byli gazeciarzami, i pierwszym posunięciem Nathaniela było wysłanie kul tropiących, żeby śledziły wszystkich sprzedawców gazet w mieście. Ale obserwacja nie dała rezultatów, najwyraźniej tamci dwaj zajęli się czym innym.

Potem Nathaniel namówił szefa, by wysłał kilku sprawdzonych agentów do pracy w Londynie. Przez kilka miesięcy siedzieli po uszy w podziemnym świecie stolicy. Gdy tylko zostali zaakceptowani przez pospólstwo, zaczęli proponować sprzedaż kradzionych artefaktów każdemu, kto się tym zainteresował. Nathaniel miał nadzieję, że ta sztuczka zachęci ruch oporu do zdemaskowania się.

Nadzieja okazała się próżna. Większość tajniaków nie wykonała zadania, a jedyny, któremu się to udało, zniknął, zanim sporządził raport. Ku irytacji Nathaniela, ciało tego człowieka znaleziono potem w Tamizie.

Najnowsza strategia Nathaniela, z którą początkowo wiązał wielkie nadzieje, polegała na tym, że dwa diabluki przybrały postać bezdomnych sierot. Wysłał je na miasto, żeby wałęsały się za dnia po ulicach. Nathaniel podejrzewał, że ruch składa się głównie z dziecięcych gangów ulicznych, i miał nadzieję, że wcześniej czy później, spróbują one wciągnąć nowych w swoje szeregi. Ale jak do tej pory przynęta pozostała nietknięta.

Tego ranka w biurze było gorąco i sennie. Muchy brzęczały przy szybach. Nathaniel posunął się do tego, że zdjął płaszcz i podwinął szerokie rękawy. Tłumiąc ziewanie, przeorywał się przez masę papierów, z których większość dotyczyła ostatniej działalności ruchu oporu. Zaatakowali sklep znajdujący się w uliczce za Whitehall. O świcie urządzenie wybuchowe - prawdopodobnie mała kula żywiolów - zostało wrzucone przez świetlik i poważnie zraniło właściciela. Sklep dostarczał tytoniu i pachnidła czarodziejom; prawdopodobnie dlatego stał się celem ataku.

Nie znaleźli się żadni świadkowie, a kul strażniczych nie było w okolicy. Nathaniel przeklinał w myśli. Beznadziejna sprawa, nie miał żadnych tropów. Odrzucił papiery na bok i zajął się następnym raportem. Znowu ktoś wypisywał na ścianach w całym mieście grubiańskie slogany pod adresem premiera. Westchnął i podpisał rozkaz natychmiastowego przeprowadzenia operacji czyszczącej, wiedząc doskonale, że graffiti pojawią się znowu, jak tylko czyściciele skończą robotę.

Wreszcie nadszedł czas lunchu i Nathaniel poszedł na przyjęcie w ogrodach ambasady Bizancjum urządzone z okazji zbliżającego się Dnia Założyciela. Przemykał się między gośćmi. Czuł się ospale i był nie w sosie. Problem ruchu oporu nie dawał mu spokoju.

Stojąc w rogu ogrodu, nalewał sobie chochelką mocnego owocowego ponczu ze srebrnej wazy. Niedaleko dostrzegł młodą kobietę. Przez chwilę przyglądał się jej uważnie i zrobił coś, co jego zdaniem było wyrazem elegancji.

–Słyszałem, że odniosła pani ostatnio pewne sukcesy, pani Farrar. Proszę przyjąć moje gratulacje.

Jane Farrar wymamrotała podziękowania.

–To było tylko małe gniazdko czeskich szpiegów. Uważamy, że przy  
płynęli z Niderlandów w łodzi rybackiej. Byli niezdarnymi amatorami,  
łatwymi do wykrycia. Alarm wzniosło lojalne pospólstwo.

Nathaniel uśmiechnął się.

–Pani jest zbyt skromna. Słyszałem, że ci szpiedzy wodzili za nos policję całej Anglii i po  
drodze zabili kilku magów.

–Było parę niewielkich wypadków.

–Mimo to, jest to godne zauważenia zwycięstwo. – Nathaniel łyknął ponczu, zadowolony z  
dwuznaczności komplementu. Mistrzem Jane Farrar był szef policji Henry Duvall, wielki rywal  
Jessiki Whitwell. Przy każdej okazji Jane i Nathaniel prowadzili z sobą takie kocie gadki,  
pomrukując komplementy i starannie chowając pazurki, żeby wyczuć siłę charakteru drugiej  
strony.

–Ale co z tobą, Johnie Mandrake? – zapytała słodko Farrar. – Czy to prawda, że uczyniono  
cię odpowiedzialnym za wykrycie tego irytującego ruchu oporu? To też niemałe dzieło!

–Ja tylko gromadzę informacje; mamy sieć agentów i musimy dawać im zajęcie. Nie ma w tym  
niczego ekscytującego.

Jane Farrar sięgnęła po srebrną chochlę i delikatnie zamieszała poncz.

–Może i nie, ale to niesłychane, żeby zajmował się tym ktoś aż tak młody. Doskonale. Chcesz  
jeszcze kropelkę?

–Nie, dziękuję. – Nathaniel z irytacją poczuł, że policzki mu się czerwienią. To prawda, był  
młody i niedoświadczony, i wszyscy patrzyli i czekali, aż się potknie. Miał ogromną chęć  
zmarszczyć czoło, ale zwalczył ją.

–Uważam, że w ciągu sześciu miesięcy ruch zostanie zniszczony – powiedział niewyraźnym  
tonem.

Jane Farrar nalala sobie ponczu do szklanki i uniosła brwi z wyrazem twarzy, w którym można  
było wyczytać rozbawienie.

–Imponujesz mi – powiedziała. – Polują na nich od trzech lat bez szcze

**gólnych rezultatów. A ty ich zniszczysz w pół roku! Ale wiesz co, wierzę,**

**że ci się to uda, John. Zrobił się już z ciebie mały mężczyzna.**

**Znów rumieniec! Nathaniel walczył, żeby opanować emocje. Jane Farrar była trzy, cztery lata starsza od niego. Dorównywała mu wzrostem, a może nawet była trochę wyższa od niego, a długie proste jasnobrązowe włosy**



opadały jej na ramiona. Jej oczy, zielone, skrzęce się pełną humoru inteligencją, potrafiłyby rozproszyc uwagę każdego. Nathaniel czuł się niezręcznie w jej towarzystwie, mimo całego splendoru swojej czerwonej kryzowanej chusteczki. Próbował bronić swojego zdania, chociaż lepiej by było, gdyby siedział cicho.

–Wiemy, że grupa składa się głównie z młodzieży – powiedział. – Ten fakt powtarza się w zeznaniach ofiar. Udało nam się zabić jednego czy dwóch członków ruchu; nie byli starsi od nas. – Ostatnie słowo wypowiedział z lekkim naciskiem. – Zatem rozwiązanie jest jasne. Wysyłamy agentów, żeby przeniknęli w szeregi organizacji. Kiedy tylko zdobędą zaufanie tych zdrajców i dostęp do przywódcy... no cóż, sprawa szybko się zakończy.

Znów rozbawiony uśmieszek.

–Jesteś pewien, że to będzie takie proste?

Nathaniel wzruszył ramionami.

–Parę lat temu o mały włos sam nie poznałem przywódcy. To się da zrobić.

–Naprawdę? – Szeroko otworzyła oczy, wykazując autentyczne zainteresowanie. – Opowiedz mi więcej.

Ale Nathaniel odzyskał kontrolę nad sobą. „Spokojny, sprytny, silny”. Im mniej informacji ujawni, tym lepiej. Spojrzał na trawnik.

–Widzę, że pani Whitwell przybyła bez towarzystwa – powiedział. –

Jako jej lojalny uczeń powinienem się na coś przydać. Zechce pani wybaczyć, pani Farrar?

Nathaniel szybko opuścił przyjęcie i wrócił do urzędu. Był wściekły. Szybko udał się do prywatnej komnaty przywołań i wypowiedział inkantację. Pojawiły się dwa diabluki, nadal w sierocym przebraniu. Wyglądały na niepokieszone, a wzrok miały rozbiegany.

–No i co? – warknął.

**–Źle, panie – powiedziała sierotka o blond włosach. – Dzieciaki z ulicy po prostu nas ignorują.**

**–Jeśli mamy szczęście – dodała druga. – Chodzi o to, że wtedy niczym w nas nie rzucają.**

**–Jak to? – Nathaniel był wściekły.**

**–Och, puszkami, butelkami, kamieniami i różnymi rzeczami.**

–Nie o to mi chodzi! Co się stało z uczuciami pospólstwa? Te dzieci powinny zostać deportowane w łańcuchach! Co się z nimi stało? Obaj jesteście słodcy, obaj chudzi, obaj z lekka wzruszający, powinni wziąć was pod swoje skrzydła.

Obie sierotki pokręciły ślicznymi główkami.

–Nic z tego. Traktują nas z odrazą. Prawie tak, jakby mogli nas widzieć takimi, jakimi naprawdę jesteśmy.

–Niemożliwe. Nie mają soczewek, prawda? Musicie coś robić źle. Jesteście pewni, że nie wydalście się w jakiś sposób? Nie szybujecie, nie rosną wam rogi i nie robicie niczego głupiego, kiedy ich widzicie?

–Nie, panie. Naprawdę nie.

–Nie, panie. Chociaż Clovis zapomniał raz schować ogon.

–Ty wężu! Panie, to kłamstwo.

Nathaniel ze znużeniem dotknął głowy.

–Nic mnie to nie obchodzi! Nic a nic. Ale ześlę na was obu Ciarki, jeśli wkrótce wam się nie powiedzie. Zmieńcie się, bądźcie starsi albo młodsi, spróbujcie chodzić osobno, dodajcie sobie małych ułomności, żeby wywołać ich współczucie. Ale żadnych chorób zakaźnych, tak jak wam mówiłem wcześniej! Teraz odejdźcie. Precz z moich oczu.

Znów za biurkiem, Nathaniel w ponurym nastroju zrobił bilans. Było jasne, że diabluki nie dadzą sobie rady. Należały do demonów niskiego poziomu... może na tym polega problem, nie były dość sprytne, żeby w pełni wcielić się w ludzi. Myśl, że zwykle dzieci mogłyby przejrzeć ich przebranie, była całkowitym absurdem i od razu ją odrzucił.

Ale jeśli zawiodą, to co potem? Co tydzień ruch oporu dopuszczał się nowych przestępstw. Włamywano się do domów magów, rabowano samochody, napadano na sklepy i urzędy. Schemat działania był jasny. Przestępstw raczej nie planowano, ale dokonywano ich, gdy nadarzyła się

okazja. Popęniały je małe, szybko przemieszczające się grupy, którym jakoś udawało się unikać kul tropiących i demonów. Wszystko to świetnie, ale nie zapowiadało się, żeby nastąpił przełom w śledztwie.

Nathaniel wiedział, że Tallowowi kończyła się cierpliwość. Krótkie, irytujące komentarze ze strony takich ludzi jak Clive Jenkins i Jane Farrar pozwalały się domyślić, że inni też o tym wiedzieli. Postukał ołówkiem o notatnik, myślami był przy członkach ruchu, których kiedyś poznał. Fred i Stanley... Wspomnienie sprawiło, że zgrzytnął zębami i zaczął jeszcze

silniej uderzać ołówkiem o kartki. Złapie ich pewnego dnia. Była też z nimi dziewczyna, Kitty. Ciemnowłosa, ognista. Jej twarz wyloniła się z cienia. Przewodziła tej trójce. Czy nadal przebywali w Londynie? A może uciekli gdzieś daleko, żeby ukryć się przed prawem? Potrzebny mu był tylko jeden, jedyny marny trop. Potem dopadnie ich szybciej niż jastrząb swej zdobyczy.

Tymczasem nie wiedział nawet, w którą stronę iść.

–Kim jesteś? – powiedział do siebie. – Gdzie się ukrywasz? – Ołówek złamał mu się w ręku.

*KLtty*

### 3

o była dobra noc na magię. Wielki księżyc w pełni, lśniący odcieniami moreli i pszenicy, otoczony pulsującym halo, suwerennie władał pustym niebem. Kilka strzępiastych chmurek jego majestatem, zostawiając obnażone niebiosy, połyskujące niebiesko i czarno jak brzuch jakiegoś kosmicznego wieloryba. W oddali światło księżyca omywało wydmy. Nieco bliżej, w ukrytej dolinie, złota poświata spływała po konturach urwiska, oświetlając podłoże z piaskowca.

Ale ued był głęboki i wąski, a kamienny występ nad jedną ze ścian pokrywał część dna atramentową ciemnością. W tym osłoniętym miejscu paliło się małe ognisko. Płomienie były czerwone i mizerne. Wąskie pasemko dymu unosiło się znad ognia i niktęło w chłodnym, nocnym powietrzu.

Przy ogniu, ledwie oświetlona księżycowym światłem, siedziała jakaś postać skrzyżowawszy nogi. Mężczyzna, muskularny, łysy, o lśniącej, naoliwionej skórze. Z ucha zwisał mu ciężki złoty kolczyk; twarz miał pustą, pozbawioną wyrazu. Poruszył się. Z sakwy u pasa wyjął butelkę zakrytą metalowym korkiem. Kilkoma leniwymi ruchami, w których dało się wyczuć drżemiacą nieposkromioną siłę pustynnego lwa, odkorkował butelkę i napił się z niej. Odrzucił naczynie na bok i zapatrzył się w płomienie.

Po chwili dziwny zapach rozszedł się po dolinie. Towarzyszyła mu odległa muzyka cytry. Głowa mężczyzny zaczęła się kiwać, aż wreszcie opadła. Teraz widać było tylko białka jego oczu, spał na siedząco. Muzyka stała się głośniejsza; wydawało się, że dochodzi z trzewi ziemi.

Ktoś wyłonił się z ciemności. Jakaś kobieta przeszła obok ogniska i śpiącego człowieka, stanęła na oświetlonej ziemi pośrodku doliny. Muzyka przybrała na sile; promienie księżycy zdawały się pojaśnić na cześć jej piękna. Niewolnica była młoda, olśniewająca i zbyt biedna, aby kupić sobie odpowiednie ubranie. Jej ciemne loki kołysały się przy każdym kroku. Twarz miała bladą i gładką jak porcelana, ogromne oczy wypełnione łzami. Z początku niepewnie, potem z nagłym przyływem uczucia zaczęła tańczyć. Jej ciało pochylało się i wirowało tak, że nie nadążała za nim cienka szata. Smukłe ramiona kreśliły w powietrzu kuszące kształty, a usta nuciły dziwną melodię pełną samotności i

Dziewczyna przestała tańczyć. Podrzuciła głowę gestem pełnym dumy i rozpaczony zarazem i spojrzała w ciemność, w stronę księżycy. Muzyka zamarła. Nastąpiła cisza.

Potem odległy głos, jakby niesiony z wiatrem, zawołał:

–Amaryllis...

Drgnęła, rozglądała się na wszystkie strony. Widziała tylko skały, niebo i bursztynowy księżyc. Westchnęła.

–Moja Amaryllis...

Ochrypłym, drżącym głosem odpowiedziała:

–Bertilak? Czy to ty, panie?

–To ja.

–Gdzie jesteś? Dlaczego szycisz sobie ze mnie?

–Skrywam się za księżycem, o Amaryllis. Nie chcę, żeby twoja piękność zniszczyła moją esencję. Zakryj twarz gazą, która spoczywa na twojej piersi, żebyś mógł podejść blisko do ciebie.

–Och, Bertilaku! Z całego serca! – Dziewczyna zrobiła to, o co ją proszono.

Z ciemności dobiegło kilka niskich pomruków zadowolenia. Ktoś zakaszłał.

–Droga Amaryllis! Odsuń się! Schodzę na ziemię.

**Z lekkim okrzykiem dziewczyna przycisnęła się do pobliskiej skały. Uniosła głowę w dumnym oczekiwaniu. Rozległ się huk grzmotu z dolny**

obudzić zmarłego. Dziewczyna, z otwartymi ustami, patrzyła w górę. Jakaś postać powoli opadała z wysokości. Mężczyzna na nagi tors założył srebrną kamizelkę, miał na sobie długą, rozwianą pelerynę, bufiaste pantalony i eleganckie pantofle o zadartych noskach. Imponujący bułat sterczał zza wyszywanego klejnotami pasa. Schodził na ziemię z odrzuconą głową, z pałającymi, czarnymi oczami i dumnie uniesionym podbródkiem rysującym się pod orlim nosem. Para zakrzywionych, białych jak kość rogów wyrastała po bokach jego czoła.

Wylądował łagodnie w pobliżu miejsca, gdzie dziewczyna przyciskała się do skały i wykonując swobodny, teatralny gest obdarzył ją promiennym uśmiechem. Lekkie kobiece westchnienia rozległy się wszędzie wokół.

–Zaniemówiłaś, Amaryllis? Czy tak szybko zapomniałaś twarzy twojego ukochanego dżina?

–Nie, Bertilaku! Gdyby to było siedemdziesiąt lat, a nie siedem, nie zapomniałabym nawet jednego namaszczonego oliwą włosa na twojej głowie. Ale język mnie zawodzi, a serce wali ze strachu, by mag nie obudził się i nas nie złapał! Wtedy powtórnie zakulby moje smukłe nogi w łańcuchy, a ciebie uwięził w butelce!

Na te słowa dżin roześmiał się gardłowo.

–Czarodziej śpi, a moja magia jest potężniejsza niż moce, którymi włada i będzie władał. Ale noc upływa, a wraz ze świtem muszę wrócić do moich braci afrytów ujeżdżających wiatry. Pójdź w me ramiona, kochana. Przez tych kilka godzin, kiedy mam ludzkie kształty, niechaj księżyc będzie świadkiem naszej miłości. Oby zaprzeczyła ona nienawiści dzielącej nasze ludy.

–Och, Bertilaku!

–Och, Amaryllis, mój Łabędziu Arabii!

Dżin postąpił naprzód i wziął niewolnicę w muskularne objęcia. W tym momencie ból w tyłku Kitty stał się nie do zniesienia. Zmieniła pozycję na fotelu.

Dżin i dziewczyna rozpoczęli teraz skomplikowany taniec, w którym ważną rolę odgrywało powiewanie przyrodziewkiem i wyginanie kończyn. Na widowni rozległy się ogłuszające oklaski. Orkiestra zagrała z nową mocą. Kitty ziewnęła jak kot, osunęła się niżej na fotelu i potarła dłonią oko. Wymacała papierową torebkę, wytrząsnęła z niej kilka ostatnich orzeszków, włożyła całą garść do ust i entuzjastycznie zaczęła chrupać.



Niecierpliwe wyczekiwanie, które zawsze odczuwała, gdy miała do wykonania zadanie, kłuło ją w bok jak nóż. To było normalne, spodziewała się tego. Ale przede wszystkim czuła nudę od siedzenia na tym przydługim przedstawieniu. Nie ma wątpliwości, że – jak mówiła Anna – dostarczy jej to doskonałego alibi, ale Kitty wolałaby rozładować napięcie na ulicach, uciekając i unikając patroli, niż przyglądać się tej koszarnej papce.

Na scenie Amaryllis, narzeczona misjonarza z Chiswick zamieniona w niewolnicę, śpiewała teraz pieśń. Opowiadała o nieustannym uczuciu do dzina-kochanka, którego trzymała w ramionach. Czyniła to z pasją, tak wyciągając wysokie nuty, że Bertilakowi włosy falowały na głowie, a kolczyki wirowały. Kitty zmarszczyła brwi i popatrzyła na szeregi spowitych ciemnością postaci siedzących przed nią, aż dotarła do sylwetek Freda i Stanleya. Obaj mieli wzrok przykuty do sceny. Kitty przygryzła wargę. Prawdopodobnie zachwycali się Amaryllis.

Wzrok dziewczyny powędrował w dół, w ciemność. U jej stóp stała skórzana torba. Ten widok sprawił, że żołądek podszedł jej do gardła. Zamknęła oczy i instynktownie poklepała się po płaszczu, żeby poczuć uspokajającą twardość noża. Odpręż się... wszystko będzie dobrze.

Ileż można czekać na tą przerwę? Uniosła głowę i przyjrzała się ciemnym krańcom widowni, gdzie po obu stronach sceny znajdowały się łoże magów ciężkie od złotych geometrycznych ornamentów i grubych, czerwonych zasłon, które miały chronić ich lokatorów przed oczami pospólstwa. Ale każdy mag w mieście widział już tę sztukę przed laty, na długo przed tym, zanim zaczęto wystawiać ją dla zgłodniałych sensacji zwykłych ludzi. Dziś zasłony były odciążone, a łoże puste.

Kitty spojrzała na nadgarstek, ale było zbyt ciemno, żeby odczytać godzinę. Bez wątpienia, zanim nastąpi przerwa, trzeba będzie odcierpieć wiele rozpaczliwych rozstań, okrutnych zniewoleń i radosnych spotkań. A widownia będzie się rozkoszować każdą minutą przedstawienia. Jak owce tłoczyli się tutaj, wieczór za wieczorem. Z pewnością cały Londyn widział już *Łabędzie Arabii*, niektórzy nawet więcej niż jeden raz, ale nadal autobusy zwoziły ludzi z prowincji, żeby mogli powzdychać na widok tego całego wyświechtanego blichtru.

–Kochana! Zamilcz! – Kitty kiwnęła głową z aprobatą. Miły ten Ber-tilak. Przerwał jej w połowie arii.

–Co się stało? Cóż takiego wyczuwasz, czego ja nie widzę?

–Sza! Nic nie mów! Jesteśmy w niebezpieczeństwie... – Bertilak odwrócił swój szlachetny profil. Spojrzał w górę, w dół. Zdawało się, że wacha powietrze. Panowała cisza. Ognisko płonęło przed nimi, mag drzemał. Księżyc skrył się za chmurą, a zimne gwiazdy mrugały na niebie. Na widowni nie słychać było żadnego szmeru. Ku swemu wielkiemu niesmakowi, Kitty stwierdziła, że także wstrzymuje oddech.

Nagle, z brzękiem i chrzęstem żelaza, dżin wyciągnął bułat i przycisnął drżącą dziewczynę do piersi.

–Amaryllis! Oni nadchodzą! Widzę ich dzięki mej mocy.

–Kogo, Bertilaku? Co widzisz?

–Siedem dzikich impów, kochana, wysłanych przez królową afrytów, żeby mnie pochwycili. Nasze uczucie nie podoba się jej, zwiążą nas i zaciągną nagich przed jej tron, byśmy oczekiwali straszliwej kary. Musisz uciekać! Nie, nie ma czasu na czułe pożegnania, choć błagają mnie o to twoje przejrzyste oczy! Idź!

Czyniąc wiele tragicznych gestów, dziewczyna wyplątała się z jego objęć i podpełzła ku lewej stronie sceny. Dżin odrzucił pelerynę i kamizelkę. Z nagą pierśią stanął do walki.

Z kanału dla orkiestry rozległ się dramatyczny dysonans. Siedem przerażających impów wyskoczyło spoza skał. Grały je karły ubrane w skórzane przepaski, o ciałach pomalowanych luminescencyjną zieloną farbą. Robiąc miny i głośno pohukując, wyciągnęły sztylety i rzuciły się na dżina. Wywiązała się bitwa przy szalonym akompaniamencie miauczących skrzypiec.

Złe impy... nikczemny czarownik... Cóż za subtelne dzieło te *Łabędzie Arabii*. Kitty wiedziała, że to idealna propaganda łagodnie wykorzystująca masowe lęki, zamiast wprost im przeczyć. Pokażcie nam potwora, którego się boimy, pomyślała, ale z wybitymi zębami. Dodajcie muzykę, sceny walki, wielką namiętność. Niech nas straszą demony, żebyśmy potem mogli patrzeć, jak umierają. Wszystko pozostaje pod kontrolą. Przedstawienie na pewno będzie miało szczęśliwe zakończenie. Nikczemny czarownik zostanie unicestwiony przez dobrych magów. Złe afryty także zostaną rzucone o ziemię. A co do Bertilaka, dżina-twardziela, to bez wątplenia okaże się on człowiekiem, orientalnym książątkiem zmienionym w demona jakimś okrutnym zaklęciem. On i Amaryllis będą żyli długo i

szczęśliwie, pod okiem mądrej rady dobrotliwych magów...

Kitty nagle zrobiło się niedobrze. Tym razem nie był to wynik napięcia spowodowanego czekającym ją zadaniem. Czuła to gdzieś głębiej, w tym miejscu, w którym wciąż bez ustanku wrzała w niej wściekłość, zrodzona z wiedzy, że cokolwiek by nie zrobili, będzie to bezużyteczne i rozpaczliwe działanie. Niczego nie zmieni. Mówiły jej to reakcje tłumu na widowni. Patrz! Amaryllis została schwytana, imp trzymają pod pachą, wierzgającą i płaczącą. Słuchaj, jak tłum wzdycha. Ale spójrz, oto Bertilak, bohaterski dżin rzucił przez ramię jednego impa w ognisko! Teraz ściga tego, który złapał Amaryllis, i – raz, dwa – krótko się z nim rozprawia, tnąc bułatem. Hura! Słuchaj, jak tłum wiwatuje.

Nie ma znaczenia, co zrobią. Nie ma znaczenia, co ukradną, jakiego brawurowego ataku dokonają. To wszystko bez różnicy. Jutro przed Metropolitan tak samo będą się tworzyć kolejki, a kule obserwacyjne nadal będą ich z góry szpiegować. A magowie nadal będą gdzie indziej, ciesząc się przywilejami swojej władzy.

Tak było zawsze. Nic z tego, co zrobiła nie przyniosło najmniejszej zmiany.

#### 4

łas na scenie ustał. Zamiast niego usłyszała śpiew ptaków, odgłosy dalekiego ruchu ulicznego. Oczami duszy zamiast ciemnej widowni widziała światło, które zapamiętała. Trzy lata temu. Park. Piłka. Śmiech. Nieszczęście, jak piorun z nieba. Jakob biegnie do niej i uśmiecha się. W dłoni czuje ciężar suchej drewnianej pałki do palanta. Uderzenie! Triumf! Taniec radości. Odległy trzask. Jakże biegli, jakże waliły im serca. A potem – to stworzenie na moście...

#### 44

Przetarła oczy palcami. Czy ten straszny dzień był rzeczywiście początkiem? Przez pierwsze trzynaście lat życia Kitty pozostawała w nieświadomości co do prawdziwej natury władzy magów. Albo, być może, nie chciała jej rozumieć, gdyż teraz, patrząc wstecz, zdała sobie sprawę, że wątpliwości i intuicja przecierały sobie drogę do jej umysłu.

Magowie od dawna byli u szczytu władzy i nikt już nie pamiętał czasów, kiedy rzecz się miała inaczej. Trzymali się z dala od zwykłych ludzi, pozostając w centrum miasta i na przedmieściach, gdzie ocienione liśćmi bulwary przebiegały między dyskretnie usytuowanymi willami. Wszystko, co leżało pomiędzy centrum i przedmieściami, zostawiono pospólstwu - ulice pełne małych sklepików, nieużytki, fabryki i cegielnie. Czarodzieje przejeżdżali tamtędy od czasu do czasu w tych swoich wielkich czarnych samochodach, ale poza tym o ich obecności świadczyły jedynie kule obserwacyjne szybujące tu i tam, nad ulicami.

**–Te sfery sprawiają, że żyjemy bezpiecznie – powiedział jej pewnego**

**wieczoru ojciec, po tym, jak wielka, czerwona kula w ciszy towarzyszyła**

**jej w drodze ze szkoły do domu. – Nie bój się ich. Jeśli będziesz grzeczną**

**dziewczynką, nie zrobią ci krzywdy. Tylko źli ludzie, złodzieje i szpiedzy**

**czują przed nimi strach.**

**Ale Kitty przestraszyła się. Po tym wydarzeniu żywe, rozżarzone kule często ścigały ją w snach.**

**Jej rodzice nie mieli takich lęków, żadne z nich nie wykazywało się nadmiarem wyobraźni. Byli za to święcie przekonani o wielkości Londynu i o tym, że mają swoje miejsce w tym mieście. Wyższość magów uważali za rzecz oczywistą i w pełni akceptowali ich władzę. Uważali, że zapewnia im bezpieczeństwo.**

**–Oddałbym życie za premiera – zwykł mawiać jej ojciec. – To wielki człowiek.**

**–Pokazał Czechom, gdzie ich miejsce – powiedziała matka. – Gdyby nie on, husarzy maszerowaliby Clapham High Road, a ty, kochanie, nie chciałabyś, żeby tak się stało, prawda?**

**Kitty pomyślała, że nie chciałyby.**

**Mieszkali we troje w domu z tarasem w południowym Londynie, na przedmieściu Balham. Dom był mały, z salonikiem i kuchnią na dole oraz maleńką łazienką z tyłu. Na piętrze mieścił się tylko mały korytarzyk**

i dwie sypialnie – rodziców Kitty i jej własna. W korytarzyku stało długie, wąskie lustro, przed którym każdego poranka cała rodzina stawiała po kolei, żeby uczesać się i poprawić ubranie. Ojciec potrafił bez końca manipulować przy krawacie. Kitty nie mogła zrozumieć, dlaczego zawiązuje go i rozwiązuje, powiewa kawałkiem materiału w lewo, w prawo, do góry i w dół, jako że nie widziała różnicy między kolejnymi wersjami

–Wygląd jest bardzo ważny, Kitty – mawiał tata, przyglądając się ze zmarszczonymi brwiami kolejnemu węłowi. – W moim zawodzie ma się tylko jedną szansę, żeby wyrzeć dobre wrażenie.

Ojciec Kitty był wysokim żylastym mężczyzną, upartym i prawdomównym. Pracował jako kierownik piętra w wielkim domu handlowym w centrum Londynu i bardzo był dumny ze swojego stanowiska. Nadzorował dział wyrobów skórzanych – szeroką halę z niskim sufitem, słabo oświetloną pomarańczowymi żarówkami, wypełnioną drogimi torbami i teczkami wykonanymi z wyprawionych skór zwierząt. Towary skórzane należały do luksusowych, a to znaczyło, że wśród klientów przeważali magowie.

Kitty odwiedziła sklep raz czy dwa i przydymiony, przemożny zapach wyprawionej skóry za każdym razem sprawiał, że kręciło się jej w głowie.

–Trzymaj się z dala od magów – mówił ojciec. – To bardzo ważni ludzie i nie lubią, jak ktoś płacze im się pod nogami, nawet takie śliczne dziewczynki jak ty.

–Skąd się wie, że ktoś jest magiem? – zapytała Kitty. Miała wtedy siedem lat i nie widziała różnic dzielących ludzi.

–Są zawsze dobrze ubrani, twarze mają surowe i mądre, a w rękach trzymają piękne laski. Używają kosztownych pachnideł, ale czasem można wyczuć zapach ich magii: kadzidła, dziwne chemikalia... Kiedy to poczujesz, to znaczy, że jesteś zbyt blisko! Trzymaj się od nich z dala.

Kitty obiecała, że tak uczyni. Zmykała do odległego kąta, kiedy do sali z wyrobami skórzanymi wchodził klient, i przyglądała im się szeroko otwartymi, ciekawskimi oczami. Porady ojca nie na wiele się zdały. Każdy, kto odwiedzał sklep, wydawał się dobrze ubrany, wielu nosiło laski, a zapach skór zabijał inne wonie. Ale wkrótce zaczęła rozpoznawać magów. Zdradzała ich specyficzna twardość spojrzenia i zachowanie pełne zimnej władczości; a przede wszystkim nagle usztywnianie ruchów.

Zwykli ludzie czuli się przy nich skrępowani, tak jak jej ojciec. Kiedy z nimi rozmawiał, stawał się dziwny, miał ze zdenerwowania garnitur, krawat mu się przekrzywił. Te oznaki były bardzo subtelne, ale Kitty wystarczały. Rozpraszały ją, a nawet stresowały, chociaż właściwie nie wiedziała dlaczego.

Matka Kitty pracowała jako recepcjonistka w Biurze Gęsich Piór Palmera, starej firmie ukrytej między warsztatami introligatorów i wytwórców pergaminu w południowym Londynie. Biuro dostarczało magom specjalnych gęsich piór przydatnych podczas czarów. Pióra brudziły, pisało się nimi z trudem i powoli, więc niewielu magów miało ochotę ich używać. Personel Palmera korzystał z długopisów.

Praca pozwalała matce Kitty przyglądać się magom, gdyż od czasu do czasu któryś z nich odwiedzał biuro, żeby przejrzeć nową dostawę piór. Ta bliskość podniecała ją.

–Była taka urocza – mawiała – ubranie miała z najlepszej czerwono-złotej tafty. Jestem pewna, że tę materię sprowadzono z samego Bizancjum! I była taka władcza! Kiedy strzeliła palcami, wszyscy skoczyli na jej usługi jak świerszcze.

–Była niegrzeczna – powiedziała Kitty.

–Jesteś jeszcze bardzo młoda, kochanie – powiedziała matka. – Nie, to była wielka kobieta.

Pewnego dnia Kitty – miała wtedy dziesięć lat – przyszła ze szkoły i znalazła w kuchni zapłakaną matkę.

–Mamo! Co się stało?

–Nic takiego. Ale co ja mówię? Trochę źle się czuję. Kitty, boję się, że... że mnie zwolnią. Och, Boże, co my powiemy ojcu?

Kitty posadziła matkę na krześle, zaparzyła jej herbaty i przyniosła biszkopta. Zza pochlipywania, pociągania nosem i wzdychania wyłoniła się prawda. Stary pan Palmer poszedł na emeryturę. Jego firmę kupiło trzech magów, którym nie podobało się, że personel stanowi pospólstwo. Zatrudnili nowych sprzedawców, a połowę starego zespołu, w tym matkę Kitty, wyrzucili na bruk.

–Ależ, tak im nie wolno – zaprotestowała Kitty.

–Oczywiście, że wolno. To ich prawo. Chronią kraj, uczynili nas największym narodem na świecie. Mają wiele przywilejów. – Matka otarła

oczy i wypila kolejny łyk herbaty. – Ale mimo wszystko, to jest trochę przykre, po tylu latach...

Przykre czy nie, to był ostatni dzień pracy matki u Palmera. Kilka dni później jej przyjaciółka, pani Hyrnek, którą także zwolniono, znalazła jej posadę sprzątaczką w drukarni i życie wróciło do normy.

Ale Kitty nie zapomniała.

Rodzice Kitty byli zagorzałymi czytelnikami „Timesa”, który codziennie przynosił informacje o ostatnich zwycięstwach angielskich wojsk. Od lat wydawało się, że na frontach powodzi się dobrze; Imperium rozrastało się z kwartału na kwartał i bogactwa świata napływały do stolicy. Ale sukces miał swoją cenę i gazeta nieustannie radziła czytelnikom, żeby wypatrywali szpiegów i sabotażystów z wrogich krajów, którzy mogli mieszkać w sąsiedztwie i knuć podstępne spiski skierowane przeciwko narodowi.

–Miej oczy otwarte, Kitty – doradzała jej matka. – Nikt nie zwraca

uwagi na takie małe dziewczynki. Kto wie, może coś zobaczysz.

–Szczególnie tutaj – dodał z kwaśną miną ojciec – w Balham.

Dzielnica Kitty słynęła z zamieszkałej tu społeczności czeskiej. Przy

głównej ulicy znaleźć można było kilka kafeterii z barszczem. W oknach każdej wisiały grube zasłony, a na parapetach stały kwiaty w kolorowych doniczkach. Starsi, smagli dżentelmeni grali w szachy i kręgle na ulicy przed barem, a wiele miejscowych firm należało do wnuków emigrantów, którzy przybyli do Anglii w czasach Gladstonea.

Chociaż dzielnica rozkwitała (było tu kilka ważnych drukarni, w tym znana – Hyrnek i Synowie), jej mieszkańcy nieustannie przyciągali uwagę Nocnej Policji. Kiedy Kitty podrosła, przyzwyczaiła się do najść, kiedy to patrole umundurowanych na szaro funkcjonariuszy wyłamywały drzwi i wyrzucały czyjeś mienie na ulicę. Czasem zabierano półciężarówkami młodych mężczyzn. Przy innych okazjach rodziny uchodziły całe i starały się uporządkować ruinę, w jaką obrócono ich dom. Dla Kitty te sceny były bardzo przykre, mimo uwag jakie wygłaszał ojciec.

–Policja musi zaznaczać swoją obecność – utrzymywał. – Trzymać w ryzach wicherzycieli. Wierz mi, Kitty, oni by tego nie robili, gdyby nie mieli dobrego rozeznania w sprawach.

–Ale tato, to byli przyjaciele pana Hyrnka.

**Chrząknięcie.**

**–Więc powinien lepiej dobrać sobie przyjaciół, prawda?**

**Ojciec Kitty był zawsze uprzejmy wobec pana Hyrnka, w końcu żona tego człowieka dała matce Kitty nową pracę. Hyrnkowie byli liczącą się w lokalnej społeczności rodziną, a ich klientami było wielu magów. Drukarnia zajmowała dużą parcelę obok domu Kitty i dawała pracę wielu ludziom z okolicy. Mimo to, Hyrnkowie nie wyglądali na specjalnie zamożnych; mieszkali w dużym, rozłożystym, podnieszczonym domu oddzielonym od ulicy wielkim, zarośniętym wysoką trawą i wawrzynami ogrodem. Z czasem Kitty dobrze go poznała, dzięki Jakobowi, najmłodszemu z synów Hyrnka.**

**Kitty była wysoka, jak na swój wiek, i nadal rosła. Szczupłe ciało ukrywała pod obwisłym mundurkiem szkolnym i spodniami o szerokich nogawkach. Była silniejsza, niż na to wyglądała. Niejeden chłopak pożałował żarciku na temat jej twarzy, nie marnowała słów tam, gdzie wystarczyło kogoś walnąć. Włosy dziewczyny miały ciemnobrązowy odcień przechodzący w czerń. Były proste i tylko na końcach niesforne podkręcone. Nosiła je krócej niż inne uczennice – sięgały jej do połowy**

**Jej ciemne oczy ocienione były szerokimi, czarnymi brwiami. Twarz jasno wyrażała myśli, a że te szybko przemykały jej przez głowę, brwi i usta poruszały się nieustannie.**

**–Twoja twarz ciągle się zmienia – powiedział jej Jakob. – Hm... to**

**komplement! – dodał pospiesznie, gdy Kitty spojrzała na niego wilkiem.**

**Przez kilka lat byli w tej samej klasie i uczyli się, czego mogli, z worka z przedmiotami nauczania dostępnymi dla dzieci pospólstwa. Zachęcano ich do nauki konkretnego rzemiosła, gdyż ich przyszłością były fabryki i warsztaty. Uczyli się więc garncarstwa, rzeźbienia w drewnie, metaloznawstwa i podstaw matematyki. Poznawali również rysunek techniczny, podstawy szycia i gotowania, a takich jak Kitty, którzy uwielbiali słowa, nauczono też czytania i pisania, z założeniem, że wykorzystają kiedyś te umiejętności. Może nawet pracując w jakimś biurze.**

**Innym ważnym przedmiotem była historia. Codziennie informowano ich o wspaniałym rozwoju Imperium Brytyjskiego. Kitty lubiła te lekcje, opowiadano na nich o magii i dalekich krajach, ale wyczuwała, że w tym, czego się ich uczy, są pewne ograniczenia. Często podnosiła rękę.**



–Tak, Kitty, cóż takiego tym razem? – W tonie nauczycieli nierzadko pobrzmiwało pewne zniecierpliwienie, które starali się ukrywać.

–Proszę pana, niech pan nam powie więcej o rządzie, który obalił pan Gladstone. Pan mówił, że wtedy już był parlament. My też mamy parlament. Więc dlaczego ten stary był taki nikczemny?

–No cóż, Kitty, gdybyś słuchała jak trzeba, to usłyszałybyś, jak mówiłem, że stary parlament nie tyle był nikczemny, co słaby. Działali w nim zwyczajni ludzie, jak ty i ja, którzy nie mieli żadnych magicznych mocy. Wyobraź to sobie! To znaczyło, rzecz jasna, że inne, silniejsze państwa, ciągle molestowały nasz rząd i nic nie można było zrobić, żeby to powstrzymać. No dobrze, który kraj był wtedy najgroźniejszy... zaraz, zaraz... Jakobie?

–Nie wiem, proszę pana.

–Mów głośniej, chłopcze, nie mamrocz! Cóż, jestem zaskoczony, że właśnie ty nie umiesz odpowiedzieć, Jakobie. To Wielkie Cesarstwo Czeskie, oczywiście. Twój przodek! Cesarz czeski rządził większą częścią Europy ze swojego zamku w Pradze; był tak gruby, że siedział na tronie ze stali i złota i po korytarzach ciągnął go biały wół. Kiedy chciał opuścić zamek, to spuszczano go przy pomocy wzmocnionego wyciągu. Utrzymywał ptaszarnię złożoną z papużek i co wieczór strzelał do ptaszków innego koloru, żeby zjeść je na kolację. Tak, dzieci, może was ogarnąć niesmak. Taki właśnie człowiek władał wtedy Europą, a nasz stary parlament był wobec niego bezsilny. Cesarz rządził straszliwą zgrają magów, niecznych i skorumpowanych, a najważniejszy z nich, Hans Meyrink, ponoć był wampirem. Ich żołnierze niszczyli wszystko, co stało im na drodze... Tak, Kitty, cóż tym razem?

–Hm, proszę pana, jeśli stary parlament był taki niekompetentny, to dlaczego tłusty cesarz nie najechał Wielkiej Brytanii, bo przecież nie najechał, prawda, proszę pana? I dlaczego...?

–Mogę odpowiedzieć tylko na jedno pytanie na raz, Kitty; nie jestem magiem! Wielka Brytania miała szczęście i tyle. Praga zawsze powoli podejmowała działania. Cesarz większość czasu spędzał na picciu piwa i straszliwym obżarstwie. Ale zwróciłby w końcu swój złowrogi wzrok na Londyn, wierzcie mi. Na szczęście dla nas, w owych dniach w Londynie było kilku magów. Przychodzili do nich czasem nieszczęśni, bezsilni ministrowie, żeby się poradzić. A jednym z tych magów był pan Gladstone. Widział, w jak niebezpiecznym jesteśmy położeniu, i zdecydował się

zadać cios, zanim uczyni to cesarstwo. Pamiętajcie, co zrobił, dzieci? Tak, Sylwestrze?

–Przekonał ministrów, żeby przekazali mu kontrolę, proszę pana. Odwiedził ich pewnego wieczoru i mówił tak mądrze, że z miejsca wybrali go premierem.

–Tak jest, grzeczny chłopiec. Sylwestrze, dostajesz plus. Tak, to była Noc Długiej Narady. Po przeciągającej się debacie parlamentarnej Gladstone zwyciężył dzięki swojej elokwencji i ministrowie jak jeden mąż podali się do dymisji. Rok później zorganizował atak na Pragę i pokonał cesarza. Tak, Abigail?

–Czy uwolnił papużki, proszę pana?

–Jestem pewien, że tak. Gladstone był bardzo łaskawym człowiekiem. Poważnym i umiarkowanym, jeśli chodzi o gusta. Ciągle nosił tę samą wykrochmaloną koszulę, poza niedzielami, kiedy jego matka ją prała. Potem Londyn stał się silny, Praga zaś – słaba. A jak Jakob mógłby pewnie wiedzieć, gdyby tak niegrzecznie nie rozwał się na krześle, wielu obywateli Czech, tak jak jego rodzina, wyemigrowało wtedy do Wielkiej Brytanii. Przybyło tu także kilkunastu najlepszych praskich magów i pomogło nam stworzyć nowoczesne państwo. A teraz może...

–Ale pan chyba powiedział, że wszyscy czescy magowie byli niecni i skorumpowani, proszę pana.

–Hm, wydaje mi się, że ci niecni zostali zabici, prawda, Kitty? Inni zrozumieli, że ich oszukano, że bładzili. No, wreszcie dzwonek! Długa przerwa! Nie, nie Kitty, nie mam zamiaru odpowiadać już na żadne pytania. Niech wszyscy wstaną, podsuną krzesła pod stoliki i wyjdą po cichutku, proszę!

Po takich dyskusjach w szkole Jakob często bywał posepny, ale jego zły nastrój szybko mijał. Był radosnym i pełnym energii chłopakiem, smukłym i ciemnowłosym, o otwartej, bezczelnej twarzy. Lubił się bawić i od wczesnego dzieciństwa wiele godzin spędzał z Kitty, ukrywając się w wysokiej trawie ogrodu rodziców. Kopali piłkę, strzelali z łuków, grali w krykieta i, najogólniej rzecz ujmując, trzymali się z dala od jego wielkiej i hałaśliwej rodzinie.

Na pozór głową domu był pan Hyrnek, ale tak naprawdę zarówno on, jak i wszyscy pozostali domownicy słuchali jego żony. Zabieganego

klębka zmaterializowanej energii, o szerokich ramionach i okazałym łonie, który żaglował po całym domu jak galeon pędzony nieobliczalnymi wiatrami, ciągle wybuchając hałaśliwym śmiechem albo wykrzykując czeskie przekleństwa pod adresem czterech niesfornych synów. Starsi bracia Jakoba, Karel, Robert i Alfred odziedziczyli po matce imponującą budowę ciała, siłę i głęboki, grzmiący głos. Ilekroć podchodzili bliżej, Kitty czuła trwogę. Pan Hyrnek był taki jak Jakob, mały i szczupły, a jego zwiędła skóra przywodziła Kitty na myśl pomarszczone jabłko. Palił zagiętą fajkę z jarzębinowego drzewa, po której zostawały wieńce słodkiego dymu w całym domu i ogrodzie. Jakob był bardzo dumny ze swojego ojca.

– Jest genialny – powiedział Kitty, kiedy odpoczywali po odbijaniu piłki

o boczną ścianę domu. – Nikt inny nie potrafiłby zrobić ze skórą czy

pergaminem tego, co on. Szkoda, że nie widziałaś miniaturowych

broszurek z zaklęciami, nad którymi ostatnio pracował. – Są ozdobione

wypukłymi filigranami w starym praskim stylu, ale zmniejszone tak, że

już bardziej się nie da! Wytłoczył maleńkie kontury zwierząt i kwiatów z

najdrobniejszymi szczegółami, a potem inkrustował je kawałkami kości

słoniowej i drogich kamieni. Tylko tata potrafi coś takiego.

– Muszą kosztować fortunę – powiedziała Kitty.

Jakob wypluł łądyżkę trawy, którą przeżuwał.

– Żartujesz:, oczywiście – powiedział beznamiętnie. – Magowie nie płacą mu tyle, ile powinni. Nigdy. Ledwie utrzymuje fabryczkę w ruchu. Popatrz na to i... – Skinął głową w kierunku domu, z przekrzywionymi dachówkami, okiennicami wiszącymi krzywo i pokrytymi brudem, farbą łuszczącą się: z drzwi werandy. – Myślisz, że powinniśmy mieszkać w czymś takim? Daj spokój!

– Jest znacznie większy od mojego domu – zauważyła Kitty.

– Hyrneks to druga co do wielkości drukarnia w Londynie – rzekł Jakob. – Tylko Jaroslav's jest większa. A oni po prostu produkują masowo towar, zwyczajne skórzane oprawy, roczne almanachy i indeksy. Nic szczególnego... My zajmujemy się rękodzielnym, prawdziwym rzemiosłem. To dlatego tylu magów przychodzi do nas, kiedy chcą, żeby tak oprawić ich najlepsze książki, aby zyskały odpowiedni wygląd. Czarodzieje uwielbiają rzeczy unikatowe i luksusowe. W ubiegłym tygodniu tata pracował nad okładką. Miała pentagram z maleńkich

**diamentów.**

–Dlaczego magowie nie płacą twojemu tacie, ile się należy? Myślisz, że zmartwiliby się, gdyby przestał wszystko wykonywać tak starannie?

–Mój tatuś jest dumny ze swojego rzemiosła. Tak naprawdę chodzi o to, że przyłożyli mu nóż do gardła. Musi być grzeczny, bo nas zamkną, a interes komuś oddadzą. Pamiętaj, że jesteśmy Czechami, podejrzanymi typami. Nie wolno nam ufać. chociaż Hyrnkowie żyją w Londynie od stu pięćdziesięciu lat.

–Co? – Kitty była oburzona. – To śmieszne! Oczywiście, że wam ufają, inaczej kazaliby wam wyjechać z Anglii.

–Tolerują nas, bo potrzebują naszych umiejętności. Ale przy tym zamieszczeniu na kontynencie nieustannie nas obserwują, na wypadek gdybyśmy wspierali szpiegów. Na przykład, w fabryce taty ciągle latają kule strażnicze; a Karel i Robert stale są śledzeni. W ciągu ostatnich dwóch lat były u nas cztery najścia policji. Ostatnim razem przewrócili dom do góry nogami. Babcia brała kąpiel, więc wystawili ją na ulicę w starej blaszanej wannie.

–Jakież to okropne. – Kitty rzuciła piłkę do krykieta wysoko w powietrze i złapała ją w otwartą dłoń.

–No cóż, to są magowie. Nienawidzimy ich, ale co możemy zrobić? Co się stało? Przygryzasz wargę, a to znaczy, że coś cię trapi.

Kitty pospiesznie rozpogodziła twarz.

–Tak sobie tylko myślałam, nienawidzicie magów, ale cała twoja rodzina ich wspiera. Twój tata i twoi bracia pracują w tym warsztacie.

Wszystko, co robicie, trafia do nich. To chyba nie jest w porządku. Dla czego twoja rodzina nie zajmie się czymś innym?

Jakob uśmiechnął się smutno.

–Mój tata ma takie powiedzonko: Najbezpieczniej płynie się tuż za rekinem. Wytwarzamy dla magów piękne przedmioty i dlatego są zadowoleni. A to znaczy, że nie czepiają się nas, prawie. Co by się stało, gdybyśmy tego nie robili? W mgnieniu oka rzuciliby się na nas. To jasne.

**Znowu marszczysz brwi.**

**Kitty nie była pewna, czy się z tym zgadza.**

**–Ale skoro nie lubicie magów, nie powinniście z nimi współpracować -nalegała. – To jest... niewłaściwe.**

**–Co? – Jakob z irytacją kopnął nieistniejący kamień. – Nie opowiadaj mi takich rzeczy! Twój rodzice też z nimi współpracują. Każdy to robi. Nie ma wyboru, prawda? Jeśli nie, to policja, albo coś gorszego, odwiedza cię**

w nocy i wyparowujesz bez śladu. Nie ma innej możliwości, słyszysz im albo już po tobie, prawda? Prawda?!

–Załóżmy, że tak.

–Właśnie. Nie ma. Chyba, że chce się umrzeć.

## 5

tragedia wydarzyła się, kiedy Kitty miała trzynaście lat.

Była połowa lata, trwały wakacje. Słońce oświetlało tarasy, ptaszki świergotały, światło zalewało dom. Ojciec pomrukiwał, stojąc przed lustrem i poprawiając krawat. Matka zostawiła jej w lodówce, na śniadanie, lukrowaną drożdżówkę. Jakob wcześniej wpadł do Kitty. Otworzyła drzwi i zobaczyła, jak wymachuje kijem do krykieta.

–Krykiet – powiedział. – Doskonała pogoda na grę. Możemy pójść do parku. Wszyscy są w pracy, więc nie będzie tam nikogo, kto mógłby nas wygonić.

–W porządku – powiedziała Kitty. – Ale ja będę odbijać. Poczekaj, włożę buty.

Park rozciągał się na zachód od Balham, z dala od fabryk i sklepów. Zaczynał się od nieużytków pokrytych ceglami, ostami i kawałkami zardzewiałego drutu kolczastego. Jakob i Kitty, tak jak i wiele innych dzieci, bawili się tu regularnie. Ale jeśli poszło się dalej na zachód i przeprawiło się przez stary żelazny most nad torami kolejowymi, to park stawał się coraz ładniejszy – z rozłożystymi bukami, cienistymi alejkami i jeziorkami, po których pływały kaczki, a wszystko to rozsypane było po gładkiej, zielonej murawie. Dalej ciągnęła się szeroka droga, gdzie rząd wielkich domów ukrytych za wysokimi murami znaczył obecność magów.

Pospólstwa nie zachęcano, żeby wchodziło do ładniejszej części parku. Na placach zabaw opowiadano o dzieciach, które ośmieliły się tam pójść i już nie wróciły. Kitty nie bardzo wierzyła w te opowieści. Razem z Jakobem parę razy przeszli metalowy most i zawędrowali aż do jezior.

Raz jakiś dobrze ubrany dżentelmen z czarną brodą nakrzyczał na nich przez wodę, a Jakob odpowiedział na to wymownym gestem. Dżentelmen nie odpowiedział, ale jego towarzysz, którego wcześniej nie zauważyli -bardzo niski i niewyraźny – ruszył w pościg dookoła jeziora ze zdumiewającą szybkością. Kitty i Jakobowi ledwie udało się uciec.

Zazwyczaj, gdy patrzyli na drugą stronę linii kolejowej, zabroniona część parku była pusta. Byłoby głupio pozwolić, żeby się marnowała, szczególnie w taki cudowny dzień, kiedy wszyscy magowie są w pracy. Kitty i Jakob popędzili tam ile sił w nogach.

Dudnili piętami o asfalt na żelaznym moście.

–Nikogo nie ma – rzekł Jakob. – Mówiłem ci.

–Czy tam ktoś jest? – Kitty przysłoniła oczy i patrzyła w stronę kręgu buków częściowo niewidocznych z powodu oślepiającego słońca. – Przy tym drzewie? Nie widzę dobrze.

–Gdzie? Nie... To tylko cień. Jeśli tchórzysz, podejźmy pod murem. Zasłoni nas przed domami po drugiej stronie drogi.

Przebiegł ścieżką na gęstą, zieloną trawę, jednocześnie umiejętnie podbijając piłkę kijem krykietowym. Kitty poszła w jego ślady, tyle że ostrożniej. Wysoki ceglany mur biegł wzdłuż granicy parku. Za nim rozciągała się szeroka aleja, wzdłuż której stały pałacyki magów. Co prawda, sam środek trawiastej łączki był niebezpiecznie odsłonięty i wychodziły na niego czarne okna wyższych kondygnacji domów, ale prawdą jest również, że kiedy szli blisko muru, nie było ich stamtąd widać. Ale to oznaczało, że muszą przejść przez całą szerokość parku, z dala od żelaznego mostu. Kitty uważała, że to niemądre. Niemniej dzień był piękny, a wokół żywej duszy, więc mimo wszystko pobiegła za Jakobem, czując, jak ręce i nogi omywa jej wietrzyk, radując się ogromem błękitnego nieba.

Jakob zatrzymał się kilka metrów od muru, obok posrebrzanej fontanny z poidelkiem. Podrzucił piłkę w niebo i trzepnął ją tak wysoko, że musiała dolecieć do Najwyższego.

–Tu to zrobimy – powiedział, czekając, aż piłka wróci. – Tu jest palik. Ja odbijam.

–Obiecałeś!

–A czyj jest kij? Czyja piłka?

Mimo protestów Kitty prawo własności przeważało i Jakob zajął pozycję przed fontanną. Kitty odeszła kawalek, ocierając piłkę o szorty tak,



jak to robią gracze w kręgle. Odwróciła się i spojrzała na Jakoba, mrużąc oczy, jakby go oceniała. Jakob trzepnął kijem o trawę, uśmiechnął się idiotycznie i pokręcił obraźliwie tyłkiem.

Kitty zaczęła podbieg. Z początku powoli, potem coraz szybciej, z piłką w dłoni. Jakob uderzał kijem o ziemię.

Wzięła zamach i wykonała piękny szybki rzut. Piłka odbiła się od wyasfaltowanej ścieżki i wystrzeliła w stronę fontanny.

Jakob machnął kijem. Trafił w sam środek. Piłka zniknęła nad głową Kitty, daleko, daleko w powietrzu, aż stała się punkcikiem na tle nieba... i wreszcie upadła na ziemię pośrodku parku.

Jakob odtańczył taniec triumfu. Kitty przyglądała mu się ponuro.

Z ciężkim westchnieniem, prosto z serca, zaczęła długą wyprawę po piłkę.

Dziesięć minut później Kitty oddała pięć rzutów i zrobiła pięć wycieczek na drugą stronę parku. Słońce prażyło. Było jej gorąco, sływał z niej pot, złościła się. Wróciła wreszcie, powłócząc nogami, rzuciła piłkę na trawę i sama klapnęła obok.

–Trochę wykończona? – zapytał uprzejmie. – Ostatni prawie ci się udał. Jedyłą odpowiedzią było sarkastyczne chrząknięcie. Wyciągnął kij.

–A więc, twoja kolej.

–Za minutkę. – Przez chwilę siedzieli w milczeniu, obserwując liście poruszające się na gałęziach, przysłuchując się samochodom przejeżdżającym od czasu do czasu za murem. Wielkie stado wron przeleciało z wrzaskiem nad parkiem i usiadło na odległym dębie.

–Dobrze, że mojej babci tutaj nie ma – zauważył Jakob. – To by się jej nie spodobało.

–Co?

–Te wrony.

–Dlaczego? – Kitty zawsze trochę się bała babci Jakoba, maleńkiego, pomarszczonego stworzenia o małych czarnych oczkach i twarzy pokrytej nieprawdopodobną liczbą zmarszczek. Nigdy nie opuszczała krzesła w ciepłym kącie kuchni. Czuć od niej było papryką i kiszoną kapustą. Jakob twierdził, że babcia ma sto dwa lata.

Zrzucił zuczka z łądygi trawy.

–Uznałaby, że to duchy, sługi magów. Według niej ta postać najbardziej

**do nich pasuje. Tego wszystkiego dowiedziała się od swojej mamy, która**

przybyła tu z Pragi. Nie pozwala zostawiać na noc otwartych okien, choćby było bardzo gorąco. – Udał starczy, trzęsący się głos: – „Zamknij to, chłopcze! Żeby demony nie powlatywały”. Wierzy w mnóstwo takich rzeczy. Kitty nachmurzyła się.

–A więc ty nie wierzysz w demony?

–Oczywiście, że wierzę! A jak myślisz, w jaki sposób magowie zdobyli władzę? To wszystko jest w księgach z zaklęciami, które przysyłają, żeby je oprawić albo wydrukować. O tym właśnie traktuje magia. Czarodzieje sprzedają dusze, a w zamian demony im pomagają, jeśli właściwie wymówią zaklęcia. Jeśli nie, demony ich zabijają. Kto chciałby być magiem? Ja nie, za wszystkie ich klejnoty.

Kitty leżała przez kilka minut w milczeniu, obserwując obłoki. Naszła ją pewna myśl.

–Nie wiem, czy dobrze zrozumiałam... – zaczęła. – Jeśli twój tata, a wcześniej jego ojciec, zawsze pracowali nad księgami z zaklęciami, to musieli przeczytać mnóstwo zaklęć, prawda? Więc to by znaczyło...

–A, o to ci chodzi... Tak, poznali wiele tajemnic. Wystarczająco dużo, żeby trzymać się od magii z daleka. Poza tym mnóstwo z tego, co stoi w księgach, spisane jest w jakichś dziwnych językach i potrzeba więcej niż tylko słowa. Myślę, że należy coś narysować. Są też napoje i różne straszne rzeczy, których musisz się nauczyć, jeśli masz panować nad demonami. Nikt przyzwoity nie chciałby tego robić; mój tata po prostu pochyła się nad robotą i oprawia książki. – Westchnął. – Rozumiesz, ludzie zawsze myśleli, że moja rodzina ma w tym swój udział. Kiedy magowie stracili władzę w Pradze, jeden z wujów mojego dziadka został schwytyany przez tłum i wyrzucony przez okno. Wylądował na dachu i umarł. Dziadek wkrótce potem przyjechał do Anglii i na nowo otworzył interes. Tu było bezpieczniej. Jak by nie patrzeć... – Usiadł, przeciągnął się. – Szczerze wątpię, żeby te wrony były demonami. Co by robiły na tym drzewie? Chodź – rzucił jej kij – twoja kolej. Idę o zakład, że nie odbijesz pierwszej piłki.

Ku irytacji Kitty, właśnie tak się stało. I za drugim razem, i za trzecim. Park rozbrzmiewał metalicznymi odgłosami uderzeń piłki krykietowej o fontannę. Okrzyki Jakoba słyhać było wszędzie. Wreszcie Kitty odrzuciła kij.

–To nie jest fair – krzyknęła. – Obciążylesz piłkę albo coś takiego.

–To się nazywa zdolności. Moja kolej.

–Jeszcze jeden raz.

–W porządku. – Jakob rzucił piłkę ostentacyjnie powoli, z przedramienia. Kitty zamachnęła się kijem z dziką desperacją i, ku jej ogromnemu zaskoczeniu, trafiła tak mocno, że przeszedł ją dreszcz aż do łokcia.

–Tak! Uderzenie! Łap, jeśli potrafisz! – Rozpoczęła taniec zwycięstwa, spodziewając się, że Jakob popędzi na przelaj po trawie... ale on stał nieruchomo w pozycji wyrażającej niepewność i patrzył w niebo, gdzieś nad jej głową.

Kitty odwróciła się i spojrzała. Piłka, którą udało się jej wyrzucić bardzo wysoko, zanurkowała za murem, na drogę.

Usłyszeli trzask rozbijanego szkła, pisk opon i głośnie, metaliczne chrupnięcie.

Cisza. Lekkie syczenie zza muru, jakby z rozbitej maszyny wydobywała się para.

Kitty spojrzała na Jakoba. Odwzajemnił jej się tym samym...

Rzucili się do ucieczki.

Biegli po trawie, w stronę odległego mostu; ramię w ramię, z pochylonymi głowami, machając zaciśniętymi pięściami i nie oglądając się za siebie. Kitty nadal trzymała kij do krykieta. Ciężył jej, dysząc, odrzuciła go. Jakob, widząc to, krzyknął i zatrzymał się.

–Ty idiotko! Na tym jest moje nazwisko... – Śmignął z powrotem.

Kitty zwolniła, odwróciła się, żeby zobaczyć, jak podnosi kij. Spostrzegła

przy tym, że niedaleko nich, w murze, otworzyła się furtka wiodąca na

ulicę. Ukazała się w niej kulejąca postać w czerni. Stała w przejściu

i patrzyła na park.

Jakob chwycił kij i zawrócił.

–Pospiesz się! – wydyszała, gdy się z nią zrównał. – Tam ktoś jest... -Poddała się, brakowało jej oddechu, żeby mówić.

–Prawie jesteśmy. – Jakob biegł pierwszy, nad brzegiem jeziora, gdzie stadka dzikiego

ptactwa gdakały i ze strachu rozsiewały pióra po wodzie. Pod cienistymi wiazami, pod górę, po niewielkim wzniesieniu, w stronę żelaznego mostu... – Będziemy bezpieczni... jak tylko przejdziemy... schowamy się w dołach... już jesteśmy niedaleko...

Kitty miała wielką ochotę obejrzeć się. Oczyma duszy widziała postać w czerni biegnącą za nimi po trawie. To wyobrażenie sprawiło, że ciarki

przeszły ją od stóp do głów. Ale biegli zbyt szybko, żeby postać mogła ich złapać. Będzie dobrze, uda im się uciec.

Jakob wbiegł na most, Kitty za nim. Ich stopy uderzały niczym katar, sprawiając, że metalowa konstrukcja głucho stukiała i brzęczała. Na górę i na drugą stronę...

Coś wystąpiło z nicości na końcu mostu.

Jakob i Kitty krzyknęli. Zatrzymali się, wpadając jedno na drugie, instynktownie próbując nie zderzyć się z tym czymś.

Miało wysokość człowieka i stało prosto, na dwóch nogach, z rozpostartymi rękami i zagiętymi palcami. Ale to nie był człowiek. To coś wyglądało raczej na straszliwie zdeformowaną małpę, przerośniętą i bardzo wyprostowaną. Ciało okrywało mu bladozielone futro, tylko na głowie i wokół pyska sierść była ciemnozielona, prawie czarna. Złe oczka miały żółty kolor. To coś przechyliło głowę i uśmiechnęło się do nich, wyginając szczupłe dłonie. Cienki, pręgowany ogon wił się za stworzeniem jak bat, aż świszczało powietrze.

Przez chwilę ani Jakob, ani Kitty nie byli w stanie przemówić ani poruszyć się. Potem rozległ się głos:

–Do tyłu, do tyłu, do tyłu! – To była Kitty. Jakob stał jak skamieniały, wrośnięty w ziemię. Chwyliła go za kołnierz koszuli i pociągnęła, jednocześnie się odwracając.

Mężczyzna w czarnym garniturze, z rękami w kieszeniach i krawatem wsuniętym elegancko za zamszową marynarkę, blokował drugi kraniec mostu. W ogóle nie dyszał.

Kitty pozostała z ręką wczepioną w kołnierz Jakoba. Nie była w stanie go puścić. Ona stała zwrócona twarzą w jedną stronę, on w drugą. Poczuli, jak wyciąga dłoń i łapie ją za T-shirt. Nie było słyhać nic poza ich przyspieszonymi oddechami i świstem ogona potwora. Nad głowami przeleciała wrona, głośno kracząc. Kitty słyszała, jak krew pulsuje jej w uszach.

Mężczyzna nie spieszył się z rozpoczęciem rozmowy. Był dość niski, ale krzepki i potężnie zbudowany. Pośrodku jego okrągłej twarzy wyrastał niepospolicie długi, ostry nos i nawet w tej chwili, beznadziejnego strachu, kojarzył się Kitty z czymś w rodzaju zegara słonecznego. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

Jakob drżał u jej boku. Wiedziała, że nie wydusi z siebie słowa.

–Proszę pana – zaczęła ochryplym głosem. – Czego... czego pan chce?



Nastąpiła długa przerwa. Wyglądało to tak, jakby mężczyzna brzydził się z nią rozmawiać. Kiedy wreszcie przemówił, w jego głosie słychać było przerażającą łagodność.

–Kilka lat temu – powiedział – nabyłem na aukcji rolls-roycea. Po trzeba było naprawy, ale i tak kosztował mnie okrągłą sumkę. Od tamtego czasu wydałem na niego jeszcze więcej, wyposażyłem w nową karoserię, opony, silnik, a przede wszystkim, w oryginalną szybę przednią, z barwionego kryształu, by mój samochód był najlepszym egzemplarzem w całym Londynie. Można to nazwać hobby, małym odprężeniem po pracy.

Nie dalej jak wczoraj, po wielu miesiącach poszukiwań, zlokalizowałem oryginalną, porcelanową tablicę rejestracyjną i przymocowałem ją do maski. Wreszcie mój pojazd był gotowy. Dziś wyjechałem nim na ulicę.

I co się dzieje? Zostaję zaatakowany przez dwa plebejuszowskie bachory. Zbiliście przednią szybę i przez to straciłem kontrolę nad autem. Wpadłem na lampę uliczną, zniszczyłem karoserię, opony i silnik i potrzaskałem tablicę rejestracyjną w kilkunastu miejscach. Mój samochód został zniszczony. Nigdy już nie będzie sprawny... – przerwał, żeby nabrać tchu.

Tłustym, różowym jęzorem oblizwał sobie wargi. – Czego chce? Cóż, przede wszystkim ciekaw jestem, co powiecie?

Kitty patrzyła na boki, poszukując natchnienia.

–Ehem... czy na początek może być „przepraszam”?

–„Przepraszam”?

–Tak, proszę pana. To był przypadek, rozumie pan, a my nie...

–Po tym, co uczyniliście? Po szkodach, które wyrządziliście? Dwoje szkodliwych małych



**plebejuszy...**

**Łzy napłynęły Kitty do oczu.**

**–To nie tak! – powiedziała rozpaczliwie. – Nie chcieliśmy uderzyć w pański samochód. Po prostu bawiliśmy się! Nawet nie widzieliśmy drogi!**

**–Bawiliście się? W prywatnym parku?**

**–On nie jest prywatny. Hm, a jeśli jest, to nie powinien być! – Mimo podszeptów rozsądku, Kitty nieomal zaczęła krzyczeć. – Tu nie było nikogo poza nami, prawda? Nie robiliśmy niczego złego. Dlaczego nie powinniśmy tu przychodzić?**

**–Kitty – wychrypiał Jakob. – Zamknij się.**

–Nemaidesie – mężczyzna zwrócił się do małpiszona po drugiej stronie mostu – zbliż się o dwa kroki, dobrze? Jest pewna sprawa, którą chciałbym ci powierzyć.

Kitty usłyszała delikatne stukanie szponów o metal, poczuła jak Jakob kuli się u jej boku.

–Panie – powiedziała cicho. – Przykro nam ze względu na pański samochód. Naprawdę przykro.

–To dlaczego – zapytał mag – uciekaliście, zamiast zostać, żeby ponieść konsekwencje?

–Proszę, panie... baliśmy się. – Jej głos był teraz cichutki.

No proszę. Nemaidesie... myślę, że Czarny Bęben, co ty na to? Kitty usłyszała trzaskanie gigantycznych kciuków i głęboki, zamysłony głos mówiący:

–Jaka szybkość? Są mniejsi niż inni, panie.

–Myślę, że raczej na ostro, prawda? To był drogi samochód. Zajmij się tym. – Mag uznał widać, że jego rola w tej sprawie już się skończyła. Odwrócił się, nadal z rękami w kieszeniach, i zaczął kuśtykać z powrotem ku odległej furtce.

Może gdyby pobiegli... Kitty pociągnęła Jakoba za kołnierz.

–Dalej!

Twarz miał śmiertelnie bladą. Ledwie wymawiał słowa.

–Nie ma sensu. Nie możemy... – Przestał ją tak kurczowo ścisnąć. Ręce opadły mu bezwładnie wzdłuż boków.

Pac, pac, pac – szpon o metal.

–Stań do mnie twarzą, dziecko.

Przez chwilę Kitty myślała o tym, żeby zostawić Jakoba i samej uciec z mostu w park. Potem wzgardziła tą myślą i sobą za to, że w ogóle dopuściła ją do siebie. Odwróciła się, żeby stanąć na wprost demona.

–Tak lepiej. Kontakt frontalny jest najlepszy dla Bębna. – W małpiej

**gębie nie było szczególnie wiele zła, miała ona raczej znudzony wyraz.**

**Kitty, opanowując strach, podniosła w górę rękę proszącym gestem.**

**–Proszę... nie rób nam krzywdy!**

**Żółte oczy zrobiły się większe, czarne wargi przybrały smutny wyraz.**

**–Obawiam się, że to niemożliwe. Wydano mi rozkazy, mam zastosować**

**wobec waszych osób Czarny Bęben, a ja nie mogę odmówić wykonania**

polecenia, nie narażając się jednocześnie na wielkie niebezpieczeństwo. Chcecie, żebym stał się ofiarą Suszącego Ognia?

–Mówiąc całkiem szczerze, tak bym wolała.

Demon zamachał ogonem jak podrażniony kot. Ugiął nogę i podrapał się pazurem pod kolanem.

–Nie wątpię. Hm, sytuacja jest nieprzyjemna. Proponuję, żebyśmy jak najszybciej się z tym uporali.

Wzniósł łapę.

Kitty objęła Jakoba w pasie. Pod ubraniem czuła łomotanie jego serca.

Koło skłębionego dymu wyrosło z punktu znajdującego się tuż przed wyciągniętymi palcami demona i wystrzeliło w ich kierunku. Kitty usłyszała krzyk Jakoba. Starczyło jej jeszcze czasu, żeby zobaczyć czerwone i pomarańczowe płomienie migoczące we wnętrzu koła z dymu, zanim wraz z podmuchem gorąca uderzyło ją w twarz. Potem wszystko pociemniało.

## 6

itty...! Kitty...! – Hm? – Obudź się, już czas. Uniosła głowę, zamrugła i wróciła do rzeczywistości, słysząc rwetes przerwy teatralnej. Światła na widowni włączono, na scenie spuszczone ogromną purpurową kurtynę; masa widzów rozpadła się na setki osób o zaczerwienionych twarzach, powoli defilujących między rzędami krzeseł. Kitty zanurzyła się w jeziorze dźwięków, które uderzały ją w skronie jak fale. Potrząsnęła głową, żeby rozbudzić się do końca, i z sardonycznym wyrazem twarzy popatrzyła na Stanleya opierającego się przed nią o oparcie krzesła.

–Och – powiedziała zmieszana. – Tak. Tak, jestem gotowa.

–Torba. Nie zapomnij.

–Przecież nie zapomnę!

## 62

–Przecież miałaś nie zasnąć.

Oddychając głęboko, odsunęła opadający na oczy kosmyk włosów, podniosła szybko torbę i

wstała, żeby przepuścić jakiegoś mężczyznę. Robiąc to, zobaczyła Freda. W jego oczach, jak zwykle, trudno było coś wyczytać, ale Kitty zdawało się, że spostrzegła ślad drwiny. Zaciśnęła usta i zaczęła się przepychać się do foyer.

Przestrzeń między rzędami krzeseł była zatłoczona. Ludzie pchali się do barów, toalet, do lodziarki stojącej w kręgu światła pod ścianą. Ruch w innym kierunku był utrudniony. Kitty przypominało to targ bydłocy, gdzie stada zaganiane są powoli przez labirynt betonowych i metalowych płotków. Nabrała głęboko powietrza i łącząc wymrukiwane przeprosiny z rozsądnie aplikowanymi kuksańcami, dołączyła do stada. Przepychała się między brzuchami i plecami w stronę podwójnych drzwi.

W połowie drogi poczuła klepięcie po ramieniu. Uśmiechał się do niej Stanley.

–Niezbyt podobała ci się sztuka, prawda?

–Oczywiście, że nie. Okropna.

–Myślę, że ma parę niezłych momentów.

–To do ciebie podobne.

Cmoknął z niezadowoleniem, udając zaskoczenie.

–Przynajmniej nie zasypiam podczas zadania.

–Zadanie – warknęła Kitty – zacznie się dopiero teraz.

Z zaciętym wyrazem twarzy i potarganymi włosami wypadła przez drzwi na boczny korytarz otaczający widownię. Była na siebie zła, wściekła za tę drzemkę i za to, że tak łatwo dała Stanleyowi zająć sobie za skórę. On zawsze szukał u innych wszelkich oznak słabości i próbował je wykorzystać. Zasnęła i podarowała mu tym samym kolejną sztukę amunicji do broni, którą się posługiwał. Potrząsnęła niecierpliwie głową. Musi o tym zapomnieć, to nie jest czas ani miejsce.

Przecisnęła się do foyer, z którego wielu widzów wysypało się na ulicę, żeby napić się mrożonej herbaty i nacieszyć letnim wieczorem. Kitty wyszła wraz z nimi. Niebo było ciemnobłękitne, słońce właśnie zachodziło. Kolorowe flagi i chorągiewki wisiały na domach po przeciwnej stronie, przystrojonych na święto państwowe. Szklanki dzwoniły, ludzie się śmieli; trójka dzieciaków cicho i czujnie przeszła przez rozradowany

Na rogu budynku Kitty spojrzała na zegarek.

–Mamy piętnaście minut.

–Dziś wieczór przyszło kilku magów i czarodziejek – powiedział Stanley. – Widzisz tę starą kobietę, która żłapie dżin, tę w zielonym? Ma coś w torbie. Potężna aura. Moglibyśmy to zwędzić.

–Nie. Trzymamy się planu. Dalej, Fred.

Fred skinął głową. Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął papierosa i zapalniczkę. Nachylił się do przodu, żeby widzieć boczną ulicę i zapalając papierosa, przyjrzał się jej. Zadowolony z oględzin, ruszył przecznicą, nie oglądając się do tyłu. Kitty i Stanley poszli za nim. Znajdowały się tu sklepy, bary i restauracje. Sporo ludzi spacerowało. Na następnym rogu Fredowi zgasł papieros. Znów się nachylił, żeby go zapalić i znów rozejrzał się uważnie we wszystkich kierunkach. Tym razem przymrużył oczy i jakby od niechcienia wrócił tą samą drogą, którą przyszedł. Kitty i Stanley zajęci byli oglądaniem wystaw, szczęśliwa parka trzymająca się za ręce. Fred przeszedł obok nich.

–Demon nadchodzi – powiedział cicho. – Schowaj torbę.

Minęła minuta. Kitty i Stanley gaworzyli i cmokali nad perskimi dywanami na wystawie. Fred oglądał wystawę kwiatów i w sklepie obok. Kitty, kątem oka, obserwowała, co się dzieje na rogu ulicy. Stary, niski dżentelmen, dobrze ubrany, o siwych włosach, wyszedł zza rogu, nucąc jakąś wojskową melodię. Przeszedł ulicę i zniknął z pola widzenia. Kitty spojrzała na Freda. Prawie niezauważalnie pokiwał głową. Kitty i Stanley zostali tam, gdzie byli. Zza rogu wyszła kobieta w średnim wieku. Na głowie miała kapelusz z kwiatami. Szła powoli, jakby kontemplowała zło tego świata. Przy rogu stanęła, westchnęła ciężko i ruszyła w ich stronę. Gdy ich mijala, Kitty poczuła perfumy, mocne, raczej wulgarne. Kroki kobiety ucichły.

–W porządku – powiedział Fred. Wrócił na róg, rozejrzał się szybko,

skinął głową i zniknął za rogiem. Kitty i Stanley oderwali się od wystawy i

poszli za nim, puszczając swe dłonie, jakby oboje roznosili jakąś

zarazę. Skórzana torba, którą Kitty schowała pod płaszczem, znów poja

wiła się w jej ręku.

Na następnej węższej ulicy nie było przechodniów. Po lewej, za czarną balustradą, rozciągał się placyk – ciemne i puste zaplecze sklepu z dywanami. Fred opierał się niedbale o barierkę, rozglądając się dookoła.



–Kula obserwacyjna właśnie przefrunęła na końcu ulicy – powiedział.

–Ale teraz jesteśmy bezpieczni. Twoja kolej, Stan.

Brama na podwórze była zamknięta na kłódkę. Stanley zbliżył się i dokładnie ją zbadał. Gdzieś spod ubrania wyciągnął stalowe szczypce. Zaciśnięcie, obrót – łańcuch przecięty. Weszli na plac. Stanley na czele. Przyglądał się ziemi przed nimi.

–Widzisz coś? – zapytała Kitty.

–Nie tutaj. Na tylnych drzwiach jest jakieś zakłęcie. Powinniśmy ich unikać. Ale to okno jest bezpieczne. – Wskazał ręką.

–Dobra. – Kitty podkradła się do okna i zajrzała do środka. Niewiele zobaczyła, ale pomieszczenie za szybą wydawało się magazynem zawałonym stosami ciasno owiniętych w płótno dywanów. Popatrzyła na pozostałych.

–No i? – syknęła. – Widać coś?

–Oczywiście – powiedział lekkim tonem Stanley – przede wszystkim to, że głupio robimy, czyniąc cię dowódcą. Jesteś bez nas bezradna. Ślepa. Zero!... Nie ma pułapek.

–Ani demonów – dodał Fred.

–W porządku. – Kitty miała już czarne rękawiczki na dłoniach. Zaciśnęła pięść i uderzyła w dolną szybę. Trzask, krótki brzęk szkła o parapet. Sięgnęła, odsunęła zapadkę i uniosła okno. Wskoczyła do pomieszczenia i wylądowała cicho, rozglądając się na wszystkie strony. Nie czekając na innych, przeszła między piramidami z lnu. Wdychając ciężką stęchliznę dywanów, szybko podeszła do na wpół otwartych drzwi. Wyciągnęła latarkę z torby. Promień światła padł na obszerne, bogato wyposażone biuro, z biurkami, krzesłami, obrazami na ścianach. W ciemnym rogu, nisko – sejf.

–Zatrzymaj się – Stanley chwycił Kitty za ramię. – Między biurkami, na poziomie stóp widać cienką, świecąca nić. Zakłęcie-potykaç. Unikaj tego.

Ze złością wyzwoliła się z jego uchwytu.

–Nie miałam zamiaru wleźć tu na ślepo. Nie jestem głupia. Wzruszył ramionami.

–Jasne, jasne.

Robiąc krok nad niewidzialną nicią Kitty dotarła do sejfu, otworzyła torbę, wyjęła małą, białą kulę i położyła ją na podłodze. Wycofała się





ostrożnie. Gdy była przy drzwiach, wypowiedziała słowo. Kula, z lekkim westchnieniem, powodując zawirowanie powietrza, implodowała, ściągając przy tym obrazę z pobliskiej ściany, dywan z podłogi i wyrywając drzwiczki sejfu z zawiasów. Kitty, spokojnie przechodząc nad niewidzialną nicią, wróciła i uklękła przy sejfie. Szybko przenosiła rzeczy do torby. Stanley wrzał z niecierpliwości.

–Co tam mamy?

–Szkłane pojemniki z moulerami, parę kul żywiołów... dokumenty... i pieniądze. Mnóstwo pieniędzy.

–Dobrze. Pospiesz się. Mamy pięć minut.

–Wiem.

Kitty zamknęła torbę i bez pośpiechu wyszła z biura. Fred i Stanley zdążyli już wyskoczyć przez okno i niecierpliwie kręcili się na zewnątrz. Kitty przeszła przez skład, wyskoczyła na podwórze i ruszyła w stronę bramy. Chwilę później, kierowana intuicją, odwróciła się akurat wtedy, gdy Fred wrzucał coś do magazynu.

Zatrzymała się nagle.

–Co to, do diabła, było?

–Nie ma czasu na pogawędki, Kitty. – Fred i Stanley przebiegli obok niej. – Zabawa się zaczyna.

–Co ty zrobiłeś?

Stanley mrugnął, gdy wysypali się na ulicę.

–Laska z Piekielnymi Ogniami. Mały prezencik dla nich. – Idący obok Fred zachichotał.

–Tego nie było w planie! Mieliliśmy się tylko włamać! – Już czuła dym unoszący się w powietrzu. Przeszli za róg obok wystawy sklepu.

–Nie możemy zabrać dywanów, prawda? Mamy je zostawić, żeby je sprzedali magom? Nie można się litować nad kolaborantami, Kitty. Zasłużyli na to.

–Mogli nas złapać...

–Nie mogli. Odpręż się. Ponadto z małego, nudnego włamania nie będzie materiału dla gazety, prawda? Ale z włamania i pożaru, owszem.

**Blada od powstrzymanej furii, z palcami zaciśniętymi na uchwytach torby, Kitty szła obok nich ulicą. Tu nie chodziło o rozgłos. To Stanley znów podważył jej autorytet i robił to w sposób bardziej wyzywający niż**

dotychczas. To był jej plan, jej strategia, a on z rozmysłem ją torpedował. Będzie musiała jakoś zareagować, nie ma co do tego wątpliwości. Wcześniej czy później Stan sprowadzi śmierć na nich wszystkich.

Przed Metropolitan Theatre brzmiał dzwonek, tłumy widzów pchały się z powrotem przez drzwi. Kitty, Stanley i Fred dołączyli do nich, nie zmieniając kroku, i kilka chwil później znów siedzieli na swoich miejscach. Orkiestra znów się rozgrzewała, kurtyna została podniesiona.

Kitty, nadal drżąc z gniewu, ustawiła torbę między nogami. Wtedy Stanley odwrócił głowę i uśmiechnął się.

–Zaufaj mi – wyszeptał. – Trafimy na pierwsze strony gazet. Jutro wyprzedzimy wszystkie wydarzenia.

*Simpkin*

## 7

ilometr na północ od ciemnych wód Tamizy kupcy z całego świata zbierali się codziennie w City, żeby wymieniać się towarami, kupować i sprzedawać. Stragany ciągnęły się jak okiem Tłoczyły się pod okapami starych domów jak kurczęta pod skrzydłami matki. Nie było końca tej wystawie bogactw: złoto z południowej Afryki, srebro z Uralu, perły polinezyjskie, płatki z bałtyckiego bursztynu, drogie kamienie w każdym odcieniu, połyskliwe jedwabie z Azji i tysiące innych cudów. Ale najcenniejsze były przedmioty magiczne złupione w starych cesarstwach i przywiezione do Londynu na sprzedaż.

W sercu City, u zbiegu Cornhill i Poultry Street, zachwalające okrzyki sprzedawców uderzały ostro w uszy. Tutaj wolno było wchodzić jedynie magom i umundurowana na szaro policja strzegła wejść na targ.

Wszystkie kramy były zapchane przedmiotami o niecodziennym wyglądzie. Przechodząc się pomiędzy stoiskami, można było dostrzec zaczarowane flety i liry z Grecji, garnki z ziemią cmentarną z Ur i Nimrud, delikatne złote przedmioty z Taszkientu, Samarkandy i innych miast położonych na Jedwabnym Szlaku, plemienne totemy z rozległych równin Ameryki Północnej, polinezyjskie maski i posążki, niezwykle czaszki

z kryształami osadzonymi w ustach, kamienne sztylety ze śladami ofiarnej krwi, wydobyte z ruin Tenochtitlanu.

To właśnie tutaj, raz w tygodniu, późnymi poniedziałkowymi wieczorami, zdązał statecznym krokiem znany mag Sholto Pinn, żeby przyjrzeć się targowi i nabyć drobnostki, które wzbudziłyby jego zainteresowanie.

Była połowa czerwca i słońce wisiało nad dachami. Chociaż sam rynek, wbity między budynki, pogrążony był w niebieskawym półmroku, ulica nadal promieniowała ciepłem, które sprawiało, że przechadzka wydawała się Pinnowi przyjemna. Nosił białą płócienną marynarkę i spodnie oraz słomkowy kapelusz o szerokim rondzie. Laska z kości słoniowej kołysała się luźno w jednej ręce, w drugiej trzymał wielką żółtą chusteczkę, którą od czasu do czasu ocierał sobie kark.

Elegancja odzienia Pinna rozciągała się aż po wypolerowane buty. I to mimo brudu zalegającego na chodnikach, w którym aż roilo się od dowodów na pospiesznie pochłanianie posiłki – wyrzucone owoce, opakowania od falafela, skorupy orzechów i małży, kawałki tłuszczu i łożu. Pinn nie zwracał na to uwagi. Dokądkolwiek by nie podążył, resztki zmiotane były niewidzialną ręką.

Szedł naprzód, przyglądając się przez gruby monokl kramom po obu stronach. Przybrał zwyczajowy wyraz znudzonego rozbawienia, które chroniło go przed zakusami kupców, którzy dobrze go znali.

–Señor Pinn! Mam tutaj zabalsamowaną rękę nieznanego pochodzenia! Znalaziono ją na Saharze. Sądzę, że to relikwia jakiegoś świętego. Oparłem się wszystkim klientom, czekając na pana...

–Proszę przystanąć na chwileczkę, monsieur, i zobaczyć, co mam w tym niezwykłym obsydianowym pudełku...

–Proszę popatrzeć tylko na ten kawałek pergaminu, te runiczne symbole...

–Panie Pinn, nich pan nie słucha tych bandytów! Pański wyśmienity smak podpowie panu...

–...ta zmysłowa figurka...

–...te zęby smoka...

–...jakaż tykwa...

Sholto Pinn uśmiechał się blado, oglądał towary, ignorował okrzyki kupców i szedł powoli dalej. Nigdy nie kupował wiele; większość



przedmiotów, które nabywał, przychodziła bezpośrednio od jego agentów pracujących w całym imperium. Ale mimo to, nigdy nic nie wiadomo. Targ zawsze wart był przechadzki.

Uliczka kończyła się straganami zastawionymi szkłem i ceramiką. Większość towaru stanowiły, bez wątpienia, niedawno wykonane podróbki, ale mały niebiesko-zielony garnek z zalakowanym korkiem przykuł uwagę Pinna.

–Ten przedmiot. Co to jest? – zapytał od niechcenia.

Handlarka, młoda kobieta w kolorowej chuście na głowie, odpowiedziała:

–Panie! To fajansowy garnek z Ombos w Starym Państwie egipskim.

Znaleziono go w głębokim grobie, pod ciężkim kamieniem, obok kości wysokiego, uskrzydłonego mężczyzny.

Pinn uniósł brew.

–Doprawdy. Masz ten cudowny szkielet?

–Niestety, nie. Kości zostały rozchwywane przez podniecony tłum.

–Jak to się wygodnie składa. Ale ten garnek, czy nie był otwierany?

–Nie, panie. Uważam, że zawiera dzina, albo być może Zarazę. Kup go, panie, otwórz i sam sprawdź!

Pinn podniósł garnek i obrócił go w swoich białych tłustych palcach.

–Hm – zamruczał. – Wydaje się dziwnie ciężki jak na swój rozmiar. Być może skompresowane zaklęcie... tak, ten przedmiot może okazać się interesujący. Na ile go wyceniasz?

–Dla ciebie, panie... sto funtów.

Pinn zarechotał rubasznie.

–W rzeczy samej jestem bogaty, moja droga, ale też nie pozwalam stroić sobie ze mnie żartów.

**Strzelił palcami i przy grzechocie garnków i szeleście materiałów, po jednym ze słupków podtrzymujących daszek nad straganem, wdrapała się na górę jakaś niewidzialna postać. Ześlizgnęła się po plandecę i lekko skoczyła na plecy kobiety. Ta wrzasnęła. Pinn nie odrywał wzroku od garnka trzymanego w ręku.**

**–Targowanie się to rzecz pożyteczna, ale trzeba zaczynać od sensownego poziomu, moja droga. Dlaczego nie zaproponujesz jakiejś innej sumy? Mój asystent Simpkin chętnie potwierdzi, czy warta jest wzięcia pod uwagę.**



Kilka minut później kobieta, niebieska na twarzy i przydławiona chwytem niewidzialnych palców na szyi, wreszcie wystękała cenę zadowalającą Pinna. Rzucił kilka monet na stragan i odszedł zadowolony, niosąc swój łup w kieszeni. Wyszedł z targu i pomaszerował Poultry Street do miejsca, w którym czekał na niego samochód. Każdego, kto blokował mu drogę, odpychała na bok niewidzialna ręka.

Pinn wszedł do samochodu i dał znak szoferowi, by ruszył. Potem, rozsiadając się wygodnie, powiedział w powietrze:

–Simpkin.

–Tak, panie?

–Nie powinienem dziś pracować do późna. Jutro jest Dzień Założyciela i pan Duvall wydaje z tej okazji uroczysty obiad. Niestety, będę musiał wziąć udział w tej nudzie.

–Doskonale, panie. Zaraz po lunchu z Persepolis przybyło kilka skrzyń. Czy życzy pan sobie, żebym zaczął je rozpakowywać?

–Tak. Uporządkuj i oznakuj wszystkie obiekty mniejszej wartości. Tego, co ostemplowano czerwonym płomieniem, nie otwieraj. Ten znak świadczy, że w środku jest jakiś wielki skarb. Znajdziesz też skrzynie z drzewem sandałowym. Obchodź się z tym ostrożnie, zawiera ukryte pudło z mumią dziecka z czasów Sargona. Perskie służby celne stają się coraz czujniejsze i mój agent musi coraz zmyślniej przemycać różne rzeczy. Czy to jasne?

–Tak, panie. Wykonam z gorliwością.

Samochód zatrzymał się przed złotymi filarami i jaskrawym szyldem Sklepu u Pinna. Tylne drzwi wozu otworzyły się i zamknęły, ale Sholto Pinn został w środku. Samochód ruszył i przyłączył się do ruchu na Pic-cadilly. Chwilę później w zamku frontowych drzwi sklepu zachrzęścił klucz. Drzwi otworzyły się i łagodnie zamknęły.

Minęło kilka minut i rozbudowana sieć ochronna rozwinęła się wokół budynku na piątym i szóstym planie, zbiegła się u szczytu domu i zapieczętowała. Sklep u Pinna był bezpieczny.

Był późny wieczór. Ruch na Piccadilly zmalął i przed sklepem pojawiło się zaledwie kilku przechodniów. Diablik Simpkin podniósł ogonem żerdź z hakiem i ściągnął drewniane żaluzje na dół. Jedna cicho zaskrzypiała. Zirytowany Simpkin zdjął z siebie Niewidzialność, ukazując swoją małą,

jasnozieloną postać, krzywe nogi i grymaśną twarz. Znalazł za ladą puszkę i wyciągnął ogon, żeby naoliwić zawias. Potem pozamiatał podłogę, wyrzucił śmieci, poprawił manekiny na wystawie, a gdy w sklepie zapanował już porządek, przyciągnął z zaplecza kilka wielkich skrzyń.

Zanim zabrał się do roboty, z wielką starannością sprawdził podwójną siatkę ochronną. Dwa lata wcześniej złemu dżinowi udało się przechytryć jego czujność i wiele cennych przedmiotów uległo zniszczeniu. Miał szczęście, że pan mu wybaczył, znacznie więcej szczęścia, niż na to zasługiwał. Mimo to, wspomnienie kar, jakie na niego spadły, wprawiało w drżenie jego esencję. To nie może się już nigdy więcej zdarzyć.

Węzły sieci okazały się nienaruszone i wibrowały ostrzegawczo za każdym razem, gdy zbliżał się do ścian. Wszystko było w porządku.

Simpkin otworzył pierwszą skrzynię i zaczął wyjmować chronioną wełną i trocinami zawartość. Pierwszy przedmiot był mały, opakowany w nasączoną smołą gazę. Usunął ją sprawnymi palcami i krytycznie przyjrzał się nabytkowi. Była to pewnego rodzaju lalka zrobiona z kości, trawy i muszli. Simpkin nabazgrał w księdze rachunkowej notkę, używając do tego długiego gęsiego pióra. *Basen Morza Śródziemnego, w przybliżeniu 4 tysiące lat przed naszą erą. Wartość jedynie pamiątkowa. Poza tym bez znaczenia.* Położył obiekt na ladzie i ponownie sięgnął w głąb paki.

Czas płynął. Simpkin rozpakował już ostatnią skrzynię. To była ta z drzewem sandałowym. Przeszukiwał ją ostrożnie, rozglądając się za przeschmuglowaną mumią, kiedy usłyszał dudnienie. Co to było? Samochody? Nie, zaczynało się i kończyło zbyt ostro. Może jakiś odległy

Dudnienie zrobiło się głośniejsze i bardziej denerwujące. Simpkin odłożył pióro i zaczął nasłuchiwać, przechyliwszy okrągłą głowę lekko na bok. Dziwne pojedyncze trzaski... a między nimi ciężkie dudnienie. Skąd dochodzą? Skądś spoza sklepu, to oczywiste, ale z której strony?

Skoczył na nogi i ostrożnie zbliżywszy się do okna, uniósł na chwilę żaluzję. Za niebieskimi węzłami sieci ochronnej na Piccadilly było ciemno i pusto. W domach naprzeciwko w kilku oknach paliło się światło, a na ulicach prawie nie było ruchu. Nie zobaczył niczego, co wyjaśniałoby te dźwięki.

Znów zaczął nasłuchiwać... Teraz były silniejsze, dochodziły gdzieś z tyłu, z głębi budynku... Simpkin opuścił okiennicę i zirytowany machał

ogonem. Odsunął się trochę, sięgnął za ladę i wyciągnął wielką, sękatą pałę. Trzymając ją w ręku, podreptał do drzwi składu i zajrzał do środka.

W pomieszczeniu nie działo się nic nadzwyczajnego. Wypełnione było stosami skrzyń i kartonowych pudeł, na półkach stały przedmioty przygotowywane do sprzedaży albo na wystawę. Elektryczne światło na suficie brzęczało delikatnie. Simpkin wrócił do sklepu i zaskoczony zmarszczył brwi. Hałas był teraz głośniejszy – coś gdzieś miażdżono. Czy powinien zaalarmować pana? Nie. Niemądra myśl. Pan Pinn nie lubił, gdy zawracało mu się głowę bez potrzeby. Lepiej było mu nie przeszkadzać.

Jeszcze jeden grzmiący łomot i dźwięk rozbijanej szyby. Dopiero teraz Simpkin zwrócił uwagę na ścianę z prawej strony sklepu, która przylegała bezpośrednio do składu wiktuałów i win. Bardzo dziwne. Podszedł w tamtą stronę, żeby to sprawdzić. W tym momencie wydarzyły się trzy rz Polowa ściany zwała się do środka.

Coś wielkiego wkroczyło do pomieszczenia.

Światło w sklepie zgasło.

Zamarły na środku podłogi Simpkin nie widział niczego, ani na pierwszym planie, ani na czterech pozostałych, do których miał dostęp. Pas lodowato zimnej ciemności ogarnął sklep, a w głębi mroku coś się poruszało. Usłyszał kroki, potem straszliwe trzaski od strony, gdzie stała stara porcelana pana Pinna. Kolejny krok i odgłos darcia, który mógł pochodzić z wieszaków z garniturami tak starannie powieszonymi dziś rano przez Simpkiną.

Rozpacz przewyciężyła strach. Simpkin wydał ryk furii i wymachując pałą, zahaczył nią przypadkowo o kontuar.

Kroki ucichły. Simpkin poczuł, że coś patrzy w jego stronę, i zamarł. Owinęła go ciemność.

Zerkał na wszystkie strony. Pamiętał, że jest o kilka metrów od najbliższego okna z żaluzją. Jeśli cofnie się, to może dotrze do niego, zanim...

Coś szło przez pokój w jego stronę. Ciężko stawiało kroki.

Simpkin cofał się na paluszkach.

Nagle, na środku pokoju, rozległ się trzask rozłupywanego drewna. Zatrzymał się i skrzywił. To była mahoniowa serwantka, którą tak lubił pan Pinn! Okres regencji, z uchwytnymi z kości słoniowej, inkrustowana lapis-lazuli! Cóż za straszne zniszczenia!

**Skupił się z trudem. Jeszcze tylko dwa metry do okna. Nie może zrezygnować... jest prawie na miejscu. Ciężkie kroki podążały za nim, a każdy odbijał się grzmotem od podłogi.**

**Nagły brzęk i zgrzyt dartej metalu. Och, tego już było za wiele! Sortowanie srebrnych naszyjników ochronnych na wieszakach zabrało mu wieki!**

**Wściekły, znów się zatrzymał. Kroki słyszał teraz znacznie bliżej. Pospiesznie pokuśtykał trochę dalej i jego palce dotknęły metalowych żaluzji. Wyczuł za nimi wibrację sieci ochronnej. Teraz musiał tylko wydostać się na zewnątrz.**

**Ale pan Pinn zabronił mu opuszczać sklep i nakazał bronić go za cenę życia. Co prawda, nie był do tego zmuszony za pomocą pentagramu. Od lat nie użyto przeciwko niemu żadnego zaklęcia. Więc mógłby sprzeciwić się poleceniu, gdyby zechciał... Ale co powiedziałby pan Pinn, gdyby opuścił posterunek? Nie mógł znieść tej myśli.**

**Szuranie stóp za nim. Zimny zapach ziemi, robaków i gliny.**

**Gdyby Simpkin posłuchał tego, co podpowiadał mu instynkt, i uciekł, pewnie by się uratował. Można było przebić się przez żaluzje, rozedrzeć węzły sieci i wypaść na ulicę. Zapomniał jednak, jak można robić cokolwiek z własnej woli. Więc tylko stał, czekał, drżał i wydawał ochryple piski, tym cieńsze, im powietrze wokół niego stawało się zimniejsze, grobowe i wypełniało się czyjąś niewidzialną obecnością.**

**Przywarł do ściany.**

**Tuż nad nim rozbiło się szkło, poczuł jak spada kaskadą na podłogę.**

**Fenicki dzban z pachnidłami pana Pinna! Bezcenny!**

**Wydał okrzyk wściekłości i przypomniał sobie o palce, którą trzymał w dłoni. Na ślepo, z całej siły zamachnął się nią wreszcie, atakując wiszącą w powietrzu ciemność, która nachyliła się, żeby go pochłonąć.**

iedy zaświtał Dzień Założyciela, śledczy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych od dawna już krzątali się po Piccadilly. Ignorując świąteczny zwyczaj, który nakazywał wszystkim obywatelom swobodny strój, ubrani byli w ciemnoszare garnitury. Bez chwili odpoczynku przeszukiwali ruiny zniszczonych sklepów i z oddali przypominali trzaskające się mrówki. W każdym miejscu można było znaleźć kogoś przy pracy, nachylającego się nad podłogą, prostującego się, żeby pincetą umieścić jakieś szczątki w plastikowej torbie albo przyjrzeć się małym plamkom na ścianach. Zapisywali coś w notatnikach i bazgrali diagramy na kawałkach pergaminu. Co dziwniejsze, a przynajmniej tak wydawało się tłumowi włóczącemu się za żółtymi, ostrzegawczymi flagami, wydawali rozkazy i dawali gestami znaki, nie zwracając się do nikogo konkretnego. Odpowiedzią było zwykle nagłe zawirowanie powietrza albo ciche dźwięki, jakie towarzyszyć mogą szybkim i pewnym, choć niewidzialnym ruchom. Nieprzyjemnie drażniło to wyobraźnię gapiów, którzy nagłe przypominali sobie, że mają pilne sprawy gdzie

Nathaniel, stojąc na stosie cegieł wysypującym się ze sklepu Pinna, patrzył, jak pospólstwo się rozchodzi. Nie winił ich za ciekawość.

## 75

Na Piccadilly panował zamęt. Od Grebea do Pinna wszystkie sklepy zostały wybebeszone, ich zawartość zniszczona i wyrzucona na ulicę przez porozbijane okna i drzwi. Żywność, książki, ubrania i wyroby rzemieślnicze leżały zdeptane w mieszaninie szkła, drewna i potrzaskanego kamienia. Wewnątrz sprawy wyglądały jeszcze gorzej. Każdy z tych sklepów szczycił się starym, szlacheckim rodowodem i każdy został zniszczony w taki sposób, że nie nadawał się już do remontu. Półki i lady, stoiska i kotary leżały poszarpane na kawałki, cenne produkty zmiażdżono, skruszono i zmielono na pył.

Scena była przerażająca, ale też bardzo dziwna. Wyglądało na to, że coś przeszło po linii prostej, przez ściany działowe między sklepami. Stojąc w jednym ze zniszczonych pomieszczeń, można było popatrzeć prosto, wskroś całej pierzei domów, przez pięć wypatroszonych sklepów i zobaczyć robotników pracujących na gruzach z drugiej strony. Ucierpiał tylko parter, wyższe piętra były nietknięte.

Nathaniel postukał się długopisem o zęby. Dziwne... to nie przypominało żadnego z ataków ruchu oporu, które widział do tej pory. Po pierwsze, zniszczenia są znacznie większe; po drugie, powody, dla których ich dokonano, pozostają niejasne.

Młoda kobieta pojawiła się wśród gruzów, w oknie obok.

**–Hej, Mandrake!**

**–Tak, Fennel?**

**–Tallow chce z tobą rozmawiać. Właśnie tu jest.**

**Chłopiec lekko się nachmurzył, ale odwrócił się i, ostrożnie, żeby nie zabrudzić sobie butów ceglanym pyłem, zszedł z gruzów w mrok zniszczonego budynku. Pośrodku tego, co kiedyś było sklepem, stała przysadzista postać w czarnym garniturze i kapeluszu o szerokim rondzie. Nathaniel zbliżył się.**

**–Chciał mnie pan widzieć, sir? Minister wskazał ręką otoczenie.**

**–Potrzebuję twojej opinii. Co według ciebie stało się tutaj?**

**–Nie mam pojęcia, sir – odparł lekko Nathaniel. – Ale to bardzo interesujące.**

**–Nie obchodzi mnie, czy to jest interesujące – warknął minister. – Nie płacę ci za zainteresowania. Chcę rozwiązania. Jak myślisz, co to znaczy?**

**–Jeszcze nie wiem.**

–Co to za odpowiedź? Nie jest warta złamanego pensa! Ludzie będą zadawali pytania, Mandrake, a my musimy jakoś to wytłumaczyć.

–Oczywiście. Może, gdybym jeszcze trochę rozejrzał się po okolicy, to...

–Najpierw mi odpowiedz – rzekł Tallow. – Jak myślisz, kto to zrobił?

Chłopak westchnął. Nie uszła jego uwagi desperacja w głosie ministra.

Najwyraźniej bardzo na niego naciskano. Tak bezczelny atak w Dzień Założyciela nie wróżył niczego dobrego, jeśli idzie o stosunki z przełożonymi.

–To demon – powiedział. – Takich zniszczeń potrafi dokonać afryt. Albo marid.

Tallow przejechał żółtawą ręką po twarzy, w jego ruchach widać było zmęczenie.

–Żadna z tego rodzaju istot nie ma z tym nic wspólnego. Nasi chłopcy posłali tu kule, kiedy wróg był jeszcze w środku. Na krótko zanim znikły, przesłały informację, że nie ma śladu aktywności demonów.

–Z całym szacunkiem, panie Tallow, ale to nie może być prawda. Żaden zwykły człowiek nie mógłby tego dokonać.

Minister zaklął.

–Tak mówisz, Mandrake, ale czego do tej pory dowiedziałeś się na temat działalności ruchu oporu? Niezbyt wiele! – W jego tonie pobrzmiwała nieprzyjemna nutka.

–Czemu pan sądzi, że to był ruch? – Nathaniel mówił spokojnie. Rozumiał, że Tallow robi, co w jego mocy, żeby zrzucić ciężar winy na barki swojego asystenta. – To bardzo się różni od znanych nam ataków -kontynuował.

–Do czasu, aż zbierzemy dowody, że zrobił to ktoś inny, Mandrake, oni są najbardziej prawdopodobnymi podejrzanymi. Tylko oni dopuszczają się takich aktów przypadkowego wandalizmu.

–Tak, ale używają jedynie pojemników z moulerami, byle jakiego ekwipunku. Nie potrafiliby zniszczyć całego ciągu domów bez pomocy demona.

–Może mają inne sposoby, Mandrake. A teraz złóż raport z wydarzeń z poprzedniego wieczoru.

**–Tak jest. To będzie przyjemność. – I całkowita strata czasu. Pieniąc się w środku, Nathaniel spojrzął do notesu z papieru welinowego. – Cóż, sir, około północy, świadkowie mieszkający w apartamentach po drugiej stronie Piccadilly wezwali Policję Nocną i opisali hałasy, które dochodziły**



z Towarów Luksusowych Grebea na końcu przecznicy. Gdy przybyła policja, znalazła wielką dziurę wybitą w ścianie bocznej i szampana oraz kawior pana Grebea walające się po całym chodniku. Straszna strata, jeśli wolno tak powiedzieć, proszę pana. Tymczasem z Jedwabnego Emporium Dashella zaczęły dobiegać okropne trzaski. Funkcjonariusze zaglądali przez okna, ale w środku światło było zgaszone i nie udało im się zidentyfikować źródła hałasu. Być może warto tu dodać, proszę pana -chłopiec podniósł wzrok znad notesu – że dzisiaj światło elektryczne w budynku było w doskonałym porządku.

Minister wykonał zirytowany gest i kopnął szczątki małej lalki wykonanej z kości i muszelek leżące wśród innych szczątków na podłodze.

–Jakie to ma znaczenie?

–Że to coś, co tu weszło, wygasilo wszystkie światła. To kolejna dziwna rzecz, proszę pana. Komendant Nocnej Policji wysłał swoich ludzi do środka. Sześciu, proszę pana. Doskonale wytrenowanych i bitnych. Weszli przez okno u Dashella, jeden po drugim, blisko miejsca, z którego dobiegały trzaski. Potem wszystko ucichło... Wewnątrz sklepu, widziano sześć rozbłysków niebieskiego światła. Jeden po drugim. Żadnego hałasu, huku, nic. Wszystko znów pociemniało. Dowódca czekał, ale jego ludzie nie wracali. Chwilę później znów usłyszał trzaski, gdzieś dalej, obok Pinna. Tymczasem około pierwszej dwadzieścia pięć nad ranem przybyli magowie ze Służb Bezpieczeństwa i otoczyli cały blok domów Sidłami. Jak pan już o tym wspominał, wysłano kule tropiące. Prawie natychmiast zniknęły... Niedługo potem, o pierwszej czterdzieści pięć, coś przebiło się przez Sidła na tyłach budynków. Nie wiemy co, bo demony, które pełniły tam wartę, również zniknęły.

Chłopiec zamknął notatnik.

–To jest wszystko, co wiemy, proszę pana. Sześciu policjantów i osiem demonów należących do Służb Bezpieczeństwa zniknęło... och, i asystent pana Pinna. – Popatrzył na ścianę, pod którą lekko dymiała kupka węgla drzewnego. – Straty finansowe są, oczywiście, znacznie wyższe.

Nie było jasne, czy Tallow przyjął do wiadomości raport. Mruknął rozzłoszczony i odwrócił się. Ubrany na czarno mag o ziemistej wychudłej twarzy przechodził obok rumowiska, niosąc małą złotą klatkę z impem. Co jakiś czas demon z furią potrzasał prętami klatki.

Tallow zwrócił się do przechodzącego:

–Ffoukes, czy przyszła jakaś odpowiedź od pani Whitwell?

–Tak jest. Prosi, by rezultaty pojawiały się dwa razy szybciej. To jej słowa, proszę pana.

–Rozumiem. Czy stan impa wskazywałby na jakąś zarazę albo truciznę w sklepie obok?

–Nie, proszę pana. Jest zwinny jak fretka i dwa razy bardziej złośliwy. Tu nie ma niebezpieczeństwa.

–Bardzo dobrze. Dziękuję, Ffoukes.

Kiedy mag odszedł, Tallow zwrócił się ukradkiem do Nathaniela:

–Będziesz musiał popracować nad tym w nadgodzinach, Mandrake. Z

tego, co słyszałem, premier nie jest zadowolony. – Uśmiechnął się i

odszedł. Grzechotanie klatki z impem cichło w oddali.

Nathaniel, zachowując kamienny wyraz twarzy, wsunął kosmyk włosów za ucho i odwrócił się, żeby podążyć za Tallowem, który szedł pomiędzy śmieciami zalegającymi na podłodze pomieszczenia.

–Mandrake, musimy przeprowadzić wizytację i porozmawiać z pozostałymi funkcjonariuszami policji. Czy jadłeś już śniadanie?

–Nie, proszę pana.

–Wszystko jedno. Musimy wpaść tu obok, do Wiktuałów Cootsa. – Westchnął. – Zaopatrywałem się tam w dobry kawior.

Podeszli do ściany działowej następnego sklepu. Zrobiono w niej duży otwór. Minister zatrzymał się przy nim.

–A teraz, Mandrake – powiedział – użyj swojego mózgu, o którym

tylko słyszeliśmy, i powiedz, co wydedukowałeś z tej dziury.

Nathaniel, wbrew sobie, uwielbiał takie testy. Poprawił mankiety i w zamyśleniu ściągnął wargi.

–To daje nam jakieś pojęcie o wielkości i kształcie sprawcy – zaczął. – Sufit jest na wysokości czterech metrów, ale dziura ma tylko trzy metry; więc to, co ją wybiło nie powinno być

większe. Szerokość otworu wynosi półtora metra, więc sądząc po względnych rozmiarach, miało to kształty człowieka, choć najwyraźniej było znacznie większe. Ale bardziej interesujący jest sposób, w jaki dziura powstała... – przerwał, pocierając podbródek gestem, który, miał nadzieję, wskazywał na mądrość i rozwagę.

–Jak do tej pory sprawy są oczywiste, idź dalej.

Nathaniel nie wierzył, żeby Tallow zdążył już dokonać tych kalkulacji.

–Hm, proszę pana, gdyby wróg użył Detonacji albo innego, podobne go zakłęcia, cegły wyparowałyby albo zostałyby strzaskane na małe kawałki. A tutaj, chociaż połamane i poodłupywane na krawędziach, ale nadal wiele cegieł tkwi w większych fragmentach muru i jest sklejonych zaprawą. Rzekłbym, że to coś, co włamało się tutaj, po prostu wybiło sobą otwór w ścianie, proszę pana. Przeszło, jakby jej tu nie było. Przerwał i czekał, ale minister po prostu skinął głową, jakby setnie się nudził.

–No i...?

–No i, proszę pana... – Chłopiec zgrzytnął zębami, szef chciał, żeby odwalił za niego całą pracę, a on z całej duszy nienawidził takiego postępowania. – No i... afryt albo marid są w tej sytuacji mniej prawdopodobne. One otworzyłyby sobie drogę wybuchem. Nie mamy do czynienia ze zwyczajnym demonem. – To było to. Tallow nie wydobędzie z niego więcej ani słowa.

Ale minister wydawał się być, jak na razie, usatysfakcjonowany.

–Też tak myślę, Mandrake, też tak myślę. Hm, hm, tyle pytań... A tam czeka kolejne. – Przez dziurę w ścianie przedostał się do następnego sklepu. Chłopiec, pieniąc się ze złości, poszedł za nim. Julius Tallow był głupcem. Wydawał się zadowolony z siebie, ale jak słaby pływak wierzgał nogami pod powierzchnią, żeby utrzymać się na wodzie. Cokolwiek by się stało, Nathaniel nie miał zamiaru pójść na dno wraz z nim.

Powietrze w Wiktualach Cootsa miało ostry i nieprzyjemny zapach. Nathaniel sięgnął do kieszonki na piersi po swoją obszerną, barwną chusteczkę i przyłożył ją do nosa. Wkroczył chwiejnie w półmrok wnętrza. Beczki z oliwkami i marynowanymi sardelami zostały rozbite, a ich zawartość wylana. Jej zapach łączył się nieprzyjemnie z czymś gęstszym i bardziej zjadliwym. Swąd spalenizny. Nathaniela szczypały trochę oczy. Zakaszłał w chusteczkę.

–A więc tutaj są. Najlepsi ludzie Duvalla. – W głosie Tallowa wyraż nie słychać było sarkazm.

Sześć niewielkich stosów czarnego jak smoła popiołu i kości rozsianych było po podłodze sklepu. W najbliższym wyrażnie widać było ostre, psie zęby, a także koniec długiej, cienkiej kości, prawdopodobnie piszczeli. Większość ciała była kompletnie spalona. Chłopiec ugryzł się w wargę i przełknął ślinę.



–Trzeba się przyzwyczaić do tego rodzaju widoków w Ministerstwie

Spraw Wewnętrznych – powiedział rubasznie mag. – Możesz wyjść, jeśli czujesz się słabo, John.

Oczy chłopca błysnęły.

–Nie, dziękuję. Wszystko w porządku, to bardzo...

–Interesujące? Nieprawdaż? Zredukowani do czystego węgla, albo prawie zredukowani, tylko parę zębów przetrwało. A jednak każdy taki stosik opowiada swoją historię. Popatrz, na przykład, na ten przy drzwiach, jest trochę bardziej rozrzucony niż pozostałe. Z tego wniosek, że się poruszał, może dał susa, żeby ratować życie. Ale, jak sądzę, nie był dość szybki.

Nathaniel nic nie powiedział. Bezдушność ministra trudniej było przyjąć ze spokojem niż widok szczątków, w końcu, bardzo elegancko ułożonych w stosiki.

–A zatem, Mandrake – powiedział Tallow – jakieś pomysły? Chłopiec zaczerpnął nieświeżego powietrza i pospiesznie szukał wyjaśnienia w pamięci, wypełnionej książkową wiedzą.

–To nie Detonacja – zaczął – ani Miazmat, ani Zaraza. Żadne nie dają tak czystych rezultatów. Mógłby to być Piekielny Ogień...

–Tak sądzisz, Mandrake? Dlaczego?

–Miałem zamiar powiedzieć, że mógłby to być Piekielny Ogień, tyle że nie ma zniszczeń wokół szczątków. Tylko one uległy spaleniu, nic poza tym.

–Och. I co dalej?

Chłopiec popatrzył na niego.

–Naprawdę nie mam pojęcia, proszę pana. A co pan o tym sądzi? Chłopiec wątpił, żeby Tallow zdobył się na odpowiedź. Cichy dźwięk niewidzialnego dzwonka i zawirowanie powietrza uchroniły ministra przed repliką. Te znaki anonsowały przybycie służącego. Tallow wypowiedział komendę i demon się zmaterializował. Z nieznanых powodów przybrał postać małej zielonej małpki siedzącej ze skrzyżowanymi nogami na połyskującej chmurze.

–Raport – zażądał mag.

–Na pańskie życzenie przeszukaliśmy ruiny oraz wyższe piętra budynków na wszystkich planach – powiedziała małpka. – Nie znaleźliśmy śladów aktywności magicznej, nie licząc tego,

**co teraz wymienię. Po**

pierwsze, lekkie fosforyzowania Sidel, którymi zabezpieczono miejsce zdarzenia. Po drugie, śladów trzech półafrytów wysłanych do strefy. Wygląda na to, że ich esencja uległa zniszczeniu w sklepie pana Pinna. Po trzecie, licznych aur, którymi emanują przedmioty w Sklepie u Pinna. Większość z nich rozrzucona jest na drodze, chociaż kilka małych przedmiotów wielkiej wartości zostało przywłaszczonych przez pańskiego asystenta pana Ffoukesa, kiedy pan nie patrzył. To podsumowanie naszych poszukiwań. – Małpka machnęła ogonem na znak, że skończyła. – Czy potrzeba ci jakichś innych informacji na tym etapie, panie? Czarodziej machnął ręką.

–To byłoby wszystko, Nemaidesie. Możesz odejść.

Małpka przechyliła głowę. Podniosła wysoko wyprostowany ogon, chwyciła go wszystkimi czterema kończynami jakby to była lina, wspięła się po nim szybko i zniknęła.

Minister i jego asystent milczeli przez chwilę. Wreszcie Tallow przerwał ciszę.

–Rozumiesz, Mandrake? – zapytał. – To prawdziwa zagadka. Tego nie zrobił żaden mag, każdy demon wyższego poziomu zostawiłby ślady swojego przejścia. Aura afryta, na przykład, jest wykrywalna przez całe dni. Ale tu nie ma żadnego śladu! Dopóki nie znajdziemy innych dowodów, musimy przyjąć, że zdrajcy z ruchu oporu wynaleźli jakiś nowy środek zaczepny. No cóż, musimy się przygotować, zanim znów uderzą!

–Tak jest.

–Tak... hm, myślę, że zobaczyłeś wystarczająco dużo jak na jeden dzień. Idź i przemyśl to, rozważ problem. – Tallow spojrział na niego z ukosa, a w jego głosie pobrzmiwała ledwie ukryta złowróżbna nuta. – W końcu oficjalnie zajmujesz się tą sprawą, bo dotyczy ona ruchu oporu.

Chłopiec uklonił się sztywno.

–Tak jest.

Minister pomachał mu ręką.

–Możesz odejść. Och, a po drodze, czy zechciałbyś poprosić pana

Ffoukesa, żeby wpadł tu na chwilę?

Na twarzy Nathaniela na moment zagościł uśmiezek.

–Oczywiście, proszę pana. To będzie dla mnie przyjemność.



athaniel był przygnębiony, kiedy tego wieczoru wracał do domu. Dzień mu się nie udał. Przez całe popołudnie bombardowano go pocztą, co oznaczało poruszenie wśród wyższych rangą strów. Jakie są najnowsze wieści z Piccadilly? Czy aresztowano jakichś podejrzanych? Czy należy wprowadzić godzinę policyjną w dzień święta narodowego? Kto właściwie kieruje śledztwem? Czy należy dać policji więcej władzy, żeby rozprawiła się ze zdrajcami pośród nas?

Nathaniel, trudząc się nad sprawą, czuł rzucane z ukosa spojrzenia kolegów i słyszał prześmiewki, jakie za jego plecami wyczyniał Jenkins. Żadnemu z tych ludzi nie ufał; wszyscy bardzo chcieliby zobaczyć jego klęskę. Izolowany, bez sprzymierzeńców, nie miał nawet przyzwoitego służącego, żeby się na nim oprzeć. Te dwa diabliki, na przykład, były beużyteczne. Odesłał je na dobre jeszcze tego popołudnia, a był zbyt przybity, żeby zaaplikować im Ciarki, na które zasłużyły.

Wychodząc z biura myślał, że najbardziej jest mu teraz potrzebny odpowiedni służący. Ktoś z mocą. Ktoś, kto będzie mu posłuszny. Ktoś jak Nemaides Tallowa albo Shubit jego mistrzyni.

Ale łatwiej było powiedzieć niż zrobić.

Wszyscy magowie potrzebują jednej albo więcej demonicznych istot jako osobistych niewolników, a natura tych sług jest pewnym wskaźnikiem statusu ich pana. Wielcy magowie, tacy jak Jessica Whitwell, mieli na usługi potężnego dzina, którego mogli wezwać jednym pstryknięciem palców. Sługą premiera był ni mniej, ni więcej, tylko niebieskozielony afryt – chociaż zaklęcia niezbędne do ujarznienia go zostały uplecione przez kilku asystentów głowy państwa. Na co dzień, większość magów korzystała z usług diablików albo impów – o większej lub mniejszej mocy – które z reguły pomagały swoim panom na drugim planie.

Nathaniel od dawna miał chęć zatrudnić służącego. Najpierw wezwał goblina, który ukazał się w żółtej chmurze siarki. Zmusił go do posłuszeństwa, ale wkrótce uznał, że tiki i grymasy demona są nie do zniesienia, i pozwolił mu odejść.

Potem próbował z diablikiem. Ten, chociaż zachował dyskretną postać, był nałogowym kłamcą, który próbował przekręcać rozkazy Nathaniela i obracać je na własną korzyść. Chłopak był zmuszony ujmować najprostsze nawet polecenia w skomplikowane zwroty prawne, żeby demon nie mógł udawać, że nie wie, o co chodzi. Kiedy stwierdził, że polecenie przygotowania kąpieli zajmuje mu piętnaście minut, jego cierpliwość wyczerpała się. Trzasnął w diablika Gorącymi Palpitacjami i wygnał go na dobre.

Potem było kilka innych prób, podczas których Nathaniel, w poszukiwaniu idealnego służącego, brawurowo wzywał coraz silniejsze demony. Dysponował niezbędną energią i zdolnościami, ale brakowało mu doświadczenia, żeby ocenić charaktery swoich wybrańców, zanim było za późno. W jednej z oprawionych na białą ksiąg swojej mistrzyni znalazł dzina o imieniu Castor, po raz ostatni wzywano go za czasów włoskiego odrodzenia. Demon pojawił się na rozkaz, był uprzejmy i przydatny oraz (co Nathaniel z przyjemnością odnotował) bez porównania bardziej elegancki niż niezgrabne impy kolegów z biura. Niemniej Castor był niezmiernie dumny.

Pewnego dnia w konsulacie perskim odbywało się ważne przyjęcie. Była to okazja dla każdego, żeby pokazać swoich służących i w ten sposób pochwalić się zdolnościami. Z początku wszystko szło dobrze. Castor towarzyszył Nathanielowi w postaci tłustego cherubina o różowej twarzy, posunął się nawet do tego, żeby odziać się w szatę pasującą do krawata swojego pana. Ale ta wstydliva powierzchowność wzbudziła niesmak innych impów, które zaczęły szeptać pod ich adresem obelgi. Castor nie mógł puścić płazem takiej prowokacji; jednym skokiem oddalił się od boku Nathaniela, chwycił kebab z półmiska i nawet nie zdejmując z różną warzyw, przebił nim jak oszczepem pierś najbardziej pyskatego demona. Wynikło z tego pandemonium; kilka impów rzuciło się w wir walki, drugi plan zapełnił się wirującymi kończynami, latającą srebrną zastawą i wykrzywionymi obliczami o wylupiastych oczach. Przywrócenie porządku zajęło magom sporo czasu.

Na szczęście, Nathaniel bezzwłocznie zwolnił Castora i mimo dochodzenia nie udało się stwierdzić, który z demonów zaczął walkę. Chłopak bardzo chętnie ukarałby Castora za jego wyczyny, ale ponowne wzywanie go było nazbyt ryzykowne. Wrócił do mniej ambitnych niewolników.

Niemniej, choć starał się, jak mógł, żaden z tych, których wezwał, nie wykazywał się inicjatywą, mocą i posłuszeństwem, jakich oczekiwał. Tak naprawdę, to nie raz przyłapał się na tym, że nieomal z żalem myślał o swoim pierwszym słudze...

Ale postanowił już więcej nie wzywać Bartimaeusa.

Whitehall wypełnione było tłumkami podekscytowanych plebejuszy spieszących nad rzekę na wieczorną paradę żeglarską i pokaz sztucznych ogni. Nathaniel skrzywił się. Przez całe popołudnie, kiedy on garbił się nad biurkiem, dźwięki maszerujących orkiestr i okrzyki uszczęśliwionych tłumów dobiegały przez otwarte okno, rozprasząc go. Było to jednak oficjalnie usankcjonowane natręctwo i nic nie mógł na to poradzić. W Dzień Założyciela pospólstwo zachęcane było do świętowania. Magowie, od których nie wymagano, żeby łykali bezmyślnie to, co głosiła propaganda, pracowali jak co dzień.

Wszędzie wokół siebie widział zaczerwienione, błyszczące twarze i szczęśliwe uśmiechy. Pospólstwo od wielu godzin korzystało z darmowych poczęstunków i napoi, wydawanych na specjalnych stoiskach rozstawionych po całej stolicy, i oglądało przedstawienia zaaranżowane przez Ministerstwo Rozrywki. W każdym parku w centrum Londynu działy się cuda. Byli tam klauni przechadzający się na szczudłach, połykacze ognia z Pendżabu, rzędy klatek, a w nich egzotyczne bestie albo ponurzy rebelianci złapani podczas kampanii w Ameryce Północnej. Stały stopy skarbów zebranych w całym Cesarstwie, odbywały się pokazy wojskowe, fety i kręciły karuzele.

Po ulicach krążyło niewielu funkcjonariuszy Nocnej Policji, a ci którzy tam byli, robili, co w ich mocy, żeby dostosować się do ogólnej wesołości. Nathaniel zobaczył kilku trzymających patyki z jasnorożową watą cukrową i jednego, szczerzącego zęby w wymuszonym uśmiechu, jak pozował starszej pani do pamiątkowej fotografii z jej mężem. Ludzie mieli dobre nastroje, ku uldze Nathaniela – bo znaczyło to, że wydarzenia na Piccadilly nie zdołały przyciągnąć zbyt dużej uwagi.

Jasne słońce nadal stało wysoko nad połyskującymi wodami Tamizy, gdy Nathaniel wszedł na Most Westminsterski. Zmrużył oczy i dzięki szkłom kontaktowym, wśród krążących w górze mew, odszukał demony wypatrujące zamieszek w tłumie. Zagryzł wargi i kopnął wyrzucony

papierek od falafela. To był właśnie jeden z tych dni, które ruch oporu chętnie wybierał na swoje akcje. Im więcej ludzi o nich wiedziało, tym bardziej niewygodne było to dla rządu... Czy to możliwe, że napad na Piccadilly także był ich sprawką?

Nie, tego nie mógł przyjąć. Nazbyt różniło się to od zwyczajów ruchu. Jego członkowie atakowali na ślepo, dewastując wszystko, co stało na drodze. Zniszczenia nie były dziełem ludzi, cokolwiek ten głupiec Tallow twierdził.

Dotarł do południowego brzegu rzeki i skręcił w lewo, oddalając się od tłumów. Wszedł na teren strzeżonej dzielnicy mieszkaniowej. Przy nabrzeżnej uliczce kołysały się jachty magów. Największym, o najbardziej opływowych kształtach był „Firestorm” pani Whitwell.

Gdy zbliżył się do domów, wystraszył go ryk klaksonu. Limuzyna pani Whitwell stała z włączonym silnikiem przy krawężniku. Znudzony szofer gapił się na niego z przedniego siedzenia. Przez tylną szybę widać było głowę jego mistrzyni. Kiwnęła na niego ręką.

–Nareszcie. Wysłałam impa, ale zdążyłeś już wyjść. Wsiadaj. Jedziemy do Richmond.

–Premier...?

–Chce nas osobiście widzieć. Pośpiesz się.

Nathaniel podbiegł do samochodu. Serce waliło mu jak młotem. Tego rodzaju nagła audyencja nie wróżyła niczego dobrego.

Ledwie zdążył zatrzasnąć drzwi, pani Whitwell dała znak szoferowi. Samochód ruszył tak gwałtownie, że Nathaniel został wciśnięty w oparcie, i pojechał Nabrzeżem. Chłopak opanował się, świadom, że patrzy na niego mistrzyni.

–Domyślałam się, że wiesz, o co chodzi? – powiedziała oschle.

–Tak, proszę pani. Poranny incydent na Piccadilly?

–Oczywiście. Pan Devereaux chce wiedzieć, co robimy w tej sprawie. Zauważ, że powiedziałam „my”, Johnie. Jako osoba odpowiedzialna za Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, znajduję się pod pewną presją. Moi wrogowie będą próbowali mnie pogrążyć. Co im powiem o tej katastrofie? Czy dokonałeś aresztowań?

Nathaniel odchrząknął.

–Nie, proszę pani.

–Na kogo spada wina?



–My... nie jesteśmy całkiem pewni, proszę pani.

–No proszę. Niedawno rozmawiałam z panem Tallowem. Jednoznacznie obciąża tym nich oporu.

–Och, czy... hm, czy pan Tallow także przybędzie do Richmond, proszę pani?

–Nie. Zabieram cię, bo pan Devereaux cię lubi, co może nam pomóc go udobruchać. Pan Tallow zupełnie się do tego nie nadaje. Uważam go za przemyślającego i niekompetentnego. Ha, nie można mu nawet zaufać w kwestii poprawnego wypowiedzenia zaklęcia, o czym świadczy kolor jego skóry. – Parsknęła przez swój blady, cienki nos. – Ty zaś jesteś zdolnym chłopcem – kontynuowała. – Rozumiesz, że jeśli premier straci wobec mnie cierpliwość, ja stracę cierpliwość wobec tych pode mną. Znaczy to, że pan Tallow ma się czym martwić. Drży, kładąc się wieczorem do łóżka. Wie, że śpiącego człowieka mogą spotkać gorsze rzeczy niż nocne koszmary. Na razie chroni cię przed moją niełaską, ale nie ciesz się. Jesteś młody i łatwo cię obwinie o różne sprawy. Pan Tallow już próbuje zrzucić odpowiedzialność na ciebie.

Nathaniel nic nie powiedział. Jessica Whitwell przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, potem odwróciła się, żeby popatrzeć na rzekę, po której, przy dźwięku fanfar, płynęła flotylla małych statków, zmierzając ku morzu. Niektóre z nich były pancernikami, które wyprawiały się do odległych kolonii – ich drewniane poszycie obito metalowymi blachami; inne to łodzie patrolowe zbudowane do służby na wodach europejskich. Wszystkie płynęły pod rozwiniętymi żaglami, łopocąc chorągiewkami. Tłumy na brzegach wiwatowały, serpentyny szybowwały wysoko, żeby opaść na rzekę jak deszcz.

Rupert Devereaux był premierem już prawie dwadzieścia lat. Ten drugorzędny mag okazał się wytrawnym politykiem, któremu udało się utrzymać u władzy dzięki zdolności do skłócania swoich kolegów. Kilkakrotnie chciano go obalić, ale skutecznie działająca siatka szpiegów niemal w każdym przypadku wykrywała spiskowców, zanim zdolali uderzyć.

Devereaux od samego początku zdawał sobie sprawę, że jego panowanie w pewnym stopniu zależy od utrzymania dystansu od mniej ważnych członków rządu zamieszkałych w Londynie, toteż osiadł ze swoim dworem w Richmond, jakieś piętnaście kilometrów od serca stolicy. Raz

w tygodniu zapraszał na narady ważniejszych ministrów, impy-posłańcy utrzymywały ciągły przepływ rozkazów i raportów, dzięki czemu premier był informowany o wszystkim na bieżąco. Jednocześnie mógł folgować swojej skłonności do dobrego życia, któremu to nawykowi sprzyjało odizolowanie w Richmond. Wśród ulubionych rozrywek pierwsze miejsce zajmował teatr. Przez kilka lat premier utrzymywał znajomość z wybitnym dramaturgiem Quentinem Makepeace'em, dżentelmenem o nieograniczonym entuzjazmie, który regularnie bywał w Richmond, żeby wystawiać przed premierem prywatne, jednoosobowe przedstawienia.

Gdy Devereaux postarzał się i stał się mniej energiczny, z rzadka tylko opuszczał Richmond. Kiedy już to czynił – na przykład, żeby odebrać paradę wojsk udających się na kontynent albo żeby obejrzeć premierę teatralną – przez cały czas towarzyszyła mu ochrona składająca się z magów dziewiątego stopnia oraz batalion horli na drugim planie. Od spisku Lovelace'a, kiedy to Devereaux mało nie zginął, zaostrzono środki ostrożności. Paranoja premiera rozrastała się jak chwasty na łajnie, oplatając ściśle wszystkich tych, którzy mu służyli. Żaden z jego ministrów nie mógł się czuć całkowicie bezpieczny ani w kwestii posady, ani w kwestii własnego życia.

Żwirowana droga ciągnęła się między wioskami, które wzbogaciły się dzięki łupom Devereaux, i prowadziła aż do samego Richmond – gromadki ładnych chat stojących na szerokiej, zielonej łące usianej dębami i kasztanowcami. Posiadłość otaczał wysoki ceglany mur z bramą z kutego żelaza wzmocnioną zwyczajnymi zabezpieczeniami magicznymi. Krótki podjazd prowadził wzdłuż przyciętych w sześćciany cisów, wprost do ceglanego podwórza Richmond House.

Limuzyna zatrzymała się przed schodami prowadzącymi do wejścia i czterech ubranych w szkarłat na liberie służących pospieszyło z pomocą. Chociaż nadal było widno, w niektórych wysokich oknach nad przedsionkiem wesoło świeciły jasne latarnie. Gdzieś w oddali kwartet smyczkowy grał z melancholijną elegancją.

Pani Whitwell nie od razu dała znak, żeby otworzyć drzwi samochodu.

–To będzie narada plenarna – powiedziała. – Nie muszę ci mówić, jak masz się zachować. Nie ma wątpliwości, że pan Duvall będzie agresywny.

Ostatniego wieczoru dostrzegł szansę, by zdobyć większe poparcie dla siebie. Oboje musimy być opanowani.

–Tak jest, proszę pani.

–Nie puszczaj tego mimo uszu, John.

Zastukała w szybę; służący przyskoczył, żeby otworzyć drzwi samochodu. Weszli razem do sieni po niskich stopniach z piaskowca. Tutaj muzyka była głośniejsza, leniwie szybowła między bogatymi draperiami i wschodnimi meblami, to nabierając wigoru, to znów cichnąc. Dźwięki zdawały się dochodzić gdzieś z bliska, ale muzyków nie było widać. Nathaniel nie spodziewał się, że ich zobaczy. Poprzednimi razy, gdy odwiedzał Richmond, zawsze słyszał podobną muzykę. Szła za nim wszędzie – nieustanne tło dla piękna domu i ogrodu.

Lokaj poprowadził ich przez ciąg luksusowych pomieszczeń, aż wreszcie przeszli pod wysokim, białym łukiem i wkroczyli do długiego, otwartego, zalanego światłem słonecznym pokoju, który wyglądał na dobudowaną do siedziby oranżerię. Po obu stronach rozciągały się brązowe kwietniki, ładne, schludne, niektóre puste, inne obsadzone różanymi krzewami. Tu i ówdzie, niewidzialne postacie spulchniały glebę grabkami.

W oranżerii było gorąco, powietrze wprawiały w ruch tylko leniwe wentylatory zwisające z sufitu. Poniżej, na ustawionych w półkole sofach i otomanach, spoczywał premier ze swoją świtą, popijając kawę z małych, białych bizantyjskich filiżanek. Wszyscy przysłuchiwali się skardze wygłaszanej przez wielkiego człowieka w białym garniturze. Nathanielowi skurczył się żołądek, kiedy go zobaczył. Był to Sholto Pinn, którego sklep legł w gruzach.

–Uważam to za najbardziej nikczemny akt przemocy – mówił pan Pinn.

–Poważny afront. Poniosłem takie straty...

Kanapa najbliższa drzwi była pusta. Pani Whitwell usiadła na niej, Nathaniel, po chwili wahania, uczynił to samo. Szybko przyjrzał się osobom znajdującym się w pokoju.

Najpierw Pinn. Zazwyczaj Nathaniel traktował tego kupca podejrzliwie i z niechęcią, gdyż był on bliskim przyjacielem tego zdrajcy Lovelace'a. Ale niczego nigdy nie udowodniono, a w tym wypadku Pinn był rzeczywiście stroną pokrzywdzoną. Jego lamenty grzmiały w całym pomieszczeniu.

–...obawiam się, że nigdy z nich się nie otrząsnę. Zniszczona została

moja kolekcja jedyńych w swoim rodzaju artefaktów. Wszystko, co mi



pozostało, to fajansowy garnek pełen bezużytecznej, wyschniętej pasty! Ledwie mogę...

Rupert Devereaux siedział na kanapie z wysokim oparciem. Był średniego wzrostu i średniej budowy ciała, niegdyś przystojny, ale teraz, jako że nie szczędził sobie różnych przyjemności, lekko przybrały mu policzki i brzuch. Słuchał Pinna, a z jego twarzy nie schodził wyraz nudy i irytacji.

Duvall, szef policji, siedział obok z założonymi na piersiach rękami. Swą szarą czapkę położył na kolanach. Nosił charakterystyczny mundur Szarych, elitarnego oddziału Nocnej Policji, którą dowodził: białą koszulę z wysokim kołnierzem, szarą jak mgła marynarkę o kwadratowych ramionach, świeżo wyprasowaną i ozdobioną jaskrawoczerwonymi guzikami, i szare spodnie wetknięte w wysokie czarne buty. Błyszczące epolety z brązu wpijały mu się w ramiona jak szpony. Jego potężna postać w takim odzieniu wyglądała na jeszcze masywniejszą, niż była w rzeczywistości. Siedział cicho, ale jego obecność zdominowała pokój.

Przybyli tu także inni ministrowie. Bezbarwny mężczyzna w średnim wieku o prostych blond włosach, siedząc przyglądał się swoim paznokciom. Był to Carl Mortensen z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Obok niego, ziewając ostentacyjnie, siedziała Helen Malbindi, minister informacji o łagodnym głosie. Sekretarz spraw zagranicznych Marmeduke Fry, człowiek o wielkim apetycie nawet nie udawał, że słucha Pinna; głośno zamawiał u usługnych lokajów dodatkowy lunch.

–...sześć pieczonych kartofli, zielona fasolka krojona w paski...

–...przez trzydzieści pięć lat gromadziłem moje zapasy. Każde z was korzystało z moich doświadczeń...

–...i jeszcze jeden filet z dorsza, jak trzeba, przyprawiony czarnym pieprzem.

Na tej samej kanapie co Devereaux, oddzielony od niego chwiejącym się stosem perskich poduszek, siedział niski, rudowłosy dżentelmen. Ubrany był w szmaragdowozieloną kamizelkę i obcisłe czarne spodnie naszywane cekinami. Do twarzy miał przyklejony szeroki uśmiech. Wyglądał tak, jakby cała ta rozmowa bardzo go śmieszyła. Wzrok Nathaniela zatrzymał się na nim na chwilę. Quentin Makepeace był autorem ponad dwudziestu sztuk, które odniosły sukces. Ostatnia z nich, *Łabędzie Arabii*, pobiła rekordy oglądalności w całym imperium. Jego osoba niezbyt pasowała do tego towarzystwa, ale mimo to można się go było tutaj spodziewać.

Wiedziano, że jest najbardziej zaufanym człowiekiem premiera, i inni ministrowie tolerowali go z ostrożną kurtuazją.

Devereaux dostrzegł przybycie Jessiki Whitwell i uniósł dłoń w geście powitania. Dyskretnie zakaszłał. Potok słów Pinna natychmiast się urwał.

–Dziękuję, Sholto – powiedział premier. – Jesteś niezwykle elokwentny.

Twoje nieszczęście bardzo nas poruszyło. Może teraz uda nam się uzyskać

jakieś odpowiedzi. Jest tu Jessica Whitwell razem z młodym Mandrakiem,

którego, jak sądzę, pamiętasz.

Duvall chrząknął i odezwał się pełnym ironii głosem:

–Któż nie zna wielkiego Johna Mandrakea? Śledzimy jego karierę z

zainteresowaniem, szczególnie jego wysiłki w zwalczaniu tego kłopo

tliwego ruchu oporu. Mam nadzieję, że dokona w tej sprawie przełomu.

Wszystkie oczy utkwione były w Nathanielu. Ukłonił się krótko i sztywno, jak wymagała tego uprzejmość.

–Dobry wieczór państwu. Hm, jak dotąd nie mam potwierdzonych informacji. Dokładnie przeszukujemy miejsce zdarzenia i...

–Wiem! – Medale na piersi szefa policji zabrzączały. – Słyszałeś, Sholto? „Nie mamy potwierdzonych informacji”. Beznadziejne.

Pinn spojrzał na Nathaniela przez monokl.

–Doprawdy. To ogromne rozczarowanie.

–Czas już odebrać tę sprawę Ministerstwu Spraw Wewnętrznych -kontynuował Duvall. – My, z policji, lepiej sobie poradzimy. Należy wreszcie zmiążyć ruch.

–Patrzcie tylko. – Fry podniósł na moment wzrok, po czym wrócił do rozmowy ze służącym:

–A na deser rolada truskawkowa...

–Z pewnością trzeba to zrobić – powiedziała poważnie Helen Malbindi. – Sama poniosłam pewne straty, ostatnio pozbawiono mnie cennej kolekcji afrykańskich masek duchów.

**–Niektórzy z moich wspólników także zostali obrabowani – dodał Carl Mortensen. – A ostatniej nocy na zapleczu sklepu mojego dostawcy dywanów perskich podłożono ogień.**

**Makepeace uśmiechnął się lekko ze swojego kącika.**

**–Prawdę mówiąc, większość z tych przestępstw to mało istotne incydenty, nieprawdaż? W istocie niezbyt nas boją. Ruch to głupcy, tymi wybuchami odsuwają od siebie pospólstwo. Ludzie się ich boją.**

–Mało istotne incydenty? Jak pan może tak mówić – krzyknął Duvall -skoro z dewastowano jedną z najbardziej prestiżowych ulic w Londynie? Nasi wrogowie z całego świata pospieszają do domu, żeby ogłosić dobrą nowinę. Imperium Brytyjskie jest zbyt słabe, aby ustrzec się ataków na własnym podwórku. Rozejdź się to nawet po tej prowincjonalnej Ameryce. Mówię wam. Szczególnie, że atak wydarzył się w dzień Gladstonea.

–Który, przypadkiem, jest śmieszną ekstrawagancją – powiedział Mortensen. – Strata cennych zasobów. Nie rozumiem, po co czcimy tego starego durnia.

Makepeace zachichotał.

–Nie powiedziałbyś mu tego w twarz, Mortensen.

–Panowie, panowie... – Premier poruszył się. – Nie powinniśmy robić sobie żarcików. Pod jednym względem Carl ma rację. Dzień Założyciela to ważne święto i musi zostać należycie uczczone. Otumaniamy ludność błahostkami. Ze Skarbu bierze się miliony na opłacenie darmowej żywności i zabaw. Nawet Czwarta Flota opóźniła wypłynięcie do Ameryki, żeby dać małe dodatkowe przedstawienie. Na wszystko, co psuje obchody święta – i zadaje cios interesowi pana Pinna – musimy szybko zareagować. Obecnie zadaniem Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jest prowadzenie śledztw w takich sprawach. Cóż, Jessico, czy zechciałabyś przedstawić raport...

Whitwell wskazała na Nathaniela.

–Sprawę prowadzi pan Mandrake razem z panem Tallowem. Nie znalazł jeszcze czasu, żeby złożyć mi sprawozdanie. Proponuję, żebyśmy go wysłuchali.

Premier uśmiechnął się dobrotliwie do Nathaniela.

–Zaczynaj, John.

Nathaniel przełknął ślinę. Mistrzynie zostawiała go samego. A więc dobrze.

–Jest jeszcze za wcześnie, żeby orzec, co spowodowało poranne zamieszanie – powiedział. – Może...

Sholto Pinnowi wypadł monokl z oka.

–„Zamieszanie”? – ryknął. – To katastrofa! Jak śmiesz, chłopcze.

**Nathaniel wytrwale trzymał się swego.**

**–Jest za wcześnie, proszę pana – powiedział – żeby stwierdzić, czy rzeczywiście ruch oporu w ogóle brał w tym udział. Równie prawdopodobne**

jest to, że nie miał nic wspólnego z tymi wydarzeniami. Mogli to być agenci obcych mocarstw albo przejaw złości rodzimego renegata. W tej sprawie są dziwne przesłanki... Pan Duvall podniósł owłosioną rękę.

–Śmieszne! To na pewno atak ruchu. Ma wszelkie znaki szczególne ich przestępstw.

–Nie, proszę pana. – Nathaniel zmusił się, żeby wytrzymać spojrzenie szefa policji. Nie miał zamiaru dać się zastraszyć. – Ataki ruchu są przeprowadzane na małą skalę z użyciem magii niższego poziomu: szklanych pojemników z moulerami lub kul żywiołów. Celem są zawsze osoby związane z władzą, magowie lub przedsiębiorcy, którzy nas zaopatrują. Działania planowane są z dużym marginesem bezpieczeństwa i przeprowadzane są błyskawicznie. Przypadek na Piccadilly jest inny. Użyto tam brutalnej siły, a całe zdarzenie trwało dość długo. Budynki zostały zniszczone od wewnątrz, ściany zewnętrzne pozostały prawie nietknięte. Krótko mówiąc, uważam że coś, przy pomocy magii wysokiego poziomu, kontrolowało zniszczenie.

–Ale nie znaleziono dowodów na obecność impów albo dżinów – odezwała się Jessica Whitwell.

–Nie, proszę pani. Metodycznie przeczesałmy obszar, szukaliśmy wskazówek i niczego nie znaleźliśmy. Nie było konwencjonalnych śladów magii, co zdaje się wykluczać obecność demonów. Nie odkryto też śladów działania człowieka. Demony obecne podczas ataku zostały zabite przy użyciu jakiejś silnej magii, ale nie jesteśmy w stanie zidentyfikować jej źródła. Gdyby wróg uderzył jeszcze raz, to myślę, że nadal wyprzedzałby nas o krok, chyba że zmienilibyśmy taktykę.

–Musimy dać więcej uprawnień Szarym – powiedział Duvall.

–Z całym szacunkiem – odparł Nathaniel – sześć waszych wilków nie wystarczyło ostatniej nocy.

Zapadła krótka cisza. Małe oczka Duvalla przebiegły od stóp do głów po Nathanielu. Szef policji miał krótki, ale nad wyraz szeroki nos, podbródek zaś niebieski od zarostu i wystający jak pług śnieżny. Milczał, ale wyraz jego oczu był oczywisty.

–Cóż, to było jasno powiedziane – rzekł wreszcie Devereaux. – Więc

jakie są twoje sugestie, John?

To było to. Musiał chwycić się tej szansy. Wszyscy czekali, aż powinie mu się noga.

–Uważam, że mamy wszelkie podstawy, by przypuszczać, iż sprawca znów zaatakuje – powiedział. – Na pierwszy cel wybrał Piccadilly, jedną z najpopularniejszych ulic i atrakcji turystycznych Londynu. Być może chce nas upokorzyć, zasiać niepewność wśród gości z zagranicy, podkopać naszą międzynarodową pozycję. Bez względu na przyczynę, musimy zacząć patrolować całą stolicę przy pomocy dzinów wysokiego poziomu. Rozstawiłbym je niedaleko innych znanych centrów handlowych i obiektów turystycznych, takich jak muzea i galerie. Tym razem, gdyby coś się stało, moglibyśmy działać szybko.

Ze strony ministrów rozległy się głosy dezaprobaty i wybuchła ogólna wrzawa. Pomysł był śmieszny. Kule obserwacyjne już patrolowały miasto, policja też podwoiła patrole na ulicach. Dżiny wysokiego poziomu wymagały ogromnego wydatku energii... Tylko premier nie zabrał głosu. I Makepeace, który rozsiadł się na kanapie z wesołym wyrazem twarzy.

Devereaux poprosił o ciszę.

–Wydaje mi się, że dowody są niewystarczające. Czy to akt przemocy dokonany przez ruch oporu? Może tak, może nie. Czy szersza inwigilacja będzie pomocna? Kto wie? Hm, podjąłem decyzję. Mandrake, w przeszłości dowiodłeś, że jesteś więcej niż zdolny. Teraz bądź taki sam. Zorganizuj inwigilację i wysledź sprawców. Zajmij się też ruchem. Żądam wyników. Jeśli ministerstwo zawiedzie – spojrział przy tym znacząco na Nathaniela i panią Whitwell – będziemy musieli nakazać innym organom, żeby zajęły się sprawą. Proponuję, żebyście teraz poszli i zastanowili się nad wyborem demonów. Co do pozostałych, jest Dzień Założyciela i powinniśmy świętować. Chodźmy na obiad!

Jessica Whitwell nie odezwała się, dopóki pomrukujący samochód nie zostawił Richmond daleko z tyłu.

–Zrobiłeś sobie wroga z Duvalla – powiedziała wreszcie. – I nie sądzę, żeby pozostali żywili do ciebie inne uczucia. Ale teraz to najmniejsze z twoich zmartwień. – Popatrzyła na drzewa ciemniejące w mroku. –

Wierzę w ciebie, Johnie – kontynuowała. – Twój pomysł może okazać się owocny. Porozmawiaj z Tallowem, puść ministerstwo w ruch, wyślij swoje demony. – Przesunęła długą, wąską ręką po włosach. – Sama nie mogę skupić się na tym problemie. Mam za dużo roboty z przygotowaniem kampanii amerykańskich. Ale jeśli uda ci się wykryć naszego wroga, jeśli



przywrócisz choć część chwały Ministerstwu Spraw Wewnętrznych, zostaniesz sownie wynagrodzony... – W tej wypowiedzi zawarte było stwierdzenie, co się stanie, jeśli będzie wręcz przeciwnie. Whitwell nie powiedziała tego jednak głośno, nie musiała. Nathaniel poczuł, że musi jej odpowiedzieć.

–Tak, proszę pani – odparł chrapliwie. – Dziękuję.

Czarodziejka powoli skinęła głową. Spojrzała na Nathaniela, a ten, mimo że tak wielbił i szanował swoją mistrzynię, mimo lat spędzonych w jej domu, poczuł nagle, że spogląda na niego bezdusznie, jakby z bardzo daleka. Tak mógł patrzeć wiszący w powietrzu jastrząb na mizernego królika, rozważając, czy wart jest nurkowania. Chłopak stał się nagle aż nazbyt świadom swojej młodości i wrażliwości na ciosy w obliczu potęgi tej kobiety.

–Nie mamy wiele czasu – powiedziała mistrzyni. – Dla twojego

własnego dobra, mam nadzieję, że trzymasz pod ręką jakiegoś

kompetentnego demona.

*Bartimaeus*

## 10

czywiście, jak zwykle próbowałem stawić opór. Wyteżyłem całą siłę, żeby nie dać się wyciągnąć, ale słowa były po prostu zbyt silne. Każda sylaba jak harpun wbijała się w moją esencję, a wszystkie razem szarpały mnie i ciągnęły. Przez trzy krótkie sekundy łagodna grawitacja Zaświatów pozwoliła mi zwlekać... i wtedy, zniemacka, jej wsparcie osłabło, a ja zostałem wyszarpięty jak dziecko odstawione od matczynej piersi.

Nagle moja esencja została sprasowana, wyciągnięta na nieskończoną długość i chwilę później wygnana na świat, w znane mi, znieawidzone ograniczenia pentagramu.

Tam, idąc za odwiecznymi prawami, natychmiast się zmaterializowałem.

Jaką postać przybrać? Wezwanie okazało się potężne – nieznanemu mag z pewnością był doświadczony i dlatego mało prawdopodobne, żeby wystraszył się ryczącego potwora albo widma. Toteż zdecydowałem się na delikatne, eleganckie przebranie, żeby porywacz był pod wrażeniem mojego niesłychanego wyrafinowania.

Było tak szykowne, że mucha nie siada, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Wielka, opalizująca bańka, pobłyskująca perłowo, kręciła się powoli w po-

wietrze. Rozchodziły się łagodne zapachy aromatycznego drzewa, a wraz z nimi ledwie słyszalna – jakby dobiegała gdzieś z daleka – eteryczna muzyka harf i skrzypiec. W bańce siedziało piękne dziewczę w okularach na zgrabnym nosku\*. Spojrzała łagodnym wzrokiem... I wydała okrzyk pełen zaskoczenia i furii.

–Ty!

–No, tylko spokojnie, Bartimaeusie...

–Ty! – Eteryczna muzyka urwała się z nieprzyjemnym zgrzytem, łagodne aromaty zmieniły się w zjełczały odór. Piękna dziewczęca twarz spurpurowiała, oczy wyszły z niej na wierzch, jak jajka w koszulkach, szkła okularów popękały. Usta jak pączek róży otworzyły się, ukazując ostre, żółte, wściekle szczękające zęby. W bańce zaczęły tańczyć płomienie, a jej powierzchnia niebezpiecznie nabrzmiała, jakby zaraz miała wybuchnąć. Obracała się tak szybko, że powietrze zaczęło świstać.

–Posłuchaj choć przez chwilę...

–Mieliśmy umowę! Obaj sobie przysięgaliśmy!

–Hm, to niezupełnie tak...

–Nie? Tak szybko zapomniałeś? A to było niedawno, prawda? Ja zagubiłem się w Zaświatach, ale ty niewiele się zmieniłeś. Nadal jesteś dzieckiem!

Pozbierał się.

–Jestem ważnym członkiem rządu...

–Nawet się jeszcze nie golisz. Ile to trwało? Dwa lata, może trzy?

–Dwa lata i osiem miesięcy.

–Więc masz teraz czternaście lat. I znowu mnie wzywasz.

–Tak, ale poczekaj chwileczkę, wtedy nie odplącałem się przysięgą ze swojej strony. Po prostu pozwoliłem ci odejść. Nigdy nie mówiłem...

–...że ponownie mnie nie wezwiesz? Ale to jasno wynikało z całej

reszty. Ja zapominam twoje prawdziwe imię, ty zapominasz moje. Umowa

\* Jej twarz stworzyłem na podstawie wyglądu westalki, którą spotkałem w Rzymie. Była to

**kobieta cudownie niezależna. Nazywała się Julia i zwykła była wymykać się nocą od świętego płomienia, żeby obstawiać rydwany na wyścigach w Circus Maximus. Oczywiście nie nosiła okularów. Włożyłem je teraz, żeby nadać twarzy trochę więcej powagi. Nazwijcie to inwencją twórczą.**

stoi. Ale teraz... – Wewnątrz wirującego bąbla piękna dziewczęca twarz doznawała ewolucyjnego regresu. Pojawiło się wypukłe czoło, ostry nos, czerwone oczka... małe okrągłe okularki jakoś do tego nie pasowały. Dziewczyna chwyciła je pazurami i wepchnęła do ust, a ostre zęby zmiażdżyły szkła i oprawki i przemielily na proszek. Chłopiec uniósł rękę.

–Przestań się wściekać i posłuchaj mnie choć przez chwilę.

–Słuchać ciebie? A niby dlaczego miałbym to robić, skoro ból ostatniego razu ledwie ucichł? Powiem ci, że spodziewałem się dłuższego rozstania niż na dwa lata...

–Dwa lata i osiem miesięcy.

–...dwa mizerne ludzkie lata, żeby uporać się z urazem psychicznym po spotkaniu z tobą. Jasne, wiedziałem, że pewnego dnia jakiś idiota w szpiczastym kapeluszu znów mnie sprowadzi, ale nie wyobrażałem sobie, że będzie to ten sam idiota, co ostatnim razem!

Zacisnął wargi.

–Ja nie mam szpiczastego kapelusza.

–Jesteś durniem! Znam twoje prawdziwe imię, a ty sprowadziłeś mnie z powrotem wbrew mojej woli. Cóż, doskonale, bo mam zamiar rozkrakać je na wszystkie strony z dachu, zanim przyjdzie na mnie kryska!

–Nie... przysięgałeś...

–Moja przysięga jest nieważna, skończona, anulowana, powróciła do nadawcy bez otwierania. Obaj zagramy w twoją grę, chłopcze. – Dziewczęcej twarzy już nie było. Zamiast niej, zwierzęca postać, o ogromnych kłach i skołtunionej sierści, rzuciła się na ściankę bańki, jakby chciała ją rozerwać i wyjść na wolność.

–Może dasz mi chwilę na wyjaśnienia! Wyświadczam ci przysługę!

–Przysługę? Och, chłopcze, to będzie bezcenna przysługa! Muszę tego posłuchać.

–Skoro tak, to siedź cicho przez pół sekundy i pozwól mi mówić.

–W porządku! Świetnie! Będę cicho.

–Dobrze.

–Będę cichy jak grób. Przy okazji, to twój grób.

**–Skoro tak...**

**–I zobaczymy, czy choć w najmniejszej mierze będziesz w stanie się wytłumaczyć, bo wątpię...**

–Zamknij się wreszcie! – Mag uniósł nagle dłoń i poczułem ciśnienie po zewnętrznej stronie bańki. Natychmiast przestałem gadać.

Nabrał oddechu, przyglądał włosy i zupełnie niepotrzebnie poprawił sobie mankiety.

–Zgadza się – powiedział. – Jestem o dwa lata starszy, jak się domyśliłeś. Ale jestem też o dwa lata mądrzejszy. I muszę cię ostrzec, że nie użyję Klatki Bólu, jeśli będziesz się źle zachowywał. Nie. Czy doświadczyłeś już Odwróconej Skóry? Albo Skręcenia Esencji? Oczywiście, że tak. To nieuniknione, jeśli się ma taki charakter jak ty\*. Zatem nie wystawiaj teraz mojej cierpliwości na próbę.

–Już przez to przechodziliśmy – powiedziałem. – Pamiętasz? Znasz moje imię, ja znam twoje. Nałożysz na mnie karę, jak odpłacę ci tym samym. Nie ma zwycięzców. Sami przegrani.

Chłopiec westchnął i pokiwał głową.

–To prawda. Może obaj powinniśmy podejść do tego łagodniej. – Skrzyżował ramiona i przez chwilę ponuro spoglądał na moją bańkę\*\*.

I ja patrzyłem na niego, obojętnie. Na twarzy nadal malował mu się ten blady, wygłodniały wyraz. O ile dobrze mogłem to zobaczyć, gdyż ukrywał się za pokaźną grzywą włosów. Mógłbym przysiąc, że od czasu gdy go po raz ostatni widziałem, trzymał się z dala od fryzjerskich nożyczek. Loki spływały mu z karku niczym czarna, tłusta Niagara.

Co do reszty, nie był już taki chudy, ale nie tyle zmężniał, co niezgrabnie się wyciągnął. Wyglądał tak, jakby jakiś olbrzym chwycił go za głowę i stopy, szarpnął raz, a potem odszedł zde gustowany. Tors miał wąski jak wrzeciono, ramiona i nogi tyczkowate i niezgrabne, stopy i dłonie z lekka przywodziły na myśl małpę.

Ten tyczkowaty wygląd podkreślało jego ubranie: elegancki garnitur, tak ciasny, jakby namalowano go wprost na ciele; śmieszny, długi czarny płaszcz; buty o noskach ostrych jak sztylety i falbaniasta chusteczka,

\* Niestety, miał rację. Cierpiałem niegdyś z powodu obu tych tortur. Odwrócona Skóra jest szczególnie męcząca. Sprawia, że trudno się poruszać, a rozmawiać prawie w ogóle nie sposób. I diabelnie bolą was miękkie części ciała.

\*\* Która wisiała teraz bez ruchu jakiś metr nad podłogą. Jej powierzchnia była półprzezroczysta, a potwór ze środka zniknął.

rozmiarów małego namiotu, zwisająca z kieszonki. We własnych oczach wyglądał zapewne oszalamiająco i elegancko.

Mogłem to wykorzystać, żeby rzucić parę obelg, ale liczyłem się ze swoim czasem. Szybko rozejrzałem się po pokoju, który wyglądał na pomieszczenie służbowe do odbywania narad, znajdujące się prawdopodobnie w jakimś budynku rządowym. Podłoga była wyłożona drewnem, gładkim, bez sęków i uszkodzeń. Najwyraźniej chodziło o to, żeby nie przeszkadzały w konstruowaniu pentagramów. W oszklonym kredensie, w rogu, leżała kreda, linijki, kompasy i papiery. Kredens obok wypełniały słoje i butle zawierające kilkanaście tuzinów kadzideł. Poza tym pokój był kompletnie pusty. Ściany pomalowano na biało, a przez kwadratowe okno – umieszczone wysoko – zaglądała ciemna noc. Pomieszczenie oświetlały zakurzone żarówki zwisające w pęku spod sufitu. Jedyne drzwi, wykonane z żelaza, zostały zaryglowane od wewnątrz.

Chłopiec przerwał rozmyślenia, znów poprawił mankiety i zmarszczył brwi. Na twarzy malował mu się jakiś ból – albo próbował być poważny, albo miał problemy z trawieniem. Trudno było rozróżnić.

–Bartimaeusie – powiedział grzmiąco. – Słuchaj uważnie. Wierz mi,

że głęboko żałuję, iż ponownie cię sprowadziłem, ale nie miałem wiel

kiego wyboru. Wiele się tutaj zmieniło i obaj zyskamy na odświeżeniu

naszej znajomości.

Przerwał, myśląc zapewne, że poczynię jakąś budującą uwagę. Nic z tego. Bańka pozostała drętwa i nieruchoma.

–Mówiąc krótko, sytuacja wygląda tak – kontynuował. – Rząd, do

którego teraz należę\*, planuje przeprowadzić tej zimy ofensywę lądową

na kolonie w Ameryce. Walka będzie wiele kosztować obie strony, ale

skoro kolonie odmawiają podporządkowania się woli Londynu, niestety

nie ma innej rady. Nie unikniemy rozlewu krwi. Rebelianci są dobrze

zorganizowani i mają własnych magów, a niektórzy z nich dysponują

znaczną mocą. Żeby ich pokonać, wysyłamy wielką armię magów-

**wojowników z ich dżinami i demonami niższego poziomu.**

**Poruszyłem się, słysząc to. W boku bańki otworzyły się usta.**

**\* W tym momencie znów przygładził włosy. Ten pompatyczny gest kogoś mi przypominał, ale nie mogłem sobie przypomnieć, kogo.**



–Przegracie tę wojnę. Byłeś kiedy w Ameryce? Pomieszkiwałem tam od czasu do czasu przez dwieście lat. Cały kontynent to jedna dzicz rozciągająca się na wszystkie strony. Rebelianci zrobią odwrót, wciągną was w niekończącą się wojnę partyzancką i wykrwawią na śmierć.

–Nie przegramy, ale masz rację, to będzie trudne. Zginie wielu ludzi i wiele dżinów.

–Z pewnością wielu ludzi.

–Dżiny giną równie szybko. Czyż nie było tak do tej pory? Bywałeś już w wielu bitwach. Wiesz, jak to jest. I właśnie dlatego wyświadczam ci przysługę. Starszy archiwista przejrzał dokumenty i spisał listę demonów, które mogłyby się przydać podczas kampanii amerykańskiej. Twoje imię jest na tej liście.

Wielka kampania? Lista demonów? Wydawało mi się to nieprawdopodobne. Ale stąpałem ostrożnie, starając się wyciągnąć z niego więcej. Bańka drgnęła, co przypominało trochę wzruszenie ramieniem.

–Dobrze – powiedziałem. – Lubilem Amerykę. Bardziej niż ten barłóg,

Londyn, który nazywałeś domem. Żadnego wstrętnego miejskiego

ścisku, tylko szerokie trakty nieba i zielonych łąk z górami o białych

szczytach wznoszącymi się z... – Żeby podkreślić zadowolenie, sprawilem,

że w bańce pojawił się pysk szczęśliwego bizona.

Chłopiec obdarzył mnie znajomym uśmiechem cienkich warg, którego tak serdecznie nie znosiłem przed dwoma laty.

–Ach. Przez jakiś czas nie było cię w Ameryce, prawda? Bizon spojrzał na niego spode łba.

–A co?

–To, że teraz są tam miasta wzdłuż całego wschodniego wybrzeża.

Parę nawet może równać się rozmiarami z Londynem. Na tym polega

kłopot. Za cywilizowanym pasem rozciąga się dzicz, o której mówiłeś,

ale to nas nie interesuje. Będziecie walczyć w miastach.

Bizon zaczął przyglądać się swojemu kopytu z udawanym brakiem zainteresowania.

**–Nic mnie to nie obchodzi.**

**–Nie? Nie wołałbyś raczej pracować tutaj, dla mnie? Mogę cię wyciągnąć z listy poboru.**

**Zadanie wykonasz w określonym czasie, zaledwie kilku tygodni – trochę obserwacji znacznie mniej niebezpiecznych niż**

–Obserwacja? – zacząłem być zgryźliwy. – Poproś jakiegoś impa.

–Amerykanie mają afryty, jeśli o tym nie wiesz. Tego już było za wiele.

–Och, proszę – powiedziałem. – Sam sobie dam radę. Udało mi się przetrwać bitwę o Al-Arish i oblężenie Pragi i nie potrzebowałem cię, żebyś mnie trzymał za rączkę. Spójrzmy prawdzie w oczy. Musisz być w dużych tarapatach, bo nie sprowadziłbyś mnie tutaj ponownie. Szczególnie, jeśli się weźmie pod uwagę, co wiem... a więc, Natusiu?

Przez moment wydawało się, że chłopak wybuchnie. Ale opanował się w porę. Ze znużeniem wypuścił powietrze, nadymając policzki.

–W porządku – powiedział. – Przyznaję. Nie wezwałem cię tutaj tylko po to, żeby wyświadczyć ci przysługę.

Bizon przewrócił oczami.

–Ojej, cóż za szok.

–Mam kłopoty – kontynuował chłopiec. – Szybko potrzebuję rezultatów. Bo jeśli nie – z całej siły zacisnął zęby – możliwe, że... się mnie pozbędą. Wierz mi, że z rozkoszą wezwałbym dem... dzina o lepszych od twoich manierach, ale mam zbyt mało czasu, żeby dobrze się rozejrzeć.

–Teraz słyszę prawdę – powiedziałem. – Ta amerykańska opowieść to kłamstwo od początku do końca, co? Chciałeś zaskarbić sobie moją wdzięczność. Cóż. Trudna sprawa. Nie jestem zachwycony. Znam twoje imię i mam zamiar go użyć. Jeśli masz chociaż połowę mózgu, szybko się mnie pozbędziesz. Koniec rozmowy. – Żeby to podkreślić bizon uniósł pysk i obrócił się wyniośle w bańce.

Chłopiec aż podskakiwał z podniecenia.

–Ależ... Bartimaeusie...

–Nie! Proś, ile chcesz, ten bizon nie będzie cię słuchać.

–Ja nie będę cię prosić! – Teraz jego gniew ukazał się w całej krasie. No, no, ależ to był

**straszliwy potok dąsów. – Słuchaj uważnie – parsknął chłopiec. – Jeśli mi nie pomożesz, nie przetrwam. To może nie mieć dla ciebie znaczenia...**

**Bizon popatrzył przez ramię szeroko otwartymi oczami.**

**–Cóż za moc! Czytasz w moich myślach!**

**–...ale kampania amerykańska powinna. Ona jest faktem. Przyznaję, nie ma listy, ale jeśli mi odmówisz i stracę życie, to zanim się to stanie,**

sprawię, żeby twoje imię zostało zarekomendowane naszym żołnierzom, którzy będą walczyć za oceanem. Wtedy wyjawisz moje imię komu będziesz chciał i nic ci z tego nie przyjdzie. Mnie już nie będzie i nie dostanę za swoje. A więc masz wybór – zakończył, ponownie zakładając rękę. – Popracujesz trochę u mnie albo będziesz walczył w Ameryce.

–Czy to prawda? – zapytałem.

Oddychał ciężko; włosy opadały mu na oczy.

–Tak. Zdradzając mnie, sporo ryzykujesz.

Bizon odwrócił się i popatrzył na niego przeciągle i twardo. Bądźmy szczerzy, parę dni spędzonych na obserwowaniu kogoś było nieskończenie lepszą propozycją niż udział w wojnie. Bitwy mają okropny zwyczaj wymykania się spod kontroli. I choć byłem zły na młodzika, to zawsze uważałem, że jest odrobinę sympatyczniejszym panem niż większość z nich. Nie wiedziałem tylko, czy takim pozostał. Czasu minęło jednak niewiele, więc może nie uległ całkowitemu zepsuciu. Rozpiąłem bąbel z przodu i wysunąłem się, trzymając brodę na kopycie.

–Hm, zdaje się, że znów wygrałeś – powiedziałem spokojnie. – Chyba

nie mam wyboru.

Wzruszył ramionami.

–Jeśli w ogóle, to niewielki.

–W takim razie – kontynuowałem – może przynajmniej podasz mi trochę informacji. Widzę, że wysoko zaszedłeś. Jakie masz stanowisko?

–Pracuję w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

–Sprawy wewnętrzne? Czy to nie była domena Underwooda? – Bizon uniósł brew. – Aha... ktoś poszedł w ślady swojego starego mistrza...

Chłopiec przygryzł wargę.

–Nie ja. To nie ma z tym nic wspólnego.

–Może ktoś nadal czuje się trochę winny jego śmierci...?\*

Chłopiec zaczerwienił się.

–Bzdura! To kompletny przypadek. Moja nowa mistrzyni zapropono

wała mi tę posadę.

**\* W wyniku kradzieży pewnego amuletu i kilku oszustw Nathaniel nieumyślnie doprowadził przed dwoma laty do śmierci swojego mistrza. Wtedy gryzło go z tego powodu sumienie. Chciałem wiedzieć, czy tak jest nadal.**

–A tak, oczywiście. Pachnąca pani Whitwell. Rozkoszne stworzenie\*.

–Przyglądałem mu się uważnie, gotując się do małej potyczki. – Czy doradza ci też w kwestii mody? Cóż to za komicznie obcisłe spodnie, jak druga skóra? Można przez nie przeczytać metkę na twoich majtkach. A co do tych mankietów...

Najeżył się.

–To bardzo droga koszula. Mediolański jedwab. A duże mankiety to ostatni krzyk mody.

–Wyglądają jak przepychacze do toalet. Aż się dziwię, że cię nie wciągnęło do zlewu. Dlaczego ich nie obetniesz i nie przyszyjesz do drugiego garnituru? Nie może być chyba niczego gorszego niż ten, który jużnosisz. I można będzie z nich zrobić śliczną opaskę na twoje włosy.

Łatwo było zauważyć, że kpiny na temat ubrania bardziej go irytowały niż uwaga na temat Underwooda. Przez te lata zmienił się jednak na tyle, że próbował opanować furję, pociągając się za mankiety i przyglądając co i rusz włosy.

–Popatrz na siebie – rzekłem. – Tyle nowych przyzwyczajęń. Idę o zakład, że kopiujesz je od jednego z tych waszych drogocennych magów.

Opuścił rękę, którą przyglądał włosy.

–Nieprawda.

–Prawdopodobnie małpujesz panią Whitwell, tak bardzo chcesz być taki jak ona.

Chociaż nienawidziłem tego miejsca, przyjemnie było tu wrócić i popatrzeć, jak chłopak znów wije się z wściekłości. Pozwoliłem mu się wyłócić w jego pentagramie.

–Na pewno nie zapomniałeś – powiedziałem radośnie po chwili. –

Wzywasz mnie, a odszczekiwanie masz za darmo. To część pakietu.

Zajęczał, trzymając ręce przy twarzy.

–Nagła śmierć nie jest tak przerażająca.

Teraz poczułem się trochę lepiej. Przynajmniej ustaliliśmy na nowo zasady naszej współpracy.

\* Mówiłem to, oczywiście, ironicznie. Whitwell można było nazwać całkowicie nieprzyjemnym

**„przypadkiem”. Wysoka i chuda jak kość, miała kończyny cienkie jak patyki. Dziwiło mnie, że nie krzesze iskier, krzyżując nogi.**



–No, powiedz mi kogo mam obserwować i dlaczego – rzekłem. –

Mówisz, że to proste?

Opanował się. – Tak.

–A jednak twoja praca i twoje życie zależy od tego.

–Zgadza się.

–Więc nie ma w tym niczego, co choć trochę byłoby niebezpieczne albo skomplikowane?

–Nie. Hm... – przerwał. – Niewiele. Bizon ponuro postukał kopytem.

–Mów dalej... Chłopiec westchnął.

–Gdzieś w Londynie znajduje się coś niezwykle niszczycielskiego. Nie jest to marid, afryt ani dżin. Nie pozostawia magicznych siadów. Rozwaliło pół Piccadilly ostatniej nocy, powodując ogromne straty. Zniszczeniu uległ Sklep u Pinna.

–Naprawdę? Co się stało z Simpkinem?

–Tym diablikiem? Och, zginął.

–Oj! Co za strata\*.

Chłopiec wzruszył ramionami.

–Spoczywa na mnie część odpowiedzialności za bezpieczeństwo w sto

licy, a więc i część blamażu. Premier jest wściekły, a moja mistrzyni

odmówiła mi ochrony.

–Dziwisz się? Ostrzegalem cię przed tą Whitwell.

Wyglądał na przygnębionego.

–Jeszcze pożałuje swej nielojalności, Bartimaeusie. Tak czy inaczej, tracimy czas. Jesteś mi potrzebny, żeby odszukać napastnika. Organizuję grupę magów, którzy wyślą na poszukiwanie swoje dżiny. Co ty na to?

–Miejmy to już za sobą – powiedziałem. – Jakie są moje obowiązki i zapłata?

**Popatrzył na mnie wściekle zza opadającej grzywki.**

**–Proponuję podobny kontrakt, co ostatnim razem. Zgadzasz się służyć mi, nie ujawniając mojego imienia. Jeśli będziesz gorliwy i ograniczysz**

**\* Powiedziałem to z żalem. Odebrano mi możliwość zemsty.**

obraźliwe uwagi do minimum, to okres twojej służby będzie możliwie jak najkrótszy.

–Chcę konkretnego terminu. Żadnych niejasności.

–W porządku. Sześć tygodni. Dla ciebie to tyle, co ułamek sekundy.

–A moje obowiązki?

–Ochrona swojego pana, czyli mnie. Obserwacja wskazanych miejsc w Londynie. Wytropienie i identyfikacja nieznanego wroga. No i jak?

–Obserwacja jest w porządku. Punkt o ochronie jest trochę naciągnięty. Może z niego zrezygnujemy?

–Nie, wtedy nie będę ci mógł zaufać. Możesz mnie zdradzić. Żaden mag sobie na to nie pozwoli\*. Wbijesz mi nóż w plecy przy pierwszej nadarzającej się okazji. Więc jak, przyjmujesz?

–Tak.

–Przygotuj się do przyjęcia obowiązków! – Uniósł ramiona, wystawił podbródek, ale poza nie wywierała szczególnego wrażenia ze względu na włosy, które opadały mu na oczy. Wyglądał w każdym calu na swoje czternaście lat.

–Daj spokój. Pozwól, że ci pomogę. Jest już późno. Powinieneś być w łóżku. – Bizon nosił teraz na pysku okulary dziewczęcia. – A co sądzisz o tym...? – Zaintonowałem nudnym, oficjalnym tonem: – Będę ci służył przez sześć tygodni. Przyrzekam nie ujawniać w tym czasie twojego imienia...

–Mojego imienia nadanego przy narodzinach.

–Och, w porządku... twojego imienia nadanego ci przy narodzinach żadnemu człowiekowi, który znajdzie się na mojej drodze. No i jak?

–Nie wystarczy, Bartimaeusie. To nie jest kwestia zaufania, raczej uzupełnienia. Proponuję: „żadnemu człowiekowi, impowi, dżinowi ani innemu czującemu duchowi na tym świecie czy innym, na którymkolwiek z planów; ani nie wyszepczę sylab tego imienia w taki sposób, by echo mogło zostać usłyszane; ani nie naszepczę ich do butelki, jamki czy innego sekretnego miejsca; ani nie napiszę ich czy w inny sposób nie uczynię inskrypcji w żadnym ze znanych języków tak, żeby jego znaczenie mogło być odcyfrowane”.

\* I tu się mylił. Jeden czarodziej darował sobie klauzule ochronne i zaufał mi. Był to Ptolemeusz, oczywiście. Ale on był wyjątkiem. Nic takiego już więcej się nie zdarzyło.



Wystarczy. Powtarzałem ponuro słowa. Sześć długich tygodni. Przynajmniej zapomniał o jednym skutku roty, którą mu przedstawiłem: po upływie terminu będę mógł mówić, co chcę. I zrobię to, jeśli tylko będę miał najmniejszą szansę.

–Doskonale – powiedziałem. – Załatwione. Powiedz mi coś więcej o tym twoim nieznanym wrogu.

*Część Z*

⟨KLtty

## 11

ankiem po Dniu Założyciela pogoda znacznie się pogorszyła. Szarobure chmury zgromadziły się nad Londynem i zaczął padać rzadki deszczyk. Ruch na ulicach szybko zmalął, a członkowie ruchu oporu, którzy normalnie snuliby się po mieście, wyszukując nowe cele, zgromadzili się w bazie.

Punktem spotkań był mały, ale dobrze wyposażony sklepik w samym sercu Southwark. Sprzedawano tam farby, pędzle i inne akcesoria dla artystów. Cieszył się popularnością wśród plebejuszy mających artystyczne zainteresowania. Kilkaset metrów na północ, za rzędem rozwalających się magazynów płynęła Tamiza. Za nią rozciągało się centrum Londynu, w którym królowali magowie. Ale Southwark było względnie biedne, pełne drugorzędnych przedsiębiorstw produkcyjnych i handlowych, toteż magowie rzadko tu bywali.

Co bardzo odpowiadało zgromadzonym w sklepie z artykułami artystycznymi.

Kitty stała za szklaną ladą, sortując ryzy papieru według rozmiaru i wagi. Po jej jednej stronie, na kontuarze, leżał stos zwiniętych w rulony pergaminów, przewiązanych sznurkami, mały stojak ze skalpelami i sześć wielkich szklanych słoików najeżonych pędzlami z końskiego włosia. Po drugiej stronie, trochę zbyt blisko, żeby mogło jej być wygodnie,

znajdował się tyłek Stanleya. Siedział na ladzie ze skrzyżowanymi nogami z głową zanurzona w porannej gazecie.

–Zwalają na nas winę, wiesz? – powiedział.

–Za co? – zapytała Kitty. Wiedziała dobrze.

–Za tę okropność w śródmieściu. – Stanley zgiął gazetę w pół i złożył ją elegancko na kolanach. – Cytuję: „Po akcie przemocy na Piccadilly, przedstawiciel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pan John Mandrake, uprzedził wszystkich lojalnych obywateli, żeby zachowali czujność. Zdrajcy odpowiedzialni za tę rzeź nadal chodzą wolni po Londynie. Podejrzenia padły na tę samą grupę, która dokonała serii wcześniejszych ataków w Westminsterze, Chelsea i na Shaftesbury Avenue”. Shaftesbury Avenue... Hej, to my, Fred!

Fred tylko mruknął. Siedział na wiklinowym krześle pomiędzy dwiema sztalugami i opierał się o ścianę tak, że krzesło chwiało się na dwóch nogach. Pozostawał w tej pozycji prawie przez godzinę, wpatrując się w przestrzeń.

–„Tak zwany ruch oporu składa się z bezdusznej młodzieży, czytał dalej

Stanley, bardzo niebezpiecznej, fanatycznej i uzależnionej od przemocy”.

–Co za bzdura. Fred, czy twoja matka pisuje takie rzeczy? Tak dobrze cię

przedstawili... „nie należy się do nich zbliżać. Proszę informować Nocną

Policję”... bla, bla... „Pan Mandrake będzie organizować nowe nocne pa

trole... godzina policyjna po dziewiątej wieczór dla bezpieczeństwa pu

blicznego”... jak zwykle. – Rzucił gazetę na kontuar. – Rzygać się chce.

O naszej ostatniej robocie ledwie napomknęli. Piccadilly całkowicie nas

zagłuszyło. Nie byliśmy dość dobrzy. Musimy wziąć się do dzieła.

Popatrzył na Kitty, która skrzętnie liczyła arkusze papieru.

–Nie uważasz, szefie? Powinniśmy obładować się tymi smakołykami,

które mamy w piwnicy i złożyć wizytę w Covent Garden czy gdzieś

indziej. Wywołać zamieszanie jak trzeba.

**Uniosła wzrok i popatrzyła na niego wilkiem.**

**–Nie ma potrzeby. Ktoś nas wyręczył.**

**–Ktoś, tak... Ciekawe kto? Uniósł tył czapki i podrapał się. – Oskarżam**

**Czechów. – Popatrzył na nią kątem oka.**

**Znowu jej dopiekał, szarpał jej autorytet, szukał słabego punktu. Kitty ziewnęła. Będzie musiał bardziej się postarać.**

–Może – powiedziała leniwie. – Albo Madziarzy, albo Amerykanie...

albo sto innych ugrupowań. Nie można narzekać na brak przeciwników ustroju. Ktokolwiek to był, dokonał zamachu w miejscu publicznym, a to nie jest nasz sposób działania, dobrze wiesz.

Stanley jęknął.

–Chyba nie jesteś nadal zła o ten pożar dywanów? Jakaż to nuda. W ogóle by o nas nie wspomnieli, gdyby nie ta droga sprawa.

–Ludzie ucierpieli, Stanley. Pospólstwo.

–Raczej kolaboranci. Biegli, żeby ratować dywany swoich panów.

–Dlaczego po prostu nie...? – Przerwała, bo otworzyły się drzwi. Ciemnowłosa kobieta w średnim wieku o pobrużdżonej twarzy weszła do sklepu, otrząsając krople z parasolki.

–Cześć, Anne – powiedziała Kitty.

–Cześć wszystkim. – Rozejrzała się, wyczuwając napięcie. – Brzydka pogoda tak na was działa? Atmosfera tu wyraźnie zgęstniała. Coś się stało?

–Nic. Wszystko w porządku. – Kitty zdobyła się na miły uśmiech. Nie było sensu zaogniać awantury. – Jak ci poszło wczoraj?

–Och, połów był bogaty – odparła Anne. Zawiesiła parasolkę na sztaludze i podeszła do kontuaru. Wyglądała na zaniedbaną, a krok miała lekko chwiejny, oczy jednak bystre jak u ptaka.

–Każdy mag, którego kiedykolwiek zrodzono, był wieczorem nad rzeką i patrzył na paradę okrętów. Godne pożałowania, jak niewielu z nich strzegło swoich kieszeni. – Uniosła rękę i zrobiła palcami szybki gest, jakby coś chwyciła. – Podwędziłam parę klejnotów o silnej aurze. Szef będzie zainteresowany, może je pokazać panu Hopkinsowi.

Stanley poruszył się.

–Masz je tutaj? – zapytał.

Anne zrobiła minę.



**–Po drodze tutaj zatrzymałam się na przejściowym podwórku i zostawiłam je w piwnicy. Myślałeś, że przyniosę je tutaj? Idź mi zrobić filiżankę herbaty, ty głuptasie.**

**–To może być ostatnia rzecz, jaką przez dłuższy czas uda nam się zdobyć – kontynuowała Anne, gdy Stanley zeskoczył z kontuaru i zniknął na zapleczu sklepu. – Ten skok na Piccadilly był sensacyjny, ktokolwiek to zrobił. To jak rzucenie kamieniem w gniazdo szerszeni. Widzieliście niebo ostatniej nocy? Roilo się od demonów.**

Fred mruknął ze swojego krzesła, że się zgadza.

–Roilo się – powiedział.

–To znowu ten Mandrake – rzekła Kitty. – Tak pisano w gazecie. Anne pokiwała ponuro głową.

–Jest natrętny. Te magiczne dzieciaki...

–Nic nie mów... – Kitty wskazała głową na drzwi. Z deszczu wszedł chudy, brodaty człowiek. Grzebał przez chwilę w ołówkach i notatnikach;

Kitty i Anne zajęły się sklepem i nawet Fred zdobył się na wykonanie jakiejś niewdzięcznej roboty. Wreszcie człowiek zrobił zakupy i wyszedł.

Kitty popatrzyła na Anne, która pokręciła głową.

–Był w porządku.

–Kiedy wraca szef? – zapytał Fred, rzucając pudło, które niósł.

–Mam nadzieję, że wkrótce – odrzekła Anne. – Razem z Hopkinsem bada coś dużego.

–Dobrze. My się tutaj kisimy.

Wrócił Stanley, niosąc tacę z filiżankami herbaty. Razem z nim przybył krępy młody człowiek o włosach koloru pakuł, z jedną ręką na temblaku. Uśmiechnął się do Anne, poklepał Kitty po plecach i wziął filiżankę z tacy.

Anne zmarszczyła się, widząc temblak.

–Jak? – zapytała po prostu.

–Wdałem się w bójkę. – Upił łyk herbaty. – Ostatniej nocy, za pubem Czarny Pies. Tak zwana „grupa akcji” pospólstwa. Próbowałem ich zainteresować jakąś naprawdę pozytywną akcją. Bali się, odmówili bez mrugnięcia okiem. Trochę się zezłościłem i powiedziałem, co o nich myślę. Małe zadraśnięcie. – Zrobił minę. – Nic takiego.

–Nick, ty idioto – powiedziała Kitty. – Nikogo w ten sposób nie zwerbujesz.

Nachmurzył się.

**–Trzeba było ich słyszeć. Są przerażeni.**

**–Tchórze. – Stanley głośno siorbnął ze swojej filiżanki.**

**–Czego się tak boją? – zapytała Anne.**

**–Sama wiesz: demonów, magów, szpiegów, kul, magii wszelkiego rodzaju, policji, kary... Są bezużyteczni.**

**–Nie ma się czemu dziwić – powiedziała Kitty. – Brakuje im naszych zalet, co?**

**Nick pokręcił głową.**

–Kto to wie? Nie chcą podjąć ryzyka, żeby się przekonać. Wspomniałem o tym, co robimy, o tym sklepie z dywanami poprzedniej nocy, ale oni po prostu ucichli, pili piwo i nie chcieli odpowiadać. Brakuje im poświęcenia. – Odstawił ze złością filiżankę na kontuar.

–Potrzebujemy szefa – powiedział Fred. – On nam powie, co robić.

Gniew Kitty jeszcze raz znalazł ujście.

–Nikt nie chce się mieszać w takie sprawy jak podpalenie sklepu z dywanami. To brudne i niebezpieczne, a przede wszystkim szkodzi ludziom bardziej niż magowie. Otóż to, Nicku. Musimy im pokazać, że robimy coś więcej niż wysadzanie rzeczy w powietrze. Pokazać, że nasze działanie...

–Słuchajcie jej – warknął Stanley. – Kitty mięknie.

–Słuchaj, ty mała kreaturo...

Anne dwukrotnie brzęknęła filiżanką o szklaną ladę tak mocno, że aż pękła porcelana. Spoglądała w stronę drzwi do sklepu. Powoli, nie patrząc za jej wzrokiem, wszyscy rozeszli się po sklepie. Kitty weszła za ladę. Nick wrócił na zaplecze, Fred znów podniósł pudło.

Drzwi otworzyły się i wszedł młody człowiek w zapiętym płaszczu przeciwdeszczowym. Zdjął kaptur, pokazując grzywę czarnych włosów. Z cokolwiek nieśmiałym uśmiechem podszedł do lady, gdzie Kitty sprawdzała rachunki w kasie sklepowej.

–Dzień dobry – powiedziała. – Czym mogę służyć?

–Dzień dobry. – Gość podrapał się po nosie. – Pracuję dla Służb Bezpieczeństwa. Zastanawiam się, czy mógłbym zadać ci kilka pytań.

Kitty odłożyła kwity i obdarzyła go pełną uwagą.

–Proszę bardzo.

Uśmiech poszerzył się.

–Dziękuję. Możliwe, że czytałaś ostatnio w gazetach o pewnych nieprzyjemnych incydentach. O wybuchach i innych aktach przemocy, które

**miały miejsce niedaleko stąd.**

**Gazeta leżała obok niej na ladzie.**

**–Tak – rzekła Kitty. – Czytałam.**

**–Te zbrodnicze czyny sprawiły, że wielu zwyczajnych, przyzwoitych ludzi odniosło rany, a własność naszych szlache tnych przywódców została zniszczona – powiedział gość. – Musimy znaleźć sprawców, zanim uderzą kolejny raz.**

Kitty pokiwała głową.

–Oczywiście.

–Prosimy uczciwych obywateli, żeby zwracali uwagę na wszystko, co wygląda podejrzanie. Na obcych kręcących się w okolicy, na dziwne poczynania sąsiadów i tego rodzaju sprawy. Czy zauważyłaś ostatnio coś niezwykłego?

Kitty zamyśliła się.

–To trudne. Tu zawsze są jacyś obcy. Mieszkamy blisko nabrzeża.

Cudzoziemscy marynarze, kupcy... trudno to uchwycić.

–Nie zauważyłaś niczego szczególnego, nic nie utkwilo ci w pamięci? Kitty zamyśliła się głęboko.

–Obawiam się, że nie. Uśmiech gościa posmutniał.

–Hm, przyjdź do nas, jeśli coś zobaczysz. Nagradzamy informatorów.

–Przyjdę z całą pewnością.

Przyglądał się dokładnie jej twarzy: Potem odwrócił się. Chwilę później zamknął za sobą drzwi i poszedł do następnego sklepu. Kitty spostrzegła, że zapomniał naciągnąć na głowę kaptur, mimo że lało.

Inni, jedno po drugim, wyłonili się z zakamarków. Kitty spojrzała pytająco na Anne i Freda. Oboje poblekli i oblali się potem.

–Zakładam, że to nie był człowiek – powiedziała ironicznie. Fred pokręcił głową.

–Coś z głową żuka, całą czarną z czerwonymi częściami gębowymi. Czułki nastawione, prawie cię dotykały. Uf, jak mogłaś tego nie widzieć -powiedziała Anne.

–Nie jest to jeden z moich talentów – odparła krótko Kitty.

–Zamykają się – wymruczał Nick. Oczy miał szeroko otwarte, mówił jakby do siebie. – Musimy jak najszybciej coś zrobić, albo będą nas mieli. Wystarczy jeden błąd i...

–Myślę, że Hopkins ma plan – Anne próbowała go pocieszyć. – To będzie przełom. Zobaczycie.

–Mam nadzieję – powiedział Stanley. Zaklął. – Żałuję, że nie potrafię widzieć tak jak ty,

Anne.

Ściągnęła wargi.

–To nie jest przyjemny dar. Demon czy nie demon. Chcę teraz przyrzeć się przedmiotom, które ukradłam. Kto pójdzie ze mną do piwnicy? Wiem,

że jest mokro, ale to tylko o kilka przecznic stąd... – rozejrzała się.

–Czerwone czułki... – Freda przeszedł dreszcz. – Trzeba je było widzieć. Pokryte brązowymi włoskami...

–Było tak blisko – rzeki Stanley. – Gdyby usłyszało, o czym mówimy...

–Wystarczy jeden błąd. Tylko jeden i będziemy...

–Och, zamknij się, Nick! – Kitty zatrzasnęła drzwiczki w ladzie i przeszła, głośno tupiąc, przez sklep. Wiedziała, że czuje to, co oni: klaustrofobię ściganych. W dzień taki jak ten, gdy deszcz bębni bez końca, wszyscy musieli zostać na swoje nieszczęście pod dachem, co wzmagало tylko ich nieustanny strach i poczucie odosobnienia. Byli odcięci od reszty tętniącego życiem miasta, a złe siły wyruszyły, aby ich złapać.

Dla Kitty nie było to nowe uczucie. Nigdy nie mogła się go pozbyć, przynajmniej przez ostatnie trzy lata. Od ataku w parku, kiedy jej świat wywrócił się do góry nogami.

## 12

inęła chyba godzina, zanim dżentelmen spacerujący z psem znalazł ich na moście i skontaktował się z władzami. Zaraz potem nadjechała karetka pogotowia i Kitty oraz Jakoba no z parku.

Obudziła się w karetce. Małe światełko zapłonęło w oddali i przez jakiś czas patrzyła, jak zbliża się łagodnym łukiem w ciemności. W światełku poruszały się jakieś kształty, ale nie była w stanie ich rozróżnić. W uszach miała jakby korek. Światełko stawało się coraz większe, zaczęło się gwałtownie rozrastać i wreszcie otworzyła oczy. Dźwięki powróciły do jej uszu z bolesnym pstryknięciem. Nachylała się nad nią kobieca twarz.

–Postaraj się nie ruszać. Wszystko będzie w porządku.

–Co... co...?

–Nic nie mów.



Pamięć wróciła w nagłym przyplywie paniki.

–Ten potwór! Ta małpa! – szamotała się, ale ręce miała przywiązane do wózka.

–Kochanie, proszę. Nie rób tego. Będziesz zdrowa. Leżała na plecach, a wszystkie mięśnie miała zesztyniałe.

–Jakob...

–Twój przyjaciel? Też tu jest.

–Wszystko z nim w porządku?

–Spróbuj odpocząć.

Czy to był ruch karetki, czy zmęczenie tkwiące głęboko w niej, szybko zasnęła. Obudziła się dopiero w szpitalu, gdzie pielęgniarki rozcinały na niej ubranie. Przód jej żakietu i szortów był kruchy i zwęglony, płatki spalonego materiału unosiły się w powietrzu jak popiół ze spalonej gazety. Kiedy przebrano ją w cienką, białą piżamę, na chwilę znalazła się w centrum uwagi; lekarze zaroiłi się wokół niej jak osy wokół słoika z dżemem, sprawdzali jej puls, oddech, i temperaturę. Potem nagle przestali się nią interesować i Kitty została sama w pustej sali szpitalnej.

Po dłuższej chwili przyszła pielęgniarka

–Powiadomiliśmy twoich rodziców – powiedziała. – Przyjeżdżają, żeby zabrać cię do domu. – Kitty popatrzyła na nią bezmyślnie. Kobieta zatrzymała się. – Jesteś w niezłej formie – powiedziała. – Czarny Bęben musiał cię minąć. Dopadły cię tylko jego fale udarowe. Masz szczęście, dziewczyno.

Minęła chwila, zanim to zrozumiała.

–Więc Jakob też czuje się dobrze?

–Obawiam się, że nie miał tyle szczęścia. Strach zaczął podchodzić jej do gardła.

–Co to znaczy? Gdzie on jest?

**–Obok. Zajmujemy się nim. Zaczęła płakać.**

**–Ale on stał obok mnie. Jego też powinno ominąć uderzenie.**

**–Przyniosę ci coś do jedzenia, kochanie. Poczujesz się lepiej. Dlaczego nie poczytasz sobie, żeby o tym nie myśleć? Na stole leżą czasopisma.**

**Kitty nie zabrała się do czytania. Kiedy pielęgniarka poszła, ześlizgnęła się z łóżka i stanęła niepewnie na zimnej drewnianej podłodze. Potem,**

krok po kroku, coraz bardziej ufając swoim silom, przeszła przez cichą salę, stąpając po jaskrawych plamach światła, padających z wysokich, łukowatych okien, aż doszła do korytarza.

Po drugiej stronie były zamknięte drzwi. W okienku w drzwiach zaciągnięto zasłonę. Kitty rozejrzała się szybko w lewo i w prawo i podbiegła jak duch. Położyła palce na klamce. Nasłuchiwała, ale w pokoju panowała cisza. Nacisnęła klamkę i weszła.

Pokój był nieduży, z jednym łóżkiem i wielkim oknem, przez które widać było dachy Południowego Londynu. Światło słoneczne padało z ukosa na posłanie, dzieląc je gładko na dwie części. Górna połowa łóżka pozostawała w cieniu, a wraz z nią śpiąca postać, która na nim leżała.

W pomieszczeniu było gęsto od zwyczajnych szpitalnych zapachów -lekarstw, jodiny, antyseptyków – ale czuć też było dym.

Kitty zamknęła drzwi i na palcach zakradła się do łóżka. Popatrzyła na Jakoba. W oczach miała łzy.

Pierwsza myśl, która przyszła jej do głowy, to złość na lekarzy, że ogolili mu głowę. Dlaczego musieli ostrzyc go na łyso? To będzie odrastało całe wieki, a pani Hyrnek tak lubiła jego długie, czarne loki. Wyglądał tak dziwnie, szczególnie z tymi dziwnymi cieniami na twarzy... Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, czym są te cienie.

Tam, gdzie chroniły ją włosy, skóra Jakoba miała normalny, śniady odcień. Za to od podstawy szyi aż do linii włosów, była poznaczona i poplamiona pionowymi, falistymi pasmami czerni i szarości, koloru popiołu i spalonego drewna. Na skórze twarzy nie został ani centymetr normalnego koloru, nie licząc małych plamek przy brwiach. Brwi też zgolono. Na ich miejscu widać było dwa malutkie, różowobrazowe półksiężyce. Ale wargi, powieki, małżowiny uszne pozbawione były naturalnego koloru. Wyglądało to jak maska plemienna albo karnawałowa, a nie jak normalna

Jego pierś pod nakryciem unosiła się i opadała nierówno. Spomiędzy ust wydobywał się ledwie słyszalny świszczący dźwięk.

Kitty sięgnęła i dotknęła ręki leżącej na kocu. Na dłoniach, które uniośł, żeby zasłonić się przed dymem, zobaczyła ten sam szaro-czarny wzór, co na twarzy.

Jej dotyk wywołał reakcję. Głowa przewróciła się z boku na bok, a na ożywionej twarzy pojawił się wyraz bólu. Poszarzałe wargi rozwarły się,

poruszyły się, jakby chciał coś powiedzieć. Kitty zabrała rękę, ale nachyliła się bliżej.

–Jakobie?

Oczy zamrugały i otworzyły się tak nagle, że nie mogła się powstrzymać i rzuciła się do tyłu, uderzając się boleśnie o róg stolika przy łóżku. Znow się nachyliła, chociaż natychmiast zdała sobie sprawę, że Jakob jest nieprzytomny. Jego szeroko otwarte i niewidzące oczy wpatrzone były prosto przed siebie. Na tle czarno-szarej skóry odcinały się bladością i klarownością jak dwa mlecznobiałe opale. Wtedy właśnie pomyślała, że Jakob prawdopodobnie oślepl.

Kiedy przyszli lekarze, prowadząc ze sobą pana i panią Hyrnków, a za nimi matkę Kitty, znaleźli dziewczynę klęczącą przy łóżku. Trzymała Jakoba za rękę, a głowę miała opartą o koc. Z trudem ją odciągnęli.

W domu Kitty nie chciała odpowiadać na pełne udręki pytania rodziców i poszła na górę, na półpiętro. Długi czas stała przed lustrem, przyglądając się sobie, swojej zwyczajnej, gładkiej twarzy. Widziała gładką skórę, gęste czarne włosy, wargi, brwi, piegi na dłoniach, pieprzyk z boku nosa. Wszystko było takie samo jak zawsze, chociaż nie miało prawa takie być.

Mechanizm prawa zaczął się powoli kręcić. Kiedy Jakob leżał, nie odzyskując przytomności w szpitalnym łóżku, policja wezwała wystraszonych rodziców Kitty na przesłuchanie. Dziewczyna powiedziała, co wiedziała, krótko i wężłowato. Zeznania spisywała młoda policjantka.

–Mamy nadzieję, że nie będzie problemów, proszę pani – powiedział ojciec Kitty, gdy skończyła.

–Nie chcielibyśmy tego – dodała matka – naprawdę nie chcielibyśmy.

–Przeprowadzimy dochodzenie – powiedziała policjantka, nadal coś zapisując.

–Jak go znajdziecie? – zapytała Kitty. – Nie znam jego nazwiska i zapomniałam nazwy tej... rzeczy.

–Możemy go wytropić dzięki samochodowi. Jeśli, jak mówiłaś, rozbił go, to pomoc drogowa musiała odholować auto do któregoś z warsztatów, żeby je naprawić. A wtedy ustalimy prawdę na podstawie dowodów.

–Powiedziałam pani prawdę – rzekła rzeczowo Kitty.

–Nie chcemy kłopotów – powtórzył ojciec.

–Będziemy w kontakcie – stwierdziła policjantka. Zamknęła z trzaskiem notatnik.

Samochód, rolls-royce silver thruster szybko został odnaleziony. Zaraz potem zidentyfikowano właściciela. Był nim Julius Tallow, mag pracujący dla Arthura Underwooda z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Chociaż nie sprawował szczególnie wysokiej funkcji, miał doskonałe powiązania i był znany w mieście. Radośnie przyznał, że to on rzucił Czarny Bęben na dwoje dzieci w Wandsworth Park i doprawdy, chciał, żeby wiedziano, iż jest z tego dumny. Jechał sobie spokojnie obok, kiedy został zaatakowany przez indywidua, o których była mowa. Rozbili kamieniem przednią szybę, tak że stracił kontrolę nad wozem. Potem podeszli do niego w agresywnych pozach, wymachując długimi drewnianymi pałkami. Było rzeczą oczywistą, że chcieli go obrabować. Działając w samoobronie powalił ich, zanim zdolali go zaatakować. Uważa, że działał w sposób wstrzemięźliwy, jeśli wziąć pod uwagę okoliczności.

–On najzwyczajniej w świecie kłamie – stwierdziła Kitty. – Po pierwsze,

nie bawiliśmy się w pobliżu drogi, a gdyby nawet tak było, to jak

wytłumaczy fakt, że znaleziono nas na moście? Czy aresztowaliście go?

Policjantka wyglądała na zdumioną.

–To mag, z nimi nie jest tak łatwo; przeczy twoim oskarżeniom. Sprawa zostanie rozpatrzona przez Trybunał Sprawiedliwości w przyszłym miesiącu. Jeśli chcesz to pociągnąć dalej, musisz przyjść i wystąpić przeciwko niemu.

–Dobrze – powiedziała Kitty. – Mogę poczekać.

–Nie przyjdzie – rzekł jej ojciec. – Już dość szkód narobiła.

Kitty parsknęła, ale nic nie powiedziała. Jej rodziców przeraził pomysł stawienia czoła magom i bardzo negatywnie ustosunkowali się do faktu, że weszła do parku. Gdy cała i zdrowa wróciła ze szpitala do domu, wydawali się być bardziej źli na nią niż na Tallowa. A to z kolei bardzo ją zirytowało.

–Hm, to już zależy od was – powiedziała policjantka. – Tak czy inaczej,

prześle szczegóły.

Przez tydzień lub dłużej nie mieli wiadomości o stanie Jakoba, który pozostał w szpitalu. Wizyty były zabronione. Chcąc się czegoś dowiedzieć, Kitty wreszcie zebrała się na odwagę i poszła do domu Hyrnków po raz pierwszy od czasu wypadku. Szła nieśmiało znajomą ścieżką, niepewna, jak zostanie przyjęta; ciążyło jej poczucie winy.

Ale pani Hyrnek była dość miła; przycisnęła Kitty do swojego obfitego łona i mocno uścisnęła, zanim zaprosiła ją do środka. Zaprowadziła ją do kuchni, gdzie w powietrzu, jak zwykle, wisiały mocne i ostre zapachy gotowania. Misy z siekanymi warzywami stały pośrodku stołu na kozłach, pod ścianą rozciągał się wielki dębowy kredens wyładowany kolorowo zdobionymi talerzami. Z ciemnych ścian zwisały dziwne utensylia o rozmaitym przeznaczeniu. Babcia Jakoba siedziała w wysokim krześle obok wielkiego czarnego pieca, mieszając chochlą w wazie z zupą. Wszystko było zwyczajne, aż do ostatniego, znajomego pęknięcia w su Brakowało tylko Jakoba.

Kitty usadowiła się przy stole i przyjęła kubek pachnącej herbaty. Pani Hyrnek z ciężkim westchnieniem siadła naprzeciwko niej. Pod jej ciężarem drewno głośno jęknęło. Przez kilka minut nic nie mówiła. Już samo to było dziwne. Kitty nie uważała, że powinna rozpocząć rozmowę. Babcia Jakoba, przy piecu, nie przestawała mieszać bulgoczącej zupy.

Wreszcie pani Hyrnek siorbnęła głośno herbaty, przełknęła i niespodziewanie przemówiła.

–Obudził się dziś.

–Och! Czy jest...?

–Jak na swój stan czuje się dobrze. To znaczy niezbyt dobrze.

–Aha. Ale skoro się obudził, to już lepiej, prawda? Będzie zdrów? Pani Hyrnek zrobiła pełną wyrazu minę.

–To był Czarny Bęben! Jego twarz na zawsze zostanie taka jak teraz. Kitty poczuła, że zbiera się jej na Izy.

–Nic się nie zmieni?

–Oparzenia są zbyt rozległe. Powinnaś wiedzieć. Widziałaś.

–Ale dlaczego on... – Kitty zmarszczyła czoło. – Chodzi mi o to, że ze mną jest wszystko w porządku, a też dostałam. Oboje byliśmy...

–Ty? Ty nie dostałaś! – pani Hyrnek postukała palcem o jej twarz i popatrzyła na Kitty z tak zjadliwym potępieniem, że dziewczynka aż skuliła

się pod kuchenną ścianą i nie śmiała mówić dalej. Pani Hyrnek patrzyła na nią przez dłuższy czas bazyliżkowym wzrokiem, a potem znów zaczęła siorbać herbatę. Kitty odezwała się po cichutku.

–Ja... tak mi przykro, proszę pani.

–Niech ci nie będzie przykro. To nie ty zraniłaś mi syna.

–Ale nie ma sposobu, żeby to odkręcić? – zapytała Kitty. – Chodzi mi o to, że jeśli w szpitalu nie mają na to lekarstwa, to może pomogą magowie?

Matka Jakoba pokręciła głową.

–Skutki są nieodwracalne. A nawet gdyby nie były, to oni nam nie pomogą.

Kitty zachmurzyła się.

–Muszą! Jak to, nie pomogą? To wszystko stało się przypadkiem, a ten czarodziej ukarał nas z rozmysłem. – Narastał w niej gniew. – Chciał nas zabić, proszę pani! Sąd musi w to uwierzyć. Jakob i ja możemy im to powiedzieć, w przyszłym miesiącu, na rozprawie. Do tej pory poprawi mu się, prawda? Podrzemy historyjkę Tallowa na strzępy i zabiorą go do Tower. Potem znajdą jakiś sposób, żeby pomóc Jakobowi z jego twarzą. Zobaczycie pani.

Mimo pasji, z jaką mówiła, była świadoma pustoty swoich słów. Ale odpowiedź pani Hyrnek była zupełnie niespodziewana.

–Kochanie, Jakob nie pójdzie na rozprawę. I ty też nie powinnaś. Twoi rodzice nie chcą tego i mają rację. To byłoby niemądre.

–Ale my musimy, jeśli chcemy im powiedzieć...

Pani Hyrnek sięgnęła na drugą stronę stołu i położyła swoją wielką, różową dłoń na dłoni Kitty.

**–Jak myślisz, co stanie się z firmą Hyrnek i Synowie, jeśli Jakob oskarży przed sądem maga? Stracimy wszystko w ciągu doby. Zamkną nam interes albo przeniosą się do Jaroslav's czy też do innego z naszych konkurentów. Ponadto... – Uśmiechnęła się smutno. – Po co w to brnąć?**

**Nie**

**m Przez chwilę Kitty była zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć.**

**–Ale proszono, żebym pojawiła się przed sądem – powiedziała. – Jakob też.**

**Pani Hyrnek wzruszyła ramionami.**



–Temu zaproszeniu łatwo można odmówić. Władze wołałyby, żeby ich nie kłopotać taką błahostką. Dwoje dzieci plebejuszy? To strata ich cennego czasu. Przyjmij moją radę, kochanie. Nie idź do sądu. Nic do brego z tego nie wyniknie.

Kitty patrzyła na pokryty sękami blat stołu.

–Ale to znaczy, że ten cały Tallow będzie wolny – powiedziała cicho.

–Nie mogę... to nie byłoby w porządku.

Pani Hyrnek wstała nagle. Krzesło zazgrzytało o kafelki podłogi.

–Nie chodzi o to, czy coś jest „w porządku”, dziewczyno – powiedziała.

–To kwestia zdrowego rozsądku. A poza tym – wzięła miskę siekanej kapusty i podeszła do pieca – wcale nie jest pewne, że Tallow tak łatwo się wywinie.

Jednym ruchem nadgarstka wsypała kapustę do gara z syczącym i bulgoczącym wrzątkiem. Babcia Jakoba pokiwała głową i posłała jej uśmiech ponad parującym garnkiem. Wyglądała jak skrzat. Mieszała i mieszała bez ustanku zupełnie kościstymi, wężlastymi rękami.

## 13

inęły trzy tygodnie, a Kitty dumnie i uparcie opierała się wszelkim próbom wyperswadowania jej dokonanego przez nią wyboru. Im dłużej rodzice grozili jej albo próbowali ją tym bardziej obstawała przy swoim. Zdecydowała się stanąć przed sądem wyznaczonego dnia, żeby sprawiedliwości stało się zadość.

Umocniła się w swoim postanowieniu na wieść o tym, że Jakob pozostanie jeszcze w szpitalu. Przytomny, z jasnym umysłem, ale niewidomy. Jego rodzina miała nadzieję, że wzrok mu z czasem powróci. Myśl, że mogłoby być inaczej, sprawiała, że Kitty drżała ze smutku i z gniewu.

Gdyby rodzice mogli, odmówiliby przyjęcia wezwania, kiedy nadeszło. Ale to Kitty była powódką. Musiałaby się podpisać, żeby powstrzymać bieg sprawy, a nie chciała tego zrobić. Postępowanie toczyło się swoją drogą i właściwego poranka Kitty przybyła pod wielką bramę

sądów,

punktualnie o ósmej trzydzieści, ubrana w najładniejszą kurtkę i najlepsze zamszowe spodnie. Nie było z nią rodziców, odmówili przyjścia.

Wokół niej tłoczył się pstry tłum, który popychał ją i wbijał łokcie, kiedy czekała na otwarcie drzwi. Paru uliczników łąziło tu i tam, sprzedając z wielkich drewnianych tac gorące ciasta i paszteciki. Kitty mocno trzymała torbę, ilekroć przechodzili obok. Zauważyła też kilku pobladłych z nerwów kupców, zwyczajnych ludzi, jak i ona, odzianych w najlepsze garnitury. Ale najwięcej było zaniepokojonych magów ubranych we wspaniałe garnitury z Piccadilly oraz urzędowe płaszcze i peleryny. Kitty przyglądała się ich twarzom, szukając Tallova, ale nigdzie nie było go widać. Na brzegach tłumy pełniła straż krzepka Nocna Policja.

Otworzyły się drzwi i zadźwięczał gwizdek; tłum wlał się do środka.

Każdy z gości przechodził obok urzędnika w czerwono-złotym uniformie. Kitty podała nazwisko, urzędnik spojrział na kawałek papieru.

–Sala dwudziesta siódma – powiedział. – Schody po lewej, skręcić

w prawo na górze. Czwarte drzwi z kolei. Pospiesz się.

Popchnął ją dalej, przeszła pod wysokim kamiennym łukiem i znalazła się w chłodnych marmurowych salach sądów. Kamienne popiersia wielkich ludzi patrzyły obojętnie w dół z wgłębien w ścianach; milczący ludzie szli spiesznie we wszystkie strony. W powietrzu było aż gęsto od powagi, przytłumionych rozmów i zapachu mydła karbolowego. Kitty weszła po schodach i podążyła zatłoczonym korytarzem do drzwi sali numer dwadzieścia siedem. Na zewnątrz stała drewniana ławka. Napis głosił, że strony mają usiąść i czekać, aż zostaną wezwane.

Kitty siedziała i czekała.

Przez kolejne piętnaście minut mała, zamyślona grupka zebrała się przed salą sądową. Stali albo siedzieli w milczeniu, zatopieni we własnych myślach. Większość stanowili magowie – zagłębiali się w zszywki dokumentacji prawnej spisanej na papierze ze skomplikowanym nagłówkiem z gwiazd i znaków. Robili, co mogli, żeby wzajem unikać swojego wzroku.

Drzwi do sali otworzyły się. Młody człowiek w eleganckiej zielonej czapce, o bystrym wyrazie twarzy wystawił głowę i rozejrzał się.

–Kathleen Jones! – powiedział. – Obecna? Jej kolej.

–To ja – Kitty waliło serce. Ze strachu czuła pulsowanie krwi w nadgarstkach.

–Zgadza się. Julius Tallow. Obecny? Jego też potrzebujemy.

Cisza na korytarzu. Tallow nie przybył.

Młodzieniec zrobił minę.

–Cóż, nie możemy się obijać. Jeśli go tu nie ma, to trudno. Panno

Jones, jeśli zechce pani pozwolić...

Wprowadził Kitty do sali, puszczając ją przodem, i delikatnie zamknął za sobą drzwi.

–Tu jest pani miejsce. Rozprawa może się zaczynać.

Sala sądowa była niewielkich rozmiarów, kwadratowa, wypełniona róż-nokolorowym, melancholijnym światłem sączącym się przez dwa gigantyczne, łukowate okna, w których osadzono witraże. Obrazy przedstawiały heroicznym rycerzy-magów. Jeden z nich, zakuty w zbroję, właśnie wbijał miecz w brzuch wielkiej, demonicznej bestii, całej w szponach i zębiskach. Drugi w hełmie i czymś, co wyglądało na długą białą koszulę egzorcyzmował ohydny goblina, który wpadał w kwadratową czarną dziurę w ziemi. Ściany pomieszczenia wyłożono czarnymi drewnianymi panelami. Sufit też był drewniany i rzeźbiony – przypominał sklepienie kościoła. Cała sala miała staroświecki wystrój, co zapewne było zamierzone. Kitty poczuła respekt i uznała, że zupełnie tutaj nie pasuje.

Przed jedną ze ścian biegło wysokie podwyższenie, na którym, za długim stołem, stał wielki drewniany tron. Przy jednym krańcu stołu stało małe biurko. Siedziało przy nim trzech ubranych w czarne garnitury urzędników. Pracowicie stukali w klawiatury komputerów i przeglądali stosy papierzyk. Kitty przeszła przed podwyższeniem, kierując się w stronę samotnego krzesła z wysokim oparciem, stojącego na tle okien, które wskazał jej młody człowiek. Tam usiadła. Inne, podobne krzesło stało naprzeciwko niej, pod ścianą.

Przed podwyższeniem stało kilka ław dla publiczności, oddzielonych od sądu balustradą z brązu. Ku zaskoczeniu Kitty siedziało tam już kilku widzów.

Młody człowiek spojrział na zegarek, nabral głęboko tchu i wrzasnął tak głośno, że Kitty podskoczyła.

–Proszę wstać! – ryczał. – Proszę wstać, idzie pani Fitzwilliam, czaro

dziejka czwartej rangi i sędzieja w tym trybunale! Proszę wstać!

Skrzypienie krzeseł, szuranie butów. Kitty, urzędnicy i widzowie powstali. Tymczasem, w boazerii za tronem otworzyły się drzwi i weszła jakaś kobieta, ubrana na czarno, z kapturem

**na głowie. Usadowiła się na**

tronie i odrzuciła kaptur. Okazało się, że była młoda, miała brązowe, krótko przystrzyżone włosy i malując się, przesadziła ze szminką.

–Dziękuję państwu, dziękuję! Proszę siadać!

Młody człowiek oddał salut tronowi i pomaszerował, żeby usiąść w kąciku. Sędzia zaszczyliła zebranych chłodnym uśmiechem.

–Dzień dobry wszystkim. Zaczynamy, jak sądzę, od sprawy Juliusa

Tallowa, maga trzeciej rangi i Kathleen Jones, plebejuszki z Balham. Jak

widzę, panna Jones postanowiła przybyć. Gdzie jest pan Tallow?

Młody człowiek wyskoczył jak diabeł z pudełka.

–Nie ma go, psze pani! – Zasalutował elegancko i usiadł.

–Widzę. Gdzie jest?

Młody człowiek znów podskoczył.

–Nie mam zielonego pojęcia, psze pani!

–No cóż, niedobrze. Urzędnicy niech zapiszą, że pan Tallow dopuścił się obrazy sądu. Sprawa będzie rozpatrzona. Powinniśmy zaczynać... –Sędzia założyła okulary i przez jakiś czas przeglądała papiery. Kitty siedziała wyprostowana, zeszywniała ze zdenerwowania.

Sędzia zdjęła okulary i spojrzała na nią przez salę.

–Kathleen Jones? Kitty podskoczyła.

–Tak, psze pani.

–Usiądź, usiądź. Chcemy, żeby odbyło się to możliwie w jak najbardziej nieformalny sposób. Hm, jesteś młoda. Ile masz lat?

–Trzydzieści, psze pani.

–Rozumiem. Młodość i pospolite pochodzenie, jak widzę twój ojciec jest sprzedawcą, a matka sprzątaczką – wypowiedziała te słowa z lekkim niesmakiem – możesz czuć się przytłoczona tym szacownym otoczeniem. – Sędzia wskazała na salę sądową. – Ale chcę ci powiedzieć, żebyś się nie bała. To dom sprawiedliwości, gdzie nawet najmniejsi spośród nas mile są widziani pod

**warunkiem, że mówią prawdę. Zrozumiałś?**

**Kitty miała ściśnięte gardło. Odpowiedź przyszła jej z trudem.**

**–Tak, psze pani.**

**–Doskonale. Zatem wysłuchamy twojej wersji. Proszę.**

**Przez kilka następnych minut Kitty zachrypniętym głosem opowiadała, co się wydarzyło. Zaczęła niezdarne, ale temat ją rozgrzał i przedstawiła**

mnóstwo szczegółów. Sąd słuchał w milczeniu. Sędzia patrzyła na nią beznamiętnie zza okularów. Urzędnicy stukali w klawisze.

Zakończyła płomiennym opisem stanu Jakoba uderzonego zaklęciem Czarnego Bębna. Kiedy przestała mówić, w sali sądowej zapadła przytłaczająca cisza. Ktoś gdzieś zakasłał. Podczas mowy na zewnątrz zaczęło padać. Krople stukały łagodnie o szyby, światło na sali było rozwodnione i pełne cieni.

Sędzia rozparła się w krześle.

–Urzędnicy sądowi, czy spisaliście to wszystko? Jeden z trzech mężczyzn podniósł rękę.

–Tak, psze pani.

–Doskonale. – Sędzia nachmurzyła się, jakby była niezadowolona. –

Pod nieobecność pana Tallowa muszę niechętnie przyjąć tę wersję wydarzeń. Wyrokiem sądu...

Nagle, siarczyste stukanie do drzwi sądowych. Serce Kitty, które podskoczyło do góry na słowa sędzi, opadło z powrotem. Młody człowiek w zielonej czapce podszedł, żeby otworzyć drzwi. Julius Tallow wtargnął do środka z taką siłą, że o mało nie zbił go z nóg. Ubrany w szary garnitur w cienkie różowe prążki, z podbródkiem wysuniętym do przodu, podszedł do wolnego krzesła i bez wahania usiadł.

Kitty patrzyła na niego z obrzydzeniem. Odpowiedział jej spojrzeniem, lekko się uśmiechnął i zwrócił twarz w stronę sędzi.

–Pan Tallow, przypuszczam? – zapytała.

–We własnej osobie, proszę pani. – Oczy miał opuszczone. – Pokornie...

–Spóźnił się pan, panie Tallow.

–Pokornie przepraszam wysoki sąd. Rano zatrzymały mnie obowiązki w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Nadzwyczajna sytuacja, trzy byczogłowe diabluki zagubione w Wapping. Prawdopodobnie akcja terrorystów. Musiałem pomóc w poinformowaniu Nocnej Policji, jak najlepiej ściągnąć te demony, proszę pani. – Przyjął władcą pozę i mrugnął do tłumku. – Stos owoców posmarowanych miodem, to zdaje egzamin. Słodyczne zawsze je przyciągają, rozumiecie, wtedy...

Sędzia rąbnęła drewnianym młotkiem w ławę.



**–Jeśli pan pozwoli, panie Tallow, to zupełnie nas nie interesuje. Punktualność jest niezwykle istotna dla gładkiego toku wymiaru sprawiedliwo-**

ści. Uznaję pana winnym obrazy sądu i niniejszym skazuję na grzywnę wynoszącą pięćset funtów. Zwiesił głowę, wyglądał na bardzo skruszonego.

–Tak, proszę pani.

–Niemniej... – Głos sędzi stał się jakby trochę łagodniejszy. – Przyszedł pan w samą porę, żeby przedstawić swoją wersję. Właśnie wysłuchaliśmy mowy panny Jones. Zna pan zarzuty. Jak pan odpowie?

–Niewinny, proszę pani! – Nagle znów stał nadęty i agresywny. Paski na jego piersi wygięły się jak szarpnięte struny harfy.

–Przykro mi, że muszę opowiadać o przypadku nieomal niewiarygodnego aktu brutalności dwojga opryszków. Jednym z nich była, wstyd mi mówić, młoda dama, która tam siedzi. Razem z kolegą zatrzymali mój samochód, chcąc dokonać rabunku i pobić mnie. Tylko czysty przypadek sprawił, że za pomocą sił, którymi na szczęście potrafię władać, byłem w stanie odeprzeć napaść i uciec.

Snuł swoje kłamstwa przez prawie dwadzieścia minut, przedstawiając straszliwe groźby, których nie szcędzili mu napastnicy. Często robił małe dygresje, opowiadając anegdotki, które miały przypomnieć sądowi, jak ważną rolę odgrywa w rządzie. Kitty, z pobielającą twarzą, wściekła, wbijała paznokcie w dłonie. Parę razy spostrzegła, jak sędzia potrząsa głową, słysząc jakiś nieprzyjemny szczegół. Słyszała, jak dwóch urzędników dyszy z oburzenia, kiedy Tallow opisywał, jak kij do krykieta miażdży przednią szybę jego wozu, a widzowie z coraz większą regularnością wydawali stłumione „achy” i „ochy”. Widziała już, w którą stronę zmierza

Na koniec, gdy Tallow z obrzydliwym zadowoleniem opisał, jak rozkazał rzucić Czarny Bęben tylko w herszta – Jakoba – gdyż pragnął ograniczyć ofiary do minimum, Kitty nie mogła się już powstrzymać.

–To kolejne kłamstwo! – krzyknęła. – To szło także wprost na mnie! Sędzia zaczęła walić w ławę młotkiem.

–Spokój na sali!

–Ale to nieprawda! – powiedziała Kitty. – Staliśmy razem. To coś,

podobne do małpy, wystrzeliło w nas oboje, tak jak rozkazał Tallow. Zbiło

mnie z nóg. Karetka zabrała mnie do szpitala.

–Cisza, panno Jones!

**Kitty poddała się.**

–Ja... przepraszam, psze pani.

–Panie Tallow, czy zechciałby pan kontynuować?

Mag wkrótce skończył, a widzowie szeptali do siebie podnieceni. Pani Fitzwilliam zamyśliła się na chwilę, co jakiś czas nachylając się z tronu do urzędników sądowych, żeby wymienić po cichu jakieś uwagi. Wreszcie stuknęła młotkiem w stół. W sali zapanowała cisza.

–To niepokojąca sprawa – zaczęła sędzia – a poznanie jej utrudnia

brak świadków. Mamy do dyspozycji tylko słowa jednej osoby przeciw

ko drugiej. Tak, panno Jones, o co chodzi?

Kitty podniosła uprzejmie dłoń.

–Jest drugi świadek, psze pani. Jakob.

–Jeśli tak, to dlaczego go tu nie ma?

–Źle się czuje, psze pani.

–Jego rodzina mogła zeznawać w jego imieniu. Uznali, że tego nie zrobią. Może czują, że przegrają sprawę?

–Nie, psze pani – rzekła Kitty. – Oni się boją.

–Boją się? – Sędzia uniosła brwi. – Śmieszne! Czego?

Kitty zawahała się, ale teraz nie było już rady.

–Represji, psze pani, gdyby wypowiedzieli się w sądzie przeciwko  
magom.

Na te słowa sala zareagowała krzykiem. Trzej urzędnicy ze zdumienia przestali notować. Młody człowiek w zielonej czapce, siedząc w rogu, gapił się na Kitty. Pani Fitzwilliam przymrużyła oczy. Musiała walić młotkiem raz za razem, żeby uciszyć salę.

–Panno Jones – powiedziała – jeśli ośmieli się pani opowiadać takie

nonsensy w dalszym ciągu, to będę musiała panią osobiście oskarżyć!

Proszę więcej nie poruszać tego tematu.

**Kitty zobaczyła, że Julius Tallow śmieje się otwarcie. Musiała siłą powstrzymać łzy. Sędzia patrzyła surowo na Kitty.**

**–Twoje szaleńcze oskarżenia tylko zwiększają ciężar dowodów zebranych przeciwko tobie. Nic nie mów!**

**Zaszokowana Kitty znów otworzyła usta.**

**–Ile razy się wypowiesz, tyle razy pogorszysz swoją sytuację – kontynuowała sędzia. – To oczywiste, że gdyby twój przyjaciel był pewien twoich racji, przybyłby tutaj osobiście. Równie oczywiste jest, że nie**

zostałaś uderzona przez Czarny Bęben, jak twierdziłaś, w przeciwnym przypadku, jakby to rzec, nie mogłabyś dziś tak dobrze wystąpić. – Sędzia przerwała, żeby wypić łyk wody. – Prawie podziwiałam śmiałość, z jaką postawiłaś sprawę przed sądem – powiedziała – oraz zuchwałość, z jaką pozwałaś tak wybitnego obywatela jak pan Tallow. – Wskazała na czarodzieja, który wyglądał jak zadowolony z głaskania kot. – Niemniej te oskarżenia są bezpodstawne. Pan Tallow może powołać się na swoją dobrą reputację i opiewający na ogromną sumę rachunek z warsztatu samochodowego, w którym musiał zapłacić za naprawę szkód, które spowodowaliście. Twoja wersja opiera się tylko na szaleńczych oskarżeniach, które, jak sądzę, nie są prawdziwe. – W tłumie rozległy się westchnienia. – Dlaczego? Po prostu dlatego, że jeśli kłamiesz w kwestii zaklęcia, które, jak twierdzisz, uderzyło cię, a widać, że tak się nie stało, to sąd nie ma powodu, żeby uwierzyć w resztę tej historii. Co więcej, nie jesteś w stanie przedstawić świadków, nawet swojego przyjaciela, drugiego „pokrzywdzonego”. Jak dowiodły twoje wybryki, masz najwyraźniej szaleńczy i burzliwy charakter, podatny na wybuchy wściekłości z najmniejszej przyczyny. Po rozważeniu tych punktów dochodzę do oczywistego wniosku, który z największym trudem zignoruję. Oto on: po uwzględnieniu wszystkiego jesteście tylko dwojgiem małych plebejuszy, których słowo nie może równać się ze słowem zaufanego sługi państwa.

Sędzia w tym momencie nabrała głęboko tchu, a pośród publiczności dały się słyszeć stłumione okrzyki: „Słuchajcie, słuchajcie!” Jeden z urzędników podniósł wzrok i wymruczał:

–Dobrze powiedziane, proszę pani. – Po czym znów zatopił nos w klawiaturze komputera. Kitty opadła na krzesło, ciągnięta w dół rozpaczłą ciężką jak ołów. Nie była w stanie patrzeć na sędziego, na urzędników, a przede wszystkim na ohydny Tallowa. Patrzyła natomiast na cienie kropel deszczu na podłodze. Chciała tylko jednego, uciec stąd jak naj-

–A zatem – sędzia przybrała dostojną minę – sąd nie wierzy twoim słowom, panno Jones, i odrzuca twoją skargę. Gdybyś była starsza, z pewnością nie uniknęłabyś kary odizolowania. Z uwagi na twój młody wiek oraz dlatego, że pan Tallow wymierzył już właściwą karę twojemu gangowi, ograniczę się do ukarania cię grzywną za marnowanie czasu sądu.

Kitty przełknęła ślinę. Och, niech to będzie nie za dużo, proszę, nie...

–Zostajesz niniejszym obłożona grzywną stu funtów.

Nieźle. Da sobie z tym radę. Ma prawie siedemdziesiąt pięć funtów na swoim rachunku w banku.

–Dodatkowo, jako że jest w zwyczaju przenoszenie wszelkich kosztów na stronę przegraną, a pan Tallow winien jest pięćset funtów za późne przybycie, musisz i to zapłacić. Ogólnie jesteś winna sądowi sześćset funtów.

Kitty zachwiała się w szoku. Poczwała, że łzy mocno napierają na powieki. Z wściekłością je powstrzymała. Nie będzie płakać. Nie będzie. Nie tutaj.

Udało się jej zmienić pierwszy szloch w głośne w grzmiące chrząknięcie. W tej chwili sędzia dwukrotnie uderzyła młotkiem w stół.

–Rozprawa zakończona!

Kitty wybiegła z sali.

## 14

ozpłakała się na jednej z brukowanych kocimi łbami uliczek odchodzących od Strandu. Potem wytarła twarz, kupiła sobie pączka w perskiej kawiarence na rogu, naprzeciwko sądów, i się, co zrobi. Z pewnością nie była w stanie zapłacić grzywny i wątpiła, czy zrobiliby to jej rodzice. Czyli miała miesiąc na to, żeby znaleźć sześćset funtów albo – być może wraz z rodzicami – zostanie wsadzona do więzienia dla dłużników. Wiedziała o tym, bo zanim udało się jej wyjść z rozbrzmiewających echem sal sądowych, jeden z ubranych na czarno urzędników podszedł do niej, z szacunkiem ujął ją za łokieć i włożył nakaz płatności z jeszcze nieobeschłym atramentem w jej drżące palce. Było tam dokładnie napisane, jakie kary grożą komuś, kto nie zapłaci grzywny.

Myśl, że musi o tym wszystkim poinformować rodziców, sprawiła, że Kitty poczuła ostry ból w piersi. Nie chciała iść do domu; najpierw pospaceruje sobie trochę nad rzeką.

Brukowana uliczka szła od Strandu do Nabrzeża, milego, przeznaczonego tylko dla pieszych deptaka wzdłuż brzegu Tamizy. Przestało padać, ale bruk był ciemny i pełen kałuż. Po obu stronach ciągnęły się pospolite w tej okolicy knajpy z bliskowschodnimi fast foodami, butiki dla turystów zapchane kiczowatymi pamiątkami, sklepiki zielarzy z wystawionymi do połowy chodnika koszykami derenia i rozmarynu po pół ceny.

Kitty niemal już dotarła do Nabrzeża, gdy szybkie postukiwanie za jej plecami oznajmiło, że niespodziewanie pojawił się ktoś z laską. Był to stary człowiek, który na wpół kuśtykając, na wpół potykając się, szedł po pochyłym bruku. Odskoczyła, żeby zejść mu z drogi. Ku jej zaskoczeniu, zamiast potoczyć się dalej i skończyć w rzece, mężczyzna, głośno sapiąc, zatrzymał się tuż przy niej.

–Panna Jones? – Te słowa wypowiedział ze świstem pomiędzy jednym a drugim sapnięciem.

–Tak – odparła ponuro. Jakiś nowy urzędnik z nowym wezwaniem.

–Dobrze, dobrze. Niech... niech mi tylko wróci głos.

Zajęło to parę sekund, a tymczasem Kitty przyglądała mu się dokładnie. Był to chudy, kościsty i stary dżentelmen, łysy na szczycie głowy, z wianuszkami brudnobiałych włosów zwisających jak kreza z tyłu czaszki. Twarz miał niemal boleśnie chudą, ale oczy jasne. Nosił elegancki garnitur i zielone, skórzane rękawiczki. Ręce mu dygotały, kiedy opierał je na lasce.

Wreszcie wydusił:

–Przepraszam za to wszystko. Obawiałem się, że cię zgubię. Najpierw zacząłem iść wzdłuż Strandu, potem zawróciłem. Intuicja.

–Czego pan chce? – Kitty nie miała czasu dla kierującego się intuicją starca.

–Ano tak. Do rzeczy. Dobrze. Cóż. Byłem właśnie wśród publiczności. Sala dwadzieścia siedem. Widziałem cię w akcji. – Przyjrzał się jej z bliska.

–No i co?

–Chcę cię o coś zapytać. Jedno pytanie. Proste. Jeśli pozwolisz.

–Nie chcę o tym mówić. – Kitty już chciała odejść, ale laska wystrzeliła z zaskakującą szybkością i łagodnie zagroziła jej drogę. Wezbrał w niej gniew. W nastroju, w którym się znajdowała, chętnie popchnęłaby starca, aby stoczył się po pochyłości ulicy.



–Przepraszam – powiedziała. – Nie mam nic do powiedzenia.

–Rozumiem. Naprawdę. Ale to może przynieść ci pewną korzyść. Posłuchaj, a potem zadecydujesz. Czarny bęben. Siedziałem z tyłu sali. Jestem trochę głuchy. Wydawało mi się, że powiedziałaś, iż uderzył w ciebie.

–Tak powiedziałam. Uderzył.

–Aha. Zbił cię z nóg, straciłaś przytomność.

–Tak.

–Płomienie i dym wszędzie wokół. Przeszywające gorąco?

–Tak. Ale teraz...

–Ale sąd tego nie uznał.

–Nie. Teraz naprawdę muszę już iść. – Kitty obeszła uniesioną laskę i potruchtała ostatnie kilka metrów do nabrzeża. Ale ku jej zaskoczeniu i wściekłości, stary człowiek dotrzymywał jej kroku, ciągle stawiając laskę pod kątem tak, że włąziła jej między nogi, pod stopy albo zmuszała ją do zrobienia kroku w bok, żeby ją okrążyć. W końcu nie mogła już wytrzymać. Chwyciła za koniec laski i mocno szarpnęła. Stary dżentelmen stracił równowagę i musiał oprzeć się o wał nad rzeką. Ruszyła wtedy szybkim krokiem, ale znów usłyszała za sobą stukanie.

Odwróciła się.

–Słuchaj pan...

Deptał jej po piętach, miał pobladłą twarz, dyszał.

–Panno Jones, proszę. Rozumiem twój gniew. Naprawdę. Jestem po twojej stronie. A co, gdybym powiedział... A co, gdybym powiedział, że mogę zapłacić grzywnę. Tę, którą nałożył sąd? Całe sześćset funtów?

Czy to by pomogło?

Popatrzyła na niego.

–Aha. To cię zainteresowało.

**Kitty poczuła, że serce bije jej jak szalone ze zmieszania i z gniewu.**

**–O czym pan mówi? Próbuje mnie pan osaczyć? Kazać mnie aresztować za spisek albo... – albo za coś tam...**

**Uśmiechnął się. Skóra napięła mu się na policzkach**

**–Panno Jones. Wcale nie mam takiego zamiaru. W nic pani nie wplątuje. Proszę posłuchać. Nazywam się Pennyfeather, oto moja wizytówka. –**

**Sięgnął do kieszeni płaszcza i wręczył Kitty z ukłonem mały kartonik. Był przyozdobiony dwoma skrzyżowanymi pędzlami malarskimi, a pod nimi**

**biegł napis T. E. Pennyfeather, materiały artystyczne. W rogu**

**widniał numer telefonu. Kitty wzięła niepewnie wizytówkę.**

–Dobrze. Teraz sobie pójdę. Pospaceruj sobie. To dobry dzień na przechadzki, słońce wychodzi zza chmur. Zadzwoń, jeśli będziesz zainteresowana. W ciągu tygodnia.

Po raz pierwszy Kitty usiłowała być uprzejma, wcale nie wiedząc, dlaczego.

–Panie Pennyfeather – powiedziała – dlaczego miałby mi pan pomagać? To nie ma sensu.

–Nie ma, ale będzie miało. Ach! Co...? – Ten okrzyk wywołany został przez dwóch młodych mężczyzn, najwyraźniej magów, sądząc po kosztownych ubraniach, którzy szli ulicą, śmiejąc się głośno i mijając staruszkę, o mały włos nie wepchnęli go do rynsztoka. Poszli dalej, nawet się nie oglądając. Kitty wyciągnęła rękę, żeby podtrzymać starca, ale cofnęła ją, widząc błysk gniewu w jego oczach. Powoli wyprostował się i oparł się na lasce, mruczając coś pod nosem.

–Wybacz – powiedział. – Ach ci, wydaje im się, że mają tu wszystko na własność. Może i mają. Na razie.

Popatrzył na Nabrzeże. Gdzieś daleko, w błękitnej dali, ludzie krzatali się wokół swoich spraw, zaglądali na stoiska albo skręcali w zatłoczone boczne uliczki. Na rzece cztery powiązane łańcuchami barki z węglem dryfowały z prądem. Marynarze palili, opierając się o burtę. Starzec obnażył zęby.

–Niewielu z tych durniów widzi to, co wisi w powietrzu nad ich

głowami – powiedział. – Albo domyśla się, co skacze po ulicach za ich

plecami. A gdyby się domyślali, nie ośmieliliby się tego drażnić. Pozwa

lają magom dostojnie kroczyć między nimi, pozwalają budować im pałace

na plecach ludu; niech wdeptują wszelką sprawiedliwość w błoto. Ale ty i

ja, my, widzieliśmy, co robią magowie. I kto im w tym pomaga. Być może

nie jesteśmy tacy bierni jak nasi ziomkowie, co?

Wygladził marynarkę i nagle się uśmiechnął.

–Musisz pomyśleć o sobie. Więcej ci nie powiem. Tylko tyle, że wierzę

w twoją opowieść. W całą oczywiście, ale szczególnie w Czarny

**Bęben. Bo któż byłby taki głupi, żeby o tym wspominać, nie mając na sobie okaleczeń? Ach, to było takie interesujące. Będę czekał na pani telefon, panno Jones.**

**Mówiąc to, stary człowiek odwrócił się na pięcie. Rześkim krokiem odszedł, ciągle stukając laską o brukowce i ignorując ostre nawoływanie zielarza stojącego w drzwiach swojego sklepiku. Kitty patrzyła na niego dopóty, dopóki nie skręcił na Strand i nie zniknął jej z oczu.**

Czekając w piwnicznym mroku, Kitty rozmyślała o wydarzeniach sprzed lat. Jakież odległe wydawało się to wszystko. Jakaż była wtedy naiwna, gdy stała w sali sądowej, domagając się sprawiedliwości. Poczerwieniała ze złości, wspomnienie bolało ją do dzisiaj. Sprawiedliwość ze strony magów? Już sam pomysł był śmieszny. To jasne, że jedynie bezpośrednie działanie mogło odnieść jakiś skutek. Przynajmniej cokolwiek robili, opierali się im w jakiś sposób.

Spojrzała na zegarek. Anne weszła do tajnej komory już jakiś czas temu. W Dzień Założyciela skradziono razem jedenaście magicznych obiektów – dziewięć sztuk broni i dwa klejnoty o nieznanym przeznaczeniu. Teraz Anne ukrywała je. Na zewnątrz deszcz przybrał na sile. Podczas krótkiego spaceru od sklepu z artykułami artystycznymi do opuszczonego podwórka wszyscy przemokli. Nawet piwnica nie chroniła ich przed wodą. Krople skapywały nieustannie z głębokiej rysy w tynkowanym suficie. Dokładnie pod nią stał bardzo stary czarny kubek. Był wypełniony prawie po brzegi.

–Opróżnij to, Stanley – powiedziała Kitty.

Stanley siedział na koszu z węglem, ze zgarbionymi ramionami i głową wciśniętą między kolana. Wahał się zaledwie chwilę dłużej, niż należało; wreszcie zeskoczył, podniósł kubek i pociągnął go z pewną trudnością w stronę kratki przy ścianie. Wylał do niej wodę.

–Nie wiem, dlaczego nie kazał naprawić tej rury – mruknął, stawiając kubek na poprzednim miejscu. Ten manewr zabrał zaledwie kilka sekund, ale na zniszczonych ceglach podłogi już zdążyła się zgromadzić mała kałuża.

–Bo chce, żeby piwnica wyglądała na opuszczoną – powiedziała Kitty. – To oczywiste.

Stanley chrząknął.

–Towar leży tu nieużywany. To nie jest dla niego miejsce.

Fred siedzący obok sklepionego wejścia skinął głową. Bawił się otartym nożem sprężynowym.

–Powinien pozwolić nam wejść – powiedział.

W końcu małego pomieszczenia, słabo oświetlonego jedną żarówką, zgromadzono stos drewnianych kłód. Ściana za nim wyglądała na solidną, chociaż nieco popękana. Ale oni wszyscy wiedzieli, jak działa mechanizm. Trzeba wcisnąć w podłogę metalową dźwignię i jednocześnie

naciskając ceglany mur nad kłodami, można było go przesunąć. Znali ten zgrzytliwy hałas i zimny, chemiczny zapach dobywający się ze środka, ale nie wiedzieli, co zawiera schowek. Tylko Anne, kwatermistrzowi grupy, wolno było wchodzić do komnaty przywódcy. Reszta zawsze zostawała na zewnątrz, na straży. Kitty otarła się plecami o ścianę.

–Nie ma sensu wykorzystywać tego wszystkiego od razu – powiedziała. – Musimy zaoszczędzić jak najwięcej i czekać, aż zyskamy większe poparcie.

–Jeśli to kiedykolwiek nadejdzie – Stanley nie wrócił na koszt z węglem, ale niespokojnie chodził po piwnicy. – Nick ma rację. Plebejusze są jak woły. Niczego sami nie zrobią.

–Cała ta broń, która tam jest – powiedział tęsknie Fred. – Powinniśmy więcej zdziałać przy jej pomocy. Tak jak Mart.

–Nie na wiele mu się to przydało – zauważyła Kitty. – Premier nadał żyje, prawda? A gdzie jest Mart? Poszedł na pokarm dla rybek.

Celowo tak powiedziała, żeby ich urazić i udało się jej. Stanley był bliskim przyjacielem Marta. Jego głos stał się chrypliwy i nieprzyjemny.

–Nie miał szczęścia. Kula nie była dość silna, to wszystko. Mógł położyć Devereaux i połowę gabinetu. Gdzie jest Anne? Dlaczego się nie pośpieszy?

–Sam się oszukujesz. – Kitty twardo nie schodziła z tematu. – Ich zabezpieczenia były zbyt mocne. Martin nawet nie miał szans. Ilu magów zabiliśmy przez te lata? Czterech? Pięciu? I to niewiele wartych. Mówię ci, broń nie jest taka ważna, potrzebujemy lepszej strategii.

–Powtórzę szefowi, co powiedziałaś – rzekł Stanley. – Kiedy tylko wróci.

–Pewnie, że powtórzysz, ty mały donosicielu – powiedziała to zjadliwym tonem, ale i tak myśł o tym sprawiła, że przeszły ją dreszcze.

–Jestem głodny – powiedział Fred. Nacisnął guzik na rękojeści noża i ostrze znów wystrzeliło.

Kitty spojrzała na niego.

–Zjadłeś ogromny lunch. Widziałam.

–Znowu jestem głodny.

–Ciężka sprawa.

–Nie mogę walczyć bez jedzenia. – Fred nagle pochylił się do przodu, jego palce skręciły się, rozmazały, rozległ się świszczący dźwięk i nóż sprężynowy wbił się w cement między dwiema cegłami, osiem centymetrów nad głową Stanleya. Ten powoli podniósł głowę i przyjrzał się drżącej ręczce. Twarz trochę mu pozieleniała.

–Widzisz? – powiedział Fred. – Pudło. – Założył ramiona. – To dlatego, że jestem głodny.

–Mnie się wydawało, że trafiłeś – rzekła Kitty.

–Trafiłem? Chybiłem go.

–Daj mi ten nóż, Stanley. – Kitty poczuła się nagle bardzo zmęczona.

Stanley bez rezultatu próbował wyciągnąć nóż ze ściany, kiedy otworzyły się drzwiczki nad stosem kłód i stanęła w nich Anne. Nie miała już małej torebki, którą wcześniej niosła ze sobą.

–Znowu się sprzeczacie? – zapytała cierpko. – Chodźcie, dzieci.

Powrót do sklepu był równie mokry jak przeprawa do piwnicy i morale zespołu stało bardzo nisko, kiedy dotarli na miejsce. Weszli w oparach mgielki i rozpryskach deszczu. Nick podbiegł do nich z twarzą lśniąca z podniecenia.

–Co takiego? – zapytała Kitty. – Co się stało?

–Jest wiadomość – odparł, dysząc. – Od Hopkinsa. Wracają za tydzień. Mają nam powiedzieć o czymś bardzo ważnym. O nowym zadaniu. Większym niż wszystkie dotychczasowe.

–Większym niż Westminster Hall. – Słowa Stanleya zabrzmiały sceptycznie.

Nick uśmiechnął się

–Z całym szacunkiem dla pamięci Marta, to będzie większe nawet od Westminster Hall. Hopkins w liście nie uprzedził o niczym, ale napisał, że to coś wywróci wszystko do góry nogami. To jest to, czego zawsze chcieliśmy, czego chciało każde z nas. Zrobimy coś, co zmieni nasze losy za jednym zamachem. Zadanie niebezpieczne, ale jeśli zabierzemy się do niego tak, jak trzeba, stracimy magów z ich grzędy. Londyn nigdy już nie będzie taki sam.

–Już czas – powiedziała Anne. – Stanley, idź postawić czajnik na ogniu.

*Bartimaeus*

yobraźcie sobie tę scenerię. Londyn w deszczu. Szare fale wody spływające z nieba rozbijają się o chodniki z rykiem większym niż huk armat. Silny wiatr szarpie deszczem we wszystkie strony, dmucha po gankach i gzysach, napęlniając każdy spokojny zakątek zamarzającą mgielką. Woda była wszędzie, odbijała się od asfaltu, płynęła rynsztokami, gromadziła się w rogach piwnic i studzienkach kanalizacyjnych. Przelewała się z miejskich cystern. Spływała pionowo rurami, lała się w po dachówkach i ścianach, plamiąc cegły jak krew. Kapiała z pęknięć na sufitach. Wisiała w powietrzu w formie chłodnej białej mgielki i wyżej, niewidzialna, w czarnych przestworzach nieba. Wsączała się w materię budynków i kości kryjących się w nich mieszkańców.

W ciemnych miejscach pod ziemią szczury kuliły się w swoich legowiskach, nasłuchując bębnienia dochodzącego z góry. W skromnych domostwach ludzie zamykali okiennice, włączali światła i gromadzili się przy kominkach z parującymi filiżankami herbaty. Nawet magowie w swych samotnych willach szukali schronienia przed niekończącym się deszczem. Biegli do pracowni, ryglowali żelazne drzwi i wzniecając chmury rozgrzewających kadzideł, śnili o odległych łąkach.

## 139

Szczury, pospólstwo, magowie, wszyscy szukali bezpiecznego schronienia. Czy można ich za to winić? Ulice były opustoszałe, cały Londyn zaryglował drzwi do środka. Zbliżała się północ, a burza nasilała się.

Nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby na dwór w taką noc.

Gdzieś, w siekącym deszczu, było miejsce, w którym spotykało się siedem dróg. Pośrodku skrzyżowania stał granitowy cokół zwieńczony posągiem jeźdźca, wielkiego człowieka na koniu. Człowiek wymachiwał mieczem, twarz mu zastygła w grymasie heroicznego okrzyku. Koń stał dęba, z tylnymi nogami ugiętymi, przednimi w górze. Może opierał się w ten sposób woli jeźdźca, może gotował się do skoku w wir bitwy. A może, po prostu, próbował zrzucić tego tłustego faceta, który siedział mu na grzbiecie. Nigdy się nie dowiemy. Ale spójrzcie, pod brzuchem konia, w samym środku cokołu, z ogonem elegancko ułożonym na łapach leżał wielki szary kot.

Kot nie zwracał uwagi na ostry wiatr szarpiący go za przemoczone futro. Jego piękne, żółte oczy wpatrzone były niezmiennie w mrok, jakby chciał przesyć deszcz wzrokiem. Tylko z lekka położone po sobie uszy świadczyły o niezadowoleniu z aury. Jedno ucho drgało co jakiś czas; poza tym można by sądzić, że kot został wyrzeźbiony z kamienia.

Noc pociemniała. Deszcz przybrał na sile. Ponuro podwinąłem ogon i obserwowałem drogi.



## **Czas upływał.**

**Cztery noce to nie jest szczególnie długi czas nawet dla ludzi, nie mówiąc o nas, wyższych istotach z Zaświatów\*. Ale te ostatnie cztery noce naprawdę mi się dłużyły. Patrolowałem śródmieście Londynu, polując na nieznanego rabusia. Nie byłem sam; miałem towarzystwo kilku innych nieszczęsnych dżinów i całego tabunu diablików. Szczególnie diabliki sprawiały nieustanny kłopot, ciągle ukrywały się pod mostami, wślizgiwały się w kominy, albo były tak wystraszone, że wyskakiwały**

**\* Gdzie czas, ściśle rzecz biorąc, nie istnieje. A jeśli istnieje, to tylko kołowy, nie linearny... Słuchajcie, to skomplikowana materia i chętnie przedyskutowałbym ją z wami, ale chyba to nie najlepszy moment. Przypomnijcie mi o tym później.**

z własnej skóry\* na odgłos uderzenia pioruna, czy widok własnego cienia.

Trzeba je było trzymać w ryzach. A przez cały czas tak mocno lało, że można było dostać zgorzeli esencji.

Nathaniel, co oczywiste, wcale mi nie współczuł. Mocno go naciskano, jak mówił, i wkrótce potrzebne mu były wyniki. On z kolei miał problem z pokierowaniem małą grupką magów ze swojego ministerstwa, którzy dostarczali dżiny na patrole. Nie mówił tego, ale się buntowali, że pomiata nimi taki młodzik. Bądźmy szczerzy, czy można ich za to winić? Tak czy inaczej, co noc dżiny i diabliki gromadziły się na dachówkach Whitehall i rozsyłane były na patrole.

Naszym celem była ochrona pewnego rejonu miasta, który Nathaniel i jego bezpośredni przełożony, niejaki Tallow, uznali za zagrożony. Dano nam listę prawdopodobnych miejsc: muzeów, galerii, eleganckich restauracji, lotnisk, centrów handlowych, pomników, łuków i innych atrakcji... razem wzięwszy, był to prawie cały Londyn. To zaś znaczyło, że musieliśmy pracować przez całą noc, bez przerwy, żeby to wszystko sprawdzić.

Było to nie tylko nudne i męczące (i bardzo mokre), ale także denerwujące, gdyż natura naszego przeciwnika była równie tajemnicza, co zła. Kilka co bardziej nerwowych diablików natychmiast zaczęło prowadzić szeptaną kampanię: nasz wróg to afryt-zbój lub co gorsza, to marid, który przez cały czas chodzi owinięty płaszczem ciemności, więc jego ofiary nie widzą zbliżającej się śmierci. Nie, niszczy budynki oddechem\*\*, idzie wraz z nim cmentarny zapach, a on paraliżuje ludzi i duchy bez różnicy. Żeby podnieść morale, próbowałem rozsiać plotkę, że to nic innego, tylko mały imp w podłym nastroju, ale, niestety, nie chwyciło. Diabliki (i parę dżinów) uleciały w noc z szeroko otwartymi oczami i trzęsącymi się skrzydłami.

Jedynym plusem był fakt, że wśród dżinów pojawiła się moja stara znajoma z praskich dni, Queezle. Dopiero co została wzięta w niewolę przez któregoś z magów w departamencie Nathaniela, skwaśniałego

\* Obawiam się, że dosłownie. Był to raczej obrzydliwy i nieprzyjemny widok. \*\* Znałem magów, którzy dysponowali podobną siłą, szczególnie zaraz po przebudzeniu.

i rozwiązętego osobnika o nazwisku Ffoukes. Mimo surowych warunków służby, Queezle zachowała stary wigor. Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby polować razem, gdzie tylko było to możliwe\*.

Przez pierwsze dwie noce nic się nie działo, nie licząc zmycia się dwóch diablików ukrywających się pod Mostem Londyńskim. Ale trzeciej tuż przed północą dały się słyszeć głośne trzaski dochodzące z zachodniego skrzydła National Gallery. Na miejscu pierwszy pojawił się dżin o imieniu Zeno, ja przybyłem tuż po nim. Jednocześnie, w konwoju, przybyło kilku magów, włączając w to mojego pana; otoczyli galerię gęstą siecią ochronną i rozkazali nam wdać się w bój.

Zeno wykazał się godną podziwu odwagą. Poleciał bez wahania w stronę hałasów i od tej pory go nie widziano. Ja deptałem mu po piętach, ale chroma noga i skomplikowany wzór korytarzy galerii sprawiły, że zgubiłem się i odnalazłem zachodnie skrzydło znacznie później, a do tego czasu rabuś ulotnił się.

Wymówki nie zrobiły wrażenia na moim panu, który z pewnością obmyśliłby dla mnie jakąś niezwykłą karę, gdyby nie chroniła mnie znajomość jego imienia. Przysiągł jedynie, że zamknie mnie w żelaznym sześcianie, jeśli nie dopadnę wroga następnym razem. Staralem się go uspokoić, wyczuwając w nim niepokój: włosy miał zmierzwione, mankiety obwisły mu bezwładnie, spodnie spadały z niego, jakby stracił na wadze. Zwróciłem mu na to uwagę z sympatii.

–Więcej jedz – doradziłem. – Jesteś zbyt chudy. Obecnie jedyna część twojego ciała, która rośnie to włosy. Jeśli nie będziesz uważał, wkrótce przebierzesz miarę.

Potań zaczerwienione z bezsenności oczy.

\* Lubilem Queezle. Była świeża i młoda (zaledwie 1500 lat w waszym świecie) i miała szczęście do właścicieli. Jako pierwszy wezwał ją pustelnik mieszkający na jordańskiej pustyni, który jadł miód i zeszkłe bulwy i traktował ją z surową uprzejmością. Kiedy zmarł, udawało się jej unikać służby, aż pewna Francuzka (w XV wieku) odkryła jej imię. Ta pani także była niezwykle łaskawa i bardzo rzadko posuwała się do uderzenia jej Karcącym Dźgnięciem. Toteż przed Pragą jej osobowość mniej ucierpiała niż osobowość takich starych wyjadaczy jak ja. Zwolniona tam ze służby w związku ze śmiercią naszego pana, zdążyła już odbyć, bez większych przygód, służbę u magów w Chinach i na Cejlonie.

–Czy przestaniesz się czepiać moich włosów? Jedzenie jest dla ludzi, którzy nie mają niczego innego do roboty, Bartimaeusie. Ja żyję w pożytecznym mi czasie, tak jak i ty. Jeśli zniszczysz wroga, wszystko będzie dobrze. Jeśli nie, to przynajmniej dowiedz się czegoś o jego naturze. Inaczej sprawę przejmie Nocna Policja.

–No i co z tego? Co to ma wspólnego ze mną? Przemówił poważnie.

–Mam na myśli mój upadek.

–No i co z tego?

–Wszystko, jeśli zaklnę cię w żelaznym sześcienniku, zanim odejdę. Przeważając, zrobiłem srebrny, jeszcze bardziej bolesny. I skończysz w nim, jeśli wkrótce nie dostanę jakichś wyników.

Przestałem się więc sprzeczać. Nie byłoby sensu. Chłopiec trochę się zmienił, odkąd widziałem go poprzednim razem, i nie była to zmiana na lepsze. Jego mistrzyni i kariera zrobiły z nim coś nieprzyjemnego. Stał się twardszy, bardziej szorstki i zarazem bardziej kruchy. Miał też mniej poczucia humoru niż przedtem, co samo w sobie stanowiło godne uwagi osiągnięcie. Tak czy siak, nie mogłem doczekać się końca służby.

Z mojego stanowiska pod posągami mogłem widzieć trzy z siedmiu ulic. Wzdłuż każdej stały eleganckie sklepy, ich witryny były ciemne i ocienione, chronione metalowymi kratami. Lampki świeciły we wgłębieniach nad drzwiami, ale deszcz był od nich silniejszy i ich światło nie rozchodziło się nazbyt daleko. Woda spływała chodnikami.

Nagły ruch na drodze po lewej stronie. Głowa kota odwraca się. Coś spadło na parapet okna na parterze. Sterczało tam przez chwilę, czarna smuga w mroku, a potem jednym, muskularnym ruchem zeskoczyło z parapetu w dół i zaczęło spływać zygzakiem bruzdami między ceglami muru, jak cienka struga gorącego syropu. U podnóża muru to coś spadło na ziemię i znów zamieniło się w małą czarną smugę. Potem wyrosły mu nogi i zaczęło iść w moją stronę.

Obserwowałem to wszystko. Nie ruszyłem się ani o centymetr.

Smuga dotarła do skrzyżowania, przebrnęła przez kałużę i wskoczyła na cokół. Tutaj ukazała

**się w całej krasie jako piękna spanielka o wielkich brązowych oczach. Zatrzymała się przed kotem i otrząsnęła się mocno.**

Prysznic strząsanej wody poleciał kotu prosto na mordkę.

–Dziękuję, Queezle – powiedziałem. – Musiałaś zauważyć, że nie byłem dostatecznie mokry.

Spaniel zamrugał oczami, przekrzywił z fałszywą skromnością łeb i przepaszająco szczeknął.

–I mogłabyś dać sobie spokój z tymi wyglupami – kontynuowałem. – Nie jestem jakimś ludzkim cymbałem, który da się nabrać na łzawe oczy i mokre futro. Zapominasz, że mogę cię całkiem dobrze zobaczyć na siódmej płaszczyźnie, rury grzbietowe i tak dalej.

–Nie mogę się powstrzymać, Bartimaeusie. – Spanielka podniosła tylną nogę i podrapała się nonszalancko za uchem. – To ta praca w tajemnicy. Staje się to dla mnie drugą naturą. Ciesz się, że nie siedzisz pod słupem latarni.

Nie raczyłem nawet odpowiedzieć na tę uwagę.

–Więc gdzie to byłaś? – zapytałem. – Przyszłaś dwie godziny później, niż ustaliliśmy.

Spaniel pokiwał ze zmęczeniem łbem.

–Fałszywy alarm w sklepach z jedwabiem. Parka diablików myślała, że coś widzi. Musiałam dokładnie przeszukać całe miejsce, zanim stwierdziłam, że wszystko jest w porządku. Głupi nowicjusze. Oczywiście, należało im dać reprimendę.

–Uszczypnęłaś w kostki, co?

Złośliwy uśmieszek pojawił się na mordce spaniela.

–Coś w tym stylu.

Przesunąłem się, żeby ustąpić Queezle trochę miejsca pośrodku cokołu. Nie żeby było tam mniej wilgotno niż gdzie indziej, ale wyglądało to na przyjacielską przysługę. Przysunęła się i przytuliła do mnie.

–Nie można ich winić – powiedziałem. – Są płochliwe. To wszystko przez ten deszcz. A co się stało z Zenem? Być wzywany noc po nocy, to też nie ułatwia sprawy. Po jakimś czasie traci się esencję.

**Queezle popatrzyła na mnie z ukosa tymi wielkimi brązowymi oczami szczeniaka.**

**–Twoją esencję także, Bartimaeusie.**

**–Mówiłem retorycznie. Ze mną wszystko w porządku. – Żeby to udowodnić, wygiąłem grzbiet w nieco przesadny, koci sposób, tak że łuk biegł od koniuzzków wąsów po koniec ogona. – Ach, teraz lepiej. Widziałem**

rzeczy gorsze niż to i ty też widziałaś. Po prostu jakiś rozochocony imp czający się w ciemności. Nic takiego, z czym nie dalibyśmy sobie rady, jak już to znajdziemy.

–O ile pamiętam, to samo mówił Zeno.

–Nie pamiętam, co mówił Zeno. Gdzie jest teraz twój pan? Bezpieczny? Spaniel warknął.

–Twierdzi, że jest w zasięgu sygnału. Ponoć w biurze w Whitehall, ale zapewne tkwi gdzieś w barze dla magów z butelką w jednej ręce, drugą obejmując dziewczynę.

Chrząknąłem.

–Taki z niego ptaszek?

–Aha. A twój jaki jest?

–Och, taki sam. Gorszy. On trzymałby dziewczynę i butelkę w tej samej ręce\*.

Spanielka współczująco zakwiliła. Powoli wstałem.

–Hm, lepiej żebyśmy obeszli rewir – powiedziałem. – Zacznę patrolowanie od Soho i wrócę tutaj. Ty możesz przejść się między luksusowymi sklepami wzdłuż Gibber Street do muzeum i dzielnicy za nim.

–Chciałabym trochę odpocząć – powiedziała Queezle. – Jestem zmęczona.

–Tak. Cóż, życzę szczęścia.

–Życzę szczęścia. – Spanielka położyła ponuro głowę na łapach. Wybiegłem w deszcz na skraj cokołu i ugiąłem nogi, gotując się do skoku. Usłyszałem za sobą cichy głos:

–Bartimaeusie?

–Tak, Queezle?

–Och, nic.

–Co?

–To tylko... hm, to nie tylko diabliki. Ja też się boję.



**Kot wrócił i usiadł obok niej na chwilę, otaczając ją z czułością ogonem.**

**\* Oczywista nieprawda. Mimo swoich karbowanych koszul i powiewającej grzywy (a może właśnie dlatego, że je nosił), jak do tej pory nie miałem dowodu, że Nathaniel w ogóle wiedział, co to dziewczyna. A gdyby kiedyś jakąś spotkał, to istnieją szanse, że oboje z wrzaskiem pobiegliby w przeciwnych kierunkach. Ale w towarzystwie dżinów z reguły lubię dorabiać gębę swoim panom.**

–Nie musisz – powiedziałem. Jest już po północy i żadne z nas niczego nie dostrzegło. Za każdym razem, kiedy to coś atakowało, działo się to przed północą. Jedyne, czego możesz się obawiać, to nuda długiego czuwania.

–Mam nadzieję. – Deszcz bębnił, jakby krople były z ołowiu. Otaczał nas kokonem.

–Tak między nami – powiedziała cicho Queezle. – Jak sądzisz, co to jest?

Ogon mi zadrgał.

–Nie wiem i chyba nie uda mi się dowiedzieć, co to takiego. Jak do tej pory, to zabijało wszystkich, którzy stanęli mu na drodze. Moja rada, bądź czujna i jeśli zobaczysz coś niezwykłego, szybciotko wuj w przeciwną stronę.

–Ale my mamy to zniszczyć. To nasze zadanie.

–Zniszczymy to. uciekając.

–Jak?

–Hm... Niech nas ściga, a my damy nura pod koła samochodów? Może wymyślimy coś innego. Nie wiem. Po prostu nie wiem, co zrobił Zeno.

Spanielka westchnęła.

–Lubiłam Zena.

–Był trochę zbyt gorliwy. Na tym polegał jego problem.

Zapadła ciężka cisza. Queezle nic nie powiedziała. Deszcz bębnił nieustannie.

–No cóż – rzekłem. – Na razie.

–Tak.

Zeskoczyłem z cokołu i pobiegłem z wyciągniętym ogonem przez deszcz, po zalanej wodą ulicy. Jednym skokiem dosięgnąłem małego murku obok pustej kawiarni. Potem, serią skoków i susów – z murku na werandę, z werandy na parapet, z parapetu na dachówki – przemieszczałem się na swój koci, atletyczny sposób, aż dotarłem do rynny na najbliższym, najniższym dachu.

Szybko obejrzałem się na plac. Spaniel wyglądał jak porzucona, samotna plamka w cieniu pod brzuchem jeźdźca. Fala deszczu zasłoniła mi ją. Odwróciłem się i ruszyłem po szczytach

**dachów.**

**W tej części miasta stare domy cisnęły się jeden do drugiego i nachylały jak plotkujące garbusy tak, że ich szczyty omal nie stykały się nad**

ulicą. Nawet w deszczu sprawnemu kotu nie było trudno szybko się przemieścić w dowolnie obranym kierunku. Wykorzystałem to. Każdy, kto miał tyle szczęścia, by właśnie wtedy wyglądać zza okiennicy, mógł zobaczyć błysk szarej błyskawicy (nic więcej) skaczącej z komina na kurka na dachu, mknącej bez potknięcia po dachówkach i strzechach.

Zatrzymałem się przez chwilę w dolince między dwoma stromymi dachami i z tęsknotą przyjrzałem się niebu. Szybciej dostałbym się do Soho, gdybym poleciał, ale dostałem rozkaz, żeby trzymać się blisko ziemi i tu wypatrywać kłopotów. Nikt nie był pewny, w jaki sposób poruszał się wróg, ale mój pan miał przeczucie, że jest związany z ziemią. Wątpił, żeby to była istota podobna do dżina.

Kot starł łapą z pyska trochę wilgoci i przygotował się do kolejnego skoku – tym razem na dużą odległość, przez szerokość ulicy. W tym momencie nocną scenerię oświetlił nagły wybuch pomarańczowego światła. Zobaczyłem dachówki i komin obok mnie, chmury nade mną i nawet fale kropel deszczu wiszące wokół. Potem znów zapadła ciemność.

Queezle.

Coś znalazła. Albo coś znalazło ją.

Skończył się czas przestrzegania reguł. Odwróciłem się, a kiedy to robiłem, dokonałem przemiany. Orzeł z czarnym pióropuszem i złotymi koniuszkami skrzydeł szybko wzbijał się w niebo.

Oddaliłem się tylko o dwie przecznice od miejsca, gdzie krzepki jeździec strzegł siedmiu dróg. Jeśli nawet Queezle odeszła, to nie będzie daleko stąd. Powrót nie zajmie mi więcej niż dziesięć sekund. Nie ma problemu. Zdążę na czas.

Trzy sekundy później usłyszałem jej krzyk.

rzeł spadł z nocnego nieba, pikując w paszczę wichury. Nad dachami, ku pustemu skrzyżowaniu, w dół, ku pomnikowi. Wylądowałem na skraju cokołu, gdzie deszcz ostro uderzał o Ale spaniela nie było.

–Queezle? – Bez odpowiedzi.

Tylko wycie wiatru.

Chwilę później, przycupnięty na kapeluszu jeźdźca, przyjrzałem się wszystkim siedmiu drogom na każdym z siedmiu planów. Spaniela nie było nigdzie widać; ani dzina, impa, czaru czy innej magicznej manifestacji. Ulice pozostawały puste. Byłem zupełnie sam.

Zwątpilem, wróciłem do cokołu i obejrzałem go drobiazgowo. Odnalazłem prawie niewidoczny czarny ślad na kamieniu, mniej więcej tam, gdzie siedzieliśmy, ale trudno było stwierdzić, czy nie było go tam już wcześniej.

Nagle poczułem, że ze wszystkich stron otacza mnie niebezpieczeństwo. Gdzie bym się nie odwrócił, moje plecy narażone były na coś, co wypełzało po cichu z deszczu. Natychmiast zerwałem się do lotu, kręciłem spirale wokół posągu. Szum deszczu dzwonił mi w uszach. Na poziomie dachów wystrzeliłem w górę, poza zasięg czegokolwiek, co czaiło się na ulicy.

I właśnie wtedy usłyszałem trzask. To nie był miły, niezbyt głośny dźwięk, powiedzmy, butelki rozbijanej na głowie łysego. Raczej jakby ktoś wyrwał z korzeniami wielki dąb i odrzucił go na bok albo jakby cały budynek został niecierpliwie zmieciony z drogi czegoś bardzo dużego. Krótko mówiąc, nieprzyjemna sprawa.

Co gorsze, mogłem określić kierunek, skąd ten dźwięk dochodził. Gdyby deszcz padał trochę głośniej albo trzask był trochę cichszy, mógłbym błędnie określić miejsce jego pochodzenia i rzucić się dzielnie w złym kierunku. Ale nie miałem takiego szczęścia.

Tak czy inaczej, zawsze istniało niewielkie prawdopodobieństwo, że Queezle jeszcze żyła.

Więc zrobiłem dwie rzeczy. Najpierw wysłałem następną flarę, z nikłą nadzieją, że zauważy ją inny wartownik z naszej grupy. Najbliższym był, o ile pamięć mi służyła, pewien diablak usadowiony gdzieś w okolicach Charing Cross. Było to marne indywiduum, pozbawione odwagi i inicjatywy, ale teraz każda pomoc była mile widziana, choćby miała służyć tylko jako mięso armatnie.

Potem udałem się na północ, lecąc na wysokości kominów, wzdłuż ulicy, z której doszedł mnie ten odgłos. Zmierzałem w stronę muzeum. Leciałem tak wolno, jak tylko dało się to zrobić, nie spadając\*. Przez cały

\* Jeśli ostrożne machanie skrzydłami jest możliwe, to właśnie to czyniłem.

czas wpatrywałem się w budynki pode mną. Znajdowałem się w dzielnicy luksusowych sklepów, małych, ciemnych i dyskretnych. Stare, malowane szyldy nad drzwiami informowały, co jest w środku: naszyjniki, zwoje jedwabiu, wysadzone klejnotami zegarki kieszonkowe. W tej okolicy panowało złoto, a wraz z nim diamenty. To tutaj przychodzili magowie, żeby kupić błyskotki podkreślające ich status. Gromadzili się tu także bogaci turyści.

Straszliwy trzask nie powtórzył się. Wszystkie witryny sklepowe zdawały się być nienaruszone, światelka się paliły, drewniane szyldy skrzypiały na wietrze.

Deszcz padał wokół mnie na ulicę. Miejscami kocie łby zniknęły pod dziobatą powierzchnią wody. Nie było śladu żadnego śmiertelnika czy innej istoty. Tak jakbym leciał nad wymarłym miastem.

Ulica trochę się rozszerzyła, żeby ominąć z obu stron małe kółko trawy i ślicznych kwiatów. Ten widok był trochę niecodzienny w tak wąskiej uliczce. Ale jeśli przyjrzało się złamanemu słupowi, wystającemu ze środka trawnika, można było się domyślić jego pierwotnego przeznaczenia\*. Dziś w nocy wszystko tutaj było zalane wodą i omiecione wiatrem, ale zainteresowały mnie ślady na trawie, więc okrążyłem słup i usiadłem na jego wierzchołku.

Były to odciski swego rodzaju stóp. Ogromne. Kształtem przypominały szpachle z odciskiem dużego palucha widocznym po szerszej stronie. Przechodziły przez trawnik z jednej strony na drugą, a każdy ślad głęboko odcisnął się w ziemi.

Strząsnąłem wodę z piórek na głowie i poskrobałem pazurami słup. Świetnie. Po prostu doskonale. Mój wróg był nie tylko tajemniczy i potężny. Był także wielki i ciężki. Noc zapowiadała się coraz lepiej.

Orlim wzrokiem podążyłem za śladami stóp. Pierwsze z nich, już poza trawnikiem, także były widoczne dzięki pozostałościom błota. Potem znikaly, ale było widać, że żaden ze sklepów po obu stronach ulicy nie ucierpiał od zainteresowania jakiegokolwiek rabusia. Moja ofiara najwyraźniej

\* Nazwa ulicy, Gibbet Street (ulica Szubieniczna), też wiele mówiła. Władze Londynu zawsze były chętne, żeby dać przykład pospólstwu, chociaż w ostatnich latach ciała przestępców wywieszano wyłącznie w dzielnicy więziennej, wokół Tower. Gdzie indziej tego nie robiono, żeby nie płoszyć turystów.

zmierzała gdzie indziej. Wystartowałem i poleciałem dalej wzdłuż ulicy.

Gibbet Street kończyła się przy szerokim poprzecznym bulwarze niknącym po obu stronach w ciemności. Dokładnie naprzeciwko wznosił się wysoki, imponujący płot z metalowych prętów. Każdy z nich, z czystego żelaza, wysoki był na sześć metrów i gruby na sześć centymetrów. W płocie była dwuskrzydłowa brama, ale jej skrzydła zwisały otwarte. W rzeczy samej, dla ścisłości, zwisały razem z częścią przylegającego do nich płotu. Otwierała się w nim wielka, poskręcana dziura. Coś musiało ją wydrzeć, starając się w pośpiechu dostać do środka. Cóż za gorliwość. Jeśli o mnie chodzi, to dla kontrastu kierowała mną skrajna niechęć do podchodzenia bliżej. Leciałem zatem przez ulice bardzo powoli.

Usiadłem na powykręcanym kawałku metalu. Za zniszczoną bramą ciągnął się podjazd wiodący ku wielkim schodom. Nad nimi znajdował się ogromny portyk składający się z ośmiu imponujących kolumn spojonych z potężną budowlą, wysoką jak zamek, ciemną jak bank. Pamiętałem z dawnych czasów, co to jest – słynne British Museum. Rozciągało się na boki, skrzydło za skrzydłem, dalej niż sięgał mój wzrok. Zajmowało teren od przecznicy do przecznicy\*.

Czy ja tak to widziałem, czy też wszystko wokół mnie było takich okazałych rozmiarów? Orzeł nastroszył energicznie pióra, ale i tak czuł się

\* W British Museum znajdowało się milion eksponatów, z których ledwie kilkadziesiąt przewieziono tu zgodnie z prawem. Na dwieście lat przed rządami magów władcom Londynu weszło w zwyczaj podwędzanie wszystkiego, co uznali za godne uwagi w krajach, w których pojawiali się ich kupcy. Był to rodzaj narodowego uzależnienia opartego na ciekawości i chciwości. Lordowie i damy, udając się w objazd po Europie, pilnie baczyli, czy nie znajdą się jakieś małe skarby, które można by upchnąć w bagażu podręcznym. Żołnierze podczas kampanii wojennych napełniali swoje kuferki zagrabionymi klejnotami i relikwiami; każdy kupiec wracający do stolicy wiozł w ładowni dodatkową skrzynię z drogocennymi rzeczami. Większość z tych przedmiotów trafiła w końcu do nieustannie poszerzającej się kolekcji British Museum, gdzie wystawiano je z jasnymi opisami w wielu językach tak, żeby zagraniczny turysta mógł przyjechać i zobaczyć utracone przez jego kraj klejnoty, i nie natrudził się zbytnio, szukając ich. Później magowie złupili z muzeum przedmioty magiczne, ale i tak pozostało ono imponującą kostnicą kultury.

mały. Zastanawiałem się. Dlaczego nieznanymi, wielkostopy i najwyraźniej silny wróg przybył właśnie tutaj? W muzeum materiału wartego zniszczenia było tyle, że miałby co robić i przez tydzień. Ten kto chciał sprawić, żeby rząd brytyjski poczuł się zakłopotany, dobrze wybrał i śmiało można powiedzieć, że pokrętna kariera mojego pana nie przetrwa zbyt długo, jeśli rabuś ma zamiar trudzić się tutaj przez całą noc.

A to, oczywiście, znaczyło, że muszę wejść za nim do środka\*.

Orzeł poszybował naprzód, nisko nad podjazdem i wyżej, nad schodami, żeby wylądować między kolumnami portyku. Znajdowały się tam drzwi z brązu prowadzące do muzeum. Moja ofiara, jak to ona, zignorowała je i utorowała sobie drogę przez mur z kamienia. To miało styl, ale na ten widok żołądek podchodził mi do gardła i kilka minut spędziłem, stosując taktyki opóźniające, takie jak sprawdzanie, czy w rumowisku nie czai się żadne niebezpieczeństwo.

Dziura w ścianie była wielka i czarna. Z pełnej szacunku odległości zajrzałem do środka, do jakiegoś korytarza. Panował spokój. Brak aktywności na wszystkich planach. Potrzaskane drewno, rumowisko kamieni i rozłupana tablica głosząca radośnie Witamy w Britii... wskazywały, którądy wiodła droga, którą tamten sobie wyznaczył. W powietrzu wisiał gęsty pył. Ściana po lewej stronie została przebita na wskroś. Uważnie nasłuchiwałem. Ciekawe, czy z oddali, przy tym łoskocie deszczu, usłyszę charakterystyczny dźwięk miażdżenia bezcennych zabytków.

Posłałem kolejną flarę w niebo, na wypadek gdyby ukrywający się diablak zechciał spojrzeć w moją stronę. Potem powziąłem decyzję i wkroczyłem do muzeum.

Srogi Minotaur\*\* rozejrzał się władczo po zburzonym korytarzu. Para buchała mu z nozdrzy, szponiaste ręce zaciskały się i prostowały, kopyta

\* Zemsta była jeszcze jedną rzeczą, która mną teraz kierowała. Już nie wierzyłem, że zobaczę Queezle żywą.

\*\* Ta postać dawała mi gwarancję, że przerażę każdego człowieka, o ile takiego ścigałem. Nie ma nic lepszego niż byczogłowy stwór, jeśli chce się wzbudzić prastary lęk i szacunek. Po stuleciach szlifowania moje byczo-ludzkie przebranie było perfekcyjne. Rogi zagiąłem pod właściwym kątem, a zęby odpowiednio naostrzyłem, jakby były spiłowane. Skórę miałem czarną jak heban, z niebieskim odcieniem. Zatrzymałem ludzki tors, ale uzupełniłem go kozimi nogami satyra i raciami, które troszkę bardziej straszą ludzi niż pokryte wypryskami kolana i sandały.



grzebały w rumowisku. Kto ośmieli się stawić mu czoło? Nikt! Nikt, bo jak można się było spodziewać, w pomieszczeniu nikogo nie było. Świetnie. Doskonale. To znaczy, że będę musiał sprawdzić następne. To nie problem. Z głębokim wdechem minotaur niechętnie przeszedł na paluszkach przez gruzy do rozbitej ściany. Rozejrzył się ostrożnie.

Ciemność, deszcz dzwoniący o szyby, amfory i fenickie garnki rozrzucone po podłodze. Gdzieś w oddali brzęk tłuczonego szkła. Wróg nadał był o kilka sal z przodu. Dobrze. Minotaur wszedł dzielnie do

W ciągu następnych kilku minut odbywała się raczej powolna zabawa w kotka i myszkę i kilkakrotnie przechodziliśmy z sali do sali. Nowe puste pomieszczenie, i dźwięki dochodzą z przodu. Rabuś radośnie kontynuował swoją destrukcyjną działalność, a ja snułem się niepewnie za nim, mniej chętny niż powinienem, żeby się z nim zrównać. Zapewniam, że nadal byłem waszym dzielnym, jak zwykle, Bartimaeusem. Nazwijcie mnie nazbyt ostrożnym, ale twarz Zena nazbyt zapadła mi w pamięć i obmyślałem niezawodny plan, jak nie zostać zabitym.

Z rozmiaru zniszczeń, które mijalem, wynikało, że spustoszenia nie dokonał człowiek. Więc co to takiego? Afryt? Możliwe, ale takie działanie nie było w jego stylu. Afryty użyłyby mnóstwa magii przy takich atakach – na przykład wysokiej klasy Detonacji i Piekielnych Ognia – a tu nie znalazłem po tym śladu. Tylko brutalna siła. Marid? Znow to samo i z pewnością zdążyłbym już dawno wyczuć jego magiczną obecność\*. Ale nie wyczuwałem niczego znajomego. Wszystkie sale były puste i zimne. To zgadzało się z tym, co chłopiec powiedział mi o poprzednich atakach, nie były w nie zaangażowane duchy.

Żeby całkowicie się upewnić, wysłałem przodem, przez kolejną dziurę w ścianie, zza której dochodziły hałasy, małą, magiczną pulsację. Czekalem, aż wróci – słabsza, jeśli wokół nie było magii, albo mocniejsza, jeśli coś potężnego czaiło się w ukryciu.

Ku mojej konsternacji pulsacja nie wróciła w ogóle.

\* Maridy promieniają tak wielką mocą że można prześledzić ich ostatnie ruchy, idąc po osadzie magii, jaki za sobą zostawiły. Wisi on w powietrzu tak, jak śluz pokrywa drogę ślimaka. Oczywiście odradzałbym używanie tej analogii, stojąc twarzą w twarz z maridem.

**Minotaur potarł w zamyśleniu pysk. Dziwne, a zarazem jakoś znajome. Byłem pewien, że już kiedyś widziałem taki efekt.**

**Nasłuchiwałem przy dziurze. Dźwięki znów były odległe. Minotaur prześlizgnął się przez otwór...**

**I wszedł do wielkiej galerii, dwa razy wyższej niż pozostałe sale. Deszcz bił o kwadratowe okna wybite wysoko po obu stronach pomieszczenia, a skądś, z nocy, prawdopodobnie z jakiejś odległej wieży, słabe białe światło padało z góry do wnętrza sali. Wypełniono ją starożytnymi posągami kolosalnych rozmiarów, obleczonymi teraz w cień. Stały tu dwa asyryjskie dżiny strzegące bram – uskrzydłone lwy z głowami mężczyzn, które kiedyś strzegły bram Nimrud\*. Nie brakowało wielobarwnego zbioru egipskich bogów i duchów z wyrzeźbionymi – w kilkunastu rodzajach kolorowego kamienia – łbami krokodyli, kotów, ibisów i szakali\*\*. Były też wielkie rzeźbione podobizny skarabeuszy, sarkofagi dawno zapomnianych kapłanów i, nade wszystko, fragmenty posągów wielkich faraonów -potrzaskane twarze, ramiona, torsy, ręce i stopy znalezione w piasku razem z sandałami i przewiezione żagłowcami i parowcami do szarych**

**W innych okolicznościach odbyłbym tutaj nostalgiczną wycieczkę, szukając podobizn odległych przyjaciół i panów, ale teraz nie było na to czasu. Przez salę ktoś wyrąbał korytarz. Kilku pomniejszych faraonów zostało odepchniętych na boki i leżało teraz jak kręgle w żałosnych pozach na marginesie historii, a paru bogów znalazło się bliżej siebie niż zależałoby im na tym za życia. Ale ci nie stanowili problemu. Kilka większych posągów musiało stawić opór. W połowie sali, dokładnie na drodze obranej przez wroga, wyrastała gigantyczna postać siedzącego Ramzesa Wielkiego, wysoka na ponad dziewięć metrów, wyrzeźbiona z twardego granitu. Nakrycie głowy faraona chwiało się łagodnie, a z ciemności poniżej**

**\* Były to tylko kamienne podobizny; w dniach chwały Asyrii dżiny były prawdziwe. Zadawały zagadki obcym, podobnie jak Sfinks i pożerały ich, jeśli odpowiedź była nieprawidłowa, niegramatyczna, albo zwyczajnie, z naleciałością wiejskiego akcentu. Były to drobiazgowe bestie.**

**\*\* Ten ostatni, Anubis, zawsze wyprowadza mnie z równowagi, kiedy dostrzegę go kątem oka. Ale stopniowo uczę się panować nad nerwami. Jabora dawno już nie ma.**

dochodziły stłumione odgłosy drapania, z czego można było wywnioskować, że coś próbuje usunąć Ramzesa z drogi\*.

Nawet utukku zrozumiałby po dłuższej chwili, że coś tak dużego najłatwiej jest obejść i po prostu kontynuować marsz. Ale mój wróg rzucał się na posąg jak mały piesek próbujący podnieść kość goleniową słonia. Więc być może (co mnie cieszyło), mój adwersarz był bardzo głupi. Albo (co było już mniej radosne), miał duże ambicje i chciał maksymalnych zniszczeń.

Tak czy inaczej, teraz był czymś zajęty i to dawało mu szczęście. Ja zaś zyskałem dzięki temu sposobność dokładniejszego przyjrzenia się mu i stwierdzenia, z czym walczę.

Minotaur podbiegł bezgłośnie przez ciemną salę do wysokiego sarkofagu, do tej pory nienaruszonego. Spojrzał spoza niego w stronę podstawy posągu Ramzesa. I zachmurzył się zakłopotany.

Większość dżinów doskonale widzi w nocy, jest to jedna z niezliczonych rzeczy, które czynią nas lepszymi od ludzi. Ciemność nie ma dla nas wielkiego znaczenia, nawet na pierwszym planie. Ale teraz, chociaż przebiegłem z szybkością myśli przez wszystkie płaszczyzny, stwierdziłem, że nie jestem w stanie przebić wzrokiem ciemności u podstawy posągu. Nabrzmiwała i kurczyła się na brzegach, ale pozostawała nieprzenikniona jak atrament zarówno na pierwszym, jak i na siódmym planie. To, co sprawiało, że Ramzes się trząsł, okrywał mrok tak gęsty, że nie mogłem nic zobaczyć.

Niemniej udało mi się oszacować z grubszą, gdzie to coś się znajduje, i skoro było tak miłe, że pozostawało w jednym miejscu, uznałem, iż przyszedł czas na atak z zaskoczenia. Rozejrzałem się za odpowiednią bronią. W szklanej szafce obok znajdował się dziwny czarny kamień, nieregularny, na tyle mały, żeby go unieść, ale na tyle duży, żeby elegancko wybić afrytowi mózg z głowy. Po płaskiej stronie miał mnóstwo bazarów, ale

\* Ramzes nie byłby zdziwiony, że jego posąg powoduje takie kłopoty. Miał największe ego spośród ludzi, którym miałem nieszczęście służyć. I to pomimo tego, że był mały, krzywonogi, a twarz miał tak ospowatą jak tyłek nosorożca. Jego magowie okazali się jednak silni i niezłomni – przez czterdzieści lat trudziłem się przy jego wspaniałych projektach budowlanych wraz z tysiącem innych zniewolonych duchów.

nie miałem czasu na czytanie. Był to prawdopodobnie regulamin zwiedzania muzeum, gdyż napisany był zdaje się w dwóch albo trzech językach. Cokolwiek to było, nadawało się świetnie do moich celów.

Minotaur ostrożnie i po cichu uniósł szklaną szafkę z podłogi, wyjął kamień i znów, bezgłośnie, postawił szafkę na miejsce. Popatrzył przed siebie – czerń nadal kłębiła się agresywnie u stóp Ramzesa, ale statua pozostawała nieporuszona. Dobrze.

Skręt, skłon, i kamień znalazł się w muskularnej ręce Minotaura. Poszedłem z powrotem wzdłuż galerii, szukając odpowiedniego miejsca. W oczy wpadł mi jakiś pomniejszy faraon. Nie rozpoznałem go, pewnie nie był z tych godnych zapamiętania. Nawet na jego posągu widniał z lekka przepraszający grymas. Ale siedział wysoko, na rzeźbionym tronie stojącym na postumencie, a miejsca na jego kolanach było akurat tyle, żeby mógł się na nich zmieścić Minotaur.

Nadal trzymając kamień, skoczyłem najpierw na postument, potem na tron, a w końcu na podolek faraona. Zerknąłem przez ramię posągu. Doskonale, byłem teraz o rzut kamieniem od pulsującej ciemności, wystarczająco wysoko, żeby trajektoria była odpowiednia. Napiąłem kozie nogi, natężyłem biceps, parsknąłem na szczęście i cisnąłem kamień jak z katapulty obłąkanej.

Przez sekundę, może dwie, jego zapisana powierzchnia migotała w świetle z okien. Potem kamień opadł przed twarzą Ramzesa, ku podstawie posągu, w sam środek czarnego smogu.

Trach! Trzask kamienia o kamień, skały o skałę. Małe, czarne kawałki wystrzeliły ze smogu we wszystkich kierunkach, odbijając się z echem od posadzki i tłukąc szkło.

Hm, w coś trafiły, a to coś było twarde.

Czarna chmura zawrzała jakby z nagłej wściekłości. Nieco się rozwiała i przez chwilę widziałem w jej centrum coś wielkiego i masywnego, machającego gigantycznym ramieniem w bezrozumnej furii. Potem chmura znów się zamknęła i rozdęła na wszystkie strony, skacząc w stronę najbliższych posągów, jakby na ślepo szukała sprawcy zbrodni.

Prawdę mówiąc, bohaterski Minotaur zrobił się malutki. Przykucnął najniżej, jak to było możliwe, na podolku faraona i wyglądał przez szczelinę w marmurze. Nawet rogi nieco mi opadły, żeby nie było ich tak bardzo widać. Patrzyłem, jak ciemność przesuwa się, jakby to, co było w jej środku, zaczęło polowanie. Odsunęło się zdecydowanie od podstawy pomnika

Ramzesa, turlając się w tę i z powrotem między pobliskimi statuami. Rozbrzmiała seria ciężkich uderzeń – odgłos okrytych ciemnością kroków.

Prawda, że nie miałem wielkich nadziei na powodzenie pierwszego ataku, skoro mój adwersarz bez trudu przedzierał się przez masywne ściany, ale byłem trochę rozczarowany, że rzut kamieniem nie wywarł większego skutku. Niemniej, mogłem dzięki niemu rzucić okiem na stwora wewnątrz chmury, a ponieważ jednym z moich zadań było zdobycie informacji na jego temat, warto było to powtórzyć. Mały kamień zrobił małą szczelinę w ciemności... więc co zrobi duży?

Kłębiąca się chmura przesuwała się, żeby sprawdzić podejrzaną grupę posągów po drugiej stronie sali. Minotaur, skradając się, zszedł z podółka faraona i, kilkoma błyskawicznymi susami od kryjówki do kryjówki, przemieścił się przez galerię do miejsca, w którym przy ścianie stał wielki, wykonany z piaskowca tors innego władcy Egiptu\*.

Tors był wysoki, liczył około czterech metrów. Wślizgnąłem się w cień, z tyłu, po drodze zabierając z ekspozycji małą urnę grzebalną. Kiedy już się odpowiednio ukryłem, wystawiłem włochate ramię i rzuciłem urną o podłogę jakieś trzy metry dalej. Rozbiła się z przyjemnym, raźnym trzaskiem.

Chmura ciemności, jakby tylko czekała na taki dźwięk, natychmiast zmieniła pozycję i zaczęła szybko płynąć w kierunku, z którego doszedł hałas. Rozległy się szybkie kroki, wijące się macki mroku wyłoniły się z chmury, chłuszcząc mijane posągi. Chmura zbliżyła się do rozbitej urny, zatrzymała się nad nią i niepewnie zaczęła się kłębić.

Tymczasem Minotaur wspiął się do połowy torsu z piaskowca, oparł plecy o ścianę za sobą i zaczął pchać posąg całą siłą swoich nóg z raciami. Tors natychmiast zaczął się przesuwać, chwiać się w przód i w tył i wydawać jednocześnie lekkie skrzypiące odgłosy\*\*.

\* Kartusz na jego piersi głosił, że to Amazis z XVIII dynastii, „Ten, Który Jednoczy w Chwale”. Jako że aktualnie brakowało mu głowy, nóg i ramion, przechwałka ta brzmiała cokolwiek pusto.

\*\* Mój adwersarz powinien przypomnieć sobie zasady korzystania z dźwigni, kiedy próbował przesunąć Ramzesa. Kiedyś powiedziałem Archimedesowi: „Daj mi odpowiednio długą dźwignię, a poruszę świat”. W tamtym przypadku było to troszeczkę nazbyt ambitne, ale sześciotonowe bezgłowe popiersie doskonale pasowało do tego zadania.

Chmura usłyszała hałas i runęła w moją stronę.

Ale nie dość szybko. Po ostatnim pchnięciu środek ciężkości popiersia przesunął się nieodwracalnie. Zaczęło spadać ze świstem i rąbnęło ciężko w środek czarnej mgły.

Siła upadku rozbiła ją na milion postrzępionych mgielek, które rozleciały się we wszystkich kierunkach.

Skoczyłem i wylądowałem obok. Odwróciłem się rażno, żeby obejrzeć scenę.

Popiersie nie leżało płasko na ziemi. Przełamało się w pół; jego górna część znajdowała się metr nad podłogą, jakby spoczywała na czymś wielkim.

Podszedłem tam ostrożnie. Z mojego punktu widzenia nie mogłem przyjrzeć się temu, co leżało bezsilnie pod spodem. Niemniej, wyglądało na to, że odniosłem sukces. Za kilka chwil będę mógł odejść, zdać sprawę chłopcu i przygotować się do odprawienia.

Podszedłem bliżej i pochyliłem się, żeby spojrzeć pod posąg.

Wystrzeliła stamtąd, szybsza niż myśl, gigantyczna ręka i chwyciła mnie za włochatą nogę. Była niebieskoszara, zimna i twarda jak kamień. Miała trzy palce i kciuk. Biegły po niej żyły jak w marmurze, ale pulsowały życiem. Jej uścisk kruszył moją esencję jak imadło. Minotaur ryknął z bólu. Potrzebowałem zmiany, żeby wyciągnąć esencję z tej dłoni, ale w głowie mi się kręciło. Nie byłem w stanie skoncentrować się na dostatecznie długi czas, żeby to uczynić. Ogarniało mnie straszliwe zimno, okrywało jak koc. Poczulem, jak mój ogień przygasa, a energia wysącza się ze mnie jak krew kapiąca z rany.

Minotaur zachwiał się, padł na podłogę jak kukielka. Pokrywała mnie chłodna samotność śmierci.

I nagle, niespodziewanie, kamienny nadgarstek zgiął się, uchwyt osłabł. Ciało minotaura zostało wyrzucone wysoko w powietrze i rąbnęło twardo o pobliską ścianę. Świadomość ze mnie uchodziła. Upadłem, na łeb na szyję, na podłogę.

Leżałem tam przez chwilę oszołomiony, niczego nie rozumiejąc. Słyszałem chrobot, jakby ktoś podnosił popiersie z piaskowca, i nic nie zrobiłem. Czulem, jak podłoga się trzęsie, gdy popiersie zostało odrzucone na bok, i nic nie zrobiłem. Usłyszałem najpierw jeden, potem drugi wstrząs, jakby wielkie kamienne stopy stawały obok siebie i nadal nic nie robiłem.

**Ale przez ten czas straszny, płonący chłód dotyku wielkiej ręki powoli słabł i mój ogień znów zaczynał buchać. I teraz, gdy wielkie kamienne stopy ruszyły w moją stronę, a ja znów wyczułem ten chłód, miałem dosyć energii, żeby zadziałać.**

**Otworzyłem oczy i zobaczyłem wiszący nade mną cień.**

**Straszliwym wysiłkiem woli minotaur znów stał się kotem, ten skoczył wysoko w powietrze, usuwając się spod opadającej stopy, która wbiła się głęboko w materię podłogi. Kot wylądował tuż obok z ogonem najeżonym jak szczotka do toalet i z miauknięciem dał kolejnego susa.**

**Podczas skoku spojrział w bok i zobaczył swojego przeciwnika w całej okazałości.**

**Czarne mgiełki znów się łączyły, zbierały się jak kuleczki rtęci w całun spowijający stwora, ale zdążyłem go jeszcze dostrzec, jego zarys w świetle księżyca, jak siedzi mój skok, błyskawicznie odwracając głowę.**

**Na pierwszy rzut oka wyglądał jak jeden z posągów w sali, który został ożywiony. Ogromna figura, z grubsza posiadająca ludzkie kształty, wysoka na trzy metry. Ramiona, dwie nogi, potężny tors, względnie mała, gładka głowa tkwiąca na korpusie.**

**Istniał tylko na pierwszym planie, na innych ciemność była całkowita.**

**Kot wylądował na pokrytej łuską głowie Sobeka, boga-krokodyla i przysiadł tam na chwilę, sycząc z oburzenia. Wszystko w tamtej postaci promieniowało innością obcego. Czuję, jak wypływa ze mnie energia na sam widok mojego wroga.**

**Kroczył ku mnie ze zdumiewającą szybkością. Przez chwilę na jego twarz – taką, jaką była – padało światło z okna i w tym momencie porównanie z posągami straciło moc. Posągi były, bez wyjątku, pięknie wyrzeźbione – w tym Egipcjanie byli naprawdę dobrzy, nie licząc zorganizowanej religii i inżynierii cywilnej. Ale nie wielkość tego stworzenia miałem na uwadze, ale surowość wykonania, jego... sztuczność. Powierzchnia skóry była nieregularna, pokryta grudkami, pęknięciami, płaszczynami, jakby tylko z grubsza ją wygładzono. Stwór nie miał uszu ani włosów. Tam, gdzie można by spodziewać się oczu, znajdowały się dwie okrągłe dziury, które wyglądały tak, jakby po prostu wydrążono je tępym końcem jakiegoś gigantycznego ołówka. Stwór nie miał nosa i tylko wielkie nacięcie na miejscu ust, lekko rozchylone na głupawą, krwiożerczą**

rekinia modłę. A pośrodku jego czoła widniał owalny kształt, który był mi znajomy. Widziałem go nie tak dawno.

Ten owal był dość mały, wykonany z tej samej ciemnej, niebieskoszarej substancji, co reszta postaci, ale był równie wyrafinowany, co ciało i twarz prostackie. Było to otwarte oko, bez powiek i rzęs, ale poza tym kompletne, z zakreskowaną tęczówką i okrągłą źrenicą. A pośrodku tej źrenicy, tuż przed zamknięciem się płaszcza ciemności, pochwyciłem błysk mrocznej inteligencji. Obserwowała mnie.

Czerń dała susa. Kot skoczył. Usłyszałem z tyłu, jak Sobek rozłupuje się na kawały. Wylądowałem na podłodze, śmignąłem w stronę najbliższych drzwi. Był już na to najwyższy czas. Odkryłem to, co miałem odkryć. Nie pochlebiałem sobie myślą, że mógłbym tu dokonać czegoś jeszcze.

Nad moją głową przeleciała jakaś rzecz i uderzyła w drzwi. Kot wskoczył w szparę pomiędzy nimi a futryną. Denerwujące kroki podążały za nim.

Był to mały, ciemny pokój obwieszony delikatnymi etnicznymi tkaninami. Wysokie okno na końcu obiecywało drogę ucieczki. Kot pobiegł w jego stronę. Położył po sobie uszy i wąsy, skrobał pazurami po podłodze. Skoczył... i odbił w ostatniej chwili w bok, przeklinając bardzo nie po kociemu. Za oknem zobaczył żarzące się białe linie sideł. Przybyli magowie. Zablokowali nas.

Kot okręcił się, szukając innego wyjścia. Niczego nie znalazł.

Cholerni magowie.

Wrząca chmura ciemności wypełniła wejście.

Kot przycupnął w pozycji obronnej, przyciskając się do podłogi. Za nim deszcz bębnił o szyby

Przez chwilę ani kot, ani ciemność nie poruszały się. Potem z chmury wystrzeliło coś małego, białego i przeleciało przez pokój – krokodyla głowa Sobeka zerwana z jego barków. Kot odskoczył w bok. Głowa trzasnęła w szybę, przebiła ją i z sykiem uderzyła w siłki. Gorący deszcz wpadł przez dziurę w oknie, parując przy kontakcie z siłkami, wraz z nim pojawił się podmuch. Materiały na ścianach załopotwały.

Kroki. Nadciągająca ciemność, która zdawała się nabrzmiwać i wypełniać pokój.

Kot wycofał się w róg pokoju, przycisnął się do posadzki, żeby stać się jak najmniejszym. W każdej chwili to oko może mnie zobaczyć...



**Kolejna fala deszczu, brzegi tkanin podniosły się. W mojej głowie zrodził się pomysł.**

**Nie najlepszy, ale w takiej chwili trudno być wybrednym.**

**Kot skoczył na najbliższą zwisającą tkaninę; bardzo delikatną, prawdopodobnie pochodzącą z Ameryki, ukazującą kwadratowych ludzi w morzu stylizowanego zboża. Wspiął się na samą górę, gdzie zwisały sznurki mocujące tkaninę. Błysniecie pazura i tkanina była wolna. Natychmiast złapał ją wiatr, poniósł w stronę środka pokoju, zaczepiając o coś, co znajdowało się w czarnej chmurze.**

**Kot był już przy następnej tkaninie, odcinał ją pazurem. Potem kolejną. W jednej chwili pół tuzina płacht poleciało w kierunku środka pokoju, gdzie tańczyły jak blade duchy na wietrze i w zacinającym deszczu.**

**Stwór z chmury ciemności zerwał z siebie pierwszą płachtę, ale opadła na niego następna. Kawalki materiału wirowały i spadały ze wszystkich stron, dezorientując potwora i zasłaniając mu pole widzenia. Wyczułem, jak macha wielkimi ramionami, jak jego wielkie nogi błądzą we wszystkie strony, ograniczone pomieszczeniem.**

**Kiedy on był zajęty sobą, ja postanowiłem opuścić to niegościnne miejsce.**

**Łatwiej powiedzieć niż zrobić, gdyż czarna chmura zdawała się teraz wypełniać cały pokój, a nie chciałem wpaść na śmiercionośne cielsko skryte w środku ciemności. Toteż przesuwałem się powoli, niemal przylepiony do ścian.**

**Byłem już w połowie drogi, kiedy stwór, który najwyraźniej dotarł do granic swej wytrzymałości, stracił wszelkie wyczucie odległości. Rozległo się nagłe walenie nóg i potężny cios sięgnął ściany po lewej stronie. Tynk odpadł z sufitu, a pomieszczenie wypełnił kurz i gruz, jakby sam wiatr, deszcz i stare tkaniny nie wystarczały.**

**Po drugim ciosie ściana zawałiła się, a wraz z nią cały sufit.**

**Przez ułamek sekundy kot nie poruszał się, oczy miał szeroko otwarte. Potem zwinął się w kłębek.**

**Chwilę później, kilka ton kamieni, cegieł, cementu, stali i rozmaitego gruzu spadło dokładnie na mnie, grzebiąc pomieszczenie do reszty.**

*9tatfumid*

ły człowieczek uśmiechnął się przepaszająco.

–Usunęliśmy większość gruzu, proszę pani – powiedział. – I jak do tej pory nie znaleźliśmy niczego. Jessica Whitwell odpowiedziała głosem zimnym i spokojnym.

–Nic, Shubit? Zdajesz sobie sprawę z tego, że to, co mówisz, jest całkowicie niemożliwe. Myślę, że ktoś tu się wymiguje.

–Unizenie pozwolę sobie powiedzieć, że tak nie jest, proszę pani. – On chyba rzeczywiście w tym momencie czuł się unizenie, stojąc z lekko ugiętymi krzywymi nogami, nachyloną głową, czapką miętoszoną z lekka w rękach. Tylko fakt, że stał wewnątrz pentagramu, ujawniał jego demoniczną naturę. To oraz jego lewa stopa – włochata łapa czarnego niedźwiedzia wystająca z nogawki – którą przez przeoczenie albo z kaprysu zaniedbał przetransformować.

Nathaniel spojrzał nienawistnie na dżina i postukał palcami o palce w sposób, który w zamierzeniu miał być złowrogi i zagadkowy. Siedział w fotelu z wysokim oparciem, obitym zieloną skórą. Takie krzesła jeden ze służących ustawił w eleganckie koło wokół pentagramu. Z rozmysłem przybrał taką samą pozę jak jego mistrzyni. Wyprostowane plecy, skrzyżowane nogi, łokcie na poręczach – chciał naśladować jej władczą

determinację. Miał jednak nieprzyjemne uczucie, że nie maskuje to jego przerażenia. Usiłował mówić zrównoważonym tonem.

–Musisz przeszukać każdy kawałek gruzowiska – rzekł. – Mój demon musi tam być.

Człowieczek spojrzał na niego jasnozielonymi oczami, ale poza tym zignorował go. Przemówiła Jessica Whitwell.

–Twój demon mógł zostać zniszczony, Johnie.

–Wydaje mi się, że odczułbym jego stratę, proszę pani – odparł uprzejmie.

–Albo mógł się wyrwać z więzów. – Grzmiący głos Henry'ego Duvalla dobiegł z czarnego fotela naprzeciwko Nathaniela. Szef policji wypełniał mebel całkowicie, jego palce niecierpliwie bębniły o poręcze. Czarne oczy błysnęły.

–Jak wiadomo, takie rzeczy zdarzają się nadmiernie ambitnym uczniom.

Nathaniel wolał nie przyjmować tego wyzwania. Nie odezwał się.

**Pani Whitwell ponownie zwróciła się do swojego służącego.**

**–Mój uczeń ma rację, Shubit – powiedziała. – Musisz jeszcze raz przejrzeć gruzy. Zrób to, tylko szybko.**

**–Pani, czynię, co kazałaś. – Skłonił głowę i zniknął.**

**Na chwilę w pokoju zapanowała cisza. Nathaniel zachował łagodny wyraz twarzy, ale umysł burzył mu się od emocji. Jego kariera, a może i życie, chwiały się niebezpiecznie, a Bartimaeusa nie można było znaleźć. Złożył wszystko na barki swojego sługi, a sądząc po minach osób obecnych w pokoju, wszyscy uważali, że jego przegrana jest tuż, tuż. Rozejrzał się, zobaczył wygłodniałą satysfakcję w oczach Duvalla, kamienne niezadowolenie w oczach swojej mistrzyni oraz skrytą nadzieję w oczach Tallowa zasiadającego w głębi obitego skórą fotela. Minister spraw wewnętrznych spędził całą noc na dystansowaniu się od wszelkiej działalności nadzorującej, przy czym nie szczędził słów krytyki Nathanielowi. Chłopak nie mógł go za to winić. Najpierw sklep Pinna, potem National Gallery, teraz (najgorsze z wszystkiego) British Museum. Ministerstwo przeżywało ciężki okres, zaś ambitny szef policji był gotów wykonać swój ruch. Jeszcze nie stwierdzono do końca strat, a Duvall zaczął domagać się udziału w operacji oczyszczającej. Patrzył na wszystko ze źle maskowanym triumfem.**

**–Hm... – Szef policji klepnął się dłońmi po kolanach i przygotował**

**się do powstania. – Sądzę, że zmarnowaliśmy dość czasu, Jessico. W ra-**

porcie, który zostanie sporządzony z działań Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, mamy, co następuje: zburzone skrzydło British Museum i setki artefaktów zagrzebanych pod gruzami, szlak zniszczenia wiodący przez parter, kilka bezcennych posągów zupełnie potrząskanych i kamień z Rosetty zmielony na pył. Brakuje nam sprawcy tej zbrodni i nie ma nadziei na jego odnalezienie. Ruch oporu pozostaje wolny jak ptak. A pan Mandrake stracił swojego demona. Takie podsumowanie nie rzuca na kolana, ale i tak musi zostać przekazane premierowi.

–Proszę, Henry, posiedź jeszcze. – Głos Whitwell był tak jadowity, że

Nathaniel poczuł ciarki na skórze. Nawet szef policji był pod wrażeniem.

Po chwili wahania rozluźnił się i oparł. – Poszukiwania nie zostały jeszcze

ukończone – kontynuowała. – Poczekajmy jeszcze kilka minut.

Duvall strzelił palcami. Służący, człowiek, wyłonił się z cienia, niosąc srebrną tacę z kieliszkiem wina. Duvall podniósł kieliszek i w zamyśleniu rozlał trochę wina. Nastąpiła długa cisza.

Julius Tallow zabrał głos spod szerokoskrzydłego kapelusza.

–Jaka szkoda, że nie było tu mojego demona – powiedział. – Nemaides

to zdolny stwór i pewnie udałoby mu się przed śmiercią nawiązać ze mną

jakąś łączność. Ten Bartimaeus to jakiś słabeusz.

Nathaniel spojrział na niego wilkiem, ale nic nie powiedział.

–Ten twój demon – powiedział Duvall, spoglądając zniechęcony na Nathaniela. – Jakiego jest poziomu?

–To dżin czwartego poziomu, proszę pana.

–Śliska sprawa. – Zakołysał kieliszkiem. Wino tańczyło w neonowym świetle z sufitu. – Przebiegły i trudny do kontrolowania. Niewielu ludzi w twoim wieku potrafi sobie z takim dać radę.

Aluzja była jasna. Nathaniel zignorował ją.

–Robię, co mogę, proszę pana.

–Wymagają skomplikowanych zaklęć. Czasem niewłaściwie wymówiony cytat zabija

**czarodzieja albo pozwala demonowi wpaść w amok. To może być niszczące, niekiedy skutkuje zrujnowaniem całych budynków... -Czarne oczy zamigotały.**

**–Nie w tym przypadku – powiedział spokojnie Nathaniel. Ścisnął palce, żeby przestały drżeć.**

**Pan Tallow pociągnął nosem.**

**–Najwyraźniej ten młodzik został awansowany wyżej swoich zdolności.**

–Otóż to – rzekł Duvall. – Pierwsza sensowna rzecz, jaką w życiu powiedziałaś, Tallow. Może pani Whitwell, która go promowała, chciałaby to jakoś skomentować? – Uśmiechnął się.

Jessica Whitwell obdarzyła Tallowa spojrzeniem pełnym czystego zła.

–O ile się orientuję, Juliusie, jesteś ekspertem od źle cytowanych zaklęć – powiedziała. – Czy to nie z tego powodu twoja skóra nabrała takiego rozkosznego odcienia?

Tallow naciągnął kapelusz trochę niżej na żółtą twarz.

–To nie była moja wina – powiedział ponuro. – W książce był błąd drukarski.

Duvall, uśmiechając się, podniósł kieliszek do ust.

–Minister spraw wewnętrznych, a nie umie czytać z własnej książki.

Jakaż nadzieja nam pozostała? Cóż, zobaczymy, czy mój wydział zdoła rzucić trochę światła na ruch oporu, kiedy dostanie specjalne uprawnienia.

–Pociągnął krótki łyk i opróżnił szkło. – Najpierw chciałbym zaproponować...

Pentagram znów został zajęty, bez dźwięku, zapachu czy innego teatralnego pokazu. Mały człowieczek, w przepaszającej pozie, pojawił się ponownie. Tym razem miał dwie niedźwiedzie łapy zamiast stóp. Trzymał coś w obu rękach. Obszarpanego kota, bezwładnego i nieprzytomnego.

Otworzył usta, żeby przemówić, i wtedy – przypominając sobie swoje zamięłowanie do pokory – puścił kota i trzymał go tylko jedną ręką, tak że zwisał mu z dłoni za ogon. Drugą ręką zmiął czapkę w odpowiednio służalczy sposób.

–Proszę pani – zaczął. – Znaleźliśmy ten okaz w szparze między dwie małe złamanymi belkami. W małej dziurce siedział, proszę pani, wepchnięty

na fest. Za pierwszym razem go przeoczyliśmy.

Pani Whitwell zmarszczyła się z niesmakiem.

–Czy to coś... jest warte naszej uwagi?

Soczewki Nathaniela, tak jak i szkła jego mistrzyni, pokazywały kota na wszystkich czterech planach. Niemniej domyślił się, kogo widzi, tylko ten ktoś był najwyraźniej martwy. Zagryzł wargi.

Człowieczek zrobił minę. Kołysał kotem, trzymając go za ogon.

–To zależy, co pani ma na myśli, mówiąc „warte”, proszę pani. To dżin o nieposzlakowanym rodowodzie, to pewne. Obrzydliwy, rozczochrany; wydaje nieprzyjemny odór na szóstej płaszczyźnie. Co więcej...

–Zakładam – przerwała pani Whitwell – że nadal żyje.

–Tak, proszę pani. Wymaga tylko odpowiedniego bodźca, żeby się obudzić.

–Zajmij się tym, potem możesz odejść.

–Z przyjemnością. – Człowieczek rzucił kota bezceremonialnie do góry, wystawił palec w jego kierunku i wypowiedział słowo. Postrzępiony łuk zielonej elektryczności wystrzelił z jego palca, sięgnął głowy kota i trzymał go tańczącego i podskakującego w powietrzu z nastroszonym futrem. Człowieczek klasnął w ręce i kot opadł na podłogę. Minęła chwila. Zielona elektryczność znikła. Zwierzę zanurkowało na środek pentagramu, gdzie wbrew wszelkim prawom natury wylądowało na plecach. Leżało przez chwilę z nogami wystającymi na wszystkie strony z kuli naelektryzowanego futra.

Nathaniel podniósł się.

–Bartimaeusie!

Kot otworzył oczy. Miały urażony wyraz.

–Nie trzeba krzyczeć. – Przerwał i zamrugał. – Co ci się stało?

–Nic. Leżysz do góry nogami.

–Och. – Nagłym ruchem kot poprawił pozycję. Rozejrzał się po pokoju, spostrzegł Duvalla, Whitwell i Tallowa siedzących bez ruchu w fotelach z wysokimi oparciami. Podrapał się bezceremonialnie tylną nogą.

–Dobre towarzystwo, jak widzę.

Nathaniel pokiwał głową. Pod czarnym płaszczem krzyżował palce, modląc się, żeby Bartimaeus nie postanowił zrobić czegoś nieodpowiedniego, na przykład ujawniając jego imię.

–Bądź ostrożny z odpowiedziami – powiedział. – Jesteśmy między

wielkimi. – Ostrzegawczo chrząknął, z myślą o swoich zwierzchnikach.

Kot popatrzył w milczeniu na magów. Podniósł łapę i pochylił się konspiracyjnie do przodu.

–Między nami, widziałem większych.

–Myślę, że i oni widzieli większych od ciebie. Wyglądasz jak pompon z łapami.



**Kot dopiero teraz dostrzegł swój stan. Wydał syk irytacji i natychmiast się przemienił; w pentagramie siedziała czarna pantera o gładkim błyszczącym futrze. Ogon zawinęła elegancko wokół łap.**

**–A więc, życzyłbyś sobie raportu?**

Nathaniel podniósł rękę. Wszystko zależało od tego, co powie dżin. Jeśli nie miał jasnego wyobrażenia o przeciwniku, to pozycja Nathaniela była nie do pozazdroszczenia. Spustoszenia w British Museum prawie dorównywały tym, które zastał na Piccadilly tydzień temu. Wiedział też, że imp-posłaniec odwiedził już jego mistrzynię, przekazując informację o gniewie premiera. To źle wróżyło Nathanielowi.

–Bartimaeusie – powiedział – oto, co wiemy. Ostatniej nocy przed muzeum został wysłany twój sygnał. Wkrótce potem przybyłem tam wraz z innymi magami z ministerstwa. Słyszano niepokojące dźwięki dobiegające ze środka gmachu. Odcieśliśmy muzeum.

Pantera wysunęła pazury i postukała nimi znacząco o podłogę.

–Tak, trudno było nie zauważyć.

–Okolo czwartej czterdzieści rano widziano, jak wali się jedna z wewnętrznych ścian wschodniego skrzydła. Wkrótce potem coś niezidentyfikowanego przebiło się przez zabezpieczenia, zabijając impy znajdujące się w pobliżu. Przeszukaliśmy już ten obszar. Niczego nie znaleziono nie licząc ciebie, nieprzytomnego.

Pantera wzruszyła ramieniem.

–Hm, a czego się spodziewałeś, skoro spadł na mnie budynek? Że zatańczę mazura na ruinach?

Nathaniel odkaszlnął głośno i zebrał się w sobie.

–Jakkolwiek by było – powiedział surowym tonem – z braku innych dowodów, na ciebie spadnie wina za wszystkie te zniszczenia, chyba że dostarczysz nam informacji świadczącej o twojej niewinności.

–Co! – Oczy pantery rozszerzyły się z wściekłości. – Wy mnie winicie? Po tym, co wycierpiałem? Moja esencja to jeden wielki siniak, mówię wam! Mam siniaki tam, gdzie ich nie powinno być!

–Zatem – powiedział Nathaniel – co spowodowało zniszczenia?

–Co spowodowało zawalenie się budynku?

**–Tak.**

**–Chcesz wiedzieć, co spowodowało całe to spustoszenie ostatniej nocy, a potem znikło wam przed nosa?**

**–Zgadza się.**

**–A więc chcesz, żebym zidentyfikował stwora, który przybył jakby znikąd i odszedł niezauważony, a kiedy tu był, otaczał się płaszczem ciemności, żeby chronić się przed wzrokiem ducha, człowieka albo zwierzęcia**

na tym i na wszystkich innych planach? Właśnie o to pytasz? Nathanielowi serce zamarło w piersi. – T...tak.

–To proste. To był golem.

Od strony Jessiki Whitwell dało się słyszeć ciche westchnienie, Tallow i Duvall parsknęli bezceremonialnie. Nathaniel wyprostował się wstrząśnięty.

–Golem?

Pantera polizała łapę i wygładziła futro nad okiem.

–Radzę w to uwierzyć, koleś.

–Jesteś tego pewien?

–Gigantyczny człowiek z ożywionej gliny, twardy jak granit, odporny na cios, który skruszyłby mury. Otoczony ciemnością i zapachem ziemi. Obdarzony dotykiem niosącym śmierć wszelkim stworzeniom z powietrza i ognia... dotykiem, który w parę sekund może spopielić nasze dusze. Tak, rzekłbym, że jestem całkowicie pewny.

Whitwell uczyniła lekceważący gest.

–Możesz się mylić, demonie.

Pantera zwróciła żółte oczy w jej stronę. Przez straszną chwilę Nathaniel myślał, że dżin będzie bezczelny. Ale nawet jeśli chciał się tak zachować, to zmienił zadanie. Pochylił głowę.

–Mogę, proszę pani. Ale widziałem już golemy, kiedy byłem w Pradze.

–W Pradze, tak! Setki lat temu. – Duvall odezwał się po raz pierwszy. Wydawał się być zirytowany przebiegiem wydarzeń. – Zniknęły wraz ze Świętym Cesarstwem Rzymskim. Ostatni znany przypadek użycia ich przeciwko naszym wojskom datuje się na czasy Gładstonea. Przepędziły jeden z naszych batalionów do Wełtawy pod blankami ich zamku. Ale magowie kontrolujący je zostali odnalezieni i zniszczeni, a golemy rozpadły się na Kamiennym Moście. To można znaleźć w annałach.

Pantera znów się skłoniła.

–To brzmi prawdziwie, proszę pana.

Duvall rąbnął ciężką pięścią o poręcz fotela.

**–To jest prawda! Od załamania się Cesarstwa Czeskiego nie ma ani jednej wzmianki o golemach. Magowie, którzy przeszli na naszą stronę,**

nie przynieśli tajemnic ich budowy, a ci, którzy zostali w Pradze, są cieniem swoich poprzedników, amatorami magii. I tak oto spuścizna została stracona.

–Najwyraźniej nie dla wszystkich. – Dżin machał ogonem w tę i z powrotem. – Działania golema były przez kogoś kontrolowane. Ktoś patrzył przez oko w czole golema. Widziałem błysk inteligencji, kiedy czarna chmura się rozproszyła.

–Ba! – Duvall pozostawał nieprzekonany. – To śmieszne. Demon łąe!

Nathaniel spojrzał na swoją mistrzynię; twarz miała pochmurną.

–Bartimaeusie – rzekł. – Nakazuję ci mówić prawdę. Czy jest cień wątpliwości co do tego, co zobaczyłeś?

Żółte oczy zamrugały powoli.

–Żadnego. Czteryście lat temu byłem świadkiem działania pierwszego golema, którego w praskim getcie stworzył wielki mag Loew. Posyłał go ze swojego zakurzonego i pokrytego pajęczynami strychu, żeby siał strach wśród nieprzyjaciół jego ludu. Sam był wytworem magii, ale działał przeciwko magii dżinów. Władał esencją ziemi z wielką mocą, nasze zaklęcia spełzały na niczym w jego obecności, czynił nas ślepyimi i słabymi, zwalczał nas. Stwór, z którym walczyłem ostatniej nocy, należał do tego samego rodzaju. Zabił jednego z moich towarzyszy. Nie łąę.

Duvall parsknął.

–Nie żyłbym tak długo, gdybym wierzył w każdą opowieść demona. To bezcelne kłamstwo, które ma chronić jego pana. – Odstawił kieliszek, wstał i popatrzył wilkiem na towarzystwo.

–Czy to golem, czy nie, różnica jest niewielka. To jasne, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych straciło kontrolę nad sytuacją. Zobaczmy, czy mój wydział poradzi sobie

lepiej. Będę prosił premiera o rozmowę. Życzę miłego dnia.

Z wysoko podniesioną głową podszedł do drzwi, skóra jego butów z cholewami skrzypiała. Nikt nie odezwał się słowem.

Drzwi się zamknęły. Pani Whitwell nic nie powiedziała. Światłówki z sufitu rzucały na nią ostre światło; twarz miała bardziej trupa niż zazwyczaj. W zamyśleniu pogładziła się po szpiczastym podbródku.

–Musimy się nad tym zastanowić – powiedziała w końcu. – Jeśli demon

mówi prawdę, to uzyskaliśmy cenną informację. Ale Duvall ma rację,

będąc sceptycznym, chociaż kieruje się chęcią umniejszenia na szczytach osi-

gnięć. Stworzenie golema to trudna sztuka, uważa się ją za prawie niemożliwą. Co wiesz na ten temat, Tallow? Minister zrobił minę.

–Bardzo mało, dzięki Bogu. To jest prymitywny rodzaj magii, który nigdy nie był praktykowany w naszym oświeconym społeczeństwie. Nigdy się tym nie zajmowałem w śledztwach.

–Mandrake, a co ty sądzisz?

Nathaniel chrząknął, zawsze podobały mu się pytania z zakresu wiedzy ogólnej.

–Czarodziejowi potrzebne są dwa potężne artefakty, proszę pani –

powiedział. – Każdy z nich pełni inną funkcję. Przede wszystkim

potrzebny jest pergamin ze spisaniem zaklęcia, które powołuje golema

do

życia. Gdy tylko uformuje się ciało z rzecznej gliny, wkłada się pergamin w Mistrzynie pokiwała głową.

–Otóż to. To zaklęcie uważa się za zaginione. Czescy mistrzowie nie spisali tej tajemnicy.

–Drugi artefakt – kontynuował Nathaniel – to specjalny rodzaj gliny, stworzony dzięki innym zaklęciom. Umieszcza się go na czole potwora, żeby pomóc mu ogniskować jego siły. Działa jak oko, pozwalając widzieć magowi, tak jak to opisał Bartimaeus. Czarodziej może wtedy kontrolować stwora za pomocą zwyczajnej kryształowej kuli.

–Prawidłowo. A więc, jeśli twój demon mówi prawdę, to szukamy kogoś, kto uzyskał zarówno oko golema, jak i ożywczy pergamin. Któż to może być?

–Nikt. – Tallow przeplótł palce i zgiął je z trzaskiem stawów głośnym jak karabinowa salwa. – To absurd. Te artefakty już nie istnieją. Stworzenie Mandrakea powinno zostać poddane działaniu Suszącego Ognia. A jeśli chodzi o samego Mandrakea, to ta katastrofa jest jego

–Zdajesz się być bardzo pewny swoich stwierdzeń – zauważyła pantera, głośno ziewając i okazując przy tym robiące wrażenie użębienie. – To prawda, że pergamin rozpada się po wyjęciu z ust golema. Zgodnie z zaklęciem potwór musi wrócić do swojego pana i zamienić się z powrotem w glinę, dlatego jego ciało nie może przetrwać. Ale oko golema nie ulega zniszczeniu. Można go używać wielokrotnie. Toteż z powodzeniem mogło



się znaleźć tutaj, we współczesnym Londynie. Dlaczego jesteś taki żółty? Tallowowi z wściekłości opadła szczęka.

–Mandrake, trzymaj to coś pod kontrolą, albo poniesiesz konsekwencje. Nathaniel natychmiast przestał się uśmiechać.

–Tak, panie Tallow. Milcz, niewolniku!

–Och, przepraszam.

Jessica Whitwell podniosła dłoń.

–Mimo tej bezczelności demon ma rację przynajmniej co do jednego.

Istnieje przynajmniej jedno oko golema. Dwa lata temu widziałam takie.

Julius Tallow uniósł brew.

–Doprawdy, proszę pani? Gdzie?

–W kolekcji kogoś, kogo powinniśmy pamiętać, Simona Lovelace'a.

Nathaniel wzdrygnął się. Zimny dreszcz przebiegł mu między łopatkami. To nazwisko nadal miało nad nim władzę. Tallow wzruszył ramionami.

–Lovelace od dawna nie żyje.

–Wiem... – Pani Whitwell zaczęła wyglądać na osobę bardzo zajętą. Rozsiadła się w fotelu i przesunęła go, żeby stał na wprost innego pentagramu, podobnego do tego, w którym siedziała pantera. W pokoju było kilka pentagramów, każdy o nieco innym kształcie. Strzeliła palcami i pojawił się jej dżin, tym razem w pełnej postaci niedźwiedzia.

–Shubit – powiedziała – odwiedź loch z obiektami pod gmachem Służb Bezpieczeństwa. Zlokalizuj kolekcję Lovelace'a i przejrzyj ją dokładnie. Znajdziesz tam, między innymi, rzeźbione oko z utwardzanej gliny. Przynieś mi je jak najszybciej.

Niedźwiedź ugiął nogi, skoczył i zniknął.

Julius Tallow uśmiechnął się nieprzyjemnie do Nathaniela.

–Takiego sługi ci potrzeba, Mandrake – powiedział. – Żadnych kłamstw, żadnych pogaduszek. Posłuszny bez dwóch zdań. Pozbyłbym się tego

**oślizgłego węża, gdybym był na twoim miejscu.**

**Pantera śmignęła ogonem.**

**–Hejże, facet, wszyscy mamy problemy. Ja jestem nazbyt gadatliwy. Ty wyglądasz jak pole rumianku w garniturze.**

**–Ten zdrajca Lovelace miał interesujący zbiór – zastanawiała się pani Whitwell, ignorując wściekle krzyki Tallowa. – Oko golema było jednym**

z wartych uwagi przedmiotów, które skonfiskowaliśmy. Ciekawe, jak ono teraz wygląda.

Wrócił niedźwiedź, z trzaskiem włochatych stawów, i lekko wylądował w środku koła. Łapy miał puste, nie licząc czapki, którą znowu miętosił w uniżony sposób.

–Tak, to sługa, jaki byłby ci potrzebny – powiedziała pantera. – Żadnych pogaduszek. Posłuszny. Kompletnie nieużyteczny. Czeka, zapomniał rozkazu!

Pani Whitwell zrobiła niecierpliwy gest.

–Shubit, byłeś w kolekcji Lovelace'a?

–Tak, pani.

–Czy jest tam gliniane oko?

–Nie, pani. Nie ma.

–Czy było wśród obiektów spisanych w wykazie?

–Było. Numer trzydziesty czwarty, proszę pani: „Gliniane oko szerokie na sześć centymetrów, ozdobione symbolami kabalistycznymi. Przeznaczenie: oko golema. Pochodzenie: Praga”.

–Możesz odejść. – Whitwell okręciła fotel, żeby spojrzeć wprost na pozostałych.

–A zatem – powiedziała. – Było takie oko, a teraz go nie ma. Twarz Nathaniela poczerwieniała z podniecenia.

–To nie może być przypadek, proszę pani. Ktoś je ukradł i wykorzystał.

–Ale czy Lovelace miał w kolekcji jakiś pergamin, ożywiający golema? – zapytał zezłoszczony Tallow. – Oczywiście, że nie! Więc skąd on się wziął?

–To właśnie musimy sprawdzić. – rzekła Jessica Whitwell pocierając swoje wąskie białe dłonie. – Panowie, sprawy wzięły nowy obrót. Po tej nocnej naradzie Duvall będzie naciskał na premiera, żeby przyznał mu większe uprawnienia moim kosztem. Muszę zaraz udać się do Richmond i przygotować się do wystąpienia przeciwko niemu. Podczas mojej nieobecności chcę, żeby Tallow w dalszym ciągu sprawdzał i chronił miasto. Ten golem, jeśli to rzeczywiście jest golem, bez wątpienia znów uderzy. Powierzam to wyłącznie tobie, Tallow.

Pan Tallow kiwnął zadowolony głową. Nathaniel chrząknął.

**–Pani... hm, pani chce, żebym już się tym nie zajmował?**

–Nie. Krocysz po linie, John. Obarczyłam cię wielką odpowiedzialnością. I co się stało? National Gallery i British Museum zostały przewrócone do góry nogami. Niemniej, dzięki twojemu demonowi mamy klucz do natury naszego wroga. Teraz musimy dowiedzieć się, kto go kontroluje. Czy to zagraniczne mocarstwo? Jakiś miejscowy renegat? Kradzież oka golema sugeruje, że ktoś odkrył sposób, by stworzyć ożywiające zaklęcie. Od tego powinieneś zacząć. Odszukaj

–Doskonale, proszę pani. Co pani rozkaże. – Oczy Nathaniela wyrażały wątpliwość. Nie miał pojęcia, od czego zacząć.

–Zaatakujemy golema za pośrednictwem jego pana – powiedziała pani Whitwell. – Kiedy znajdziemy źródło wiedzy, poznamy twarz wroga. A wtedy wkroczymy w zdecydowany sposób. – Mówiła chrypliwym głosem.

–Tak, proszę pani.

–Ten twój dzin wydaje się pożyteczny... – przyglądała się uważnie panterze, która siedząc tyłem do nich, lizała sobie łapę i ostentacyjnie ignorowała rozmowę.

Nathaniel zrobił zrzędliwą minę.

–Jest w porządku, jak sądzę.

–Przeżył atak golema, a to więcej, niż ktokolwiek był w stanie dokonać. Zabierz go ze sobą.

Nathaniel milczał przez chwilę.

–Przepraszam panią. Chyba nie rozumiem. Dokąd mam jechać?

Jessica Whitwell stała, gotowa do odejścia.

–A jak sądzisz? Do ojczyzny wszystkich golemów. Do miejsca, w którym spuścizna musiała przetrwać. Chcę, żebyś pojechał do Pragi.

⟨KLtty

itty rzadko pozwalała, żeby sprawy nie dotyczące jej grupy w czymkolwiek jej przeszkadzały, ale dzień po tym, jak przestało padać, pojechała, żeby zobaczyć się z rodzicami.

Jeszcze tego wieczoru, na nadzwyczajnym zebraniu, ruch oporu otrzyma nowe zadanie, największe z tych, jakich podjęli się do tej pory. Szczegóły mieli dopiero poznać i w sklepie panował nastrój nieomal bolesnego oczekiwania. Podniecenie i niepewność sprawiały, że Kitty ze zdenerwowania prawie wychodziła z siebie. Nie mogła usiedzieć w miejscu. Wyszła wcześniej, kupiła mały bukiet kwiatów w kiosku i wsiadła do zatłoczonego autobusu jadącego do Balham.

Ulica była spokojna jak zazwyczaj, domek ładny i dobrze utrzymany. Zapukała głośno. Grzebała w torebce, szukając kluczy, a jednocześnie przytrzymując kwiaty podbródkiem przy ramieniu. Zanim znalazła klucze, za oknem ukazał się czyjś cień i matka otworzyła drzwi. Wyjrzała niepewnie spoza nich.

Jej oczy ożywiły się.

–Kathleen! Jak miło! Wchodź, kochanie!

–Cześć, mamusiu. To dla ciebie.

Nastąpił niezgrabny rytuał całowania i obejmowania się, oglądania kwiatów i prób prześlizgnięcia się do środka. W końcu drzwi zostały z trudem zamknięte i matka poprowadziła Kitty do małej kuchni, gdzie na elektrycznej kuchence gotowały się ziemniaki, a przy stole siedział ojciec i czyścił buty. Wstał, nie wypuszczając z rąk szczotki i buta, pozwolił jej pocałować się w policzek i posadził ją na pustym krześle.

–Kochanie, na ogniu stoi duszone mięso z cebulą i ziemniakami -powiedziała matka. – Będzie gotowe za pięć minut.

–Och, to cudownie. Hura!

–A więc... – Po chwili wahania ojciec położył na stole szczotkę, a obok but, podeszwą do dołu. Uśmiechnął się szeroko. – Jak się żyje między puszkami z farbą?

–W porządku. Nic szczególnego, ale uczę się.

–A pan Pennyfeather?

–Trochę osłabł. Nie za dobrze teraz chodzi.

–Mój Boże. A jak idą interesy? Co najważniejsze, czy masz klientów wśród magów? Czy oni malują?

–Niewielu.

–Na to powinnaś skierować swoją energię, dziewczyno. To stamtąd płyną pieniądze.

–Tak, tato. Teraz staramy się pozyskać czarodziejów. Jak tam w pracy?

–Och, no wiesz, w Wielkanoc miałem ogromną sprzedaż.

–Wielkanoc była całe miesiące temu, tato.

–Biznes idzie powoli. Co z herbatą, Margaret?

–Nie przed obiadem. – Matka krzątała się przy dodatkowym nakryciu, które z wielką troską ustawiała przed Kitty. – Wiesz – powiedziała – nie rozumiem, dlaczego nie mieszkasz u nas. To niedaleko. A wyszłoby ci taniej.

–Czynsz nie jest wysoki, mamó.

–Tak, ale jedzenie i w ogóle. Musisz na to wiele wydawać, a my moglibyśmy gotować dla ciebie. Tracisz pieniądze.

**–Hm. – Kitty podniosła widelec i w roztargnieniu postukała nim w stół.**

**–Jak tam pani Hyrnek? – zapytała. – A Jakob, widzieliście go ostatnio?**

**Matka w wielkich rękawicach kuchennych klęczała przed piecem. Zza drzwiczek buchnęło rozgrzane powietrze przesycone zapachem przypra-**



wionego mięsa. Jej głos nabralł dziwnej barwy, gdy włożyła głowę do środka.

–Jarmilla ma się nieźle – powiedziała. – Jakob, jak wiesz, pracuje u swojego ojca. Nie widuję go. Nie wychodzi. George, mógłbyś podać drewnianą tacę? To jest bardzo gorące. O właśnie. Teraz odsącz ziemniaki. Powinnaś go odwiedzić, kochanie. Ucieszy się z towarzystwa, bieda czek. Szczególnie z twojego. To wstyd, że go nie odwiedzasz.

Kitty nachmurzyła się.

–Nigdy tak nie mówiłaś, mamó.

–Tamto było dawno temu... Teraz jesteś znacznie poważniejsza. Och, Jarmilla mówi, że babcia zmarła.

–Co? Kiedy?

–Jakoś tak w ubiegłym miesiącu. Nie patrz tak na mnie – gdybyś nas częściej odwiedzała, wiedziałabyś o tym wcześniej, prawda? Chociaż nie sądzę, żeby cię to tak bardzo interesowało. Och, wyjmij je łyżką, George. Bo wystygną.

Ziemniaki były rozgotowane, ale gulasz doskonały. Kitty posilała się żarłocznie i ku zadowoleniu matki zjadła dokładkę, zanim rodzice uporali się ze swoimi porcjami. Potem, kiedy matka mówiła jej o ludziach, których dziewczyna nigdy nie spotkała albo nie pamiętała, Kitty rozsiała się i dotykając małego gładkiego i ciężkiego przedmiotu w kieszeni spodni, zatopiała się w myślach.

Wieczór po rozprawie był dla Kitty bardzo nieprzyjemny. Najpierw matka, potem ojciec wylali na nią całą swoją wściekłość z powodu konsekwencji jej uczynku. Kitty na próżno przypominała im o swojej niewinności, o nikczemności Juliusa Tallowa. Na próżno zaklinała się, że jakoś zdobędzie sześćset funtów potrzebnych, by zapłacić grzywnę. Rodzice byli niewzruszeni. Ich argumenty sprowadzały się do kilku wymownych punktów: Po pierwsze, nie mają pieniędzy. Po drugie, będą musieli sprzedać dom. Po trzecie, jest głupim, aroganckim bachorem, skoro rzuciła wyzwanie magowi. Po czwarte, czy wszyscy jej nie powtarzali, żeby tego nie robiła? I wreszcie, po piąte, nie posłuchała ich, zatem (po szóste) co mają teraz zrobić?

Potyczka skończyła się tak, jak można było się spodziewać. Matka szlochała, ojciec się wściekał, a Kitty rozżłoszczona pobiegła do swojego

pokoju. Dopiero tam, kiedy siedziała na łóżku i gapiała się na ścianę, przypomniała sobie starego człowieka, pana Pennyfeathera i jego dziwną ofertę pomocy. Wypadł jej całkowicie z pamięci podczas sprzeczki, a teraz, gdy była zdenerwowana, a w myślach miała zamęt, wydawał się jej całkiem nierealny. Odrzuciła myśli o nim.

Matka, która przyniosła jej po kilku godzinach herbatę na znak pojednania, zastała drzwi zaklinowane krzesłem podstawionym pod klamkę od wewnątrz. Mówiła przez cienką sklejkę drzwi:

–Zapomniałam coś ci powiedzieć, Kathleen. Jakob wyszedł ze szpitala. Dziś rano przyjechał do domu.

–Co?! Dlaczego nie powiedzieliście? – Krzesło zostało błyskawicznie usunięte. Zaczerwieniona twarz wyglądała spod grzywy niesfornych włosów. – Muszę go zobaczyć.

–Nie sądzę, żeby to było możliwe. Lekarze...

Ale Kitty już nie było.

Siedział na łóżku w nowiutkiej, niebieskiej piżamie, która nadal miała zaprasowane zagięcia na rękawach. Szaroczarne dłonie trzymał na po-dółku. Szklana waza z nietkniętymi winogronami stała na stoliku. Na oczach miał dwa jaskrawe białe koła gazy, a na głowie odrastał mu krótki język. Twarz miał taką, jak zapamiętała, naznaczoną straszliwym nalotem szarości i czerni.

Gdy weszła, uśmiechnął się leciutko i trochę krzywo.

–Kitty! Szybko przybywasz.

Drżąc zbliżyła się do łóżka i wzięła go za rękę.

–Skąd... skąd wiedziałeś, że to ja?

–Bo nikt inny nie wchodzi po schodach jak słoń samotnik. Z tobą w porządku?

Spojrzała na swoje białe, nienapiętnowane dłonie.

–Tak, wszystko w porządku.

–Słyszałem o tym. – Starał się utrzymać uśmiech na twarzy, ale nie bardzo mu się to udawało. – Miałaś szczęście... Cieszę się.

**–Tak. Jak się czujesz?**

**–Och, wykończony. Chory. Jak kawałek wędzonego boczku. Skóra mnie boli, kiedy się ruszam. I swędzi. Mówią, że to wszystko przejdzie. I oczy mi wydobrzeją.**

Kitty poczuła przyływ ulgi.

–To wspaniale! Kiedy...?

–Kiedyś. Nie wiem... Nagle zrobił się jakby zmęczony, poirytowany. – Mniejsza o to. Powiedz mi, co jest grane. Słyszałem, że byłaś w sądzie.

Opowiedziała mu całą historię, poza spotkaniem z panem Pennyfeatherem. Jakob siedział wyprostowany na łóżku. Pozwany, o zasmolonej twarzy. Na koniec westchnął.

–Ale ty jesteś głupia, Kitty – powiedział.

–Dziękuję. – Oderwała kilka gron z kiści i wepchnęła je żarłocznie w usta.

–Moja mama mówiła ci, żebyś tego nie robiła. Powiedziała...

–I ona, i wszyscy inni. Oni mają rację, a ja tak bardzo się myślę. – Wypluła pestki na dłoń i wyrzuciła do kosza przy łóżku.

–Wierz mi, jestem ci wdzięczny za to, co chciałaś zrobić. Przykro mi, że cierpisz teraz z mojego powodu.

–Żaden problem. Znajdziemy pieniądze.

–Wszyscy wiedzą, że sądy są ustawione. Nie to się liczy, co zrobiłaś, ale to, kim jesteś i kogo znasz.

–W porządku! Nie mówmy o tym. – Kitty nie była w nastroju do wysłuchiwanie kazań.

–Nie będę. – Uśmiechnął się i udało mu się to trochę lepiej niż na początku. – Mogę wyczuć przez bandaż, że się chmurzysz.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Wreszcie odezwał się Jakob.

–Tak czy inaczej, nie myśl, że Tallowowi ujdzie to na sucho. – Potarł się po twarzy.

–Nie trzyj. Co masz na myśli?

–Ależ to swędzi! To, że są inne sposoby niż sądy...

–Na przykład jakie?

–Ach! Niedobrze. Będę musiał usiąść na rękach. Hm, podejdź blisko, coś może słuchać... Dobrze. Tallow myśli, że mu się upiekło, bo jest magiem. Teraz nawet o mnie nie pomyśli. I na

**pewno nie skojarzy mnie z firmą Hyrneks.**

**–Firmą twojego taty?**

**–No, a czyją? Oczywiście, że mojego taty. A to będzie go drogo kosztować. Jak wielu innych magów, którzy kazali oprawiać swoje magiczne księgi u Hyrnka. Karel powiedział mi – sprawdzał rachunki – że Tallow**

co kilka lat daje nam zamówienia. Lubi rdzawoczerwone oprawy z krokodylej skóry, toteż do innych jego zbrodni możemy dodać brak gustu. Cóż, możemy poczekać. Wcześniej czy później, przyśle nam kolejną książkę, żebyśmy się nią zajęli, albo coś zamówi... Ach! Nie mogę wytrzymać! Muszę się podrapać!

–Nie rób tego, Jakobie, weź sobie winogrono. Zajmij myśli czymś innym.

–To nic nie da. Budzę się w nocy. drapiąc twarz. Mama musi bandażować mi ręce. Ale teraz to mnie zabija. Poproś mamę, żeby przyniosła trochę kremu.

–Lepiej sobie pójdę.

–Jeszcze chwilę. Mówiłem, następnym razem nie tylko oprawa zmieni księgę Tallowa.

Kitty zmarszczyła czoło.

–Co, zaklęcia w środku?

Jakob ponuro się uśmiechnął.

–Można zamienić strony, poprawić zdania, zmienić wykresy, jeśli wie się, jak to zrobić. To trudne, ale nie dla ludzi, których zna mój tato. Poprawimy kilka inkantacji, a wtedy... zobaczymy.

–Nie zauważy?

–Po prostu odczyta zaklęcie, narysuje pentagram czy co tam mu potrzeba, no i... kto wie? Paskudne sprawy zdarzają się magom, kiedy zaklęcie się nie uda. Tato mi mówił, że to precyzyjna sztuka. – Jakob oparł się o poduszkę. – Mogą minąć lata, zanim Tallow wpadnie w pułapkę, ale co z tego? Moja twarz nadal będzie zniszczona za cztery, pięć lat. Mogę poczekać. – Nagle odwrócił się. – Lepiej przyprowadź tu mamę. I nie powtarzaj jej tego, co ci właśnie opowiedziałem.

Kitty znalazła panią Hyrnek w kuchni. Przesączała dziwny, biały oleisty płyn, gęsty od ciemnozielonych aromatycznych ziół, do aptekarskiego słoja. Na powitanie Kitty skinęła głową. Oczy miała szare ze zmęczenia.

–Na czas zrobiłam tę emulsję – powiedziała, pospiesznie zamykając

słoik i jednocześnie chwytając szmatkę z półki. – Zobacz, czy cię nie ma

na zewnątrz, dobrze? – Z tymi słowami wyszła z pokoju.

Kitty, szurając nogami zrobiła nie więcej niż dwa kroki w stronę korytarza, kiedy zatrzymał ją niski, krótki gwizd. Odwróciła się. Babcia Jakoba siedziała, jak zwykle, na krześle obok pieca, na kolanach trzymała wielką misę niewyłuskanego grochu. Jej wielkie, błyszczące oczy wlepione były w Kitty. Niezliczone zmarszczki na twarzy uniosły się, kiedy się uśmiechnęła. Kitty niepewnie odpląciła się uśmiechem. Babcia uniosła wymizerowaną dłoń, kiwnęła na nią zachęcająco pomarszczonym palcem. Dziewczyna podeszła do niej z bijącym sercem. Podczas swoich wizyt nie zamieniła z babcią Jakobą nawet słowa. Nigdy nie słyszała jej głosu. Ogarnęło ją śmieszne uczucie paniki. Co powinna powiedzieć? Nie mówi po czesku. Czego chce ta stara kobieta? Kitty nagle poczuła się tak, jakby uczestniczyła w jakiejś bajce. Sierotka zamknięta w kuchni ludożerczej więdmy. Ona...

–To – powiedziała klarownym, rześkim głosem z londyńskim akcentem babcia Jakoba – jest dla ciebie. – Zanurzyła rękę w którejś z kieszeni swej ogromnej spódnicy. Nie spuszczała wzroku z Kitty. – Trzymaj to przy sobie... No, gdzie to jest? Aha, tutaj. Proszę.

Rękę, którą wyciągnęła do Kitty, miała zaciśniętą. Kitty poczuła ciężar jakiegoś przedmiotu i jego chłód na swojej dłoni, zanim zobaczyła, co to jest. Był to mały metalowy wisiorek wykonany w kształcie łyżki. Miał niewielkie kółeczko, aby można było powiesić go na łańcuszku. Kitty nie wiedziała, co powiedzieć.

–Dziękuję – rzekła. – Jest... piękny. Babcia Jakoba odchrząknęła.

–Hm. To jest srebro. Mówiąc ściśle, dziewczyno.

–To... to musi być bardzo cenne. Nie sądzę... żebym mogła to...

–Weź i noś to. – Dwie chude dłonie objęły rękę Kitty, zaginając jej palce na wisiorku. – Nigdy nie wiadomo. No dobrze, mam jeszcze sto grochów do wyłuskania. Może sto dwa – każdy za jeden rok, co? Więc muszę się skoncentrować. Zmiataj!

Kilka następnych dni przebiegło pod znakiem narad Kitty z rodzicami, ale ich wynik był zawsze taki sam – przy wszystkich ich oszczędnościach zawsze brakowało im kilkuset funtów do grzywny wyznaczonej przez sąd. Sprzedaż domu wydawała się jedynym rozwiązaniem, ale oznaczało to niepewną przyszłość dla całej rodziny.

Chyba że Kitty skorzysta z propozycji pana Pennyfeathera.

„Zadzwoń, jeśli będziesz zainteresowana. W ciągu tygodnia”. Kitty nie wspomniała o nim rodzicom ani nikomu innemu, ale jego słowa ciągle dźwięczały jej w pamięci. Obiecał jej pomoc. Pytanie brzmiało: dlaczego? Nie sądziła, żeby robił to z dobrego serca.

Ale rodzice tracą dom, jeśli niczego nie wymyśli.

T.E. Pennyfeather figurował w książce telefonicznej jako „dostawca artystów” z Southwark, a obok był ten sam numer telefonu, który Kitty miała na wizytówce. Zatem część jego opowieści okazała się prawdziwa.

Ale czego chciał? Kitty, z jednej strony, miała ochotę zapomnieć o nim i o jego propozycji, ale z drugiej, chciałyby wiedzieć, co ma do stracenia. Jeśli wkrótce nie zapłaci grzywny, zostanie aresztowana, a oferta pana Pennyfeathera była jedynym wyjściem.

Po jakimś czasie podjęła decyzję.

O dwie przecznice od domu znajdowała się budka telefoniczna. Pewnego ranka wcisnęła się do niej i wybrała właściwy numer.

Odpowiedział suchy, zadyszany głos.

–Dostawy artystyczne, słucham.

–Pan Pennyfeather?

–Panna Jones! Jestem zachwycony. Bałem się, że pani nie zadzwoni.

–A jednak... Niech pan słucha. Jestem... jestem zainteresowana pańską ofertą, ale muszę wiedzieć, czego pan ode mnie oczekuje, zanim posunę się dalej.

–Oczywiście, oczywiście. Wszystko wyjaśnię. Czy mógłbym zaproponować spotkanie?

–Nie. Niech mi pan to powie teraz, przez telefon.

–To byłoby nierozsądne.

–Owszem, ale to ja ryzykuję więcej. Nie mam zamiaru wystawiać się na niebezpieczeństwo. Nie wiem, kim pan...

–Właśnie. Zaproponuję coś. Jeśli się nie zgodzisz, no to trudno. Na tym skończą się nasze kontakty. Jeśli to cię zainteresuje, cała sprawa ruszy do przodu. Propozycja brzmi



**następująco: spotykamy się w U Druida przy kawiarni Siedem Gałek. Wiesz, gdzie to jest? Popularne miejsce, zawsze zatłoczone. Można tam bezpiecznie porozmawiać. Jeśli masz wątpliwości, proponuję coś innego. Włóż moją wizytówkę do koperty razem z informacją o miejscu, w którym chcesz się spotkać i zaklej. Zo staw to w swoim**

pokoju albo nadaj do siebie. Obojętnie. Gdyby miało ci się coś stać, policja mnie znajdzie. To może cię uspokoić. Jeszcze jedno. Bez względu na wynik naszego spotkania, skończy się ono w ten sposób, że dam ci pieniądze. Pod koniec dnia spłacisz swój dług.

Pan Pennyfeather zdawał się być zmęczony długą wypowiedzią. Poświstywał łagodnie, a Kitty rozważała propozycję. Nie zajęło to dużo czasu. Była zbyt kusząca, żeby się jej opierać.

–W porządku – powiedziała. – Uzgodnione. O której godzinie mam być U Druida?

Kitty przygotowała się starannie. Napisała list do rodziców i włożyła go wraz z wizytówką do koperty. Położyła ją na łóżku, opartą o poduszkę. Rodzice nie wrócą przed siódmą. Spotkanie umówione było na trzecią. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będzie miała mnóstwo czasu, żeby wrócić i usunąć list, zanim zostanie znaleziony.

Wysiadła z metra przy Leicester Square i ruszyła w kierunku Siedmiu Gałek. Kilku magów przejechało obok niej w limuzynach z szoferami, pozostali szli zatłoczonymi przez turystów chodnikami, trzymając się za portfele, aby nie okradli ich kieszonkowcy. Poruszała się powoli.

Żeby przyspieszyć, poszła skrótem, alejką, która zakręcała przy sklepie z elegancką odzieżą i przecinała całą pierzeję, wychodząc na główną ulicę w okolicy kawiarni. Ulica była wilgotna i wąska, brakowało tu ulicznych artystów i turystów, co w oczach Kitty czyniło alejkę wielką autostradą. Weszła w nią i ruszyła szybkim krokiem, patrząc co chwila na zegarek. Za dziesięć trzecia, nie spóźni się.

Pośrodku drogi przeżyła wstrząs. Z wrzaskiem demona wyskoczył przed nią z ukrycia łaciaty kot i zniknął za kratą po przeciwnej stronie. Usłyszała łoskot toczących się butelek. Zapadła cisza.

Kitty nabrała głęboko tchu i poszła dalej.

Chwilę później usłyszała za sobą ciche, skradające się kroki.

Włoski na karku stanęły jej dęba. Przyspieszyła. Tylko bez paniki. Ktoś idzie skrótem. Tak czy inaczej alejka wkrótce się kończy. Przed sobą widziała już ludzi idących główną ulicą.

Kroki za nią zdawały się przyspieszać i doganiać ją. Z szeroko otwartymi oczami i bijącym sercem Kitty zaczęła biec.

Wtedy z cienia w bramie coś wyszło i stanęło przed nią. Było ubrane w czerń, a twarz miało przykrytą gładką maską z wąskimi otworkami na oczy.

Kitty krzyknęła i odwróciła się.

Dwie kolejne zamaskowane postacie skradały się za nią na paluszkach.

Otworzyła usta, żeby wrzasnąć, ale nawet nie miała szansy, żeby to zrobić. Jeden z jej prześladowców wykonał szybki ruch, coś wyrosło mu w lewej ręce. Była to mała czarna kula. Uderzyła w ziemię tuż przed nią i rozpadła się w nicość. Z miejsca, w którym zniknęła, uniosła się kolumna czarnego dymu, zataczała kręgi, stawała się coraz gęstsza.

Kitty była zbyt przestraszona, żeby się ruszać. Mogła tylko patrzeć, jak z dymu uformował się mały niebiesko-czarny uskrzydłony stwór z długimi, cienkimi rogami i wielkimi czerwonymi oczami. Stwór unosił się przez chwilę nad ziemią, robiąc koziolki w powietrzu, jakby nie był pewien, co dalej ze sobą począć.

Postać, która rzuciła kulę, wskazała ręką na Kitty i wykrzyczała komendę.

Stwór przestał się obracać. Uśmiech złośliwej rozkoszy niemal przeciął mu twarz na pół.

Potem pochylił rogi, zaczął bić skrzydłami jak szalony i z piskiem radości rzucił się na głowę Kitty.

## 19

otwór dopadł jej w jednej chwili, światło migotało mu na ostrych rogach, a zębata gęba była szeroko otwarta. Niebiesko-czarne skrzydła biły ją po twarzy, małe sękate dłonie próbowały wbić się jej w oczy. Czowała jego śmierdzący oddech, a zawodzące wycie stworzenia ogłuszało ją. Walila w niego pięściami jak oszalała, krzycząc i wrzeszcząc... Stwór z mokrym pyknięciem pękł, zostawiając po sobie tylko prysznic zimnych czarnych kropelek i kwaśny zapach.

Kitty, oparłszy się o najbliższą ścianę, rozglądała się dzikim wzrokiem, a pierś jej falowała. Nie było wątpliwości, to coś zniknęło, a wraz z nim trzy zamaskowane postacie. Alejka z obu stron była pusta i spokojna.

Pobiegła teraz, najszybciej jak mogła, wydostała się na zatłoczoną ulicę i wymijając ludzi, robiąc uniki, pędziła po lekkim wzniesieniu w stronę Siedmiu Gałek.

Siedem ulic spotykało się tutaj przy brukowanym rondzie otoczonym pełnymi zakamarków średniowiecznymi budynkami z czarnego drewna pokrytych kolorowym tynkiem. Pośrodku ronda stał pomnik generała na koniu, a pod nim siedział zrelaksowany tłumek i cieszył się popołudniowym słońcem. Naprzeciwko znajdował się inny pomnik – Gladston w pozie prawodawcy. Ubrany był w powłóczyste szaty i trzymał otwarty zwój. Jedno ramię miał wzniesione, jakby przemawiał do rzesz. Ktoś – pijany albo o skłonnościach anarchistycznych – wspiął się na wielkiego człowieka i umieścił na jego majestatycznej głowie pomarańczowy, przenośny pacholek drogowy, nadając mu wygląd maga z komedii. Policja jeszcze tego nie zauważyła.

Dokładnie za plecami Gladstonea znajdowała się kawiarnia U Druida, miejsce spotkań młodych i spragnionych. Ściany parteru zostały zburzone i zastąpione szorstkimi kamiennymi filarami ozdobionymi pnączami winorośli. Tłumek stolików przykrytych białymi obrusami w kontynentalnym stylu, wylewał się spoza filarów na brukowaną uliczkę. Wszystkie były zajęte. Krzątali się wśród nich kelnerzy w niebieskich

Kitty zatrzymała się obok pomnika generała i złapała oddech. Przyjrzała się stolikom. Dokładnie trzecia. Czy on...? Tam! Prawie ukryty za filarem – półksiężyc białych włosów, lśniąca łysina.

Pan Pennyfeather popijał kawę latte, kiedy do niego podeszła. Laskę położył na stoliku. Zobaczył ją, szeroko się uśmiechnął i wskazał krzesło.

–Panna Jones! W samą porę. Proszę, siadaj. Na co masz ochotę? Kawę?

Herbatę? Pączka cynamonowego? Są bardzo dobre.

Kitty przejechała roztrzęsioną ręką po włosach.

–Herbatę. I czekoladę. Potrzebuję czekolady.

Pan Pennyfeather pstryknął palcami, podszedł kelner.

–Imbryczek herbaty i eklerkę. Dużą. No cóż, panno Jones. Wydajesz

się trochę zadyszana. Biegłaś. Czy się mylę?



Zamrugał oczami, uśmiechnął się szerzej. Kitty pochyliła się z wściekłością.

–Nie ma się z czego śmiać – syknęła, spoglądając na pobliski stolik. –

Dopiero co zostałam zaatakowana! W drodze na spotkanie z panem –

dodała znacząco.

Pan Pennyfeather nie wydawał się zbyt przejęty.

–Doprawdy? Doprawdy? To bardzo poważna sprawa! Musisz mi o tym opowiedzieć. Ach! Oto i herbata. Jak szybko! I całkiem pokaźna eklerka! Dobrze. Proszę się częstować i opowiedzieć mi wszystko.

–Trzech ludzi osaczyło mnie w alejce. Rzucili coś, myślę, że to był jakiś pojemnik, i pojawił się demon. Skoczył na mnie, usiłował mnie zabić i... czy pan podchodzi do tego poważnie, czy też mam wstać i wyjść stąd teraz? – Niezmącenie dobry humor staruszka zaczynał irytować Kitty, ale na jej słowa jego uśmiech przygasł.

–Musisz mi wybaczyć. To poważna sprawa. Ale udało ci się uciec. Jak to zrobiłaś?

–Nie wiem. Walczyłam. Waliłam w to coś, co wczepiało mi się w twarz, ale nic takiego nie zrobiłam. A to pękło jak balon. Tamci ludzie też zniknęli.

Napiła się herbaty. Pan Pennyfeather przyglądał się jej łagodnie i nic nie mówił. Twarz miał poważną, ale w ożywionych oczach widać było zadowolenie.

–To ten mag, Tallow! – kontynuowała Kitty. – Wiem, że to on. Chce się zemścić po tym, co powiedziałam w sądzie. Wyśle następnego demona, skoro ten zawiódł. Nie wiem, co mam...

–Masz zjeść jeszcze kawałek tej eklerki – powiedział pan Pennyfeather. – To moja pierwsza rada. A kiedy się uspokoisz, coś ci powiem.

Kitty zjadła eklerkę w czterech kęsach, popiła ją herbatą i poczuła się trochę spokojniejsza. Rozejrzała się. Z miejsca, na którym siedziała, miała dobry widok na większość klientów kawiarni. Kilkoro turystów zatopionych było w kolorowych mapach i przewodnikach; resztę stanowili młodzi ludzie – prawdopodobnie studenci – oraz dwie czy trzy rodziny na spacerze. Nic nie wskazywało na to, żeby groziła jej kolejna napaść.

–W porządku, panie Pennyfeather – powiedziała. – Słucham.

–Doskonale. – Osuszył kąciki ust elegancko zwiniętą serwetką. – Wrócę do tego... incydentu za chwilę, ale najpierw muszę ci powiedzieć coś



innego. Dziwisz się, dlaczego zainteresowały mnie twoje kłopoty? Cóż, tak naprawdę to nie one mnie interesują, ale ty sama. A tak przy okazji, te sześćset funtów leży sobie bezpiecznie tutaj. – Uśmiechnął się i poklepał po kieszeni na piersi. – Dostaniesz je na koniec naszej rozmowy. Właśnie. Byłem wśród publiczności w sądzie i słyszałem twoje zeznania o Czarnym Bębnie. Nikt inny ci nie uwierzył – sędzia w swojej arogancji, reszta w swojej ignorancji. Ale ja nadstawiłem uszu. Dlaczego miałabyś kłamać, zastanowiłem się. Nie ma żadnego powodu, zatem musi to być prawda.

–To jest prawda – powiedziała Kitty.

–Ale nikt, kto dostał Czarnym Bębniem, nawet jeśli zaklęcie przeszło bokiem, nie uniknie jego piętna. Wiem o tym.

–Skąd? – zapytała ostro Kitty. – Jest pan czarodziejem?

Stary mrugnął.

–Proszę, możesz mnie obrażać jak tylko chcesz. Powiedzieć, że jestem

łysym, obrzydliwym starym durniem cuchnącym kapustą albo jak tam

zechcesz. Ale nie nazywaj mnie czarodziejem. To obraża moją duszę. Z

całą pewnością nie jestem magiem. Ale nie tylko oni wiedzą to i owo,

panno Jones. Inni też potrafią czytać, nawet jeśli nie mają tak

skrzywionego charakteru jak oni. Czytasz, panno Jones?

Kitty wzruszyła ramionami.

–Oczywiście. W szkole.

–Nie, nie, to nie jest dobre czytanie. Książki, które tam masz, pisane są przez magów. Nie możesz im ufać. Ale to tylko dygresja. Wierz mi, Czarny Bęben wyciska swe piętno na wszystkim, czego dotknie. Dotknął cię, jak mówisz, ale ty nie jesteś napiętnowana. To paradoks.

–Kitty pomyślała o dwubarwnej twarzy Jakoba i poczuła falę wyrzutów sumienia.

–Nic na to nie poradzę.

–A ten demon, który zaatakował cię teraz? Opisz go.



**–Czarniawe skrzydła. Wielka czerwona gęba. Dwa cienkie, proste rogi...**

**–Szerokie podbrzusze pokryte futrem? Bez ogona?**

**–Zgadza się.**

**Pokiwał głową.**

**–Mouler. Mniejszy demon pozbawiony prawdziwej mocy. Ale i tak**

**pozbawiłby cię przytomności, bo wydziela koszmarny zapach.**

Kitty zmarszczyła nos.

–Rzeczywiście strasznie śmierdział, ale dało się wytrzymać.

–Poza tym moulerzy zazwyczaj nie wybuchają. Wpijają się we włosy rękami i tak zostają, aż ich pan każe im odejść.

–Ten po prostu pękł.

–Moja droga panno Jones, proszę mi wybaczyć, że znów wpadłem w radosny nastrój. Widzisz, jestem zachwycony tym, co mi opowiadasz. To znaczy, że posiadaś coś szczególnego, odporność na magię.

Wyprostował się w krześle, wezwał kelnera i uśmiechając się, zamówił kolejne napoje i ciastka, nie zważając na wyraz oszołomienia na twarzy Kitty. Kiedy oczekiwali na posiłek, nic nie mówił, tylko uśmiechał się do niej zza stołu, co jakiś czas chichocząc do siebie. Kitty zmuszała się do uprzejmości. Gotówka nadał była poza jej zasięgiem, w kieszeni jego płaszcza.

–Proszę pana – powiedziała wreszcie. – Przepraszam, ale w ogóle pana nie rozumiem.

–To przecież oczywiste! Niższa magia – nie możemy być pewni co do zaklęć o dużej mocy – nie ma na ciebie wpływu. Albo prawie wcale go nie ma.

Kitty potrząsnęła głową.

–Bzdury. Czarny Bęben zbił mnie z nóg.

–Powiedziałem: wcale albo prawie wcale. Nie jesteś całkowicie uodporniona. Ja także nie, ale wytrzymałem atak trzech diablików na raz, co, jak sądzę, jest rzeczą całkiem niezwykłą.

Kitty nic to nie powiedziało. Parzyła na niego bez wyrazu. Pan Pennyfeather wykonał zniecierpliwiony gest.

–Mówię właśnie, że ty i ja, i parę innych osób, bo nie jesteśmy osa

motnieni, jesteśmy w stanie oprzeć się niektórym z magicznych zaklęć!

Nie jesteśmy czarodziejami, ale nie jesteśmy bezsilni, w przeciwieństwie

do reszty pospólstwa – to ostatnie słowo wyrzucił z siebie z nieskrywaną

nienawiścią – w tym biednym, zapomnianym przez Boga kraju.

**Kitty kręciło się już w głowie, wciąż jednak nie czuła się do końca przekonana.**

**–Dla mnie to nie ma sensu – powiedziała. – Nigdy nie słyszałam o tej „odporności”. Interesuje mnie tylko to, jak uniknąć więzienia.**

**–Czyżby? – Pan Pennyfeather wsunął dłoń za połę marynarki. – W takim razie, możesz od razu wziąć pieniądze i pójść swoją drogą. W po-**

rzędu. Ale sądzę, że chciałabyś czegoś więcej. Widzę to po twojej twarzy. Pragniesz jeszcze kilku rzeczy. Chcesz pomścić swojego przyjaciela Jakoba. Chcesz zmienić tutejsze porządki. Chcesz kraju, w którym ludzie tacy jak Julius Tallow nie chadzają dumnie wyprostowani i nie powodzi im się tak doskonale. Nie wszędzie jest tak jak tu, są państwa, gdzie w ogóle nie ma magów! Ani jednego! Pomysł o tym, kiedy następnym razem odwiedzisz swojego przyjaciela w szpitalu. Mówię ci... – kontynuował, ale już cichszym głosem – możesz to zmienić. Jeśli tylko mnie posłuchasz.

Kitty zerknęła na resztki herbaty na dnie swojego kubka i przypomniała jej się wyniszczona twarz Jakoba. Westchnęła.

–No, nie wiem...

–Możesz być pewna jednego. Pomogę ci się zemścić... Spojrzała na niego. Pan Pennyfeather uśmiechał się, ale oczy lśniły mu

tym samym, złowrogim blaskiem, który ujrzała, kiedy przepychał się przez tłum na ulicy.

–Magowie cię skrzywdzili – powiedział spokojnie. – Razem uniesiemy

miecz zemsty, ale najpierw musisz mnie wesprzeć. Pomóż mi, a ja pomogę

tobie. To uczciwy układ.

Przez chwilę Kitty oczyma wyobraźni widziała Tallowa, jak złośliwie uśmiecha się po drugiej stronie sali sądowej, napęczniały pewnością siebie i bezpieczny pod opieką swych przyjaciół. Zadrżała z obrzydzenia.

–Najpierw powiedz, jakiej pomocy ode mnie oczekujesz – oznajmiła.

Ktoś, kto siedział dwa stoliki dalej, kaszlnął głośno i nagle dziewczyna

uświadomiła sobie, na jakie niebezpieczeństwo się naraża. Jakby z jej umysłu nagle zerwano zasłonę. Siedziała przecież wśród obcych i otwarcie rozmawiała o zdradzie.

–Chyba zwariowaliśmy – syknęła ze złością. – Każdy może nas tu

usłyszeć. Zaraz wezwą Nocną Policję, a ci zamkną nas w areszcie.

Starzec roześmiał się.

–Nikt nie może nas podsłuchać! – powiedział. – Nie bój się, panno

**Jones. Wszystko jest pod kontrolą.**

**Kitty prawie go nie słuchała. Jej uwagę przykuła młoda, jasnowłosa kobieta, która siedziała przy stoliku za lewym ramieniem pana Pennyfeathera. Choć stała przed nią pusta szklanka, nie wstawiała, zatopiona w lekturze książki. Głowę miała pochyloną, oczy skromnie opuszczone. Jedna z dłoni**

bawiła się koniuszkiem kartki. Nagle Kitty uświadomiła sobie, że nieznajoma udaje. Jak przez mgłę, przypomniała sobie tę kobietę w chwili, gdy tam usiadła, zajmując dokładnie taką samą pozycję. Choć dziewczyna obserwowała ją tylko przez moment, nie przypominała sobie, aby od tamtej pory kobieta przewróciła choćby jedną stronę.

Chwilkę później była już tego całkiem pewna. Kobieta, gdy Kitty na nią spoglądała, uniosła wzrok, spojrzała jej w oczy i nieznacznie, chłodno uśmiechnęła się. Potem wróciła do książki. Nie było wątpliwości, ona wszystko słyszała!

–Nic ci nie jest? – głos pana Pennyfeathera wyrwał dziewczynę z paniki.

Kitty ledwie mogła mówić.

–Za panem... – wyszeptała. – Kobieta... szpieg, informator. Wszystko słyszała.

Pan Pennyfeather nie odwrócił się.

–Blondynka? Czyta książkę w tanim wydaniu? To pewnie Gladys. Nie bój się, ona jest jedną z nas.

–Jedną z...

Nieznajoma znowu uniosła wzrok i mrugnęła do Kitty.

–Po jej lewej stronie siedzi Anne, po mojej prawej, zaraz za kolumną –

Eva. Z mojej lewej jest Frederick. Za tobą są Nicholas i Timothy. Stanley i

Martin nie znaleźli wolnego stolika, dlatego są w pubie naprzeciwko.

Kitty, oszołomiona, rozejrzała się wokół. Zza prawego ramienia pana Pennyfeathera szeroko uśmiechnęła się do niej czarnowłosa kobieta w średnim wieku. Tuż obok, też po prawej stronie, znad sfatygowanego egzemplarza „Motorbike Trader” spojrzał pryszczaty, ponury chłopak. Kobietę za kolumną częściowo zasłaniała czarna kurtka, wisząca na oparciu jej krzesła. Kitty, ryzykując zwichnięcie karku, zdołała zerknąć jeszcze na dwie twarze, młode i poważne, których właściciele spoglądali zza sąsiednich stołów.

–Jak widzisz, nie ma się czym martwić – oznajmił pan Pennyfeather. – Jesteś wśród przyjaciół. Nikt, poza nimi, nie usłyszy tego, co tu mówimy, nie ma też tutaj żadnych demonów.

**Inaczej byśmy już o tym wiedzieli.**

**–A skąd?**

–Na pytania przyjdzie jeszcze pora. Najpierw muszę cię przeprosić.

Obawiam się, że już kiedyś spotkałaś Fredericka, Martina i Timothy'ego.

Kitty spojrzała ze zdziwieniem. Niemal wchodziło jej to już w nawyk.

–W alejce – wyjaśnił Pennyfeather.

–W alejce? Chwileczkę...

–To oni wypuścili na ciebie moulera. Powoli! Czekaj. Przykro mi, że cię wystraszyliśmy, ale zrozum, musieliśmy się upewnić. Upewnić, że jesteś odporna, tak jak my. Mouler dał się wykorzystać bez trudu, to było łatwe...

Kitty odzyskała głos:

–Ty świnió! Jesteś tak samo podły jak Tallow! On mógł mnie zabić!

–Nie. Mówię ci, najgorsze co mógł ci zrobić, to pozbawić przytomności. Jego smród...

–A czy to nie było już wystarczające złe? – dziewczyna poderwała się wściekła.

–Jeśli musisz już iść, nie zapomnij o tym.

Starzec wyciągnął z za marynarki białą kopertę i niedbale rzucił ją na blat, między filiżanki.

–Znajdziesz w niej sześćset funtów. W używanych banknotach. Ja dotrzymuję słowa.

–Nie chcę tego! – Kitty była okropnie rozgniewana. Chętnie by coś rozwalila ze złości.

–Zachowuj się rozsądnie. – Oczy starca zajaśniały. – Chcesz gnić w więzieniu Marshalsea? Dobrze wiesz, że to tam idą dłużnicy. Te pieniądze załatwiają pierwszą część naszej umowy. Uznajmy, że to przeprosiny za moulera. Ale to może być dopiero początek...

Kitty chwyciła kopertę, o mało nie strącając filiżanki.

–Jesteś szalony. Ty i twoi kumple. Świetnie. Wezmę to. Tak czy siak,

właśnie po to przyszłam.

Wciąż stała. Odsunęła krzesło.

–Mam ci opowiedzieć, jak to się dla mnie zaczęło? – Pan Pennyfeather nachylił się ku niej, jego sękaty palec mocno chwycił obrus, mnąc go. Mówił cicho, pospiesznie. Ledwo starczało



mu oddechu.

–Na początku byłem taki jak ty. Magowie nic mnie nie obchodzili. Byłem młody, szczęśliwie żonaty, czym się miałem przejmować? A potem, moja kochana żona, niechaj niebiosy mają jej duszę w opiece, zwróciła na

siebie uwagę maga. Takiego samego, jak ten twój Tallow. okrutnego, nadętego pyszałka. Chciał jej dla siebie, spróbował uwieść ją klejnotami, pięknymi, wschodnimi strojami. Ale ona, biedaczka, odrzuciła jego zaloty. Roześmiała mu się prosto w twarz. To było odważne, ale głupie. Teraz wolałbym, i myślałem tak przez całe trzydzieści lat. żeby z nim

Panno Jones, mieliśmy mieszkanie nad moim sklepem. Codziennie pracowałem do późna, układałem towary i prowadziłem rachunki, a żona szła do naszego mieszkania i przyrządzała jedzenie. Pewnej nocy, tak jak zwykle, siedziałem za biurkiem. W kominku buzował ogień. Moje pióro skrzypiało na papierze. Nagle wszystkie psy na ulicy zaczęły szczekać. Chwilę później płomień zadrgał i zgasł. Zostawił po sobie tylko gorące węgle, syczące jak śmierć. Zerwałem się na nogi. Już czułem strach... Nie, nie wiedziałem przed czym. A potem usłyszałem krzyk żony. Zaraz się urwał. Jeszcze nigdy nie biegłem tak szybko. Schodami w górę, potykając się w pośpiechu, przez nasze drzwi, do naszej małej kuchni...

Oczy pana Pennyfeathera już nie widziały Kitty. Spoglądały na coś innego, gdzieś daleko stąd. Dziewczyna, niczym automat usiadła z powrotem, ledwie pojmowała, co robi.

–Demon, który to uczynił – odezwał się wreszcie starzec – dopiero co odszedł, jeszcze było czuć jego zapach. Kiedy uklęknałem przy żonie, na starym linoleum, palniki kuchenki znowu zapłonęły. Gulasz w garnku na nowo zabulgotał. Usłyszałem szczekanie psów, okna w głębi ulicy zaklekotały, poruszone nagłym podmuchem wiatru... A potem nastąpiła

Przesunął palcem po okruchach ciastka na talerzu, zebrał je i wsadził do ust.

–Wiesz, ona świetnie gotowała – powiedział. – Ciągle to pamiętam, chociaż minęło już trzydzieści lat.

Na drugim krańcu kawiarni kelner oblał klienta drinkiem. Rozległ się gniewny okrzyk, który wyrwał pana Pennyfeathera z otchłani wspomnień. Starzec zamrugał. Znów spojrział na Kitty.

–No, panno Jones, będę się streszczał. Wystarczy, że powiem, iż odnalazłem tego maga. Skrycie śledziłem go przez kilka tygodni, obserwowałem, co robi. Nie dałem się ponieść ani rozpaczy, ani niecierpliwości.

W odpowiedniej chwili zaryzykowałem. Zwabiłem go w odludne miejsce



i zabiłem. Jego trup dołączył do innych śmieci, jakie płynęły w dół Tamizy. Ale zanim umarł, zdążył przywołać trzy demony. Atakowały mnie raz za razem, ale niczego nie wskórały. Tak właśnie, ku swemu zaskoczeniu – bo spodziewałem się śmierci – dowiedziałem się o swojej odporności. Nie próbuję tego zrozumieć, ale taka jest prawda... Jestem odporny na magię, jak również moi przyjaciele. I ty też. Od nas zależy, czy

Umilkł. To całe uniesienie chyba go znużyło. Jego twarz wydawała się teraz stara, pomarszczona.

Kitty wahała się kilka chwil, wreszcie odpowiedziała:

–Dobrze.

Zgodziła się, za Jakoba, za pana Pennyfeathera, za jego zamordowaną żonę.

–Zostanę tu jeszcze. Chcę, żeby opowiedział mi pan coś więcej.

## 20

Przez kilka tygodni Kitty regularnie spotykała się z panem Pennyfeatherem i jego przyjaciółmi w Siedmiu Gałkach i różnych innych kawiarniach, rozsianych po śródmieściu Londynu. Widywali również w mieszkaniu starca, nad jego sklepem z materiałami dla plastyków, przy ruchliwej ulicy zaraz na południe od rzeki. Za każdym razem dziewczyna dowiadywała się coraz więcej o całej grupie i jej celach. I czuła, że są jej bliskie.

Wyglądało na to, że pan Pennyfeather zebrał swoją kompanię dosyć chaotycznie, kierował się pogłoskami i doniesieniami z gazet, które wiodły go ku ludziom o różnych, nadzwyczajnych umiejętnościach. Bywały miesiące, gdy przychodził na sale sądowe, i szukał kogoś takiego jak Kitty. Czasem po prostu w trakcie barowych pogaduszek nasłuchiwał plotek o ludziach, którzy przetrwali jakąś magiczną katastrofę. Jego sklepik prosperował nie najgorzej. Zazwyczaj pozostawiał go pod opieką subiektów i odbywał sekretne wyprawy ulicami Londynu.

Jego towarzysze przyłączyli się do niego dosyć dawno. Anne, pełna życia czterdziestolatka, spotkała go już prawie piętnaście lat temu. Byli weteranami wielu wspólnych zmagañ. Gladys, blondynka z kawiarni, miała dwadzieścia kilka lat, a dziesięć lat wcześniej, jeszcze jako dziewczynka, przetrwała magiczny rykoszet pojedynku dwóch magów. Ona oraz Nicholas, zwalisty, ponury mężczyzna, pracowali dla pana Penny-feathera od dziecka. Reszta grupy była młodsza, nikt nie miał więcej niż osiemnaście lat. Kitty i Stanley, oboje trzynastoletni, byli najmłodsi. Starzec kierował wszystkimi, zarazem pobudzając ich do działania, jak i trzymając twardą ręką. Miał wręcz żelazną wolę i niez mordowany umysł, ciało jednak powoli zaczynało go zawodzić, co doprowadzało go do wybuchów niepohamowanej złości. Jednak taka słabość rzadko mu się zdarzała. Kitty uważnie słuchała jego pełnych pasji opowieści o wielkiej walce, w jakiej uczestniczą.

Zwykle, jak twierdził pan Pennyfeather, nie sposób przeciwstawić się magom oraz ich władzy. Robią bezkarnie to, co tylko chcą, co zresztą wszyscy członkowie buntowniczej kompanii mieli okazję odczuć na własnej skórze. W rękach magów było wszystko, co najważniejsze w państwie: władza, urzędy, największe przedsiębiorstwa i gazety. Nawet sztuki grane w teatrach musiały zyskać akceptację władz, aby nie przemycano w nich żadnych niedozwolonych treści. Czarodzieje korzystali z dobrodziejstw swojej uprzywilejowanej pozycji, a pozostali, czyli olbrzymia większość, zajmowali się dostarczaniem im wszystkiego, czego potrzebowali. Pracowali w fabrykach, prowadzili restauracje, służyli w wojsku... Jeśli trzeba było wykonać prawdziwą pracę, robiło to pospólstwo. A jeśli zajmowało się tym w spokoju, magowie go nie niepokoili. Gdy jednak pojawiał się choćby najmniejszy objaw niezadowolenia, stawali się srodzy. Wszędzie mieli swoich szpiegów. Jedno nieodpowiednie słowo i lądowało się na przesłuchaniu w Tower. Wielu wichrzycieli znikало bez śladu.

Potęga magów sprawiła, że nie sposób było buntować się przeciwko nim. Władali mrocznymi siłami, które niewiele widziało, ale których wszyscy się bali. Jednak towarzysze pana Pennyfeathera, garstka osób popychanych do działania płonąca w nich nienawiścią, mieli więcej szczęścia od innych. Fortuna uśmiechnęła się do nich na różne sposoby.

W jakimś stopniu wszyscy przyjaciele pana Pennyfeathera byli, tak jak on, odporni na magię, jednak nie dawało się określić, jak bardzo. Zwa-

żywszy na to, co stało się w przeszłości, jasnym było, że Pennyfeather może przetrwać naprawdę silny atak. Jednak większość pozostałych, tak jak Kitty, została poddana tylko łagodnej próbie.

Niektórzy z nich – na przykład Anne, Eva, Martin i ponury, pryszczaty Fred – mieli też inne talenty. Już od wczesnego dzieciństwa stale przyglądali się małym demonom, wędrującym przez londyńskie ulice. Jedne latały, inne przechadzały się wśród tłumów. Jednak nikt inny ich nie dostrzegł. Wreszcie okazało się, że dla większości ludzi takie istoty są albo niewidzialne, albo ukryte pod przebraniem. Zgodnie z tym, co mówił Martin – który pracował w wytwórni farb i był drugim, po panu Pennyfeatherze, najbardziej zajadłym wrogiem magów – wiele kotów i gołębi wcale nie jest tym, czym się wydają. Timothy, piętnastolatek o kręconych, brązowych włosach, jeszcze uczeń, mówił, że kiedyś widział, jak demon o łuskowatym grzbiecie wszedł do sklepu i kupił warkocz czosnku. Matka, która towarzyszyła wtedy chłopcu, zobaczyła tylko przygarbioną starszą panią, robiącą zakupy.

Taka umiejętność widzenia poprzez iluzje bardzo się przydawała. Cenną zdolność posiadał też Stanley, rezolutny, dosyć nieokrzesany chłopak, który już od dawna nie chodził do szkoły, chociaż miał tyle lat, co Kitty. Pracował jako gazeciarz. Stanley nie widział demonów, ale potrafił dostrzec delikatną, migotliwą aurę, jaką emanowały rzeczy o magicznych właściwościach. Kiedy był mały, tak bardzo zafascynowały go te aury, że kradł otoczone nimi przedmioty. Gdy w sądzie spotkał pana Pennyfeathera, był już doświadczonym kieszonkowcem. Anne i Gladys miały podobne zdolności, ale nie w takim stopniu jak Stanley. On potrafił wyczuć magiczne przedmioty przez ubranie albo zza cienkich drewnianych ścian. Czyniło go to jednym z najważniejszych członków kompanii pana Pennyfeathera.

Łagodny, spokojny Timothy nie widział magii, za to potrafił ją usłyszeć. Z jego opisów wynikało, że wydaje ona swoiste buczenie. „Coś jak bicie w dzwon”, wyjaśniał, naciskany. „Albo dźwięk, kiedy się stuknie w pustą szklankę”. Gdy się skupił, a wokół nie było zbyt dużego hałasu, umiał wyśledzić źródło dźwięku – demona albo magiczny przedmiot.

Kiedy wszystkie te zdolności zebrało się razem, to, jak mówił pan Pennyfeather, powstawała niewielka, acz skuteczna siła, którą można było się przeciwstawić potędze magów. Oczywiście, nie dało się z nimi walczyć twarzą w twarz, ale nic nie stało na przeszkodzie, aby ich nękać.

Kilkuosobowa armia tropiła magiczne przedmioty, unikała pułapek i, przede wszystkim, atakowała magów oraz ich nikczemne sługi. Kitty zafascynowało to wszystko. Przyglądała się, jak ćwiczy Stanley – znajduje magiczny nóż pośród sześciu zwykłych, choć każdy z nich skrywa oddzielne, kartonowe pudełko. Szła za Timothyem, kiedy wędrował po sklepie pana Pennyfeathera i nasłuchiwał dźwięku kosztownego naszyjnika, skrytego w kubku z pędzlami.

Magiczne przedmioty odgrywały bardzo ważną rolę w działaniach grupy. Dziewczyna stale widywała, jak jej członkowie przychodzą do sklepu z niewielkimi paczkami i woreczkami, które przekazują Anne, zaufanej pana Pennyfeathera – a ta chowa je w bezpiecznym miejscu. Były w nich skradzione artefakty.

–Kitty – odezwał się do niej pewnego wieczoru Pennyfeather – przez trzydzieści lat bacznie obserwowałem nasze pasożytnicze elity i myślę, że poznałem ich największą słabość. Oni są chciwi. Pożądamy wszystkie go: pieniędzy, władzy, pozycji i ciągle o to walczą. Nic jednak nie podnieca ich tak bardzo, jak magiczne błyskotki.

Przytaknęła.

–Masz na myśli pierścienie i bransoletki?

–To wcale nie musi być biżuteria – wtrąciła się Anne. Ona i Eva były z nimi w pokoju na tyłach sklepu, siedziały za stosami rolek papieru. – To może być cokolwiek: laski, kociołki, lampy, kawałki drewna. Ten szklany pojemnik z moulerem, którym w ciebie rzuciliśmy, to też było coś takiego. Prawda, szefie?

–W rzeczy samej. Właśnie dlatego to kradniemy. Właśnie dlatego zabieramy wszystkie takie przedmioty, gdziekolwiek je znajdziemy.

–Ten pojemnik jest z domu w Chelsea, prawda? – powiedziała Anne.

–Tego, do którego Eva i Stanley weszli po rynnie, przez okno na najwyższym piętrze, kiedy przed domem właśnie odbywało się przyjęcie. Kitty otworzyła usta ze zdumienia.

–Czy to nie było zbyt niebezpieczne? Czy domy magów nie są chronione wszystkim, co się tylko da?

Pan Pennyfeather przytaknął.

**–Tak, choć to zależy od potęgi maga. Ten miał tylko magiczne potyka-  
cze rozciągnięte w poprzek pokoju... Oczywiście, Stanley bez trudu je  
ominał. Wtedy zdobyliśmy sporo rzeczy.**



–I co z nimi robicie? – zapytała Kitty. – Poza tym, że rzucacie nimi we mnie? Starzec uśmiechnął się.

–Artefakty to główne źródło siły magów. Pomniejsi urzędnicy, tacy jak asystent z Ministerstwa Rolnictwa – a myślę, że to on był właścicielem pojemnika z moulerem – mogą zdobyć tylko słabe przedmioty. Najwięksi magowie pragną zaś rzadkich przedmiotów o straszliwej mocy. Robią tak wszyscy, bo wszyscy są leniwymi dekadentami. Znacznie łatwiej jest przecież użyć do pokonania wroga magicznego pierścienia, niż wzywać do tego demona z otchłani.

–No i bezpieczniej – dodała Eva.

–Właśnie. Jak sama widzisz, Kitty, im więcej przedmiotów uda nam się zgromadzić, tym lepiej. To poważnie osłabia magów.

–A my możemy wykorzystać te rzeczy do swoich celów – dodała z naciskiem Kitty.

Tu wtrącił się pan Pennyfeather.

–Zdania są podzielone. Na przykład Eva... – lekko się uśmiechnął,

pokazując zęby – Eva uważa, że jest moralnie niebezpieczne podążać

śladami magów. Sądzi, że takie rzeczy powinny być niszczone. Ja jednak

–a to jest moja grupa, zatem moje zdanie jest tu najważniejsze – myślę,

że musimy używać przeciw naszym wrogom każdej broni, jaka jest nam

dostępna. A zatem także ich magiczne przedmioty.

Eva poprawiła się na krześle.

–Mnie się wydaje, Kitty – powiedziała – że korzystając z tych rzeczy, stajemy się nie lepsi od samych magów. Lepiej byłoby więc nie wystawiać się na pokusy, jakie niosą te złe przedmioty.

–Ha! – starzec parsknął z dezaprobatą. – A jak inaczej mamy podkopać pozycję naszych władców? Żeby osłabić rząd, musimy go bezpośrednio atakować. Prędzej czy później, lud powstanie i przyłączy się do nas.

–Ale kiedy? – odparła Eva. – Nie ma...

**–Nie uczymy się magii, tak jak czarodzieje – przerwał jej pan Pennyfeather. – Nie grozi nam żadne moralne niebezpieczeństwo. Ale prowadząc badania, na przykład zaglądnąc do skradzionych ksiąg, możemy się nauczyć władania ich główną bronią. Na przykład, Kitty, ten twój mo-uler. Potrzeba było tylko łatwego polecenia po łacinie. To wystarczy... do**

niewielkich demonstracji naszego niezadowolenia. Bardziej złożone artefakty możemy bezpiecznie gromadzić z dala od magów.

–A ja myślę, że podążamy w złym kierunku – cicho powiedziała Eva.

–Kilka małych wybuchów nic im nie zrobi. Oni zawsze będą silniejsi.

My...

Pan Pennyfeather mocno uderzył laską o swoją ławę. Eva i Kitty aż podskoczyły.

–Wolałabyś nic nie robić? – wrzasnął. – Bardzo dobrze. Wracaj do tego stada owiec, zwieś głowę i marnuj sobie życie!

–Nie o to mi chodziło. Ja po prostu...

–Zamykam sklep! Już późno. Panno Jones, na pewno czekają na ciebie w domu.

Matka i ojciec Kitty poczuli wielką ulgę, kiedy dostali pieniądze na spłacenie grzywny. Nie byli z natury dociekliwi, więc nie starali się zbyt usilnie dowiedzieć, skąd one pochodzą. Przyjęli za dobrą monetę opowieść córki o hojnym dobroczyńcy i funduszu dla niesłusznie skazanych. Z pewnym zdziwieniem patrzyli, jak dziewczyna powoli odrzuca swe stare przyzwyczajenia. W miarę jak kończyły się wakacje, coraz więcej czasu spędzała w Southwark, ze swymi nowymi przyjaciółmi. Satysfakcji szczególnie nie krył jej ojciec.

–Dobrze, że się trzymasz z daleka od tego Hyrnka – powiedział. – On

by tylko znowu ściągnął na ciebie kłopoty.

Kitty nadal odwiedzała Jakoba, ale zwykle jej wizyty były krótkie, za krótkie. Wiele jeszcze miało minąć czasu, nim odzyska pełnię sił. Jego matka stróżowała przy łóżku i odsyłała dziewczynę, gdy tylko spostrzegła, że syn jest zmęczony. Kitty nie mogła mu opowiedzieć o panu Pennyfeatherze, a Jakob zajęty był głównie swoją poznaczoną i wyniszczoną twarzą. Stawał się coraz bardziej skryty i może, jak myślała sobie dziewczyna, nieco zirytowany jej zdrowiem i energią. Stopniowo zaczęła odwiedzać Hyrnków coraz rzadziej i rzadziej, aż wreszcie, po kilku miesiącach, w ogóle przestała.

W kompanii Pennyfeathera, Kitty trzymały głównie dwa powody. Po pierwsze, wdzięczność za spłacenie grzywny. Uważała, że ma dług wobec

pana Pennyfeathera. Choć starzec nigdy się do tego nie przyznawał, możliwe, że to wyczuwał. A jeśli tak, nie próbował temu zaprzeczać.

Druga przyczyna była znacznie istotniejsza. Dziewczyna chciała dowiedzieć się czegoś więcej o tej „odporności”, którą odkrył w niej staruszek. Sprawdzić, na czym ona dokładnie polega. Jedyнным sposobem wydawało się przyłączenie do zebranej przez niego kompanii. Przynależność do grupy dawała też jej jakiś cel w życiu, Kitty pociągał urok członkostwa w niewielkim i tajnym stowarzyszeniu. Nie minęło wiele czasu, kiedy zaczęła wychodzić razem z buntownikami na ich łupieżcze wyprawy.

Początkowo stała tylko na czatach i rozglądała się uważnie, kiedy Fred i Eva wypisywali na murach antyrządowe hasła albo włamywali się do samochodów i domów magów, by szukać tam artefaktów. Kitty woląla pozostawać w cieniu, na uboczu i bawiła się srebrnym wisiorkiem ukrytym w kieszeni. Gotowa była zagwizdać, jeśli dojrzy pierwsze oznaki niebezpieczeństwa. Później towarzyszyła Gladys i Stanleyowi, kiedy śledzili magów wracających do domów i tropili aurę niesionych przez nich przedmiotów. Dziewczyna spisywała ich adresy, by było wiadomo, gdzie w przyszłości warto się włamać.

Od czasu do czasu, późnym wieczorem, patrzyła jak Fred albo Martin wyruszają na inne akcje. Mieli wtedy na sobie ciemne ubrania, a twarze wymazane sadzą. Pod pachami ściskali niewielkie, ciężkie worki. Żaden z nich nie mówił wprost, co będzie robił, ale kiedy nazajutrz w gazetach pojawiały się doniesienia o tajemniczych atakach na instytucje rządowe, Kitty wyciągała z tego własne wnioski.

Dziewczyna była inteligentna i zdecydowana, dlatego po jakimś czasie zaczęła odgrywać w tych rajdach ważniejszą rolę. Pan Pennyfeather miał zwyczaj wysyłać swoich przyjaciół w niewielkich grupach, gdzie każdy miał inne zadanie do wykonania. Po kilku miesiącach zezwolił Kitty, aby przewodziła jednej z takich wypraw, w skład której wchodził Fred, Stanley i Eva. Upór i brutalność Freda oraz niepohamowana szczerść Ewy zwykle bywały trudne do pogodzenia, ale Kitty umiała jakoś ich okiełznać i to tak skutecznie, że z rajdu po sklepach z magią wrócili z kilkoma cennymi zdobyczami – w tym dużymi błękitnymi kulami, o których pan Pennyfeather orzekł, że przypuszczalnie są kulami żywiołów, bardzo rzadkimi i kosztownymi.

Czas, jaki Kitty spędzała poza swoją kompanią, zaczął się niemiłosiernie dłużyć. Nabierała coraz większej wzdury dla swych ograniczonych przez system rodziców i propagandy, którą serwowano jej w szkole. Odkryła zaś, że nocne wyprawy towarzyszy Pennyfeathera dają jej sporo wspaniałych przeżyć, nawet jeśli wiązały się z ryzykiem. Pewnego wieczoru jakiś mag przyłapał Kitty i Stanleya na tym, jak gramolili się przez okno jego gabinetu z magiczną szkatułką. Wezwał małą istotę o kształtach gronostaja, a ta gonila za nimi, zionąc z pyska ogniem. Eva, która czekała na ulicy, cisnęła w demona szklanym pojemnikiem z moulerem, i ten, zbity z tropu, zatrzymał się na chwilę. To pozwoliło im uciec. Kiedyś też, w ogrodzie innego maga, Timothy'ego napadł demon-strażnik, który podkradł się blisko i złapał chłopca cienkimi, niebieskimi palcami. Skończyłoby się to źle, gdyby Nick nie zdołał odrąbać potworowi łba starożytnym mieczem, ukradzionym ledwie kilka chwil wcześniej. Timothy'ego uratowała też odporność na magię, później jednak uskarżał się na nieznośny i trudny do usunięcia odór, jaki pozostał po monstrum.

Oprócz demonów ciągle problemy sprawiali grupie stróże prawa. W końcu doszło do katastrofy. Gdy kompania zaczęła dokonywać coraz zuchwalszych kradzieży, na ulicach pojawiło się więcej Nocnej Policji. Pewnego jesienno-wieczoru, na Trafalgar Square, Martin i Stanley spostrzegli przebranego demona, który niósł amulet wibrujący magicznym impulsem. Istota uciekła, ale zostawiła po sobie silny rezonans, dlatego Tim mógł za nim podążyć. Wkrótce dopadli go w ciemnej uliczce, gdzie przetrwali jego straszliwe ataki. Niestety, takie natężenie magii zwabiło Nocną Policję. Kitty oraz jej koledzy rozproszyli się, gonieni przez coś, co przypominało stado psów. Dzień później zjawili się u Pennyfeathera -wszyscy oprócz jednego. Nikt już więcej nie zobaczył Tima.

Utrata Timothyego była dla nich ciężkim ciosem i wkrótce pociągnęła za sobą kolejną stratę. Niektórzy członkowie grupy, zwłaszcza Martin i Stanley, zaczęli domagać się śmielszych działań przeciwko magom.

–Możemy się zacząć w Whitehall – proponował Martin – kiedy oni będą jechać do Parlamentu. Albo możemy dopaść Devereaux, gdy będzie opuszczał swój pałac w Richmond. To nimi nieźle wstrząśnie, jak stracą premiera. Potrzebujemy czegoś mocnego, żeby wszcząć powstanie.

–Jeszcze nie – spokojnie odpowiedział pan Pennyfeather. – Potrzeba mi więcej informacji. A teraz wyjdź i zostaw mnie w spokoju.

Martin był szczupły, miał ciemne oczy, prosty nos i zapał, jakiego Kitty nie widziała u nikogo innego. Przez magów utracił rodziców, dziewczyna nigdy nie dowiedziała się, w jakich okolicznościach. Gdy mówił, nigdy nie patrzył prosto w oczy, zawsze kierował wzrok w dal albo w bok. Gdy pan Pennyfeather sprzeciwiał się jego pomysłom, najpierw z pasją się z nim spierał, a potem nagle zamykał się w sobie i twarz mu pokorniała, jakby nie potrafiła oddać siły jego uczuć.

Kilka dni po śmierci Tima Martin nie powrócił z wieczornego patrolu. Kiedy pan Pennyfeather wszedł do swojej piwnicy, odkrył, że ktoś otworzył jego tajny schowek z bronią i zabrał kulę żywiołów. Kilka godzin później zaatakowano Parlament. Ktoś cisnął kulą żywiołów w tłum ministrów, zabijając kilka osób. Sam premier ledwie uszedł z życiem. Dzień później Tamiza wyrzuciła na brzeg ciało młodego mężczyzny.

Niemal z dnia na dzień pan Pennyfeather stawał się coraz większym samotnikiem i zrobił się bardziej drażliwy. Rzadko odwiedzał sklep w innych sprawach niż dotyczące ruchu oporu. Anne opowiadała, że jeszcze bardziej zagłębił się w studiowaniu skradzionych książek o magii.

–Chce zdobyć lepszą broń – mówiła. – Do tej pory ledwie liznęliśmy tej wiedzy. Potrzeba nam jej więcej, jeśli chcemy pomścić Tima i Martina.

–Jak on tego dokona? – zaprotestowała Kitty. Bardzo lubiła Tima i jego strata boleśnie ją dotknęła. – Te książki są napisane w setkach języków. Nigdy z nich niczego nie wydobędzie.

–Poznał kogoś – odparła Anne. – Kogoś, kto nam pomoże.

Mniej więcej wówczas do grupy dołączyła nowa osoba. Pan Pennyfeather bardzo cenił sobie jej zdanie.

–Pan Hopkins to uczony – tłumaczył, przedstawiając go towarzyszom. – Człowiek wielkiej wiedzy. Wielokroć zgłębiał przeklęte sekrety magów.

–Robię, co w mojej mocy – skromnie dodał Hopkins.

–Pracuje jako urzędnik w Bibliotece Brytyjskiej – kontynuował Pennyfeather, klepiąc go po ramieniu. – Niemal mnie tam złapano, kiedy próbowałem, ekhm... przywłaszczyć sobie książkę o magii. Pan Hopkins

osłonił mnie przez strażami i umożliwił ucieczkę. Byłem mu wdzięczny, zaczęliśmy rozmawiać. Jeszcze nigdy nie spotkałem plebejusza o tak rozległej wiedzy. Nauczył się wielu rzeczy, kiedy czytał zgromadzone tam dzieła. Wiele lat temu jego brat zginął z ręki demona i tak jak my szuka zemsty. Zna... Clem, ile znasz języków?

–Czternaście – odparł Hopkins. – I siedem dialektów.

–No właśnie! Co wy na to? On nie ma odporności na magię tak jak my, ale może nas wesprzeć.

–Zrobię wszystko, co tylko będę mógł – oznajmił pan Hopkins.

Kiedy Kitty rozmyślała o Hopkinsie, odkrywała, że to dosyć ciężkie

zadanie. I to wcale nie dlatego, że okazał się dziwny. Szczerze mówiąc, wręcz przeciwnie, był aż do bólu zwyczajny. Włosy miał proste, o mysim, nijakim kolorze, twarz szczupłą, gładko ogoloną. Nie miał wyrazistych rysów, śmiesznych nawyków, nie mówił w jakiś charakterystyczny sposób. Wszystko w tym człowieku było tak nijakie, tak trudne do zapamiętania, że nawet kiedy coś opowiadał, dziewczyna łapała się na tym, że przestawała zwracać na niego uwagę – słuchała tylko słów, ignorowała zaś tego, kto je wypowiadał. To było bardzo niepokojące.

Początkowo kompania traktowała pana Hopkinsa dosyć podejrzliwie. Nie posiadał odporności na magię, nie mógł więc wyruszać na wypady po artefakty. Jego siłę stanowiła wiedza. Szybko udowodnił, że jest sporo wart. To, iż pracował w bibliotece i, być może, również jego nijaki wygląd, pozwalały mu oszukiwać magów. W rezultacie często potrafił przewidzieć ich posunięcia. Dzięki temu rabunków dokonywano wtedy, gdy właściciele magicznych przedmiotów nie było w domach. Hopkins pilnie słuchał opowieści o przedmiotach niedawno zakupionych u Sholto Pinna, dzięki czemu Pennyfeather mógł zaplanować włamania do ich nowych posiadaczy. A przede wszystkim, pan Hopkins odkrył wiele nowych zaklęć, co pozwalało lepiej wykorzystywać zdobyte artefakty. Trafność jego wskazówek okazywała się tak wielka, że wkrótce wszyscy zaczęli polegać na nich bez zastrzeżeń. Pan Pennyfeather nadal był przywódcą grupy, ale intelekt pana Hopkinsa stał się dla niej światłem przewodnim.

Minął jakiś czas. Kitty, tak jak wszyscy, ukończyła szkołę wraz z piętnastym rokiem życia. Nauczono jej tam kilku rzeczy, jednak – w odróż-

nieniu od innych absolwentów – nie wiązała swojej przyszłości z nudną pracą w fabryce lub posadą sekretarki w jakimś biurze. Pojawiła się jednak ciekawa alternatywa. Za namową pana Pennyfeathera i ku satysfakcji rodziców, dziewczyna została asystentką w jego sklepie dla artystów. Wykonywała setki różnych poleceń, nauczyła się prowadzenia księgowości, cięcia papieru czerpanego i sortowania pędzli wedle najróżniejszych odmian włosia. Pan Pennyfeather nie płacił dużo, ale Kitty była

Podobało jej się ryzyko związane z życiem członka ruchu oporu. Lubiała miły dreszczyk emocji, który czuła, gdy władze usiłowały zamazać jakieś hasło wypisane na murze, albo gdy szukała w „Timesie” pełnego oburzenia nagłówka, pod którym narzekano na ostatnie kradzieże. Gdy minęło kilka miesięcy, zechciała uciec od dociekliwości rodziców i wynajęła pokój w zapuszczonej, czynszowej kamienicy, kilka minut drogi od sklepu. Za dnia przez długie godziny pracowała w sklepie, a nocą ruszała na akcję ze swoimi przyjaciółmi. Robiła się coraz bledsza. Serce jej stwardniało – cały czas bała się, że policja odkryje, kim są, w dodatku stracili kilku członków grupy. Co roku ktoś ginął. Evę zabił demon z domu w Mayfair, okazało się, że ma ona zbyt małą odporność, aby przetrzymać jego atak. Gladys spłonęła w pożarze magazynu, kiedy upuszczona kula buchnęła ogniem.

W miarę, jak kompania malała, jej członkowie nagle odczuli, że władze bardzo starają się ich wytropić. Pojawił się nowy mag-śledczy, o nazwisku Mandrake. Na ulicach widywano demony przebrane za dzieci, które dopytywały się o ruch oporu i proponowały sprzedaż magicznych przedmiotów. Do pubów i kawiarni przychodzili donosiciele, którzy dostawali pieniądze w zamian za informacje zbierane dla rządu. Atmosfera podczas spotkań w izbie na tyłach sklepiku coraz bardziej przypominała oblężenie. Starzec słabł, nękany chorobami. Złościł się, a jego podwładni byli coraz bardziej zaniepokojeni. Kitty wiedziała, że zbliża się kryzys.

Wtedy odbyło się to pamiętne spotkanie i pojawiło największe z wyzwań.



utaj są! Stanley stał na czatach przy kracie w drzwiach i zerkał na główne pomieszczenie sklepu. Stał tam już jakiś czas, spokojny, czujny. Wreszcie postanowił wejść. Odsunął rygiel i przeszedł przez drzwi. Zatrzymał się obok nich, zdjął czapkę z głowy.

Kitty usłyszała, jak zbliża się znajomy stukot laski. Zerwała się z krzesła, wygięła plecy, aby pozbyć się uczucia bólu i chłodu. Jej towarzysze zachowywali się podobnie. Fred potarł szyję i zaklął pod nosem. Ostatnio pan Pennyfeather coraz bardziej dbał o te niewielkie uprzejmości.

W izbie na tyłach sklepu jedyne źródło światła stanowiła latarnia na stole. Było już późno, a nie chcieli przyciągać uwagi przelatujących obok kul strażniczych. Pan Hopkins, który przybył jako pierwszy, odczekał chwilę na progu, aby przyzwyczaić oczy do półmroku, potem zaś odsunął się na bok i przepuścił pana Pennyfeathera. W półmroku ich wychudzony przywódca wyglądał jeszcze mizerniej. Szedł, powłócząc nogami, niczym animowany szkielet. Za nim pojawiły się zwaliste kształty Nicka. Gdy cała trójka znalazła się już w pokoju, Nick delikatnie zamknął drzwi.

–Dobry wieczór, panie Pennyfeather. – Stanley był dziś mniej radosny niż zwykle. W uszach Kitty zabrzmiało to jak jakaś irytująca, fałszywa pokora. Nie padła żadna odpowiedź. Powoli Pennyfeather zbliżył do wiklinowego krzesła podsunętego przez Freda. Każdy krok zdawał się sprawiać mu ból. Usiadł. Anne przeszła przez pokój i w niszy za jego plecami umieściła latarnię. Twarz starca otuliły cienie.

Pennyfeather oparł laskę o krzesło. Powoli, palec po palcu, ściągał rękawiczki. Obok niego stanął Hopkins, schludny, cichy, w ogóle nierzucający się w oczy. Anne, Nick, Kitty i Stanley też jeszcze stali. Znali już ten cały rytuał.

–Dobrze, dobrze, siadajcie. – Starzec położył rękawiczki na kolanie.

–Przyjaciele – zaczął – razem przeszliśmy długą drogę. Nie muszę przypominać, co poświęciliśmy, albo... – przerwał, odkaszlnął -...po co. Ostatnio doszedłem do wniosku, w którym utwierdził mnie nasz dobry Hopkins, że brakuje nam odpowiednich środków do prowadzenia walki z naszym

wrogiem. Nie mamy wystarczająco dużo pieniędzy, broni, wiedzy. Wierzę jednak, że teraz zdołamy to zmienić.

Przerwał, skinął niecierpliwie. Anna pospieszyła do niego ze szklanką wody.

Przełknął głośno.

–Teraz lepiej. A zatem. Hopkins i ja studiowaliśmy dokumenty skradzione z Biblioteki Brytyjskiej. To są stare dokumenty, z XIX wieku. Dowiedzieliśmy się z nich o istnieniu tajnego składu skarbów, w tym wielu o znacznej, magicznej mocy. Jeśli uda nam się wejść w ich posiadanie, zdołamy wręcz zrewolucjonizować nasze działania.

–Który z magów to ma? – zapytała Anna.

–Obecnie znajduje się to poza zasięgiem magów.

Stanley wystąpił naprzód, pełen zapału:

–Ruszymy gdziekolwiek pan chce, sir – zawołał. – Do Francji, Pragi

albo... albo na koniec świata.

Kitty wywróciła oczyma. Starzec zaśmiał się.

–Nie musimy wędrować aż tak daleko. Mówiąc ściśle, należy tylko przekroczyć Tamizę.

Poczekał, aż ucichną pełne zdumienia pomruki.

–Tych skarbów nie złożono w jakiejś odległej świątyni. One są bardzo blisko, w miejscu, które wszyscy mijaliśmy już tysiące razy. Powiem wam – uniósł rękę, aby uciszyć wzrastający szmer – proszę o ciszę, zaraz wam wyjaśnię. To jest w samym sercu miasta, w samym sercu magiczne go imperium. Mam na myśli Opactwo Westminsterskie.

Kitty usłyszała, jak zgromadzeni głęboko wciągają powietrze, sama też poczuła na plecach miły dreszczyk podekscytowania. Opactwo? Ale nikt by się nie odważył...

–Pan ma na myśli grobowiec? – zapytał Nick.

**–Zaiste, zaiste. Panie Hopkins, może pan to dalej objaśniać?**

**Bibliotekarz odkaszlnął.**

**–Dziękuję. W opactwie pochowano wielu spośród najznamienitszych magów dawnych czasów, spoczywają tam choćby Gladstone, Pryce, Churchill, Kitchener. Leżą w tajemnych kryptach pod posadzką, a razem z nimi pochowano ich skarby, przedmioty o mocy, której dzisiejsi mizerni głupcy mogą się tylko domyślać.**

Jak zwykle, kiedy przemawiał Hopkins, Kitty ledwie zwracała na niego uwagę. Wsłuchiwała się za to w jego słowa, zaciekawiona możliwościami, które odsłaniały.

–Ale oni obłożyli te groby klątwą – odezwała się Anne. – Tych, którzy

je otworzą, czeka straszliwa kara.

Z głębi fotela Pennyfeathera rozległ się rżęzący śmiech.

–Dzisiejsze elity, o ile można w ten sposób nazywać magów, unikają tych grobów jak zarazy. Wszyscy to tchórze, co do jednego. Drżą na samą myśl o zemście, jaką mogą pokarać ich przodkowie, jeśli tylko tkną ich kości.

–Można uniknąć pułapek – oznajmił Hopkins – jeśli wszystko zaplanuje się starannie. My nie dzielimy tego prawie zabobonnego lęku magów. Zagłębiłem się w zapiski i odnalazłem kryptę, która zawiera cuda, o jakich nawet nam się nie śniło. Posłuchajcie sami... – Hopkins wyjął zza poły marynarki złożoną kartkę papieru. Panowała głucha cisza. Rozłożył ją, wyjął z kieszeni niewielkie okulary, wsadził je na nos i przeczytał: –„Sześć sztab złota, cztery posążki wysadzane klejnotami, dwa sztylety o szmaragdowych głowicach, kule z onyksu, cynowy kielich i... – a, to jest właśnie coś interesującego -...i zaklęta sakiewka z czarnego atlasu, z pięćdziesięcioma złotymi suwerenami”. – Hopkins spojrział na nich zza okularów. – Ta sakiewka nie wygląda jakoś nadzwyczajnie, ale wiedźcie, że niezależnie od tego, ile wyjmie się z niej złota, nigdy nie jest pusta. Sądzę, że to byłoby niekończące się źródło pieniędzy dla naszej grupy.

–Moglibyśmy kupić broń – wymamrotał Stanley. – Czesi dostarczyliby jej nam, gdybyśmy tylko odpowiednio im zapłacili.

–Pieniądze mogą wszystko. – Pennyfeather zachichotał. – Dalej Clem, dalej. To jeszcze nie koniec.

–Popatrzmy... – Hopkins wrócił do swojej kartki. – Sakiewka... ach tak, jeszcze kryształowa kula w której, cytuję: „skryte są przebłyski przyszłości i tajemnice wszechświata, a rzeczy ukryte mogą być dzięki niej odnalezione”.

–Wyobraźcie sobie – zawołał Pennyfeather. – Wyobraźcie sobie, jaką to mogłoby nam dać siłę! Moglibyśmy przewidzieć każdy ruch magów! Odnajdować zaginione cuda przeszłości, zapomniane klejnoty...

–Nikt nie mógłby nas powstrzymać – wyszeptała Anne.

–Bylibyśmy bogaci – powiedział Fred.

–Jeśli to prawda – spokojnie zauważyła Kitty.

–Jest tam jeszcze mały worek – kontynuował Hopkins – do którego można łapać demony. A także mnóstwo innych, słabszych przedmiotów. W tym, popatrzmy, płaszcz, drewniany kostur i różne inne takie drobne, osobiste rzeczy. Sakiewka, kryształowa kula i worek to najcenniejsze ze skarbów.

Pennyfeather pochylił się na krześle i uśmiechnął niczym goblin.

–A zatem, przyjaciele – powiedział. – Co o tym sądzicie? Czyż nie warto mieć czegoś takiego?

Kitty poczuła, że nadszedł czas, aby przyprawić to wszystko szczyptą ostrożności.

–Wszystko to bardzo piękne – powiedziała – ale dlaczego nikt tego dotąd nie zabrał? Gdzie jest haczyk?

Jej słowa jakby nieco rozwiały radosny nastrój. Stanley wykrzywił się na nią.

–O co chodzi? – spytał. – Ta robota nie jest dla ciebie wystarczająco dobra? Tylko ty tu marudzisz, że trzeba nam jakiejś lepszej strategii.

Dziewczyna poczuła na sobie spojrzenie Pennyfeathera. Zadrżała, wzdrygając się.

–Kitty ma rację – odezwał się Hopkins. – W tym tkwi haczyk. To sposób, w jaki zabezpieczono kryptę. Zgodnie z zapiskami, w kamień będący zwornikiem sklepienia zaklęto Pomora. Zbudzi go otwarcie drzwi, jeśli ktoś wejdzie do grobowca. Szybko urośnie i zmiecie wszystko na swojej drodze, aż do gołych kości.

–Cudownie – stwierdziła Kitty. W palcach obracała wisiołek w kształcie łyzy, który spoczywał w jej kieszeni.

–Eee... jak chcecie ominąć tę pułapkę? – uprzejmie zapytała Anne.

–Zawsze są jakieś sposoby – odparł starzec. – Teraz jednak poza naszym zasięgiem. Nie mam aż takiej wiedzy o magii. Jednak pan Hopkins zna kogoś, kto nam może pomóc.

Wszyscy spojrzeli na urzędnika, który przybrał zakłopotany wyraz twarzy.

**–On jest, a właściwie był, magiem – oznajmił. – Proszę. – Jego słowa  
obudziły chór pełnych niezadowolenia głosów. – Wysłuchajcie mnie. Nie  
jest zadowolony z naszego ustroju, ma ku temu swoje własne powody.  
Stara się obalić Devereaux i całą resztę. Posiada umiejętności i artefakty,**

dzięki którym zdołamy uniknąć Pomora. Ma również... – pan Hopkins odczekał, aż w izbie się uciszy – ma również klucz do wspomnianego grobowca.

–Kto to jest? – zapytał Nick.

–Wszystko, co mogę powiedzieć, to to, że jest on szanowaną osobistością. Uczonym i znawcą sztuki. Ma znajomości wśród najważniejszych ludzi w naszym kraju.

–Jak on się nazywa? – zapytała Kitty. – To nie brzmi dobrze.

–Obawiam się, że bardzo starannie ukrywa swoją tożsamość. Co, rzecz jasna, powinniśmy robić i my wszyscy. Jeżeli zgodzicie się przyjąć jego pomoc, chciałby jak najprędzej spotkać się z jednym z nas. Przekáže wtedy potrzebne informacje.

–Ale skąd mamy wiedzieć, że można mu zaufać? – zaprotestował Nick.

–Może chceć nas zdradzić.

Hopkins zakasłał.

–Nie sędzę. Już nam wielokrotnie pomagał. Większość wskazówek, jakie wam dawałem, otrzymałem od tego właśnie człowieka. Już dawno chciał nas wspomóc.

–Przebadałem w bibliotece dokumenty związane z tym pochówkiem

–dodał Pennyfeather. – Wyglądają na prawdziwe. Ich sfalszowanie kosz

towałoby zbyt dużo wysiłku. Poza tym, ten mag zna nas od lat, za po

średnictwem Clema. Jeśli chce ugodzić w ruch oporu, czemu do tej pory

nas nie zdradził? Nie, ja mu wierzę.

Stanął niepewnie na nogach. Głos mu stwardniał, zgęstniał.

–A to jest moja organizacja, jakkolwiek na to spojrzeć. Powinniście wierzyć mi na słowo. No, są jakieś pytania?

–Tylko jedno – powiedział Fred, otwierając sprężynowiec. – Kiedy zaczynamy?

–Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ruszymy do opactwa jutro w nocy. Trzeba tylko...

Starzec zgiął się wpół, ogarnięty nagłym atakiem kaszlu. Jego zgarbione plecy rzucały niesamowite cienie na ścianę. Anne podeszła do niego, pomogła mu usiąść. Przez dłuższą chwilę

**brakowało mu oddechu i nie mógł wykrztusić z siebie żadnego słowa.**

**–Przepraszam – odezwał się wreszcie. – Sami widzicie, w jakim jestem stanie. Opuszczają mnie już siły. Szczerze mówiąc, przyjaciele, Opactwo**



Westminsterskie to najlepsza okazja, jaką mam. Okazja, aby poprowadzić was wszystkich do czegoś lepszego. To może być nowy początek.

A dla ciebie godny koniec, pomyślała Kitty. To twoja ostatnia szansa, żeby zrobić coś konkretnego, zanim umrzesz. Mamy tylko nadzieję, że twój osąd cię nie zawiedzie, tylko tyle.

Pennyfeather, jakby czytając jej w myślach, nagle obrócił ku niej głowę.

–Trzeba jeszcze tylko – powiedział – odwiedzić naszego dobroczyńcę

i omówić szczegóły. Kitty, skoro tak aktywnie brałaś udział w dzisiejszym zebraniu, to ty jutro się z nim spotkasz.

Dziewczyna wytrzymała jego spojrzenie.

–W porządku – odparła.

–A teraz. – Starzec zmierzył wzrokiem ich wszystkich, jednego po drugim. – Teraz muszę powiedzieć, że jestem wami nieco rozczarowany. Nikt z was nawet nie spytał o tożsamość osoby, której grobowiec chcemy odwiedzić. Nie jesteście ciekawi? – zaśmiał się, rżęząc.

–Ee... Kto to jest? – zapytał Stanley.

–Ktoś, kogo znacie jeszcze ze szkoły. Myślę, że wciąż zajmuje ważne miejsce w szkolnych programach. Chodzi bowiem o nikogo innego, jak założyciela naszego państwa, największego i najbardziej strasznego z naszych przywódców, samego bohatera z Pragi. – Oczy Pennyfeathera zamigotały w ciemnościach. – O naszego ukochanego Williama Gladstonea.

*Część 3*

*nathaniel*

amolot Nathaniela odlatywał z lotniska Box Hill dokładnie o szóstej trzydzieści, a służbowy samochód miał przyjechać po niego do ministerstwa godzinę wcześniej, o piątej trzydzieści. Znaczyło to, że zostało mu tylko pół dnia, aby przygotować się do najważniejszego zadania w jego dotychczasowej, krótkiej karierze – wyprawy do Pragi.

Najpierw musiał pomówić ze swoim sługą i przyszłym towarzyszem podróży. Gdy wrócił do Whitehall, znalazł wolny pokój przyzwan i kłaśnięciem dłoni raz jeszcze przywołał Bartimeusa.

**Kiedy demon już się pojawił, okazało się, że porzucił już kształty pantery i przybrał swoją ulubioną postać młodego, śniadego chłopca. Nathaniel spostrzegł, że ów chłopiec nie ma dziś na sobie tradycyjnej, egipskiej spódniczki. Wystroił się w staroświecki, tweedowy strój podróżny, łącznie z kamaszami, pończochami, skórzaną pilotką i goglami na twarzy. Nathaniel skrzywił się.**

**–Mogłeś to sobie darować. I tak nie lecisz. Egipski chłopiec zdawał się urażony.**

**–Dlaczego?**

**–Bo będę podróżował incognito, a to znaczy, że przy odprawie celnej nie będą się pętały żadne demony.**

–A co, mają jakąś kwarantannę?

–Czescy magowie sprawdzają wszystkie przylatujące samoloty pod kątem obecności czarów. A te brytyjskie przeszukują najdokładniej ze wszystkich. Nie prześlizgnie się żaden artefakt, magiczna księga albo jakiś głupi demon. Na czas wyprawy mam udawać plebejusza. Zostaniesz wezwany, gdy będę już na miejscu.

Demon uniósł gogle, aby nadać mocy swemu sceptycznemu spojrzeniu.

–Myślałem, że Imperium Brytyjskie trzęsie całą Europą. Przecież już lata temu złamaliście Pragę. Jak oni mogą wam teraz mówić, co macie robić?

–Oni nam nie mówią. Ciągłe kontrolujemy równowagę sił w Europie, ale oficjalnie mamy teraz pokój z Czechami. Zagwarantowaliśmy im, że nie będzie żadnego wtargnięcia magii do Pragi. Właśnie dlatego mam odbyć tę misję dyskretnie.

–Skoro już mówimy o dyskrecji... – Egipski chłopiec mrugnął. – To jak do tej pory, sprawowałem się bardzo dobrze, prawda?

Nathaniel skrzywił wargi.

–Co masz na myśli?

–No, tego ranka zachowywałem się najlepiej, jak tylko potrafię, nie zauważyłeś tego? Mogłem nieźle napyskować tym twoim mistrzom, ale się powstrzymałem, ze względu na ciebie.

–Naprawdę? A ja sądziłem, że jesteś złośliwy, tak jak zwykle.

–Chyba żartujesz. Byłem tak oślizgłym lizusem, że niemal sam się ślizgałem. Wciąż jeszcze czuję na języku smak tej fałszywej pokory. Ale jest i tak lepszy od ponownego zamknięcia w jednej z Kul Smutku naszej drogiej Jessiki. – Dzin się wzdrygnął. – A te moje pochlebstwa trwały tylko kilka chwil. To musi być coś strasznego, tak ciągle im się podlizywać, jak ty to robisz. Dobrze jest wiedzieć, że można w każdej chwili przerwać i ruszyć swoją drogą, oczywiście, jeśli starczy odwagi.

–Możesz skończyć już teraz. Nie ciekawi mnie twoje zdanie. – Nathaniel nie słuchał Bartimaeusa zbyt uważnie. Demony często hojnie szafowały różnymi półprawdami, aby ich zmieszać. Najlepiej było zamknąć uszy na ich gadanie. – Poza tym – dodał – Duvall nie jest moim mistrzem. Gardzę nim.

–A Whitwell bardzo się od niego różni, co? Jakoś nie spostrzegłem między wami wielkiej miłości.

–Dosyć już! Muszę się spakować, a przed wyjazdem jeszcze zajrzeć

do Ministerstwa Spraw Zagranicznych. – Nathaniel zerknął na zegarek.

–Będę cię potrzebował za... dwanaście godzin. W moim hotelu w Pradze.

Póki cię nie wezwę, przywiązuję cię do tej sieci. Zachowuj się cicho

i bądź niewidzialny w tym kręgu, tak aby nie dostrzegło cię żadne czujne

stworzenie, póki cię nie wezwę.

Egipski chłopiec wzruszył ramionami.

–Skoro nie mam innego wyjścia.

–Nie masz.

Postać w pentagramie zamigotała i zaczęła powoli blaknąć, niczym wspomnienie snu. Kiedy już całkiem znikła, Nathaniel rzucił jeszcze kilka pomocniczych uroków, tak aby nikt przypadkiem nie uwolnił dzina, jeśli zechce użyć tego samego pentagramu, i pospiesznie wyszedł. Czekają go kilka pracowitych godzin.

Nathaniel, zanim ruszył do domu, aby się spakować, musiał jeszcze odwiedzić Ministerstwo Spraw Zagranicznych, budynek dorównujący rozmiarami British Museum, olbrzymie, szare gmazysko. Tam właśnie działo się wiele spraw, związanych z codziennym zarządzaniem Imperium. Czarodzieje, za pośrednictwem telefonów i posłańców, przekazywali stamtąd polecenia swoim podwładnym w biurach rozsianych po całym świecie. Kiedy Nathaniel wspiął się po schodach do obrotowych drzwi, zerknął w górę. Na tych trzech planach, które mógł widzieć, na niebie ponad budynkiem aż się kłębiło od śpieszących się gdzieś niematerialnych istot. Kurierzy nieśli rozkazy w magicznie zabezpieczonych kopertach, a większe demony leciały jako ich eskorta. Olbrzymie rozmiary Imperium najlepiej dawało się odczuć właśnie wtedy, gdy oglądało się takie widoki. Młodego maga wręcz zauroczył ten obraz, dlatego, roztagoniony, niezbyt dobrze poradził sobie z otwarciem obrotowych drzwi. Uporczywie napierał na nie od tej co trzeba strony i przez to nieszczęśliwie posłał jakąś starszą, siwowłosą damę prosto do przedsionka po drugiej stronie wejścia. Jej ręce, w których trzymała mnóstwo papierów, rozpostarły się, lecąc na spotkanie z marmurową podłogą.

Nathaniel, uporawszy się wreszcie z drzwiami, wyrzucił z siebie chyba z tuzin nerwowych przeprosin, pomógł swej ofierze wstać, a potem zaczął zgarniać z podłogi rozsypane dokumenty. Kiedy to robił i wysłuchiwał

niekończącego się potoku piskliwych narzekań, ujrzał, jak z drzwi po drugiej stronie korytarza wylania się znajoma, smukła postać Jane Farrar, uczennicy Duvalla. Jak zwykle eleganckiej, o błyszczących, kruczoczarnych włosach.

Chłopak oblał się rumieńcem. Zaczął się gorączkować, ale do zebrania pozostało mu jeszcze sporo papierów, zaś korytarz nie był zbyt duży. Na długo nim skończył, starsza dama wciąż jeszcze wyjaśniała mu, co o nim myśli. Panna Farrar zjawiała się tuż obok. Kątem oka widział jej pantofle. Zatrzymała się i spojrzała na niego. Mógł tylko sobie wyobrazić, jak z trudem hamuje wesołość.

Wziął głęboki oddech, wstał i wcisnął papiery w ręce starszej pani.

–Proszę. Jeszcze raz przepraszam.

–Ja myślę. Zachował się pan jak nieostrożny, arogancki i paskudny, mały...

–Oczywiście, pani pozwoli, że pomogę pani przy drzwiach...

Pewną ręką obrócił ją w miejscu i lekko popchnął między łopatkami,

wskazując drogę i szybko w nią wysyłając. Sam też ruszył szybko na dół, ale robiąc to, odwrócił się i zamrugał, udając zdziwienie.

–Panna Farrar! Co za miłe spotkanie!

Na twarzy dziewczyny pojawił się leniwy, tajemniczy uśmiech.

–Panie Mandrake, chyba bardzo pan się spieszy.

–Czyżby? Prawda, dziś po południu mam mnóstwo pilnych spraw do

załatwienia. A jeszcze tej nieszczęsnej, starszej pani akurat nogi odmówiły posłuszeństwa, więc próbowałem pomóc...

Zimne oczy Jane spojrzały na niego, jakby go szacowały.

–Tak... Lepiej już pójdę... – stwierdził.

W połowie ruchu spostrzegł, że Jane Farrar nagle podeszła do niego nieco bliżej.

–John, wiem, że jesteś zabiegany – powiedziała – ale bardzo bym chciała

zawrócić ci głowę taką jedną sprawą, jeśli oczywiście mogę. – Jakby od

**niechcienia, okręciła sobie wokół palca kosmyk czarnych włosów. – Ale mam szczęście. Tak się cieszę, że się przypadkiem spotkaliśmy. Doszło do mnie pocztą pantoflową, że ostatnio udało ci się przyzwać dżina czwartego poziomu. Czy to prawda?**

**Spojrzała na niego swoimi wielkimi ciemnymi oczyma, pełnymi podziwu.**

Nathaniel lekko się odsunął. Czuł, że robi mu się gorąco. Właśnie mile polechtano jego dumę, wciąż jednak niezbyt chciał rozmawiać o tak prywatnych sprawach, jak ta. do jakich się zwraca demonów. Źle się stało, że ów incydent w British Museum wydarzył się na oczach wszystkich. Od razu pojawiło się mnóstwo plotek o pomocniku młodego maga. Trzeba było teraz mieć się na baczności, zachować spokój, skrytość i siłę. Przywołał więc na twarz zboląły uśmiech.

–To prawda. Masz dobre informacje. To nie jest nic trudnego, możesz mi wierzyć. Teraz, jeśli nie masz nic przeciwko...

Jane Farrar lekko westchnęła i założyła kosmyk włosów za ucho.

–Jesteś mądry – stwierdziła. – Wiesz, ja próbuję dokładnie tego samego, przywołać demona czwartego poziomu, ale coś musiałam pomieszać, bo mi się nie udaje. Nie mam pojęcia, na czym polega problem. Czy mógłbyś pójść ze mną i zobaczyć, jak go przyzywam? Mam własny krąg. Jest w moim apartamencie, niedaleko stąd. Nikt nam tam nie będzie przeszkadzał...

Leciutko przechyliła głowę na bok. Uśmiechnęła się. Miała bardzo białe zęby.

Nathaniel czuł, że po czole ścieka mu kropla potu. Przyglądził sobie włosy i przy okazji ukradkiem ją wytarł. Miał nadzieję, że wyglądało to jak ruch od niechcenia. Czuł się bardzo dziwnie, jednocześnie wycieńczony i pobudzony. W sumie, pomoc Jane nie stanowiła większego problemu. Kiedy już kilka razy przywołało się dzina, to zrobienie tego po raz kolejny było całkiem proste. Chłopiec nagle odkrył, że chciałby zaskarbić sobie jej wdzięczność.

Delikatnie, długimi palcami musnęła jego ramię.

–Co ty na to, John?

–Hm... – otworzył i zamknął usta, skrzywił się. Coś go jednak powstrzymywało. Czas, a właściwie jego brak. Co on właściwie chciał tu załatwić? Przyszedł do ministerstwa, żeby... Właśnie, żeby co? Z trudem sobie przypominał.

Lekko wydeła wargi.

–Boisz się swojej mistrzyni? Ona nigdy się nie dowie. A ja nie powiem swojemu mistrzowi.

**Wiem, że nie powinniśmy...**

**–To nie to – odparł. – Po prostu...**

**–No, mów.**



–Nie. Mam dziś jeszcze coś do zrobienia... coś ważnego. – Spróbował oderwać od niej spojrzenie. Nie potrafił się skupić, na tym właśnie polegał cały kłopot. Serce waliło mu za głośno, aby mógł przeszukać teraz pamięć. Dziewczyna miło pachniała, nie tak jak zwykle, jarzębiną, ale perfumami o bardziej orientalnej i kwiatowej woni. Było to miłe, ale nieco obezwładniające. Jej bliskość mieszała mu w głowie.

–A co dokładnie? – zapytała. – Może jakoś zdołam ci pomóc.

–Hm... Gdzieś wyjeżdżam... Do Pragi... Przysunęła się nieco bliżej.

–Naprawdę? W jakiej sprawie?

–Żeby zbadać... Hm... – Zamrugął i potrząsnął głową. Coś mu tu nie pasowało.

–Powiedz – naciskała. – Możemy sobie gdzieś usiąść i miło pogawędzić. Możesz mi opowiedzieć o wszystkim, co planujesz.

–Myślę, że...

–Mam miłą, dużą kanapę.

–Tak?

–Możemy wygodnie sobie na niej usiąść, napić się lodowatego sorbetu, a ty opowiesz mi wszystko o tym demonie, którego przyzwałeś, o tym Bartimaeusie. Zrobi to na mnie wielkie wrażenie.

Kiedy wypowiedziała te słowa, w głowie Nathaniela zabrzączał alarmowy dzwonek i przebił się poprzez miłe otępienie. Jak ona poznała imię Bartimaeusa? Mogła je usłyszeć tylko od Duvalla, swojego mistrza, który poznał je tamtego ranka w pokoju przyzwań. A Duvall... Duvall nie był jego przyjacielem. Chętnie by popsuł wszystko, czego Nathaniel się podjął, nawet jego wyprawę do Pragi... Patrzył na Jane Farrar coraz bardziej podejrzliwie.

Aż wreszcie odpłynęło z niego całe otępienie. Zrozumiał. Poczuł, jak czujnik tępo pulsuje mu w uchu, ostrzegając przed wpływem subtelnej magii. Przed Urokiem, a może Glamour... Ledwie o tym pomyślał, a już blask włosów dziewczyny nieco przygasł, iskierki w jej oczach zamigotały i zgasły.

–Prze... przepraszam, panno Farrar – powiedział zachrypniętym głosem.

–To bardzo miłe zaproszenie, ale muszę odmówić. Proszę przekazać ode mnie wyrazy szacunku swojemu mistrzowi.



Patrzyła na niego w ciszy, a jej dotąd sarnie, pełne uwielbienia oczy, nagle wypełniły się bezgraniczną pogardą. Chwilę później na twarz Jane wrócił znajomy, pełen dystansu chłód. Uśmiechnęła się.

–Przekażę mu je, dziękuję.

Nathaniel uklonił się lekko i odszedł. Kiedy zerknął za siebie, na drugą stronę korytarza, dziewczyny już nie było.

Pięć minut później, gdy wyszedł z windy na trzecim piętrze, wciąż jeszcze czuł się zmieszany tym spotkaniem. Ruszył szerokim, rozbrzmiewającym echem korytarzem i zatrzymał się pod drzwiami gabinetu podsekretarza. Poprawił mankiety, otrzepał i obciągnął ubranie, a potem zapukał i wszedł.

Znalazł się w wysoko sklepionym pokoju, wyłożonym dębową boazerią. Przez eleganckie, wąskie okna, wychodzące na gwarną Whitehall, wpadało do środka światło. Trzy wielkie, drewniane stoły, które ustawiono w tym pomieszczeniu zdawały się je przytłaczać. Ich blaty okrywała podziurawiona, zielona skóra. Leżał na nich z tuzin rozpostartych map, różnych rozmiarów, jedne z nieskazitelno białego papieru, inne ze starożytnego, kruszącego się pergaminu. Wszystkie starannie przypięto do skórzanej powierzchni. Niewielki, łysy człowieczek, podsekretarz Ministerstwa Spraw Zagranicznych, pochylał się właśnie nad jednym z takich planów i wodził po nim palcem. Uniósł wzrok i przyjaźnie skinął głową.

–Mandrake, dobrze, że jesteś. Jessica mówiła, że przyjdiesz. Chodź.

Przygotowałem dla ciebie mapy Pragi.

Nathaniel podszedł i stanął za sekretarzem, którego niewielka postać ledwie sięgała mu barków. Mężczyzna miał żółtobrązową skórę, barwy wypłowiałego pergaminu, wydawał się zasuszony i zakurzony. Dźgnął mapę palcem.

–Oto Praga. To przeciętna mapa, jak sam widzisz. Widać na niej okopy, zostawione przez naszych żołnierzy po Wielkiej Wojnie. Zakładam, że jesteś nieco obeznany z miastem.

–Tak, proszę pana! – Nathaniel w myślach przejrzał zapamiętane informacje. – Okolice zamku leżą na zachodnim brzegu Wełtawy, Stare Miasto na wschodnim. Stara, magiczna dzielnica powinna znajdować się nieopodal zamku, prawda, proszę pana?

–W rzeczy samej – palec na mapie poruszył się. – Tutaj, przyciśnięta do tego wzgórza, leży Złota Uliczka, gdzie mieszkała większość cesarskich magów i alchemików, póki nie wmaszerowali tam chłopcy Gladstonea. Obecnie, ci czarodzieje, jakich jeszcze mają Czesi, są skoszarowani z dala od centrum, na przedmieściach, dlatego niewiele, jeśli w ogóle, dzieje się w pobliżu zamku. Myślę, że wszystko jest tam teraz pozamykane. Starym ośrodkiem magii – palec ruszył na wschód od rzeki – jest Getto, o tutaj. To właśnie tam, jeszcze za czasów Rudolfa, Loew stworzył pierwsze golem. Pozostali mieszkańcy tej okolicy praktykowali czary aż do ostatniego stulecia, dlatego myślę, że jeśli gdzieś jest ukryta potrzebna nam wiedza, to właśnie tam. – Uniósł wzrok i spojrzał na Nathaniela. – Pewnie sądzisz, że to głupie, prawda, Mandrake? Bo jeśli oni przez cały ten czas potrafili tworzyć golem, to dlaczego tego nie robili? Bóg jeden wie, że dość często z nimi wygrywaliśmy. No, ale sam nie mam pojęcia.

–Stosuję się tylko do otrzymanych informacji – z szacunkiem odpowiedział chłopiec. – Praga zdaje mi się miejscem odpowiednim do tego, aby zacząć.

Pod obojętnym głosem i zachowaniem ukrywał to, że w pełni zgadzał się z opinią sekretarza.

–Mhm. No, ty wiesz pewnie lepiej. – Po tonie mężczyzny łatwo można było poznać, że sądzi, iż Nathaniel nic nie wie. – Teraz... Widzisz tę paczkę? Jest w niej fałszywy paszport dla ciebie na tę wyprawę. Pojedziesz jako Derek Smithers, młody czeladnik pracujący dla Winiarskiej Kompanii Watta z Marylebone. W paczce są potwierdzające to dokumenty. Czesi nie powinni marudzić.

–Derek... Smithers? – Chłopak nie wyglądał na zachwyconego.

–Tak. Tylko takie nazwisko mieliśmy do dyspozycji. Biedak umarł miesiąc temu i był mniej więcej w twoim wieku. Przejęliśmy jego tożsamość na potrzeby rządu. Oficjalnie jedziesz do Pragi zorientować się w sprawie importu ich wspaniałego piwa. Wsadziłem ci do kieszeni listę browarów, tak żebyś jej się nauczył na pamięć w trakcie lotu.

–Tak jest.

–Dobrze. Mandrake, przede wszystkim masz być podczas tej misji powściągliwy. W żaden sposób nie ściągać na siebie uwagi. Jeśli będziesz musiał użyć magii, rób to po cichu i szybko. Słyszałem, że możesz użyć demona, jeśli tak, to trzymaj go pod kontrolą.

–Oczywiście, sir.

–Czesi nie wiedzą, że jesteś magiem. Jednym z warunków układu, jaki mamy obecnie z nimi, jest przyrzeczenie, że nie będziemy na ich terytorium prowadzić żadnych magicznych działań. I vice versa.

Nathaniel się skrzywił.

–Ależ proszę pana, słyszałem, że w Brytanii działali ostatnio czescy

szpiedzy. Z pewnością łamali ten traktat.

Sekretarz rzucił mu z boku pełne irytacji spojrzenie. I postukał palcami w mapę.

–O to właśnie chodzi. Oni nie są godni zaufania. Kto to wie, może to oni stoją za tym twoim incydentem z golemem.

–W takim razie...

–Wiem, co chcesz powiedzieć, Mandrake. Oczywiście, że najchętniej kazalibyśmy już jutro wmaszerować naszym armiom na plac Waclawa i pokazać Czechom, kto tu rządzi, ale nie możemy tego zrobić właśnie teraz.

–Dlaczego nie?

–Przez buntowników z Ameryki. Niestety, teraz akurat jesteśmy tam nieco bardziej zajęci. To nie potrwa długo. Zmieciemy Jankesów i znowu zwrócimy uwagę ku Europie. Ale w tej chwili nie chcemy żadnej afery. Rozumiesz?

–Oczywiście, sir.

–A poza tym, łamiemy ten rozejm na tuzin sposobów. Taka jest dyplomacja. Prawdę mówiąc, to przez ostatnich dziesięć lat zostawiliśmy Czechów samym sobie. Kampanie pana Devereaux we Włoszech i Europie Środkowej nie przyniosły rozstrzygnięcia i Rada Pragi zaczęła sprawdzać, na ile może sobie pozwolić w kontaktach z Imperium. Podszczypują nas, tak jak pchła kęsa psa. Nieważne. Wszystko w swoim czasie...

Podsekretarz przybrał wyraz twarzy łączący w sobie hardość i zadowolenie z siebie. Ponownie zwrócił uwagę ku mapie.

–A teraz, Mandrake – powiedział energicznie – jak przypuszczam,

będziesz potrzebował w Pradze jakiegoś kontaktu, kogoś, kto pomoże ci

**w zadaniu.**

**Nathaniel przytaknął.**

**–Ma pan tam kogoś, sir?**

**–My mamy. To jeden z naszych najlepszych agentów... Nazywa się Arlekin.**

–Arlekin... – Oczyma wyobraźni chłopak ujrzał smukłą, zamaskowaną postać, tanecznym krokiem skradającą się przez cienie i roztaczającą wokół siebie aurę zabawy i grozy...

–W rzeczy samej. To pseudonim naszego agenta. Nie mogę podać ci jego prawdziwego nazwiska. Pewnie nawet on sam go nie pamięta. Jeśli pomyślałeś o smukłym, zamaskowanym jegomościu, w kolorowym ubraniu i o dziarskim kroku, to lepiej poskrom wyobraźnię. Nasz Arlekin jest pulchnym, starszym panem o temperamencie żalobnika. Zwykł się również ubierać na czarno.

Sekretarz skrzywił twarz z niesmakiem.

–Praga zrobi z tobą to samo, jeśli zostaniesz tam zbyt długo. To miasto pełne melancholii. Przez te lata wielu naszych agentów popełniło samo bójstwo. Tymczasem Arlekin zdaje się pozostawać jeszcze przy zdrowych zmysłach, ale jest chorobliwie wrażliwy.

Nathaniel odgarnął włosy z oczu.

–Na pewno sobie z tym poradzę, proszę pana. Jak się z nim spotkam?

–Dziś wieczór, o północy, wyjdź z hotelu i idź na cmentarz w Getcie. To tutaj, tak, tą drogą, widzisz, Mandrake...? Zaraz za rynkiem Starego Miasta. Załóż czapkę z krwistoczerwonym piórkiem i wałęsaj się między grobami. Arlekin cię znajdzie. Rozpoznasz go po pewnej szczególnej świecy, jaką będzie trzymał.

–Szczególnej świecy.

–Właśnie.

–A w jaki sposób szczególnej? Jest jakaś bardzo długa albo zniszczona, albo coś takiego?

–Takich informacji już mi nie udzielił.

Nathaniel się skrzywił.

–Proszę mi wybaczyć, ale to wszystko jest trochę... melodramatyczne, nieprawdaż? Ten cmentarz, krwistoczerwone pióro. Czy on po prostu nie może zadzwonić do mnie do hotelu, jak już wezmę prysznic, i spotkać

się ze mną w kawiarni na dole?

Mężczyzna uśmiechnął się słabo. Wręczył Nathanielowi paczuszkę i minawszy najdalszy stół, ruszył w stronę skórzanego, pluszowego fotela, na którym usiadł z cichym westchnieniem. Obrócił go w stronę okna, z którego rozciągał się widok na wiszące nisko nad Londynem spęczniałe wilgocią chmury. Daleko na zachodzie już padało. Zamazane smugi



przecinały powietrze i ukośnie opadały ku niewidocznym zakamarkom miasta. Sekretarz przez jakiś czas oglądał to w ciszy.

–Spójrz na to nowoczesne miasto – powiedział wreszcie. – Jest zbudowane wedle najlepszych, nowoczesnych wzorców. Popatrz na dumne budynki Whitehall, żaden z nich nie ma więcej niż sto pięćdziesiąt lat! Oczywiście, wciąż są jeszcze rejony zapuszczone, nieodbudowane, to nieuniknione, gdy wokół tyle pospólstwa, jednak centrum Londynu, tam gdzie mieszkamy i pracujemy, stale się rozwija. To miasto przyszłości. Miasto godne wielkiego Imperium. Spójrz, Mandrake choćby na apartament swej mistrzyni Whitwell. Co za piękny budynek. To przykład nowoczesnej mody, powinno być więcej takich. Pan Devereaux planuje w przyszłym roku zburzyć większość Covent Garden i zastąpić te wszystkie małe drewniane domki wspaniałymi budowlami ze szkła i betonu...

Fotel obrócił się z powrotem w stronę pokoju. Sekretarz wskazał mapy.

–A Praga... Ona jest inna, Mandrake. To bez wątpienia bardzo ponure miejsce, pogrążone w nostalgii za chwałą minionych dni. Chorobliwie skupione na tym, co martwe i odeszło: magach, alchemikach, wielkim Cesarstwie Czeskim. No, każdy lekarz powiedziałby, że to niezbyt zdrowe. Gdyby Praga była człowiekiem, powinniśmy ją chyba zamknąć w sanatorium. Mogę powiedzieć, że należałoby wstrząsnąć Pragą, tak aby otrząsnęła się ze swych snów na jawie. I moglibyśmy to zrobić, gdybyśmy tylko tego chcieli, ale nie chcemy. Nie. Znacznie lepiej jest, gdy umysł ma zamglony i ogarnięty tajemnicą, kiedy brak jej tak jasnego, sięgającego daleko spojrzenia, jakie ma Londyn. Ale ludzie tacy jak Arlekin, którzy są tam naszymi oczami, muszą myśleć w ten sam sposób co Czesi. Inaczej nie byłiby nam przydatni, prawda? Arlekin jest szpiegiem lepszym od większości pozostałych agentów, Mandrake. Stąd też jego barwne instrukcje. Zalecam, abyś zastosował się do nich co do litery.

–Tak, sir. Z pewnością zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Wiedziałem, że to Praga, kiedy tylko się zmaterializowałem. Ten wyświechtany przepych złotego kandelabra, zwisającego z sufitu w hotelowym pokoju, zdobna i ponura sztukateria wokół najwyższych krawędzi ścian i zakurzone, spięte zasłony nad niewielkim łóżem z baldachimem. Melancholia unosząca się w powietrzu. Wszystko wskazywało na jedno tylko miejsce. Podobnie zresztą, jak skrzywiona twarz mojego mistrza. Kiedy mamrotał ostatnie sylaby przyzwania, rozejrzał się po pokoju, tak jakby na wpół oczekiwał, że nagle wyskoczę i go ukąszę.

–Miałaś miłą podróż? – zapytałem.

Zakończył stawianie kilku ostatnich barier i wyszedł z kręgu, dając mi znak, abym uczynił to samo.

–Raczej nie. Kiedy przechodziłem kontrolę na granicy, ciągle jeszcze miałem na sobie ślady magii. Dopadli mnie i zaciągnęli do zamkniętego pokoiku z tyłu, gdzie musiałem się naprawdę gęsto tłumaczyć. Powiedziałem, że mój magazyn z winem stoi zaraz obok budynku rządowego i od czasu do czasu czary zbaczają z drogi i przenikają ściany. Kupili to w końcu i mnie wypuścili – skrzywił się. – Nic z tego nie rozumiem!

Zanim wyszedłem z domu, zmieniłem przecież całe ubranie, żeby się pozbyć wszystkich śladów magii!

–A bieliznę też? Umilkł na chwilę.

–Och, spieszyło mi się. Zapomniałem.

–I oto powód. Zdziwisz się, co tam może być.

–No, popatrz na ten pokój – kontynuował chłopiec. – To jest ich najlepszy hotel! Mogę przysiąc, że nie zmieniano jego wystroju od zeszłego stulecia. Popatrz na pajęczyny na tych zasłonach! Obrzydlistwo. A umiesz

może określić, jakiego właściwie koloru jest ten dywan? Bo ja nie. – Ze złością kopnął w łóżko. Uniosła się z niego chmura kurzu. – A co to za głupie łoże z baldachimem? Czemu oni po prostu nie mogą mieć jakiegoś miłego, czystego tapczanu albo czegoś w tym stylu, tak jak w domu.

–Rozchmurz się! Przynajmniej masz tu różne udogodnienia.

Przyjrzałem się posępnym drzwiom w końcu pokoju. Otwierały się z teatralnym zgrzytem, odsłaniając obskurną, wyłożoną kafelkami łazienkę,

oświetloną jedną lampą z kloszem. W kącie stała monstrualna wanna na trzech nogach. Była z rodzaju tych, w których morduje się piękne dziewczęta albo gdzie małe krokodyle wyrastają na olbrzymy, karmione pewnym szczególnym rodzajem mięsa\*. Obok wznosił się równie imponujący sedes, łańcuch od spluczki wisiał nad nim jak stryczek\*\*. Grzyb i pajęczyny walczyły ze sobą o panowanie nad krańcami sufitu. Złożony ciąg metalowych rur, które krążyły wokół siebie na murze, łączył wannę i sedes, wyzierał na świat niczym jelita wylewające się z... Zamknąłem

–W sumie, to nie zawracałbym sobie głowy patrzeniem tutaj. Łazienka

jak łazienka. Jak tam widok z okna?

Łypnął na mnie spode łba.

–Sam sprawdź.

Uchyliłem ciężką, szkarłatną zasłonę i spojrzałem na uroczy pejzaż dużego, miejskiego cmentarza. Gdzieś w mroku niknęły rzędy schludnych nagrobków, ocieniane szeregami ponurych jesionów i modrzewi. Na niektórych drzewach wisiały żółte lampy, rzucając ponure światło. Żwirowymi alejkami wałęsało się kilka samotnych, przygarbionych indywiduów. Wiatr niósł ich jęki do okna.

Prędko opuściłem zasłonę.

–Tak... Muszę przyznać, że to niezbyt budujące.

–Niezbyt budujące? To najbardziej ponury widok, jaki w ogóle może być!

–No, a czego się spodziewałeś? Jesteś przecież Brytyjczykiem. Jasne więc, że dali ci nędzny pokój z widokiem na cmentarz.

Chłopiec usiadł za ciężkim biurkiem, przeglądał papiery wydobyte z małej, brązowej paczki. Wydawał się zamyślony.

–Właśnie dlatego powinienem dostać najlepszy pokój.

–Żartujesz, prawda? Mieliby ci go dać po tym, co Gladstone zrobił z Pragą? Wiesz, oni to ciągle pamiętają.

Nathaniel uniósł wzrok.

\* To jedna z dziwacznych cech Pragi. W jej atmosferze jest coś takiego – może za sprawą pięciu stuleci mrocznych czarów – że każdy, choćby nie wiem jak zwyczajny przedmiot, od

razu nasuwa makabryczne skojarzenia. \*\* Już wiecie, o co mi chodzi?

–To była wojna. Wygraliśmy, uczciwie i całkowicie. Przy minimalnych stratach wśród cywilów.

Przybrałem już wówczas postać Ptolemeusza i stałem nieopodal zasłony. Ramiona trzymałem skrzyżowane na piersi. Odwróciłem się i spojrzałem na niego wilkiem.

–Tak sądzisz? – uśmiechnąłem się szyderczo. – Powiedz to ludziom z przedmieść. Tam wciąż są pustkowia w miejscach, gdzie spłonęły domy.

–O, wiesz coś o tym?

–Jasne, że wiem! Przecież tu byłem, prawda? I muszę jeszcze dodać, że walczyłem po stronie Czechów. Wszystko, czego się uczyłeś, zostało napisane już po wojnie przez Ministerstwo Propagandy, pod dyktando Gladstonea. Nie rób mi więc tutaj wykładów, chłopcze.

Nathaniel wyglądał przez chwilę, jakby właśnie miał dostać jednego ze swoich ataków furii. Potem chyba zamknęło się w nim coś, bo zniemacka stał się zupełnie chłodny i spokojny. Odwrócił się z powrotem do swoich papierów, z twarzą całkiem pozbawioną wyrazu, jak gdyby to, co powiedziałem, w ogóle nie zrobiło na nim wrażenia, a nawet go znudziło. Zdecydowanie wołałbym, żeby się jednak wściekł.

–W Londynie – powiedział do siebie – cmentarze leżą poza miastem.

Tak jest znacznie higieniczniej. Mamy specjalne karawany do wywożenia zwłok. To są nowoczesne metody. A to miejsce żyje przeszłością.

Nic nie powiedziałem. Nie zasłużył na to, abym dzielił się z nim swoją mądrością.

Chłopiec przez mniej więcej godzinę, w świetle ogarka studiował mapy, robiąc na marginesach drobne notatki. Nie zwracał na mnie uwagi. Ja również nie zajmowałem się jego osobą, wyjąwszy delikatny wietrzyk, który posłałem przez pokój, aby świeca migotała w denerwujący sposób. O wpół do jedenastej Nathaniel zadzwonił do recepcji i w znakomitym czeskim zamówił sobie do pokoju karafkę wina oraz pieczone jagnię. Wtedy też odłożył pióro i odwrócił się ku mnie. Przyglądał włosy.

–Już wiem! – zawołałem z głębi łoża z baldachimem, gdzie rozparłem

się wygodnie. – Wiem, kogo mi teraz przypominasz. To mnie męczyło, od

kiedy mnie przywołałeś w zeszłym tygodniu. Wyglądasz jak Lovelace!

Przyglądasz włosy dokładnie tak jak on! On wciąż nie daje ci spokoju.

–Chciałem porozmawiać o praskich golemach – przerwał mi.

–To objaw próżności. Ta pomada.

–Widziałeś golemę w akcji. Jacy czarodzieje ich używają?

–Myślę, że to też oznaka niepewności. Ta ciągła potrzeba strojenia się.

–Czy zawsze tworzyli je tylko czescy magowie? Czy Brytyjczyk dałby radę to zrobić?

–Gladstone nigdy niczego sobie nie przyglądał, ani włosów, ani nic innego. Zawsze był bardzo spokojny.

Chłopiec zamrugał. Wreszcie coś go zainteresowało.

–Znałeś Gladstonea?

–„Znać” to nieco za mocne słowo. Widziałem go z daleka. Zwykle był obecny podczas bitwy, pilnował swego sztabu, patrzył, jak jego wojska dokonują rzezi. Tutaj w Pradze, jak i w całej Europie... Jak już mówiłem, był bardzo spokojny. A zatem, jeśli to ma znaczenie, każde jego posunięcie było stanowcze i przemyślane. Nie tak jak dziś u tych twoich paplających magów.

–Naprawdę?

Moja opowieść bardzo go zaciekała. Założyłbym się o głowę, że wiem, kto był dla niego wzorem.

–A zatem – powiedział. – Ty go podziwiasz w ten swój jadowity, demoniczny sposób?

–Nie. Oczywiście, że nie. On był jednym z najgorszych łotrów. Kiedy umarł, w całej okupowanej Europie bito w dzwony. Nathanielu, nie chciałbyś być taki jak Gladstone, zaufaj mi. Poza tym – poprawiłem zakurzoną poduszkę – i tak nie osiągniesz tego, co on.

Zesztywniał.

–Dlaczego?

–Nie jesteś aż taki okropny. O, twoja kolacja.

Pukaniem do drzwi obwieścił swe przybycie ubrany na czarno służący. Towarzyszyła mu podstarzała pokojówka. Nieśli talerze zakryte metalowymi kopułkami i chłodne wino. Chłopiec

zagadną do nich, nawet uprzejmie, zadał kilka pytań o sąsiednie uliczki i dał napiwek. Na czas tej wizyty stałem się myszką wygodnie ułożoną między poduszkami. Byłem



nią również, kiedy mój pan się posilał. Wreszcie z brzękiem odłożył widelec, pociągnął ostatni łyk z kieliszka i wstał.

–No, dobrze – oznajmił. – Nie ma czasu na pogaduszki. Już kwadrans po jedenastej. Pora iść.

Hotel stał przy Kremencovej, krótkiej uliczce na skraju praskiego Starego Miasta, nieopodal wielkiej rzeki. sPo wyjściu z budynku ruszyliśmy na północ, wzdłuż oświetlonych latarniami ulic. Powoli i spokojnie zbliżaliśmy się do Getta.

Mimo zniszczeń dokonanych przez wojnę i kryzysu, jaki ogarnął miasto, kiedy zabito cesarza, a schedę po nim wziął Londyn, Praga wciąż jeszcze zachowała sporo ze swego uroku i dawnej wielkości. Nawet ja, Bartimaeus, zazwyczaj obojętny na ponure dla ludzi miejsca, gdzie bywałem więziony, dostrzegalem piękno czeskiej stolicy, jej kamienice o pastelowych barwach, z wysokimi, stromymi dachami krytymi terakotą. Skupiały się gęsto wokół iglic i dzwonnicy wręcz nieskończonej liczby kościołów, synagog i teatrów. Między nimi wila się wielka, szara rzeka, jej brzegi spinał tuzin mostów, z których każdy, utrzymany w innym stylu, zbudował kiedyś w pocie czoła jakiś dżin\*. Ponad tym wszystkim górował cesarski zamek, piętrząc się na swoim wzgórzu.

Kiedy szliśmy, chłopiec milczał. Zresztą, nic dziwnego – przez całe swoje dotychczasowe życie prawie nie wychylał nosa z Londynu. Domyślałem się, że teraz gapi się na to wszystko z zapytaniem.

–Co za odrażające miejsce – stwierdził. – Przydałoby się to wyburza nie slumsów, jakie Devereaux przeprowadza w Londynie.

Spojrzałem na niego.

–Czy mam rozumieć, że Złote Miasto nie wzbudza twojego zachwyty?

–No... jest tu taki... bałagan, prawda?

\* Brałem udział w budowie najszlachetniejszego ze wszystkich, mostu Karola w 1357 roku. Pracę tę wykonaliśmy w dziewięciu i tak jak nam kazano, ukończyliśmy w ciągu jednej nocy. Fundamenty zostały utwardzone zwyczajową ofiarą – dżinem zamurowanym żywcem. Kiedy nastał świt, ciągnęliśmy losy, komu z nas przypadnie tenże „zaszczyt”. Biedny Humphrey pewnie wciąż tam siedzi, nudząc się niemiłosiernie, chociaż zostawiliśmy mu karty, żeby miał jak zabić czas.

W rzeczy samej, gdy się zagłębia w Stare Miasto, to ulice stają się coraz węższe i bardziej pogmatwane, połączone labiryntem ukrytych przejść i tylnych podwórz, gdzie budynki są stłoczone tak gęsto, że światło słońca z trudem dociera do bruku. Turystom owe zaułki wydają się zapewne pełne uroku, dla mnie jednak, patrzącego na to z punktu widzenia wyższego bytu, to doskonale wręcz ucieleśnienie beznadziejnego zamieszania, jakie charakteryzuje wszelkie ludzkie sprawy. Nathaniel, młody, brytyjski mag, przyzwyczajony do brutalnie prostych, szerokich ulic Whitehall, widział w Pradze jeden wielki nieporządek, wymykający się spod kontroli.

–Kiedyś mieszkali tu wielcy czarodzieje – przypomniałem.

–To było kiedyś – odparł szorstko. – A dziś jest dziś.

Przeszliśmy po Moście Karola. Na jego wschodnim krańcu stała wałca się stara wieża. Wokół jej wystających krokwi kręciły się nietoperze, a w najwyższych oknach migotał blask świateł. Nawet o tak późnej porze, na moście roilo się od ludzi. Wolno jechały po nim ze dwa staroświeckie samochody o wysokich, wąskich maskach i niewygodnych, odsuwanych dachach. Widziałem też sporo osób na koniach. Inni prowadzili woły albo jechali dwu-kółkami, pełnymi warzyw lub beczulek z piwem. Większość mężczyzn miała na głowach miękkie, czarne czapki francuskiego kroju. Najwyraźniej moda zmieniła się tutaj od mojego ostatniego pobytu wiele lat temu. Chłopiec skrzywił się z lekceważeniem.

–Przypomniałem sobie o czymś. Będzie lepiej, jeśli uzupełnię tym

całą tę maskaradę.

Nióś mały, skórzany plecak. Sięgnął teraz do niego i wyjął duży, miękki kapelusz. Pogrzebał jeszcze chwilę i wydobył wymięte, dosyć sfatygowane piórko. Uniósł je w górę, aby oświetlił je blask latarni.

–Jak myślisz, jaki to kolor? – zapytał. Zastanowiłem się

–Nie wiem. Przypuszczam, że czerwony.

–A jaki odcień czerwonego? Potrzebuję opisu.

–Ekhm. Ceglasty? Płomiennoczerwony? Pomidorowy? Kolor oparzenia słonecznego? Pasuje do każdego z tych określeń.

–A nie krwistoczerwony? – Nathaniel zaklął. – Miałem mało czasu. Tylko to udało mi się zdobyć. No, zrobię tyle, ile mogę.

Wetknął pióro w materiał kapelusza i wsadził go sobie na głowę.

**–Co to ma być? – zapytałem. – Mam nadzieje, że nie chcesz w ten sposób stać się modnie ubrany, bo wyglądasz jak idiota.**

–To sprawa czysto zawodowa, możesz być pewien. To nie mój pomysł.

Chodźmy, już prawie północ.

Skręciliśmy, oddalając się od rzeki i skierowaliśmy się ku sercu Starego Miasta, tam gdzie Getto strzegło największych praskich sekretów\*. Domy były tu niższe i bardziej odrapane, upchnięte tak ciasno jeden obok drugiego, że niektóre z nich z pewnością stały tylko dlatego, iż podtrzymywały je sąsiednie kamienice. Szliśmy coraz dalej, a atmosfera tego miejsca w skrajnie różny sposób oddziaływała na nasze nastroje. Moją esencję pobudzała magia, sącząca się ze starych kamieni, a także wspomnienia moich dawnych czynów. Nathaniel, na odwrót, jakby coraz bardziej się spieszył, mamrotał coś i mruczał w cieniu zbyt dużego kapelusza, niczym jakiś zręczliwy staruszek.

–Czy jest jakaś szansa – zapytałem – żebyś mi powiedział, co właściwie robimy?

Zerknął na zegarek

–Za dziesięć dwunasta. Kiedy zegar zacznie bić, muszę już być na starym cmentarzu.

Znowu coś mruknął.

–Jeszcze jeden cmentarz! Dasz wiarę? Ile ich tu jest? No, ale właśnie tam spotkam się ze szpiegiem. Powiedział, że pozna mnie po tym nakryciu głowy, ja jego zaś, cytuję, „po szczególnej świecy”.

Uniósł rękę.

–Nie pytaj. Sam nie mam pojęcia, o co chodzi. Może on nas skieruje do kogoś, kto się zna na golemach.

–Myślisz, że to jakiś czeski mag działa w Londynie? – spytałem. – Niekoniecznie tak musi być.

\* Za czasów Rudolfa, kiedy Święte Cesarstwo Rzymskie było u szczytu swej potęgi, a sześć afrytów patrolowało świeżo wzniesione mury Pragi, miejscowa żydowska społeczność dostarczała cesarzowi większości jego dochodów oraz magii. Żydowscy magowie, zmuszeni do mieszkania na zatłoczonych uliczkach Getta i z początku nie darzeni zbyt dużym zaufaniem przez resztę prażan, z wolna stawali się coraz potężniejsi. W owych czasach pogromy i

**prześladowania ludzi innych narodowości były na porządku dziennym, dlatego czary Izraelitów miały przede wszystkim ich bronić. Wszak nawet Loew stworzył pierwszego golema po to, aby chronić Żydów zarówno przed ludźmi, jak i dżinami.**

Skinał głową albo przynajmniej wykonał nią jakiś gwałtowniejszy ruch, z tego co dostrzegłem pod tym przepastnym kapeluszem.

– Jasne. Oko Golema musiał ukraść z kolekcji Lovelace'a ktoś od nas. Mamy w swoich szeregach zdrajcę. Ale wiedza, jak tego używać, musiała z kolei pochodzić z Pragi. Nikt w Londynie nigdy tego nie robił. Może ten szpieg pomoże nam odnaleźć kogoś, kto się na tym zna.  
– Westchnął. – Chociaż wątpię. Każdy kto każe się nazywać Arlekinem, na pewno ma już nieźle namieszane w głowie.

– Nie bardziej niż reszta z was, z tymi waszymi głupimi, fałszywymi nazwiskami, panie Mandrake. A co ja mam zrobić, kiedy już spotkamy tego dżentelmena?

– Schowaj się i obserwuj. Jesteśmy na terytorium wroga i nie mam zamiaru ufać ani Arlekinowi, ani nikomu innemu. Dobra, to pewnie już ten cmentarz. Lepiej zmień postać.

Przybyliśmy na brukowany plac, ze wszystkich stron otoczony budynkami o małych, ciemnych okienkach. Przed sobą zobaczyliśmy schody, prowadzące ku otwartej, metalowej furtce w wałącym się, również metalowym płocie. Za nią wznosiła się masa zębatej czerni – najwyższe z kamieni nagrobnych starego praskiego cmentarza.

Sam cmentarz okazał się kwadratem o boku mającym niewiele więcej niż piętnaście metrów; zdecydowanie było to najmniejsze miejsce pochówku w mieście. Używano go jednak od wielu stuleci, stale i bez przerwy, dlatego wyglądało dość niezwykle. Nieustanny ciąg pogrzebów sprawił, że ciała trzeba było grzebać prawie jedno na drugim, dlatego powierzchnia cmentarza uniosła się niemal o dwa metry w stosunku do okolicy. Nagrobki wznosiły się nad sobą – większe zwieszały się ponad małymi, a małe były na wpół zakopane w ziemi. Cmentarz ten, za sprawą swego zupełnego braku ładu, zdawał się miejscem specjalnie wybranym po to, aby schludny Nathaniel poczuł się niepewnie\*.

– No, bierz się do roboty – powiedział. – Czekam.

\* Szczerze mówiąc, mnie też przyprawił o gęsią skórkę, ale z całkiem innego powodu. Bardzo silny był tam żywioł ziemi, jego moc sięgała wysoko w górę, rozmywając moją energię. Dżiny nie były tam mile widziane. Miejsce było zamknięte, poświęcone innemu rodzajowi magii.

–Aha, to ty się teraz właśnie tym zajmujesz, prawda? Nic nie widzę pod tym kapeluszem.

–Zmień się w jakiegoś groźnego węża albo w szczura roznoszącego zarazę, albo jakakolwiek paskudną, nocną kreaturę. W co tylko chcesz. Ja już idę. Przygotuj się, żeby mnie chronić, jeśli zajdzie potrzeba.

–Nic nie sprawi mi większej przyjemności.

Postanowiłem, że tym razem stanę się długouchym nietoperzem o skórzastych skrzydłach, z włochatą główką. Myślę, że to była całkiem niezła postać: szybka, cicha i bardzo pasująca do cmentarza o północy. Pomknąłem ku gęstwinie nagrobków. Wpierw na wszelki wypadek przejrzałem wszystkie siedem planów. Były puste, chociaż tak pełne magii, że aż delikatnie wibrowały od wspomnień minionych dni. Nie dostrzegłem żadnych pułapek ani czujek, choć kilka ochronnych heksów na pobliskich budynkach wskazywało, iż wciąż mieszkają tu różni czarodzieje od siedmiu boleści\*. Nie zauważyłem nikogo. O tak późnej godzinie pusto było też na poplątanych, cmentarnych ścieżkach, okrytych cieniem. Zardzewiałe lampy, przygwożdżone do ogrodzenia, jaśniały słabym blaskiem. Znalazłem sobie jakąś pochyłą do przodu płytę nagrobną i zgrabnie pod nią zawisłem, otulony skrzydłami. Przyglądałem się głównej uliczce, wiodącej na cmentarz.

Nathaniel wszedł przez furtkę, jego kroki delikatnie zatrzeszczały na żwirze. Zaraz po tym, jak przekroczył linię ogrodzenia, z tuzin zegarów praskich kościołów zaczęło wybijać pełną godzinę i oznajmiło nadejście tajemniczej północy\*\*. Chłopiec westchnął głośno, potrząsnął głową

\* To była słabiutka ochrona. Przebiłyby się przez nią nawet nieuzbrojony imp. Praga, jako ośrodek magii, zdawała się być zacofana o całe stulecie.

\*\* Z wielu złożonych powodów związanych z astronomią i kątem ziemskiej orbity, kiedy nastają bliźniacze godziny północy i południa, siedem planów ustawia się w najbliższej względem siebie pozycji, co niektórym, wyczulonym ludziom pozwala dostrzec rzeczy zwykle przed nimi ukryte. Istnieje sporo historii o duchach, widmach, czarnych psach, mieniakach i innych strachach, pojawiających się właśnie o tej porze. W rzeczywistości są nimi zwykle impy albo diabluki, wędrujące właśnie pod jakimś przebraniem. Noc bardzo pobudza ludzką wyobraźnię (jakakolwiek by ona była), dlatego mniejszą uwagę zwraca się na to, co pojawia się w południe – a coś się wtedy pojawia. W upale przemykają migotliwe postacie, przechodnie, którzy, jeśli im się przyjrzeć, okazują się nie mieć cienia, w tłumie zaś migają trupioblade twarze, których już nie ma, gdy wraca się do nich spojrzeniem.

z obrzydzeniem, po czym ostrożnie ruszył alejką. Jedną rękę trzymał wyciągniętą przed siebie, macając nią drogę między nagrobkami. Gdzieś nieopodal zahukała sowa, może jako zwiastun naglej śmierci, a może po prostu komentowała zabawny ogrom kapelusza mojego pana. Krwistoczerwone piórko chybotło się za jego głową i błyszczało lekko w słabym świetle.

Nathaniel szedł. Nietoperz zwisał z kamienia, nie ruszał się. Czas mijał wolno, tak jak zwykle bywa w trakcie przechadzek po cmentarzach. Tylko raz, zza ogrodzenia, dobiegi odgłos jakiegoś ruchu na ulicy. Z ciemności wygramoliło się dziwne, czworonożne stworzenie o dwóch ramionach, z czymś na kształt podwójnej głowy. Mój pan też je dostrzegł i zatrzymał się. Nie bardzo wiedział, co ma robić. Stworzenie tymczasem przeszło pod latarnią, gdzie okazało się, że to tylko para zakochanych, przytulonych i opartych o siebie głowami. Całowali się gorąco, trochę łaskotali. Szli wzdłuż ulicy. Mój pan spoglądał na nich z dziwnym wyrazem twarzy. Myślę, że starał się okazać im pogardę.

Od tamtej pory jego krok, który i tak nie był zbyt energiczny, stał się już całkiem pozbawiony entuzjazmu. Nathaniel wałęsał się, kopał niewidoczne kamyki i, przygarbiony, z roztargnieniem opatulał się długim, czarnym płaszczem. Najwyraźniej duchem wędrował całkiem gdzie indziej. Uznałem, że chyba trzeba mu kogoś, z kim mógłby sobie pogadać, więc pomknąłem ku chłopcu i uniosłem się ponad nagrobkiem.

–Głowa do góry – powiedziałem. – Wyglądasz na półzywego. Jak nie

będziesz uważał, to zaraz się zderzysz z tym Arlekinem. Wyobraź sobie

może, że umówiłeś się na randkę z jakąś ładną, młodą czarodziejką.

Nie dam głowy, bo było ciemno, ale myślę, że chłopak chyba oblał się rumieńcem. Ciekawe... Może w stosownej chwili warto głębiej podrażnić ten temat.

–To bez sensu – wyszeptał. – Już jest prawie wpół do pierwszej. Gdyby on miał się nam pokazać, to już byśmy go dawno zobaczyli. Sądzę, że... słuchasz mnie?

–Nie. – Czułe nietoperze uszy wyłowiły właśnie ciche szuranie, które dobiegało z przeciwnego krańca cmentarza. Uniosłem się nieco wyżej. Spojrzałem w mrok.

–To może być on. Gotuj swoje piórko, mój Romeo.

Przechyliłem się i pomknąłem nisko, między nagrobkami. Leciałem

nad dróżką, aby uniknąć zderzenia z tym, cokolwiek się do nas zbliżało.



Chłopiec nieco się wyprostował. Z kapelusikiem na bakier i rękoma od niechcienia trzymanymi z tyłu, włókł się dalej alejką, jakby głęboko zatopiony w myślach. Nie dał po sobie poznać, że usłyszał coraz bardziej uporczywe szuranie albo spostrzegł dziwne, blade światło, które zbliżało się teraz ku niemu między grobami.

## 24

ątem oka Nathaniel dostrzegł, że nietoperz się oddala i leci ku wiekowemu cisowi, który jakimś cudem zdołał przetrwać w rogu cmentarza długie stulecia pochówków. Z jednej zupełnie tej gałęzi drzewa rozciągał się znakomity widok na alejkę. Nietoperz w ciszy zawisnął pod konarem.

Chłopiec wziął głęboki oddech, poprawił kapelusz i ruszył przed siebie tak nonszalancko, jak tylko potrafił. Przez cały czas przyglądał się temu, co zbliżało się do niego z głębi cmentarza. Mimo że do tego całego przedstawienia podchodził bardzo sceptycznie, czuł, że wilgoć i pustka owego miejsca zatruwają mu duszę. Choć sobie tego nie życzył, serce głośno waliło mu w piersi.

Kim był ten, którego widział przed sobą? Trupioblade, zielonkawo-mleczne światło zbliżało się coraz bardziej i rzucało na groby niezdrową poświatę. Za nim sunął jakiś przygarbiony cień. W miarę jak ów cień się zbliżał, Nathaniel dostrzegł parę nieprzyjemnie białych dłoni, wystających spod płaszcza, a w nich źródło tego upiornego blasku.

Próbował dostrzec też twarz, ale tę skrywał ciężki, czarny kaptur, który zaginał się w dół niczym orli szpon. Nie mógł dostrzec nic więcej. Przyjrzał się zatem przedmiotowi trzymanemu przez owe blade ręce. Rzeczy, która rzucała dziwne, białe światło. Była to świeca, przytwierdzona – Uuuuch. To obrzydliwe – odezwał się chłopiec po czesku.

Postać zatrzymała się. Spod kapuzy dobiegł wysoki, piskliwy i jakoś nie pasujący do reszty głos:

–Eee, o co ci chodzi?

Nieznajomy zakasłał. Potem odezwał się znowu, teraz już niższym, bardziej niesamowitym głosem, powoli cedząc słowa:

–Chciałem rzec... Co... masz na myśli? Nathaniel skrzywił wargi

–To obrzydliwe coś, co trzymasz w rękach. To ohydne.

–Waż słowa! To przedmiot o wielkiej mocy!

–To niehigieniczne, tyle ci powiem. Skąd ty to wytrzasnąłeś?

–Własnymi rękoma odciąłem to z szubienicy, przy świetle pełnego księżyca.

–Mogę się założyć, że to nawet nie jest zakonserwowane. Tak! To widać! Odpadają z tego kawałki!

–Nie, to nie tak. To są krople wosku ze świecy.

–No... może, ale ja wciąż uważam, że nie powinieneś tego ze sobą nosić. Proponuję, żebyś to wyrzucił za te groby, a potem umył ręce.

–Czy ty nie widzisz – odparł nieznajomy, który teraz ze złością oparł pięść o biodro – że mówisz o rzeczy, która potrafi obezwładnić moich wrogów i wykryć magiczne straże w pięćdziesięciu miejscach? To cenna rzecz. Nie wyrzucę jej do śmieci.

Nathaniel potrząsnął głową.

–Powinni cię gdzieś zamknąć. Powiem ci, że w Londynie takie zachowanie nie uszłoby ci płazem.

Nieznajomy wydał się zaskoczony.

–Londyn? A co to ma ze mną wspólnego?

–No, ty jesteś Arlekin, prawda? Agent. Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

–Być może...

–Oczywiście, że to ty. Kto inny by wędrował po tym cmentarzu o takiej porze? Nawet nie muszę widzieć tej ohydnej świecy, żeby odgadnąć, że to

**ty. A poza tym, mówisz po czesku z angielskim akcentem. Samo to już**

**wystarczy. Potrzebuję szybko informacji.**

**Nieznajomy uniósł pustą rękę.**

**–Chwileczkę, ja jeszcze nie wiem, kim ty jesteś.**

**–Jestem John Mandrake, pracuję dla rządu, dobrze o tym wiesz.**

**–To nie wystarczy. Muszę mieć jakiś dowód.**

**Nathaniel przewrócił oczyma.**

–Widzisz to? – wskazał swój kapelusz. – Krwistoczerwone piórko. Nieznajomy zastanowił się.

–Mnie się wydaje ceglaste.

–Ono jest krwistoczerwone. Albo za chwilę takie będzie, jak nie przestaniesz bredzić i nie przejdiesz do ważnych spraw.

–No... no dobra. Ale najpierw... – Postać stanęła niczym zjawa. – Najpierw muszę sprawdzić, czy nikt nas nie obserwuje. Zostań tu.

Arlekin uniósł świecę i wypowiedział jakieś słowo. Nagle blade światło rozbłysło, stając się jaśniejącą obręczą, która zawisła w powietrzu między nimi. Po kolejnym rozkazie obręcz ta zaczęła gwałtownie się rozszerzać, obejmując cały cmentarz. Nathaniel spostrzegł, że nietoperz niczym kamień spadł z gałęzi i czmychnął tuż przed nadejściem fali blasku. Nie dostrzegł jednak, co się z nim potem stało. Obręcz dotarła do kresu cmentarza, zbladła i znikła.

Agent skinął głową.

–Teraz możemy spokojnie porozmawiać.

Chłopiec wskazał świecę, która znów przybrała dawny wygląd.

–Znam tę sztuczkę. To Jaśniejący Krąg, uruchamiany przez impa. Nie trzeba ci do tego trupiej ręki. Ta cała oprawa rodem z horroru to zwykle oszustwo, w sam raz dla ciekawskiego pospólstwa. Arlekinie, na mnie to nie robi wrażenia.

–Może... – Chuda ręka znikła pod płaszczem i ostrożnie tam poszperała. – Nawet jeśli, to i tak myślę, że jesteś za bardzo przyziemny, Mandrake. Ignorujesz fundamenty naszej magii. Ona wcale nie jest taka czysta, jak sobie wyobrażasz. Krew, rytuały, ofiary, śmierć... to właśnie serce każdego zaklęcia, jakie rzucamy. Koniec końców, wszyscy opieramy się na tej „oprawie rodem z horroru”.

–Może tutaj, w Pradze – odparł Nathaniel.

–Nigdy nie zapominaj, że potęgę Londynu zbudowano na praskich podwalinach. A zatem... – Arlekin nagle zaczął mówić tonem człowieka robiącego interesy. – Imp, który do mnie dotarł, powiedział, że jesteś tutaj w ściśle tajnej misji. Jaka to misja i jakich chcesz informacji?

Nathaniel odpowiedział szybko i z pewną ulgą. Przedstawił najważniejsze wydarzenia ostatnich kilku dni. Człowiek okryty kapturem słuchał go w ciszy.

–Golem w Londynie? – zapytał, kiedy chłopiec skończył. – Cuda wciąż się jeszcze zdarzają. Ta twoja oprawa rodem z horroru wraca jak bumerang, czy tego chcesz, czy nie. Ciekawe...

–Ciekawe i możliwe do wyjaśnienia? – W głosie Nathaniela brzmiała nadzieja.

–Nic o tym nie wiem. Ale może mam dla ciebie kilka ciekawych szczegółów... Szybko, padnij!

Agent, błyskawicznie niczym wąż, rzucił się między nagrobki. Chłopiec bez wahania poszedł w jego ślady. Legł z twarzą wciśniętą w cmentarną ziemię, nasłuchując odgłosu ciężkich butów, które z echem stukały o bruk za ogrodzeniem. Wiatr przyniósł delikatny zapach papierosów. Potem wszystko ucichło. Minęła jeszcze chwila i Arlekin powoli wstał.

–To patrol – wyjaśnił. Na szczęście, to świństwo, które ciągle palą, osłabia im węch. Już wszystko w porządku.

–Mówiłeś... – naciskał chłopiec.

–Tak. Po pierwsze, sprawa Oka Golema. Kilka takich obiektów znajduje się w składach magii podległych czeskiemu rządowi, a Rada Pragi blokuje do nich dostęp. Z tego, co wiem, nie używano ich do czarów, mają one jednak sporą wartość jako pamiątki, bo golemi zadały armii Gładstonea spore straty w trakcie jego pierwszych kampanii w Europie. Kilka lat temu skradziono jeden z tych kamieni, sprawca pozostał nieznanym. Przypuszczam, pamiętaj, iż to jedynie przypuszczenia, że właśnie ten zaginiony kamień znalazł się później w kolekcji twojego przyjaciela Simona Lovelace'a.

–Wypraszam sobie. – Nathaniel zeszywniał. – On nie był moim przyjacielem.

–No, teraz nie jest już niczym przyjacielem, prawda? Bo mu się nie udało. Gdyby wygrał, to wszyscy chcieliby łapać każde słowo, jakie padłoby z jego ust i zapraszali go na obiady.

Agent parsknął gdzieś wewnątrz kaptura, przeciągle i z tęsknotą, jakby w ten sposób dając wyraz swej pogardzie.

–Poczekaj chwilę – odezwał się. – Muszę się napić.

–Uuuuch, tu jest zimno i mokro, pospiesz się!

–Już, już. – Arlekin wykonywał jakieś złożone ruchy, grzebał pod płaszczem. Po chwili wyciągnął rękę, a w niej ciemnozieloną butlę, zatkaną

**orkiem. Wyjął zatyczkę i wetknął flaszkę w otchłań swej kapuzy. Rozległ się gulgot i rozszedł zapach mocnego alkoholu.**

**–Już mi lepiej. – Niewidzialne wargi cmoknęły, korek zatkał szyjkę, a butelka wróciła do kieszeni pod płaszczem. – Zabiorę to. Nie zniszczysz tego, prawda? To jest trochę delikatne. A więc – kontynuował Arlekin -może Lovelace sam chciał użyć tego Oka. Jeśli tak, to plany pokrzyżowała mu śmierć. Teraz ktoś inny, być może jego współnik, kto to wie, ukradł artefakt twojemu rządowi i wydaje się, że sprawił, iż zaczął znowu działać... I zrobiło się niewesoło.**

**–Potrzebował też czaru kształtującego – powiedział Nathaniel. – Jest spisany na pergaminie, wsadza się go golemowi do ust, żeby ożył. Przez lata nikt o tym nie wiedział, w każdym razie nie w Londynie.**

**Agent przytaknął.**

**–Ten sekret zaginął, wciąż jednak może być znany komuś w Pradze, choć już od dawna nieużywany. Rada nie chce teraz drażnić Londynu. Brytyjczycy są zbyt silni. Czesi wolą więc słać do Londynu małe grupki szpiegów, żeby działały tam po cichu i zbierały informacje. Ten twój golem... To jak na Czechów zbyt dramatyczne posunięcie. W odpowiedzi na coś takiego mogliby spodziewać się inwazji. Nie, ja myślę, że ścigasz jakiegoś samotnika, kogoś, kto działa kierowany własnymi motywami.**

**–Więc gdzie mam szukać? – spytał Nathaniel, a kiedy to mówił, nie mógł powstrzymać się od ziewania. Nie spał od wydarzeń w British Museum, zeszłej nocy. To był ciężki dzień.**

**–Muszę przyznać... – Agent na kilka chwil pogrążył się w myślach. – Potrzebuję czasu, żeby się czegoś dowiedzieć. Spotkajmy się jutro pod wieczór. Wtedy podam ci jakieś nazwiska.**

**Zamaszystym, teatralnym gestem owinał się w płaszcz. – Spotkajmy**

**się...**

**Nathaniel mu przerwał.**

**–Mam nadzieję, że nie zamierzasz mi teraz powiedzieć „pod szubienicą” albo „na szafocie”, albo w jakimś innym ponurym miejscu.**

**Arlekin odwrócił się.**

**–Ciekawe. Nie najgorszy pomysł.**

**–No i?**

**–Chciałem zaproponować okolice dołów, w których chowano ofiary zarazy, na ulicy Hyberskiej.**

–Nie.

Agent wyglądał na zdenerwowanego.

–No dobrze – burknął. – Po szóstej przy budce z hot dogami na rynku Starego Miasta. Czy to jest wystarczająco pospolite miejsce?

–Brzmi świetnie.

–W takim razie, bywaj...

Z łopotem płaszcza i chrupnięciem ukrytych pod nim kolan szpieg odwrócił się i ruszył cmentarną ścieżką. Jego trupia świeca migotała słabo z oddali. Wkrótce znikła, zostawiając po sobie tylko ulotny cień i zmięte w ustach przekleństwo, kiedy ów cień wpadł na jeden z nagrobków.

Nathaniel przysiadł na mogile. Czekał na Bartimaeusa. Był zadowolony ze spotkania, choć też nieco zirytowany. Teraz miał mnóstwo czasu, aby wypocząć – aż do popołudnia. Jego zmęczony umysł gdzieś odpłynął. Powróciło wspomnienie o Jane Farrar. Jakże miło byłoby mieć ją teraz blisko siebie... Myśli te omamiły go niczym narkotyk. Skrzywił się. Oczywiście, że to był narkotyk. Przecież ona rzuciła na niego Urok, prawda? I niemal dał się na to złapać, w ogóle nie zwrócił uwagi na ostrzeżenia swojego czujnika. Ale był głupi.

Ta dziewczyna albo chciała zatrzymać go w Londynie, albo też wyciągnąć z niego wszystko, co wie. Tak czy owak, pracowała dla swego mistrza Duvalla, który najwyraźniej nie chciał, aby Ministerstwu Spraw Wewnętrznych powiodło się śledztwo. Kiedy sięgnął pamięcią wstecz, przypomniał sobie jeszcze kilka innych takich przejawów wrogości. Duvall, Tallow, Farrar... Nawet jego własna mistrzyni, Whitwell, nie polegałaby na nim, gdyby nie przynosił jej wymiernych korzyści.

Nathaniel potarł oczy. Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

–Na litość boską, wyglądasz jakbyś miał zaraz zemdleć.

Dżin siedział na mogile naprzeciwko, przybrał już swoją ulubioną postać chłopca. Skrzyżował nogi, tak samo jak Nathaniel i ostentacyjnie, szeroko ziewnął.

–Powinieneś pójść lulu już parę godzin temu.

–Słyszałeś coś?

–Większość. Ominęło mnie trochę po tym, jak wypuścił Krąg. Prawie mnie trafił, musiałem się uchylić. Dobrze, że korzenie cisu wyrwały kilka nagrobków. Mogłem schować się pod ziemią,



**kiedy to nade mną leciało.**

Nathaniel zamilkł, otrząsnął włosy z szarego pyłu.

–Nie żebym jakoś polecał krycie się w grobach – kontynuowałem. –

Nigdy nie wiadomo, co tam można znaleźć. Ale mieszkaniec akurat tej mogiły okazał się całkiem gościnnie. Pozwolił mi się do siebie przytulić na kilka chwil.

Demon mrugnął porozumiewawczo. Nathaniel się wzdrygnął.

–Co za ohyda.

–Skoro już o tym mowa – odezwał się dżin. – Świeca, którą miał ten facet, czy to naprawdę...?

–Tak. Staram się o tym nie myśleć. Arlekin jest gorzej niż na wpół obłąkany. Bez wątplenia tak właśnie dzieje się z ludźmi, którzy za długo mieszkają w Pradze. – Chłopiec wstał i zapiał płaszcz. – Ale przydał się nam. Mam nadzieję, że jutro po południu da nam kilka użytecznych kontaktów.

–Świetnie – powiedział demon. Pracowicie zapinał kurtkę, przedrzeźniając ruchy Nathaniela. Może będziemy mieli trochę rozrywki. Mój sposób na informatorów to przypiekać ich nad wolnym ogniem albo wystawić za nogi przez okno, gdzieś na najwyższym piętrze. Wtedy Czesi zwykle puszczaają farbę.

–Postaramy się nie uciec do żadnej z tych metod. – Nathaniel ruszył alejką, zmierzając ku wyjściu z cmentarza. – Władze nie mogą się dowiedzieć, że tu jesteśmy, dlatego nie wolno nam zwracać na siebie uwagi. A to znaczy, że unikamy przemocy albo zbyt ostentacyjnej magii. Rozumiesz?

–Oczywiście. – Dżin uśmiechnął się szeroko i stanął za nim. – Przecież mnie znasz.

⟨KLtty

ankiem dnia wielkiej wyprawy, o godzinie dziesiątej dwadzieścia pięć, Kitty szła niewielką uliczką londyńskiego West Endu. Maszerowała szybko, niemal biegła. Jej autobus ugrzązł w korku Moście Westminsterskim, dlatego prawie się spóźniła. Na plecach podskakiwała jej niewielka torba, a włosy ciągnęły się za nią niczym smuga.

**Dokładnie o dziewiątej trzydzieści, rozczochrana i zdyszana dziewczyna przybyła pod teatr Coliseum, pod wejście dla aktorów. Delikatnie popchnęła drzwi. Okazało się, że są otwarte. Szybko zerknęła za siebie, na zaśmieconą ulicę. Nie dostrzegła niczego podejrzanego, zatem wślizgnęła się do środka.**

**Znalazła się w ponurym i brudnym korytarzu, zastawionym wiadrami i dziwnymi, drewnianymi konstrukcjami, zapewne dekoracjami. Przez brudne okno sączyło się przyćmione światło. W zatęchłym powietrzu unosił się mocny zapach farby.**

**Przed sobą Kitty zobaczyła następne drzwi. Zgodnie z zapamiętanymi instrukcjami, dziewczyna podeszła do nich bezszelestnie i przeszła do drugiego pomieszczenia. Stało tam mnóstwo stojaków z kostiumami, a powietrze było jeszcze bardziej duszne. Na stole leżał czyjś niedokończony posiłek – resztki kanapki, chipsów, opróżniona do połowy filiżanka kawy.**

Kitty weszła do trzeciej izby. Tam widok nagle się zmienił – pod stopami miała teraz gruby dywan, ściany okrywała tapeta. Powietrze delikatnie pachniało dymem i czystością.

Znalazła się w przedniej części teatru, w korytarzach dla publiczności. Zatrzymała się i nasłuchiwała. Budynek był całkiem pusty, nie dobiegł jej żaden dźwięk.

A jednak, gdzieś u góry, ktoś na nią czekał.

Instrukcje otrzymała dzisiaj rano, w trakcie pospiesznych przygotowań. Pan Pennyfeather zamknął na ten dzień swój sklep i poszedł do składziku w piwnicy, aby przygotować ekwipunek na wyprawę. Wszyscy inni też byli tam zajęci. Przymierzali ciemne ubrania, czyścili przybory i, tak jak Fred, w zaciszu piwnicy ćwiczyli rzucanie nożem. Pan Hopkins wyjaśnił Kitty, co ma robić w Coliseum. Według jego słów, tajemniczy dobroczyńca wybrał ów opuszczony teatr na miejsce rozmowy jako miejsce neutralne, gdzie mag i plebejusz mogą spotkać się na równych prawach. Tam właśnie mieli otrzymać pomoc, której potrzebowali, żeby włamać się do grobowca Gladstonea.

Mimo złych przeczuć, związanych z całym przedsięwzięciem, dziewczyna nie mogła opanować dreszczyku emocji, który przebiegał ją, kiedy przypominała sobie to nazwisko. Gladstone. Krążyło o nim mnóstwo opowieści. Przyjaciel Ludu, Postrach Nieprzyjaciół. Zbezczeszczenie jego grobu było czymś tak trudnym do wyobrażenia, że nie potrafiła tego objąć rozumem. A także cudów, jakich ruch oporu zdołałby dokonać, gdyby wszystko się powiodło i wrócili z wyprawy ze skarbami Założyciela.

Jeśli by im się nie powiodło, to Kitty nie miała żadnych złudzeń co do tego, co ich później spotka. Grupa się kruszyła, Pennyfeather był już stary. Mimo jego pasji i całej zaciekłości, siły już go opuszczały. Bez żelaznej ręki przywódcy, grupa się rozpadnie. Wszyscy wrócą do szarego życia pod butem magów. Ale jeśli zdobędą kryształową kulę i magiczną sakiewkę, to co potem? Może wtedy koło fortuny się obróci i nowi ludzie zechcą walczyć o ich sprawę? Gdy o tym pomyślała, serce zabiło jej żywiej.

Wpierw jednak musiała spotkać się z tajemniczym dobroczyńcą i uzyskać od niego wsparcie.

Kiedy szła korytarzem, mijała wiele na wpół otwartych drzwi, za którymi dostrzegała widownię. Wokół panowała zupełna cisza, gruby dywan i elegancka tapeta na ścianach tłumiły każdy odgłos. Dywan miał kolor ciemnego wina, tapetę pokrywały zaś różowe i czerwone prążki. Jediną ozdobą były tu wyblakłe plakaty i poobtłukiwane, mosiężne kandelabry, z których sączyło się słabe, migotliwe światło. Kitty szła prędko, aż wreszcie dotarła do schodów.

Weszła na długie, kręte schody o niewysokich stopniach, które, zataczając koło, zaprowadziły ją na następną kondygnację. Ruszyła cichym korytarzem do miejsca, gdzie w ścianie po lewej stronie znajdowało się sześć odgrodzonych zasłonami wnęk. Każda z nich była wejściem do łoży, w której podczas przedstawień zasiadali czarodzieje.

Łoże były oznaczone numerami wygrawerowanymi na mosiężnych tabliczkach umieszczonych ponad zasłonami. Kitty, nie zatrzymując się, weszła do ostatniej łoży z numerem siedem. Tam właśnie miał czekać tajemniczy dobroczyńca.

Tak jak w pozostałych wnękach, zasłona była całkiem zaciągnięta. Dziewczyna zatrzymała się, nasłuchiwała. Cisza. Na twarz opadł jej kosmyk włosów. Przyglądała go i by dodać sobie otuchy, dotknęła srebrnego wisiorka, spoczywającego w kieszeni. Potem mocno chwyciła zasłonę i weszła do środka.

W łoży było pusto, jeśli nie liczyć dwóch ciężkich, połączonych krzeseł, zwróconych w stronę sceny. Z lewej strony wisiała zaciągnięta zasłona, która osłaniała pomieszczenie od strony widowni. Kitty skrzywiła się, zakłopotana i rozzłoszczona. Pomyliła numer czy może przyszła o zły porze? Nie. Raczej ten dobroczyńca w ogóle się tu nie pojawił.

Do poręczy jednego z krzeseł przyczepiono niewielką kartkę. Kitty podeszła i zerwała ją. Kiedy to zrobiła, wyczuła delikatny ruch powietrza, a za sobą jakiś cichuteńki dźwięk. Szarpnęła ręką. Na karku poczuła ucisk czegoś małego i ostrego. Zamarła.

Odezwał się głos, cichy i zamyślony.

–Moja droga, proszę, nie staraj się odwrócić. To, co dotyka twojej szyi, to czubek sztyletu, wykutego w Rzymie dla Borgiów. Ostrość nie jest jego jedyną właściwością. Na klindze, szerokość palca wyżej, jest kropla trucizny. Jeśli dotknie twej ranki, śmierć nastąpi w ciągu trzynastu sekund. Mówię to po to, żebyśmy dbali o pewne drobne uprzejmości. Proszę, nie

odwracaj się, weź krzesło i ustaw je tak, aby zwrócone było w stronę ściany. Dobrze. Teraz siadaj. Usiądę zaraz za tobą, a potem porozmawiamy.

Kitty przyciągnęła krzesło, tak że stało naprzeciwko ściany, następnie powoli je obesła i ostrożnie na nim usiadła, przez cały czas czując, jak małe ostrze dotyka jej karku. Słyszała szelest ubrania, skrzyp skórzanych butów, ciche westchnienie kogoś, kto właśnie usiadł i nieco się odprężył. Patrzyła na ścianę. Milczała.

Nieznajomy znowu się odezwał.

–Dobrze. Teraz już jesteśmy gotowi, aby zająć się naszymi interesami. Zdajesz sobie sprawę z tego, że te wszystkie niemiłe środki podjąłem tylko po to, aby zapewnić nam bezpieczeństwo? Nie chcę zrobić ci kr Kitty w dalszym ciągu wpatrywała się w ścianę.

–Podobnie jak my – odparła spokojnie. – My także podjęliśmy środki ostrożności.

Usłyszała chrząknięcie.

–Jakie?

–Na zewnątrz teatru czeka moja towarzyszka, ma niewielką, skózaną torbę, a w niej sześć małych demonów, uwięzionych w wybuchowym żelu. To, jak sądzę, znakomita broń, mogąca zrównać z ziemią cały budynek. Niedawno ukradliśmy to z magazynów Ministerstwa Obrony. Wspominam o tym, aby ci uświadomić, że jesteśmy zdolni do naprawdę nadzwyczajnych działań. Robię to też dlatego, że jeśli nie wrócę w ciągu piętnastu minut, moja przyjaciółka aktywuje te demony i ciśnie nimi w teatr.

Twarz Kitty nie wyrażała żadnych emocji. A jej słowa od początku do końca były kłamstwem. Usłyszała chichot.

–Niezłe posunięcie, moja droga. Zatem musimy się pospieszyć. Tak jak na pewno mówił wam już Hopkins, jestem dżentelmenem z mnóstwem wolnego czasu, mającym wiele znajomości pośród magów. Od czasu do czasu nawet paralem się tą sztuką. Jednak podobnie jak wymam już dość ich rządów! – w jego głosie zabrzmiała wściekłość. – W związku z pewnym drobnym, finansowym nieporozumieniem rząd zrabował mi cały majątek! Jestem teraz nędzarzem, ja, który sypiałem kiedyś na jedwabiach

**z Taszkientu! Nie mogę tego znieść. Nic nie sprawi mi większej**

**satysfakcji**

niż upadek magów. Dlatego właśnie chcę wspomóc waszą sprawę.

Im dłużej mówił, tym bardziej był rozgorączkowany, każdemu wykrzyknikowi towarzyszyło delikatne dźgnięcie ostrzem sztyletu w szyję dziewczyny. Oblizła wargi.

–Pan Hopkins mówił, że masz dla nas cenne informacje.

–To prawda. Musisz pamiętać o tym, że nie darzę sympatią pospólstwa, w którego sprawie służysz. Jednak wasze działania mieszają szyki ważnym osobistościom z rządu, a to mnie cieszy. Zatem, do interesów. Czy Hopkins wyjaśnił, na czym polega moja propozycja?

Kitty ostrożnie przytaknęła.

–A zatem, dzięki swoim kontaktom miałem dostęp do papierów Gladstonea i przestudiowałem je. Odczytałem pewne szyfry i dowiedziałem się kilku szczegółów o Pomorze, którego zostawił, aby pilnował jego szczątków.

–To zdaje się słabą obroną, jak na kogoś o jego mocy – stwierdziła dziewczyna. – Jeśli wolno mi zauważyć.

–Jesteś inteligentną, bystrą dziewczyną – z uznaniem odparł głos. – Gladstone, kiedy umierał, był już stary i słaby, wymizerowany, niezdolny do niczego więcej, jak rzucenia pojedynczego czaru. Ale nawet wtedy zrobił wszystko jak należy. Nikt nie niepokoił go po śmierci, ze strachu przed Pomorem. Można go jednak ominąć, jeśli zachowa się stosowne środki ostrożności. Mogę przekazać wam informacje, jak to zrobić.

–Dlaczego mamy ci zaufać? – spytała Kitty. – Nie rozumiem. Co będziesz z tego miał?

Nieznajomy nie wydawał się urażony tym pytaniem.

–Gdybym chciał zniszczyć waszą grupę – odparł spokojnie – to znalazłabyś się w policyjnym areszcie chwilę po tym, jak wetknęłaś głowę za

tę zasłonę. Poza tym, już ci mówiłem, chcę obejrzeć sobie upadek magów.

Ale, rzecz jasna, masz rację. Ja też skorzystam na włamaniu do

grobowca. Kiedy przeglądałem archiwum Gladstonea, odkryłem listę przedmiotów złożonych z nim do grobu. Znalazłem tam rzeczy, które

interesowałyby i was, i mnie.



**Kitty poprawiła się nieco na szerokim, złotym krześle.**

**–Zostały mi tak ze dwie minuty na opuszczenie budynku – oznajmiła.**

**–Zapewniam cię, moi przyjaciele są bardzo punktualni.**

–Pospieszę się. Pan Hopkins miał wam opowiedzieć o cudach, jakie znajdują się w tej krypcie. Możecie je sobie wziąć, tę magiczną broń i całą resztę. Nie potrzebuję ich, jestem pokojowo nastawionym człowiekiem. Kolekcjonuję jednak różne niezwykle przedmioty i będę wdzięczny, jeśli dostanę Płaszcz Gladstonea, który złożony jest w sarkofagu. Nie ma właściwości magicznych, zatem dla was jest bezużyteczny. Och, a jeśli przetrwała też jego dębowa Laska, to chętnie bym ją wziął. Ona akurat ma tylko nieznaczące właściwości magiczne. Jest na niej chyba niewielki heks odpędzający insekty. Z chęcią jednak ujrzałbym ją w swoich skromnych zbiorach.

–Jeśli uda nam się zdobyć te oraz inne skarby – odparła Kitty – chętnie ci je oddamy.

–Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Obie strony na tym zyskają. Oto rzeczy, których wam potrzeba.

Z cichym szelestem, nieznajomy przesunął na dywanie niewielką, czarną torbę, tak aby znalazła się w zasięgu wzroku dziewczyny.

–Jeszcze jej nie dotykaj. W środku są szkatułka i młotek. Obronią was

przed Pomorem. Znajdziecie tam także wszelkie wskazówki, jak tego

użyć. Zastosujcie się do nich, a przeżyjecie. Słuchaj uważnie – kontynu

ował głos. – Dziś, o jedenastej trzydzieści, kustosz wyjdzie z opactwa.

Idźcie do wejścia przy krużgankach. Załatwię, żeby były otwarte. Drogę

do samego opactwa zagradać będą kolejne drzwi. Zwykle są zabezpieczone

dwoma średniowiecznymi ryglami i zasuwą. Je także zostawię

otwarte. Wejdziecie do północnego transeptu i znajdziecie posąg

Gladstonea. Za nim, wpuszczone w filar, znajduje się wejście do

grobowca.

Że Kitty wzdrygnęła się.

–Klucz?

Coś małego i błyszczącego poleciało tuż przy niej i wylądowało obok torby.

**–Dobrze tego pilnuj – powiedział głos. – I pamiętajcie, żeby otulić się moją magią przed otwarciem grobowca, bo inaczej wszystkie te fortele na nic się nie zdadzą.**

**–Będziemy pamiętać – odparła dziewczyna.**

**–Dobrze.**

**Usłyszała, jak nieznajomy podnosi się z krzesła. Teraz głos dochodził z nad jej głowy, z bliska.**

**–To wszystko. Życzę powodzenia. Nie odwracaj się.**

**Dotyk ostrza na karku zelżał, jednak tak delikatnie, tak powoli, że Kitty ledwie spostrzegła, kiedy zniknął. Odczekała minutę, bez ruchu, z szeroko otwartymi oczyma.**

**Wreszcie straciła cierpliwość.**

**Odwróciła się jednym płynnym ruchem, trzymając w ręku nadstawiony nóż.**

**Łoża była pusta. A kiedy ostrożnie wyszła na cichy korytarz, mocno trzymając torbę, w pobliżu nie dostrzegła śladu innej osoby.**

## 26

**iedyś, dawno temu, na długo przed tym, jak do Londynu przybyli pierwsi magowie, kościół w Opactwie Westminsterskim stanowił ośrodek wielkiej władzy sprawowanej nad rozciągającym się kół miastem. Opactwo, wraz z przyległościami, całymi stuleciami wznoszone przez dynastię zapomnianych królów, zajmowało spory obszar i było domem uczonych mnichów. Odprawiali msze, studiowali księgi w bibliotece i pracowali na polach. Główny kościół wraz ze strzelistymi wieżami pnącymi się w jego zachodniej części i w centrum budynku, ponad główną świątynią, miał wysokość ponad trzydzieści metrów. Budowlę wzniesiono z mocnego, białego kamienia, który powoli tracił barwę za sprawą dymu i magii, nieodłącznych towarzyszy rozrastającego się miasta.**

**Mijały lata. Królowie stracili władzę, zastąpiły ich kolejne parlamenty, które zbierały się w Westminster Hall, nieopodal opactwa. Wpływy Kościoła z wolna się zmniejszały, podobnie jak liczba mnichów, dla których nastaly teraz ciężkie czasy. Większość z zewnętrznych budynków opactwa popadło w ruinę i tylko krużganki, cztery szerokie, zamknięte przejścia okalające trawnik, pozostały w dobrym stanie. Kiedy wraz z ostatnim parlamentem nastaly nowe władze – grupa potężnych magów, którzy mieli niewiele czasu na kultywowanie tradycji Kościoła – zdawało się, że starodawne budowle zmieniają się w ruiny.**

Ale ocalały, za sprawą kolejnej tradycji. Największych przywódców państwa, czy to królów, czy też ministrów, od dawna chowano właśnie w tym opactwie. Między kolumnami głównej nawy ściśnięte były niezliczone grobowce i pomniki, niżej zaś znajdowały się liczne krypty. Magowie, którzy za życia cieszyli się tak wielką chwałą, jak żadni inni władcy, postanowili kontynuować ten zwyczaj. Dla każdego z nich kwestią honoru stał się wieczny spoczynek wewnątrz kościoła.

Tych mnichów, którzy pozostali w opactwie, wypędzono. Sprowadzono kilku kapłanów, aby od czasu do czasu odprawiali msze. W ten sposób opactwo stało się jednym, wielkim cmentarzyskiem. Za dnia odwiedzało je niewielu plebejuszy, nocą zaś omijano to miejsce z daleka. Miało złą sławę. Dlatego też nie strzeżono go zbyt starannie. Niewielkie były zatem szanse, by kompania członków ruchu oporu spotkała jakichś strażników, kiedy dokładnie o jedenastej trzydzieści przybyła pod otwarte drzwi przybudówki wiodącej na krużganki i cicho wślizgnęła się do środka.

Kitty chciała odwiedzić opactwo za dnia, kiedy było otwarte, aby się rozejrzeć i popatrzeć na grobowiec Gladstonea. Ale pan Pennyfeather zabronił jej tego.

–Nie możemy wzbudzać żadnych podejrzeń – wyjaśnił.

Prawdę mówiąc, dziewczyna nie musiała się martwić o te sprawy. Hopkins, jak zwykle, przydał się także podczas tego długiego i nerwowego dnia. Wyciągnął liczne mapy opactwa i jego otoczenia. Pokazał im plan transeptu – gdzie znajdowała się większość grobów – oraz kryte krużganki, gdzie kiedyś zakonnicy siadywali, aby czytać lub przy złej pogodzie zajmowali się swoimi pracami. Obejrzeliby też rozkład pobliskich ulic, posterunków Nocnej Policji i szlaków kul strażniczych. Hopkins wskazał im drzwi, które mają być otwarte, i zasugerował, żeby – na wypadek spotkania z przypadkowym patrolem – schodzili się do opactwa pojedynczo. Hopkins naprawdę wszystko dokładnie zaplanował.

–Chciałbym mieć odporność, taką jak wy – powiedział ze smutkiem.

–Wtedy sam wziąłbym udział w tej wyprawie.

Pennyfeather nadzorował Stanleya, który majstrował coś przy skrzyni z bronią, wyjętej z piwnicy.

–No, no, Clem – zawołał. – Zrobiłeś wszystko, co mogłeś! Nam zostaw resztę. My tu jesteśmy specjalistami od kradzieży i włamań.

–Przepraszam – zapytała Kitty. – Pan też idzie?

Twarz starca zarumieniła się ze złości.

–Oczywiście! To będzie ukoronowanie całego mojego życia! Jak śmiesz sugerować coś innego! Myślisz, że jestem za słaby?

–Nie, nie, proszę pana. Oczywiście, że nie. – Dziewczyna znowu pochyliła się nad planami opactwa.

Tamtego dnia w sercach członków ruchu zagościła wielka nadzieja i niepewność. Wszyscy, nawet spokojna zazwyczaj Anne, byli bardzo spięci i drażliwi. Rankiem rozdzielono ekwipunek i teraz każdy w milczeniu przygotowywał się do wyprawy. Gdy Kitty wróciła z darami od nieznanego informatora, Pennyfeather i Hopkins zamknęli się w pokoiku na tyłach sklepu, aby przestudiować zaklęcia. Pozostali czaili się wśród farb i sztalug. Niewiele mówili. Anne przygotowywała kanapki na lunch.

Tego popołudnia Kitty, Fred, Stanley i Nick zeszli do piwnicy, aby poćwiczyć. Fred i Stanley na zmianę ciskali dyskami w podziurawioną belkę, zaś Nick i dziewczyna stoczyli udawaną walkę na noże. Kiedy skończyli, Hopkins i Pennyfeather wciąż jeszcze się naradzali. O piątej trzydzieści panowała już bardzo napięta atmosfera. Anne przyniosła na tacach herbatę i migdałowe ciastka. Godzinę później Pennyfeather nareszcie wyszedł z izby. Z wielkim namaszczeniem nalał zimnej herbaty

–Rozszyfrowaliśmy to zaklęcie – oznajmił. – Teraz naprawdę jesteśmy gotowi.

Uniósł naczynie, wznosząc toast.

–Za to co przyniesie dzisiejszy wieczór, cokolwiek to będzie!

Sprawiedliwość jest po naszej stronie. Bądźcie pewni siebie i czujni, moi przyjaciele. Jeśli pozostaniemy dzielni i nie zawahamy się, nasze życie już nigdy nie będzie takie samo!

Wypił i zdecydowanym ruchem, z brzękiem odstawił filiżankę na spodek. Zaczęła się ostatnia narada.

Kitty miała wejść do zabudowań opactwa jako druga. Jakąś minutę wcześniej wkroczyła tam Anne. Dziewczyna wpatrywała się w ciemność, słyszała oddech swojej towarzyszki gdzieś w

**pobliżu.**

**–Czy możemy zapalić jakieś światło? – zapytała.**

**–Małą latareczkę – odparła Anne. – Mam ją.**

Wąski strumień światła padł na mur przed nimi, a potem, przez chwilę, na twarz Kitty. Dziewczyna zamrugła i uniosła dłoń.

–Trzymaj ją nisko – powiedziała. – Nie wiemy, gdzie dokładnie są okna.

Anne przygarbiła się, pochyliła nad podłogą z kamiennych płyt i omiotła pomieszczenie światłem latarki. Padło na stosy puszek po farbie, łopaty, widły, błyszczącą nowiutką kosiarkę do trawy i mnóstwo innych narzędzi gospodarczych. Kitty zdjęła plecak, cisnęła go na podłogę przed sobą i zerknęła na zegarek.

–Pora na następnego.

Jak na zawołanie, gdzieś na zewnątrz, za drzwiami, rozległy się ciche szmery. Anne zgasiła latarkę. Obie przycupnęły w ciemnościach.

Drzwi otwarły się i zamknęły, towarzyszył temu odgłos ciężkiego oddechu. Na chwilę, do pomieszczenia wdarło się świeże powietrze. Niosło mocny zapach wody po goleniu.

Kitty odprężyla się.

–Cześć Fred – powiedziała.

W pięciominutowych odstępach zjawiała się reszta kompanii. Jako ostatni przybył sam pan Pennyfeather, zmęczony i bez tchu. Rzęzącym głosem zaczął wydawać polecenia.

–Frederick, Stanley! Zapalcie... latarnie! W tym pokoju... w tym pokoju nie ma okien. Nie mamy się czego obawiać.

Światło dwóch silnych lamp ukazało całą szóstkę spiskowców. Wszyscy mieli plecaki i byli ubrani na czarno. Pan Pennyfeather nawet pomalował na czarno swoją laskę, a jej końcówkę owinał kawałkiem sukna. Garbił się teraz, oparty na niej, i w skupieniu przyglądał członkom swej kompanii, jednemu po drugim.

–Bardzo dobrze – powiedział wreszcie. – Anno, proszę, rozdaj nakrycia głowy.

Kobieta wyjęła i dała im ciemne, wełniane kominiarki. Fred obejrzał swoją z niezadowoleniem.

–Nie lubię takich rzeczy – mruknął. – Drapią.



**Pan Pennyfeather niecierpliwie mlasnął językiem.**

**–Fredericku, tej nocy nie wystarczą nam uczernione twarze. To bardzo ważne. Załóż to. A teraz czas na ostatni przegląd. Potem krużganki.**

**A zatem, Nicholasie, masz pudełko z Płaszczem Hermesa?**

–Mam.

–A młotek, żeby je rozbić?

–Też.

–Fredericku, czy masz łom? Dobrze. A ten swój użyteczny zestaw noży? Znakomicie. Stanley – lina i kompas. Kitty – plaster, bandaże i maść. Dobrze. Ja mam klucz do grobowca. Co do broni, to powinniśmy mieć przynajmniej jednego moulera i kule żywiołów różnego rodzaju. Bardzo dobrze.

Milczał przez chwilę, łapiąc oddech.

–Jeszcze kilka rzeczy, zanim wyruszymy – powiedział. – Broni używamy tylko w ostateczności, jeśli ktoś nam przeszkodzi. Jeśli tak się nie stanie, mamy być subtelni. Niewidzialni. Jeżeli drzwi do opactwa będą zamknięte, wycofujemy się. W samym grobowcu bierzemy skarby, rozdzielę je między was. Wsadzacie je do plecaków i wracacie tą samą drogą, którą przybyliście. Spotkamy się w tym pomieszczeniu. Jeśli cokolwiek pójdzie nie tak, to przy pierwszej okazji starajcie się przedrzeć do naszej piwnicy. Omijajcie sklep. Jeżeli z jakiegoś powodu zostaną ranni, pan Hopkins powie wam, co dalej robić. Będzie jutro po południu czekał w kawiarni U Druida. Jakieś pytania? Nicholasiu, jeśli mógłbyś...

Na końcu przybudówki były drugie drzwi. Nick podszedł do nich cicho i popchnął je. Otworzyły się szeroko. Za nimi ujrzeli atramentowy mrok otwartej przestrzeni.

–Idziemy! – oznajmił Pennyfeather.

Weszli kolejno: Nick, za nim Kitty, potem Fred, Anne, Stanley i na samym końcu pan Pennyfeather.

Panowała cisza. Nietoperze mknęły między krużgankami niczym ruchome ziarenka na tle czarnego muru. Nieznaczne jaśniejsze plamy znaczyły miejsca, gdzie z prawej strony znajdowały się łukowato zwieńczone okna. Na niebie nie było księżycy, mogącego wskazać

drogę.

Obute w tenisówki stopy szurały po kamiennych płytach, szeleściły delikatnie, jak zeschnięte liście niesione wiatrem. Laska pana Pennyfeathera, owinięta kawałkiem sukna na końcu, cichutko stuknęła gdzieś z tyłu. Na przodzie zaś na długim łańcuchu chybotęła się osłonięta lampa Nicka. Jaśniała blisko ziemi, niczym błędny ognik. Trzymał ją nisko, poniżej poziomu parapetów, bo bał się, że ktoś ją dostrzeże.

Kitty, kiedy tak szli, liczyła kolejne mijane łuki. Po dziewiątym szarym kawale kamienia światło szybko skręciło w prawo, w następny kruzganek. Dziewczyna szła dalej, nie zwalniając kroku. Znowu liczyła łuki. Jeden, dwa... Plecak ciążył jej na łopatkach. Słyszała, jak przesuwają się jego zawartość. Miała nadzieję, że znajdujące się w środku kule starannie zabezpieczono miękkim sukniem. Cztery, pięć... Bezwiednie sprawdziła, czy pod ręką ma resztę swej broni: nóż przy pasie, dysk do rzucania w kurtce. Te rzeczy dawały jej większe poczucie bezpieczeństwa niż magiczne przedmioty. Nie naznaczyło ich dotknięcie demonów.

Sześć, siedem... Dotarli do krańca północnej części kruzganek. Światło lampy drgnęło i zwolniło. Kitty niemal wpadła na Nicka, ale zatrzymała się w ostatniej chwili. Za nią przez chwilę rozbrzmiewał jeszcze szmer kroków. Potem ucichł.

Wyczuła, że Nick odwraca głowę. Odezwał się, na wpół szepcząc:

–Drzwi do nawy głównej. Teraz się przekonamy.

Uniósł lampę i przecesał światłem to, co znajdowało się przed nim. Kitty przelotnie ujrzała stare, bardzo zniszczone drzwi, nabite wielkimi ćwiekami. Cienie tych guzów podskakiwały i kręciły się, gdy przesuwano się po nich blask łąkami. Potem światło nieco opadło. Ciemność, cisza, delikatne szuranie. Kitty czekała, a jej palce gładziły wisior w kieszeni. Wyobraziła sobie, że palce Nicka gładzą teraz ciemne słoje drewna i wbite w nie ćwieki; szukają olbrzymiej, metalowej zasuwki. Usłyszała delikatny dźwięk tarcia oraz tłumione odgłosy wysiłku – ciche westchnienia i przekleństwa Nicka, szelest jego ubrania. Najwyraźniej miał z czymś pr- No, dalej!

–Ciche szczęknięcie. Na kamiennych płytach rozlało się słabe światło. To chłopak postawił latarnię na podłodze i oburącz siłował się z zasuwką. Zaraz za sobą Kitty usłyszała Freda. Niemał szeptał jej do ucha. Spostrzegła, że sama z nerwów mocno zacisnęła zęby, tak aż rozboleła ją szczęka. Czyżby tajemniczy dobroczyńca zawiódł? Czy drzwi wciąż były zamknięte? Jeśli tak, to już po wszystkim. Tylko tędy mogli przejść, a tych drzwi nie mogli wysadzić. Nie wolno im było ryzykować żadnej ekCoś przemknęło obok dziewczyny. Po zapachu rozpoznała Freda.

–Pokaż. Przesuniemy to...

–Kolejne szurnięcie, kiedy Nick odsunął się na bok, potem szybkie obmacywanie drzwi, następnie chrząknięcie Freda. Głośny trzask i łomot, a po nim, od razu, pisk pordzewiałych zawiasów. W głosie Freda zabrzmiała satysfakcja.

–Myślałem, że to prawdziwy problem. A to nawet nie było zbyt zardzewiałe.

Wrócił na swe miejsce w rzędzie. Nie odzywając się już więcej, grupa przeszła przez drzwi i zamknęła je za sobą. Znaleźli się w nawie głównej Opactwa Westminsterkiego.

Nick poprawił osłonę na lampie, tak aby rzucała jak najmniejszy krąg światła. Oczekali kilka chwil, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. W kościele panował półmrok. Kitty stopniowo zaczęła dostrzegać widmowe cienie wielkich, łukowato zakończonych okien, znajdujących się w północnej ścianie nawy. Ich kontury, oświetlane od zewnątrz dalekim blaskiem, głównie pochodzącym od samochodów, stawały się coraz wyraźniejsze. Na witrażach przedstawiono różne postacie – ale poświata nie była na tyle silna, aby dokładnie im się przyjrzeć. Z odległych ulic nie dobiegał żaden dźwięk. Dziewczyna czuła się, jakby zamknięto ją w gigantycznym kokonie.

Tuż obok siebie Kitty dostrzegła kamienny filar, którego szczyt nikał gdzieś wśród mroków łukowego sklepienia. W równych odstępach, wzdłuż całej nawy wznosiły się inne, podobne kolumny, u podstaw otoczone plamkami czerni. Plamki te miały dziwne proporcje, było ich bardzo dużo.

Kiedy im się przyjrzała, poczuła, że ściskają w dołku – wszystkie okazały się pomnikami i nagrobkami.

Przytłumiony stukot łaski Pennyfeathera przesuwiał się coraz dalej, w głąb kościoła. Słowa starca, choć szeptane spod kominiarki, wzbudzały całe zastępy ech, które dryfowały tam i z powrotem, jęcząc pośród kamieni.

–Teraz szybko, za mną.

Ruszyli wzdłuż nawy głównej, pod niewidocznym sklepieniem, a wraz z nimi podążało światło lampy. Pierwszy szedł Pennyfeather, tak szybko, jak tylko mógł, reszta deptała mu po piętach. Stanley guzdrał się gdzieś z lewej. Kiedy mijali jakiś bezkształtny kłęb czerni, zaciekawiony uniósł

latarnię... i krzyknął ze strachu. Odskoczył. Chybocząca się lampa wszczęła wokół spiskowców taniec cieni. Echo krzyku wibrowało w uszach.

Pennyfeather odwrócił się gwałtownie. Nóż Kitty sam wsunął się jej do ręki. W dłoniach Freda i Nicka pojawiły się srebrne dyski.

–Co to? – syknęła dziewczyna, starając się zagłuszyć łomot swego serca.

Pośród ciemności rozległ się jękliwy głos:

–Zaraz obok nas... tam... duch...

–Duchów nie ma. Unieś latarnię.

Stanley, z wyraźnymi oporami, usłuchał. W drżącym świetle zobaczyli kamienny cokół z piskłębem we wnęce. Wedle jego boku biegł łuk, z którego wylaniał się rzeźbiony szkielet, odziany w całun, z włącznią w ręku.

–Och... – cichutko powiedział Stanley. – To rzeźba.

–Ty kretynie – wyszeptała Kitty. – To tylko czyjś grób. Głośniej się nie mogłeś wydrzeć?

–Chodźmy. – Pennyfeather już ruszył dalej. – Tracimy czas.

Kiedy opuścili nawę i minęli szeroki filar przy wejściu do północnego transeptu, ujrzeli jeszcze więcej nagrobków, poupychanych w nawach bocznych. Nick i Stanley unieśli lampy i świecili na grobowce. Gdzieś tutaj miał spoczywać Gladstone. Wiele posągów stanowiło podobizny zmarłych magów, naturalnych rozmiarów. Siedzieli w rzeźbionych fotelach i studiowali zwoje lub stali w heroicznym pozach, okryci długimi szatami. Ich blade twarze o ostrych rysach niewidzącym wzrokiem spoglądały na zbliżających się ludzi. Jeden z posągów, przedstawiający kobietę, trzymał klatkę z jakąś żalną żabą. Tylko tę osobę przedstawiono uśmiechniętą. Kitty, mimo swej stalowej woli, czuła niepokój. Im prędzej opuszczą to miejsce, tym lepiej.

–Tutaj – wyszeptał Pennyfeather.

Ujrzeli skromną rzeźbę z białego marmuru – mężczyznę stojącego na niskim, okrągłym podwyższeniu. Brwi miał zmarszczone, a na jego twarzy malował się wyraz surowego skupienia. Postać okrywała powłóczysta szata, a spod niej wyglądał staroświecki garnitur ze stojącym, wysokim kołnierzem. Mężczyzna trzymał dłonie przed sobą, luźno splecione. Na postumencie widniało tylko jedno słowo, głęboko wyryte w marmurze:

## GLADSTONE

Wydawało się, że sława tego nazwiska zaczarowała ich. Nie zbliżali się do posągu, stłoczeni w pewnej odległości od niego. Pan Pennyfeather odezwał się spokojnie:

–Mam w kieszeni klucz do grobowca. Wejście jest w tamtym filarze.

Takie małe drzwi z brązu. Kitty, Anne, macie najlepszy wzrok. Znajdźcie

drzwi i dziurkę od klucza. Zgodnie z... – Stłumił kasznięcie. – Zgodnie

z zapiskami, powinna być z lewej strony.

Kitty i Anne obeszły posąg, zbliżyły się do filaru. Anne skierowała blask kieszonkowej latarki na kamienie przed sobą. Ostrożnie stawiając kroki, okrążyły kolumnę, aż wreszcie w przyćmionym świetle błysnął metal.

Podeszły bliżej. Metalowa płyta była niewielka, miała tylko półtora metra wysokości, okazała się też wąska. Nie ujrzały na niej żadnych ozdób, wyjąwszy rząd niewielkich ćwieków wzdłuż krawędzi.

–Znalazłyśmy – wyszeptała Kitty. Widziała teraz malutką dziurkę w po

łowie wysokości drzwi, po lewej stronie. Anne zbliżyła do niej latarkę.

Okazało się, że tę dziurkę zasłaniają pajęczyny.

Pennyfeather przybył wraz z pozostałymi. Zgromadzili się obok filaru.

–Nicholasie – powiedział. – Przygotuj płaszcz.

Przez mniej więcej dwie minuty Kitty stała w ciemnościach i spokojnie oddychała poprzez wełniane włókna swojej kominiarki. Czekala, aż Nick się przygotuje. Od czasu do czasu stłumiony pomruk z zewnątrz oznajmiał im wszystkim, że gdzieś przez plac pod Parlamentem jedzie limuzyna. Poza tym było cicho. Jeśli nie liczyć pana Pennyfeathera, który tłumiał kaszel, zasłaniając usta rękawiczką.

Nick odchrząknął.

–Gotów.

W tej właśnie chwili usłyszeli pisk syren. Stawał się coraz głośniejszy. Złowrogo przekroczył

**Most Westminsterski i oddalił się gdzieś w noc. Potem umilkł. Wreszcie Pennyfeather skłonił się krótko.**

**–Teraz – powiedział – stójcie blisko siebie, inaczej Płaszcz was nie  
ochroni.**

**Ani Kitty, ani nikomu innemu nie trzeba było o tym przypominać. Stłoczyli się w nieregularnym kręgu. Zwróceni twarzami do wewnątrz, stykali się ramionami. Pośrodku stał Nick i trzymał zgrabną kasetkę z kości słoniowej. Drugą uniósł niewielki młotek. Pan Pennyfeather przytaknął.**



–Mam tutaj klucz. W chwili, gdy okryje nas Płaszcz, przekręcę go w zamku. Kiedy to się stanie, stójcie bez ruchu, niezależnie o tego, co się będzie dalej działo.

Nick uniósł młotek i z rozmachem opuścił go na pokrywę szkatułki z kości słoniowej. Pękła na dwoje. Rozległ się pojedynczy trzask, niczym wystrzał z pistoletu. W górę pomknął strumień żółtych drobinek, wirujących i błyszczących własnym światłem. Ta spirala dotarła mniej więcej na wysokość czterech metrów, a potem drobinę łukowato pomknęły na dół, jak woda z fontanny. Uderzyły o kamienną posadzkę i zniknęły w niej. Z pudełeczka ciągle jednak wydobywały się nowe drobinę, wznosiły się i spadały niczym strugi wodotrysku. Utworzyły słabo migoczące sklepienie, pod którym się teraz znaleźli.

Pan Pennyfeather trzymał małeńki, złoty kluczyk. Bardzo szybko wyciągnął go przed siebie, dbał, aby jego dłoń nie wyszła poza krawędź połyskującego Płaszcz – i wetknął go w zamek. Obrócił i wyciągnął, błyskawicznie, jak atakujący grzechotnik.

Małe drzwi z brązu bezgłośnie otworzyły się do wewnątrz. Za nimi ukazała się czarna przestrzeń, z której wyłoniła się błyszcząca zielenią kula. Unosiła się w powietrzu i zbliżała powoli. Kiedy dotarła do wejścia, nagle urosła, przy akompaniamencie odrażającego syku. Chwilę później w transepcie buchnęła chmura jaskrawej zieleni, niczym żywy płomień oświetlając wszystkie posągi i epitafia. Pomór objął wszystko dookoła i sięgnął do połowy wysokości murów. Towarzysze Pennyfeathera skulili się pod osłoną Płaszcz. Nic im nie groziło pod warunkiem, że nie wyjdą poza magiczną kopułę. Ale do ich nozdrzy dotarł tak ohydny, zgniły odór, że z trudem powstrzymywali się od wymiotów.

–Mam nadzieję – jęknął Pennyfeather, kiedy zielona chmura szalała po katedrze – że ten Płaszcz nie przestanie istnieć wcześniej niż Pomór. Bo jeśli nie... Bo jeśli nie, Stanley, to obawiam się, że następnymi szkieletami, jakie zobaczymy, będą nasze własne.

Pod Płaszczem było bardzo duszno. Kitty poczuła, jak zaczyna jej się kręcić w głowie. Zagryzła wargi i spróbowała wziąć się w garść. Gdyby teraz zemdlą, na pewno miałyby to fatalne następstwa.

Pomór nagle zniknął. Zielona chmura jakby się zapadła, wydawało się, iż nie mogąc znaleźć ofiary, musiała pochłonąć własną esencję. W jednej

chwili transept obłany był trupim blaskiem, a w następnej, całe to światło wessała próżnia. Wróciła ciemność.

Upłynęła minuta. Z nosa Kitty kapał pot. Nikt nawet nie drgnął.

Potem nagle pan Pennyfeather zaczął się śmiać. Był to piskliwy, niemal histeryczny śmiech. Kiedy dziewczyna go usłyszała, zrobiło jej się nieprzyjemnie. Rozbrzmiewała w nim radość, ale ocierająca się o szaleństwo. Kitty odruchowo i gwałtownie odsunęła się od starca. Wyszła spod płaszcza. Poczula mrowienie, kiedy przekraczała żółtą zasłonę, potem nic. Przez chwilę rozglądała się wokół, zanim wzięła głęboki od-de- No, grobowiec stoi otworem – stwierdziła.

*9iathanid*

## 27

bliział się wieczór. Właściciele kawiarenek na uliczkach wychodzących z rynku nareszcie się ruszyli. Zapalili latarnie, które wisiały na prętach wystających ponad drzwiami i zebrali drewniane sła, wystawione za dnia na chodniki. A nad węgliście czarnymi iglicami starego kościoła, gdzie spoczywał mój stary przyjaciel Tycho\*, zabrzmiało wieczorne bicie w dzwony, wtórował mu gwar czyniony przez prażan, wracających do domów.

Większość dnia chłopiec przesiedział nieopodal gospody, oparty ciężko o stół przykryty białym obrusem. Czytał tam czeskie gazety i tanie broszury. Gdyby uniósł wzrok, miałby piękny widok na rynek Starego Miasta,

\* Tycho Brane (1546- 1601) – mag, astronom i mistrz pojedynków, być może najznośniejszy z moich wszystkich panów. No, właściwie to jeden z najnieznośniejszych, jeśli spojrzeć na niego z punktu widzenia współczesnych mu osób. Tycho był porywczy, wdawał się w bójki i próbował kraść całusy żonom przyjaciół. Przez to właśnie, kiedyś przypadkiem stracił nos. Odciał mu go cios, zadany w trakcie pojedynku o kobietę. Sporządziłem mu piękną, złotą protezę, łącznie z delikatną szczoteczką do polerowania nozdrzy, czym zyskałem sobie jego przyjaźń. Od tego czasu przyzywał mnie głównie wtedy, kiedy miał ochotę na miłą pogawędkę.

na którym, kilkanaście metrów dalej, kończyła się uliczka. A gdyby spojrział w dół, zobaczyłby coś jeszcze lepszego – zbiór pustych filiżanek po kawie i talerzy usłanych skrawkami kiełbasek i okruchami precli, resztki jego popołudniowego posiłku.

Siedziałem przy tym samym stole co Nathaniel. Miałem na sobie duże, ciemne okulary i modny płaszcz, podobny do tego, jaki nosił mój pan. Dla lepszego efektu położyłem swój precel na talerzu i połamane na kilka kawałków, tak aby wyglądało, że od czasu do czasu go skubię. Ale, rzecz jasna, niczego nie jadłem ani nie piłem\*.

Rynek Starego Miasta był jedną z największych otwartych przestrzeni we wschodniej części Pragi, miejscem różnorodnym, pełnym jaskrawego bruku, przechodniów i straganów z kwiatami. Chmary ptaków leniwie szybowały sobie przed eleganckimi, pięciokondygnacyjnymi kamienicami. Z tysięcy kominów unosił się dym. Było tak uroczo, jak tylko mógłbym sobie życzyć, ale wcale nie czułem się odprężony.

–Przestajesz się wreszcie wiercić? – Chłopiec odłożył na stół czytana właśnie broszurę. – Nie mogę się skupić.

–Nie umiem się powstrzymać – odparłem. – Za bardzo nas tu widać.

–Spokojnie. Nic nam nie grozi. Ukradkiem rozejrzałem się wokół.

–Mów, co chcesz. Powinniśmy zostać w hotelu. Nathaniel potrząsnął głową.

–Chyba bym oszalał, gdybym musiał zostać w tej jamie choćby chwilę dłużej. Nie mogłem zasnąć, tyle kurzu było wszędzie. I całą noc kąsało mnie stado pluskiew. Za każdym razem, gdy kichnąłem, słyszałem, jak ze mnie spadają.

–Jeśli byłeś zakurzony, to trzeba się było wykapać.

Wydał się zakłopotany.

–Jakoś nie spodobała mi się tamta wanna. Wyglądała trochę na zbyt...

z głodniałą. Tak czy siak, Praga jest bezpiecznym miejscem. Prawie

\* Pożywienie śmiertelników zawsze utyka w naszej esencji. Jeśli już cokolwiek pożeramy – jak zwykli to określać ludzie – zasadniczo musi to być wciąż żywe, tak, aby jego żyjąca esencja pobudziła naszą własną. I to właśnie wynagradza nam trud wchłonięcia bezużytecznych

**kości i mięsa. O, przepraszam. Chyba nie obrzydziłem ci podwieczorku?**

w ogóle nie ma tu już magii. Nie zauważyłeś przecież niczego przez ten cały czas, kiedy tu siedzimy. Żadnego impa, dzina ani czaru. A jesteśmy przecież w samym środku miasta! Raczej nikt nie zobaczy, kim naprawdę jesteś. Uspokój się.

Wzruszyłem ramionami.

–Skoro tak mówisz. To nie ja będę ganiał dookoła murów, uciekając przed żołnierzami, dziabiącymi mnie pikami po gaciach.

Nie słuchał mnie. Uniósł broszurę i wrócił do lektury, marszcząc brwi. Ja zaś powróciłem do swego popołudniowego zajęcia, czyli regularnego przeglądania planów egzystencji.

Sęk w tym, że chłopiec miał absolutną rację – przez cały dzień nie zauważyliśmy niczego magicznego. Co nie znaczy, że nie spotkaliśmy przedstawicieli miejscowych władz. Pojawiło się kilku żołnierzy w ciemnoniebieskich mundurach, błyszczących, długich butach i wysokich, modnych czapkach\*. Raz nawet przystanęli obok stolika mojego pana i poprosili go o dokumenty. Chłopiec wyjął podrobiony dowód, a ja rzuciłem na nich Olśnienie, żeby zapomnieli o co właściwie im chodziło i poszli sobie. Nigdzie jednak nie dostrzegliśmy różnych czarodziejskich wynalazków, które w Londynie były na porządku dziennym: kul tropiących, diablików pod postacią gołębi i tak dalej... Wszystko wydawało się tu zupełnie niewinne.

Chociaż... Wyczuwałem jakąś silną magię, której źródło znajdowało się gdzieś w pobliżu. Z wigorem panoszyła się po wszystkich planach. Każdy z nich aż od niej drżał, szczególnie siódmy, na którym zazwyczaj pojawiają się rzeczy przynoszące kłopoty. Jednak nie była ona skierowana ku nam, jeszcze nie. Tak czy owak, niepokoiła mnie, tym bardziej że Nathaniel, jako człowiek, w dodatku młody i arogancki, nic nie czuł i nic nie robił, zachowując się niczym turysta. Ja zaś wolałbym nie pozostawać dłużej na widoku.

\* Tak się składa, że im piękniejszy mundur, tym słabsza armia. W złotej erze Pragi, jej żołnierze mieli skromne uniformy, prawie bez ozdób. Teraz, ku mojemu obrzydzeniu, wręcz przygniatał ich wyszukany strój. Tutaj puchate epolety, tam jakiś dodatkowy, mosiężny guziczek. Słysząc było, jak brzęczą na nich te kawałki metalu, niczym dzwonki na kocich obrózkach. Nocna Policja z Londynu bardzo się od nich różniła. Mundury jej funkcjonariuszy barwą przypominały ściek, ale to właśnie ich się bano.

–Powinniśmy się z nim spotkać w jakimś odludnym miejscu. – Nie dawałem za wygraną. – Tu się kręci za dużo ludzi.

Chłopiec parsknął.

–I znowu mam mu dać okazję, żeby się przebrał za ghula? Co to, to nie. Może założyć garnitur i krawat, tak jak wszyscy inni.

Zbliżała się szósta po południu. Nathaniel zapłacił nasz rachunek i pospiesznie wepchnął gazety i broszury do plecaka.

–No to idziemy do budki z hot dogami – oznajmił. – Tak jak wcześniej, trzymaj się z tyłu i broń mnie, jeśli coś się stanie.

–Dobra, szefie. Tym razem nie masz czerwonego piórka. Co powiesz na różowe albo jakąś wstążkę we włosach?

–Nie, dziękuję.

–Tylko się tak pytałem.

Wmieszaliśmy się w tłum. Oddaliłem się od chłopca i zbliżyłem do kamienic z boku, on zaś nadal zmierzał na środek rynku. Jako że ludzie wracający teraz do domów, z tego lub innego względu trzymali się raczej krawędzi placu, Nathaniel zdawał się nieco osamotniony. Patrzyłem, jak idzie. Spod jego stóp, z bruku, czmychnęło stadko wróbli i pomknęło ku dachom kamienic, hen, gdzieś wysoko. Przyjrzałem im się pospiesznie, ale nie dostrzegłem wśród ptaków żadnych ukrytych demonów. Na razie wszystko szło jak po maśle. Jakiś energiczny jegomość wjechał na rowerze z przyczepionym koksownikiem na środek rynku, w miejsce, z którego rozciągał się niezły widok na resztę placu z przyległościami. Zatrzymał się tam, rozpalil ogień w piecyku i zajął się smażeniem pikantnych kiełbasek dla głodnych prażan. Utworzyła się niewielka kolejka. Przyłączył się do niej też mój pan. Rozglądał się za Arlekinem.

Nonszalancko oparłem się o mur kamienicy. Spojrzałem na rynek. Nie podobał mi się. W zbyt wielu oknach odbijał się blask zachodzącego słońca. Nie sposób było dojrzeć, kto z za nich patrzy.

Wybiła, a potem minęła godzina szósta. Arlekin się nie zjawiał.

Kolejka po kiełbaski skróciła się. Nathaniel stał w niej jako ostatni. Przesunął się do przodu, zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu drobnych.

**Przyglądałem się przechodniom, nawet tym z dalekich zakątków rynku. Jakaś grupka stała i plotkowała pod ratuszem, jednak większość ludzi szła**

do swoich domów, wchodząc i wychodząc z ulic, które kończyły się na placu.

Jeśli Arlekin był gdzieś w pobliżu, to świetnie się ukrył.

Czułem się coraz bardziej nieswojo. Nadal nie dostrzegałem żadnej magii, ale nie znikало to drżenie na wszystkich planach.

Z przyzwyczajenia sprawdziłem wylot każdej z ulic. Było ich siedem... Przynajmniej jedna dobra rzecz – w razie potrzeby mieliśmy sporo dróg ucieczki.

Nathaniel był już drugi w kolejce. Przed sobą miał jeszcze małą dziewczynkę, która chciała dodatkowego keczupu.

Przez rynek podążał jakiś wysoki mężczyzna, ubrany w garnitur i kapelusz, niósł podniszczoną teczkę. Przyjrzałem mu się. Zdawał się być tego samego wzrostu, co Arlekin, ale nie byłem pewien.

Mój pan jeszcze go nie zauważył. Patrzył, jak dziewczynka dźwiga ogromnego hot doga.

Mężczyzna zbliżał się do Nathaniela, szedł szybko. Chyba za szybko. Może miał jakieś złe zamiary?

Ruszyłem przed siebie.

Nieznajomy minął chłopca, nawet nie obdarzywszy go spojrzeniem. Oddalił się prędkim krokiem.

Odprężyłem się. Może chłopiec miał rację. Byłem trochę zbyt nerwowy.

Teraz Nathaniel zamawiał hot doga. Wyglądało na to, że chciał od sprzedawcy dodatkowej kiszzonej kapusty.

Gdzie podziewał się Arlekin? Zegar na wieży ratusza pokazywał już dwanaście po szóstej. Było bardzo późno.

Wtedy usłyszałem coś jakby brzęk, daleko, gdzieś wśród przechodniów na skrajach placu – delikatny, rytmiczny, podobny do dzwonka z lapońskich sanek, którego dźwięk niesie się hen, po śniegu. Zdawał się dochodzić ze wszystkich stron naraz. Był mi znajomy, choć nieco inny od tego, co słyszałem do tej pory... Nie mogłem sobie przypomnieć.

Wtedy ujrzałem niebieskie plamki, przeciskające się między przechodniami, u wylotu każdej z siedmiu ulic. Wszystko zrozumiałem. Buty stukotały o bruk, światło słońca błyszczało na karabinach, a metalowe odznaki grzechotały na piersiach chyba połowy praskich wojsk, których



**żołnierze zmierzali w stronę rynku. Tłum cofał się, podniosły się alarmujące**

krzyki. Żołnierze zatrzymali się gwałtownie. Wylot każdej uliczki zablokowała teraz solidna linia zbrojnych. A ja już biegłem przez plac.

–Mandrake! – zawołałem. – Zapomnij o Arlekinie! Musimy się stąd wynosić.

Chłopiec odwrócił się. Trzymał hot doga. Dopiero teraz spostrzegł żołnierzy.

–Aha – powiedział. – Niepokojące.

–Aż za bardzo. A my nie możemy nawet uciekać po dachach. Tam też mają sporą przewagę liczebną.

Nathaniel spojrział ku górze i jego oczom ukazało się kilka tuzinów diablików, które najwyraźniej dopiero co wdrapały się na kamienice po drugiej stronie rynku i teraz już przycupnęły na szczytach i kominach wszystkich domów wokół placu. Gapiły się na nas, obelżywie wymachując ogonami.

Sprzedawca hot dogów też spostrzegł wojskowy kordon. Z okrzykiem przestrachu wsiadł na rower i popędził po bruku, rozrzucając za sobą kiełbaski, kiszoną kapustę i syczące, czerwone węgle.

–To tylko ludzie – stwierdził chłopiec. – To przecież nie Londyn, prawda? Dalej, przebijemy się przez nich.

Biegliśmy ku najbliższej uliczce. Była nią Karlova.

–Myślałem, że nie chcesz, żebym używał przemocy albo obnosił się z magią? – zapytałem.

–Dosyć już tych uprzejmości. Jeśli nasi czescy przyjaciele zaczną coś robić, możemy... Och.

Ciągle jeszcze widzieliśmy rowerzystę. Jakby oszalały ze strachu, nieświadomy tego, co robi, przejechał dwie rundki wokół placu, a potem nagle, z pochyloną głową, pedałowując ile sił w nogach, zrobił coś zupełnie innego – ruszył przed siebie i zaszarżował prosto na linię żołnierzy. Jeden z nich uniósł karabin, zagrzmiął wystrzał. Rowerzysta szarpnął się, głowa opadła mu na bok, stopy ześlizgnęły się z pedałów, zaczęły podskakiwać i trzeć o ziemię. Rozpędzony rower mknął przed siebie, z rozbitym i objającym się za nim koksownikiem, aż wreszcie uderzył w linię żołnierzy i rozerwał ją. Na zbrojnych upadło ciało, kiełbaski, gorące węgle i zimna kapusta.

Mój mistrz zatrzymał się. Dyszał ciężko.

**–Potrzebuję Tarczy – powiedział. – Teraz.**

**–Jak sobie życzysz.**

Uniosłem palec i osłoniłem nas obu czarem. Zawisła Tarcza. Iśniąca, widoczna na drugim planie, nierówna podobna do kartofla sfera, która przesuwała się wraz z nami.

–Teraz – gwałtownie poleciał chłopiec. – Detonacja. Przebijemy sobie drogę.

Spojrzałem na niego:

–Jesteś pewien? Ci ludzie to nie dżiny.

–Tak, po prostu jakoś ich odepchnij. Nieco ich pokiereszuj. Nie dbam o to, póki nic nam się nie...

Jakiś żołnierz wydobył się wreszcie z galimatiasu poplątanych kończyn, szybko wycelował, strzelił. Pocisk ze świstem przeleciał trzydzieści metrów, uderzył prosto w Tarczę i przebił ją, potem musnął Nathanielowi włosy na czubku głowy.

Chłopiec spojrzał na mnie ze wściekłością.

–Co to ma być za Tarcza?

Zrobiłem zdziwioną minę.

–Strzelają srebrnymi kulami\*. Żaden czar nas nie ochroni. Chodź...

Odwróciłem się, złapałem go za kark i nie przerywając ruchu, dokonałem niezbędnej przemiany. Szczupła, piękna postać Ptolemeusza zrobiła się bardziej kanciasta. Skóra stała się kamieniem, a ciemne włosy zielonym mchem. Żołnierze ujrzeli teraz na placu ciemnego gargulca na krzywych nogach, który, krocząc ciężko, szybko się od nich oddalał. Za sobą stwór ciągnął wściekłego wyrostka.

–Gdzie ty leziesz – protestował chłopiec. – Spadamy stąd! Gargulec zgrzytnął swym rogatym dziobem.

–Cicho. Myślę.

I bez niego ciężko było mi się zastanawiać w tym całym rozgardiaszu. Pobiegłem z powrotem na środek rynku. Ze wszystkich uliczek powoli wylaniali się żołnierze. Karabiny mieli gotowe do strzału, ich buty dudniły o bruk, insygnia brzęczały. Wysoko, na dachach, diabliki trajkotały

\* Srebro nie tylko jest bardzo trujące dla naszej esencji, ale potrafi też przebić się przez większość naszych magicznych barier, niczym gorący nóż przez masło. Choć w Pradze magia

**bardzo podupadła, wyglądało na to, że w mieście nie zapomnieli jeszcze wszystkich starych sztuczek. Ale kiedyś srebrnych kul raczej nie używano przeciwko dżinom – zwykle strzelano z nich do bardziej kudłatego nieprzyjaciela.**

w podnieceniu i przesunęły się do przodu, w dół stromizny dachu. Ich pazury grzechotały o dachówki niczym tysiące owadów. Gargulec zwolnił, zatrzymał się. Obok nas śmignęło kilka kul. Jeśli dalej trzymałbym tak Nathaniela, to mogli go łatwo trafić. Przerzuciłem go więc przed siebie i osłoniłem kamiennymi skrzydłami, chowając przed pociskami. A przy okazji, udało mi się także zagłuszyć jego marudzenie.

Jakiś srebrny pocisk odbił się ode mnie. Ukąsił mi esencję swym trującym dotykiem.

Byliśmy otoczeni ze wszystkich stron. Srebro śmigające na poziomie ulic, diabliki na dachach. Zostało mi tylko jedna droga pośrodku.

Na krótko cofnąłem skrzydło, uniosłem chłopca, tak aby mógł zerknąć na rynek.

–Spójrz – powiedziałem. – Jak myślisz, która kamienica ma najcieńsze mury?

Przez chwilę nie za bardzo pojmowałem, o co chodzi, a potem wybałuszył oczy. – Ty chyba nie...

–Tamta? Z różowymi okiennicami? Tak, może masz rację. No, zoba czymy...

I ruszyliśmy, pędząc w deszczu pocisków. Leciałem dziobem do przodu, ze zmrużonymi oczyma. Chłopiec, zdyszany, próbował jednocześnie skulić się w kłębek i zasłaniać rękoma głowę przed kulami. Gargulce mogą rozwinąć całkiem niezłą prędkość, pod warunkiem, że machają skrzydłami w trakcie biegu. Muszę z zadowoleniem stwierdzić, że gdy tak pędziliśmy, to aż dymiło za nami na kamieniach.

Może pokrótce opiszę cel, do którego zmierzałem. Był to dosyć ciekawy, czterokondygnacyjny budynek, kwadratowy, szeroki i ozdobiony u podstawy wysokimi łukami – tam znajdowały się arkady ze sklepami. Za nim wyrastały ponure iglice kościoła\*. Właściciel kamienicy chyba

\* Niemal słyszałem, jak stary Tycho mnie popędza. Uwielbiał ryzyko. Kiedyś założył się ze mną o moją wolność, że pewnego, określonego przezeń dnia nie zdołam jednym susem przeskoczyć Wełtawy. Gdybym wygrał, mógłbym sobie zażyczyć, czego chciałem. Oczywiście ten szczywany lis odpowiednio wcześniej wyliczył sobie datę wiosennego przypływu. Wyznaczonego dnia rzeka wystąpiła z brzegów i zalała znacznie większy obszar, niż zajmowała normalnie. Wylądowałem kopytami w wodzie, ku okrutnej uciechu mojego mistrza. Tak się śmiał, że aż odpadł mu nos.

uwielbiał róż. Wszystkie okna miały podwójne okiennice, które niedawno przemalowano na śliczny, różowutki kolor. Pod każdym oknem tkwiły długie, płytkie donice, aż po brzegi wypełnione biało-różowymi pelargoniami. Ujrzałem też schludne firanki z falbankami. Wszystko piękniutkie, wyszukane. Co prawda, w okiennicach nie było otworów w kształcie serduszek, ale niewiele już do tego brakowało.

Żołnierze z dwóch sąsiednich uliczek biegli, zamierzając nas odciąć.

Diabliki zjeżdżały w dół po rynnach i skakały z dachów, czyniąc z błon pod swymi ramionami coś w rodzaju spadochronów.

Po głębszym namyśle doszedłem do wniosku, że druga kondygnacja to dobry cel, tak w połowie drogi między wrogami.

Pobiegłem, skoczyłem, a moje skrzydła zaskrzypiały i załopotały. Dwutonowy gargulec dumnie wzbil się w powietrze. Na nasze spotkanie pomknęły dwa pociski. Przed nami zaś opadł niewielki diablak, który wyrwał się przed swoich towarzyszy. Kule wystrzelono z obu stron, zaś diablak spotkał się z moją kamienną pięścią, która zmieniła go w coś bardzo płaskiego i okrągłego. Tak jakby rozdeptaną szarlotkę.

Dwie tony gargulca walnęły w okno na drugim piętrze.

Tarcza wciąż jeszcze się trzymała. Dlatego chłopiec i ja byliśmy osłonięci przed większością szkła i drewna, cegieł oraz tynku, których fontanny eksplodowały wszędzie wokół. To oczywiście nie powstrzymało Nathaniela od wrzeszczenia w niebogłosy. Ten krzyk zresztą całkiem przypominał odgłos, który wydała jakaś kąpiąca się starsza pani, gdy obok niej przelecieliśmy. Po łazience, przed oczyma mignęła mi jeszcze pretensjonalnie urządzona sypialnia. Było w niej zdecydowanie zbyt wiele koronek. A potem już zniknęliśmy z życia tej damy, zgrabnie wylatując przeciwległą ścianą.

Spadaliśmy w dół, ku chłodnym cieniom ulicy, w ceglanym obłoku, poprzez płataninę bielizny, którą jakieś bezmyślne indywiduum zawiesiło na sznurze pod oknem. Lądowaliśmy twardo, gargulec większość impetu przyjął na swoje szare, kamienne nogi. Chłopiec wypadł mi z objęć i potoczył się do rynsztoka.

Ciężko podniosłem się na nogi, Nathaniel również. Wrzaski za nami były teraz przytłumione, ale żołnierze i diablaki mogli zjawić się tu lada chwila. Niewielka uliczka prowadziła nas w sam środek Starego Miasta. Ruszyliśmy nią bez słowa.

Pół godziny później, siedzieliśmy już skuleni w cienistych zaroślach jakiegoś dziczalego ogrodu i łapaliśmy oddech. Od dłuższego czasu nie słyszeliśmy odgłosów pogoni. Dawno już powróciłem do bardziej dyskretnej postaci Ptolemeusza.

–A zatem – powiedziałem – to tyle, jeśli chodzi o nie zwracanie na siebie uwagi. Co robimy?

Chłopiec milczał. Spoglądał na coś, co mocno ścisnął w dłoniach.

–Proponuję zapomnieć o Arlekinie – rzekłem. – Jeśli ma odrobinę rozumu, po tym wszystkim wyemigruje na Bermudy. Nigdy go już nie wytropisz.

–Nie muszę – odparł mój pan. – Poza tym, to nic nie da. On nie żyje.

–Ee? – Moją słynną elokwencję wystawiano ostatnio na ciężkie próby. Właśnie w tej chwili dostrzegłem, że chłopiec wciąż jeszcze trzyma swojego hot doga. Po całej przygodzie wyglądał nieco żałośnie. Kiszona kapusta w większości okryta była miałką powłoką z tynku, drzazg, stłuczonego szkła i płatków kwiatów. Nathaniel wpatrywał się w kielbaskę.

–No, wiem, że jesteś głodny – powiedziałem. – Ale to już się nie nadaje do jedzenia. Znajdę ci jakiegoś hamburgera czy coś w tym stylu.

Chłopiec potrząsnął głową. Zakurzonymi palcami odsunął bułkę.

–Oto – powiedział wolno – co obiecał nam Arlekin. Nasz następny ontakt w Pradze.

–Parówka.

–Nie, głupku. To... – Z głębin swego hot doga wydobyl kawałeczek kartki, nieco pogięty i umazany keczupem. – Tym sprzedawcą hot dogów był właśnie Arlekin – mówił dalej. – To było jego przebranie. A teraz zginął za kraj. Musimy do pomścić, to będzie częścią naszej misji. Ale w pierw powinniśmy znaleźć tego czarodzieja.

Rozłożył kartkę. Były na niej nabazgrane tylko cztery słowa:

*Kavka*

*Złota Uliczka 13*



u mojej wielkiej uldze, chłopiec chyba nauczył się czegoś po tym, jak ledwie uszliśmy cało z rynku Starego Miasta. Nie był już beztroskim, angielskim turystą. Za to przez resztę tego ciemnego, nieprzyjemnego wieczoru pozwolił, abym prowadził go przez praski labirynt zaniedbanych uliczek, i to w odpowiedni sposób – była to cicha, ostrożna wędrówka dwóch szpiegów poprzez kraj nieprzyjaciela. Zmierzaaliśmy na północ, niezwykle ostrożnie. Schowani pod Ukryciem, unikaliśmy pieszych patroli, które rozesłano z rynku. Od czasu do czasu wchodziliśmy do opuszczonych budynków, gdzie kuliliśmy się, póki żołnierze nie przeszli dalej. Pomagała nam ciemność oraz brak magicznego pościgu. Tylko kilka diablików pałętało się po dachach i wysyłało poszukiwawcze impulsy, ale łatwo je zmyliłem i pozostałem niewykryty. I to wszystko. Nie wypuścili na nas półafrytów ani dzinów. Praskie władze opierały się głównie na swych mało spostrzegawczych żołnierzach, a ja z tego korzystałem. Mniej niż godzinę po tym, jak zaczęliśmy naszą ucieczkę, przekroczyliśmy Wełtawę, ukryci na przyczepie ciężarówki z warzywami, i ruszyliśmy pieszo poprzez ogrody, w stronę zamku.

W złotym wieku Cesarstwa niskie wzgórze, na którym stał zamek, po zmierzchu zawsze oświetlały tysiące latarni. Zależnie od kaprysu władcy, zmieniały kolory, a od czasu do czasu także swe ustawienie i rzucały wielobarwne światło na drzewa oraz kamienice przyległe do zboczy wzniesienia\*. Teraz jednak lampy były porozbijane, a słupy zardzewiały. Wyjąwszy kilka słabych, pomarańczowych plamek okien, wzgórze zamkowe pozostawało ciemne, otulone nocą.

\* W każdej latarni znajdowała się szklana kula, w której siedział zirytowany imp. Mistrz Lamp, jeden z nadwornych magów, dziedzicznie piastujący ten urząd, co wieczór samotnie przechadzał się po zboczach wzgórza i pouczał uwięzione demony, jakimi barwami i jak intensywnie mają świecić tej nocy. Za sprawą subtelnych ustawień każdej latarni dawało się osiągnąć delikatne lub spektakularne odcienie. Zawsze jednak odpowiadały nastrojom, jakie właśnie panowały na dworze.

Dotarliśmy wreszcie do podstawy stromych schodów o brukowanych stopniach. Nad nami wznosiła się Złota Uliczka – na samym krańcu chłodnej, czarnej bryły wzgórza spostrzegłem jej światła, błyszczały wysoko, gdzieś pod gwiazdami. Obok podstawy stopni wznosił się niewysoki murek, za nim był stos odpadków. Zostawiłem tam Nathaniela, aby się zaczął, a ja, pod postacią nietoperza, pofrunąłem w górę.

Wschodnie schody zmieniły się nieco od tamtego odległego już dnia, gdy śmierć mego pana zwolniła mnie ze służby. Nie miałem co liczyć na to, że i teraz nagle wyskoczy jakiś afryt i złapie Nathaniela. Jedynymi istotami, których obecność wyczuwałem, były tłuste sowy, ukryte w dziuplach ciemnych drzew, rosnących po obu stronach drogi. Sprawdziłem dokładnie – to na pewno były sowy, nawet na siódmym planie egzystencji.

Daleko za rzeką wciąż jeszcze trwało polowanie. Słyszałem gwizdki żołnierzy. Piszczaly smutno i daremnie, a ten dźwięk mile drażnił moją esencję. Dlaczego? Bo właśnie Bartimaeus okazał się dla nich za szybki, ot co. Bo dżin, którego pragnęli schwytać, był już daleko i mknął z łopotem skrzydeł nad pięćdziesięcioma sześcioma stopniami, które prowadziły w górę zamkowego wzgórza. No i dlatego, że gdzieś przede mną, w nocnej ciszy znajdowało się to źródło czarodziejskiego niepokoju, którego drgania wyczuwałem na każdym planie – dziwnej, niemożliwej do określenia aktywności magii. Robiło się ciekawie.

Nietoperz minął sypiącą się starą Czarną Wieżę – niegdyś siedzibę Gwardii, teraz dom tuzina śpiących kruków. Za nią znajdował się mój cel. Uliczka, wąska i skromna, obramowana murami małych domków -wąskich, z brudnymi kominami, niewielkimi okienkami, o spękany tynku i gładkich, drewnianych drzwiach, które wychodziły prosto na bruk. To miejsce zawsze tak wyglądało, nawet za dobrych czasów. Złotą Uliczką rządziły inne prawa.

Pochylone dachy były już nie do naprawienia, stały się zbieraniną powykrzywianych ram i luźnych dachówek. Usadawiłem się na samym krańcu wysuniętego drewnianego żebra kamieniczki i przyglądałem się ulicy. Za czasów Rudolfa, najbardziej chciwego spośród cesarzy, Złota Uliczka stanowiła ośrodek wielkich, magicznych starań, które za cel miały ni mniej, ni więcej, jak stworzenie Kamienia Filozoficznego\*. W każdym

domu mieszkał inny alchemik i kiedyś te malutkie kamieniczki aż tętniły życiem\*\*. Nawet kiedy zrezygnowano już z poszukiwań, ulica pozostała domem zagranicznych czarodziejów, pracujących dla Czechów. Rząd starał się trzymać ich blisko zamku, aby mieć ich na oku. I tak już zostało, aż do tamtej krwawej nocy, kiedy wojska Gladstonea zdobyły miasto.

Teraz nie mieszkali tu już żadni zagraniczni magowie. Budynki były mniejsze niż dawniej, stłoczone niczym mewy na cyplu. Wyczuwałem starą magię, nadal sącząca się z kamieni, ale niewiele odkryłem nowego. Z wyjątkiem... Delikatne drzenie na planach egzystencji stało się teraz silniejsze, jego źródło bliższe. Nietoperz rozejrzał się ostrożnie. I cóż zobaczył? Psa, który grzebał w dziurze u stóp starego muru. Światło w oknie zasłoniętym cienką firanką. Za nim, starca garbiącego się przy ogniu. Jakąś dziewczynę, która oblana blaskiem latarni, szła na wysokich obcasach, stawiając stopy uważnie na bruku. Może zmierzała do zamku?

Były

\* Bajkowy kamyk, któremu przypisywano zdolność przemiany zwykłych metali w

złoto lub srebro. Jego istnienie to, rzecz jasna, wierutna bzdura, czego można się dowiedzieć, pytając pierwszego z brzegu impa. My, dżiny, potrafimy zmienić wygląd różnych rzeczy, rzucając na nie Urok albo Iluzję. Jednak permanentna zmiana prawdziwej natury czegokolwiek jest niemożliwa. Ale ludzie nigdy nie słuchają tego, co im się nie podoba, i tak niezliczone żywoty zmarnotrawiono na tych jałowych poszukiwaniach.

\*\* Czarodzieje przybywali ze wszystkich zakątków znanego świata – z Hiszpanii, Brytanii, zaśnieżonej Rosji, rubieży indyjskich pustyń. Wszyscy mieli nadzieję, że zyskają bezcenną nagrodę. Każdy był mistrzem w setkach specjalności oraz dręczycielem mnóstwa dżinów. Każdy również przez lata zmuszał swych niewolników do wspierania swoich wielkich poszukiwań i ostatecznie ponosił całkowitą klęskę. Im wszystkim, jednemu po drugim, siwiały w końcu brody, ich ręce stawały się słabe i coraz sztywniejsze, szaty blakły od nieustannych przyzwań i eksperymentów. Ci, którzy chcieli się wymknąć, spotykali żołnierzy czekających już na schodach pałacu. Inni, próbując magicznej ucieczki, odkrywali mocną sieć czarów, rozpiętą wokół zamku, która odcinała im drogę. Nie mogli zbiec. Wielu kończyło w lochach. Inni odbierali sobie życie. Dla nas, dżinów, była to wielce pouczająca lekcja, naszych porywaczy zniewoliły jednak ich własne ambicje.

jeszcze ciemne okna, zamknięte okiennice, dziury w dachach i zniszczone kominki. Śmieci przenoszone wiatrem. Ogólnie, przygnębiający widok.

Pod numerem trzynastym, w połowie ulicy, stał domek, niczym się niewyróżniający, ponury i przepelnięty melancholią tak jak pozostałe kamieniczki. Jednak na szóstym planie egzystencji otaczała go jaśniejąca, zielona siatka mocy. Ktoś był w środku i ten ktoś nie chciał, aby mu przeszkadzano.

Nietoperz robił szybkie wypadki w górę, a potem w dół uliczki, ostrożnie unikając sieci, tam gdzie łukiem przecinała powietrze. Reszta Złotej Uliczki była ciemna i cicha, przepelnięta spokojem wieczoru. Prędko zanurkowałem i powróciłem w dół wzgórza, aby nieco rozruszać swojego pana.

–Znalazłem to miejsce – oznajmiłem. – Słabe zabezpieczenia, chyba

zdołamy tam wejść. Szybko, póki nikogo nie ma w okolicy

Powinienem wspomnieć o tym już wcześniej, że kiedy przychodzi co do czego, ludzie często okazują się, mówiąc wprost, beznadziejni. Chociażby ten chłopiec, któremu wspięcie się po marnych dwustu pięćdziesięciu sześciu stopniach zajęło aż tyle czasu. Jakże on dyszał, ile razy robił nieuzasadnione przerwy dla nabrania oddechu, a jaką barwę przybrała jego twarz... Chyba jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziałem.

–Szkoda, że nie wzięliśmy jakiejś papierowej torebki albo czegoś w tym rodzaju – powiedziałem. – Twoja twarz tak błyszczy, że pewnie widać ją po drugiej stronie Wełtawy. Daj że spokój, to nie jest wysokie wzgórze.

–Co... Co... są ... są tutaj zabezpieczenia? – potrafił myśleć tylko o swoim zadaniu.

–Słaba sieć – odparłem. – Żaden problem. Czy ty się w ogóle nie gimnastykowałeś?

–Nie. Nie było czasu. Za dużo zajęć.

–Oczywiście. Teraz przecież jesteś ważniakiem. Byłbym zapomniał.

Mniej więcej po dziesięciu minutach dotarliśmy do zrujnowanej wieży

i tam znowu stałem się Ptolemeuszem. W owym przebraniu zaprowadziłem chłopca do miejsca, gdzie niewielka stromizna dotykała ulicy. Tam, wraz z moim panem, który cicho dyszał i rzeźił oparty o ścianę, spojrzeliśmy na nędzne domostwa Złotej Uliczki.

–Przerazający stan – stwierdziłem.

–Tak. Powinni... je wyburzyć... i zbudować wszystko na nowo.

–Mówiłem o twojej kondycji.

–Który... który to jest?

–Numer trzynaście? Trzeci po prawej. Front otynkowany na biało. Kiedy przestaniesz już zdychać, zobaczymy, co da się zrobić.

Ostrożny spacer poprzez cienie ulicy doprowadził nas na odległość ledwie kilku metrów od kamieniczki. Mój mistrz ruszył ku drzwiom wejściowym. Wyciągnąłem ramię.

–Zostań tutaj. Sieć jest tuż przed tobą. Przesuniesz się o włos do przodu

i o nią zahaczysz.

Zatrzymał się.

–Myślisz, że dasz radę tam wejść?

–Ja to, chłopcze, wiem. Robiłem już takie rzeczy, kiedy Babilon to było jeszcze tylko kilka pasterskich chałupin. Stój, patrz i ucz się.

Przyspieszyłem kroku i ruszyłem do wątlej, jaśniejącej sieci włókien, które zagradzały nam drogę. Nisko pochyliłem głowę. Wybrałem niewielki otwór pomiędzy włóknami, delikatnie tam dmuchnąłem. Przez otwór przeszedł niewielki obłoczek Oddechu Posłuszeństwa\* i zawisł wewnątrz. Ani nie prześlizgiwał się dalej, ani nie cofał. Był zbyt lekki, żeby uruchomić alarm. Dalej poszło już łatwo. Powoli, łagodnie rozszerzyłem obłoczek. On, w miarę jak rósł, wywazał włókienka. W ciągu kilku minut w sieci powstał duży, okrągły utwór, niezbyt wysoko nad ziemią. Przemodelowałem Oddech w kształt obręczy i nonszalancko przez nią pr- Teraz – oznajmiłem. – Twoja kolej.

Chłopiec zmarszczył brwi.

–No i co? Ja wciąż nic nie widzę.

Nieco rozdrażniony, przekształciłem Oddech, aby stał się widoczny na drugim planie egzystencji.

–Zadowolony? – spytałem. – Teraz musisz tylko ostrożnie przejść przez

obręcz.

**Uczynił to, ale wciąż nie wyglądał, jakby zrobiło to na nim jakiekolwiek wrażenie.**

**\* Rodzaj czarodziejskiej sztuczki, czynionej przez połączenie wydychania powietrza z ust i magicznego znaku. Nie ma najmniejszego związku z Wiatrem Odrazy, który powstaje zresztą w zupełnie inny sposób.**

–Uch – powiedział. – Mogłeś to zrobić tak, żebym wszystko widział.

–To nie moja wina, że ludzie są tacy ślepi – rzuciłem. – Znowu skorzystałeś z dobrodziejstw mojej wiedzy. Masz pięć tysięcy lat doświadczenia na swoje usługi i nawet mi nie podziękujesz. Świetnie. Jeśli nie wierzysz, że tu jest sieć, to z przyjemnością ją dla ciebie uruchomię. Wnet zobaczysz, jak z domu wybiega czarodziej Kavka.

–Nie, nie – odparł pośpiesznie. – Wierzę ci.

–Ale na pewno? – mój palec powędrował ku jaśniejącym liniom.

–Tak! Uspokój się. Teraz wkradniemy się przez okno i schwytemy go zniemacka.

–Dobrze. Ty przodem.

Niechętnie ruszył pierwszy, prosto na linie kolejnej sieci, której już niestety nie zauważyłem\*. Rozległ się głośny ryk syreny, jakby złożony z tuzina dzwonów i dźwięczących budzików. Hałas trwał kilka sekund. Nathaniel spojrział na mnie, a ja na niego. Zanim którykolwiek z nas zareagował, hałas ucichł, a zza drzwi domku dobiegło stukanie. Otworzyły się i wypadł z nich wysoki mężczyzna o dzikim spojrzeniu w mycce na głowie\*\*. Wrzeszczał ze złością.

–Mówiłem przecież! Jeszcze za wcześnie! Nie będę gotowy przed świtem! Nie możesz zostawić mnie w spo...? – Dopiero teraz nas zauważył. – Co, do diabła?

–Blisko – powiedziałem. – Choć akurat czy do diabła, to zależy tylko od twojego punktu widzenia.

Skoczyłem przed siebie i przewróciłem go na ziemię. W jednej chwili ręce starca znalazły się za plecami, zgrabnie skrępowane paskiem jego własnego szlafroka\*\*\*. Miało to zapobiec różnym szybkim gestom, którymi mógłby przyzwać sobie coś na pomoc\*\*\*\*. Usta zakneblowałem mu kawałkiem koszuli Nathaniela, na wypadek, gdyby chciał wymówić

\* Była bardzo subtelna. Widoczna tylko na siódmym planie, miała najcieńsze z cieniutkich niteczek. Każdy by ją przeoczył.

\*\* Nie tylko w mycce. Miał też inne części ubrania. Tak tylko mówię, na wszelki wypadek, żebyś się za bardzo nie zdziwił. Później zajmę się szczegółami. Teraz szybkość narracji mi na to nie pozwala.

\*\*\* Widzisz. Miał szlafrok. I piżamę też. Bardzo odpowiednie ubranie. \*\*\*\* A także gestom obelżywym, mogącym przerazić dziecko.

zakłęcie. Uczyniwszy to wszystko, podniosłem go na nogi i wepchnąłem jeńca do kamienicy. Wszystko stało się, nim mój pan zdołał w ogóle ruszyć wargami, aby wydać jakiś rozkaz. Właśnie tak szybkie bywają dżiny, kiedy naprawdę trzeba.

–Popatrz na to – oznajmiłem z dumą. – Bez żadnej niepotrzebnej prze-  
mocy.

Mój mistrz zamrugął.

–Zniszczyłeś mi koszulę – powiedział. – Rozdarłeś ją na pół.

–Szkoda – odparłem. – Teraz zamknij drzwi. Możemy porozmawiać o tym w środku?

Gdy to zrobił, mogliśmy się rozejrzeć. Dom Kavki najlepiej opisałyby słowa „ubogo jak u uczonego”. Całą podłogę i każdy mebel przykrywały książki oraz porzrzucone manuskrypty. Miejscami sterty były bardzo wysokie. Księgi z kolei przykrywała cienka warstwa kurzu, porzrzucone ołówki i pióra, a także liczne ciemne i cuchnące przedmioty, które miały obrzydliwy wygląd resztek posiłków maga sprzed miesiąca czy dwóch. Pod tym wszystkim były jeszcze duży stół, krzesło, skórzana sofa, a w rogu, prymitywny, prostokątny zlew z jednym kranem. Nawet tam zawędrowało kilka zbłąkanych pergaminów.

Wyglądało na to, że owo jedno pomieszczenie zajmuje całą dolną kondygnację domku. Okno z tyłu izby wychodziło na zbocze wzgórza, dostrzegłem za nim światła rozciągającego się poniżej miasta, które mdło przesączały się przez szyby. W suficie znajdował się otwór, zapewne wejście do sypialni, do którego prowadziła drewniana drabina. Raczej nie wyglądało na to, aby czarodziej ostatnimi czasy tam zaglądał. Mag, oglądany z bliska, miał podkrążone oczy i policzki zapadnięte ze zmęczenia. Okazał się niesłychanie chudy, jakby coś wyszło z niego całą

W owej kamieniczce nic nie przedstawiało zatem szczególnie imponującego widoku – ani czarodziej, ani jego izba. Ale właśnie tu znajdowało się źródło drgań, przenikających siedem planów egzystencji. Czuję je jeszcze silniej niż dotychczas. Aż mi szczękały zęby.

–Posadź go gdzieś – polecił mój mistrz. – Sofa będzie w sam raz. Sprzątnij te śmieci. Dobrze.

Sam usiadł na rogu stołu. Jedną nogę oparł o podłogę, drugą majtał w powietrzu.



–Teraz – kontynuował, zwracając się do naszego jeńca płynnym czeskim. – Nie mam dużo czasu, panie Kavka. Mam nadzieję, że będzie pan ze mną współpracował.

Czarodziej spojrział na niego zmęczonymi oczyma. Wzruszył ramionami.

–Ostrzegam – mówił chłopiec. – Jestem magiem o wielkiej mocy.

Władam wieloma straszliwymi bytami. Ta istota, którą widzisz przed sobą

–wyprężyłem ramiona i groźnie wypiąłem pierś – jest ledwie najlichszym i naj marniejszym z moich sług. – Opuściłem ramiona i i wypuściłem brzuch.

–Jeżeli nie przekazesz mi informacji, o które poproszę, będzie z tobą źle. Kavka wydał z siebie jakiś niezrozumiały dźwięk. Skłonił głowę i wywrócił oczyma. Chłopiec spojrział na mnie:

–Jak myślisz, co to znaczy?

–Skąd mam wiedzieć? Proponuję wyjąć mu knebel i się dowiedzieć.

–Racja. Ale jeśli on wypowie choć sylabę jakiegokolwiek czaru, to natychmiast go zniszcz!

Chłopiec powiedział to z miną, która jego zdaniem miała być złowrogą, przez co wyglądał, jakby bolały go dziąsła. Wyjąłem knebel. Mag odkaszlnął i przez jakiś czas parskał. Dźwięki nie stały się bardziej zrozumiałe.

Nathaniel stuknął kostkami palców o odsłonięty skrawek stołu.

–Proszę bardzo uważnie wysłuchać moich pytań. Ostrzegam, że milczenie donikąd nie prowadzi. Na początek...

–Wiem, dlaczego tu przyszliście. – Głos buchnął z ust czarodzieja z siłą wezbranej rzeki. Był buntowniczy, pełen żalu, nieskończenie zmęczony. – Nie musisz mi tłumaczyć. Chodzi o manuskrypt! Oczywiście! Jakże mogłoby to być cokolwiek innego, skoro przez ostatnie sześć miesięcy wszystkie swe siły poświęcałem zgłębieniu jego tajemnic? Przez to zmarnowałem sobie życie! Popatrz, on zabrał mi młodość! Moja skóra schnie wraz z każdym skrzypnięciem pióra. Manuskrypt! Nie może chodzić o nic innego!

Nathaniel był zaskoczony.

–Manuskrypt? No, może. Ale daj mi wyją...

**–Przysięgałem dochować tajemnicy – mówił dalej Kavka. – Grożono mi śmiercią, ale czym mam się teraz przejmować. Po pierwsze, mam już dość.**

Po drugie, takie zadanie jest ponad siły jednego człowieka. Spójrz, ile energii mi to zabrało...

Uniósł pod światło skrępowane nadgarstki. Były cienkie jak patyki i drżały. Blask bez trudu przenikał między kośćmi poprzez cieką skórkę.

–Oto, co mi uczyniło. Wcześniej aż tryskałem życiem.

–Tak... ale co...?

–Doskonale wiem, kim jesteś – mówił dalej mężczyzna, nie zwracając uwagi na słowa mojego mistrza. – Jesteś agentem brytyjskiego rządu. Oczekiwałem cię, choć, muszę przyznać, nie kogoś tak młodego i beznadziejnie niedoświadczonego. Gdybyś przybył miesiąc temu, to mógłbyś mnie ocalić. Teraz to już nie ma znaczenia, nie dbam o to – jęknął rozdzierająco. – On jest za tobą, na stole.

Chłopiec spojrział za siebie, sięgnął tam i wyciągnął jakiś pergamin. Kiedy to zrobił, nagle krzyknął z bólu. Natychmiast upuścił manuskrypt.

–Aaaa! To poraża prądem! Jakaś sztuczka...

–Nie okazuj swej młodości i braku doświadczenia – powiedziałem. – Zawstydzasz mnie. Czy ty nie widzisz, co to jest? Każdy, kto ma oczy, może ci powiedzieć, że z tego artefaktu rozchodzi się magia na całą Pragę. Nic dziwnego, że cię poraził prądem. Użyj tej swojej tandetnej chusteczki, jaką masz w kieszeni i przyjrzyj mu się dokładnie. Potem mi powiedz, co to dokładnie jest.

Oczywiście, już to wiedziałem. Widywałem podobne rzeczy. Ale miło było ujrzeć, jak ten pozer drży teraz ze strachu, zbyt wstrząśnięty, by odmówić wykonania moich poleceń. Owija dłoń w chusteczkę i raz jeszcze, z najwyższą ostrożnością, podnosi dokument. Był to duży manuskrypt, wycięty z jagnięcej skóry, bez wątpienia rozciągnięty oraz suszony zgodnie ze starymi metodami – cienki, kremowy pergamin, cudownie gładki i aż trzeszczący od mocy. Owa moc nie pochodziła jednak z materiału, lecz ze słów, które na nim się znajdowały. Zapisano je nietypowym atramentem, zarówno czerwonym, jak i czarnym\*, płynęły pięknie z prawej do lewej, od dołu strony ku jej szczytowi. Układały się w linię za linią, złożone z wykaligrafowanych liter. Chłopiec szeroko otworzył oczy ze zdumienia. Wyczuwał cały zawarty w tym artyzm, wysiłek, jaki w to włożono –

\* Przypuszczam, że to symbolizowało moc ziemi (czerń) i krew czarodzieja (czerwień), która daje ziemi życie. Ale to jedynie przypuszczenia. Nie znam się na magii golemów.

nawet jeśli nie potrafił odczytać znaków. Może dałby wyraz swemu zachwytowi, gdyby tylko został dopuszczony do głosu. Ale czarodziej, stary Kavka, wciąż trajkotał niczym katarynka.

–Jeszcze nie jest skończony – mówił. – Możesz to zobaczyć. Trzeba jeszcze dodać pół linijki. Przedemną całą noc pracy. Noc, która tak czy siak, będzie moją ostatnią, bo to na pewno mnie zabije, jeśli tylko sam atrament nie wysusze mojej krwi. Widzisz to miejsce u góry, tę małą, kwadratową rubrykę? Jego pan zapisze tu swoje imię. To jedyna krew, jaką musi wylać, aby władać istotą. Nieźle mu się to przysłuży. O tak. Gorzej z biednym Kavką.

–Jak brzmi to imię? – zapytałem. Doszedłem do wniosku, że nie ma co owijać w bawełnę.

–Tego, kto mi to zlecił? – Kavka się zaśmiał. Dźwięk śmiechu był ostry, niczym rechot szalonego, starego ptaszyska. – Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem.

Chłopiec, nadal oszołomiony, wpatrywał się w manuskrypt.

–To jest dla drugiego golema... – powiedział wolno. To trzeba wsadzić mu do ust, żeby go ożywić. On daje pergaminowi swoją własną, serdeczną krew, która pożywi golema... – uniósł wzrok ku Kavce, z przerażeniem i zachwytem na twarzy. – Dlaczego to robisz? – zapytał. – To cię przecież zabija.

Machnąłem niecierpliwie ręką.

–Nie tego się musimy dowiedzieć – rzuciłem. – My musimy się do wiedzy, kto. Czas ucieka, a do świtu już niedaleko.

Czarodziej znowu się odezwał. Miał zamglony wzrok, jakby myślami znalazł się daleko stąd.

–Rzecz jasna, to dla Karla – powiedział. – I dla Mii. Obiecano mi, że wrócą bezpiecznie, jeśli tylko stworzę te rzeczy. Musisz zrozumieć, ja w to nie wierzę, ale nie mogłem przecież porzucić tej ostatniej, maleńkiej iskry nadziei. Może on dotrzyma obietnicy. Może nie. Pewnie już nie żyją – zaniósł się rżącym, okropnym kaszlem. – Szczerze mówiąc, obawiam

się, że tak jest.

**Chłopiec patrzył tępo.**

**–Karl, Mia? Nie rozumiem.**

**–Oni są moją jedyną rodziną – mówił czarodziej. – Tak smutno, że ich nie ma. Jaki niesprawiedliwy jest ten świat. Ale jeśli straceniec dostrzega choć odrobinę światła, to wspina się ku niej. Nawet ty, przeklęty Brytyjczyk, musisz to rozumieć. Nie mogłem odrzucić jedynej szansy, jaką mia-**

łem na to, że jeszcze kiedyś zobaczę ich twarze.

–Gdzie oni są, twoja rodzina? – zapytał Nathaniel.

–Ha! – Mag wzdrygnął się. na chwilę jego oczy zabłyszczały. – Skąd mam wiedzieć? Może na jakimś zapomnianym przez Boga statku więziennym? W londyńskiej Tower? A może ich kości już spalono i pogrzebano? To wszak twoja kraina, młody Angliku. Zatem ty mi powiedz. Jak przypuszczam, jesteś przedstawicielem brytyjskich władz?

Mój mistrz przytaknął.

–Osoba, której szukasz, nie życzy dobrze twojemu rządowi. – Kavka znów zakasłał. – Ale ty to sam wiesz. Dlatego tu jesteś. Mój rząd nakazałby mnie stracić, gdyby się dowiedział, co zrobiłem. Władze nie życzą sobie żadnego nowego golema, jeśli to miałyby sprowadzić na Pragę kolejnego Gladstonea, z tą jego straszliwą Laską.

–Domyślam się – odparł chłopiec – że twoi krewni to czescy szpiedzy? Wyruszyli do Anglii?

Mag skinął głową.

–I tam ich schwytano. Nie miałem o nich żadnych wieści. A potem

przyszedł jakiś dżentelmen i powiedział, że osoba, dla której pracuje,

może mi ich zwrócić. Żywych, jeśli tylko ujawnię sekrety golema. Jeśli

stworzę potrzebny pergamin. Co miałem zrobić? Co zrobiliby każdy inny

ojciec?

O dziwo, mój mistrz milczał. Co jeszcze dziwniejsze, ja również. Patrzyłem na wychudzoną twarz oraz ręce Kavki, jego zmęczone oczy i ujrzałem w nich niekończące się godziny spędzone nad księgami i papierami, ujrzałem, jak przesącza swe życie na kartę, trzymając się nikłej nadziei na to, że jego rodzina kiedyś do niego wróci.

–Pierwszy pergamin ukończyłem miesiąc temu – powiedział starzec. – Wtedy właśnie posłaniec przyniósł mi jego nowe żądanie. Potrzeba było dwóch golemów. Na próżno tłumaczyłem, że to może mnie zabić, że mogę nie dożyć chwili, kiedy znowu ujrzę Mię i Karla... Ach, ale on jest okrutny. Nie słuchał.

–Opowiedz nam o tym posłańcu – odezwał się nagle chłopiec. – I jeśli twoje dzieci żyją, zwrócę ci je. Obiecuję.

**Umierający człowiek zmusił się teraz do wielkiego wysiłku. Skupił spojrzenie na moim panu, a w jego oczach zniknął mrok, nagle zastąpiony bystrością. Ostrożnie szacował Nathaniela spojrzeniem.**

–Jesteś jeszcze zbyt młody, aby robić takie obietnice.

–Jestem szanowanym członkiem rządu – odparł Nathaniel. – Jestem w stanie...

–Tak, ale czy można ci zaufać? – Kavka westchnął ciężko. – Jesteś przecież Brytyjczykiem. Lepiej zapytam twojego demona. – Kiedy mówił, nie spuszczał wzroku z chłopca. – Co mi powiesz? Można mu zaufać?

Wydąłem policzki i odetchnąłem ciężko.

–Trudne pytanie. On jest magiem. A każdy mag, z założenia, sprzedał by własną matkę za kostkę mydła. Ale ten jest trochę mniej zepsuty niż reszta z nich. Być może. Odrobinę.

Nathaniel spojrzał na mnie.

–Dziękuję ci, Bartimaeusie, za tak gorące poparcie.

–Nie ma za co.

Ale jednak, ku mojemu zaskoczeniu, Kavka pokiwał głową.

–Bardzo dobrze. Pozostawiam to zatem twojemu sumieniu, chłopcze.

Tak czy siak, nie dożyję już spotkania z nimi. Prawdę mówiąc, całkiem opadłem z sił. Nie dbam ani o ciebie, ani o niego. Możecie sobie wzajemnie rozrywać gardła, aż cała Brytania legnie w gruzach. Lepiej po prostu wiem to, co wiem, i niech to będzie już koniec.

Zaczął cicho kaszleć, broda opadła mu na piersi.

–Bądź pewien jednego. Nie ukończę teraz tego manuskryptu. Nie będziesz miał dwóch golemów, ożywionych na ulicach Londynu.

–Co za szkoda – powiedział jakiś niski głos.



**athaniel nie miał pojęcia, skąd wziął się tutaj ten człowiek. Nie zadźwięczała zewnętrzna sieć ani też żaden z obecnych – on sam, Kavka, nawet Bartimaeus – nie usłyszał, by ktoś wchodził do mu. A jednak on tu teraz był i od niechcienia opierał się o drabinę prowadzącą na strych. Krzepkie ramiona skrzyżował na piersi.**

Chłopiec szeroko otworzył usta. Nie wydusił z siebie słowa, jedynie westchnął z trwogą, gdyż poznał owego mężczyznę.

To był brodaty najemnik, zabójca na usługach Simona Lovelace'a.

Po walce w Heddleham Hall dwa lata temu najemnik uniknął schwytania. Rządowi agenci tropili go wszędzie, w Brytanii i na kontynencie, jednak bez powodzenia – nie odkryto nawet śladu. Wreszcie policja dała za wygraną. Zamknięto jego kartotekę i zaprzestano poszukiwań. Ale Nathaniel nie potrafił o nim zapomnieć. W jego pamięci utrwalił się straszliwy obraz: najemnik wyłaniający się z mroków gabinetu Lovelace'a, z Amuletem z Samarkandy w ręku, w płaszczu zabrudzonym krwią zamordowanego człowieka. Przez lata ów widok trwał w umyśle chłopca, kłębiąc się niczym czarna chmura.

A teraz zabójca stał ledwie dwa metry od nich, jego zimne oczy obserwowały każdy ich krok.

Tak jak wcześniej, emanował złowrogą siłą. Wysoki i muskularny, o niebieskich oczach, które ocienione były przez gęste brwi. Zdawało się, że nieco przystrzygł brodę, jednak czarne włosy miał dłuższe, sięgające do połowy szyi. Ubranie mężczyzny miało smolistoczarne kolor. Składała się na nie koszula, pikowana tunika, bryczesy, wysokie buty, które opinały łydki. Jego pewność siebie uderzyła Nathaniela. Chłopiec uświadomił sobie, jak mizerna jest jego własna siła, jak słabe członki.

–Kavka, nie musisz nas sobie przedstawiać – oznajmił mężczyzna.

Mówił leniwie, powoli, głębokim głosem. – Wszyscy trzej jesteśmy starymi znajomymi.

Starzec westchnął, przeciągle i ze smutkiem. Ciężko było dociec, co chciał przez to wyrazić.

–Tak czy owak, to byłoby bez sensu. Nie znam waszych imion.

–Imiona nigdy nie były dla nas problemem.

Jeśli dzin był tym wszystkim zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać.

–Widzę, że odzyskałeś swoje butki – zauważył.

Czarne brwi zmarszczyły się. Do tej chwili Nathaniel siedział na stole Kavki całkiem oszołomiony. Teraz jednak zmusił się do wzięcia w garść, przesunął się do przodu i stanął wyprostowany, z rękoma opartymi na biodrach.

–Jesteś aresztowany – oznajmił surowo, patrząc na najemnika.



Mężczyzna odwzajemnił to spojrzenie z tak złowrogą swobodą, że Nathaniel poczuł, jak się kurczy i kuli w sobie. Rozzłoszczony, od- Słyszałeś, co powiedziałem?

Ramię mężczyzny poruszyło się tak szybko, że chłopiec ledwie to zauważył. W ręku najemnika pojawił się miecz. Leniwie skierował go czubkiem ku młodemu magowi.

–Gdzie twoja broń, dziecko?

Nathaniel buntowniczo wysunął podbródek i kciukiem wskazał Bartimaeusa.

–Tutaj – powiedział. – To afryt tylko na moje rozkazy. Jedno słowo i rozedrze cię na strzępy.

Dżin zdawał się nieco zaskoczony.

–Ee, tak – powiedział niepewnie. – Zgadza się.

Usta najemnika wykrzywiły się pod brodą w lodowatym uśmiechu.

–To jest to samo stworzenie, które miałeś ze sobą wcześniej. Wtedy nie udało mu się mnie zabić. Dlaczego sądzisz, że tym razem będziesz miał więcej szczęścia?

–Trening czyni mistrza – odparł Bartimaeus.

–To prawda. – Kolejny prawie niezauważalny ruch, króciutkie zamazanie konturów sylwetki i już w drugiej ręce najemnika pojawił się metalowy dysk w kształcie litery S. – Długo z tym ćwiczyłem – oznajmił mężczyzna. – To przetnie twoją esencję i wróci do mojej dłoni.

–Wtedy już nie będziesz miał dłoni, żeby to złapać – odparł Nathaniel. – Mój afryt jest szybki jak atakująca kobra. Dopadnie cię, nim w ogóle puścisz tę rzecz.

Chłopiec przebiegał spojrzeniem między dżinem a najemnikiem, żaden z nich jednak nie wydawał się całkiem przekonany.

–Żaden demon nie jest ode mnie szybszy – powiedział najemnik.

–Czyżby? – zapytał Nathaniel. – Po prostu go wypróbuj. Bartimaeus pospiesznie uniósł palec.

–Posłuchaj...

–Zadaj mu swój najlepszy cios.

–Mam to zrobić?

**–Zobaczymy, co się stanie.**

**–Hej, spokojnie – powiedział dzin. – Chcesz udawać twardziela, to w porządku, ale proszę, mnie w to nie wciągaj. Dlaczego wy dwaj po prostu**

sami nie weźmiecie się za bary albo nie porównacie sobie bicepsów, czy coś takiego? Rozładujcie napięcie w inny sposób. Nathaniel nie zwrócił na niego uwagi.

–Bartimaeusie – zaczął. – Rozkazuję ci go...

I w tej chwili stało się coś niespodziewanego. Kavka wstał.

–Zostań tam, gdzie jesteś! – Oczy najemnika obróciły się, czubek miecza dźgnął powietrze przed starym magiem.

Kavka zdawał się tego nie słyszeć. Zachwiał się lekko, potem zatoczył do przodu i oddalił się od sofy po zawalonej papierami podłodze. Kiedy deptał rozsypane manuskrypty, słychać było cichy chrzęst. Potem cienkie jak kość ramię wystrzeliło do przodu i wyrwało manuskrypt z zaklęciem dla golema z palców Nathaniela. Mag stanął, przyciskając papier do piersi.

Najemnik wyglądał, jakby chciał rzucić dyskiem, ale zatrzymał się.

–Odlóż to, Kavka! – warknął. – Pomyśl o swojej rodzinie. Pomyśl o Mii.

Powieki starego czarodzieja były opuszczone. Znowu się zachwiał. Uniósł twarz ku sufitowi.

–Mia? Ona jest dla mnie stracona.

–Skończ dziś ten zwój, a zobaczysz ją jutro, obiecuję! Oczy otworzyły się. Były bez wyrazu, ale błyszczwały.

–I co z tego? Do świtu będę martwy. Moje życie już ze mnie wypłynęło. Na twarzy najemnika pojawiło się wielkie zirytowanie. Nie należał do

ludzi, którzy lubili negocjacje.

–Zapewniono mnie, że są cali i zdrowi – oznajmił. – Możemy zabrać

ich dziś w nocy z więzienia i do rana przewieźć do Pragi. Zastanów się

dobrze. Chcesz, aby cała ta praca poszła na marne?

Nathaniel spojrział na dzina. Ten przesuwał się powoli. Najemnik zdawał się tego nie widzieć. Chłopiec odchrząknął, starał się odwrócić uwagę zabójcy od Bartimaeusa.

–Nie słuchaj go, Kavka – powiedział. – On kłamie.

**Najemnik zerknął na chłopca.**

**–Sprawia mi niewysłowioną przykrość – oznajmił – że nie schwytano  
cię tego wieczoru na rynku. Dałem policji jak najdokładniejsze instrukcje,  
a jednak to spartaczyli. Musiałem przyszpilić cię sam.**

–Wiedziałeś, że tu jesteśmy? – spytał Nathaniel.

–Zjawileś się w fatalnym momencie. Jeszcze dzień albo dwa i byłoby po wszystkim. Znalazłbym się z powrotem w Londynie, z ukończonym manuskrytem. Twoje śledztwo zakończyłoby się fiaskiem. Trzeba więc było znaleźć dla ciebie jakieś zajęcie na ten czas. Stąd moje wskazówki dla policji.

Nathaniel zmrużył oczy.

–Kto ci powiedział, że przylatuję?

–Mój zleceniodawca, rzecz jasna – odparł najemnik. – Powiedziałem Czechom, a oni śledzili tamtego głupawego brytyjskiego agenta przez cały dzień, wiedzieli, że w końcu doprowadzi ich do ciebie. Tak się składa, że myślą, iż jesteś w Pradze po to, by podłożyć bombę. Ale to teraz próżna gadanina. Zawiedli mnie.

Z tymi słowy, wyciągnął przed siebie miecz i dysk. Szybko przesunął spojrzenie z Nathaniela na starego maga. Chłopiec czuł zamęt w głowie. Mało kto w ogóle wiedział o jego misji, a jednak ktoś przekazał tę informację najemnikowi. Co znaczy, że... Nie, musiał się skupić. Widział, jak Bartimaeus wciąż powolutku przesunął się w bok. Spokojnie, miarowo, niczym ślimak. Jeszcze troszeczkę i dżin zniknie z pola widzenia najemnika, za to znajdzie się w świetnej pozycji do ataku.

–Widzę, że na miejsce Lovelace'a znalazłeś nowego parszywego zdrajcę? – rzucił.

–Lovelace? – Brwi mężczyzny uniosły się lekko ze zdziwienia. – On nawet wtedy nie był moim głównym zleceniodawcą. Był tylko figurantem, amatorem. Zbyt niecierpliwym, aby mu się udało. Mój mistrz go wspierał. Ale Lovelace nie był jego jedynym narzędziem. Tak samo jak ja,

Nathaniel, wściekły, prawie wychodził z siebie.

–Kim on jest? Dla kogo pracujesz?

–Dla kogoś, kto mi dobrze płaci. Przecież to jasne. Jesteś dziwnym, małym czarodziejem.

Właśnie w tej chwili dżin, który przesunął się już na skraj pola widzenia najemnika, uniosł rękę do ciosu. Ale w tym samym momencie do akcji wkroczył Kavka. Już jakiś czas stał obok Nathaniela i trzymał w rękach pergamin z zaklęciem dla golema. Teraz, bez słowa, mocno zacisnął powieki, gwałtownie się napiął i przedarł manuskrypt na dwoje.

Efekt był niespodziewany.



Z pergaminu wytrysnęła magiczna moc, szarpnęła domem niczym trzęsienie ziemi. Nathaniel został porwany w powietrze przez wir, w którym unosi się już dżin, najemnik, stół, sofa papier, pióra i rozbryzgany atrament. Przez ułamek sekundy chłopiec patrzył, jak trzy dostrzegane przezeń plany egzystencji drżą z różną częstotliwością. Wszystko nagle stało się potrójne. Zatrzęsły się mury, podłoga przechyliła. Elektryczne światło zatrzeszczało i zgasło. Chłopiec ciężko uderzył o podłogę.

Magiczna moc przelała się przez posadzkę w dół, ku ziemi. Energia wypełniająca manuskrypty znikła. Plany uspokoiły się, drgania zamarły. Nathaniel uniósł głowę. Leżał przygnieciony wywróconą sofą. Spojrzał w okno. Nadal widział przez nie światła miasta, ale były teraz jakieś dziwne. Minęła chwila, nim zrozumiał, co się stało. Cała kamieniczka przechyliła się i znalazła na krawędzi wzgórza. Podłoga wiodła teraz łagodnym skosem ku oknu. Kiedy chłopiec na to patrzył, wiele drobnych przedmiotów ześlizgiwało się, by spocząć pod przechylonym murem.

W izbie było całkiem ciemno, wypełniał ją szelest opadającego papieru. Gdzie podział się najemnik? Co z Bartimaeusem? Nathaniel leżał cichutko pod sofą, oczy miał otwarte szeroko, niczym królik nocą.

Dobrze widział Kavkę. Stary czarodziej legł twarzą do góry na przechylonym zlewie. Spadało nań mnóstwo kart, okrywając prowizorycznym całunem. Nawet stąd chłopiec dostrzegł, że mag nie żyje.

Ciężar sofy gniótł Nathanielowi nogę, przygwałdzając go do podłogi. Bardzo chciał zepchnąć z siebie mebel, ale wiedział, że wtedy zabójca może go dostrzec. Leżał zatem cicho, patrzył i słuchał.

Rozległ się odgłos kroków. Z mroku z wolna wyłaniała się jakaś postać. Najemnik. Zatrzymał się obok ciała przy zlewie, chwilę mu się przyglądał, wymamrotał przez zęby przekleństwo i zaczął szperać wśród potrzaskanych mebli, nieopodal okna. Szedł powoli, ostrożnie stawiał nogi na pochylej podłodze. Nie trzymał już miecza, ale w jego prawej dłoni lśniło coś srebrzystego.

Niczego nie znalazł wśród śmieci, zaczął się więc wspinać z powrotem po pochyłości. Metodycznie rozglądał się na boki. Przez przymrużone oczy patrzył w mrok. Nathaniel z przerażeniem zauważył, że mężczyzna coraz bardziej zbliża się do sofy. On zaś nie miał jak się wycofać. Mebel jednocześnie osłaniał go i przytrzymywał. Młody mag zagryzał więc wargi i próbował przypomnieć sobie słowa jakiegoś odpowiedniego zaklęcia.

Zabójca chyba dopiero teraz zauważył wywróconą sofę. Przez dwie sekundy stał spokojnie. Potem, ze srebrnym dyskiem w ręku, przykucnął, aby zsunąć mebel ze skulonego Nathaniela.

A wtedy za jego plecami zjawił się Bartimaeus.

Przybrał postać egipskiego chłopca. Unosił się ponad krzywą podłogą, stopy zwisały mu bezwładnie. Miał wyciągniętą rękę, otaczała go srebrzysta poświata. Przeświecała przez biel jego przepaski biodrowej i ciemniała w okolicy włosów. Dżin gwizdnął raz, energicznie. Najemnik odwrócił się płynnym, błyskawicznym ruchem. Dysk pomknął z jego dłoni. Świsnął w powietrzu, przeciął blask z boku Bartimaeusa i rozpoczął zataczanie pętli poprzez pokój.

–No, no, spudłowałeś – stwierdził demon. Z jego palców buchnął Piekielny Ogień i ogarnął mężczyznę. Górną połowę ciała najemnika objęły płomienie. Wrzasnął, zasłonił twarz. Zataczył się do przodu. Jaśniał czerwonożółtą poświatą, patrzył poprzez kurczowo zaciśnięte, płonące palce.

Świszczący dysk osiągnął apogeum swego lotu. Wydawany przezeń dźwięk zmienił ton, a pocisk zawrócił, mknąc ku dłoni zabójcy. W drodze powrotnej przeciął bok Bartimaeusa. Nathaniel usłyszał krzyk dzina, zobaczył, że postać chłopca drgnęła i zamigotała.

Dysk powrócił do płonącej dłoni.

Nathaniel wyciągnął nogę spod sofy. Pospiesznie wyprostował ją i potykając się na krzywej podłodze, z trudem się uniósł.

Egipski chłopiec zniknął. W jego miejscu, ku cieniom mknął teraz utykający szczur. Płonący mężczyzna siedł za nim, mrugając oczami z powodu żaru. Ubranie czerniało na jego ciele, dysk połyskiwał czerwienią spomiędzy palców.

Młody mag starał się zebrać myśli. Obok niego stała drabina prowadząca na strych, która przesunęła się, ustawiając pod kątem do sufitu. Oparł się na niej.

Szczur przebiegł po wiekowym pergaminie, który głośno zachrzęścił pod jego łapkami.

Dysk przeciął pergamin na pół. Szczur pisnął i odturlał się w bok.

Płonące palce poruszyły się. Zjawily się w nich kolejne dwa dyski. Szczur czmychnął, ale niewystarczająco szybko. Dysk utkwiał w podłodze, chwytając ogon gryzonia między swe srebrzyste zęby. Szczur szarpnął się słabo, próbując się uwolnić.

Najemnik zbliżył się. Uniósł osmolony but.

Z siłą daną przez wściekłość Nathaniel pchnął drabinę wiodącą na strych, tak że zwała się ciężko na plecy mężczyzny. Najemnik, zaskoczony, stracił równowagę i w deszczu iskier runął na podłogę, podpalając leżące wokół manuskrypty.

Szczur szarpnął się i uwolnił ogon. Skoczył, aby znaleźć się przy boku chłopca.

–Dzięki – wydyszał. – Widziałeś, jak ci go ładnie podstawiłem?

Nathaniel, zdumiony, spoglądał na zataczającą się postać, która we

wściekłym spazmie zrzuciła z siebie drabinę. Wydawało się, że nic sobie nie robi z szalejących wokół płomieni.

–Jak on to wytrzymuje? – wyszeptał. – Cały jest w ogniu, płonie.

–Obawiam się, że tylko jego ubranie – powiedział szczur. – Ciało zu

pełnie nic się nie dzieje. Ale teraz wyrzucimy go przez okno. Patrz.

Szczur uniósł małą, różową łapkę. Najemnik odwrócił się i dopiero teraz dostrzegł Nathaniela. Warknął wściekle, podniósł rękę, w której błysnęło coś srebrnego. Zrobił zamach...

I wtedy z pełną mocą uderzył w niego Huragan. Wystrzelił ze szczurzej łapki, uniósł zabójcę nad podłogę i cisnął przez okno w kaskadzie stłuczonego szkła i płonących skrawków papieru, zgarniętych z podłogi razem z mężczyzną. Odleciał w noc, hen, w dół wzgórza, a jego upadek znaczyły płomienie, wciąż trawiące mu ubranie. Nathaniel zobaczył, jak mężczyzna gdzieś w oddali uderza o ziemię i odbija się od niej. Potem legł

Szczur pędził już w górę pochylonej podłogi, ku drzwiom wyjściowym.

–Może myślisz, że to go zatrzyma? Mamy tylko pięć minut, góra

dziesięć.

Chłopiec niezgrabnie wdrapał się w ślad za nim, po stosach tłących się papierów. Wyszedł w noc. Uruchomił pierwszą sieć, potem drugą. Brzęk alarmów uniósł się w powietrzu i zbudził mieszkańców Złotej Uliczki z ich pełnych melancholii snów. Szczur i chłopiec znaleźli się już za zrujnowaną wieżą. Biegli w dół, po zamkowych schodach, tak jakby deptały im po piętach wszystkie demony, jakie kiedykolwiek wezwano.

O poranku Nathaniel już w świeżym ubraniu, peruce i z niedawno ukradzionym paszportem

**przekroczył czeską granicę i znalazł się w Prusach,**

na terytorium władanym przez Brytyjczyków. Piekarską furgonetką dojechał do miasta Chemnitz, a stamtąd ruszył prosto do brytyjskiego konsulatu, gdzie wyjaśnił, kim jest. Wykonano kilka telefonów, sprawdzono jego dokumenty i tożsamość. Nim nastąpiło późne popołudnie, znalazł się na pokładzie samolotu, który z miejscowego areodromu startował do Londynu.

Chłopiec odesłał dzina jeszcze przed granicą, bo czuł się zmęczony przedłużającym się przyzwaniem. Od paru dni niewiele sypiał. W samolocie było ciepło i chociaż chciał zastanowić się nad tym, co usłyszał od najemnika, zmęczenie oraz szum silników zrobiły swoje. Jeszcze zanim aeroplan oderwał się od ziemi, chłopiec już spał.

Obudził go dopiero steward na lotnisku Box Hill.

–Sir. Jesteśmy już na miejscu. Czeka na pana samochód. Proszę o pośpiech.

Wyszedł na podstawione do samolotu schody. Przywitała go słaba, chłodna mżawka. Schodził powoli, wciąż jeszcze nie do końca rozbudzony.

Spodziewał się, że ujrzy w aucie swoją mistrzynię, jednak tylne siedzenie okazało się puste.

Kiedy Nathaniel otwierał drzwiczki, szofer uchylił przed nim czapki.

–Pozdrowienia od pani Whitwell, sir – powiedział. – Mam natychmiast wieźć pana do Londynu. Ruch oporu uderzył w samo serce Westminsteru i... Zresztą, sam pan zobaczy, co się stało. Nie ma czasu do stracenia.

Chłopiec bez słowa wszedł do samochodu. Drzwiczki zamknęły się za nim z cichym trzaskiem.

⟨KLtty

ręcone schody miały kształt wznoszącego się nad nimi filara. Prowadziły w dół, zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Przejście było wąskie, sufit wisiał nisko. Nawet Kitty musiała się schylić, a Fred i Nick, niemal zgięci w pół, kroczyli niczym niezgrabne kraby. Powietrze było gorące i trochę stęchłe.

**Przodem szedł pan Pennyfeather, jego lampa dawała najjaśniejszy blask. Za nim pozostali, którzy także zapalili swoje latarnie. Światło dodało im otuchy. Teraz znaleźli się w bezpiecznym podziemiu, gdzie nikt nie mógł ich dostrzec. Zagrożenie minęło.**

**Kitty szła za niezgrabnie pracującym naprzód Nickiem, zaraz za nią dreptał Stanęły. Choć miała jego lampę za plecami, cienie sprawiały wrażenie, jakby chciały ją ogarnąć. Ciągłe widziała kątem oka, jak gdzieś pędzą i skaczą.**

**W szczelinach ścian po obu stronach schodów mieszkało sporo pajaków. Z przekleństw rzucanych przez pana Pennyfeathera można się było zorientować, że musi przedzierać się przez stuletnie, dławiące pokłady pajęczyn.**

**Droga w dół nie trwała długo. Kitty naliczyła trzydzieści trzy stopnie, a potem przeszła przez furtkę w kształcie kraty i wkroczyła na otwartą przestrzeń, złudnie wyznaczoną światłem latarni. Odstąpiła na bok, aby zrobić**

miejsce Stanleyowi, potem zdjęła kominiarkę. Pan Pennyfeather uczynił to samo. Twarz miał lekko zarumienioną, a okalający ją pierścień z szarobiałych włosów nastroszony i w nieładzie.

– Witam w grobowcu Gladstonea – szepnął wysokim, zachrypniętym

głosem.

Pierwsze, co poczuła Kitty, było wrażenie ciężaru tego wszystkiego, co znajdowało się teraz nad jej głową. Sufit wykonano ze starannie obrobionych bloków kamienia. Wraz z upływem lat ich ustawienie nieco się zmieniło. Teraz złowrogo wybrzuszyły się pośrodku izby i napierały na krąg słabego światła, tak jakby chciały je zdusić. W powietrzu było mnóstwo kurzu, a z lamp, wirując, unosił się dym, tworząc pod sufitem grube kola. Kitty złapała się na tym, że przy każdym oddechu odruchowo zaciska dłoń.

Sama krypta okazała się dosyć wąska, miała może ze cztery metry w najszerszym miejscu. Nie dało się określić jej długości, krańce pomieszczenia ginęły bowiem w cieniach poza zasięgiem lamp. Podłogę wyłożono kamiennymi płytami. Krypta była pusta, z wyjątkiem grubej warstwy białej pleśni, która miejscami sięgała aż do połowy wysokości murów. Wyglądało na to, że pracowite pająki ze schodów nie zapuszczały się za kratę. Nigdzie bowiem nie dostrzegli pajęczyn.

W bocznej ścianie krypty, dokładnie naprzeciwko wejścia, wykuto długą półkę, na której stały trzy szklane półkule. Choć ich szkło było brudne i popękane, Kitty ujrzała w każdej z nich pozostałości zeschłych kwiatów, lilii, maków, a także łodygi rozmarynu, poznaczone plamkami grzybów. Kwiaty na grób wielkiego maga... Dziewczyna wzdrygnęła się i odwróciła ku temu, co przede wszystkim skupiało uwagę jej towarzyszy: marmurowemu sarkofagowi, dokładnie pod półką.

Miał trzy metry długości i ponad metr wysokości. Był skromny, bez żadnych ozdób ani inskrypcji, wyjąwszy plaketkę z brązu, przyczepioną pośrodku jednego z boków. Pokrywą grobowca także wykonano z marmuru. Kitty pomyślała, że leży ona nieco krzywo, tak jakby położono ją w pośpiechu i zabrakło czasu na poprawki.

Pennyfeather i pozostali, bardzo podekscytowani, stłoczyli się nad sarkofagiem.

– Jest w stylu egipskim – odezwała się Anne. – Pretensjonalna chęć

pójścia w ślady faraonów. Chociaż nie ma hieroglifów.

–A co z tym? – Stanley wpatrywał się w plakietkę. – Nie mogę rozczytać.

Pennyfeather też się w nią wpatrywał.

–To w jakimś diabelskim języku. Hopkins by to odczytał, ale to pewnie nic dobrego. A teraz – wyprostował się i stuknął laską w pokrywę sarkofagu – jak to otworzymy?

Kitty zmarszczyła brwi z odrazą, czując narastającą obawę.

–Musimy? Skąd pewność, że to, czego szukamy, jest w środku?

Ogólne podenerwowanie starszka sprawiło, że łatwo się zirytował.

–No, raczej trudno się spodziewać, że to leży gdzieś na podłodze, nieprawdaż, moja panno? Ten stary ghul chciał mieć swe skarby blisko siebie, nawet po śmierci. Reszta pomieszczenia jest pusta.

Kitty nie dawała się zbić z tropu.

–Sprawdził pan?

–Ach! Strata czasu! Anne, unieś lampę i sprawdź przeciwległy kraniec. Upewnij się, że nie ma tam żadnych wnęk. Frederick, Nicholas, Stanley. Będziemy potrzebowali waszej siły, żeby to unieść. Możecie podnieść to z waszej strony? Chyba przydałaby się lina.

Kiedy mężczyźni zabierali się do pracy, Kitty stanęła z tyłu i obserwowała, co robi Anne. Od razu stało się jasne, że Pennyfeather miał rację. Lampa Anne oświetliła przeciwległą ścianę komnaty, gładką powierzchnię z czystych, kamiennych bloków. Kobieta parę razy omiotła ją światłem, szukając jakiś nisz albo zarysu drzwi, ale niczego nie dostrzegła. Wzruszyła ramionami w stronę Kitty i wróciła na środek krypty.

Stanley wydobyl linę i przyglądał się krawędzi pokrywy.

–Trudno będzie to obwiązać – stwierdził, drapiąc się po głowie. – Nie da się tego owinąć. No i pokrywa jest za ciężka, żeby ją dźwignąć.

–Możemy ją odepchnąć na bok – stwierdził Fred. – Ja spróbuję.

–Nie, to zbyt ciężkie. Solidny kamień.



**–Może pójść całkiem łatwo – zaznaczył Nick. – Marmur jest w sumie dość gładki.**

**Pennyfeather otarł pot z czoła.**

**–No, chłopcy. Spróbujemy. Mamy do wyboru to, albo rozbić na niej**

**kulę żywiołów. Ale wybuch może zniszczyć rzeczy, które są w środku.**

**Fred, jeśli zaprzesz się butami o ścianę, łatwiej ci będzie to pchnąć. Te**

**raz, Nick...**

Kiedy tak rozmawiali, Kitty pochyliła się, aby przyjrzeć się brązowej plakietce. Gęsto pokrywały ją starannie wykaligrafowane, małe znaki w kształcie klinów, które bez wątplenia składały się w jakieś słowa albo symbole. Nie po raz pierwszy dziewczyna pożałowała swojej niewiedzy. O tajemniczych alfabetach nie uczono w szkole, zaś staruszek nie dopuszczał swych towarzyszy do lektury skradzionych, magicznych ksiąg. Zastanowiła się, czy ojciec Jakoba zdołałby odczytać te napisy i co by mu one powiedziały.

–Kitty, możesz się odsunąć? Grzeczna dziewczynka. – Stanley złapał jeden róg pokrywy, Nick drugi, a Fred, chwyciwszy całą krawędź płyty, oparł stopę o mur, zaraz pod półką. Gotowali się wspólnie do pierwszej próby. Kitty przygryzła wargi, słysząc żarty Stanleya. Wstała i odeszła. Wytarła twarz rękawem. Na jej skórze zaperlił się pot. W krypcie było bardzo duszno.

–Teraz, chłopaki! Pchać! – Parskając z wysiłku, młodzi mężczyźni wzięli się do pracy, zaś Anne i Pennyfeather trzymali nad nimi lampy. Blask migotał na wykrzywionych twarzach chłopców, ich wyszczerzonych zębach, zmarszczonych brwiach. Po krótkiej chwili przez postękiwanie przebił się cichy zgrzyt.

–W porządku, dość! – Nick, Fred i Stanley padli na podłogę, dysząc. Pennyfeather kuśtykał wokół nich i energicznie klepał ich po ramionach.

–Poruszyła się! Bez wątplenia się poruszyła! Dobra robota, chłopaki! Jeszcze nie widać wnętrza, ale się tam dostaniemy. Odetchnijcie, a potem bierzemy się znowu do roboty.

I tak też się stało. Potem jeszcze raz. Za każdym razem jęki były coraz głośniejsze, a mięśnie aż trzeszczały z wysiłku. Za każdym razem pokrywa nieco bardziej przesuwiała się w bok, a potem uparcie się zatrzymywała. Pennyfeather poganiał swych podopiecznych, skacząc wokół nich jak demon. Prawie zapomniał o swym niedołęstwie, jego twarz krzywiła się w rozmiotanym blasku.

–Pchajcie! O to chodzi! Nasze powodzenie jest tylko parę centymetrów

od waszych nosów, wystarczy, żebyście się jeszcze raz wysilili!

Och, pchaj to Stanley, do cholery! Trochę dalej! Nie żałujcie grzbietów,

chłopaki!

Kitty uniosła porzuconą latarnię i, by zabić czas, rozejrzała się po pustej krypcie. Szurała tenisówkami po grubej warstwie białej pleśni, znaku

wielu minionych lat. Leniwie przeszła się na drugi koniec pomieszczenia, niemal pod mur, potem zawróciła i powlokła się z powrotem.

Tknęło ją coś dziwnego, co na wpół sobie uświadamiała i co niejasno kołatało się w głębi umysłu. Nie potrafiła jednak dociec, co to właściwie jest, a odgłos radości po jakimś szczególnie udanym podźwignięciu płyty jeszcze bardziej ją rozproszył. Obróciła się na pięcie, spojrzała na przeciwległy mur i uniosła lampę.

Zwykła ściana.

O co więc chodziło?

O pleśń. A właściwie, o jej brak.

Wszędzie wokół, na murach, pod nogami, rozciągała się biała okrywa pleśni. Mało który kamień posadzki był od niej wolny. Ściany po bokach wyglądały podobnie, pleśń stopniowo pięła się po nich ku sufitowi. Mo-liwe, e pewnego dnia pokryje całe pomieszczenie.

Jednak na przeciwległym murze nie było ani płachetka pleśni. Kamienne bloki pozostały czyste, a ich kontury tak ostre, jakby murarze ustawili je dopiero tego popołudnia.

Kitty odwróciła się do towarzyszy.

–Hej...

–O to chodzi! Jeszcze tylko raz, chłopaki! – Pennyfeather skakał niemal jak uczeń. – Widzę już otwór w rogu! Jeszcze raz i będziemy pierwszymi, którzy zobaczą starego Gladstonea, od kiedy pochowano jego gnaty!

Nikt nie słuchał Kitty, nikt nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Odwróciła się z powrotem ku przeciwległej ścianie. śadnej pleśni. Bez sensu. Moe te czyste bloki zrobiono z jakiegoś innego materiału?

Kitty podeszła, aby dotknąć owej ściany. Gdy to robiła, zahaczyła stopą o jakiś wystający kamień i runęła do przodu. Uniosła ręce, aby zamortyzować uderzenie o mur i... przeleciała przez niego na wylot.

Chwilę potem walnęła o posadzkę, obijając sobie nadgarstki i kolano. Lampa wypadła jej z wyciągniętej ręki i potoczyła się obok.

Kitty wywróciła oczyma z bólu. Rwało ją w kolanie, a wszystkie palce mrowiły, wstrząśnięte uderzeniem. Ale najsilniejszym z uczuć było zdumienie. Jak to się stało? Miała pewność, e

**uderzy w ścianę, a wyglądało na to, e przeniknęła mur, tak jakby nigdy tam nie stał.**

Zza jej pleców dobiegł straszliwy odgłos tarcia, po nim głośny trzask, kilka okrzyków triumfu, a także, gdzieś pośród nich, krzyk bólu. Usłyszała głos staruszka.

–Świetna robota, chłopcy! Świetna robota! Stanley, przestań chlupać,

wcale nie jesteś ciężko ranny. Zbierz się do kupy. Popatrzcie na niego!

Ona też musiała coś zobaczyć, tutaj. Kitty uniosła się na rękach, potem na kolanach i sięgnęła po latarnię. Wstała, a światło lampy oświetliło niewielką przestrzeń, w której się teraz znalazła.

Chociaż znała smak ryzyka, o włos unikała schwywania, pułapek i demonów, choć ginęli jej przyjaciele, to co teraz zobaczyła, sprawiło, że z trudem łapała powietrze i zaczęła drżeć, tak jak wtedy na żelaznym moście, tyle lat temu. Tętno łomotało jej w uszach, w głowie się zakręciło. Usłyszała skowyt, przeciągły, wysoki i przenikliwy, odbijający się echem po krypcie, i odskoczyła, nim uświadomiła sobie, że wydobywa się on z jej własnych ust.

Okrzyki zadowolenia jej towarzyszy nagle ucichły.

–Co to było? – odezwała się Anne. – Gdzie jest Kitty? Dziewczyna wciąż spoglądała przed siebie.

–Jestem tutaj – wyszeptała. – Kitty!

–Gdzie jesteś?

–Cholerna dziewczyna. Poszła w górę schodów? Nicholas, idź tam zobacz.

–Kitty!

–Tutaj jestem! Po drogiej stronie. Nie widzicie?

Nie potrafiła mówić głośniej, miała zbyt ściśnięte gardło.

–Jestem tutaj. I nie jestem sama...

Prawdziwy kraniec krypty nie znajdował się daleko od iluzorycznego, przez który właśnie przeleciała, dzieliły je tylko trzy metry. Biała pleśń nic sobie nie robiła z fałszywej bariery, przekroczyła ją i obrosła ściany, podłogę, jak również to, co na niej leżało i w chłodnym świetle latarni lśniło mdłym blaskiem. Jednak gruba okrywa pleśni nie ukryła tego, co było starannie ułożone w rzędzie, pomiędzy ścianami. Zbyt jasno było to widać. Sześć kształtów przyciśniętych jeden do drugiego, zwróconych głowami ku Kitty, a popleśniałymi butami ku przeciwległej ścianie.

Kościane ręce spoczywały na ich piersiach. To, iż krypta długo pozostawała zamknięta, sprawiło, że ciała nie zgniły do końca. Zmumifikowały się na szkieletach, przez co napięta skóra rozwarła żuchwy w czaszkach, nadając im wyraz niepohamowanego przerażenia. Sama skóra poczerniała niczym zwęglone drewno albo jakby ją wyprawiono. Oczy wyschły całkowicie. Ciała były dziwnie ubrane, w staroświeckie stroje. Rozsypujące się nogi pozostały ukryte w ciężkich, wysokich buciorach. Żebra jednego z trapów sterczały przez koszulę. Włosy zwłok były dokładnie takie same jak za życia, płynęły z przerażających głów jak rzeczne zarosła. Kitty spostrzegła, że jeden z tych ludzi wciąż jeszcze miał wiecheć pięknych, kasztanowych loków. Towarzysze nadal wołali jej imię. Zdumiała ją ich głupota.

–Tutaj jestem! – Podejmując gwałtowny wysiłek, pokonała bezwład szoku, obróciła się i krzyknęła poprzez komnatę. Nick i Anne byli blisko.

Na dźwięk jej głosu ich głowy drgnęły gwałtownie, ale oczy pozostały pełne dezorientacji i zdumienia, ich spojrzenia omijały Kitty, tak jakby jej w ogóle nie było. Dziewczyna jęknęła z rozdrażnieniem i ruszyła w ich stronę. Kiedy to zrobiła, poczuła na całym ciele coś dziwnego, jakby mrowienie.

Nick krzyknął. Anne upuściła latarnię.

–Chodźcie tu lepiej i zobaczcie to – powiedziała Kitty, nie bawiąc się w subtelności. Kiedy nie doczekała się odpowiedzi, dodała: – Co z wami jest, do diabła?

Jej złość wyrwała Nicka z szoku.

–Po... popatrz na siebie – wydukał. – Jesteś do połowy w ścianie.

Kitty spojrzała w dół. Jasne, z tej strony Iluzja była mocna: brzuch, pierś i stopa wystawały z kamieni, tak jakby były nimi odcięte od reszty ciała. Na krawędziach, tam gdzie jej ciało stykało się z magią, czuła ciarki.

–Nawet nie migocze – wyszeptała Anne. – Jeszcze nigdy nie widziałam tak silnej Iluzji.

**–Możecie przez to przejść – ponuro stwierdziła Kitty. – Coś za tym jest.**

**–Skarby – podniecił się Nick.**

**–Nie.**

W ciągu kilku chwil reszta kompanii zbliżyła się do ściany i po niedługim wahaniu jej członkowie, jeden po drugim, przeszli na drugą stronę muru. Na złudnych kamieniach nie pojawiła się nawet zmarszczka. Po drugiej stronie bariera okazała się całkiem niewidoczna.

Cała szóstka, zszokowana, w ciszy patrzyła na trupy.

–Jestem za tym, żebyśmy natychmiast stąd wyszli – odezwała się Kitty.

–Popatrzcie na włosy – wyszeptał Stanley. – I paznokcie. Popatrzcie, jakie są długie.

–Leżą jak sardynki w puszcze...

–Jak myślicie...

–Może się udusili...

–Widzisz jego pierś, tę dziurę? To nie jest coś naturalnego...

–Nie mamy się czym martwić. Oni są bardzo starzy – oznajmił Pennyfeather z przekonaniem w głosie, które miało uspokoić tak jego, jak i pozostałych. – Popatrzcie, jaki kolor ma ich skóra. To już praktycznie m- Z czasów Gladstonea? – zapytał Nick.

–Bez wątplenia, widać to po ubraniach. Późny XIX wiek.

–Ale jest ich sześćcioro... Tylu co nas...

–Zamknij się Fred.

–Ale dlaczego oni...?

–Może to jakaś ofiara...?

–Panie Pennyfeather, proszę posłuchać, my naprawdę...

–Dlaczego ich ukryto? To nie ma sensu.

–Rabusie grobowców? Za karę zamurowani żywcem?

–...naprawdę, powinniśmy już iść.

–To prawdopodobne, ale dlaczego mieliby ich ukrywać?

–I kto to zrobił? A co z Pomorem? Czegoś tu nie rozumiem. Jeśli go obudzili...



**–Panie Pennyfeather! – Kitty tupnęła i krzyknęła. Hałas odbił się echem od ścian krypty. Dyskusja nagle się urwała. Dziewczyna zmusiła się, aby przepchnąć słowa przez ściśnięte gardło.**

**–Tutaj jest coś, o czym nie wiemy. Jakaś pułapka. Dajmy spokój i chodźmy już.**

**–Ale te kości są stare – powiedział Stanley, przybierając ten sam rozkazujący ton głosu, co Pennyfeather. – Dziewczyno, uspokój się.**

–Nie mów tak do mnie, ty przygłupie.

–Zgadza się z Kitty – odezwała się Anne.

–Ależ moi drodzy. – Staruszek położył dłoń na ramieniu Kitty i pogładził je, udając, że ma dobry humor. – Zgadza się, to bardzo nieprzyjemne. W jakikolwiek sposób umarli ci biedacy, położono ich tutaj bardzo dawno temu. Zapewne, kiedy grobowiec był jeszcze otwarty. To dlatego iluzja muru, która ich ukrywa, nie ma na sobie pleśni, widzicie? To białe obrzydlistwo wyrosło później. Kiedy nadszedł ich koniec, mury były jeszcze czyste i nowe.

Wymachiwał laską nad trupami.

–Pomyślcie. Ci chłopcy legli tutaj, zanim grobowiec został zamknięty.

Inaczej Pomór zbudziłby się, kiedy się włamali. Ale tak się nie stało, bo właśnie sami go widzieliśmy i rozproszyliśmy.

Jego słowa uspokoiły pozostałych. Pojawily się przytaknięcia i pomruki aprobaty. Jednak Kitty pokręciła głową.

–Właśnie przywitało nas sześciu nieboszczyków – powiedziała. – Bylibyśmy głupi, gdybyśmy to zlekceważyli.

–Uff! Przecież oni są starzy! – Z ulgi w głosie Freda znać było, że dopiero teraz uświadomił sobie znaczenie tych słów. – To tylko stare

Wysunął nogę i z lekceważeniem trącił butem najbliższą czaszkę. Potoczyła się na bok, z dala od szyi, przez chwilę stuknęła o kamienne płyty, wydając delikatny odgłos, podobny do cichego grzechotu garnka.

–Kochana Kitty, musisz się nauczyć w mniejszym stopniu poddawać

się emocjom – oświadczył Pennyfeather. Wyjął chusteczkę z kieszeni

i otarł czoło. – Właśnie otworzyliśmy sarkofag tego starego diabła. I ja

koś ziemia nas nie pochłoneła, prawda? Chodź tu i popatrz, moja panno,

jeszcze tego nie widziałaś. Na górze ładnie ułożono płachtę jedwabiu.

Ona sama musi już być warta fortunę. Jeszcze tylko pięć minut, Kitty.

**Pięć minut, bo tyle nam trzeba, aby zdjąć tę zasłonę, szybko zabrać sa**

**kiewkę i kryształową kulę. Nie będziemy długo przeszkadzać**

**Gladstone'owi w wiecznym odpoczynku.**

**Kitty milczała. Odwróciła się i przeszedłszy z pobladłą twarzą przez barierę, dołączyła do pozostałych. Nie ufała swojemu gardłu na tyle, aby cokolwiek powiedzieć. Była zła zarówno na siebie – za swoją słabość i niezrozumiały strach – jak i na ich przywódcę. Jego słowa zdawały się takie płytkie, gładkie i łatwe.**

Mimo to nie potrafiła otwarcie przeciwstawić się woli Pennyfeathera. Wiedziała też, że reszta grupy jest po jego stronie. Laska starca stuknęła gdzieś obok niej. Pennyfeather nieco tracił dech.

–Mam nadzieję, moja droga Kitty. że ty... ty zrobisz mi ten zaszczyt...

i osobiście weźmiesz kryształową kulę... do swojego plecaka. Bo widzisz,

ja ci ufam... Ufam ci bezgranicznie. Wszyscy musimy być silni jeszcze

przez pięć minut, a potem już na zawsze opuścimy to przeklęte miejsce.

Ogarnijcie się i gotujcie swoje torby. Nasza fortuna już na nas czeka!

Pokrywa sarkofagu leżała tam, gdzie upadła – pod kątem, między grobowcem a posadzką. Siła uderzenia odłamała jeden z rogów. Leżał nieopodal wśród pleśni. Latarnia, która stała na podłodze, dawała ciepłe światło, ale żaden blask nie sięgał ciemnej czeluści grobu. Jednak Pennyfeather stanął obok jednego z krańców sarkofagu, oparł laskę o kamień i złapał za marmur. Z uśmiechem przyjrzał się swej kompanii i splótłszy palce dłoni przeciągnął się.

–Frederick, Nicholas. Trzymajcie lampy wysoko. Chciałbym dokładnie

widzieć, czego dotykam.

Stanley zachichotał nerwowo.

Kitty zerknęła za siebie. W ciemnościach widziała tylko słaby zarys fałszywego muru jego straszliwy sekret pozostawał ukryty. Wzięła głęboki oddech. Dlaczego? To nie miało sensu...

Zwróciła się z powrotem ku sarkofagowi. Pennyfeather nachylił się, chwycił coś ostrożnie i pociągnął.

## 31

edwabna zasłona uniosła się z sarkofagu prawie bez dźwięku, tylko z cichuteńkim, suchym szelestem, w delikatnym obłoku brązowego pyłu, który wybuchnął niczym zarodniki z pękniętej purchawki. Pył zawirował w świetle latarni, a potem opadł powoli. Pennyfeather zebrał materiał i ostrożnie położył na marmurowej krawędzi sarkofagu. Pochylił się do przodu i zajrzał do środka.

–Zniżyć światło – wyszeptał.

Nick wykonał polecenie. Wszyscy wyciągnęli głowy i spojrzeli w dół.

–Aach... – Starzec westchnął, niczym smakosz przy stole, na którym właśnie postawiono posiłek, wiedząc, że zaraz będzie się nim rozkoszował. W ślad za nim rozległ się chór cichych okrzyków i westchnień. Nawet Kitty na chwilę zapomniała o swoich złych przeczuciach.

Każdy z nich znał tę twarz tak jak własną. To wokół niej kręciło się całe życie Londynu, pojawiała się w każdym publicznym miejscu. Widzieli to oblicze tysiące razy, na pomnikach, posągach, rysunkach, na murach. Ten profil widniał w szkolnych podręcznikach, na rządowych papierach, na plakatach i posterach, które przyczepiano wysoko, na tablicach wznoszących się nad każdym targiem. To oblicze spoglądało surowo i władczo z cokołów ustawionych chyba na połowie wszystkich skwerów. Patrzyło na nich z banknotów, które zmięte wyciągali z kieszeni. Przy całej codziennej bieganinie, przy wszystkich nadziejach i wszystkich obawach stale towarzyszyła im twarz Gladstonea, bacznie przyglądająca się życiu maluczkich.

A teraz, w grobowcu, zobaczyli to samo oblicze i czuli dreszcz emocji, kiedy je rozpoznawali.

Nie było prawdziwe. Sporządzono je ze złota, delikatnie wytłoczonego i misternie wymodelowanego. Pośmiertna maska, godna założyciela imperium. Nim jeszcze ostygło ciało, zdolny rzemieślnik zrobił formę, a z niej odlew, napełniwszy ją płynnym metalem. Przy pochówku maska spoczęła na twarzy. Powstał niepoddający się rozkładowi wizerunek, który sto lat spoglądał w ciemność, podczas gdy pod nim rozpadało się ciało. Była to twarz starca, o haczykowatym nosie, cienkich wargach i zapadłych policzkach, na których, w złocie, rysowały się bokobrody. Znaczyły ją tysiące zmarszczek. Oczy, głęboko osadzone w oczodołach, pozostawiono puste, złoto w tym miejscu zostało wycięte i w wieczność spoglądały dwa ciemne otwory. Członkom grupy, która patrzyła na to wszystko z otwartymi szeroko ustami, zdawało się, że spoglądają w oblicze starożytnego cesarza, władającego straszliwą mocą.

Maska leżała na poduszce z białych włosów.

Gladstonea ułożono schludnie, w takiej samej pozie, jak ciała w sekretnej wnęce. Ręce miał złożone na brzuchu; z palców zostały już tylko kości. Zwłoki ubrane były w czarny surdut, wciąż zapięty na guziki, na-

prężony na żebrach i ohydnie zapadnięty w innych miejscach. Gdzieniedzie pracowite robaki albo mole zaczęły już niszczyć materiał, przez który prześwitywały niewielkie splachetki bieli. Buty na nogach były niewielkie, czarne i wąskie, na matowej skórze spoczywała patyna z kurzu.

Ciało leżało na czerwonych, satynowych poduszkach na wysokiej półce, która zajmowała połowę szerokości sarkofagu. Kiedy spojrzenie Kit-ty spoczęło na złotej masce, wzrok pozostałych przyciągała półka poniżej tej, na której spoczywały zwłoki.

–Popatrzcie na jej blask – westchnęła Anne. – Nie do wiary.

–To naprawdę było warte fatygi – stwierdził Stanley, śmiejąc się głupawo. – Jeszcze nie widziałem takiej aury. Tutaj musi być coś naprawdę silnego, ale wszystko ma moc, nawet płaszcz.

Na kolanach Gladstonea, schludnie złożone, spoczywało okrycie z czerwonego i purpurowego sukna, spięte małą złotą broszą.

–Płaszcz Stanu – wyszeptał Pennyfeather. – Nasz przyjaciel i dobro

czyńca właśnie tego chce. Chętnie go przyjmie. Popatrzmy na resztę...

I zobaczyli je, złożone na niższej półce. Wspaniałe skarby z grobowca, po które tutaj przyszli. Ujrzeni skupisko przedmiotów ze złota – małe posążki w kształcie zwierząt, zdobne szkatułki, miecze i sztylety wysadzone klejnotami, rząd czarnych onyksowych kul, mała, trójkątna czaszka jakiejś nieznannej istoty, parę zapieczętowanych pergaminów. Na wysokości głowy leżało jeszcze coś małego, półokrągłego w kształcie. Przedmiot ów przykrywało ciemne sukno, teraz szare od kurzu – zapewne była to kryształowa kula jasnowidza. Przy stopach, między buteleczką z zatyczką, wyrzeźbioną na podobieństwo psiej głowy, a matowym, cynowym kielichem, w szklanym pojemniku leżała satynowa sakiewka. Obok niewielki, czarny worek, zamknięty brązowym zatrzaskiem. Na całej długości sarkofagu, blisko ciała, leżał ceremonialny miecz, a obok niego kostur z poczerńiałego drewna; skromny, bez ozdób, wyjąwszy pentagram w okręgu, wyżłobiony na jego szczycie.

Nawet Kitty, pozbawiona talentów swych towarzyszy, wyczuwała moc emanującą z tego skupiska artefaktów. Wręcz wibrowało od niej powietrze. Pennyfeather gwałtownie otrząsnął się zachwyty.

–No, szybko do roboty. Przygotować plecaki. Sporo stąd zabierzemy.

Zerknął na zegarek i westchnął, zaskoczony.

–Już prawie pierwsza w nocy! Straciliśmy już zbyt dużo czasu. Anne, ty pierwsza.

Nachylił się nad ciałem przez krawędź sarkofagu i wyciągnąwszy się, sięgnął do środka i zaczął wyjmować magiczne przedmioty. Podnosił je obiema rękami.

–Proszę. Egipskie, jeśli się nie mylę... A to sakiewka... Uważaj na to, kobieto! Worek pełen? Dobra. Stanley, zajmij jej miejsce...

Kiedy ogalacano sarkofag, Kitty stała z tyłu, z otwartym plecakiem. Ręce luźno zwisały jej wzdłuż boków. Nieprzyjemne wrażenie, jakie ogarnęło ją, gdy odkryła ciała, powróciło. Na zmianę spoglądała ku fałszywej ścianie i schodom, a po jej skórze przebiegały ciarki za sprawą obaw rodzących się w wyobraźni. Niepokojowi towarzyszył rosnący żal, że wzięła udział w tej nocnej wyprawie. Jeszcze nigdy jej ideały, pragnienie, by upadły rządy magów, a władza powróciła w ręce pospólstwa, tak bardzo nie odstawały od rzeczywistości, którą tworzyły działania grupy Pennyfeathera. Jakże groteskowa to była rzeczywistość. Nieskrywana chciwość jej towarzyszy, ich podniecone okrzyki, czerwona, lśniąca twarz starca, delikatny brzęk kosztowności, znikających w nadstawionych workach. Wszystko to nagle zdało się jej odpychające. Ruch oporu okazywał się teraz niczym więcej niż bandą złodziei i cmentarnych hien. A ona była jedną z nich.

–Kitty! Tutaj!

Stanley i Nick zapełnili już torby i odeszli na bok. Przyszła kolej na nią. Kitty podeszła. Pennyfeather wyciągnął się jeszcze bardziej, a jego głowa i barki zniknęły wewnątrz sarkofagu. Wychynął z niego na krótko, wręczając dziewczynie niewielką, grzebalną urnę i słój ozdobiony wężową głową i znów zanurzył się w grobowcu.

–Masz... – Jego głos dziwnie odbijał się echem wewnątrz sarkofagu.

–Weź płaszcz... I kostur. Jedno i drugie jest dla dobroczyńcy pana Hopkinsa, który... uff!... tak dobrze nas prowadził. Nie mogę sięgnąć reszty z tej strony. Stanley, mógłbyś się tym zająć?

Kitty wzięła kostur i wepchnęła płaszcz głęboko do plecaka, wzdrygnęła się nieco, czując jego zimny, nieco śliski dotyk. Patrzyła, jak Stanley przechyla się w dół i sięga w czeluść, machając przez chwilę nogami w powietrzu. Po drugiej stronie pan Pennyfeather oparł się o ścianę i otarł

**czoło.**



–Zostało tylko kilka rzeczy – wydyszał. – Potem my... Och, a niech cię, chłopcze! Nie możesz bardziej uważać?

Stanley, być może dlatego, że zbyt entuzjastycznie sięgał ku wnętrzu sarkofagu, wleciał do niego głową w dół. Latarnia chłopaka upadła na posadzkę. Rozległ się głuchy łomot.

–Ty mały głupcze! Jeśli coś zniszczyłeś... – Pennyfeather schylił się, aby zajrzeć do wnętrza sarkofagu, ale nie zobaczył tam nic, poza ciemnością. Z dołu dobiegały jakieś szelesty wraz z odgłosami nieskoordynowanych ruchów.

–Podnoś się ostrożnie. Nie zniszcz kryształowej kuli.

Kitty złapała latarnię, która toczyła się po kamiennych płytach. Klęła pod nosem na głupotę Stanleya. Zawsze był niezdara, ale to już był szczyt, nawet jak na niego. Wdrapała się po złamanej pokrywie, aby trzymać latarnię ponad sarkofagiem, jednak odskoczyła zszokowana, gdy zza krawędzi gwałtownie wyłoniła się głowa Stanleya. Kominiarka opadła mu na oczy, całkiem zasłaniając twarz.

–Ojej! – zawołał wysokim, pełnym złości głosem. – Ależ ze mnie niezdara.

W Kitty zawrzało.

–Co ty sobie wyobrażasz, że tak mnie straszysz? To nie jest śmieszne!

–Pospiesz się, Stanley – powiedział Pennyfeather.

–Tak mi przykro, tak przykro. – Jednak wcale nie wyglądał, jakby było mu przykro. Nie poprawił sobie czapki ani też nie wyszedł z sarkofagu.

Starzec naprawdę się zdenerwował.

–Złoję cię laską, chłopcze – krzyknął – jeśli się nie ruszysz!

–Ruszyć się? Och, potrafię to.

Po owych słowach głowa Stanleya zaczęła podrygiwać, jakby w rytm muzyki, którą słyszał tylko on. Ku zdumieniu Kitty, głowa znowu zanurkowała w dół, zniknęła z pola widzenia i trwała tak chwilę, a później znów wyskoczyła, z chichotem. Zdawało się, że sprawiło to Stanleyowi wręcz dziecięcą radość. Powtórzył ten ruch, pokrzykując i piszcząc.

**–Teraz mnie widzicie – zawołał. Czapka nieco tłumiała mu głos. – A teraz... mnie nie widzicie!**

**–Ten chłopak oszalał! – stwierdził pan Pennyfeather.**

**–Wylóż stamtąd, Stanley – powiedziała Kitty całkiem innym tonem. Nagle, nie wiadomo dlaczego, serce zaczęło jej walić jak młot.**

–Ja jestem Stanley? – zapytała głowa. – Stanley... Mhm, podoba mi się, może być. Porządne, uczciwe brytyjskie imię. Panu G by odpowiadało.

Teraz obok Kitty stanął Fred.

–Hej... – zdawał się zbity z tropu, co było raczej niezwykle. – Czemu tak mu się zmienił głos?

Głowa zatrzymała się i trwała w martwym bezruchu, a potem przechyliła się kokieteryjnie.

–No dobrze – oznajmiła. – Oto jest pytanie. Zastanawiam się, czy ktokolwiek by na nie odpowiedział.

Dziewczyna powoli zrobiła krok w tył. Fred miał rację. Głos nie przypominał już głosu Stanleya, jeśli w ogóle kiedykolwiek był do niego podobny.

–Och, dziewczynko, nie próbuj uciekać. – Głowa energicznie zatrzęsała się w przód i w tył. – Bo będzie tylko zamieszanie. No, przypatrzmy się wam.

Z sarkofagu wyłoniły się kościotrupie palce, wystające z podartego czarnego rękawa. Głowa przechyliła się na bok. Z czułością palce te uniosły kominiarkę z twarzy i usadowiły ją na bakier na szczycie głowy.

–Teraz lepiej – stwierdził głos. – Teraz dokładnie się nawzajem widziemy.

Twarz pod kominiarką nie należała do Stanleya. Błyszczała złotem, okalała ją grzywa siwych włosów.

Anne zaskowyczała i popędziła ku schodom. Głowa drgnęła, zaskoczona.

–Cóż za tupet! Nawet się sobie nie przedstawiliśmy!

Nagle szarpnięcie kościanego nadgarstka – stwór wydobył coś z wnętrza sarkofagu i cisnął poprzez kryptę. Kryształowa kula z trzaskiem wylądowała u stóp schodów i potoczyła się, zagradzając drogę Anne. Kobieta wrzasnęła i upadła do tyłu, na posadzkę.

**Wszyscy członkowie grupy patrzyli na to. Teraz zaś powoli obrócili się z powrotem ku sarkofagowi, gdzie coś właśnie dźwigało się na nogi, sztywno i niezgrabnie, z klekotem kości. Wreszcie wyprostowało się, otulone ciemnością. Potem otrzepało kurz z surduta i mrucało pod nosem jak zrzędliva, starsza pani.**

–Spójrzcie tylko na ten bałagan! Pan G byłby niezadowolony. A te robaki, naprawdę, bardzo zniszczyły mu bieliznę. Dziury są nawet tam, gdzie słońce nie dochodzi.

Istota nagle zgięła się w pół i wyciągnęła rękę. Długie, kościste palce uniosły wywróconą latarnię leżącą na podłodze obok sarkofagu. Istota trzymała ją niczym strażnik i przy jej blasku kolejno oglądała sobie przerażone twarze włamywaczy. Kręgi szyi zgrzytały przy ruchach skrytej maski czaszki, a sama maska pobłyskiwała matowo otoczona wieńcem długich, siwych włosów.

–A zatem... – Głos dobiegający zza maski nie mówił jakimś określonym tonem. Zmieniał się wraz z każdą sylabą, wpierw wysoki jak u dziecka, potem niski i chrapliwy. Wpierw męski, potem żeński, następnie podobny do warczenia bestii. Mówiący albo nie mógł się zdecydować, albo rozkoszował się różnorodnością.

–A zatem – rzekł trup. – Jesteście tutaj. Pięć samotnych dusz, głęboko pod ziemią, nie mających dokąd uciec. Czy moglibyście łaskawie zdradzić mi wasze imiona?

Kitty, Fred i Nick stali bez ruchu w połowie drogi do metalowej kraty. Pennyfeather tkwił dalej skulony pod murem, pod półką. Anne znajdowała się najbliżej schodów, ale leżała i szlochała bezgłośnie. Żadne z nich nie potrafiło zmusić się do odpowiedzi.

–Och, powiedzcie. – Złota maska przechyliła się na bok. – Staram się być miły. Co, jak sądzę, jest z mojej strony wyjątkową uprzejmością, zważywszy na to, że dopiero co obudziłem się, widząc nad sobą jakiegoś lubieżnie uśmiechniętego prostaka w za dużej czapce, który grzebał w moich rzeczach. Co gorsza... Popatrzcie na to rozdarcie na moim pogrzebowym surducie! To wszystko jego sprawka, przez tę szamotaninę. Ach, te dzisiejsze dzieci. To mi o czymś przypomniało. Jaki mamy teraz rok? Ty mi odpowiedz, moja panno. Jedyna nie kwilisz. Mów!

Kitty miała tak spierzchnięte wargi, że ledwie wykrztusiła z siebie słowa. Głowa w złotej masce kiwnęła.

**–Tak właśnie myślałem, że minęło sporo czasu. A czemuż? Powie  
dzielibyście, że przez tę nudę. I mielibyście rację. Ale także przez tę  
udrękę! Ach, ból, w jaki byście nie uwierzyli! Przez to nie mogłem się  
skupić, przez mękę i samotność, i hałas robali, gryzących w ciemności.  
Ktoś mniej odporny straciłby zmysły. Ale nie ja. Lata temu poradziłem**

sobie z bólem, a resztę przetrzymałem. A teraz, mając odrobinę światła i nieco towarzystwa, z którym mogę pogawędzić, jeśli mogę was tak nazwać, czuję się już dobrze.

Szkielet pstryknął trupimi palcami i szybko poruszył jednym z nich z boku na bok.

–Nieco sztywny. Nic dziwnego, nie zostały żadne ścięgna, ale wciąż jest na chodzie. Wszystkie kości na miejscu i w porządku? Sprawdźmy.

Wszystkie rzeczy z grobu też? Och, nie...

Głos stał się jakby tęskny.

–Weszły tu jakieś małe myszki i je podwędziły. Niegrzeczne, małe myszki... Trzeba je złapać za ogonki i wyrwać im wąsiki.

Kitty powoli wsadziła rękę do plecaka, pod płaszcz i inne przedmioty, aby wymacać kulę żywiółów. Dotarła do niej i złapała ją wilgotną dłonią. Poczowała, że obok Fred robi to samo, choć mniej delikatnie. Bała się, że potwór zaraz usłyszy szelest. Zatem odezwała się, bardziej po to, by odwrócić uwagę istoty, niż z nadzieją, że jej wysłucha.

–Proszę, wielmożny panie Gladstone – wybąkała. – Mamy tutaj całą pana własność, chętnie ją panu oddamy i położymy dokładnie tam, gdzie była.

Czaszka z nieprzyjemnym zgrzytem obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni, aby spojrzeć za siebie. Nie dojrzawszy tam nikogo, istota pokręciła nią ze zdziwieniem, po czym czerep obrócił się z powrotem.

–Do kogo mówisz, dziewczynko? – zapytał. – Do mnie?

–Ee... Tak, ja myślałam...

–Mnie nazywasz panem Gladstoneem? Czy oszalałaś, czy jesteś głupiutka jak gaska?

–No...

–Spójrz na tę dłoń. – Ku światłu uniosło się pięć kościstych palców i obróciło się na guzowatym nadgarstku. – Popatrz na tę miednicę, na te żebra.

Za każdym razem palce odsuwały nieco zgniłe ubranie i ukazywały na chwilę pożółkłe kości.

**–Spójrz na tę twarz.**

**Istota na chwilę odchyliła maskę i Kitty zobaczyła wyszczerzoną czaszkę o pustych oczodołach.**

**–Z całym szacunkiem, dziewczynko, czy pan Gladstone wygląda dla**

**ciebie na żywego?**



–Ee... Nie całkiem.

–„Nie całkiem...” Odpowiedź brzmi: nie! Nie, nie wygląda. Dlaczego, zapytasz. Bo jest martwy. Martwy od stu dziesięciu lat i gnije w swym grobie. „Nie całkiem”. Co to w ogóle za odpowiedź? Naprawdę, jesteście stadem baranów, ty i twoi przyjaciele. Jeśli już o tym mowa... – Istota wskazała kościstym palcem brązową plakietkę z boku sarkofagu. – Czy wy nie umiecie czytać?

Oniemiała Kitty potrząsnęła głową. Szkielet z drwiną klepnął się palcami w czoło.

–Nie umiecie czytać po sumeryjsku i idziecie myszkować w grobie

Gladstonea! Zatem nie widzieliście słów Aby Przesławny Wódz mógł

Spoczywać W Spokoju?

–Nie, nie widzieliśmy. Bardzo nam przykro.

–Ani nic o „wiecznym strażniku” albo „okrutnej zemście”, czy o tym, że „nie zostaną przyjęte żadne przeprosiny”?

–Nie, nic takiego.

Dziewczyna kątem oka widziała, jak Fred nieco obniża swoją torbę, prawą rękę nadal miał w środku. Był już gotów.

–Czegóż możecie zatem oczekiwać? Za niewiedzę trzeba płacić, a w tym wypadku zapłatą jest nieprzyjemna śmierć. Ci, co byli tu pierwsi, też wylewnie przepaszali. Powinniście ich zobaczyć, jak padli na kolana i wołali o zmiłowanie. To oni tam są. – Wystawił kościsty kciuk ku fałszywej ścianie. – Niecierpliwie z nich były ptaszki. Zjawili się w kilka tygodni od pogrzebu. Jeden był osobistym sekretarzem pana G, jeśli dobrze pamiętam, bardzo lojalną personą. Udało mu się dorobić drugi klucz i jakoś odeprzeć Pomora. Schowałem ich tylko po to, żeby posprzątać. Jeśli bę-

**Kościotrup przerzucił nad brzegiem sarkofagu jedną, sztywną i schowaną w spodniach, nogę. Spojrzenia Kitty i Freda spotkały się. Jednocześnie wyciągnęli kule żywiołów ze swych chlebaków i cisnęli nimi w szkielet. Istota z urazą podniosła rękę. Coś niewidzialnego zatrzymało kule. Ciężko upadły na podłogę, gdzie, zamiast wybuchnąć, jakby zapadły się w sobie z wilgotnym, żalonym piskiem. Nie zostało po nich nic, oprócz czarnych plam na kamiennej posadzce.**

**–Naprawdę, nie mogę znieść bałaganu – z wyrzutem oznajmił kościo**

**trup. – Za czasów pana Gladstonea goście byli lepiej wychowani.**

Pennyfeather wyciągnął ze swej torby srebrny dysk. Nachylił się, podpierając się laską i cisnął nim w bok kościotrupa. Dysk wbił się w przedramię okryte zakurzonym garniturem i utkwił tam głęboko. Zza złotej maski rozległ się piskliwy wrzask:

–Moja esencja! Zabolalo. Srebro jest czymś, czego naprawdę niena widzę. Zobacz sam, starcze, jak to jest, gdy ktoś cię atakuje.

Z maski wystrzelił jaskrawozielony pocisk, pomknął prosto w pierś Pennyfeathera i cisnął nim o ścianę. Starzec osunął się na podłogę. Szkielet chrząknął z satysfakcją i odwrócił się do pozostałych.

–To mu da nauczkę – stwierdził.

Jednak Fred znów się poruszył. Wyciągał z jakiś swoich tajemnych zakamarków jeden srebrny dysk za drugim i rzucał nimi w mgnieniu oka. Kościotrup uchylił się przed pierwszym, podskoczył nad drugim, trzeci zaś odciął mu pukiel siwych włosów. Wydostał się już z sarkofagu i zdawało się, że na nowo odkrywa umiejętność poruszania się. Z każdym podskokiem i krokiem stawał się coraz bardziej żwawy, aż wreszcie poruszał się tak szybko, że jego kontury rozplynęły się.

–To dopiero zabawa! – wykrzyknął, kiedy robił uniki i wirował. – Mili

moi, naprawdę, jestem jak najbardziej wdzięczny za to waszym towarzyszom!

Zapas pocisków, jaki miał Fred, zdawał się nieskończony. Wciąż zasypywał nimi potwora, podczas gdy Nick, Anna i Kitty spokojnie wycofywali się ku schodom. Nagle uderzył kolejny, zielony pocisk. Trafił Freda w nogi i sprawił, że chłopak runął na posadzkę, Jednak już po chwili znów stał na nogach, nieco się chwiejąc. Zmarszczył brwi z bólu, ale wciąż było w nim sporo życia.

Kościotrup zatrzymał się, zaskoczony.

–No patrzcie – powiedział. – Naturalna odporność. On odpiera magię.

Nie widziałem tego od czasów Pragi.

Kościsty palec postukał o złote usta.

–Co ja mam zrobić? Zastanawiam się. Pomyślmy... Aha! Jednym susem istota wróciła do sarkofagu i zaczęła w nim szperać.

**–Z drogi, Stanley. Muszę wziąć... tak! Tak myślałem.**

**Znów pojawiła się upiorna ręka, tym razem trzymała ceremonialny miecz.**

**–W tym nie ma żadnej magii. To tylko kawał mocnej, imperialnej  
stali. Myślisz, że odeprzesz to ostrze, panie Pyszczaty? Przekonamy się.**

Istota uniosła miecz nad głową i ruszyła przed siebie.

Fred dotrzymał jej pola. Wyciągnął z kurtki swój nóż sprężynowy i otworzył go z kliknięciem.

Kitty stała przy metalowej kracie, wahała się. Nick i Anne zniknęli już gdzieś w górze schodów. Słyszała odgłosy ich gorączkowej wspinaczki. Spojrzała na Pennyfeathera, któremu również przydała się wrodzona odporność na magię. Przesuwał się teraz na czworakach ku dziewczynie. Kitty, nie zwracając uwagi na swój instynkt samozachowawczy, który prawie wrzeszczał jej do ucha, aby podkułiła ogon i uciekała, popędziła z powrotem do krypty, objęła barki pana Pennyfeathera i zebrawszy wszystkie swoje siły, pociągnęła go w stronę schodów.

Za nią, tam gdzie nie sięgał jej wzrok, Fred warknął z wściekłością. Potem usłyszała świst, a po nim odgłos uderzenia w coś miękkiego.

Kitty pociągnęła Pennyfeathera dalej, z siłą, której się u siebie nie spodziewała.

Przez kratę i kilka pierwszych stopni. Teraz starzec stanął już na nogi. W jednej z dłoni wciąż trzymał laskę, drugą uczeplił się kurtki dziewczyny. Oddychał pospiesznie, płytko, z bólem. Nie mógł mówić. Żadne z nich nie miało latarni, szli wśród kompletnych ciemności. Kitty podpierała się kosturem z grobowca. Zahaczała o każdy stopień.

Gdzieś z tyłu i z dołu dobiegł głos.

–Juhuu! Jest ktoś tam na górze? Małe myszki szurają pod boazerią. Ile myszek? Jedna... dwie. Ojej i jedna jest kulawa.

Twarz Kitty otulały pajęczyny. Pennyfeather dyszał i jęczał.

–Nie zejdzicie tu na dół do mnie? – błagał głos. – Jestem taki samotny.

Żadne z waszych przyjaciół nie chce już ze mną rozmawiać.

Kitty poczuła twarz Pennyfeathera przy swoim uchu.

–Ja... Ja muszę odpocząć.

–Nie. Musisz iść.

–Nie mogę.

–Jeśli nie zejdzicie na dół, to ja... Będę musiał wejść na górę! Głęboko pod ziemią zaskrzypiała krata.

**–Chodź.**

**Jeszcze jeden stopień. I jeszcze jeden. Nie mogła sobie przypomnieć, ile ich było, zresztą i tak straciła rachubę. Na pewno dotarli już prawie do końca. Ale Pennyfeather zwalniał. Ciężko zwisał na jej ramieniu.**

–Proszę – wyszeptała. – Jeszcze trochę.

Starzec zatrzymał się. Poczwała, jak kuca na schodach, z trudem łapie każdy oddech. Na próżno ciągnęła go za ramię, na próżno błagała go o odpowiedź.

–Przepraszam, Kitty...

Wreszcie dała za wygraną. Oparła się o zakrzywioną ścianę, wyjęła nóż zza pasa i czekała.

Szelest ubrania. Klekot w ciemnościach. Kitty uniosła ostrze.

Cisza.

A potem, nagle i szybko, z jednym krótkim i zduszonym krzykiem pan Pennyfeather został wciągnięty w mrok. W jednej chwili był na schodach, w drugiej już zniknął i tylko z dołu dobiegł odgłos wleczenia czegoś ciężkiego po stopniach: bum, bum, bum.

Kitty może na pięć sekund zamarła bez ruchu, a potem rzuciła się w górę schodów. Rozrywała zasłony z pajęczyny, tak gładko, jakby ich tam nie było, obijała się o mur, potykała o nierówne stopnie. Wreszcie dostrzegła przed sobą prostokąt jasnej szarości i wypadła przezeń w przestronny półmrok nawy, gdzie za oknami migotały światła ulic, a posągi magów spoglądały twardo na jej rozpacz i cierpienie.

Pobiegła przez transept, ledwie zdołała ominąć kilka postumentów i wreszcie uderzyła w rząd drewnianych krzeseł. Grzechot tego zderzenia rozległ się w wielkiej przestrzeni świątyni. Minęła jeden ogromny filar, potem drugi. Zwolniła i teraz, mając już wejście do grobowca daleko za sobą, pozwoliła sobie na zadyszany szloch.

I właśnie wtedy uświadomiła sobie, że nie przekręciła klucza w zamku.

–Kitty... – rozległ się cichy głos w ciemnościach. Dziewczynie serce załomotało w piersiach. Cofnęła się, z wyciągniętym przed siebie nożem.

–Kitty, to ja. – Cienki snop światła z małej latarki. Twarz Anne, blada, szarooka. Kobieta kulila się za wysokim, drewnianym pulpitem.

–Musimy stąd wyjść – głos Kitty łamał się. – Jak się idzie do drzwi?

–Gdzie jest Fred? A pan Pennyfeather?

–Anne, którądy do drzwi? Pamiętasz?

–Nie. To znaczy, myślę, że tędy. To takie trudne w ciemności. Ale...

**-No to chodź. Wyłącz latarkę.**



Ruszyła szybko, Anne podążyła za nią, potykając się. Przez pierwsze, wypełnione paniką chwile Kitty po prostu biegła. Niewiele wtedy myślała i nie wiedziała, dokąd zmierza. To przez tę okropną ciemność, tam na dole, od której odrętwiał jej umysł, która nie pozwalała jasno myśleć. Ale teraz, choć nadal było ciemno i pachniało stęchlizną, powietrze zrobiło się świeższe – to zaś pomagało zorientować się, gdzie się znajdują. Wysoko u góry błyszczała linia białych okien. Obie stały więc znowu w nawie głównej, naprzeciwko drzwi do krużganków. Zatrzymała się, poczekała, aż dołączy do niej Anne.

–To zaraz za tym – syknęła. – Idź ostrożnie. – Gdzie...?

–Nie pytaj, – Przeszła jeszcze kilka kroków. – Co z Nickiem?

–Nie ma go. Nie widzę... Kitty zaklęła pod nosem.

–Nieważne.

–Kitty... Zgubiłam torbę.

–To już teraz nie ma znaczenia, prawda? Straciliśmy wszystko.

Kiedy to powiedziała, uświadomiła sobie, że wciąż jeszcze ściska w lewej dłoni czarodziejski kostur. Trochę ją to zaskoczyło. W trakcie rozpaczliwej ucieczki w ogóle o tym zapomniała. Plecak, wraz z płaszczem i innymi cennymi rzeczami, został gdzieś na schodach.

–Co to było?

Zatrzymały się bez ruchu, pośrodku czarnej przestrzeni nawy.

–Nie słyszałam...

–Coś szło drobnymi kroczkami. Nie słyszałaś?

–Nie... Nie, nie słyszałam. Idź.

Jeszcze kilka kroków. Wymacały kolumnę wznoszącą się wysoko nad nimi. Kitty odwróciła się do Anne.

–Za filarem będziemy potrzebować latarki, żeby znaleźć drzwi. Nie wiem, jak daleko już zaszliśmy.

–W porządku.

I w tej właśnie chwili, dokładnie za nimi, rozległo się szurnięcie. Obie pisnęły i skoczyły w

przeciwnie strony. Kitty zawadziła o filar, straciła równowagę i upadła na podłogę. Nóż wypadł jej z ręki. Wstała tak szybko, jak tylko zdołała, i rozejrzała się wokół.

Ciemność. Słysząc było ciche drapanie. Latarka leżała na ziemi, rzucając mizerny snop światła na kolumnę. Anne gdzieś zniknęła.

Powoli, bardzo powoli Kitty oddalała się od kolumny.

Drzwi wiodące na krużganki znajdowały się gdzieś blisko, ale nie wiedziała dokładnie gdzie. Ciągłe trzymając kostur, sunęła przed siebie, z wyciągniętą ręką, na ślepo wymacując drogę wzdłuż południowego muru nawy.

Ku swemu zaskoczeniu i wręcz bolesnej uldze, dotknęła palcami chropowatego drewna, a twarz owionęło jej świeże, rześkie powietrze. Drzwi były niedomknięte. Macała po nich rozpaczliwie, chciała je przesunąć i przecisnąć się za nie.

Właśnie wtedy usłyszała znajomy odgłos. Gdzieś za sobą, w nawie. Stukot laski, podpory chromego człowieka.

Kitty nie ważyła się nawet odetchnąć. Zamarła bez ruchu, tak jak stała, do połowy za drzwiami opactwa.

Stuk, stuk, stuk. Cichuteńki szept.

–Kitty... Pomóż mi...

To niemożliwe. To niemożliwe. Uniosła nogę, aby wyjść na krużganek. Zatrzymała się.

–Kitty... Proszę... – Głos był słaby, odgłosy kroków nieregularne.

Zacisnęła powieki. Wzięła długi, głęboki oddech i wślizgnęła się z powrotem do środka.

Ktoś włókł się środkiem nawy, niepewnie stukając laską. Było zbyt ciemno, aby mu się dobrze przyjrzeć. Zdawał się zagubiony, zmieniał kierunek, pokasywał i wołał jej imię. Kitty patrzyła na niego zza kolumny szybko chowając się za nią, kiedy tylko zdawał się obracać w jej stronę. Wydawało jej się, że poznaje kształt i wysokość sylwetki, a także sposób chodzenia. Głos także brzmiał znajomo, ale mimo wszystko dziewczyna miała złe przeczucia. Istota z pewnością chciała złapać ją w pułapkę. Ona jednak nie mogła teraz po prostu się odwrócić i pobiec, i nigdy już nie dowiedzieć się, czy nie zostawiła tu pana Pennyfeathera, samotnego i wciąż jeszcze żywego.

Potrzebowała latarki.

Słabiutki snop światła wciąż jeszcze padał na filar. Latarka Anne leżała dokładnie tam, gdzie przedtem. Kitty odczekała, aż kulejąca postać pójdzie wzdłuż nawy, a potem cicho, niczym kot, uklękła i wzięła latarkę do ręki. Wyłączyła ją i cofnęła się w mrok.

**Postać jakby wyczuła ten ruch. W połowie nawy odwróciła się i wydała z siebie drżące westchnienie.**

–Jest... tu ktoś?

Kitty, schowana za kolumnę, nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

–Proszę... On mnie zaraz znajdzie – znów rozległ się stukot. Zbliżał się powoli.

Kitty zagryzła wargi. Chciała skoczyć, zapalić latarkę, spojrzeć, kto to. i uciec. Ale strach całkiem ją paraliżował, i ciało nie chciało się poruszyć.

Stuk, stuk... Potem usłyszała, jak laska głucho uderza o kamienie, a zaraz potem dobiegł ją stłumiony odgłos upadającego ciała.

Kitty podjęła decyzję. Wsadziła latarkę w zęby i wyciągnęła z kieszeni niewielki przedmiot – srebrny wisiołek babci Hyrnek, zimny i ciężki. Przełożyła latarkę do ręki, po czym wyszła zza kolumny. Włączyła światło.

Zaraz obok siebie ujrzała kościotrupa, który nonszalancko opierał się o filar, z ręką na biodrze. Złota maska błyszcziała.

–Niespodzianka – powiedział szkielet.

I skoczył na nią.

Kitty wrzasnęła, upadła do tyłu i upuściła latarkę. Prosto przed siebie, w napierającą ciemność wyciągnęła srebrny wisiołek. Powietrze zawirowało, kości skrzypnęły, rozległ się chrapliwy okrzyk.

–To nie fair!

Istota zatrzymała się na chwilę. Po raz pierwszy, dziewczyna zobaczyła jej oczy. Dwa czerwone punkty płonące złością.

Kitty cofnęła się, przed sobą trzymając wisiołek. Spojrzenie potwora podążyło za nią, nie spuszczając spojrzenia z jej kroków, ale jego oczodoły obracały się w ciemnościach, kiedy machała wisiorkiem.

–Odlóż to, dziewczynko – powiedział szkielet zirytowanym głosem. – To mnie parzy. Musi być silne, jeśli to robi, chociaż jest takie małe.

–Odsuń się – warknęła Kitty. Gdzieś za nią znajdowały się drzwi wiodące na krużganek.

**–Mam to zrobić? Wiesz, ja tylko wypełniam rozkaz. Szczerze mówiąc dwa rozkazy. Przede wszystkim mam chronić własność Gladstonea. Zobaczmy. Dobra robota, Honoriuszu. Żadnego problemu. Drugi rozkaz brzmiał: zniszczyć wszystkich intruzów w grobowcu. I jakie wyniki? Dziesięciu na dwunastu. Nieźle, ale mogłoby być lepiej. A ty, mała dziewczynko, jesteś numerem jedenastym.**

**Istota nagle rzuciła się przed siebie. Kitty poczuła, jak kościste palce przecinają powietrze. Z krzykiem uchyliła się, unosząc w górę wisiorek.**

W ciemności trysnął snop zielonych iskier i rozległ się zwierzęcy skowyt.

–Au! A niech cię! Odłóż to!

–Mam to zrobić? – Kitty poczuła za sobą zimny powiew, jeszcze dwa kroki do tyłu i prawie zderzyła się z krawędzią otwartych drzwi. Ominęła je, potem jeszcze krok i już była w krużganku.

Kościotrup stał się teraz ciemnym kształtem, przygarbionym w wejściu. Uniósł pięść.

–Kitty, powinienem zabrać swój miecz – powiedział. – Prawie już się zdecydowałem, że zawrócę i go wezmę...

Nagle kościotrup zeszytniał i uniósł głowę. Coś przykuło jego uwagę. Kitty ostrożnie cofała się korytarzem.

–Gwiazdy... Prawie zapomniałem, jak wyglądają. – Postać w wejściu nagle skoczyła i stanęła na parapecie. Spojrzała ku niebu.

–Jak ich wiele... Są takie jasne i perłowo niebieskie.

Nawet z drugiego końca krużganka, daleko od potwora, Kitty biegnąc słyszała jak istota wciąga powietrze, mamrocze do siebie i cichutko krzyczy z zachwytu. Zdawało się, że całkiem zapomniał o dziewczynie.

–Żadnych kamieni. Żadnych robali. Jaka to odmiana! Żadnej pleśni,

żadnej martwej, pełnej kurzu ciszy. Nic z tych rzeczy. Tyle gwiazd...

I tak wiele przestrzeni...

Kitty minęła róg, a potem popędziła ku drzwiom krużganków.

*Część 4*

*9iathanid*

imuzyna Nathaniela jechała południowymi przedmieściami Londynu. Leżały tu przemysłowe dzielnice, pełne ceglanych zabudowań i alchemicznych fabryk. Nikły czerwony smog stale domami i połyskiwał niesamowicie w słabym blasku słońca. Aby magowie mogli podróżować

szybko i wygodnie, autostradę wiodącą z aerodromu, wzniesiono na nasypie i wiaduktach, ponad labiryntem brudnych slumsów. Ruch był niewielki, dookoła sterczały tylko szczyty dachów. Od czasu do czasu jakieś samotne auto sunęło poprzez morze brudno-czerwonych fal. Nathaniel spoglądał na tę wielką przestrzeń, zatopiony w myślach.

Szofer, jak zwykle, okazał się małomówny. Nathaniel starał się dowiedzieć czegoś o nieszczęściu, które wydarzyło się zeszłej nocy, ale mężczyzna udzielił niewielu odpowiedzi.

–Sam mało wiem – twierdził. – Ale tego poranka pod moim mieszka  
niem, na ulicy zgromadziły się tłumy. Wśród pospólstwa wybuchła panika,  
sir. Byli bardzo wystraszeni. Stało się coś niedobrego.

Nathaniel pochylił się ku niemu.

–Co niedobrego?

–Sądzę, że tu chodzi o jakiegoś potwora, sir.



Potwora? Zechcesz to uściślić? Może to wielki człowiek z kamienia, otulony ciemnością?

–Nie wiem, sir. Zaraz będziemy w opactwie. Spotykają się tam dziś ministrowie.

Opactwo Westminsterskie? Nathaniel z uczuciem wielkiego niedosytu z powrotem oparł się o siedzenie i starał się spokojnie czekać. Wszystko wyjaśni się w stosownym czasie. Całkiem możliwe, że golem znowu uderzył, a wówczas niecierpliwie oczekiwano jego raportu z wyprawy do Pragi. Uporządkował sobie w głowie wszystko, czego się dowiedział. Starał się ułożyć to w jakimś sensownym łańdźcu. Porównał sukcesy z porażkami, tak aby sprawdzić, czy bilans osiągnięć będzie dodatni. Jakkolwiek na to wszystko spojrzeć, ledwie uszedł z życiem.

Jeśli chodzi o zyski, to zadał nieprzyjacielowi dotkliwy cios. Przy pomocy Arlekina odkrył źródło pergaminów, służących do ożywiania golemów i zniszczył je. Dowiedział się, że w całą sprawę zamieszany jest ten straszliwy, brodaty najemnik, a ponad nim jakaś tajemnicza osoba, która dwa lata temu brała udział w spisku Lovelace'a. Istnienie tego zdrajcy stanowiło bardzo ważny fakt. Jednak z drugiej strony, Nathaniel nie wiedział, kim on jest. Oczywiście, trudno było się tego dowiedzieć, jakże mógł to zrobić, skoro nawet wycieńczony Kavka nie znał tego imienia.

Nathaniel przesunął się w fotelu. Przypomnił sobie obietnicę, jaką pospiesznie złożył staremu czarodziejowi. Czescy szpiedzy, dzieci Kavki, najwyraźniej wciąż jeszcze żyli gdzieś w brytyjskim więzieniu. Jeśli tak, to będzie mu niesłychanie trudno doprowadzić do ich uwolnienia. Ale czy to miało teraz jakieś znaczenie? Kavka nie żył! Tak czy siak, dla niego było to już obojętne. O tej obietnicy spokojnie można było zapomnieć. Mimo owej żelaznej logiki, Nathaniel odkrył, że trudno mu wyrzucić tę sprawę z głowy. Ze złością potrząsnął głową i zajął się ważniejszymi rzeczami.

Tożsamość zdrajcy pozostała nieznaną, ale najemnik dał Nathanielowi istotną wskazówkę. Jego pracodawca wiedział o tym, że chłopiec przybył do Pragi i poinstruował zabójcę, co ma robić. Ale o misji Nathaniela postanowiono wszak niemal spontanicznie i trzymano całą sprawę w wielkiej tajemnicy. Mało kto w ogóle o niej wiedział.

A kto wiedział? Nathaniel zliczył te osoby na palcach jednej dłoni. On sam i oczywiście Whitwell – to ona go tam wysłała. Julius Tallow – był

na spotkaniu. Potem jeszcze podsekretarz Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który rozmawiał z Nathanielem niedługo przed odlotem. Whitwell poprosiła go, aby przygotował mapy i dokumenty. I to wszystko. Chyba że... chwileczkę... Chłopca dręczyła lekka niepewność. Tamto spotkanie z Jane Farrar na korytarzu, kiedy ona rzuciła Urok... Czy coś mu się wtedy wymknęło? Ciężko było sobie przypomnieć. Czar nieco zamglił mu umysł... Niedobrze. Nie pamiętał.

Ale i tak krąg podejrzanych był bardzo mały. Nathaniel gryzł paznokcie. Musiał teraz zachowywać się bardzo ostrożnie. Najemnik wiedział wszak jeszcze coś, że jego pracodawca ma wiele sług. Jeśli zdrajca znajdował się tak blisko, jak domyślał się tego chłopiec, to musiał pozostać bardzo czujny. Ktoś potężny w sekrecie kierował golemem, przyglądał mu się z ukrycia. Jego słudzy nie życzyliby sobie, aby Nathaniel dalej prowadził śledztwo. Mogli dybać na jego życie. Będzie musiał trzymać Bartimaeusa blisko siebie.

Pomimo tych trosk chłopiec szczerze się ucieszył, kiedy wiadukty zniżyły się i samochód zbliżył się do centrum Londynu. Tak czy owak, pomyślał sobie, zapobiegł ożywieniu drugiego golema i już choćby przez to zasłużył na pochwałę. Teraz zacznie się śledztwo, zdrajca zostanie zdemaskowany. Pierwsze, co powinien zrobić, to złożenie raportu Whitwell i Devereaux. Na pewno rzuca wtedy wszystko inne i jakoś zareagują.

Ta przyjemna pewność zaczęła nieco słabnąć, kiedy samochód skręcił na Westminster Green. Zbliżając się do Tamizy, Nathaniel zaczął dostrzegać różne niepokojące rzeczy. Na ulicach stały grupki pospólstwa i dyskutowały z ożywieniem. Tu i ówdzie leżał też gruz – rozwalone kominki, odłamki cegieł i potłuczone szkło. Most Westminsterski zamknięty był kordonem Nocnej Policji. Straże sprawdzały wszystkich kierowców, nim puściły ich w dalszą drogę. Kiedy samochód przekroczył rzekę, Nathaniel zobaczył słup dymu, unoszący się nad budynkiem leżącym w dole rzeki. Tarcza zegara tkwiąca niegdyś w bocznej ścianie została strzaskana, wskazówki oderwane i wbite w mury. Na nadbrzeżu wałęsała się jeszcze jedna grupka gapiów, rażąco łamiąc zakaz włączęgostwa.

Samochód minął Parlament i pojechał ku wielkiej, szarej masie Opactwa Westminsterskiego, gdzie Nathaniela opuściły ostatnie resztki

samozadowolenia. Na trawniku przy zachodnim krańcu budynku stało mnóstwo rządowych pojazdów: karetek, furgonetek Nocnej Policji, mrowie błyszczących limuzyn. Wśród nich był też samochód, na którego masce łopotała złota chorągiewka Devereaux. Premier zjawił się tu we własnej osobie.

Nathaniel wysiadł, szybko pokazał swoją legitymację strażnikom przy drzwiach, a potem wszedł do kościoła. Wewnątrz sporo się działo. Magowie z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych tłoczyli się w nawie głównej w towarzystwie impów i mierzyli, zapisywali, przeczesywali kamienie, szukając śladów. Wraz z nimi trudziły się tuziny urzędników Służb Bezpieczeństwa i odziani na szaro funkcjonariusze Nocnej Policji. W powietrzu aż brzęczało od mamrotania.

Nathaniela zauważyła jakaś kobieta z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wskazała mu coś kciukiem.

–Mandrake, oni są w północnym transepcie, przy grobowcu. Whitwell

już czeka.

Nathaniel spojrzał na nią.

–Przy jakim grobowcu? Jej oczy błyszczały.

–Och, sam zobaczysz. Zobaczysz.

Chłopiec ruszył nawą, za nim ciągnął się jego czarny płaszcz. Ogarnęła go wielka trwoga. Dwóch funkcjonariuszy Nocnej Policji stało na straży obok połamanej laski, która leżała na kamiennej posadzce. Roześmieli mu się w twarz, kiedy ich mijał.

Wszedł do północnego transeptu, gdzie w alabastrowym i marmurowym gąszczu tłoczyły się posągi wielkich czarodziejów Imperium. Nathaniel bywał tu już wiele razy, aby w skupieniu spojrzeć na oblicza mędrców. Wstrząsnął nim zatem widok, jaki teraz zobaczył. Połowę posągów pozbawiono twarzy. Ich głowy odłamano i ułożono tyłem do przodu, oderwano też kamienne kończyny. Jeden z magów, w szczególnie szerokim kapeluszu, stał teraz do góry nogami. Były to wręcz odrażające przykłady wandalizmu.

Wszędzie kręcili się odziani na czarno magowie. Coś sprawdzali i robili notatki. Nathaniel, oszołomiony, szedł między nimi, aż wreszcie dotarł na otwartą przestrzeń, gdzie na ustawionych w krąg krzesłach siedzieli już Devereaux i jego starsi ministrowie. Zjawili się wszyscy:

zwalisty, zafrasowany Duvall, drobniutka Malbindi, nijaki Mortensen, grubiutki Fry. Była też Jessica Whitwell, zachmurzona, ręce miała założone na piersi. Na jeszcze jednym krześle, nieco odsuniętym od pozostałych, siedział zaś przyjaciel i powiernik premiera, dramatopisarz Quentin Makepeace. Jego zazwyczaj wesołe oblicze było teraz pełne skupienia i niepokoju. Wszyscy trwali w ciszy i spoglądali w dużą, błyszczącą kulę, która unosiła się z metr nad posadzką. Nathaniel od razu rozpoznał w niej transmisyjny glob kuli strażniczej. Teraz widział w niej coś, co zdawało się widokiem z lotu ptaka na fragment Londynu. Zobaczył, z oddali i raczej niewyraźnie, jakąś niewielką postać, która skakała z dachu na dach. Tam gdzie lądowała, pojawiały się małe, niewielkie eksplozje. Nathaniel zmarszczył brwi, zbliżył się, aby lepiej się temu przyjrzeć...

–A zatem już wróciłeś z pogoni za przewidywaniami? – Za rękaw złapały go poźółkłe palce. Należały do Juliusa Tallowa. Ostry nos maga sterczał, a twarz wyrażała głęboki niesmak. – W samą porę. Bo tu już się rozpętało piekło.

Nathaniel wyrwał mu się.

–Co się dzieje?

–Czy odkryłeś tego tajemniczego osobnika, który kieruje golemem? – głos Tallowa aż ociekał sarkazmem.

–Właściwie nie, ale...

–O, jakaż niespodzianka. Może cię zaciekawi, Mandrake, że kiedy bawiłeś za granicą, ruch oporu znowu uderzył. Nie jakiś tajemniczy golem, nie jakiś tajemniczy zdrajca władający zapomnianymi mocami, ale ten sam, złożony z ludzi ruch oporu, z którym nie zdołałeś się uporać. Nie wystarczyło im zniszczenie połowy British Museum, więc teraz włamali się do grobowca Gladstonea i wypuścili jednego z jego afrytów. Który, jak sam możesz zobaczyć, hasa sobie teraz po mieście.

Nathaniel zamrugał oczami, próbując pojąć, o co chodzi.

–To zrobił ruch oporu? Skąd pan wie?

–Bo znaleźliśmy ciała. Nie było żadnego wielkiego golema z gliny, Mandrake. Możesz sobie dać spokój z tym pomysłem. A my wkrótce stracimy posady, Duvall...

Odwrócił się. Mistrzyni Nathaniela, Jessica Whitwell, wstała z krzesła i majestatycznie

**ruszyła ku chłopcu. Odchrząknął.**

**–Proszę pani, muszę szybko z panią porozmawiać. W Pradze...**

–Uważam, że to stało się przez ciebie, Mandrake. – Pochyliła się nad nim, jej oczy błyszczały wściekłością. – Rozproszyłeś mnie kłamstwami swojego demona i dzięki tobie wyszliśmy na tak niekompetentnych, jak jeszcze nigdy! Zrobiłam z siebie idiotkę i popadłam w niełaskę u premiera. Duvall dziś rano przejął moje Służby Bezpieczeństwa. Stał też na czele operacji przeciwko ruchowi oporu.

–Proszę pani, przykro mi, ale proszę mnie posłuchać...

–Przykro? Teraz już za późno, Mandrake. Fiasko w British Museum było dla nas wystarczająco fatalne w skutkach, ale to już gwóźdź do trumny. Duvall właśnie dostał wszystko, czego chciał. Teraz jego wilki są wszędzie i on...

–Proszę pani! – Nathaniel nie zdołał się już dłużej powstrzymać. – Znalazłem czeskiego czarodzieja, który stworzył pergamin ożywiający golema. Robił właśnie drugi, dla zdrajcy zajmującego wysokie stanowisko w naszych władzach!

Zignorował pełną niedowierzania minę Tallowa. Panna Whitwell spojrzała na niego.

–Kto jest tym zdrajcą?

–Jeszcze nie wiem.

–Masz jakieś dowody? Na przykład ten pergamin?

–Nie. Wszystko zostało zniszczone, ale myślę, że...

–W takim razie – odparła Whitwell, z miazdzącą stanowczością – to niedobrze dla ciebie, jak również dla nas. Londyn wrze, Mandrake, i wszyscy szukają kozła ofiarnego. Zamierzam trzymać się z daleka od ciebie, a jeśli pan Tallow ma choć trochę rozsądku, zrobi to samo.

Obróciła się na pięcie i pomaszerowała ku swojemu krzesłu. Tallow ruszył za nią. Przez ramię szeroko uśmiechał się do Nathaniela. Po chwili wahania chłopiec wzruszył ramionami i podszedł bliżej migoczącej powierzchni kuli. Półafryt przekazujący obraz, zbliżył się do postaci, która skakała po dachach. Obraz powiększył się. Nathaniel zobaczył czarny surdut, siwe włosy, złotą twarz... Potem, w mgnieniu oka, z postaci wytrysnęło zielone światło. Kula rozbłysła szmaragdem i zgasła.

Devereaux westchnął.

–Już trzecia kula zniszczona. Zaraz nam się skończą. No, dobrze. Jakies

komentarze albo raporty?

Mortensen, minister spraw wewnętrznych, wstał i przyglądał kosmyk tłustych włosów.

–Sir, musimy od razu podjąć jakieś działania przeciwko temu demonowi. Jeśli nic nie zrobimy, imię Gladstonea zostanie utaplane w błocie!

Czyż to nie nasz największy przywódca? Ten, któremu zawdzięczamy nasz dobrobyt, naszą dominację, wiarę w nasze siły? A kimże teraz jest?

Niczym więcej, jak morderczym workiem kości, skaczącym sobie po naszej stolicy, a gdzie się nie pojawi, tam sieje zamęt! Plebejusze szybko to dostrzegą, tak jak nasi wrogowie za granicą. Mówię...

Przerwał mu Marmeduke Fry, minister spraw zagranicznych.

–Mamy wiele przypadków zbiorowej paniki, których nie zdołały opanować nawet silne ramiona policji Duvalla,

Rzucił spojrzenie w bok. na szefa policji, który mruknął wściekle.

–Ta istota jest najwyraźniej obłąkana – dodała minister informacji, panna Malbindi. I jak już powiedział Mortensen, jeszcze to ogólne zamieszanie. Szczątki naszego Założyciela skaczą sobie po dachach, dyndają na masztach, tańczą po Whitehall i jeśli wierzyć naszym źródłom, co jakiś czas robią fikolki na targu rybnym Camberwell. Są też pierwsi zabici, zapewne przypadkowo. Młodzi mężczyźni i kobiety, głównie pospólstwo, ale też ważniejsze osoby. Istota twierdzi, że szuka „ostatnich dwóch”, cokolwiek to oznacza.

–Ostatnich dwóch, którzy przeżyli wtargnięcie do grobowca – powiedział Fry. – To przecież jasne. I jedno z nich ma Laskę. Ale naszym obecnym problemem jest fakt, że pospólstwo wie, czyje zwłoki ogląda.

Z obrzeży grupy dobiegł lodowaty głos Jessiki Whitwell.

–Wyjaśnijcie mi – powiedziała – czy to naprawdę są kości Gladstonea?

To nie jest jakieś przebranie?

Panna Malbindi uniosła drobne brwi.

–To na pewno jego kości. Weszliśmy do grobowca i sarkofag był pusty. Uwierzcie mi, jest tam

wiele ciał, ale nasz Założyciel zniknął.

–Dziwne, prawda? – po raz pierwszy odezwał się Makepeace. – Straż-niczny afryt zamknął swoją esencję w tych kościach. Dlaczego? Kto wie?

–Akurat to nie jest ważne – odparł Devereaux formalnie. Uderzył pięścią we wnętrze dłoni. – Najważniejsza sprawa, to jak się tego pozbyć. Póki nie zostanie zniszczone, godność naszego kraju jest wystawiona na szwank. Chcę, żeby ten stwór był martwy, a kości wróciły do ziemi. Od tego



popołudnia każdy minister musi skierować do tej sprawy swojego demona. Mam na myśli was wszystkich. Pomniejsi ministrowie do tej pory najwyraźniej nie dali sobie rady. To coś jest, jakby na to nie spojrzeć, Gladstoneem. Ma pewną moc. Tymczasem trzeba jeszcze zająć się sprawą jego Laski.

–Tak – odparł Fry. – Na dłuższą metę to jest znacznie ważniejsze. Jako że w Ameryce wybuchła wojna...

–To nie może się dostać w ręce wroga. Gdyby zdobyli ją Czesi...

–Dość.

Potem przez chwilę panowała cisza.

–Proszę o wybaczenie. – Nathaniel przysłuchiwał się tej rozmowie z cichym szacunkiem, ale nie zdołał opanować swej frustracji.

–Czy mówimy o Lasce Gladstonea? Tej, której użył do zniszczenia Pragi?

Devereaux spojrział na niego chłodno.

–Cieszę się, że wreszcie raczyłeś do nas dołączyć, Mandrake. Tak, chodzi o tę samą Laskę.

–Zatem, jeśli zdołamy opanować jej Słowa Rozkazu, możemy wykorzystać jej moce w naszych nowych kampaniach?

–My albo nasi wrogowie. Obecnie nie wiadomo, gdzie ona jest.

–Na pewno? – spytała Helen Malbindi. – Ten... szkielet czy afryt, czy cokolwiek to jest, nie ma tej Laski?

–Nie. Ma na plecach torbę, w której, jak sądzimy, trzyma większość skarbów Gladstonea. Ale sama Laska zniknęła. Musi ją mieć jeden z rabusiów.

–Zamknęliśmy porty i lotniska – oznajmił pan Mortensen. – Kule pilnują wybrzeża.

–Proszę wybaczyć – spytał Nathaniel – ale jeśli Laska cały czas była w opactwie, to czemu wcześniej jej nie użyliśmy?

Kilku magów drgnęło na swych krzesłach. Oczy Duvalla błyszczały.

–To miało być spotkanie starszych członków rady, a nie żłobek. Ru-

**percie, proponuję, żeby usunąć stąd tego podrzutka.**

**–Henry, chwileczkę – Devereaux zdawał się równie poruszony, jak**

**jego ministrowie, ale wciąż mówił uprzejmie. – Chłopiec ma rację. Man**

**drake, przyczyną jest obawa przed taką katastrofą, jak ta. Na łożu śmierci**

**Gladstone poprzysiągł zemstę każdemu, kto naruszy jego pośmiertny**

spokój, a wszyscy wiemy, że jego moc trudno przecenić. Nie wiadomo, jakie umieścił heksy czy wezwał demony, ale...

–Przeprowadziłem w tej sprawie niewielkie śledztwo – odezwał się Quentin Makepeace, przerywając premierowi z uśmiechem. – Gladstone zawsze mnie ciekawił. W trakcie pogrzebu w grobowcu zamknięto Pomora, niezbyt potężnego, jednak nie był on czymś, co łatwo dawało się ominąć. Przygotowaniem sarkofagu zajął się osobiście Gladstone. Ze źródeł współczesnych tych wydarzeń wynika, że magiczna aura emanująca z jego ciała zabiła kilka impów, które trzymały świece podczas uroczystości. Jak gdyby to nie było już wystarczającym ostrzeżeniem, niedługo po jego śmierci kilku czarodziejów zignorowało jego zakazy i ruszyło po Laskę. Zatrzymali Pomora, zeszli do krypty. I nikt ich już więcej nie zobaczył. Ich współnicy, czekający na zewnątrz, usłyszeli jak coś zamyka drzwi od wewnątrz. Od tamtej pory nikt nie był na tyle głupi, aby sprawdzić siłę zabezpieczeń pozostawionych przez starca. Aż do

–Sądzie, że to sprawka ruchu oporu? – zapytał Nathaniel. – Jeśli zostały jakieś ciała, musiały dostarczyć dowodów. Chciałbym...

–Mandrake, wybacz – przerwał mu Duvall – ale to już nie twoja sprawa. Teraz zajmuje się tym policja. Starczy wspomnieć, że śledztwo prowadzić będą moje Szare Grzbiety.

Szef policji odwrócił się do premiera.

–Rupercie, myślę, że nadeszła chwila, aby powiedzieć kilka przykrych słów. Ten chłopiec, Mandrake, został wyznaczony do tego, aby ścigać ruch oporu. A teraz Opactwo Westminsterskie, miejsce spoczynku wielkich osobistości, zostało zdemolowane. Grób Gladstonea jest zbezczeszczone. Laska skradziona. A chłopiec niczego nie zdziałał.

Devereaux spojrział na Nathaniela.

–Masz coś do powiedzenia?

Przez chwilę chłopiec zastanawiał się, czy opowiedzieć o wydarzeniach w Pradze, ale wiedział, że to nic nie da. Nie miał dowodów. A poza tym, bardziej niż pewne było, iż zdrajca właśnie tu siedzi i na niego patrzy. Musiał grać na zwłokę.

–Nie, sir.

–Mandrake, jestem rozczarowany, bardzo rozczarowany. – Premier odwrócił się. – Panie,

**panowie – powiedział. – Musimy śledzić pozostałości ruchu oporu i odzyskać Laskę. Każdego, komu się powiedzie, nie minie**

sowita nagroda. Po pierwsze, musimy zniszczyć szkielet. Zbierzcie swoich najlepszych magów – spojrzal na zegarek – w przeciągu dwóch godzin. Chcę, żeby wszystko było załatwione. Czy to jasne? Rozległ się stłumiony pomruk aprobaty.

–Zatem uznaję naradę za zakończoną.

Grupa ministrów wyszła z opactwa. Panna Whitwell i Tallow, zatroskani, trzymali się z tyłu. Nathaniel nie miał zamiaru podążać za nimi. Bardzo dobrze, pomyślał. Ja też będę trzymał się z dala od ciebie. Sam zajmę się śledztwem.

Na ławce w nawie głównej siedziała jakaś młoda czarodziejka i zaglądała do swego notesu. Chłopiec wyprostował ramiona i podszedł do niej tak dziarskim krokiem, do jakiego tylko zdołał się zmusić.

–Witaj, Fennel – powiedział szorstko. – Kiepska sprawa.

Kobieta spojrzała na niego zaskoczona.

–Och, Mandrake. Nie wiedziałam, że jeszcze tu jesteś. Faktycznie, kiepska sprawa.

Ruchem głowy wskazał grobowiec.

–Udało się dowiedzieć jeszcze czegoś o nich?

Wzruszyła ramionami.

–O ile to coś warte. Wedle dokumentów, jakie miał przy sobie starzec, nazywał się Terence Pannyfeather. Miał sklep z materiałami dla artystów w Southwark. Pozostali byli znacznie młodszy. Mogli pracować z nim w sklepie. Jeszcze nie znamy ich nazwisk. Właśnie idę do Southwark, żeby się zapoznać z jego dokumentami.

Nathaniel zerknął na zegarek. Zostały jeszcze dwie godziny do przyzwania. Miał czas.

–Pójdę z tobą. Chociaż, jeszcze jedno... – Zawahał się, serce zabiło mu nieco żywiej. – Wracając do krypty... czy wśród nich była dziewczyna

**na? Szczupła z czarnymi, prostymi włosami?**

**Fennel zmarszczyła czoło.**

**–Nie wśród ciał, jakie widziałam.**

**–Dobra. Dobra. A zatem, możemy iść?**

**Pod sklepem stali krzepcy funkcjonariusze Nocnej Policji, a jego wnętrze starannie przeczyszczyli magowie z różnych ministerstw. Nathaniel**

i Fennel pokazali swoje legitymacje i weszli. Nie zwrócili uwagi na prowadzone właśnie poszukiwania skradzionych artefaktów i zaczęli szperać w stercie ksiąg rachunkowych, które znaleźli w rogu. W ciągu kilku minut Fennel znalazła jakąś listę nazwisk.

–To lista płac jego pracowników – powiedziała. – Sprzed kilku miesięcy. Oni wszyscy mogą być członkami ruchu oporu. Żadnego z nich dzisiaj tutaj nie było.

–Popatrzmy – Nathaniel szybko przebiegł wzrokiem listę. Anne Stephens, Kathleen Jones, Nicholas Drew... Te nazwiska nic mu nie mówiły. Chwileczkę, jeszcze Stanley Hake i Frederick Weaver. Fred i Stanley, to jasne jak słońce. Trafił na właściwy trop, ale wciąż nie mógł znaleźć Kitty. Przewertował strony, spojrzął na płatności z kolejnych miesięcy. Znowu to samo. Oddał księgę Fennell, postukał palcami o szklaną ladę.

–Jeszcze jest jedna, sir.

–Nieważne. Już to widziałem... Czeka! – Nathaniel prawie wyrwał papier z rąk Fennel, przyjrzał mu się z bliska, potem spojrzął raz jeszcze. To było to, ta sama lista, ale z drobną różnicą: Anne Stephens, Kitty Jones, Nicholas Drew... Bez wątplenia: Kitty Jones i Kathleen Jones, to jedna i ta sama osoba.

Przez długie miesiące łowów, Nathaniel przeglądał rządowe dokumenty w poszukiwaniu Kitty i niczego nie znalazł. Teraz już wiedział, że cały czas poszukiwał nie tego imienia.

–Nic panu nie jest, panie Mandrake? – Fennel patrzyła na niego z niepokojem.

Wszystko ułożyło się na swoich miejscach.

–W porządku, nic mi nie jest. To tylko... Uśmiechnął się do niej, poprawił mankiet.

–Myślę, że chyba przyszedł mi do głowy niezły pomysł.

*Bartimaeus*

o było największe zbiorowe przywołanie, w jakim brałem udział od wielkich dni Pragi. W olbrzymiej komnacie, zbudowanej w tym celu w trzewiach Whitehall, zjawilo się mniej więcej czterdzieści dżinów. Jak to zwykle bywa w takich zapanował bałagan, mimo najlepszych chęci czarodziejów. Wszyscy magowie stali w schludnych rzędach identycznych pentagramów, mieli na sobie takie same czarne ubrania i wypowiadali słowa zaklęć. Uczestniczący w całej operacji uczniowie zapisywali ich imiona na tablicach umieszczonych z boku. Oczywiście nas dżinów mniej obchodziła kwestia jednolitości. Przybyliśmy pod czterdziestu bardzo różnymi postaciami. Wyraziliśmy naszą indywidualność rogami, ogonami, tęczowymi kryzami, kolcami i mackami. Mieniliśmy się kolorami, począwszy od obsydianowej czerni, a skończywszy na żółci mleczów. Prawdziwa menażeria, pełna wrzasków i pisków, spowita obłokami siarki i nurzająca się wśród różnych odorów. Z czystej nudy przybrałem jedną z moich ulubionych kiedyś postaci: skrzydlatego węża o srebrnych piórach wystających zza głowy\*. Po mojej

\* Ta postać robiła wrażenie na Jukatanie, gdzie mógłbyś sobie obejrzeć kapłanów turlających się po stopniach piramidy albo nurkujących w jeziorach pełnych aligatorów, wszystko tylko po to, aby uniknąć mego hipnotyzującego spojrzenia. Na chłopcu nie wywarło to jednak takiego wrażenia. W odpowiedzi na grozę mego ciała ziewnął, podłubał palcem w zębach i zaczął coś bazgrać w notesie. Czy mi się tylko wydaje, czy dzisiaj dzieci po prostu widziały już zbyt wiele?

prawej stronie było jakieś ptaszysko na patykowatych nogach, a z lewej niesamowite kłębowisko niebieskozielonego dymu. Za nim stał ośliniony gryf, a jeszcze dalej – bardziej żenujący niż wzbudzający przestach, klocowaty, nieruchomy podnózek. Wszyscy zwróciliśmy się ku naszym mistrzom, czekając na rozkazy.

Chłopiec ledwie zwracał na mnie uwagę. Był zbyt zajęty robieniem notatek.

–Ahem – wąż o srebrzystych piórach kaszlnął uprzejmie. – Ahem.

Nadal żadnej odpowiedzi. Czyż nie jest to wielką nieuprzejmością?

Wzywasz kogoś, a potem go lekceważysz. Kaszlnąłem więc nieco głośniej.

–A-thaniel.

Na to już zareagował. Poderwał głowę, potem szybko się rozejrzał.

–Zamknij się – syknął. – Wszyscy to mogli usłyszeć.

–Co to wszystko ma znaczyć? – spytałem. Myślałem, że mieliśmy spotkać się prywatnie. A



**teraz dołączyli się wszyscy ze swoimi impami.**

**–To sprawa najwyższej wagi. Mamy szalonego demona na wolności. Musimy go zniszczyć.**

**–Jak wypuścicie tych tutaj, to nie będzie jedyny szaleniec na wolności -zamachałem językiem, wskazując w lewo.**

**–Popatrz na tego na końcu. Przybrał postać podnóżka. Dziwne... Ale jakoś ten jego styl mi się podoba.**

**–To jest naprawdę podnóżek. Nikt nie korzysta z tego pentagramu. Teraz słuchaj. Sprawy toczą się szybko. Ruch oporu włamał się do grobowca Gladstonea i uwolnił strażnika jego skarbów. Teraz ten strażnik szaleje po Londynie i robi diabelne zamieszanie. Rozpoznasz go po zapleśniałych kościach i ogólnym smrodzie rozkładu. Premier chce, żeby zniknął. Dlatego właśnie zebrano tę grupę.**

–Nas wszystkich? On musi być silny. Czy to afryt?\*

–Owszem, tak myślimy. Potężny... i kłopotliwy. Ostatnio go widziano, jak wypiął miednicę Gladstonea na paradę Gwardii Konnej. Ale słuchaj, chciałbym, żebyś zrobił coś jeszcze. Jeżeli znajdziesz tego de... afryta, zobacz, czy zdołasz zdobyć od niego jakieś informacje o ruchu oporu: szczególnie o dziewczynie imieniem Kitty. Myślę, że mogła uciec z pewną cenną Laską. Ta istota może podać ci dokładny rysopis.

–Kitty... – Język węża schował się i wysunął ze zdumienia. Dziewczyna z ruchu oporu, nosząca właśnie to imię, już kiedyś stanęła mi na drodze. Jeśli pamięć mnie nie myliła, to ona była tą złośliwą osóbką w wielkich spodniach... No, choć minęło kilka lat, najwyraźniej złośliwość jej nie opuściła\*. Przypomniało mi się coś jeszcze.

–Czy to nie ona gwizdnęła ci magiczne zwierciadło? Zrobił minę jak buldog, który właśnie siadł na krzaku ostu.

–Możliwe.

–A teraz podwędziła Laskę Gladstonea... Wiesz co? Robi karierę.

–To zwierciadło też było niczego sobie.

–Tak, ale musisz przyznać, że nigdy nim nie spustoszonej Europy. Laska to straszliwy przedmiot. I mówisz, że cały czas leżała w grobie Gladstonea?

–Najwyraźniej.

Chłopiec rozejrzał się wokół trwożliwie, ale wszyscy sąsiedni czarodzieje zajęci byli wydawaniem poleceń swoim niewolnikom i przekrzykiwali się w ogólnym harmidrze. Pochylił się ku mnie niczym spiskowiec i szepnął:

–To zabawne. Wszyscy zawsze nazbyt się bali, aby otwierać ten grób.

A teraz jakaś garstka plebejuszy wystrychnęła na dudka cały rząd. Ale ja mam zamiar odnaleźć tę dziewczynę i naprawić to.

Wzruszyłem piórami.

–Zawsze mógłbyś życzyć jej zdrowia i dać sobie spokój.

\* Miałem za sobą kilka bliskich spotkań z afrytami Gladstonea podczas jego podbojów i szczerze mówiąc, nie spieszyło mi się do kolejnych. Istoty te były niesympatyczne za sprawą

**nieprzyjemnego traktowania, agresywne i niespokojne. A nawet jeśli ten afryt kiedyś był niewinny jak dziecko (co mało prawdopodobne), z pewnością sto lat w grobowcu nie zrobiło mu dobrze. \*\* Nie wiem nic jednak o tych spodniach.**

–I pozwolić jej sprzedać Laskę temu, kto da więcej? Nie rozśmieszaj mnie!

Mój mistrz pochylił się nizej.

–Myślę, że dam radę ją wytropić. I kiedy to zrobię... No, sporo czytałem o tej Lasce. Jest potężna, prawda, ale jej Słowa Rozkazu są dosyć proste.

Trzeba silnego maga, żeby zdołał nad nią zapanować. Ale w od powiednich rękach, to kto wie, co można by nią zdziałać?

Wyprostował się, ogarnięty niecierpliwością.

–Co to za opóźnienie? Już powinni nam kazać się rozejść. Mam ważniejsze rzeczy do zrobienia.

–Czekają, aż ten kwiatuszek w kącie zakończy swoją inkantację.

–Kto? Tallow? Co ten idiota wyrabia? Dlaczego po prostu nie przyzwał tej swojej zielonej małpy?

–Sądząc po ilości kadzidła i rozmiarach księgi, jaką trzyma, woła coś dużego.

Chłopiec burknął.

–Jak przypuszczam, stara się zrobić na wszystkich wrażenie jakimś większym demonem. Typowe dla niego. Zrobi wszystko, żeby nie wy paść z łask Whitwell.

Skrzydlaty wąż gwałtownie się odsunął.

–Hej!

–O co teraz chodzi?

–Twoja twarz! Przez chwilę pojawił się na niej naprawdę nieprzyjemny uśmiech. To było przerażające.

–Nie wygłupiaj się. To ty tu jesteś gigantycznym węzem. Tallow już za długo mi siedzi na

karku, to wszystko – zaklął. – On i cała reszta. Nie mogę tutaj nikomu ufać. Co mi przypomina...

Raz jeszcze przysunął się do mnie. Wąż pochylił swoją majestatyczną głowę, aby go wysłuchać.

–Będę teraz potrzebował twojej ochrony bardziej niż kiedykolwiek.

Słyszałeś, co mówił ten najemnik. Ktoś w brytyjskim rządzie doniósł mu, że przybywamy do Pragi.

Pierzasty wąż przytaknął.

–Cieszę się, że wreszcie to załapałeś. Ja już dawno temu doszedłem do tego wniosku. Swoją drogą, uwolniłeś już tych czeskich szpiegów?

Zmarszczył brwi.

–Daj mi szansę! Mam teraz ważniejsze sprawy na głowie. Ktoś, prawie na samym szczycie, kontroluje oko golema i przysparza tutaj kłopotów. Mogą próbować mnie uciszyć.

–Kto wiedział, że lecisz do Pragi? Whitwell? Tallow?

–Tak i jeszcze urzędnik z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Och, i pewnie Duvall.

–Ten włochaty szef policji? Ale on wyszedł ze spotkania, zanim...

–Wiem, że wyszedł, ale jego uczennica Jane Farrar mogła wyciągnąć ze mnie te informacje.

Czy to była gra świateł, czy też chłopiec nieco się zarumienił?

–Wyciągnęła? A jak dokładnie? Skrzywił się.

–Użyła Uroku i...

Ku mojemu rozczarowaniu, tę ciekawą opowieść zakłóciło nagle, a dla zgromadzonych czarodziejów także kłopotliwe, zdarzenie. Krępy, żółty mag Tallow, który stał w pentagramie na krańcu kolejnego rzędu, wreszcie zakończył swoją długą i złożoną inwokację, a potem napiął odziane w prążkowaną materię ramiona i opuścił księgę, z której czytał. Minęło kilka sekund. Czarodziej, dysząc ciężko, oczekiwał odzewu na dokonane przyzwanie. Nagle, ze środka drugiego pentagramu zaczęła wyłaniać się kłębiąca kolumna czarnego dymu, trzaskały w niej niewielkie, żółte widełki błyskawic. Takie rzeczy trochę się już opatrzyły, ale trzeba przyznać, że to nieźle zrobiono\*.

Czarodziej wybałuszył oczy, ogarnięty chyba złymi przeczuciami. Jak się okazało, słusznie. Dym skupił się w czarną, muskularną postać. Mierzyła dwa metry, łącznie z czterema, ruchliwymi ramionami\*\*.

\* Kilku z nas, którzy unosili się w pobliżu, kątem oka przyglądało się temu z bezstronnym zainteresowaniem koneserów. Studiowanie stylu innych istot, jeśli tylko ma się ku temu okazję, zawsze jest ciekawe, bo nigdy nie wiadomo, kiedy można podpatrzeć jakiś nowy sposób na objawienie się. Za młodu zawsze lubiłem pojawiać się w sposób dramatyczny. Teraz, zgodnie z moim charakterem, skłaniam się raczej ku czemuś bardziej subtelnemu i wyrafinowanemu. No dobra, od czas do czasu zmieniam się w pierzastego węża.

\*\* Ta postać wskazywałaby na to, że dżin miał za sobą pobyt w Hindukuszu. Zadziwiająca, jak długo utrzymują się te wpływy.

Powłócząc nogami, dżin powoli szedł wzdłuż obwodu pentagramu, szukając jego słabych miejsc.

I, ku swemu wyraźnemu dziwieniu, znalazł jedno\*.

Czworo ramion na chwilę zamarło bez ruchu, tak jakby z niedowierzaniem. Potem z dołu postaci wyłoniła się smużka dymu i ostrożnie szturchnęła krawędź pentagramu, sprawdzając ją. Istota uczyniła to tylko dwa razy. Słabe miejsce zostało odnalezione: była to niewielka dziurka w barierze zaklęcia. Natychmiast wyciągnęła się ku niemu macka i zaczęła przenikać przez wyłom. Kiedy się przezeń cisnęła, zwęzła się niemal na grubość włosa, a zaraz za nim się rozszerzała. Dym płynął coraz szybciej. Wzrastał i wzrastał, stając się nabrzmią macką, która wystrzeliła niecierpliwie ku drugiemu pentagramowi, gdzie stał czarodziej, sparaliżowany przerażaniem. Wiatry rozwiały rozmaryn i jarzębinę, które mag ułożył wokół krawędzi kręgu. Dym owionął jego buty, potem gwałtownie ogarnął jego nogi gęstą, czarną kolumną. Mag wydał z siebie kilka niezrozumiałych odgłosów, ale nie zdążył uczynić już niczego więcej. Postać z pierwszego pentagramu zmaląła, aż w końcu zniknęła. Cała jej esencja przeszła szczeliną i okryła swój łup. W czasie krótszym niż pięć sekund cały mag, łącznie ze swoim prążkowanym garniturem, połknięty został przez dym. Nieopodal szczytu kolumny zaśniło triumfalnie kilka błyskawic, a potem słup dymu zanurzył się w podłodze, całkiem, jakby był ciałem stałym. Zabrał ze sobą czarodzieja.

Po chwili w obu pentagramach było już pusto, wyjąwszy znamieny ślad spalenizny w miejscu, gdzie stał Tallow, a także leżącą obok zwęgloną księgę.

W całej komnacie przyzwań panowała cisza. Czarodzieje stali oniemiały, ich sekretarze bezwładnie opadli na swe krzesła.

A potem nagle całe pomieszczenie wybuchło gwarem. Ci magowie, którzy już odpowiednio skrepowali swoich niewolników, wśród nich mój

\* Słowa przyzwania są istotnym wzmocnieniem run i linii wyrysowanych na podłodze. Tworzą niewidzialne pasma mocy, które otaczają pentagram, przeplatają się ze sobą i płaczą, aż powstaje nieprzekraczalna bariera. Ale wystarczy tylko jedno słowo, które pojawi się w troszeczkę złym miejscu i już w całej ochronie powstaje luka, co miewa fatalne konsekwencje. O czym miał przekonać się Tallow.

mistrz, wyszli ze swych pentagramów i zgromadzili się wokół wypalonego śladu. Miny mieli nietęgę, mówili jeden przez drugiego. Z kolei my, istoty wyższe, zaczęliśmy wesołą i pełną uznania pogawędkę. Wymieniłem kilka uwag z zielonym obłokiem i ptaszyskiem o patykowatych nogach.

–Piękne.

–Zrobione z klasą.

–Co za szczęściara. Musisz przyznać, że sama ledwie w to wierzyła.

–Racja, bo jak często zdarza się podobna szansa?

–O wiele za rzadko. Pamiętam taki jeden raz, w Aleksandrii. To był taki młody uczeń...

–Głupiec musiał błędnie wymówić jeden z zamykających rozkazów.

–Albo to, albo błąd w druku. Widziałeś, że czytał prosto z książki? Tak, powiedział „congli” przed „torgui”. Słyszałem go.

–Nie? Naprawdę? Takie błędy to robią początkujący.

–Właśnie. Tak samo było z tamtym młodym uczniem, o którym wspominałem. Począł, aż jego mistrz wyjedzie, a potem... Teraz, nie wierzysz...

–Bartimaeusie, słuchaj mnie!

Chłopiec na powrót wszedł do pentagramu, za nim łopotał jego płaszcz. Inni magowie zrobili to samo, w całej sali. Nagle zaczęli bardziej się przykładać do swej pracy. Moi koledzy z niewoli i ja sam niechętnie odwróciliśmy się do naszych mistrzów.

–Bartimaeusie – powtórzył chłopiec. Głos mu drżał. – Związałem cię, zatem musisz mi służyć. Leć w świat i wytrop zbuntowanego afryta. Rozkazuję, żebyś do mnie wrócił, gdy tylko istota ta zostanie zniszczona.

–Dobra, w porządku. – Pierzasty wąż patrzył na chłopca z pewnym rozbawieniem. Nagle zaczął mnie traktować oficjalnie i urzędowo, mówił o „wiązaniu”, „rozkazach”. To sugerowało, że jest dosyć zdenerwowany

–Co ci jest? – zapytałem. – Zachowujesz się, jakby cię to zaszokowało. Myślałem, że raczej nie przepadałeś za tamtym facetem.

Jego twarz nabrała kolorów.



**–Milcz! Ani słowa! Jestem twoim panem, a ty o tym ciągle zapominasz.**

**Zrobisz to, co ci rozkażę!**

Skończyło się już to nasze wzajemne, konspiracyjne zaufanie. Chłopak znów zrobił się sztywniakiem, tak jak kiedyś. Niesamowite, co może zrobić taki niewielki wstrząs.

Nie było sensu z nim rozmawiać, kiedy miał taki nastrój. Pierzasty wąż odwrócił się więc. Zwinął i wraz z towarzyszami niedoli zniknął z sali.

## 34

ego wieczoru nad dachami Londynu panował straszny ruch. Oprócz mniej więcej czterdziestu dżinów do zadań specjalnych, takich jak ja, którzy po opuszczeniu komnaty w Whitehall mniej lub bardziej ochoczo rozpiechli się na wszystkie strony świata, powietrze pełne było impów i diablików o różnych stopniach nieudolności. Trudno byłoby znaleźć wieżę czy biurowiec bez jednego lub dwóch zacząjonych na dachu w charakterze czujki.

W dole maszerowały bataliony Nocnej Policji, z wyraźną niechęcią przeczesując ulice w poszukiwaniu śladów tego drania afryta. Mówiąc krótko, stolica roiała się od rządowych sług wszelkiego rodzaju. Aż dziwne, że afryt nie został wytropiony w ciągu kilku chwil.

Spędziłem trochę czasu, krążąc po centrum Londynu pod postacią gargulca, bez żadnego konkretnego planu. Jak zawsze moja skłonność do trzymania się z daleka od ryzyka walczyła we mnie z pragnieniem wykonania zadania, co przyspieszyłoby moje wyzwolenie. Problem w tym, że z tymi afrytami to dość śliska sprawa – bardzo trudno je zabić.

Po chwili, z braku lepszego zajęcia, poszybowałem w stronę nieapetycznego, nowoczesnego wieżowca – kaprysu magów, zbudowanego z betonu i szkła – by porozmawiać z pełniącymi tam wartę strażnikami.

Gargulec wylądował z gracją baleriny.

–Hej, wy dwaj. Przechodził tędy szkielet? Gadać szybko. – Było to dość grzeczne zagajenie, biorąc pod uwagę, że siedziały tam dwa małe, niebieskie impy, wieczne utrapienie.

–Tak – odparł natychmiast pierwszy imp.

Czekałem. Imp zasalutował i wrócił do polerowania ogona.

–No więc, kiedy go widzieliście? Którędy się oddalił?

Drugi imp przerwał szczegółową inspekcję własnych palców u nóg.

–Mijał nas jakieś dwie godziny temu. Nie wiem, dokąd się udał. Byliśmy zbyt zajęci chowaniem się. On jest nienormalny.

–W jakim sensie?

Imp zastanowił się chwilę.

–No więc, wy, wyższe duchy, jesteście oczywiście wszystkie dość wredne, ale większość z was jest przewidywalna. Ale ten... mówi dziwne rzeczy. W jednej chwili jest szczęśliwy, a w następnej... zobacz, co zrobił Hibbetowi.

–Mnie tam wygląda na zadowolonego.

–Bo to Tibbet. Szkielet nie złapał Tibbeta. Ani mnie. Powiedział, że nas dorwie następnym razem.

–Następnym razem?

–Tak, był tu już pięć razy i za każdym serwował nam okropnie nudną pogadankę, a potem zjadał jednego z nas. Pięciu z głowy, zostało jeszcze dwóch. Mówię ci, taka kombinacja strachu i nudy nie bierze się znikąd. Myślisz, że wrastają mu paznokcie?

–Nie mam pojęcia. Kiedy ma tu wrócić?

–Za jakieś dziesięć minut, jeśli będzie się trzymał dotychczasowego rozkładu jazdy.

–Nareszcie jakaś konkretna informacja. Poczekam tu na niego.

Gargulec skurczył się, zmałał i stał się niebieskim impem, tylko odrobinę mniej szkaradnym niż pozostałe dwa. Znalazłem sobie miejsce dość daleko, aby wiatr nie niósł ich szpetnego odoru w moją stronę, i usiadłem po turecku na gzymsie z widokiem na linię londyńskich dachów. Była szansa, że jakiś inny dżin złapie afryta, zanim ten powróci tutaj, ale jeśli nie, to ja będę musiał spróbować. Można było tylko zgadywać, dlaczego krążył w kółko po mieście. Prawdopodobnie długie czuwanie w grobowcu nadwątlilo jego umysł. Tak czy inaczej, miałem spore wsparcie w okolicy. Widziałem kilka innych dżinów, szybujących nad pobliskimi ulicami.

Kiedy tam czekałem, nie oddawałem się rozmyśleniom o niebieskich migdałach. Nie ma co, w Londynie działo się wiele dziwnych rzeczy i wszystkie w tym samym czasie. Po pierwsze, sprawiał kłopoty golem, kierowany przez nieznanego operatora. Po drugie, ruch oporu włamał

się do pilnie strzeżonego grobowca i ukradł cenny artefakt. Po trzeciej, co

bezpośrednio wynikało z drugiego, na wolności grasował niezrównoważony afryt, powodując dodatkowe zamieszanie. Wszystko to odnosiło skutek – wśród magów podczas zbiorowego przyzwania wyczuwałem aurę strachu i dezorientacji. Przypadek? Wątpiłem w to.

Wydawało mi się mało prawdopodobne, żeby banda pospólstwa samodzielnie zdołała włamać się do grobowca Gladstonea. Domyślałem się, że ktoś im to zlecił, dając kilka wskazówek, jak przebić się przez pierwszą straż i zejść do krypty. A skoro tak, to ta pomocna osoba albo nie wiedziała o strażniku grobu, albo... wręcz przeciwnie. Wątpiłem, by ta mała Kitty i jej przyjaciele wiedzieli, z czym będą mieć do czynienia.

A jednak przynajmniej ona przetrwała. I teraz, podczas gdy magowie dwoili się i troili, usiłując złapać spuszczonego ze smyczy afryta Gladstonea, po świecie krążyła straszliwa Laska\*. Ktoś zamierzał to wykorzystać, i raczej nie była to ta dziewczyna.

Przywołałem wspomnienie nieznannej inteligencji, którą dostrzegłem w Oku Golema, kiedy stwór próbował zabić mnie w muzeum. Jeśli spojrzeć się na całą tę sprawę bez emocji, nietrudno było sobie wyobrazić, że podobna, tajemnicza obecność stała również za wydarzeniami w opactwie. Czy ta sama? Wydawało mi się to bardziej niż prawdopodobne.

Więc kiedy tak czekałem, oddając się podobnym inteligentnym rozmyśleniom\*\*, przeglądałem jednocześnie plany w oczekiwaniu kłopotów.

\* W latach sześćdziesiątych XIX wieku, kiedy zadziwiająca zdrowie i energia Gladstonea zaczynały słabnąć, staruszek wyposażył swoją Laskę w ogromną moc, by mieć do niej łatwiejszy dostęp. Wpakował do niej kilka bytów, których naturalną agresję dodatkowo wzmacniał fakt, że siedziały stłoczone w jednym sęku wielkości napałka. Powstały instrument był bodajże najsilniejszą bronią od czasów chwały Egiptu. Widziałem ją z daleka podczas wojen prowadzonych przez Gladstone'a, jak kroila noc sierpowatymi rozbłyskami światła. Widziałem też sylwetkę starego – nieruchomą, wyprostowaną, trzymającą Laskę -jedyny statyczny element wśród parabol ognia. Wszystko w jej zasięgu -forty, pałace, grube mury – obracało się w pył; nawet afryty kulily się przed jej mocą. A teraz ukradła ją Kitty. Ciekawe, czy wiedziała, w co się wpakowała.

\*\* Po głowie chodziło mi jeszcze o wiele więcej niewiarygodnie mądrych myśli, którymi nie będę jednak zaprzętał waszych ślicznych główek. Uwierzcie mi na słowo, wszystkie były genialne.

I tak się stało, że po jakimś czasie na siódmej płaszczyźnie dostrzegłem bezkształtną poświatę, zbliżającą się w wieczornym powietrzu. Przemykała między kominami, rozbłyskując wyraźniej, kiedy wchodziła w cień, a chwilami gubiąc się w czerwonym blasku oświetlonych słońcem dachówek. Na planach od drugiego do szóstego poświata wyglądała identycznie; nie miała określonego kształtu. Była to czyjaś aura – ślad czyjejś esencji – ale jej materialnej formy nie sposób było dostrzec. Spróbowałem na pierwszym planie i tam wreszcie zobaczyłem wysaną ze wszelkich barw przez zachodzące słońce człekokształtną postać.

Skoczyła z kalenicy na wiatrowskaz z precyzją górskiego kozła. Balansując na najkrótszym ramieniu, zawirowała jak bąk, po czym dała kolejnego susa. W miarę, jak się zbliżała, do mych uszu zaczęły dobiegać okrzyki, piskliwe niczym śmiech rozbawionego dziecka, dobywające się z jej gardła.

Moich towarzyszy ogarnął nagle niepokój. Przestali dłubać pod paznokciami i polerować ogony, i zaczęli biegać w tę i z powrotem po dachu, usiłując chować się jeden za drugiego i wciągać brzuchy, by były mniej widoczne.

–O, o! – krzyczały. – O, o!

Zobaczyłem, że jeden czy dwa dżiny śledzą skaczącą postać z bezpiecznej odległości. Ciekawiło mnie, dlaczego jeszcze nie zaatakowały. Być może miałem się tego wkrótce dowiedzieć. Postać zmierzała w moim kierunku.

Wstałem, przewiesiłem ogon przez ramię, by schludnie wyglądać, i czekałem. Impy miotały się wokół mnie, piszcząc bez ustanku. W końcu podstawiłem jednemu nogę. Drugi wpadł na niego i wylądował na wierzchu.

–Cisza – warknąłem. – Spróbujcie okazać odrobinę godności. – Spojrzały na mnie w milczeniu. – No, tak lepiej.

–Wiesz co... – Pierwszy imp szturchnął łokciem drugiego, wskazując na mnie. – On może być następny.

–No. Może tym razem pożre jego. Może ocalejemy!

–Schowajmy się za niego. Szybko.

–Ja pierwszy! Ty za mną!

Po czym nastąpił pozbawiony godności popis przepychanek i dreptania, kiedy walczyli ze sobą, by schować się za moimi plecami. Przez następną chwilę byłem całkowicie pochłonięty rozdzielaniem zasłużonych



klapsów, których echo rozlegało się po mieście. W trakcie tego przedstawienia uniosłem oczy. Okrakiem na gzymsie dachu wieżowca, niecałe dwa metry ode mnie, siedział zbiegły afryt.

Muszę przyznać, że jego wygląd mnie zaskoczył.

Nie chodziło o złotą maskę, przedstawiającą pośmiertne rysy wielkiego maga ani o wylażące spod niej rozwichrzone włosy, powiewające na wietrze. Nie dziwiły mnie kościane ręce, spoczywające swobodnie na biodrach, kręgi wyglądające znad krawata ani zakurzony trumienny garnitur, zwisający luźno na kościeju. Żadna z tych rzeczy nie była szczególnie ekscytująca; ja sam przybierałem postać szkieletu dziesiątki razy -któż tego nie robił? Nie, zaskoczył mnie fakt, że to nie była iluzja, ale prawdziwe kości, prawdziwe ubranie i prawdziwa maska na okrasę. Esencja afryta była zupełnie niewidoczna, ukryta gdzieś w szczątkach maga. Nie miał własnej formy – ani na tym, ani na żadnym innym planie. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego\*.

Cokolwiek ten szkielet wyprawiał w ciągu dnia, najwyraźniej nieźle rozrabiał, jako że garnitur był w oplakanyam stanie. Spodnie miały bardzo modne rozdarcie na kolanie\*\*, marynarka na ramieniu była przypalona, a jej mankiet wyglądał jak rozorany szponami. Mój pan pewnie zapłaciłby spore pieniądze za tę kreację, gdyby zobaczył ją w jakimś mediolańskim butik, ale jak dla szanującego się afryta było to dość tandetne wdzianko. Jednakże kości pod materiałem wydawały się kompletne, a stawy chodziły gładko, jak naoliwione.

\* To powszechnie znany fakt, że – oprócz materializacji w ludzkim świecie – musimy przybierać jakąś formę, nawet jeśli jest to tylko smuga dymu czy kropla cieczy. Choć niektórzy z nas mają zdolność stawania się niewidzialnymi na niższych planach, na wyższych musimy posiadać widzialny kształt, to część okrutnych więzów, stworzonych dla nas przez magów. Jako że w Zaświatach nie mamy tak określonej formy, przybieranie jej jest znacznym wysiłkiem i sprawia nam ból. Im dłużej tutaj pozostajemy, tym większy staje się ból, choć zmiana formy może na jakiś czas złagodzić te symptomy. Ale z całą pewnością nie „posiadamy” materialnych przedmiotów. Im mniej mamy do czynienia z ziemskimi rzeczami, tym lepiej, a zresztą taka sytuacja jest surowo zakazana w przepisach dotyczących przywoływania.

\*\* Wystająca z niego koścista rzepka była już mniej trendy.



Szkielet przyjrzał się kupce impów, z głową przekrzywioną na bok. A my staliśmy jak skamieniali, z otwartymi gębami, znieruchomiali w samym środku przepychanki. W końcu przemówił.

–Rozmnażacie się?

–Nie – odparłem. – To tylko taka szorstka, męska zabawa.

–Chodzi mi o ilość. Ostatnio było was dwóch.

–Posiłki – wyjaśniłem. – Wezwali mnie, żebym wysłuchał twojej mowy. I został pożarty, oczywiście.

Szkielet zrobił piruet na krawędzi gzymsu.

–Jak uroczo! – wykrzyknął wesolo. – Jakież komplement dla mojej

elokwencji! Wy, impy, jesteście bardziej inteligentne, niż się wydaje.

Spojrzałem na Tibbeta i jego koleżkę – obaj stali jak słupy solne, z otwartymi, zaślinionymi gębami. Nawet królik w snopie świateł samochodu czułby dla nich pogardę.

–Ja bym na to nie liczył – powiedziałem.

W odpowiedzi na mój ostry jak brzytwa dowcip szkielet roześmiał się śpiewnie i wykonał zaimprovizowane flamenco z uniesionymi ramionami. Jakies pięćdziesiąt metrów dalej ujrzałem dwa inne dżiny; zaczajone za kominem jak młodociane rzezimieszki, czekały i obserwowały\*. Uznałem więc, że gnaty Gladstonea zostały wzięte w okrążenie. Mniej więcej.

–Jesteś w bardzo radosnym nastroju – zauważyłem.

–A dlaczego miałbym nie być? – Szkielet zatrzymał się, klekocząc kośćmi palców jak kastanietami do wtóru kulminacyjnemu przytupowi butów. – Jestem wolny jak ptak! – powiedział. – I dobrze mi tak! To się rymuje, uważasz.

–Taak... brawo. – Imp podrapał się po głowie czubkiem ogona. – Ale wciąż tu jesteś – powiedziałem powoli. – A przynajmniej tak mi się wydaje. Więc nie jesteś tak naprawdę wolny, co? Wolność przychodzi dopiero wtedy, kiedy zrywasz więzy i wracasz do domu.

–Ja też tak sądziłem – odparł szkielet – kiedy siedziałem w tym śmierdzącym grobowcu. Ale teraz już tak nie myślę. Spójrz na mnie! Mogę

\* Jednym z nich był mój kolega z Masowego Przyzwania – ptak ze szczudlastymi nogami.

**Drugi przybrał kształt brzuchatego orangutana. Innymi słowy, przyzwoite, tradycyjne formy; żadnych wyglupów ze spleśniałymi kośćmi.**

chodzić, gdzie chcę, robić, co mi się podoba! Jeśli mam ochotę patrzeć na gwiazdy, mogę patrzeć do wnętrza mego serca. Jeśli mam ochotę przechadzać się wśród kwiatów, mogę robić i to. Jeśli zachce mi się złapać starego człowieka i wrzucić głową naprzód do rzeki, żaden problem! Świat wola do mnie: Chodź, Honoriusie, i rób, co ci się podoba. No więc, impie, ja bym to nazwał wolnością. Ty nie?

Mówiąc to, skoczył ku mnie groźnie. Jego palce wykonywały drobne, kurczowe gesty, a w oczodołach wyzierających zza złotej maski zapłonęły nagle mordercze, czerwone światełka. Pospiesznie odskoczyłem, by znaleźć się z dala od jego rąk. W następnej chwili czerwone światło przygasało odrobinę, a atak szkieletu zamienił się w radosny spacer.

–Spójrz na ten zachód słońca! – westchnął, jakby do siebie. – Jak krew i roztopiony ser.

–Przeuroczy widok – zgodziłem się. Impy mówiły prawdę. Ten afryt miał nierówno pod sufitem. Ale, równo czy nierówno, kilka spraw wciąż mnie zastanawiało.

–Przepraszam, panie Szkielet – powiedziałem. – Jestem skromnym impem o ograniczonym umyśle i zastanawiam się, czy nie zechciałby mnie pan oświecić. Czy wciąż jest pan związany zaklęciem?

Długi, zakrzywiony palec wskazał złotą maskę.

–Widzisz go? – powiedział szkielet głosem przesyconym melancholią. –

To wszystko jego wina. Ostatnim tchnieniem przykuł mnie do tych

kości. Zaklął mnie, bym chronił go przez wieczność i strzegł jego dóbr.

Większość z nich mam tutaj... – Obrócił się, by pokazać mi nowoczesny

plecak zwisający niedorzecznie z jego ramion. – I oczywiście – dodał –

miałem unicestwić każdego, kto zbezczęści jego grób. Słuchaj, dziesięć

na dwanaście osób to w sumie całkiem nieźle, co? Robiłem, co w mojej

mocy, ale dręczy mnie ta dwójka, która uciekła.

Imp spróbował go pocieszyć.

–To bardzo dobrze. Nikt nie spisałby się lepiej. No i pewnie ci pozostali

to byli twardziele, jakich mało, co?

**Czerwone światełko zabłysło na nowo. Słyszałem, jak pod maską zgrzytają zęby.**

**–Jeden z nich był chyba mężczyzną. Nie widziałem. To był tchórz;**

**uciekł, kiedy jego towarzysze walczyli. Ale ona... dziarska z niej była**

**suczka. Chciałbym poczuć jej białą szyję w palcach. Spodziewałbyś się**

–takiej przebiegłości po kimś tak młodym? Miała przy sobie najczystsze srebro. Biedne, stare kości Honoriusa aż zabrzęczały, kiedy próbował zadać jej cios.

–Skandal. – Imp pokręcił smutno głową. – I założę się, że nie zdradziła ci swojego imienia.

–Ona nie, ale ja podsłuchałem. Och, i tak mało brakowało, żebym i ją złapał! – Szkielet wykonał mały pląs wściekłości. – Jej imię brzmi Kitty, i powiadam ci, Kitty umrze, kiedy ją znajdę. Ale nie spiesz mi się. Mam mnóstwo czasu. Mój pan nie żyje, a zresztą, jestem posłuszny rozkazowi i strzegę jego starych kości. Po prostu noszę je ze sobą, i tyle. Mogę chodzić, gdzie chcę, i zjadać każdego impa, jaki mi się spodoba. A szczególnie – czerwone oczy błysnęły – takiego gadatliwego i zadufanego w sobie jak ty.

–Mhmm. – Imp kiwnął głową bez słowa.

–A chcesz wiedzieć, co jest w tym najlepsze? – Szkielet zrobił kolejny piruet (ujrzałem, jak na następnym dachu dżin uskakuje za komin) i pochylił się do mnie. – Nie czuję bólu!

–Mrn-hmmm? – Wciąż milczałem, próbując jednocześnie wyrazić adekwatne zainteresowanie.

–Właśnie tak. Nic nie boli. I właśnie to powtarzam każdemu duchowi, jakiego spotykam. Ta parka – wskazał impy, które do tej chwili zdążyły zebrać w sobie dość ikry, by przeczłogać się na drugi koniec dachu – ta parka słyszała to już kilka razy. Ty, nie mniej obrzydły niż tamci, również zyskałeś przywilej wysłuchania tego. Pragnę się dzielić moją radością. Te kości chronią moją esencję. Nie mam potrzeby tworzyć własnej, wrażliwej na ciosy formy. Siedzę sobie wygodnie w środku, jak pisklę w gniazdku. W ten sposób mój pan i ja jesteśmy zjednoczeni, ku obopólnej korzyści. Jestem posłuszny jego rozkazowi, a jednocześnie mogę robić, co mi się podoba, szczęśliwie i bezboleśnie. I nie mam bladego pojęcia, dlaczego nikt na to nie wpadł wcześniej.

Imp złamał swój ślub milczenia.

–Coś mi wpadło do głowy. Może dlatego, że najpierw mag musi

umrzeć? – zasugerowałem. – Większość magów niechętnie zdecydowałaby

się na takie poświęcenie. Nie przeszkadza im, że nasza esencja wysycha w

materialnym świecie. Prawdę mówiąc, nawet im to odpowiada,

jako że dzięki temu nasze umysły są skoncentrowane. I z całą pewnością

nie chcieliby, żebyśmy chodzili sobie i robili, co nam się żywnie podoba, nie sądzisz? Złota maska przyjrzała mi się z uwagą.

– Jesteś niezwykle impertynencim impem – powiedziała w końcu. – Skonsumuję cię w pierwszej kolejności, jako że muszę podsycić swoją esencję\*. Ale mimo to mówisz do rzeczy. Naprawdę jestem wyjątkowy. Tak jak kiedyś byłem nieszczęśliwy, uwięziony przez długie, ciemne lata w grobowcu Gladstonea, tak teraz jestem najszczęśliwszym z afrytów. Będę krążył po świecie, bez pośpiechu wywierając pomstę na ludziach i demonach. Być może pewnego dnia, kiedy zaspokoję już swoją chęć zemsty, powrócę do Zaświatów – ale jeszcze nie teraz. – Rzucił się z nienacka w moim kierunku; zrobiłem salto w tył, tuż poza jego zasięg, i wylądowałem na tyłku, na samej krawędzi gzymsu.

– Więc nie martwi cię, że straciłeś Laskę? – zapytałem szybko, dając gorączkowe sygnały ogonem do dżina na dachu naprzeciwko. Nadszedł czas, by skończyć z Honorusem i jego megalomanią\*\*. Kątem oka zobaczyłem, jak orangutan drapie się pod pachą. Albo był to subtelny sygnał obiecujący rychłą odsiecz, albo też mnie nie zauważył.

– Laska... – oczy szkieletu błysnęły. – Tak, sumienie trochę mnie gryzie. Ale z drugiej strony, w czym problem? Mają ta cała Kitty. Jest w Londynie i prędzej czy później ją odnajdę. – Rozchmurzył się. – Tak... Z Laską w dłoni, kto wie, czego mógłbym dokonać. A teraz nie ruszaj się, żebym cię mógł pożreć.

Leniwie wyciągnął rękę, najwyraźniej nie spodziewając się dalszego oporu. Podejrzewam, że inne impy, niezbyt stanowcza banda, siedziały

\* Honorius naprawdę oszalał; można to było wywnioskować już z samego faktu, że najwyraźniej nie zadał sobie trudu, aby sprawdzić pozostałe plany. Gdyby to zrobił, zobaczyłby, że jestem impem tylko na pierwszych trzech. Na pozostałych byłem Bartimaeusem, w całej swojej nieopisanej krasie.

\*\* Muszę przyznać, że te brednie były dość interesujące na swój dziwaczny sposób. Od niepamiętnych czasów każdy z nas, od najtwardszego marida po najmniejszego impa, borykał się z dwoma problemami: posłuszeństwem i cierpieniem. Musimy słuchać magów i sprawia nam to ból. Wydawało się, że dzięki rozkazowi Gladstonea, Honorius znalazł sposób na wyrwanie się z tej mami. Ale po drodze zgubił rozum. Kto wolałby zostawać na Ziemi, zamiast wracać do domu?

spokojnie, godząc się z losem. Ale, jak Honorius miał się za chwilę przekonać, Bartimaeus był ulepiony z twardszej gliny. Dałem małego susa między wyciągnięte ręce, wyprysnąłem w górę i przeskoczyłem nad okropną, białą głową, zdzierając z niej w locie pośmiertną maskę\*.

Zeszła bez problemu, jako że trzymało ją tylko kilka splątanych kosmyków brudnych, siwych włosów. Honorius wrzasnął, zaskoczony, i obrócił się na pięcie. Jego ohydnie wyszczerzona czaszka była teraz widoczna w całej okazałości.

–Oddawaj to!

W odpowiedzi imp tanecznym krokiem odbiegł dalej po gzymsie.

–Po co ci ona! – zawołałem przez ramię. – Należała do twojego pana, a on nie żyje. Fuuj! Zębów też nie miał najzdrowszych, co? Jeden trzyma się dosłownie na włosku!

–Oddaj mi moją twarz!

–Twoją „twarz”? To nie jest zdrowe gadanie, jak na afryta! Uups! Poleciała. Ależ ze mnie niezdar. – Z całej siły śmignąłem nią jak małym, złotym frisbee, posyłając w przepaść poza krawędzią dachu.

Szkielet ryknął z wściekłości i puścił trzy Detonacje, jedną po drugiej, aż powietrze zaskwierczało wokół mnie. Imp zrobił salto, skoczył w górę, zanurkował pod gzyms, wyprysnął ponad krawędź, po czym opadł sporo poniżej, gdzie użył przyssawek, by przyłgnąć do najbliższego okna.

Z tej korzystnej pozycji zamachłem jeszcze raz do dwóch dżinów czających się za kominem i gwizdnąłem tak przenikliwie, jak tylko potrafiłem. Najwyraźniej biegłość Honoriusa w puszczeniu Detonacji była powodem ich wcześniejszej ostrożności, ale teraz ujrzałem z ulgą, że szcudłonogi ptak wreszcie się ruszył. Orangutan z ociąganiem poszedł w jego ślady.

Słyszałem szkielet, który stał na gzymsie nade mną, wyciągając szyję, by mnie wypatrzeć. Rozpłaszczyłem się jak najbardziej na szybie. Jak przekonał się teraz Honorius, jeden oczywisty minus jego kościanej egzystencji polegał na tym, że nie mógł zmienić formy. Każdy przyzwoity afryt już dawno wypuściłby skrzydła i zanurkował w dół, żeby mnie znaleźć. Ale że w pobliżu nie było żadnego parapetu czy dachu, na który

\* Przydało się moich sześć impowych palców; każdy miał na końcu małą przyssawkę.

mógłby przeskoczyć, był w kropce. Bez wątpienia zastanawiał się nad następnym posunięciem.

Tymczasem zadziałam ja, Bartimaeus. Jak najostrożniej przesunąłem się po oknie i ścianie za róg budynku. Tam szybciotko wdrapałem się na górę i wyjrzałem znad gzymsu. Szkielet wciąż stał wychylony, w bardzo ryzykownej pozycji. Od tyłu nie wyglądał tak groźnie jak z przodu. Jego spodnie były postrzępione i podarte, i opadały tak tragicznie, że groziło mi, iż zobaczę jego kość ogonową, na co wcale nie miałem ochoty.

Gdyby tylko stał tak jeszcze przez chwilę...

Imp wskoczył na dach i zmienił się z powrotem w gargulca, który na paluszkach ruszył przed siebie z wyciągniętymi rękami.

Właśnie w tej chwili mój plan spalił na panewce, a to za sprawą ptaka i orangutana (teraz dodatkowo przystrojonego pomarańczowymi skrzydłami), które pojawiły się właśnie teraz. Dżiny opadły z nieba tuż przed szkieletem. Każdy z nich wystrzelił magiczny pocisk – Detonację i Piekielny Ogień, dokładnie rzecz biorąc – podwójny cios uderzył w szkielet, odrzucając go do tyłu z krawędzi. Błyskawiczne myślenie to moja specjalność, porzuciłem więc mój pomysł i przyłączyłem się do ataku, dla urozmaicenia decydując się na Konwulsję. Wijące się, atramentowe smugi śmignęły w stronę szkieletu, by zatelepać nim, aż się rozleci, ale na próżno. Szkielet wypowiedział słowo, tupnął nogą i szczątki trzech pocisków odbiły się od niego, wirując, coraz mniejsze i bledsze.

Ptak, orangutan i gargulec odskoczyły w różne strony. Spodziewaliśmy się kłopotów.

Czaszka Gladstonea obróciła się, skrzypiąc, by do mnie przemówić.

–Jak myślisz, dlaczego mój pan właśnie mnie obdarzył zaszczytem zamieszkiwania jego kości? Jam jest Honorius, afryt dziewiątego poziomu, niewrażliwy na magię pospolitych dżinów. A teraz dajcie mi spokój! – Łuki zielonej mocy wytrysnęły, skwiercząc, z jego palców. Gargulec zeskoczył z dachu, by ich uniknąć; ptak i orangutan bez ceremonii złożyli skrzydła i spadli z nieba.

Szkielet odbił się i dał susa na niższy dach, po czym oddalił się we właściwy sobie, dziarski sposób. Trzy dżiny zebrały w powietrzu na na – Nie bardzo podoba mi się ta zabawa – powiedział orangutan.



–Mnie też nie – odparł ptak. – Słyszeliście, co mówił. Jest niewrażliwy. Pamiętam podobny przypadek, jeszcze w starym Syjamie. Był tam taki jeden królewski afryt...

–Jest wrażliwy na srebro – przerwał mu gargulec. – Sam mi powiedział.

–My też – zaprotestował orangutan. – Mnie wypada od niego futro.

–Przecież nie musimy go dotykać. Za mną.

Pospieszne lądowanie na ulicy poniżej skończyło się drobnym wypadkiem. Kiedy kierowca ciężarówki zobaczył nas, wpadł w poślizg, aż zarzuciło przyczepą. Paskudnie, ale mogło być gorzej\*.

Mój towarzysz zatrzymał się, oburzony.

–A ten co? Nigdy nie widział orangutana?

–Zapewne nie ze skrzydłami. Proponuję, żebyśmy zamienili się w gołębie na pierwszym planie. Ale póki co, widzicie tamte sztachety? Wyłamcie ze trzy. Chyba nie są z żelaza, co? Dobra. Idę szukać sklepu jubilerskiego.

Szybka inspekcja dzielnicy handlowej dała świetne rezultaty. Znajdował się tu warsztat produkujący wyroby ze srebra, pyszniący się bogatą wystawą, pełną dzbanków, kuflów z przykrywką, pucharów golfowych i pamiątkowych plaketek, wykonanych z pełną miłości precyzją. Ptak i orangutan, którym udało się zaopatrzyć nas w trzy długie sztachety, strachliwie trzymali się z dala od sklepu, jako że lodowata aura srebra zaczęła przypiekać nam esencję już w połowie ulicy. Ale gargulec nie miał czasu na wahania. Złapałem jedną ze sztachet, zagryzłem zęby, wskoczyłem na parapet i rozbiłem szybę\*\*. Szybkim ruchem nadziałem za ucho na

\* Ciężarówka, która wiozła transport melonów, wpadła w szklaną witrynę sklepu rybnego, wypuszczając na chodnik lawinę lodu i halibuta. Klapa z tyłu przyczepy otworzyła się, melony sypnęły się na ulicę i poturlały, nabierając rozpędu na pochyłości. Kilka rowerów wywróciło się lub zostało zepchniętych do rynsztoka, zanim ucieczkę melonów powstrzymał sklep ze szklivem u stóp wzgórza. Nieliczni piesi, którym udało się uchylić przed toczącymi się pociskami, i tak zostali zwaleni z nóg przez hordę bezdomnych kotów, pędzących w stronę rybnego.

\*\* Wyobraźcie sobie, co czujecie, zbliżając się do szalejącego pożaru. Właśnie tak podziałała na mnie taka ilość srebra – tyle że było zimne.

sztachetę srebrny kufel i oddaliłem się od sklepu, nie zwracając uwagi na płaczliwe krzyki, dobiegające z wnętrza.

–Widzicie? – Zabimbałem kuflem na kij przed moimi z dumionymi

kompanami. – Jedna włócznia jest. Potrzebujemy jeszcze dwóch.

Potrzeba było raptem dwudziestu minut latania tuż nad dachami, żeby na nowo zlokalizować szkielet. To było naprawdę łatwe – po prostu nasłuchiwałem wrzasków. Wyglądało na to, że Honorius przypomniał sobie, jak to cudownie jest straszyć ludzi, i przechadzał się po Embankment, zwieszał się z latarni i wyskakiwał znad nadrzecznego muru, doprowadzając do utraty zmysłów każdego przechodnia. Było to raczej nieszkodliwe hobby, ale byliśmy związani rozkazem, a to oznaczało, że musimy działać.

Każdy z nas miał „włócznię” zaopatrzoną w srebrny przedmiot. Na sztachecie ptaka bujał się srebrny puchar dla mistrza w rzutkach, a orangutan, który przez kilka minut bezowocnie usiłował utrzymać na swoim kij duży tablicę okolicznościową, zadowolili się w końcu koszykiem na tosty. Szybko wyjaśniłem im taktykę i zaczęliśmy podchodzić afryta jak trzy owczarki ścigające upartego barana. Ptak nadleciał wzdłuż Embankment od południa, orangutan od północy, a ja natarłem na niego od strony lądu. Osaczyliśmy go w rejonie Igły Kleopatry\*.

Honorius najpierw zobaczył ptaka. Wystrzelił kolejny druzgocący strumień mocy, przemknął między krzywymi nogami ptaka i unicestwił publiczny ustęp. Tymczasem orangutan śmignął do przodu jak strzała i cisnął koszyczek do tostów między łopatki Gladstonea. Nastąpił wybuch zielonkawych iskier, czuć było swąd palonego materiału. Szkielet skoczył wysoko w powietrze. Opadł na ziemię z bolesnym okrzykiem, dał susa w stronę ulicy i o włos minął się z moim nadlatującym kuflem.

–Aaach! Zdrajcy! – Następny pocisk Honoriusa przeleciał gargulcowi

koło ucha. Kiedy afryt robił co mógł, by nie stracić z oczu mojej

uciekającej postaci, ptak podkradł się bliżej i połaskotał jego kościstą nogę

\* Igła Kleopatry to piętnastometrowy, egipski obelisk, ważący sto osiemdziesiąt parę ton, który nie ma absolutnie nic wspólnego z Kleopatry. Coś o tym wiem, skoro byłem jednym z robotników, którzy wzniesli go dla Tutmozisa III w roku 1475 p.n.e. Jako że postawiliśmy go na piachu w Heliopolis, byłem lekko zaskoczony, widząc go w Londynie 3500 lat później. Widocznie ktoś go ukradł. Takie czasy. Niczego nie można spuścić z oczu.

pucharem. Gdy szkielet odwrócił się, by stawić czoło nowemu zagrożeniu, koszyczek do tostów znów zabrał się do roboty. I tak to szło. Choć szkielet wił się i kręcił, jedna lub druga srebrna broń zawsze wkraczała do akcji za jego plecami. Nie trzeba było długo czekać, by jego ataki stały się chaotyczne i bezsilne. Był bardziej zainteresowany rejteradą niż szarżą. Wyjął i przeklinając, wycofywał się na drugą stronę Embankment, coraz bliżej i bliżej muru nad rzeką.

Cała nasza trójka zbliżała się do niego z wielką ostrożnością. Przez chwilę nie mogłem się zorientować, dlaczego ta sytuacja wydaje mi się tak niezwykła. W końcu zrozumiałem – to było polowanie i choć jeden raz to ja byłem myśliwym. Zwykle bywało odwrotnie.

Po kilku minutach przyparliśmy szkielet do podstawy obelisku. Czaszka obracała się gorączkowo w prawo i w lewo, błyskając czerwono oczodołami i szukając drogi ucieczki.

–Honoriusie – powiedziałem – to twoja ostatnia szansa. Rozumiemy,

jaki przeżyłeś stres. Jeśli z własnej woli nie możesz się uwolnić z tych

kości, bez wątpienia któryś z dzisiejszych magów może ci w tym pomóc.

Poddaj się teraz, a ja poproszę mego pana, by poszukał potrzebnego za

klęcia.

Szkielet wydał piskliwy wrzask pogardy.

–Poprosisz swojego pana? Czy to naprawdę będzie takie proste? Jesteście w takiej dobrej komitywie? Szczerze wątpię. Wy wszyscy staliście się ofiarami zachcianek waszych ludzkich panów, tylko ja jeden jestem wolny!

–Jesteś uwięziony w worku gnijących kości – odrzekłem. – Spójrz na siebie! Nie potrafisz nawet zmienić się w ptaka czy rybę, by uciec.

–Jestem w lepszej sytuacji niż ty – warknął szkielet. – Ile lat już dla nich pracujesz? Zmieniaj sobie kształt, ile chcesz. Ale fakt pozostaje faktem, traktują cię jak niewolnika, groźbami i kajdanami przykuwają do zadania. Ooo, popatrzcie, teraz jestem impem, a teraz diablikiem! A kogo to obchodzi? Też mi coś!

–Raczej gargulcem – mruknąłem. Ale bardzo po cichu. Jego słowa trafiły w czuły punkt.

–Gdybyś miał możliwość, przyłączyłbyś się do mnie. Krążyłbyś wedle woli po Londynie, żeby dać nauczkę magom. Hipokryta! Wyzywam cię!

–Kręgi zatrzeszczały, tors się obrócił, białe kości sięgnęły w górę i złapały granitową kolumnę. Sapiąc i dysząc, szkielet Gladstonea wlaźł na obelisk, wykorzystując starożytne hieroglify jako oparcie dla stóp. Wraz z towarzyszami patrzyłem, jak się wspina.

–Gdzie on się znowu wybiera? – zapytał ptak.

Gargulec wzruszył ramionami.

–On już nie ucieknie – powiedziałem. – Tylko odwleka to, co nieunik

nione. – Mówiłem gniewnie, bo słowa Honoriusa zawierały więcej niż

ziarenko prawdy i ta świadomość sprawiała mi ból. – Skończmy z nim.

Ale kiedy się wznieśliśmy, z nastawionymi włóczniami, na których srebrne ozdoby połyskiwały słabo w półmroku, szkielet dotarł do najwyższego punktu starożytnego obelisku. Gdy już był na szczycie, pozbierał się niezgrabnie na nogi i uniósł swe złachmanione ramiona -jedno na wschód, drugie w stronę zachodzącego słońca. Promienie przeświectliły jego długie, białe włosy i zatańczyły na wgłębieniach czaszki. Bez jednego dźwięku afryt ugiął nogi, dał susa w górę i poszybował z gracją łabędzia prosto w nurt rzeki.

Orangutan cisnął za nim włócznią, ale, naprawdę, zupełnie niepotrzebnie.

Tamiza była tego wieczoru wezbrana i mocno wzburzona. Szkielet uderzył w jej fale daleko od brzegu i natychmiast poszedł pod wodę. Wynurzył się tylko raz, znoszony nurtem w dół rzeki, młóćąc rękami, kłapiąc szczęką, z wodą przelewającą się przez oczodoły. Ale i wtedy nie wydał dźwięku. Po czym zniknął.

Ci, którzy stali na brzegu, nie potrafili stwierdzić, czy szkielet spłynął prosto do morza, czy wciągnął go muł na dnie Tamizy. Ale afryt Honorius, razem z kośćmi Gladstonea, które dawały mu schronienie, więcej się nie pokazał.

itty nie płakała. Przez lata działania w ruchu oporu nauczyła się przynajmniej jednego – nie poddawać się emocjom. Płacz na nic by się jej teraz nie zdał. Ogrom porażki był tak przytłaczający, że zwyczajne reakcje do niego nie przystawały. Ani podczas pogromu w opactwie, ani tuż potem – kiedy wreszcie zatrzymała się na cichym skwerze jakieś półtora kilometra dalej – nie pozwoliła sobie na uzalanie się nad sobą.

Strach popędzał ją do ucieczki, bo nie mogła uwierzyć, że umknęła demonowi. Miasto zdawało się nie dostrzegać jej istnienia. Niebo usiane było obojętnymi gwiazdami, wśród których płynął księżyc o nieodgadnionej twarzy. W środku nocy na ulicach brakowało przechodniów, nie krążyły nawet kule tropiące.

Towarzyszył jej ledwie słyszalny odgłos własnych kroków, kiedy biegła truchtem po chodnikach, trzymając się płam cienia.

Było bardzo cicho. Raz samochód przejechał pobliską ulicą, raz usłyszała daleką syrenę, potem dziecko wrzeszczące cienkim głosem w pokoju na piętrze jakiegoś domu.

Przez cały czas w lewej ręce niosła Laskę.

W pierwszym, znalezionym w pośpiechu schronieniu – zrujnowanej piwnicy czynszowej kamienicy, którą widać było jeszcze z wież opactwa

–omal nie zostawiła Laski pod kupą gruzu. Ale choć wydawała się zupełnie nieprzydatna – mogła służyć co najwyżej do zabijania owadów, jak to powiedział Pennyfeather – była to jedyna rzecz, jaką wyniosła z tego koszmaru. Nie mogła jej zostawić.

Odpočuła w piwnicy kilka minut, ale nie pozwoliła sobie na sen. Wiedziała, że nim nadejdzie świt, w centrum Londynu zaroi się od policji. Jeśli tu pozostanie, mogą ją złapać. Poza tym bała się, co może zobaczyć, kiedy zamknie oczy. Wśród najgłębszej nocy przedarła się na wschód, wzdłuż nabrzeża Tamizy, aż do Mostu Southwark. To był najbardziej odsłonięty i niebezpieczny fragment drogi, szczególnie, że miała ze sobą Laskę. Wiedziała od Stanleya, że magiczne przedmioty emanują mocą, ukazując swą naturę tym, którzy potrafią ją dostrzec, i domyślała się, że kiedy znajdzie się nad wodą, demony mogą z daleka wyczuć jej brzemię. Długą chwilę siedziała więc w krzakach przy moście, zbierając się na odwagę, zanim zdecydowała się popędzić na drugą stronę.

Kiedy nad miastem zaczęło świtać, Kitty przebiegła pod niewielkim łukiem, na dziedziniec

dawnych stajen, gdzie znajdowała się piwnica, w której ukrywali ukradzione artefakty. Było to jedyne miejsce, jakie przyszło jej do głowy, gdzie mogła znaleźć schronienie, którego tak bardzo potrzebowała. Potykała się ze zmęczenia. Gorzej, zaczynała mieć zwidy – przebłyski ruchu, dostrzegane kątem oka – od których puls jej przyspieszał. Było dla niej oczywiste, że nie może pójść do sklepu z materiałami artystycznymi, skoro pan Pennyfeather (jakże wyraźnie widziała to oczyma duszy) leży na schłodzonej kupa i czeka, aż znajdzie go policja. Powrót do wynajętego pokoju też byłby niemądry (Kitty brutalnie wróciła do ponurej rzeczywistości), bo magowie przeszukujący sklep dowiedzą się o nim i wkrótce zjawią się i tam.

Na oślep odnalazła klucz do piwnicy, na oślep przekręciła go w zamku. Nie zatrzymując się, by włączyć światło, wymacała sobie drogę przez liczne, kręte korytarze, aż dotarła do wewnętrznego pomieszczenia, gdzie z rury na suficie wciąż kapła woda do przepelnionego wiadra. Tutaj wreszcie rzuciła Laskę, wyciągnęła się obok niej na cementowej podłodze i zasnęła.

Obudziła się w ciemnościach i leżała tak, zesztywniała i zmarznięta, przez długi czas. W końcu wstała, po omacku odszukała ścianę i zapaliła pojedynczą żarówkę. Piwnica wyglądała tak samo jak zeszłego popołudnia, kiedy była tu razem z pozostałymi towarzyszami.

Nick ćwiczył sztuki walki, Fred i Stanley rzucali srebrnymi dyskami. Wciąż widać było dziury w belkach stropu, w miejscach, gdzie trafił dysk Stanleya. Nie na wiele im się to wszystko zdało.

Kitty usiadła przy stercie drewna, z rękami na kolanach, i zapatrzyła się w ścianę naprzeciwko. Umysł miała teraz jaśniejszy, choć było jej trochę słabo z głodu. Wzięła głęboki oddech i próbowała się skoncentrować na tym, co powinna teraz zrobić. Nie było to proste, bo jej życie zostało wywrócone do góry nogami.

Przez ponad trzy lata z całą swoją energią i zaangażowaniem pomagała budować ruch oporu. Teraz, w ciągu jednej nocy, jak za sprawą szalejącej burzy, wszystko się zawaliło. Prawda, że nawet w najlepszych momentach była to raczej chwiejna konstrukcja – nie potrafili dojść do porozumienia co do metod działania, a różnice zdań pogłębiły się w ciągu ostatnich miesięcy. Ale teraz nie zostało nic. Jej towarzysze stracili życie, a wraz z nimi odeszły ideały, które dzielili.

Ale jakie to właściwie były ideały? Wydarzenia w opactwie zmieniły nie tylko jej przyszłość, ale i odczucia na temat przeszłości. Daremność ich działań wydawała się teraz oczywista. Daremność – i głupota. Kiedy próbowała przywołać w pamięci pana Pennyfeathera, widziała nie walczącego dla idei przywódcę, za którym tak długo podążała, ale nieomal złodziejaska, wyszczerzonego w uśmiechu, o czerwonej twarzy, pocącego się w świetle latarń i grzebiącego w najwstrętniejszych miejscach w poszukiwaniu rzeczy służących złu.

Czego oni się właściwie spodziewali? Czego mieli dokonać za pomocą tych artefaktów? Magów nie dało się poprzewracać jak kręgle, nawet z pomocą kryształowej kuli. Nie, oszukiwali się przez cały czas. Ruch nie był niczym więcej niż pchłą, gryzącą w ucho mastiffa – jeden ruch łapy i po wszystkim.

Wyciągnęła z kieszeni srebrny wisiorek i zapatrzyła się nań ponuro. Uratował ją podarunek babci Hyrnek. I tylko on. To był najzwyczajniejszy fart, że w ogóle przeżyła.

W głębi duszy Kitty od dawna wiedziała, że ich grupa umiera, ale odkrycie, że tak łatwo było ich rozbić, okazało się szokiem. Zaatakował ich jeden, jedyny demon, i cała ich brawura nie zdała się na nic. Wszystkie odważne słowa, mądre rady Hopkinsa, przechwałki Freda i żarliwe prze-

mowy Nicka okazały się bezwartościowe. Kitty z trudem przypominała sobie teraz ich argumenty – jej wspomnienia zostały wymazane przez wydarzenia w grobowcu.

Nick. Demon powiedział (z przypomnieniem sobie jego słów Kitty nie miała żadnych trudności), że zabił dziesięciu z dwunastu intruzów. Jeśli liczyć również ciała ukryte za iluzją muru, oznaczało to, że Nick też przeżył. Jej usta skrzywiły się w gorzkim uśmiechu. Uciekł tak szybko, że nawet tego nie zauważyła. Nie przyszło mu do głowy, by pomóc Fredowi, Anne czy panu Pennyfeatherowi.

No i był jeszcze mądry pan Hopkins... Na myśl o uczonym o nijakiej twarzy zatrzęsł ją gniew. Gdzie on był przez ten cały czas? Daleko, cały i zdrowy. Ani on, ani tajemniczy nieznajomy, którego informacje o zabezpieczeniach Gladstonea okazały się tak żałośnie niekompletne, nie odważyli się przyjść do grobowca. Gdyby ci dwaj nie mieli takiego wpływu na Pennyfeathera w ostatnich miesiącach, dzisiejszego ranka cała grupa żyłaby jeszcze. I co zdobyli dzięki swemu poświęceniu? Nic, z wyjątkiem kawałka sękatego drewna.

Laska leżała obok niej, pośród śmieci na podłodze. W nagłym przypływie gniewu Kitty zerwała się, złapała ją w obie ręce i trzasnęła nią z impetem o kolano. Ku jej zaskoczeniu jedynym efektem były obolałe nadgarstki. Kij okazał się o wiele mocniejszy, niż się wydawało. Z krzykiem cisnęła nim o najbliższą ścianę.

Ale niemal natychmiast gniew zastąpiło uczucie ogromnej pustki. Być może udałoby jej się skontaktować z panem Hopkinsem. Omówić plan ewentualnych działań. Ale nie dziś. Na razie potrzebowała czegoś innego -czegoś, co pomogłoby jej przetrwać to uczucie kompletnego osamotnienia. Musiała zobaczyć się z rodzicami.

Było już późne popołudnie, kiedy Kitty wyszła z piwnicy na dziedziniec. Zaczęła nasłuchiwać. Jej uszu dobiegły dalekie dźwięki syren i jeden czy dwa wybuchy, niesione wiatrem z centrum Londynu, gdzie najwidoczniej coś się działo. Wzruszyła ramionami. Tym lepiej. Nikt jej nie będzie przeszkadzał. Zamknęła drzwi, ukryła klucz i wyruszyła w drogę.

Choć szła bez bagażu – Laskę zostawiła w piwnicy – dotarcie do Balham zajęło jej większą część wieczoru; niebo ciemniało już, kiedy doszła do znajomego splotu ulic w pobliżu swojego dawnego domu. Bolały ją nogi,



była zmęczona i głodna. Nie jadła nic, z wyjątkiem dwóch jabłek, które ukradła ze spożywczego. Wyimaginowane smaki maminych potraw zaczęły kusząco przepływać jej po języku. Towarzyszyły im myśli o jej starym pokoju, z szafą, której nie domykały się drzwi, i z wygodnym, małym łóżkiem. Kiedy ostatnio w nim spała? Lata temu. Chętnie znów by się w nim skuliła, choćby tylko na jedną noc.

Zapadał zmierzch, kiedy przeszła starą ulicą i, odruchowo zwalnając kroku, zbliżyła się do domu rodziców. W salonie paliło się światło. Ten widok wyrwał jej z gardła bolesny szloch ulgi, ale wzbudził także niepokój. Choć mama była mało spostrzegawcza, nie może się domyślić, że coś jest nie tak, przynajmniej dopóki Kitty nie zastanowi się, co dalej. Obejrzała się w ciemnym oknie sąsiadów, przyglądała potargane włosy i otrzepała ubranie najlepiej, jak się dało. Nie mogła nic poradzić na brud na rękach ani na sińce pod oczyma. Westchnęła. Nie było idealnie, ale musi wystarczyć. Z tą myślą podeszła do drzwi i zapukała. Jej klucze zostały w wynajętym mieszkaniu.

Po krótkiej chwili, w czasie której Kitty miała ochotę zapukać jeszcze raz, w przedpokoju ukazał się znajomy, szczupły cień. Zatrzymał się w pół drogi, jakby niepewny, czy otworzyć drzwi. Kitty postukała w szkło.

–Mamo! To ja.

Cień zbliżył się nieufnie. Matka uchyliła drzwi i wyjrzała.

–A – powiedziała – Kathleen.

–Cześć, mamo – przywitała się Kitty, uśmiechając się najradośniej, jak mogła. – Przepraszam, że tak niespodziewanie.

–Och, tak. – Mama nie otworzyła drzwi ani trochę szerzej. Patrzyła na Kitty przestraszonym, trochę nieufnym wzrokiem.

–Coś się stało, mamo? – zapytała dziewczyna, zbyt znużona, by się tym przejąć.

–Nie, nie. Nic.

–Więc mogę wejść?

–Tak... oczywiście. – Matka odsunęła się na bok, by wpuścić Kitty, podstawiała chłodny policzek do całusa i starannie zamknęła drzwi.

–Gdzie tato? W kuchni? Wiem, że jest późno, ale umieram z głodu.

–Myślę, że najlepiej chodźmy do salonu, kochanie.

**–Dobrze. – Kitty weszła z przedpokoju do małego saloniku. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak to zapamiętała: wydeptany, wyblakły dywan,**

małe lustro nad kominkiem, a do tego mocno wiekowa kanapa i fotel, które jej ojciec odziedziczył po dziadku, przyozdobione koronkowymi ochroniaczami na zagłówkach. Na małym stoliku stał parujący dzbanek herbaty i trzy filiżanki. Na kanapie siedział ojciec. Na fotelu naprzeciw niego jakiś młody człowiek.

Kitty stanęła jak wryta. Mama po cichu zamknęła drzwi.

Młody człowiek spojrział na nią i uśmiechnął się. Kitty natychmiast stanął przed oczyma wyraz twarzy pana Pennyfeathera, kiedy patrzył na skarby w grobowcu. Triumfalny zachłanny uśmiech, którego mimo usilnych starań nie udało się powstrzymać.

– Witam – powiedział młodzieniec.

Kitty nie odpowiedziała. Doskonale wiedziała, kim był gość.

– Kathleen. – Głos ojca był ledwie słyszalny. – To jest pan Mandrake. Z... Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, zdaje się?

– Tak jest – odparł Mandrake z uśmiechem.

– Chciałby... – ojciec zawahał się. – Chciałby ci zadać kilka pytań. Z ust mamy wydobył się nagły jęk.

– Och, Kathleen – wykrzyknęła płaczliwie. – Coś ty znowu zrobiła? Kitty wciąż nie odpowiadała. W kieszeni kurtki miała jeszcze jeden dysk, ale poza tym była bezbronna. Błyskawicznie zerknęła przez pokój na okno zasłonięte storami. Otwierało się je, przesuwając dolną połowę do góry. Mogłaby tamtędy wyjść – jeśli ojciec naoliwił zasuwkę – albo, w razie konieczności, rozbić je – stolik do kawy nadawałby się w sam raz. Był też korytarz, a z niego kilka możliwych wyjść, ale przy drzwiach stała jej matka... Młody człowiek wskazał gestem kanapę.

– Zechce pani usiąść, panno Jones? – powiedział grzecznie. – Możemy omówić tę sprawę po przyjacielsku, jeśli pani będzie tak miła. – Kąciki jego ust drgnęły. – Czy może wyskoczy pani szczipakiem przez okno?

Wypowiadając na głos myśl, która właśnie przemknęła jej przez głowę, mag – umyślnie lub przypadkiem – zbił Kitty z pantafelku. To nie był dobry moment. Zaczerwieniła się, zacisnęła wargi, usiadła na kanapie i zaczęła przyglądać się czarodziejowi tak spokojnie, jak zdołała.

Więc to był ten Mandrake, którego słudzy ścigali ruch oporu przez tyle miesięcy. Jego profesja dawała się wyczuć na kilometr, zdradzało go ubranie – długi, czarny płaszcz, niedorzecznie obcisły czarny garnitur, błyszczące, skórzane buty. Ogromna, czerwona

**chusteczka wyrastała mu z**

kieszonki na piersi jak gałązka koralowca. Długie włosy ocieniały mu twarz, wąską i bladą. Kitty dopiero teraz zdała sobie sprawę, jaki jest młody. Wciąż jeszcze był nastolatkiem i z pewnością nie był starszy od niej, może nawet znacznie młodszy. Jakby dla zrównoważenia tego wyglądu przybrał pozę człowieka stanowczego. Połączył palce dłoni, a nogę założył na nogę. Jego stopa kiwała się kocim ruchem, a na twarzy gościł uśmiech, który byłby może uprzejmy, gdyby nie przebijała przezeń niecierpliwość. Młody wiek gościa dodał Kitty trochę pewności siebie.

–Czego pan chce, panie Mandrake? – zapytała opanowanym tonem.

Mag wyciągnął rękę, podniósł najbliższą filiżankę ze spodeczkiem i upił

łyk herbaty. Z teatralną ostrożnością, starannie odstawił nakrycie na poręcz fotela. Kitty i jej rodzice obserwowali go w milczeniu.

–To bardzo smaczne, pani Jones – powiedział w końcu. – Naprawdę

przyzwoity napitek. Dziękuję za pani nieocenioną gościnność. – Ale te

komplementy wywołały u matki Kitty tylko cichy szloch.

Kitty nie spojrzała na nią. Jej wzrok utkwiony był w magu.

–Czego pan chce? – powtórzyła.

Tym razem odpowiedział.

–Po pierwsze, poinformować panią, że od tej chwili jest pani aresztowana.

–Pod jakim zarzutem? – Kitty czuła, że głos jej drży.

–Cóż, niech pomyślę... – Zetknięte palce stuknęły o siebie, akcentując punkty listy. –

Terroryzm, przynależność do grupy przestępczej, działanie na szkodę pana Devereaux, jego rządu i Imperium, wandalizm i niczym nieusprawiedliwione niszczenie mienia, spisek z zamiarem morderstwa, kradzież w zlej wierze, zbezczeszczenie uświęconego miejsca ostatniego spoczynku... mógłbym kontynuować, ale to by tylko zdenerwowało pani mamę. To naprawdę smutne, że taka uczciwa, lojalna para jak pani rodzice miała nieszczęście dochować się takiej córki.

–Nie rozumiem – powiedziała spokojnie Kitty. – To są poważne oskarżenia. Jakie pan ma dowody?

–Widziano panią w towarzystwie znanych kryminalistów, członków tak zwanego ruchu oporu.

**–Widziano mnie? Co to znaczy? Kto tak mówi?**

**–Kathleen, ty głupia dziewczyno, powiedz mu prawdę – powiedział ojciec.**

–Zamknij się, tato.

–Owi znani kryminaliści – ciągnął mag – zostali znaleźieni dziś rano, martwi, w krypcie w Opactwie Westminster, którą wcześniej splądrowali. Jednym z nich był niejaki pan Pennyfeather, u którego, zdaje się, pani pracowała.

–Zawsze wiedziałam, że ten człowiek to nic dobrego – szepnęła matka Kitty.

Kitty wzięła głęboki wdech.

–Przykro mi to słyszeć, ale nie można przecież ode mnie wymagać, żebym wiedziała o wszystkim, czym mój pracodawca zajmuje się w swoim wolnym czasie. Musi się pan lepiej postarać, panie Mandrake.

–Więc zaprzecza pani, że zadawała się z tym człowiekiem poza godzinami pracy?

–Tak jest.

–A pozostali zdrajcy? Jego kompani? Na przykład dwóch młodzieńców, Fred i Stanley?

–Wiele osób pracowało dorywczo dla pana Pennyfeathera. Znałam ich, ale niezbyt dobrze. Czy to już wszystko, panie Mandrake? Zdaje się, że nie ma pan żadnych dowodów.

–Hm, skoro już o tym mowa. – Mag rozsiadł się wygodniej i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Można by zapytać, dlaczego pani ubranie jest pokryte zielonymi plamami. W pewnym oświetleniu wyglądają niemal jak grobowa pleśń. Można by też zapytać, dlaczego nie było pani w sklepie pani pracodawcy dziś rano, kiedy powinna pani go otworzyć. Ktoś mógłby się też zainteresować dokumentami, które dopiero co przeczytałem w Archiwum Państwowym. To relacja z pewnego procesu: Kathleen Jones versus Julius Tallow. Niezwykle interesująca sprawa. Ma pani kryminalną przeszłość, panno Jones. Wyznaczono pani znaczną grzywnę do zapłaty za atak na maga. No i jeszcze ostatni drobiazg. Mamy świadka, który widział, jak kradnie pani skradzione przedmioty w towarzystwie tak tragicznie zmarłych Freda i Stanleya. Świadka, którego zaatakowaliście i zostawiliście na pewną śmierć.

–A kimże jest ten cenny świadek? – prychnęła Kitty. – Kimkolwiek by był, kłamie.

–O, myślę, że to baaardzo wiarygodny świadek. – Mag zaśmiał się

i odgarnął włosy z twarzy. – Teraz sobie pani przypomina?

Kitty spojrzała na niego, nie rozumiejąc.

–Co sobie przypominam? Mag zmarszczył czoło.

–No... mnie, oczywiście.

–Pana? Już się spotkaliśmy?

–Pani nie pamięta? Cóż, to było ładnych parę lat temu. Przyznaję, że wyglądałem wtedy inaczej.

–To znaczy mniej lalusiowato? – Kitty usłyszała cichy jęk rozpaczony matki. Nie zrobił na niej żadnego wrażenia, jakby wydała go obca osoba.

–Nie pyskuj mi, dziewczyno. – Mag ponownie założył nogę na nogę, z pewną trudnością, której winny były ciasne spodnie, i uśmiechnął się kwaśno. – Ale w sumie... czemu nie? Wystrzelaj sobie do woli wszystkie tanie odżywki. I tak w niczym nie odmienia twojego losu.

Teraz, kiedy przyszedł koniec, Kitty przekonała się, że nie czuje strachu, tylko przemożną irytację na tego nadętego młodzika, siedzącego naprzeciw niej. Założyła ręce i spojrzała mu prosto w twarz.

–No więc proszę – powiedziała. – Niech mnie pan oświeci.

Chłopak odchrząknął.

–Może to pani odświeży pamięć. Trzy lata temu, w Północnym Lon

dynie... Pewnej zimnej, grudniowej nocy... Nie? – Westchnął. – Incydent w

małej uliczce?

Kitty wzruszyła ze znużeniem ramionami.

–Przeżyłam wiele incydentów w małych uliczkach. Widocznie pańska twarz nie zapada łatwo w pamięć.

–Ale ja nie zapomniałem pani twarzy. – Jego gniew ujawnił się teraz. Mag pochylił się do przodu, trącił łokciem filiżankę i wylał herbatę na fotel. – Och... przepraszam. – Spojrzał z poczuciem winy na rodziców Kitty.

Matka Kitty rzuciła się na ratunek z serwetką.



**–Nic nie szkodzi, panie Mandrake! Proszę się nie przejmować.**

**–Widzi pani, panno Jones – ciągnął mag, unosząc filiżankę nad poręczą fotela, by matka Kitty mogła ją skuteczniej wytrzeć. – Ja pani nie zapomniałem, choć widziałem panią tylko przez moment. Nie zapomniałem też pani kolegów, Freda i Stanleya, bo to oni mnie obrabowali i próbowali zabić.**

**–Obrabowali pana? – Kitty zmarszczyła brwi. – I co zabrali?**

–Cenne magiczne zwierciadło.

–Ach... – Mętne wspomnienie zamajaczyło Kitty przed oczyma. – To pan był tym dzieciakiem w uliczce? Tym małym szpiegiem. Pamiętam pana... i pańskie zwierciadło. Straszna tandeta.

–Ja je zrobiłem!

–Nie mogliśmy go nawet uruchomić.

Mandrake z trudem wziął się w garść i przemówił niebezpiecznie opanowanym głosem.

–Zauważyłem, że przestała pani przeczyć zarzutom.

–A, tak – odparła Kitty i mówiąc to, poczuła, że żyje, o wiele bardziej świadomie i intensywnie, niż przez ostatnie miesiące. – Są prawdziwe, zgadza się. Wszystko to, co pan mówił i nie tylko to. Przykro mi tylko, że to się już skończyło. Nie, zaraz... zaprzeczam jednemu. Powiedział pan, że zostawiłam pana w tej uliczce, by pan umarł. To nieprawda. Fred poderżnąłby panu gardło, ale ja pana oszczędziłam. Bóg wie dlaczego, ty żaloszny, mały szpiclu. Powinnam była wyświadczyć światu przysługę.

–Ona tak nie myśli! – Ojciec Kitty zerwał się na nogi i stanął między nimi, jakby jego ciało mogło osłonić maga przed słowami córki.

–O, ależ myśli, myśli. – Chłopak się uśmiechał, ale w jego oczach błyszczała wściekłość. – Proszę pozwolić jej mówić.

Kitty przerwała tylko po to, by złapać oddech.

–Gardzę tobą i całą resztą magów! Nic was nie obchodzą tacy ludzie jak my! Jesteśmy tu tylko po to, żeby... żeby dostarczać wam żywność, sprzątać wasze domy i szyć wasze ubrania! Harujemy jak niewolnicy w waszych fabrykach i warsztatach, a wy i wasze demony żyjecie w luksusie! Jeśli wejdziemy wam w drogę, krzywdzicie nas! Jak Jakoba! Wszyscy jesteście bezwzględni, źli, bezduszni i próżni!

–Próżni? – Chłopak poprawił chusteczkę w kieszonce. – Cóż za wspianiała histeria! Ja jestem tylko dobrze ubrany. Wygląd się liczy, wie pani.

–Dla was nic się nie liczy... Dajże mi spokój, mamó. – Rozwścieczona Kitty wstała. Jej matka, na wpół oszalała z rozpacz, czepiała się jej ręki. Kitty odepchnęła ją. – A co do wyglądu – warknęła – oto drobna wskazówka: te spodnie są o wiele za ciasne.

–Doprawdy? – chłopak też wstał, z płaszczem falującym za plecami. – Usłyszałem już dość. Swoje opinie na temat elegancji będzie pani mogła doszlifować na urlopie w londyńskiej Tower.



–Nie! – Matka Kitty osunęła się na kolana. – Błagam, panie Mandrake... Ojciec wstał ciężko, jakby bolały go wszystkie kości.

–Czy nie możemy nic zrobić? Mag pokręcił głową.

–Obawiam się, że państwa córka już dawno obrała swoją drogę. Żałuję tego, ze względu na was, bo jesteście lojalni wobec Imperium.

–Zawsze była krnąbrna – powiedział cicho ojciec Kitty – ale nie zdawałem sobie sprawy, że jest też zła. Ten incydent z Jakobem Hyrnkiem powinien być nas czegoś nauczyć, ale Iris i ja zawsze mieliśmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze. A teraz, kiedy nasze armie idą na wojnę z Ameryką, kiedy z każdej strony czyhają na nas zagrożenia, jakich nie było nigdy dotąd, dowiedzieć się, że nasza córka jest zdrajczynią, że po szyję nurza się w zbrodni... Cóż, to mnie załamało, naprawdę, panie Mandrake. Zawsze starałem się wychowywać ją jak należy.

–Jestem tego pewien – odparł pośpiesznie mag. – Mimo to...

–Zabierałem ją na parady w świąteczne dni, żeby zobaczyła żołnierzy. Trzymałem ją na ramionach w Dniu Imperium, kiedy tłumy na Trafalgar Square przez godzinę wiwatowały na cześć premiera. Może pan tego nie pamiętać, panie Mandrake, bo pan sam jest taki młody, ale to było wspaniałe wydarzenie. A teraz moja mała córeczka znikła, a na jej miejsce pojawiła się ta pyskata, zła dziewczyna, która nie ma szacunku dla swoich rodziców, dla lepszych od siebie... i dla swojego kraju. – Kiedy kończył, głos mu się załamał.

–Ależ z ciebie idiota, tato – powiedziała Kitty.

Matka wciąż na wpół klęczała na podłodze, błagając maga.

–Tylko nie do Tower, panie Mandrake. Proszę pana.

–Przykro mi, pani Jones...

–Wszystko w porządku, mamó. – Kitty nie kryła swojej pogardy. –

Możesz wstać z kolan. On mnie nie zabierze do Tower. Nie sądzę, żeby dał radę.

–Tak? – Chłopak wyglądał na ubawionego. – Pani w to wątpi? Kitty rozejrzała się po kątach pokoju.

–Wygląda na to, że jest pan sam. Błady uśmiech.

**–Tylko w pewnym sensie. No dobrze. Policyjny samochód czeka**

**w uliczce obok. Pójdzie pani ze mną spokojnie?**

–Nie, panie Mandrake. Nie pójdę. – Kitty rzuciła się naprzód i zadała cios. Pięść trafiła chłopaka w kość policzkową z tępym kłaśnięciem. Mag wywrócił się i padł bezwładnie na fotel. Kitty przestąpiła nad leżącą na brzuchu matką i ruszyła do drzwi, ale silny chwyt za ramię osadził ją w miejscu. Jej ojciec z białą twarzą, z pustymi, wytrzeszczonymi oczyma.

–Tato, zostaw! – Szarpnęła za rękaw, ale jego chwyt był jak z żelaza.

–Coś ty zrobiła? – Patrzył na nią, jakby była czymś potwornym, budzącym wstręt. – Coś ty narobiła?

–Tato... Puść mnie. Proszę cię, po prostu mnie puść.

Zaczęła się z nim siłować, ale im bardziej się wrywała, tym mocniej ojciec ją trzymał. Wciąż leżąc na podłodze, matka sięgnęła do kostki Kitty, ale bez przekonania, jakby sama nie była pewna, czy chce ją błagać, czy zatrzymać siłą. Siedzący na fotelu mag, który potrząsał głową jak oszołomiony pies, spojrział na nich. Jego oczy, kiedy odzyskały ostrość widzenia, były pełne jadu. Wymówił kilka twardych sylab w dziwnym języku i klasnął w dłonie. Kitty i jej rodzice przestali się szamotać. W powietrze pokoju wsączył się znikąd słonawy opar. W jego centrum zjawił się ciemny kształt: granatowoczarny, ze smukłymi rogami i skórzastymi skrzydłami. Obrzucił ich wzrokiem ze złośliwym uśmiechem.

Mag roztarł szczękę i poruszył nią.

–Dziewczyna – powiedział. – Złap ją i nie puszczaj. Możesz ją pociągnąć za włosy tak mocno, jak chcesz.

Stwór zakrakał ochryple w odpowiedzi, uderzył skrzydłami i wyfrunął ze swojego dymnego gniazda. Ojciec Kitty jęknął cicho, jego uścisk zelżał. Matka rzuciła się do tyłu, uderzając o kant kredensu. Ukryła twarz w dłoniach.

–Tylko na tyle pana stać? – powiedziała Kitty. – Mouler? Litości. –

Wyciągnęła rękę i zanim zaskoczone stworzenie zdążyło w ogóle po nią sięgnąć, złapała je za kark, okręciła kilka razy nad głową i cisnęła je magowi w twarz, gdzie wybuchło, z odgłosem przypominającym pękający balon. Deszcz fioletowych, gorzko pachnących kropeł spadł na jego garnitur i płaszcz oraz na meble wokół. Chłopak krzyknął, zaskoczony.

**Jedną ręką sięgając po chusteczkę, drugą wykonał magiczny gest. Na jego ramieniu natychmiast ukazał się mały imp o czerwonej twarzy, dał susa na kredens i otworzył usta. W Kitty wystrzelił pomarańczowy płomień. Trafił ją w pierś i rzucił na drzwi. Matka i ojciec krzyknęli, przerażeni.**

Imp wywinął triumfalnego koziołka... i zastygł w połowie. Kitty wyprostowała się, otrzepując dymiącą kurtkę, i spojrzała na maga z ponurym uśmiechem. Szybkim ruchem wyciągnęła z kieszeni dysk i pomachała nim teatralnie. Mag, który rzucił się z furją w jej stronę, odsunął się pospiesznie.

–Może pan sobie nosić tak ciasne spodnie, jak pan chce. panie Mandrake – powiedziała – ale to nie zmienia faktu, że jest pan tylko zarozumiałym kuglarzem. Jeśli pan za mną pójdzie, zabiję pana. Żegnam. Mamo, tato -odwróciła się i spojrzała spokojnie na jedno i drugie – nie martwcie się. Nie będę wam dłużej psuć opinii. Nie zobaczycie mnie więcej.

Z tymi słowy, zostawiając rodziców, impa i maga gapiących się na jej plecy, otworzyła drzwi i przeszła przez nie. Potem powoli, wyważonym krokiem przecięła przedpokój i wyszła przez frontowe drzwi w ciepłe powietrze wieczoru. Na ulicy wybrała kierunek na chybił trafił i ruszyła przed siebie, nie oglądając się. Dopiero kiedy skręciła za rogiem i zaczęła biec, łzy popłynęły po jej twarzy.

*Afatfiamc*

## 36

uria Nathaniela z powodu porażki była bezgraniczna. Wrócił do Whitehall wściekły, poganiając szofera, by jechał coraz szybciej i tłukąc pięścią w skózaną kanapę przy każdym hamowaniu. wiał samochód pod bramą Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i, mimo późnej godziny, przeszedł wściekłym krokiem przez dziedziniec do swojego biura. Tam zapalił światło, rzucił się na fotel i zaczął myśleć.

Fatalnie się przeliczył, a fakt, że był o włos od sukcesu, sprawiał, że jego przegrana była tym bardziej irytująca. Miał absolutną rację, szukając nazwiska Kathleen Jones w Archiwum Państwowym. Odnalazł stenogram z jej procesu, a także jej adres w niecałą godzinę. Nie pomylił się też, składając wizytę jej rodzicom. Byli parą uległych głupców i jego pierwotny plan – nakłonienia ich, by zatrzymali córkę, kiedy tylko zjawi się w domu i poinformowali go o tym w tajemnicy – powiódłby się z pewnością, gdyby dziewczyna nie wróciła wcześniej, niż się spodziewał.

A przecież i wtedy wszystko by się udało, gdyby tylko nie ujawniła zniecka jakiejś ochronnej mocy przeciwko pomniejszych demonom. Zdumiewające... Podobieństwa do najemników były oczywiste. Pytanie tylko, czy ich moce brały się z nich samych, czy też były wynikiem jakiegoś zaklęcia. Jego czujnik niczego nie wykrył.



Gdyby był z nim Bartimaeus, mógłby rzucić trochę światła na źródło mocy dziewczyny i być może zapobiegłby jej ucieczce. Wielka szkoda, że dżin wypełniał akurat inną misję.

Nathaniel spojrział na rękaw marynarki, trwale poplamiony pozostałościami moulera. Wymamrotał przekleństwo. „Zarozumiały kuglarz...” Trudno byłoby nie przyznać dziewczynie siły charakteru. Mimo to Kitty Jones drogo zapłaciła za tę obelgę.

Oprócz gniewu czuł też niepokój. Z łatwością mógł przecież zażądać wsparcia policyjnego albo poprosić Whitwell, by załatwiła obserwację domu rodziców Kitty przez kule tropiące. Ale nie zrobił tego. Chciał przypisać cały sukces sobie i tylko sobie. Odzyskanie Laski ogromnie podniosłoby jego status – premier wychwalałby go pod niebiosa. Być może dostałby awans, może pozwolono by mu badać moce Laski... a Duvall i Whitwell zaczęliby się niespokojnie oglądać przez ramię.

Tymczasem dziewczyna uciekła i jeśli ktokolwiek dowie się o tej porażce, to on zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Po śmierci Tallowa inni magowie byli drażliwi, podenerwowani i stali się jeszcze większymi paranoikami niż zwykle. To nie był dobry moment, by sprawa się wydała. Musiał znaleźć tę dziewczynę i to szybko.

W tej chwili dzwonięcie w uchu ostrzegło go o zbliżającej się magii. Wstał czujny i w następnej chwili zobaczył Bartimaeusa materializującego się w środku niebieskiej chmury. Demon ukazał się w postaci gargulca. Nathaniel przetarł oczy i wziął się w garść.

–No i? Masz mi coś do powiedzenia?

–Mnie też miło cię widzieć. – Gargulec sięgnął w dół, ugniół z chmury poduszkę i usiadł z westchnieniem. – Ano tak. *Veni, vidi, vici* i tak dalej. Afryt przestał istnieć. Jestem wykończony. Choć chyba nie tak jak ty. Wyglądasz koszmarnie.

–Unieszkodliwiłeś tego demona? – Nathaniel ożywił się. To była dobra wiadomość. To się będzie bardzo liczyć w oczach Devereaux.

–Jasne że tak. Utopiłem go w Tamizie. Wieść się już rozchodzi. A tak przy okazji, miałeś rację. Rzeczywiście Kitty ukradła Laskę. Złapałeś ją już? Nie? No więc lepiej przestań robić miny i zacznij jej szukać. Hej... –Gargulec przyjrzał mu się uważnie. – Masz siniaka na policzku. Ktoś się tu bił!

–Nic podobnego. To nieważne.

–Młóciłeś się na pięści jak ulicznik! Poszło o dziewczynę? A może to sprawa honorowa? No, mnie możesz powiedzieć!

–Zapomnij o tym, i tyle. Słuchaj... bardzo mnie cieszy twój sukces. Teraz musimy namierzyć dziewczynę. – Nathaniel dotknął ostrożnie sińca palcem. Zabolało.

Gargulec westchnął.

–Łatwiej powiedzieć niż zrobić. A gdzie to mam zacząć, jeśli łaska?

–Nie wiem. Muszę pomyśleć. Na razie jesteś wolny. Przyzwę cię znowu jutro rano.

–Niech ci będzie. – Gargulec i chmura popłynęli tyłem w stronę ściany i zniknęli w niej.

Kiedy znów zapanował spokój, Nathaniel stanął obok biurka, pogrążony w myślach. Noc napierała na okno biura, z ulicy na zewnątrz nie dochodził żaden dźwięk. Czuł się bardzo zmęczony, jego ciało wołało o odpoczynek. Ale Laska była zbyt ważna, by ją stracić. Jakimś cudem musi ją odnaleźć. Może w almanachu znalazłby...

Rozmyślenia przerwało mu nagle pukanie do drzwi prowadzących na dziedziniec.

Nasłuchiwał z sercem bijącym mocno w piersi. Kolejne trzy uderzenia delikatne, ale stanowcze.

Kto mógł przyjść o tej godzinie? Wizje straszliwych najemników stanęły mu przed oczyma. Odpędził je wzruszeniem ramion, wyprostował się i podszedł do wejścia.

Zwilżając wargi, obrócił gałkę i uchylił drzwi...

Niski, pulchny dżentelmen stał na schodku, mrugając w świetle, które padało z gabinetu. Ubrany był w krzykliwy garnitur z zielonego aksamitu, białe getry i amarantowy płaszcz podróżny, spięty pod szyją. Na głowie miał mały zamszowy kapelusz. Uśmiechnął się promiennie, widząc konsternację Nathaniela.

–Witaj, Mandrake, mój chłopcze. Mogę wejść? Chłodno się zrobiło.

–Pan Makepeace! Em, tak. Proszę do środka.

–Dziękuję, mój chłopcze, dziękuję. – Z zabawnym podskokiem

Quentin Makepeace znalazł się w środku. Zdjął kapelusz i rzucił go

przez pokój, nabycie głowy wylądowało precyzyjnie na popiersiu

**Gladstonea. Gość puścił oko do Nathaniela. – Temu panu już**

**podziękujemy,**

– jak myślę. – Śmiejąc się ze swojego żarciku, pan Makepeace usadowił się w fotelu.

– To niespodziewany zaszczyt, sir. – Nathaniel stał, niepewny, co ma zrobić. – Czy coś panu podać?

– Nie, nie, Mandrake. Siadaj, siadaj. Wpadłem tylko na małą pogawędkę. – Uśmiechnął się szeroko do Nathaniela. – Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem ci: w pracy?

– Oczywiście że nie, sir. Właśnie zamierzałem pójść do domu.

– I bardzo dobrze. „Sen jest tak ważny, a jednak tak oń trudno”, jak mówi sułtan w scenie w łaźni... to akt drugi, scena trzecia mojej sztuki *Miłość to dziewica Wschodu*, naturalnie. Widziałeś to?

– Niestety nie, panie. Byłem zbyt młody. Mój poprzedni mistrz, pan Underwood, z zasady nie chodził do teatru.

– Ach, to skandal. – Makepeace smutno pokręcił głową. – Przy tak niedbałym wychowaniu to zdumiewające, że okazałeś się tak obiecującym młodzieńcem.

– Oczywiście widziałem *Łabędzie Arabii* – rzucił pośpiesznie Nathaniel.

– Wspaniała sztuka. Bardzo wzruszająca.

– Mhm. Niektórzy krytycy nazwali ją moim najwybitniejszym dziełem,

ale myślę, że przebiję je moim następnym utworem. Zainspirowany

problemami z Ameryką, zwróciłem swą uwagę na Zachód. Mroczny kon-

tynent, o którym bardzo niewiele wiemy, Mandrake. Mój roboczy tytuł

brzmi *Halki i karabiny*, opowiada o młodej dziewczynie z puszczy... – nie

przystając mówić, pan Makepeace wykonał rękami kilka zawiłych gestów.

Spomiędzy jego dłoni wytrysnęła kaskada pomarańczowych iskier, które

poszybowały w górę i na boki, ustawiając się w różnych punktach pokoju.

– Kiedy tylko się zatrzymały, dramaturg przerwał zdanie w połowie i

mrugnął do Nathaniela. – Widzisz, co zrobiłem, chłopcze?

**–Rozstawił pan sieć czujników, by wykryć szpiegujące oczy i uszy.**

**–Właśnie tak. I na razie jest spokój. No więc, nie przyszedłem tu opowiadać ci o moim dziele, choć jest fascynujące. Chciałem poznać twoje zdanie, jako obiecującego młodzieńca, na temat pewnej propozycji.**

**–Będę zaszczycony, sir.**

**–Oczywiście rozumie się samo przez się – powiedział pan Makepeace -że treść tej pogawędki jest przeznaczona wyłącznie dla naszych uszu.**

Mogło by bardzo zaszkodzić nam obu, gdyby choć słowo wydostało się poza te cztery ściany. Mówi się o tobie, że jesteś równie inteligentny, jak młody i prężny, Mandrake. Jestem pewien, że to rozumiesz.

–Oczywiście. – Nathaniel ułożył rysy w maskę uprzejmego zainteresowania, ale w głębi duszy, choć mile połączony, był zbity z tropu. Nie potrafił sobie wyobrazić, dlaczego pisarz właśnie teraz zagadnął go w takiej tajemnicy. Dużo się mówiło o bliskiej przyjaźni pana Makepeace „a z premierem, ale Nathaniel nigdy nie uważał pisarza za poważnego maga. Prawdę mówiąc, obejrzawszy kilka jego sztuk, miał wręcz odwrotne zdanie, osobiście uznawał je za straszliwą chałturę.

–Po pierwsze, chcę ci złożyć gratulacje – powiedział Makepeace. – Zbuntowany afryt przestał istnieć i zdaje się, że twój dżin odegrał niebagatelną rolę w jego likwidacji. Świetna robota! Możesz być pewien, że premier to zauważył. Prawdę mówiąc, to właśnie z tego powodu dziś tu do ciebie przyszedłem. Może dzięki swojej skuteczności zdołasz mi pomóc w rozwiązaniu pewnego trudnego problemu.

Przerwał, ale Nathaniel się nie odezwał. Lepiej zachować ostrożność, zanim zaufa obcemu, a cel wizyty Makepeacea nie był jeszcze jasny.

–Byłeś dziś rano w opactwie – ciągnął pan Makepeace – i słuchałeś dyskusji członków Rady. Zapewne nie uszło twojej uwagi, że nasz przyjaciel, szef policji, pan Duvall, uzyskał wielkie wpływy.

–Oczywiście, sir.

–Jako dowódca Szarych już od dawna miał w ręku znaczną władzę i nie robi tajemnicy z tego, że pragnie jej więcej. Wykorzystał już obecne niepokoje, by wzmocnić swój autorytet kosztem twojej mistrzyni, pani Whitwell.

–Zauważyłem pewną rywalizację – odparł Nathaniel. – Uznał, że nie byłoby rozsądne powiedzieć więcej.

–Bardzo ostrożnie powiedziane, Mandrake. No więc, jako bliski przyjaciel Ruperta Devereaux przyznam ci się, że obserwowałem zachowanie Duvalla z dużym niepokojem. Ambitni ludzie są niebezpieczni, Mandrake. Zaburzają równowagę rzeczy. Prostackie, niecywilizowane indywidua, takie jak Duvall – zapewne zaszokuje cię, że nigdy w życiu nie był na żadnej z moich premier – są najgorsze ze wszystkich, bo nie mają szacunku dla kolegów. Duvall budował swoją silną pozycję od lat, trzymając się blisko premiera, a jednocześnie podkopując inne ważne postaci.

Jego wybujała ambicja była oczywista od dawna. Ostatnie wydarzenia, takie jak godne pożalowania zejście naszego drogiego Tallowa, ogromnie wytrąciły z równowagi naszych starszych ministrów, a to może dać Duvallowi kolejną okazję do wykorzystania. Jesteś wyjątkowo bystry i lojalny, Mandrake, więc tobie mogę to powiedzieć: przy tak znacznej władzy, jaką teraz ma Duvall, obawiam się przewrotu.

Być może z powodu swoich teatralnych korzeni Makepeace miał szczególnie barwny sposób mówienia. Jego głos wznosił się na drżące wyżyny, po czym opadał, stawał się niski i dudniący. Mimo swojej ostrożności Nathaniel był zafascynowany; pochylił się bliżej.

–Tak, mój chłopcze, nie przesłyszałeś się. Obawiam się przewrotu i, jako lojalny przyjaciel pana Devereaux, bardzo chcę mu zapobiec. Szukam sprzymierzeńców dla tej sprawy. Jessica Whitwell jest potężna, oczywiście, ale niezbyt dobrze się dogadujemy. Raczej nie jest miłośniczką teatru. Za to ty, Mandrake, bardziej mi się podobasz. Śledzę twoją karierę już od jakiegoś czasu, prawdę mówiąc od chwili tej nieszczęsnej historii z Lovelace'em, i myślę, że moglibyśmy tworzyć świetny zespół.

–To bardzo miło z pańskiej strony – powiedział powoli Nathaniel. W jego umyśle rozpalił się płomień entuzjazmu. Właśnie na to czekał, na bezpośrednie dojście do premiera. Jessica Whitwell nie była prawdziwym sprzymierzeńcem. Dała mu już do zrozumienia, że zamierza poświęcić jego karierę. A teraz, jeśli rozegra to ostrożnie, może szybko ruszyć do przodu i nie będzie potrzebował jej protekcji.

Ale to była niebezpieczna gra. Musiał się pilnować.

–Pan Duvall to godny przeciwnik – powiedział tonem pozbawionym wyrazu. – Niebezpiecznie jest występować przeciw niemu.

Makepeace uśmiechnął się.

–To prawda. Ale czy nie zrobiłeś już pierwszego kroku w tym kierunku? Zdaje się, że po południu złożyłeś wizytę w Archiwum Państwowym, a potem w pośpiechu udałeś się pod pewien tajemniczy adres w Balham.

Słowa wypowiedziane były swobodnym tonem, ale Nathaniel aż zeszywniał z wrażenia.

–Proszę wybaczyć... – zająknął się -...ale skąd pan to wie...?

–Wiem o różnych sprawach, mój chłopcze. Jako przyjaciel pana Devereaux już od dawna mam oczy i uszy szeroko otwarte. Nie rób takiej





zaniepokojonej miny! Nie mam pojęcia, co kombinowałeś, ale wyglądało to na twoją własną inicjatywę. – Jego uśmiech poszerzył się. – Duvall dowodzi teraz działaniami kontrrewolucyjnymi, ale zdaje się, że nie poinformowałeś go o swoich poczynaniach...?

Nathaniel oczywiście nie zrobił tego. W głowie mu się kręciło, próbował zyskać trochę czasu.

–Em, wspomniał pan, że mielibyśmy w jakiś sposób współpracować –

powiedział. – Co pan miał na myśli?

Quentin Makepeace rozsiadł się wygodnie w fotelu.

–Laska Gladstonea – odparł. – Chodzi o nią, krótko mówiąc. Z afrytem już się rozprawiamy i wygląda na to, że większa część ruchu oporu nie żyje. Wszystko pięknie, ale Laska to potężny talizman; daje ogromną moc temu, kto ją nosi. Mogę ci powiedzieć, że nawet teraz, kiedy tu rozmawiamy, Duvall dokłada wszelkich starań, by odnaleźć osobę, która ją zabrała. Jeśli mu się uda – mag spojrział wprost na Nathaniela swoimi jasnoniebieskimi oczyma – może postanowić, że sam jej użyje, zamiast zwrócić ją rządowi. Sytuacja jest tak poważna, jak sądzę, że Londyn może być zagrożony.

–Tak, sir – potwierdził Nathaniel. – Czytałem o Lasce i sądzę, że do jej mocy można uzyskać łatwy dostęp przy pomocy kilku prostych inkantacji. Duvall może jej z powodzeniem użyć.

–Dokładnie. Uważam, że powinniśmy go uprzedzić. Jeśli znajdziesz Laskę i osobiście zwrócisz ją panu Devereaux, twoje akcje pójdą znacznie w górę, a Duvalla spadną na łeb, na szyję. Ja też będę zadowolony, jako że premier w dalszym ciągu będzie wspierał finansowo wystawianie moich dzieł na całym świecie. Co myślisz o tej propozycji?

Myśli Nathaniela wirowały jak szalone.

–To... interesujący plan, sir.

–Dobrze, dobrze, więc doszliśmy do porozumienia. Musimy działać szybko. – Makepeace pochylił się do przodu i klepnął Nathaniela w ramię.

Nathaniel zamrugał. W swoim entuzjazmie Makepeace uznał jego zgodę za oczywistą. Propozycja rzeczywiście była kusząca, ale Nathaniel czuł się manipulowany i potrzebował chwili, by zastanowić się, co powinien zrobić. Tyle, że nie miał na to czasu. Wiedza maga na temat jego poczynañ kompletnie go zaskoczyła. Przestał kontrolować sytuację. Niechętnie

podjął decyzję. Skoro Makepeace wiedział o jego wizycie w Balham, to i tak nie było sensu robić z tego tajemnicy.

–Przeprowadziłem już pewne czynności śledcze – powiedział – i sądzę,

że Laska może być w rękach niejakiej Kitty Jones.

Mag pokiwał głową z aprobatą.

–Widzę, że moje wysokie mniemanie o tobie było słuszne. Mandrake. Masz jakiś pomysł, gdzie ona może być?

–Ja... omal nie schwytałem jej dziś wieczorem, w domu jej rodziców. Minąłem się z nią o kilka minut. Nie wydaje mi się, żeby wtedy miała przy sobie Laskę.

–Hm... – Makepeace podrapał się po podbródku. Nawet nie próbował wypytywać Nathaniela o szczegóły. – A teraz uciekła. Ciężko ją będzie wytropić... chyba że zachęcimy ją, by wyszła z ukrycia. Aresztowałeś jej rodziców? Kilka dobrze zareklamowanych tortur mogłoby ją wywabić.

–Nie, panie. Myślałem o tym, ale nie jest zżyta z rodzicami. Nie sądzę, żeby chciała się dla nich poświęcić.

–Mimo to, zawsze to jakaś opcja. Ale mam jeszcze jeden pomysł, Mandrake. Znam pewnego człowieka, który siedzi jedną nogą w podziemnym, londyńskim świątku. Zna tylu żebraków, złodziei i rzezimieszków, że nie zmieścilibyśmy ich w teatrze. Porozmawiam z nim jeszcze dziś wieczorem. Zobaczymy, czy powie nam coś o tej Kitty Jones. Przy odrobinie szczęścia namierzmy ją już jutro. A tymczasem sugeruję, żebyś poszedł do domu i odpoczął. I pamiętaj, gramy o wysokie stawki, mój chłopcze, a Duvall to niebezpieczny przeciwnik. Nikomu ani słowa o naszej małej umowie.

*Bartimaeus*

W południe i cienie stały się krótkie. Niebo w górze lśniło żółtym błękitem, usiane sympatycznymi chmurkami. Słońce ogrzewało przyjemnie dachy przedmieść. Ta pora wszystkich optymistycznie – w powszechnym przekonaniu sprzyjała uczciwym przedsięwzięciom i rzetelnej roboty. Jakby na dowód tego, kilku pracowitych domokrażców przeszło ulicą, popychając swoje wózki od drzwi do drzwi. Uchylali kapeluszy przed starszymi paniami, głaskali dzieci po główkach, uśmiechali się uprzejmie, przedstawiając swoje towary. Dobijali interesu, wymieniali towar na pieniądze i odchodzili, pogwizdując pobożne hymny.

**Trudno było uwierzyć, że zaraz wydarzy się coś złego.**

**Skulony w głębi splątanego krzaka dzikiego bzu, kawałek od ulicy, czarny kształt obserwował teren. Wyglądał jak kłęb złachmanionych piór, z którego, jakby na chybił trafił, sterczały nogi i dziób. Średniej wielkości kruk, omen złego losu i symbol zaniedbania. Przekrwione oczy ptaka utkwione były nieruchomo w górnych oknach dużego, rozłożystego domu, stojącego na drugim końcu zarośniętego ogrodu.**

**I znów miałem popełnić przestępstwo z premedytacją.**

**Trzeba pamiętać o jednej rzeczy, jeśli chodzi o całą tę zabawę z przyzywaniem: tak właściwie nic nie dzieje się z twojej winy. Jeśli mag**

wyznaczy ci zdanie, wykonujesz je – i to szybko – albo padasz ofiarą Suszącego Ognia. Kiedy nad głową wisi ci tego rodzaju nakaz, szybko uczysz się odrzucać wszelkie skrupuły. To oznacza, że przez te pięć tysięcy lat miotałem się w tę i z powrotem po Ziemi, wbrew własnej woli wplątany w niejedno brzydkie przedsięwzięcie\*. Nie żebym miał sumienie, oczywiście, ale czasem nawet my, nieczułe dżiny, czujemy się zbrukani takim czy innym zadaniem.

I właśnie teraz tak było, choć na małą skalę.

Kruk siedział ponuro na swoim drzewie, trzymając inne ptaszyska na dystans, przy pomocy prostego zaklęcia, zwanego Smrodem. W tej chwili nie miałem ochoty na towarzystwo.

Pokręciłem dziobem z lekkim zniechęceniem. Nathaniel. Cóż można było powiedzieć? Mimo naszych okazjonalnych nieporozumień\* miałem kiedyś nadzieję, że okaże się trochę inny od większości magów. W przeszłości odznaczał się, na przykład, sporą inwencją i niemałą dozą altruizmu. Istniał cień nadziei, że może pójdzie przez życie swoją własną ścieżką, a nie starą, utartą drogą władzy, bogactwa i złej sławy, którą wybierali wszyscy jego koledzy.

I co? I nic!

A teraz wszystko zapowiadało się jeszcze gorzej. Być może wciąż wytrącony z równowagi śmiercią swojego kolegi, Tallowa, mój pan, kiedy przyzywał mnie dziś rano, stał się szorstki, wręcz niegrzeczny. Był błydy jak ściana i małowówny. Żadnej przyjacielskiej konwersacji, żadnych uprzejmości. Nie pochwalono mnie ponownie za pozbycie się zbiegłego afryta, i, choć przybrałem kilka kuszących, kobiecych kształtów, nie udało mi się ani razu sprowokować młodzika. Jedyne, co usłyszałem, to nowe zadanie, z rodzaju tych, które doskonale mieszczą się w kategorii

\* Na przykład smutna sprawa obalenia Echnatona. Nefertete nigdy mi tego nie wybaczyła, ale co mogłem zrobić? To była wina kapłanów Ra, nie moja. Była też niezręczna historia z magicznym pierścieniem Salomona, który jeden z jego rywali kazał mi ukraść i wrzucić do morza. Musiałem wtedy kłamać jak najęty, mówię wam. No i wszystkie inne, niezliczone zabójstwa, porwania, kradzieże, oszczerstwa, intrygi i oszustwa... jak się tak dobrze zastanowić, to zadania wyznaczane w dobrej wierze i słusznej sprawie są raczej rzadkie.

\*\* No dobra, dobra: nieustannych.

„paskudne i nieprzyjemne”. To było coś nowego dla Nathaniela, pierwszy raz pograżył się tak głęboko i muszę przyznać, że mnie to zaskoczyło.

Ale rozkaz to rozkaz. Tak więc sterczałem tutaj, godzinę czy dwie później, w krzaku dzikiego bzu w Balham.

Polecono mi, między innymi, bym załatwił wszystko tak cicho, jak się da, i dlatego nie wpadłem do budynku przez sufit\*. Wiedziałem, że zwierzyna jest w domu, prawdopodobnie na piętrze; czekałem więc, wbijając w okna paciorki moich małych oczu.

To nie był dom maga. Łuszcząca się farba, spróchniałe framugi okien, chwasty wyrastające spomiędzy dziurawych płytek na ganku. Spora budowla, i owszem, ale zaniedbana i jakaś smutna. W trawie sięgającej po kolana leżało nawet kilka rdzewiejących zabawek.

Po jakiejś godzinie spędzonej bez ruchu kruk zrobił się nerwowy. Choć mój pan życzył sobie dyskrecji, chciał też, by załatwić sprawę szybko. Niedługo będę musiał przestać się ościagać i zabrać się do rzeczy. Ale chciałem poczekać, aż dom opustoszeje i moja ofiara będzie sama.

Jakby w odpowiedzi na moje pragnienia frontowe drzwi otworzyły się nagle i wyszła z nich duża, dorodna kobieta z płócienną torbą na zakupy. Przeszła dokładnie pode mną i ruszyła ulicą. Nawet nie próbowałem się chować. Dla niej byłem tylko ptakiem. Nie było tu żadnych sieci i magicznych zabezpieczeń, żadnych oznak, że ktokolwiek tutaj widzi coś poza pierwszym planem. Innymi słowy, nie był to raczej sprawdzian moich mocy. Cała ta misja była obrzydliwa, od początku do końca.

Nagle spostrzegłem ruch w jednym z okien. Szara jak kurz zasłona odsunęła się na bok i chuda ręka sięgnęła do okna, by przekręcić zamek i przesunąć dolną połowę do góry. To była okazja dla mnie. Kruk wzbił się w powietrze i przeleciał przez ogród jak para czarnych majtek niesiona wiatrem. Wylądował na parapecie okna i, szurając łuskowatymi nogami, przesuwał się powoli wzdłuż brudnej firanki, aż dostrzegł niewielkie, pionowe rozdarcie. Wetknął w nie głowę i zajrzał do środka.

Była to sypialnia, co odgadłem dzięki łóżku dosuniętemu do przeciwległej ściany. Zmięta kołdra wskazywała, że niedawno ktoś je zajmował.

\* Odrzuciłem tę metodę również ze względów estetycznych. Nie lubię zostawiać po sobie bałaganu.

Ale teraz było do połowy zastawione ogromną liczbą małych, drewnianych tacek, podzielonych przegródkami. Niektóre zawierały kamienie półszlachetne: agaty, topazy, opale, granaty, jadeity i bursztyny, wszystkie oszlifowane, wypolerowane i uporządkowane według wielkości. W innych leżały paski cienkiego metalu lub płatki polerowanej kości słoniowej, albo trójkątne kawałki kolorowych materiałów. Całą długość jednej ze ścian zajmował toporny stół roboczy, pokryty kolejnymi tackami, stojakami pełnymi delikatnych narzędzi i naczyńiami z paskudnie śmierdzącym klejem. W jednym kącie leżała sterta książek, starannie ułożonych i opatrzonych etykietkami, w nowiutkich, różnokolorowych, skórzanych oprawach. Ślady ołówka na oprawach wskazywały, gdzie mają zostać umieszczone ozdoby, a na środkowej części blatu, oświetlonej dwiema stojącymi lampami, właśnie odbywała się taka żmudna operacja. Gruby tom w brązowej krokodylej skórze miała zdobić gwiazda z maleńkich, czerwonych granatów. Kruk na parapecie patrzył, jak ostatni klejnot otrzymał od spodu swoją kroplę kleju i został umieszczony na

Przy stole, głęboko pogrążony w pracy, a tym samym nieświadom mojej obecności, siedział młodzieniec, po którego tu przybyłem. Miał na sobie mocno zniszczony szlafrok i wyblakłą, niebieską piżamę. Jego stopy, skrzyżowane pod stołkiem, odziane były w dwie ogromne, pasiaste skarpety do spania. Czarne włosy sięgały ramion i jeśli chodzi o porozdwaniane końcówki i stopień przetłuszczenia, odsuwały w cień nawet wspaniałą grzywę Nathaniela. Powietrze w pokoju zdawało się gęste od zapachów skóry, kleju i potu chłopaka.

No więc, już. Komu w drogę, temu czas, i tak dalej. Pora załatwić sprawę.

Kruk westchnął, złapał dziobem firankę i jednym, szybkim ruchem łebka rozdarł materiał na dwoje.

Przeszedłem na wewnętrzny parapet i skoczyłem na najbliższą stertę książek, dokładnie w chwili, kiedy chłopak uniósł głowę z nad roboty.

Był bardzo niekształtny; jego ciało zwisało luźno, oczy miał zmęczone. Zobaczył kruka i nerwowym ruchem przecesał włosy dłonią. Przez jego twarz przemknął wyraz paniki, który ustąpił miejsca ponurej rezygnacji. Odłożył pincetę na blat.

–Jakiego rodzaju demonem jesteś? – zapytał.

Pytanie zbiło kruka z tropu.

–Masz soczewki, czy co?

Chłopak wzruszył ze znużeniem ramionami.

–Moja babcia mawiała, że demony zawsze przychodzą pod postacią kruków. A poza tym normalne ptaki nie drą firanek, żeby zrobić sobie przejście, prawda?

To ostatnie było jak najbardziej prawdziwe.

–No więc, skoro musisz wiedzieć – odparłem – jestem dżinem, starożytnym i potężnym. Rozmawiałem z Salomonem i Ptolemeuszem, i ścigałem Ludy Morza u boku królów. Obecnie jestem krukiem. Ale dość o mnie. – Przybrałem bardziej kompetentny, rzeczowy ton. – To ty jesteś plebejusz Jakob Hyrnek? – Skinienie. – Dobrze. Więc przygotuj się...

–Wiem, kto cię przysłał.

–Em... tak?

–Od dawna się domyślałem, że mnie to czeka. Kruk zamrugał ze zdumienia.

–Ciekawe. Ja się dowiedziałem dziś rano.

–Wszystko się zgadza. Postanowił dokończyć to, co zaczął. – Chłopak wepchnął ręce głęboko w kieszenie szlafroka i westchnął rozdzierająco.

Zgłupiałem.

–Naprawdę? A co zaczął? Słuchaj, przestań wzdychać jak dziewczyna i wytłumacz to jaśniej.

–Chce mnie zabić, oczywiście – powiedział Hyrnek. – Zakładam, że jesteś skuteczniejszym demonem niż ten ostatni. Choć muszę przyznać, że tamten wyglądał bardziej przerażająco. Ty jesteś jakiś bury i zapyziały. I mały.

–Chwila, czekaj no. – Kruk przetarł oczy końcem skrzydła. – To jakaś pomyłka. Mój pan aż do wczoraj nie wiedział o twoim istnieniu. Tak mi powiedział.

Teraz chłopak trochę się zdziwił.

–Dlaczego Tallow miałby mówić coś takiego? Zwariował?

**–Tallow? – Kruk prawie zrobił zeza ze zdumienia. – Zwolnij! A co on ma z tym wspólnego?**

**–To, oczywiście, że nasłał na mnie zieloną małpę. Więc siłą rzeczy założyłem...**

**Uniosłem skrzydło.**



–Zacznijmy od początku. Zostałem wysłany, by odnaleźć Jakoba Hyrnka pod tym adresem. Jakob Hyrnek to ty. Zgadza się? Dobra. Na razie jakoś idzie. No więc, nic nie wiem o żadnej zielonej małpie i powiem ci, tak przy okazji, że wygląd to jeszcze nie wszystko. Może w tej chwili nie pr Chłopak skinął smutno głową.

–Tak też myślałem.

–I słusznie, kolego. Jestem gorszy niż jakakolwiek małpa, jaką mógłbyś spotkać, to pewne. No dobra, gdzie to ja byłem? Zgubiłem wątek... A, tak. Nic nie wiem o małpie i z całą pewnością nie przyzwał mnie Tallow. Co zresztą byłoby absolutnie niemożliwe.

–Dlaczego?

–Bo wczoraj wieczorem połknął go afryt. Ale to zupełnie nieistotne...

Nie dla chłopaka. Na tę wieść twarz mu pojaśniała, oczy otwarły się

szerzej, a usta wygięły się w szerokim uśmiechu. Jego całe ciało, obciążające bezwładnie stół niczym wór cementu, nagle zaczęło się prostować i zyskiwać nowe życie. Palce ścisnęły brzeg stołu tak mocno, że aż trzasnęły stawy.

–Nie żyje? Jesteś pewny?

–Widziałem to tymi oczyma. No, właściwie nie całkiem tymi. Wtedy akurat byłem węzem.

–Jak to się stało? – Okazywał niespotykane zainteresowanie.

–Przyzwanie mu nie wyszło. Głupiec źle przeczytał słowa, czy coś

takiego.

Uśmiech Hyrnka poszerzył się.

–Czytał z książki?

–Z książki, tak. Zwykle właśnie w nich można znaleźć inkantacje. A teraz, czy moglibyśmy wreszcie przejść do rzeczy? Nie mam całego dnia.

–Jestem ci bardzo wdzięczny za tę informację – chłopak robił, co mógł, żeby zachowywać się godnie, ale wciąż szczyrzył zęby i wybuchał chichotem. To mnie naprawdę rozpraszało.

–Słuchaj, ja tu próbuję być poważny. Ostrzegam cię, lepiej weź pod uwagę... A, do licha! – Kruk, robiąc groźny krok do przodu, wdepnął w słoik z klejem. Po kilku próbach udało mi się go

**strząsnąć, aż poleciał przez pokój, i zacząłem oskrobywać sobie łapę o róg drewnianej tacki. –  
A teraz słuchaj – warczałem podczas tej czynności – przybyłem tutaj nie po**

to, żeby cię zabić, jak zakładałeś, ale żeby cię zabrać. I radzę ci nie stawiać oporu. To go trochę otrzeźwiło.

–Zabrać mnie? Dokąd?

–Zobaczysz. Nie chcesz się ubrać? Mogę ci dać trochę czasu.

–Nie. Nie, ja nie mogę! – Nagle się zdenerwował, zaczął pocierać twarz i drapać się po rękach.

Spróbowałem go uspokoić.

–Nie zrobię ci krzywdy...

–Ale ja nigdy nie wychodzę. Nigdy!

–Nie masz wyboru, synku. No więc, co powiesz na jakieś spodnie? Ta piżama wygląda na luźną, a ja latam bardzo szybko.

–Błagam. – Chłopak był zrozpaczony. – Ja nigdy nie wychodzę. Nie wychodziłem od trzech lat. Spójrz na mnie. No spójrz. Widzisz?

Spojrzałem na niego, nic nie rozumiejąc.

–Co? No, może jesteś trochę pulchny. Ale gorsi od ciebie chodzą po ulicach, a zresztą rozwiązałbyś szybko ten problem trochę się gimnastykując, zamiast siedzieć tutaj na tyłku. Przyozdabianie książek z zaklęciami we własnej sypialni to nie jest życie dla dorastającego chłopaka. Na twój wzrok to też fatalnie działa.

–Nie... moja skóra! I ręce! Popatrz na nie! Wyglądam strasznie! – Teraz już krzyczał, podstawiając mi dłonie pod dziób i odgarniając włosy z twarzy.

–Przykro mi, ale ja nie...

–Kolor, oczywiście! Popatrz na to! Na całym ciele! – I rzeczywiście, kiedy o tym wspomniał, zauważyłem pionowe, szaroczarne pasy, biegnące po jego twarzy i z wierzchu dłoni.

–A, to – powiedziałem. – Niby co to jest? Myślałem, że zrobiłeś to sobie specjalnie.

Hyrnek wydał z siebie głupawy, szlochający śmiech, z rodzaju tych, które mówią o zbyt długim czasie spędzonym w samotności. Nie dałem mu czasu, by się odezwał. – To był Czarny Bęben, tak? – ciągnąłem. – No więc, lud Banja z Wielkiego Zimbabwe stosował ten czar, między innymi, by przydać sobie atrakcyjności. Uważano za bardzo stosowne, by pan młody sprawił sobie taki pasiasty garniturek na całym ciele przed ślubem. Kobiety też się na to decydowały,

**tyle że stosowały bardziej miejscowo.**

Tylko bogacze mogli sobie na to pozwolić, jako że czarownicy żądali za to złotych gór. W każdym razie z ich punktu widzenia wyglądasz na świetną partię. – Przerwałem. – Z wyjątkiem włosów, które są fatalne. Ale mój pan ma to samo i nie przeszkadza mu to paradować po mieście w biały dzień. No dobra – w środku tej przemowy usłyszałem trzaśnięcie drzwi gdzieś w domu – pora się zbierać. Nie ma czasu na spodnie, obawiam się. Będziesz musiał stawić czoło prądom wstępującym.

Podskoczyłem dalej po biurku. Chłopak ześlizgnął się ze swojego siedzenia na podłogę w nagłym przyplywie paniki i zaczął się cofać.

–Nie! Zostaw mnie!

–Przykro mi, ale nic z tego. – Robił za dużo hałasu. Wyczuwałem ruch w pokoju na dole. – Nie chowaj do mnie urazy, nie mam innego wyjścia.

Kruk zeskoczył na podłogę i zaczął się zmieniać, rosnąc do budzących grozę rozmiarów. Chłopak wrzasnął, odwrócił się i rzucił do drzwi. W odpowiedzi dobiegł zza nich drugi krzyk; matczyzny, zdaje się. Usłyszałem ciężkie, pospieszne kroki na schodach.

Jakob Hyrnek siłował się z gałką, ale nie zdołał jej obrócić. Gigantyczny, złoty dziób spadł na kołnierz jego szlafroka; stalowe szpony obróciły się na dywanie, orząc deski pod spodem. Chłopak został porwany do góry jak bezradny szczeniak w pysku matki. Potężne skrzydła uderzyły raz, wywracając tacki i ciskając klejnoty o ścianę. Podmuch wiatru; Hyrnka rzuciło w stronę okna. Szkarłatne skrzydło uniosło się, by go osłonić; szkło posypało się dookoła, zimne powietrze uderzyło o jego ciało. Krzyknął, zaszamotał się dziko – i już go nie było.

Ktokolwiek podszedłby do pustej dziury w ścianie, która została za nami, nie zobaczyłby ani nie usłyszał nic, może tylko cień wielkiego ptaka przemykający po trawie i dalekie krzyki, wznoszące się w niebo.

⟨KLtty

ego popołudnia Kitty trzy razy przechodziła obok kawiarni U Druida. Za pierwszym i drugim razem nie zauważyła niczego ani nikogo interesującego, ale za trzecim wreszcie jej się ło. Za tłumkiem podekscytowanych turystów z kontynentu, którzy zajęli kilka zewnętrznych stolików, dostrzegła spokojną sylwetkę pana Hopkinsa. Siedział sam, mieszając espresso łyżeczką. Zdawał się pogrążony w rozmyślaniach, wrzucał do czarnego napoju cukier, kostkę za kostką. Ale nie wypił ani kropli.

Kitty długo obserwowała go, kryjąc się w cieniu posągu, stojącego na środku skweru. Jak zawsze twarz pana Hopkinsa była nijaka i całkowicie pozbawiona wyrazu. Kitty nie była w stanie odczytać, o czym myśli ten człowiek.

Zdrada rodziców sprawiła, że Kitty stała się jeszcze bardziej bezbronna i samotna, a druga noc spędzona na głodniaku w piwnicy przekonała ją, że musi porozmawiać z jedynym sprzymierzeńcem, jakiego miała szansę odnaleźć. Była przekonana, że Nick ukrył się tak dobrze, jak się dało, ale Hopkins, zawsze utrzymujący pewien dystans w stosunkach z resztą ruchu oporu mógł, wciąż być osiągalny.

I rzeczywiście siedział tutaj, czekając w umówionym miejscu spotkań. Kitty wciąż się jednak wahała, targana niepewnością.

## 375

Może to, że akcja poszła tak fatalnie, nie było jedynie winą Hopkinsa. Może żaden ze starych dokumentów, które przestudiował, nie wspominał o słudze Gladstonea. Mimo to. Kitty nie mogła zapomnieć, że straszliwą klęskę w grobowcu ponieśli na skutek jego namowy. Hopkins przedstawił ich nieznanemu dobroczyńcy i pomógł zorganizować całą rzecz. W najlepszym wypadku jego plan okazał się żałośnie niedopracowany. W najgorszym, świadomie naraził życie ich wszystkich.

Ale po śmierci przyjaciół, z czarodziejami deptającymi jej po piętach, Kitty nie miała wielkiego wyboru. W końcu wyszła więc zza posągu i przeszła przez brukowany skwer do stolika Hopkinsa.

Bez powitania odsunęła sobie krzesło i usiadła. Mężczyzna uniósł wzrok. Jego blade, szare oczy obejrzały Kitty dokładnie. Łyżeczka mieszająca kawę zgrzytała cicho o brzegi filiżanki. Kitty wpatrywała się w niego beznamietnie. Do stolika zbliżył się hałaśliwy kelner; Kitty zamówiła coś, żeby się odczepił, i odprawiła go. Poza tym nie odzywała

Hopkins wyjął łyżeczkę, postukał nią o brzeg filiżanki i położył ją ostrożnie na stole.

–Słyszałem, co się stało – powiedział nagle. – Szukałem cię wczoraj

**przez cały dzień i przedwczoraj też.**

**Kitty roześmiała się z goryczą.**

**–Nie pan jeden.**

**–Najpierw pozwól mi powiedzieć... – Hopkins przerwał, kiedy kelner z rozmachem postawił przed Kitty mleczny koktajl i drożdżówkę z lukrem i odszedł. – Najpierw pozwól, że ci powiem, jak... straszliwie mi przykro. To tragedia. – Przerwał. Kitty spojrzała na niego. – Jeśli to jest dla ciebie jakąś pociechą, to... mój informator też głęboko się przejął.**

**–Dziękuję – odparła Kitty. – To żadna pociecha.**

**–Informacje, które mieliśmy i które w całości, bez przemilczeń, przekazaliśmy panu Pennyfeatherowi, nie wspominały o strażniku – ciągnął pan Hopkins spokojnie. Pomór owszem, ale nic poza tym. Gdybyśmy wiedzieli, oczywiście nigdy nie dopuścilibyśmy do takiej akcji.**

**Kitty wpatrywała się w swój koktajl. Nie była pewna, czy uda jej się wydobyć głos. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Pan Hopkins obserwował ją przez chwilę.**

**–Czy wszyscy pozostali... – zaczął i umilkł. – Czy tylko ty...?**

–Sądziłam – powiedziała gorzko Kitty – że mając taki dostęp do informacji jak pan, można już wiedzieć do tej pory. – Westchnęła. – Nick też przeżył.

–Tak? Naprawdę? Świetnie, świetnie. A gdzie on jest?

–Nie mam pojęcia. I nie obchodzi mnie to. Uciekł, kiedy inni walczyli.

–A, rozumiem. – Hopkins znów zaczął bawić się łyżeczką. Kitty gapiała się na własne kolana. Zdała sobie teraz sprawę, że nie wie, o co ma go poprosić, że on jest tak samo zdezorientowany, jak ona. Niedobrze, była zupełnie sama.

–To oczywiście nie ma teraz znaczenia – zaczął Hopkins i coś w jego głosie kazało Kitty spojrzeć na niego uważniej. – Wobec tej tragedii, jaka się wydarzyła, to zupełnie bez znaczenia i bez związku, naturalnie, ale domyślam się... biorąc pod uwagę niespodziewane niebezpieczeństwa, na jakie byłaś narażona, i utratę tylu wspaniałych towarzyszy... zapewne nie zdołałaś wynieść z grobowca nic wartościowego?

To pytanie, tak rozwlekłe i pokrętne, odniosło odwrotny skutek, niż planował to mężczyzna. Oczy Kitty rozszerzyły się z niedowierzania, powoli zmarszczyła brwi.

–Ma pan rację – rzuciła szorstko., – To bez znaczenia. – Zjadła

drożdżówkę w dwóch kęsach i upiła łyk koktajlu.

Hopkins na nowo zaczął mieszać kawę.

–To znaczy, nic nie zostało zabrane? – naciskał. – Nie byłaś w stanie... –

głos odmówił mu posłuszeństwa.

Siadając przy stoliku Hopkinsa miała zamiar wspomnieć mu o Lasce. W końcu jej nie mogła się na nic przydać, a było możliwe, że dobroczyńca, który pragnął ją mieć w swojej kolekcji, byłby gotów za nią zapłacić. Pieniądze pozwoliłyby jej przetrwać jakiś czas. Zakładała, że ze względu na okoliczności Hopkins okaże odrobinę przyzwoitości, jeśli chodzi o zakończenie tej sprawy. Nie spodziewała się, że będzie się tak otwarcie upominał o swoją część łupu. Pomyślała o Anne, martwej, na ich szlaku w ciemnej nawie, do końca nie chcąc puścić swojego worka z artefaktami. Zacisnęła usta w twardą kreskę.

–Zapakowaliśmy do plecaków całą zawartość grobowca – powiedziała –

ale nie zdołaliśmy uciec. Może Nick coś wyniósł, nie wiem.

Blade oczy pana Hopkinsa przyglądały jej się uważnie.





–Ale ty... ty nic nie wzięłaś?

–Rzuciłam swój plecak.

–A! Naturalnie, rozumiem.

–Miałam w nim między innymi płaszcz. Proszę najserdeczniej przeprosić swojego informatora, zdaje się, że to był jeden z przedmiotów, które chciał dla siebie, tak?

Mężczyzna kiwnął od niechcienia ręką.

–Nie pamiętam. I zapewne nie wiesz, co się stało z Laską Gladstonea? Wydaje mi się, że to na niej najbardziej mu zależało.

–Podejrzewam, że została w krypcie.

–Tak... tylko że nie wspomniano, by została znaleziona w opactwie, ani by miał ją przy sobie szkielet krążący po Londynie.

–W takim razie pewnie wziął ją Nick... Nie wiem. Jakie to ma znaczenie? Przecież jest bezwartościowa. Według tego, co pan mówił. – Kitty powiedziała to od niechcienia, ale obserwowała twarz rozmówcy. Hopkins pokręcił głową.

–Tak. Masz rację. Mój informator będzie rozczarowany i tyle. Naprawdę, już się cieszył, że ją dostanie, i zapłaciłby hojnie, by ją mieć.

–Wszyscy jesteśmy rozczarowani – odparła Kitty. – A nawet martwi, w większości. Jakoś to przeżyje.

–Tak. – Hopkins zabębnił palcami po obrusie. Zdawało się, że zastanawia się nad czymś. – No a ty, Kitty? – zapytał wesoło. – Jakie masz teraz plany? Gdzie się zatrzymałaś?

–Nie wiem. Coś wymyślę.

–Potrzebujesz pomocy? Schronienia?

–Nie, dziękuję. Będzie lepiej, jeśli nie będziemy sobie wchodzić w drogę. Magowie wytropili moją rodzinę. Nie chcę narażać pana ani pańskiego informatora na ryzyko. – Nie miała też ochoty zadawać się dłużej z tym człowiekiem. Śmierć jej kolegów była mu obojętna, co ją przeraziło. Wolą trzymać się jak najdalej od niego. – Prawdę mówiąc – odsunęła krzesło – lepiej będzie, jeśli już pójdę.

–Twoja troska dobrze o tobie świadczy. Oczywiście życzę ci, by szczęście cię nie opuszczało.

**Jednak zanim odejdiesz – Hopkins podrapał się w nos, jakby się zastanawiał, jak ująć w słowa trudną kwestię – powinnaś chyba usłyszeć o czymś, czego dowiedziałem się od jednego z moich informatorów. Dotyczy cię to osobiście.**

Kitty, która podnosiła się już z krzesła, zatrzymała się.

–Mnie?

–Obawiam się, że tak. Dowiedziałem się o tym jakąś godzinę temu. To ściśle tajne, nie wie o tym nawet większość członków rządu. Jeden ze ścigających cię magów... nazywa się John Mandrake, zdaje się... grzebał w twojej przeszłości. Dowiedział się, że kilka lat temu niejaka Kathleen Jones stanęła przed sądem, oskarżona o napaść.

–I co z tego? – Kitty nie dała nic po sobie poznać, ale serce nagle zaczęło jej szybciej bić. – To było dawno temu.

–Rzeczywiście, ale przeglądając akta procesu, dowiedział się, że dokonałaś nie spowodowanej napaści na poważnego maga i zostałaś skazana na grzywnę. Uważa to za jeden z pierwszych ataków ruchu oporu.

–Bzdura! – wybuchnęła Kitty z furją. – To był wypadek! Nie mieliśmy pojęcia...

–Co więcej – ciągnął Hopkins – wie, że nie dokonałaś tej napaści sama. Kitty usiadła jak skamieniała.

–Co? On chyba nie myśli...

–Mandrake uważa, i w tej chwili nie jest ważne, czy słusznie, czy nie, że twój przyjaciel... jak on się nazywał? Jakob coś tam...

–Hyrnek. Jakob Hyrnek.

–Właśnie. Uważa, że pan Hyrnek też jest powiązany z ruchem oporu.

–To bzdura...!

–Mimo to dziś rano wysłał swojego demona, który zabrał twój przyjaciel na przesłuchanie. O rety! Tak też myślałem, że cię to zdener-

Kitty potrzebowała kilku sekund, żeby wziąć się w garść. W końcu odezwała się niepewnie.

–Ale ja nie widziałam Jakoba od lat. On nic nie wie.

–I zapewne Mandrake się o tym przekona. Z czasem. Kitty kręciło się w głowie. Próbowwała zebrać myśli.

–Dokąd go zabrali? Do... do Tower?

**–Mam nadzieję, moja droga, że nie planujesz czegoś nierozważnego –  
mruknął Hopkins. – Mandrake jest uważany za jednego z najpotężniej  
szych młodych magów. Utalentowany chłopak, jeden z faworytów pre  
miera. Nie byłoby mądrze...**

Kitty zmusiła się, by nie zacząć krzyczeć. W każdej chwili, którą tu marnowali, Jakob mógł być torturowany. Może otaczają go demony gorsze niż szkielet, szarpią go swymi szponami... A przecież był zupełnie niewinny, nie miał z nią absolutnie nic wspólnego. Ależ była głupia! Jej lekkomyślne wybryki naraziły na niebezpieczeństwo kogoś, za kogo kiedyś oddałaby życie.

–Ja na twoim miejscu zapomniałbym o młodym Hyrnku – mówił właśnie Hopkins. – Nie możesz nic zrobić...

–Błagam – powiedziała. – Zabrali go do londyńskiej Tower?

–O ile wiem, to nie. To byłby zwykły porządek rzeczy. Ale myślę, że Mandrake próbuje to załatwić po cichu, sam, by zyskać przewagę nad rywalami w rządzie. Porwał twojego przyjaciela w tajemnicy i umieścił w jakiejś kryjówce, by go przesłuchać. Jest mało prawdopodobne, by była mocno strzeżona. Ale będą tam demony...

–Poznałam tego Mandrakea – przerwała mu ostro Kitty. Wzburzona, pochyliła się do przodu, potrącając szklankę z koktajlem, która przechyliła się na bok. Napój wychlapał się na obrus. – Spotkałam go, pokonałam i zostawiłam, nie oglądając się za siebie. Jeśli ten małolat skrzywdzi Jakoba – powiedziała – jeśli zrobi mu najmniejszą krzywdę, to niech mi pan wierzy, panie Hopkins, zabiję go własnymi rękami. Jego i każdego demona, który mi stanie na drodze.

Hopkins uniósł dłonie nad blatem stołu, po czym położył je z powrotem. Jego gest mógł oznaczać cokolwiek.

–Pytam jeszcze raz – odezwała się Kitty. – Wie pan, gdzie jest ta kryjówka?

Bładoszare oczy przyglądały jej się przez chwilę; w końcu mrugnęły.

–Tak – powiedział głucho. – Znam adres. Mogę ci go podać.

itty nigdy nie była w tajemnym magazynie pana Pennyfeathera, ale wiedziała, jak uruchomić mechanizm otwierający drzwi. Popchnęła w dół metalową dźwignię, ukrytą wśród śmieci na podłodze piwnicy, jednocześnie naciskając cegły nad stertą drewna.

Część cegieł powoli, ciężko uchyliła się do wewnątrz i przesunęła. Nagle dał się wyczuć zapach chemikaliów, a w ścianie otworzyła się wąska szczelina.

Kitty precisnęła się przez nią i poczekała, aż drzwi zamkną się za nią.

Kompletna ciemność. Kitty stała nieruchomo. Po chwili rozłożyła ręce i z wahaniem zaczęła macać po obu stronach, szukając jakiegoś włącznika. Najpierw, ku swojemu przerażeniu, natrafiła na coś zimnego i futrzastego. Cofnęła gwałtownie rękę; jednocześnie druga chwyciła zwisający sznurek.

Pociągnęła zań. Pstryk, ciche buczenie. Rozbłysło łagodne, żółte światło.

Futrzasty przedmiot, jak natychmiast stwierdziła z ulgą, okazał się kapturem starego płaszcza, powieszono go na kołku. Obok niego wisiały trzy torby na ramię. Kitty wybrała największą, przełożyła pasek przez głowę i zaczęła oglądać pomieszczenie.

Była to niewielka komnatka, której ściany od podłogi do sufitu zasłaniały toporne, drewniane półki. Były tutaj pozostałości kolekcji pana Pennyfeathera – magiczne artefakty, które Kitty i reszta bandy zdołali ukraść w ciągu ostatnich lat. Wiele przedmiotów zabrali, szykując się do akcji w opactwie, ale zostało ich jeszcze całe mnóstwo. Schludne rządki wybuchowych kul i pojemników z moulerami, była też jedna czy dwie kule żywiołów, laski z Piekielnymi Ogniami, srebrne gwiazdziste dyski i inna, łatwa w posługiwaniu się broń. Lśniły jasno w świetle; najwidoczniej pan Pennyfeather często je polerował. Kitty wyobraziła sobie, jak staruszek schodzi do piwnicy i w samotności napawa się swoją kolekcją. Z jakiegoś powodu ta myśl wyprowadziła ją z równowagi. Zabrała się do roboty, pakując do torby tyle artefaktów, ile się dało.

Następnie podeszła do stojaka z nożami, sztyletami i inną krótką, białą bronią. Niektóre z nich, być może, były magiczne, inne były zwyczajnie bardzo ostre. Wybrała dwa – jeden z nich, srebrny, wsunęła do sekretnej skrytki w cholewce prawego buta, drugi wetknęła za pasek. Kiedy stała, zasłaniała go poła kurtki.

Kolejna półka zawierała rząddek zakurzonych, szklanych butelek róż-nych rozmiarów, przeważnie wypełnionych bezbarwnymi płynami. Zostały zabrane z domostw magów, ale ich przeznaczenie pozostawało nieznanne. Kitty obrzuciła je wzrokiem i przeszła dalej.

Ostatni regał był od góry do dołu zastawiony przedmiotami, dla których pan Pennyfeather nie znalazł zastosowania: biżuterią, ozdobami, sukniami i szatami. Były tam dwa obrazy z Europy Środkowej, azjatyckie bibeloty, kolorowe muszle i kamienie pokryte dziwnymi zawijasami i wzorami. Stanley i Gladys zaobserwowali wokół każdego z nich magiczną aurę, ale członkowie ruchu oporu nie zdołali ich uaktywnić, więc Pennyfeather po prostu odłożył je na bok.

Kitty miała zamiar pominąć te półki, ale wracając do sekretnych drzwi zauważyła schowany z tyłu, niewielki, matowy dysk, grubo zasnuty pajęczynami.

### Magiczne zwierciadło Mandrakea.

Nie wiedząc do końca dlaczego, Kitty wzięła dysk i wrzuciła go, nawet nie czyszcząc z pajęczyn, do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wreszcie wróciła do drzwi, które z tej strony wyposażone były w poręczną klamkę. Otworzyła je i wyszła do piwnicy.

Laska leżała na podłodze, tam, gdzie rzuciła ją tego ranka. Wiedziona nagłym impulsem Kitty zaniósła ją do sekretnego magazynu. Choć był to bezużyteczny kij, jej przyjaciele zginęli, by go zdobyć; mogła przynajmniej schować ją w bezpiecznym miejscu. Położyła ją w kącie, ostatni raz obrzuciła wzrokiem magazyn i pociągnęła za wyłącznik światła. Drzwi zaskrzypiały płaczliwie, zamykając się za nią. Ruszyła ku schodom.

Tajemniczy dom, w którym więziono Jakoba, znajdował się w opustoszałej części Wschodniego Londynu, niecały kilometr na północ od Tamizy. Kitty dość dobrze знаła ten teren; był to rejon magazynów i wysypisk. Wiele budynków pamiętało jeszcze naloty z czasów Wielkiej Wojny. Ruch oporu często działał w tej okolicy. Splądrowali tu kilka magazynów, a niektóre ze zrujnowanych budynków wykorzystywali jako tymczasowe kryjówki. Nadzór magów był tutaj stosunkowo luźny, szczególnie po zmroku. Przelatywały tędy tylko nieliczne kule tropiące, a te, które się pojawiły, przeważnie dało się ominąć. Zapewne właśnie z tego powodu Mandrake wybrał tę okolicę. Nie chciał, by ktokolwiek przeszkadzał mu w przesłuchaniu.

Plan Kitty, o ile można to było nazwać planem, składał się z dwóch części. Zamierzała, jeśli jej się uda, wydostać Jakoba z kryjówki, wykorzystując broń i swoją wrodzoną odporność, by utrzymać Mandrakea



i wszelkie demony na dystans. Potem spróbowalaby przemyścić Jakoba do doków, a stamtąd zorganizować przeprawę na kontynent. Byłoby głupotą pozostać w Londynie po tym, co się stało. Gdyby akcja ratunkowa i ucieczka okazały się niemożliwe, alternatywa była mniej kusząca: Kitty zamierzała się poddać, żądając, by Jakob odszedł wolno. Skutki takiego rozwiązania były oczywiste, ale nie wahała się. Zbyt długo walczyła z magami, by teraz bać się konsekwencji.

Trzymając się bocznych uliczek, powoli przekradała się w stronę Wschodniego Londynu. O dziewiątej znajome, zawodzące buczenie rozległo się z wież City – po włamaniu do opactwa wprowadzono godzinę policyjną. Mijali ją ludzie idący po obu stronach ulicy – ze spuszczoneymi głowami spieszyli do domów. Kitty nie zwracała na nich uwagi. Złamała więcej zakazów, niż mogła spamiętać. Mimo to przesiedziała godzinę czy półtorej na ławce w małym, pustym parku, czekając, aż zamieszanie się uspokoi. Lepiej nie mieć świadków, kiedy będzie się zbliżała do celu.

Pan Hopkins nie pytał jej, co planuje, a ona nie wrywała się z informacjami. Poza adresem nie chciała od niego niczego więcej. Jego bezduszna obojętność zbulwersowała ją. Postanowiła, że od tej pory będzie polegać wyłącznie na sobie.

Minęła dziesiąta. Wszedł księżyc i wisiał teraz, pełny i jasny, wysoko nad miastem. Stąpając cicho na miękkich podszwach, z ciężką torbą na ramieniu, Kitty przemykała opustoszałymi ulicami. W dwadzieścia minut dotarła do celu – krótkiej, ślepej uliczki, z małymi warsztatami po obu stronach. Ukryta w cieniu na rogu, obserwowała teren przed sobą.

Uliczka była wąska, oświetlona tylko dwiema latarniami. Jedna z nich stała kilka metrów od narożnika, gdzie chowała się Kitty, druga przy końcu zaułka. Latarnie i biała poświata księżycy, spływająca z góry, kiepsko oświetlały budynki.

Warsztaty były przeważnie niskie, jedno- lub dwupiętrowe. Niektóre zabito deskami, inne ziały czarnymi, pustymi dziurami w miejscu wyłamanych drzwi i okien. Kitty stała i obserwowała je bardzo długo, wdychając nieruchome, nocne powietrze. Miała żelazną zasadę, by nigdy nie wychodzić w ciemności na otwartą, nieznaną przestrzeń. Ale nie widziała ani nie słyszała niczego niepokojącego. Było bardzo cicho.

Na końcu uliczki, za drugą latarnią, stał trzypiętrowy budynek, trochę wyższy niż reszta. Na parterze znajdował się kiedyś, być może, warsztat samochodowy. Widać było szeroki wjazd dla samochodów, teraz niechlujnie zasłonięty drucianą siatką. Nad tym wjazdem ślepe okna wskazywały na biura albo mieszkania. Wszystkie były czarne i puste, z wyjątkiem jednego, w którym pełgało przyćmione światło. Kitty nie wiedziała, który z budynków w uliczce był kryjówką Mandrake' a, ale ten – z jedynym oświetlonym oknem na całej ulicy – natychmiast przyciągnął jej uwagę. Przez chwilę wpatrywała się w nie, ale nie mogła dostrzec niczego, może z wyjątkiem jakiejś płachty czy szmaty, którą było zasłonięte. Stała zbyt daleko, by to zobaczyć wyraźnie.

Noc była zimna; Kitty pociągnęła nosem i wytarła go o rękaw. Serce tłukło jej się boleśnie o żebra, ale nie zwracała uwagi na jego protesty. Pora działać.

Przebiegła chodnik na wprost pierwszej latarni i zaczęła się przekradać dalej. Jedną ręką wiodła po ścianie, drugą lekko opierała na torbie. Jej oczy nie próżnowały ani przez chwilę. Obserwowała drogę, ciche budynki, czarne okna w górze i zasłonięte okno przed sobą. Po każdym kroku zatrzymywała się i nasłuchiwała, ale miasto milczało, pozamykane na cztery spusty. Szła dalej.

W końcu znalazła się na wprost jednego z pustych otworów drzwiowych; mijając go, nie odrywała od niego oczu. Po plecach chodziły jej ciarki. Ale nic się nie poruszyło.

Teraz była już dość blisko, by widzieć, że okno przed nią zasłonięte było brudną płachtą. Widocznie materiał nie był zbyt gruby, bo Kitty dostrzegła cień przesuwający się za nią. Jej mózg wysiłał się bezskutecznie, by nadać kształt cieniowi. Był to człowiek, tyle mogła powiedzieć, ale niczego więcej nie była w stanie stwierdzić.

Podkradła się kawałek dalej. Dokładnie po lewej miała rozwalone drzwi; wewnątrz za nimi wypełniała gęsta czerń. Tak jak przedtem włosy zjeżyły jej się na głowie, kiedy przechodziła obok nich na paluszkach, jak przedtem nie odrywała od nich oczu i jak przedtem nie dostrzegła niczego niepokojącego. Jej nos drgnął, wychwytując słaby, zwierzęcy zapach, płynący z opuszczonego domu. Może pozostawiły go koty albo jeden ze zdziczałych psów, które stanowiły plagę zrujnowanych dzielnic wielkiego miasta. Poszła dalej.

Zrównała się z drugą latarnią i w jej świetle zlustrowała budynek na końcu ulicy. Tuż za framugą szerokiego wjazdu, ale przed zasłaniającą go siatką, dostrzegła wąskie drzwi w bocznej ścianie. Z tej odległości wyglądało nawet, że są lekko uchylone.

Zbyt piękne, by mogło być prawdą? Być może. Przez ostatnie lata Kitty nauczyła się traktować takie okazje z najwyższą ostrożnością. Postanowiła spenetrować cały teren, zanim skieruje się do tych podejrzanie zapraszających drzwi.

Znów ruszyła przed siebie i w ciągu następnych kilku sekund zobaczyła dwie rzeczy.

Pierwszą w oświetlonym oknie. Przez ułamek sekundy za płachtą znów ukazał się cień i tym razem jego profil był wyraźny. Serce jej podskoczyło; teraz wiedziała już na pewno. Jakob tam był.

Drugą rzecz dostrzegła na dole, kawałek dalej, po drugiej stronie jezdnii. Latarnia rzucała tam okrągłą plamę światła, kładącą się na ziemi i na ścianie budynku za nią. W ścianie widniało wąskie okno, a dalej pusta dziura drzwi. Posuwając się odrobinę dalej, Kitty zauważyła teraz, że światło latarni, wpadające przez okno, widoczne było przez drzwi w postaci długiej, skośnej krechy przecinającej podłogę pomieszczenia. Dostrzegła też – a dostrzegłszy, zatrzymała się w pół kroku – że jedna z krawędzi tej świetlnej drzazgi wyraźnie obrysowuje ludzką sylwetkę.

Człowiek najwidoczniej stał przyciśnięty płasko do ściany wewnątrz budynku, tuż obok okna, bo w czarnym zarysie można było rozpoznać zaledwie jego czoło i nos. Były to dość wydatne rysy – być może wystawały bardziej, niż zdawał sobie sprawę ich właściciel, i dlatego zahaczało o nie światło. Poza tym doskonale się spisywał, czekając bez drgnienia.

Ledwie oddychając, Kitty cofnęła się pod ścianę. Nagle jak kamień przygniotła ją świadomość: minęła już dwoje drzwi – jedno i drugie wyłamane – a do końca ulicy zostawało co najmniej jeszcze dwoje. Możliwe, że we wszystkich ktoś stał. Kiedy więc dotrze do domu na końcu, pułapka się zamknie.

Ale kto ją zastawił? Mandrake? Czy może – zaświtała jej kolejna, przerażająca myśl – Hopkins?

Zazgrzytała z furią zębami. Jeśli pójdzie dalej, będzie otoczona. Jeśli się wycofa, zostawi Jakoba na pastwę losu, który gotowali mu magowie.

Pierwsza opcja być może oznaczała samobójstwo, ale druga była nie do przyjęcia, za żadną cenę.

Kitty poprawiła pasek torby, by zwisała swobodniej na ramieniu, i otworzyła ją. Chwyła pierwszą lepszą broń – laskę z Piekielnymi Ogniami – i krok za krokiem ruszyła naprzód, nie odrywając oczu od sylwetki w drzwiach.

Cień nie poruszył się. Kitty trzymała się pod ścianą.

Z ukrycia, tuż przed nią, wyszedł człowiek.

Jego ciemnoszary mundur zlewał się idealnie z nocną ciemnością. Nawet widoczna w całości, jego wysoka, pękata postać wydawała się jakby na wpół obecna, jak duch utkany z cieni. Ale jego głos, szorstki i głęboki, był jak najbardziej realny.

–Nocna Policja. Jesteś aresztowana. Połóż torbę na ziemi i stań twarzą do ściany.

Kitty nie odpowiedziała. Cofnęła się powoli, kierując się na środek jezdni, jak najdalej od otwartych drzwi, które minęła. W palcach lekko trzymała laskę.

Policjant nie ruszył za nią.

–To twoja ostatnia szansa. Zatrzymaj się tam, gdzie jesteś, i połóż broń na ziemi. Jeśli nie, zostaniesz unicestwiona.

Kitty cofnęła się jeszcze dalej. Nagle – ruch z prawej strony. Kątem oka zobaczyła, że sylwetka w drzwiach zmienia pozycję. Cień pochylił się do przodu, zmieniając jednocześnie kształt. Sterczący nos wydłużył się niepokojąco, podbródek poszedł w jego ślady, podjeżdżając do góry, wypukłe czoło cofnęło się, a z czaszki wyrosły spiczaste uszy, prężąc się i strzygąc na boki. Przez moment Kitty dostrzegła nawet czubek czarnego jak agat nosa w oświetlonym oknie; potem opadł na podłogę, poza zasięg jej wzroku.

Sylwetka zniknęła z drzwi. Z pomieszczenia dobiegł dźwięk niuchania i dartego materiału.

Kitty wyszczerzyła zęby i przesunęła wzrok z powrotem na policjanta na ulicy. On też się zmieniał. Jego ramiona pochylały się w dół i do przodu, ubranie rozłaziło się, odsłaniając długą, szarą szczecinę na grzbiecie. Oczy świeciły mu żółto w ciemności, zęby kłapały wściekle, kiedy głowa zniżała się w cień.

Tego już było Kitty dość. Odwróciła się i zaczęła uciekać.



Na końcu ulicy, w ciemności poza kręgiem światła latarni coś chodziło w tę i z powrotem na czterech łapach. Widziała płonące oczy; zachłystując się powietrzem, poczuła zwierzęcy smród.

Zatrzymała się, przez chwilę niepewna, co robić. Z drzwi po prawej wysunęła się kolejna, ciemna sylwetka. Dostrzegła dziewczynę, kłapnęła zębami i skoczyła w jej stronę.

Kitty rzuciła laskę.

Broń wylądowała na chodniku między przednimi łapami zwierzęcia, pękając z trzaskiem i wyrzucając wysoki jęzor płomienia. Dziewczyna usłyszała skowyt, a potem bardzo ludzki wrzask. Wilk stanął na tylnych łapach, przednimi młóćąc jak bokser w płonącym powietrzu. Chwilę później padł do tyłu, wijąc się w ucieczce.

Kitty miała już przygotowaną w dłoni kulę – nie wiedziała nawet, jakiego rodzaju. Pobiegła w stronę najbliższego zamkniętego okna i cisnęła w nie pocisk. Eksplozja powietrza omal nie zwała jej z nóg; szkło rozprysło się, cegły posypały się na ulicę. Kitty dała susa przez wybity otwór, kalecząc rękę o sterzący kawałek szkła. Wylądowała w pomieszczeniu na ugiętych nogach.

Z zewnątrz dobiegł warkot i chrobot pazurów na bruku.

Pomieszczenie było puste, z wyjątkiem wąskich schodów, które wznosiły się w ciemność na wprost przed Kitty. Ruszyła biegiem w ich stronę, przyciskając zranioną rękę do kurtki, by stłumić świeży ból skaleczenia.

Na pierwszym stopniu odwróciła się i stanęła twarzą do okna.

Wskoczył przez nie wilk z rozwartą paszczą. Kula trafiła go prosto w nos.

Eksplozja wypełniła pokój wodą, zbijając Kitty z nóg na dolne stopnie i na chwilę ją oślepiając. Kiedy już mogła otworzyć oczy, fala odpływu cofała się wokół jej stóp, wydając ciche syki i cmokania. Wilka nie było.

Kitty pognęła po schodach.

Pokój na górze miał kilka otwartych okien, na podłodze słało się światło księżyca. Coś zawyło na ulicy poniżej. Kitty natychmiast rozejrzała się, szukając wyjścia. Nie znalazła go. Zakłęła dziko. Co gorsza, nie mogła sobie zabezpieczyć tyłów, schody prowadziły bezpośrednio na piętro – nie było żadnej kłapy ani innej możliwości odcięcia drogi. Z dołu dobiegał dźwięk czegoś ciężkiego, taplającego się w płytkiej wodzie.

Odsuwając się od dziury w podłodze, Kitty zbliżyła się do najbliższego okna. Było stare i spróchniałe, rama z szybą wisiała krzywo we framudze. Kitty wybiła ją kopniakiem. Drewno i szkło poleciało na dół. Jeszcze niemal zanim roztrzaskało się na ulicy, ona wychyliła się już przez otwór, w srebrne światło księżyca, wykręcając szyję do góry i szukając uchwytu dla rąk.

Na dole, na ulicy, ciemny kształt zahamował i kłapnął zębami. Ciężkie łapy miażdżyły kawałki szkła. Wyczula, że patrzy na nią, z nadzieją, że spadnie.

Coś wbiegło po schodach z takim rozpędem, że omal nie wpadło na przeciwległą ścianę. Kitty dostrzegła pokruszony występ, mniej więcej stopę powyżej okna. Rzuciła przez pokój kulę, sięgnęła za okno i podciągnęła się do góry, ślizgając się butami po framudze, z mięśniami trzeszczącymi z napięcia, przez cały czas nękana kłującym bólem skaleczonej dłoni.

Poniżej nastąpił wybuch. Żółtozielone pióra ognia wystrzeliły z okna pod jej obsuwającymi się butami. Przez chwilę ulica wyglądała jak oświetlona jakimś chorowitym słońcem.

Magiczne światło zgasło. Kitty zawisała na ścianie, szukając kolejnego uchwytu. Wypatrzyła jeden, sprawdziła, czy ją utrzyma. Zaczęła się wspinać. Kawalek wyżej znajdował się gzyms; za nim być może płaski dach. To był jej cel.

Brak jedzenia i snu nadwątlily jej siły; ramiona i nogi były jak wypełnione wodą. Po kilku minutach zatrzymała się, by złapać oddech.

Pod sobą usłyszała drapanie i charkot, dziwnie blisko. Ostrożnie, wbijając palce w kruche cegły, spojrziała przez ramię w dół, ku oświetlonej księżycem ulicy. W połowie drogi między sobą a chodnikiem dostrzegła szybko pnący się w górę kształt. Aby sprawniej się wspinać zmienił trochę swoją wilczą formę. Łapy stały się długimi, opatrzonymi szponami palcami, na zwierzęcych kończynach uwypukliły się ludzkie łokcie, napięte mięśnie odnalazły swoje miejsce wokół kości. Ale „twarz” pozostała niezmieniona – rozwarta paszcza, kły lśniące w srebrnym świetle, spieniony jęzor przewalający się z boku na bok. Żółte ślepia były wbite w dziewczynę.

Na ten widok Kitty omal nie puściła się i nie spadła w pustkę. Przyłgnęła jednak do cegieł, zawisa całym ciężarem na jednej ręce, a drugą

sięgnęła do torby. Złapała pierwszą rzecz, na jaką się natknęła – jakąś kulę – wycelowała pospiesznie i upuściła ją na prześladowcę.

Kula zawirowała, połyskując w świetle, i o kilka centymetrów minęła zjeżony grzbiet. W następnej chwili walnęła o chodnik, wystrzeliwując krótkie jęzory ognia.

Wilk zawarczał gardłowo. Ruszył dalej.

Przygryzając wargę, Kitty rzuciła się w górę. Ignorując protesty obolałego ciała, wspinała się gorączkowo, przerażona, że lada moment poczuje kły chwytające ją za nogę. Słyszała bestię tuż za sobą.

Gzysms... Z krzykiem podciągnęła się nań, przetoczyła na drugą stronę i upadła. Przekręcona torba znalazła się pod nią. Nie mogła sięgnąć do swoich pocisków.

Odwróciła się. Jeszcze zanim znalazła się na plecach, wilcza głowa powoli wyłoniła się z nad krawędzi gzysmsu, wężąc chciwie po śladach krwi, sączącej się z dłoni dziewczyny. Żółte oczy uniosły się, spojrzwały prosto w jej oczy.

Palce Kitty zaczęły gmerać na oślep przy cholewce buta. Wyciągnęła nóż.

Z trudem podniosła się na nogi.

Nagłym, płynnym skokiem wilk przesadził parapet i znalazł się na dachu, przysiadając na moment na czterech łapach, z opuszczoną głową, napiętymi muskularni. Wpatrywał się w Kitty kątem oka, oceniając jej siłę, zastanawiając się, czy skoczyć. Kitty ostrzegawczo pokiwała sztyletem.

–Widzisz to? – wysapała. – To srebro.

Wilk patrzył na nią z ukosa. Powoli jego przednie łapy uniosły się, wygięty grzbiet wydłużył i wyprostował. Teraz stał na tylnych łapach, jak człowiek, górując nad nią, balansując lekko, gotów do ataku.

Druga ręka Kitty zaczęła gorączkowo szukać w torbie kolejnego pocisku. Wiedziała, że nie ma ich wiele...

Wilk skoczył, tnąc powietrze szponiastymi rękami i wysuwając do przodu czerwoną paszczę. Kitty uchyliła się, obróciła i pchnęła w górę sztyletem. Zwierzę wydało dziwnie wysoki dźwięk, wyciągnęło łapę i boleśnie zacisnęło ją na ramieniu Kitty. Szpony przecięły pasek torby, która spadła na dach. Kitty dźgnęła ponownie. Wilk odskoczył poza jej zasięg ostrza. Dziewczyna, podobnie jak on, zrobiła krok w tył. Jej zranione



ramię boleśnie pulsowało. Wilk przyciskał dłonią niewielką ranę na boku. Smutno pokręcił głową. Wyglądało na to, że dla niego jest to tylko drobna niedogodność. Okrażali się nawzajem przez kilka sekund, oświetleni srebrzystym księżycem. Kitty ledwie miała siłę unieść nóż.

Wilk wyciągnął pazurastą nogę i przesunął torbę w swoją stronę, daleko poza zasięg Kitty. Zarechotał basowo.

Cichy dźwięk za jej plecami. Kitty odważyła się na sekundę odwrócić głowę. Po drugiej stronie unosił się płaski dach, tworząc niski, dwuspadowy grzebień. Stały nad nim okrakiem dwa wilki. Kiedy na nie spojrzała, zaczęły szybko ześlizgiwać się w dół.

Kitty wyciągnęła drugi nóż zza paska, ale jej lewa ręka była osłabiona z powodu rany na ramieniu; palce ledwo zacisnęły się na rękojeści. Przeszło jej przez myśl, czy nie powinna rzucić się z dachu – szybka śmierć mogła być lepsza niż pazury wilków.

Ale to byłoby wyjście godne tchórze. Wolą narobić jeszcze trochę szkód, nim nadejdzie koniec.

Trzy wilki zbliżały się do niej – dwa na czworakach, jeden na dwóch nogach, jak człowiek. Kitty odgarnęła włosy z oczu i po raz ostatni uniosła noże.

*9iathanid*

## 40

o doprawdy straszna nuda – powiedział dzin. – Nic się nie stanie. Nathaniel przerwał swój marsz po pokoju. – Oczywiście, że się stanie. Milcz. Jeśli będę chciał znać twoją opinię, to o nią zapytam. – Zdawał sobie sprawę, że w jego głosie nie ma przekonania. Spojrzał na zegarek, by dodać sobie pewności. – Noc jeszcze młoda.

–Jasne, jasne. Widzę, że jesteś bardzo pewny siebie. Wydeptałeś już brudę w tych deskach. I założę się, że jesteś też głodny, jako że zapomniałeś zabrać prowiant.

–Nie będę go potrzebował. Ona się niedługo pokaże. A teraz przestań już o tym gadać.

Ze swojego miejsca na szczycie starej szafy, dzin, który na powrót przybrał postać egipskiego chłopca, przeciągnął ręce nad głową i ziewnął ostentacyjnie.

–Wszystkie wspaniałe mistrzowskie plany mają swoje minusy – po

wiedział. – Żaden nie jest wolny od wad, które sprawiają, że obraca się

**w ruinę. Taka już jest ludzka natura. Urodziliście się niedoskonali. Dziew  
czyna nie przyjdzie, ty będziesz czekał, nie wzięłeś nic do jedzenia, skut  
kiem czego i ty, i twój jeniec będziecie głodować.**

Nathaniel skrzywił się.

–O niego się nie martw. On z głodu nie umrze.

–Prawdę mówiąc, jestem głodny. – Jakob Hyrnek siedział na rozpadającym się krześle w kącie pokoju. Poza starym, wojskowym płaszczem, który dzin znalazł na strychu ich kryjówki, miał na sobie tylko piżamę i parę długich, nocnych skarpet. – Nie jadłem śniadania – dodał, kiwając się mechanicznie w przód i w tył na swoim marnym siedzeniu. – Coś bym przekąsił.

–No proszę, sam widzisz – powiedział dzin. – Coś by przekąsił.

–Ale nie przekąsi i jeśli dba o własną skórę, powinien siedzieć cicho. – Nathaniel podjął swoją wędrówkę, zerkając z ukosa na więźnia. Wyglądało na to, że Hyrnek już się otrząsnął ze strachu, jaki czuł, lecąc tu, a jako że natychmiast został zamknięty w pustym domu, gdzie nikt go nie widział, jego obsesja na temat własnej twarzy też nie dawała się nikomu we znaki. Sam fakt uwięzienia jakoś nie bardzo mu przeszkadzał, co trochę zbijało Nathaniela z pantafelów. Ale przecież Hyrnek siedział w dobrowolnym więzieniu od lat.

Spojrzenie maga zablądziło w stronę okna, zasłoniętego za kawałkiem szmaty. Zwalczył ochotę, by podejść do niego i wyjrzeć na ciemną ulicę. Cierpliwości. Dziewczyzna przyjdzie, trzeba tylko poczekać.

–Może zagramy? – Chłopiec na szafie wyszczerzył do niego zęby. –

Mógłbym znaleźć jakąś piłkę i obręcz na ścianę, i nauczyć was azteckiej gry w piłkę. To świetna zabawa. Trzeba używać kolan i łokci, żeby prze rzucić piłkę przez obręcz. To jedyna zasada. A, i przegrani są składani w ofierze. Jestem w tym bardzo dobry, jak się przekonacie.

Nathaniel machnął ze znużeniem ręką.

–Nie.

–To może w Raz dwa trzy baba-jaga patrzy?

Nathaniel sapnął głośno przez nos. Ciężko było zachować spokój przy tej paplaninie. Grał o wysoką stawkę, a o konsekwencjach porażki wolał nawet nie myśleć.

Tego ranka odwiedził go w tajemnicy Makepeace, przynosząc wieści. Jego informator sądził, że uda mu się nawiązać kontakt ze zbiegłą Kitty Jones i że będzie można wywabić ją z ukrycia,

**jeśli znajdą odpowiedni bodziec. Nathaniel, jak zawsze szybki i pełen inwencji, natychmiast pomyślał o przyjacielu Kitty z dzieciństwa, Jakobie Hyrnku, który był**

wymieniony w aktach procesowych i wobec którego Kitty okazała już swoją lojalność. Z tego co Nathaniel o niej wiedział – tu znów ostrożnie dotknął fioletowego sińca na policzku – dziewczyna nie będzie się bała przyjść Hyrnkowi z pomocą, jeśli zagrozi mu niebezpieczeństwo.

Reszta była prosta. Porwanie Hyrnka zostało szybko zorganizowane, a Makepeace przekazał informację swojemu człowiekowi. Teraz Nathaniel musiał już tylko czekać.

–Psst. – Spojrzał w górę. Dżin przywoływał go gestem, przez cały czas kiwając głową i mrugając jednym okiem z niezwykle tajemniczą miną.

–Co?

–Chodź no tu na chwilę, żeby nie słyszał. – Dżin ruchem głowy wskazał Hyrnka, który kiwał się na swoim krześle w drugim końcu pokoju.

Nathaniel z westchnieniem podszedł bliżej.

–No więc?

Dżin schylił się nad brzegiem szafy.

–Tak sobie pomyślałem – szepnął. – Co się z tobą stanie, jeśli twoja kochana pani Whitwell się o tym dowie? Bo chyba nie wie, że porwałeś chłopaka, co? Nie rozumiem, w co ty się tutaj bawisz. Zwykle jesteś takim grzecznym podwładnym, oswojonym pieskiem salonowym, który chce sprawiać przyjemność swojej pani.

Przytyk trafił w cel. Nathaniel wyszczerzył zęby.

–Ten czas już minął – powiedział. – Nie dowie się, dopóki nie będę miał dziewczyny i Laski pod kluczem. A wtedy będzie musiała klaskać z całą resztą. Znajdę się tak blisko Devereaux, że oni wszyscy będą mogli co najwyżej mi gratulować.

Chłopiec na szafie podwinął nogi pod siebie, na modłę egipskiego skryby.

**–Nie robisz tego sam – powiedział. – Ktoś pomógł ci to wszystko urządzić. Ktoś, kto wiedział, jak znaleźć dziewczynę i powiedzieć jej, że jesteśmy tutaj. Ty nie wiesz, gdzie ona jest, bo do tej pory sam byś ją zł – Mam kontakty.**

**–Kontakty, które sporo wiedzą o ruchu oporu, jak się zdaje. Lepiej bądź ostrożny, Nat. Takie kontakty mogą działać w dwie strony. Ten kudłaty**

szef policji oddałby swoje kły, byle tylko jakoś cię powiązać z tymi zdrajcami. Gdyby wiedział, że wchodzisz z nimi w układy...

–Ja nie wchodzę w układy!

–Uuu! To był krzyk. Jesteś zdenerwowany.

–Nie jestem. Tylko ci mówię. Chcę ją przecież złapać, nie? Po prostu wolę to zrobić po swojemu.

–Świetnie, ale kim jest twój tajemniczy przyjaciel? Skąd on czy ona wie tyle na temat tej dziewczyny? Takie pytanie powinieneś sobie zadać.

–To nie jest ważne. I nie chcę dłużej o tym rozmawiać. – Nathaniel odwrócił się. Dzin miał oczy wiście rację. Łatwość, z jaką Makepeace przeniknął do podziemnego świata, była niepokojąca. Ale w końcu teatr to profesja o nie najlepszej reputacji. Makepeace miał powiązania z najróż-niejszymi dziwnymi przedstawicielami pospólstwa – aktorami, tancerzami, pisarzami – którzy tylko o włos różnili się od kryminalistów. Choć Nathaniela niepokoiło to nowe przymierze, nie miał nic przeciwko czerpaniu z niego korzyści, pod warunkiem, że wszystko pójdzie dobrze. Ale faktycznie znalazłby się w oplakanej sytuacji, gdyby Duvall czy Whitwell odkryli, że działał za ich plecami. To było główne ryzyko, jakie ponosił. Oboje poprosili dziś rano o aktualne informacje na temat jego działań – i obojgu skłamał. Na myśl o tym ciarki chodziły mu po plecach.

Jakob Hyrnek podniósł rękę.

–Przepraszam, proszę pana – powiedział płaczliwie.

–Czego?

–Przepraszam, panie Mandrake, ale robi mi się chłodno.

–No to wstań i pochodź trochę. Tylko nie włącz mi w oczy z tymi twoimi głupimi skarpetami.

Otulając się szczelnie płaszczem Hyrnek zaczął człapać po pokoju. Jego landrynkowe, pasiaste skarpety wyzierały absurdalnie spod nogawek piżamy.

–Trudno uwierzyć, że ktokolwiek chciałby ryzykować życie dla takiego okazji – zauważył dzin. – Gdybym był jego matką, patrzyłbym w drugą stronę.

–Nie znasz Kitty – powiedział Nathaniel. – Przyjdzie po niego.

–Nie przyjdzie. – Hyrnek stał teraz w pobliżu okna i usłyszał tę wymianę zdań. – Kiedyś

**byliśmy blisko, ale to się skończyło. Nie widziałem jej od lat.**



–Mimo wszystko – odparł Nathaniel. – Przyjdzie.

–Od kiedy... moja twarz została zeszecona – ciągnął chłopak. Jego głos aż ociekał żalem nad samym sobą.

–Och, skończ z tym truciem! – Napięcie Nathaniela eksplodowało irytacją. – Twoja twarz jest w porządku! Możesz mówić, tak czy nie? Widzisz? Słyszysz? No więc przestań jęczeć. Widywałem dużo gorsze

–To samo i ja mu mówiłem. – Dżin wstał nonszalancko i bezszelestnie zeskoczył z szafy. Za bardzo się tym przejmuj. Popatrz na swoją twarz. To też jest na stałe, a nie boisz się paradować z nią po świecie. Nie, jeśli chodzi o was obu, najgorsze są włosy. Widywałem lepszą fryzurę na tyłku borsuka. Dajcie mi pięć minut i porządny sekator...

Nathaniel przewrócił oczyma i postarał się odzyskać choć trochę autorytetu. Złapał Hyrnka za kołnierz i zawrócił go w miejscu.

–Wracaj na swoje krzesło – warknął. – Siad. A co do ciebie – zwrócił się do dżina – mój kontakt dał dziewczynie ten adres dobrych kilka godzin temu. Myślę, że jest już w drodze, prawie na pewno z Laską, bo to jej najpotężniejsza broń. Kiedy wejdzie na schody na dole, włączy się kula z czujką i zaalarmuje nas tu, na górze. Ty masz ją rozbroić, kiedy tylko wejdzie w drzwi, oddać mi Laskę i zapobiec ucieczce dziewczyny. Jasne?

–Jak słońce, szefie. Tak jak za czwartym i piątym razem, kiedy mi to mówiłeś.

–Tylko nie zapomnij. Zdobądź Laskę. To jest najważniejsze.

–Myślisz, że nie wiem? Widziałem klęskę Pragi, pamiętasz?

Nathaniel burknął i znów zaczął chodzić w tę i z powrotem. Ale po

chwili z zewnątrz, z ulicy, dobiegł jakiś dźwięk. Chłopak spojrzał na dżina rozszerzonymi oczyma.

–Co to było?

–Głos. Męski.

–Słyszałeś...? Znowu! Dżin wskazał okno.

–Chcesz, żebym wyjrzał?

–Tylko niech cię nie zobaczą.

**Egipski chłopiec podsunął się do okna i zniknął. Za płachtę wgramolił się skarabeusz. Zza szyby błysnęło jasne światło. Nathaniel przestąpił z nogi na nogę.**

–I co?

–Zdaje się, że twoja dziewczyna przyszła. – Głos dzina wydawał się słaby i daleki. – Sam zerknij.

Nathaniel zerwał szmatę i wyrzwał, w samą porę, by ujrzeć niewielką ścianę ognia wybuchającą z jezdnii w połowie ulicy. Ogień zgasł. Na ulicy, wcześniej pustej, teraz widać było kilka biegnących postaci – jedne na dwóch nogach, inne na czterech, a niektóre najwyraźniej nie mogły się zdecydować co do ilości nóg, ale mimo to wesoło brykały pod jasnym księżycem. Dał się słyszeć trzask i wycie. Nathaniel poczuł, że krew odpływa mu z twarzy.

–O do diabła – powiedział. – Nocna Policja.

Kolejny niewielki wybuch; pokój lekko się zatrzęsł. Drobną i zwinną postać przebiegła pędem w poprzek ulicy i wskoczyła w dziurę w ścianie budynku. Za nią wpadł wilk, ale połknęła go następna eksplozja.

Skarabeusz gwizdnął z aprobatą.

–Niezłe zastosowanie kuli żywiołów. Dobra jest ta twoja dziewczyna. Mimo to, nie da rady zwać całemu batalionowi.

–Ilu ich tam jest?

–Dwunastu, może więcej. Patrz, włączą na dachy.

–Myślisz, że ją złapią...?

–O tak... i pożą. Teraz są wściekli. Prawdziwa natura w nich zagrała.

–No dobra... – Nathaniel odsunął się od okna. – Bartimaeus – powiedział – idź i porwij ją. Nie możemy ryzykować, że ją zabiją.

Skarabeusz skrzywił się z niesmakiem.

–Kolejna urocza robótka. Cudownie. Jesteś aby pewny? Wystąpisz bezpośrednio przeciwko autorytetowi szefa Policji.

–Przy odrobinie szczęścia nie będzie wiedział, że to ja. Zabierz ją do... -Mózg Nathaniela pracował jak szalony; chłopak pstryknął palcami. – Do tej starej biblioteki... wiesz, tam, gdzie schowaliśmy się, kiedy nas gonili demony Lovelace'a. Ja zabiorę więźnia i spotkamy się później. Musimy się stąd wynosić.

**–W tej kwestii się z tobą zgadzam. Dobrze zatem. Odsunąć się. – Skarabeusz podreptał do tyłu na parapecie, stanął na tylnych nóżkach i pomachał czułkami w stronę szyby. Jasny błysk, fala ciepła i po środku szyby wytopiła się krzywa dziura. Żuk otworzył pokrywy skrzydełek i bucząc, poleciał w noc.**

Nathaniel odwrócił się od okna, w samą porę. by dostać krzesłem w bok głowy.

Padł niezgrabnie na podłogę, lekko zamroczony. Jednym okiem, zezując, dostrzegł przekrzywiony obraz Jakoba Hyrnka. odrzucającego krzesło na bok i pędzącego do drzwi. Nathaniel wybełkotał komendę po aramejsku. Mały imp zmaterializował się na jego ramieniu i posłał błyskawicę prosto w siedzenie Hyrnkowej piżamy. Słysząc było skwierczenie i piskliwy wrzask. Wykonawszy zadanie, imp zniknął. Hyrnek zatrzymał się na moment, trzymając się za tyłek, po czym potykając się, znów ruszył do drzwi.

Tymczasem Nathaniel zdążył wstać. Rzucił się nieporadnie na chłopaka; jego wyciągnięta ręka złapała odzianą w skarpetę stopę i pociągnęła ją na bok. Hyrnek upadł. Nathaniel wgramolił się na niego i zaczął na oślep tłuc go otwartymi dłońmi po głowie. Hyrnek odwzajemnił mu się w podobnym stylu. Przez chwilę turlali się bezładnie po podłodze.

–Cóż za budujący spektakl.

Nathaniel zamarł, leżąc na brzuchu i ściskając w garści włosy Hyrnka. Uniósł głowę.

W otwartych drzwiach stała Jane Farrar, w obstawie dwóch rosłych funkcjonariuszy Nocnej Policji. Miała na sobie skromny uniform i czapkę z daszkiem Szarych. Jej oczy były pełne nieskrywanej pogardy. Jeden z policjantów u jej boku wydał głęboki, gardłowy dźwięk.

Nathaniel zaczął gorączkowo szukać w mózgu sensownego wyjaśnienia, ale go nie znalazł. Jane Farrar smutno pokręciła głową.

–Oto, jak upadają możni, panie Mandrake – powiedziała. – Proszę się wyplatać, jeśli pan zdoła, z objąć tego półnagiego plebejusza. Jest pan aresztowany za zdradę.

*Bartimaeus*

lica pełna wilkołaków i pokój z Nathanielem w środku. Co byście wybrali? Prawdę mówiąc, cieszyłem się, że mogę się trochę wyrwać na powietrze. Jego zachowanie niepokoiło mnie coraz bardziej. Przez te lata, które upłynęły od naszego pierwszego spotkania, bez wątpienia dzięki starannej kurateli Whitwell, stał się małą, nadgorliwą bestią, skrupulatnie wypełniającą rozkazy i zawsze mającą na uwadze awans. Teraz z rozmysłem stawiał wszystko na jedną kartę, wdając się w pokrętne interesy i tym samym ogromnie ryzykując. Ten pomysł nie zrodził się w jego głowie. Ktoś go podpuścił, ktoś pociągał za sznurki. Nathaniel grał w moich oczach różne role, większości z nich wolę nie nazywać po imieniu, ale nigdy nie wydawał mi się marionetką – a teraz nią był. I wszystko zdążyło się już posypać.

Pode mną panował chaos. Tu i ówdzie na ulicy leżały ranne stwory, wśród kup pokruszonych cegieł i potłuczonego szkła. Zwijały się, warczały i trzymały za boki, ich kontury zmieniały się z każdym skurczem. Człowiek, wilk, człowiek, wilk... To jest właśnie problem z lykantropią:

## 398

strasznie trudno ją kontrolować. Ból i silne emocje doprowadzają do zmian formy\*.

Dziewczyna pozbyła się jakichś pięciu, jak mi się zdawało, nie licząc tego, który został rozerwany na kawałki przez kulę żywiółów. Ale kilku innych łaziło bezsensownie po ulicy, a inni, wykazujący odrobinę więcej inteligencji, pracowicie pięli się po rynnach albo szukali schodów przeciwpożarowych.

Dziewięciu czy dziesięciu zostało przy życiu. Zbyt wielu, jak na możliwości jakiegokolwiek człowieka.

Ale ona wciąż walczyła. Teraz ją widziałem, małą, ruchliwą figurkę na dachu. Coś jasnego błyszczało w jej obu dłoniach – wymachiwała nimi raz wyżej, raz niżej, zadając słabe, desperackie ciosy, by utrzymać trzy wilkołaki na dystans. Ale z każdym jej obrotem czarne kształty przysuwały się odrobinę bliżej.

Skarabeusz, mimo swoich licznych zalet, nie jest wiele wart w walce. Poza tym upłynęłaby godzina, zanim doleciałbym na miejsce i włączył się do akcji. Dokonałem więc przemiany, machnąłem dwa razy wielkimi, czerwonymi skrzydłami i w mgnieniu oka byłem nad nimi. Moje skrzydła zasłoniły światło księżyca, pogrążając czwórkę walczących na dachu w najczarniejszym cieniu. Dla lepszego efektu wydałem z siebie przerażający krzyk roka, pikującego ku stadu słoni, by porwać ich młode\*\*.

\* Ta wieczna niestałość jest jednym z powodów, dla których wilkołaki mają tak fatalną opinię. Tak jak i fakt, że są żarłoczne, okrutne, żądne krwi i bardzo ciężko je przyuczyć do życia w domu. Likaon z Arkadii stworzył pierwszy wilczy korpus, który służył mu za gwardię

przyboczną, około 2000 roku p.n.e. i choć ochroniarze natychmiast zjedli kilku jego gości, opinia, że są bardzo dobrzy jako siły porządkowe, szybko się przyjęła. Od tamtej pory posługiwało się nimi wielu autokratycznych władców z magicznym zacięciem, rzucając skomplikowane uroki transformacyjne na odpowiednio krzepkich ludzi i trzymając ich w odosobnieniu, a czasami wprowadzając w życie programy rozmnażania, by wzmocnić rasę. Utworzenie Brytyjskiej Nocnej Policji było jednym z pomysłów Gladstonea; dobrze znał wartość wilkołaków jako narzędzi terroru.

**\*\*** Zwykle chodziło o słonie indyjskie. Roki żyły na odosobnionych wyspach Oceanu Indyjskiego i z rzadka odwiedzały stały ląd w poszukiwaniu zdobyczy. Ich gniazda miały wielkość ćwierci hektara, a ich jaja, wielkie, białe kopuły, widać było z dala na morzu. Dorosłe ptaki były groźnymi przeciwnikami, i skałami zrzucanymi z wielkiej wysokości

Wszystko to odniosło odpowiedni skutek. Jeden z wilków odskoczył do tyłu. Cętkowane futro zjeżyło mu się ze strachu. Wyjąc, zniknął za gzymsem. Drugi wspiął się na tylne łapy i otrzymał cios w brzuch zaciśniętymi szponami roka; wyfrunął w powietrze jak puchata piłka i z łomotem wpadł za komin.

Trzeci, który stał prosto, niczym parodia człowieka, był bardziej zwinny i nieco mądrzejszy. Przybycie roka zaskoczyło również dziewczynę; otworzywszy usta ze zdumienia na widok mojego wspaniałego upierzenia, opuściła noże. Wilk bez jednego dźwięku rzucił się jej do gardła.

Jego zęby zwarły się z trzaskiem, sypiąc w ciemność iskrami.

Dziewczyna była już kilka metrów wyżej i nadal się wznosiła, wisząc w moich szponach. Włosy opadły jej na twarz, nogi dyndały nad malejącym dachem, ulicą i wszystkimi miotającymi się po niej postaciami. Głosy wściekłości i rozczarowania ucichły i nagle znaleźliśmy się sami, zawieszeni wysoko nad nieskończonym morzem światła miasta, wyniesieni na moich zbawczych skrzydłach tu, gdzie panował spokój i cisza.

–Au! To moja noga! Au! Aj! A niech cię, to srebro! Przestań!

Dziewczyna raz za razem dźgała nożem łuskowate ciało tuż powyżej

moich szponów. Możecie uwierzyć? W tę samą nogę, która, nie zapominajcie, nie pozwalała jej spaść ku zasmolonej śmierci wśród kominów Wschodniego Londynu. Jak słowo daję. Zwróciłem jej na to uwagę ze swoją zwykłą elegancją.

–Nie ma potrzeby przeklinać, demonie – powiedziała, zaprzestając na chwilę. – Jej głos, piskliwy i słaby, niósł się na wietrze. – A zresztą wszystko mi jedno. Chcę umrzeć.

–Uwierz mi, gdybym tylko mógł ci pomóc... Przestań! – Kolejna szpila bólu, kolejny zawrót głowy. Właśnie tak działa srebro. Gdyby było go dużo, dużo więcej, spadlibyśmy oboje. Potrząsnąłem nią energicznie, aż zęby jej zadzwoniły, a noże wypadły z dłoni. Ale i to nie był jeszcze koniec. Zaczęła się wykręcać i miotać na wszystkie strony, w gorączkowym wysiłku rozluźnienia mojego chwytu. W odpowiedzi rok mocniej zacisnął szpony.

–Przestańże się wiercić, dziewczyno! Nie upuszczę cię, ale mogę cię potrzymać głową w dół nad kominem garbarni.

zatapiały większość statków, wysyłanych, by splądrować ich łegowiska. Kalifowie płacili ogromne pieniądze za pióra roków, odcinane ukradkiem z piersi śpiących ptaków.



–Mam to gdzieś!

–Albo podtopić cię w Tamizie.

–Mam to gdzieś!

–Albo zabiorę cię do oczyszczalni ścieków Rotherhithe i...

–Mam to gdzieś! Mam to gdzieś! Mam to gdzieś! – Wyglądało na to, że dostała ataku szału z wściekłości i rozpacz, i nawet dysponując siłą roka, ledwie mogłem ją utrzymać.

–Kitty Jones – powiedziałem, nie odrywając oczu od świateł Północnego Londynu, gdyż zbliżaliśmy się do celu – chcesz jeszcze zobaczyć Jakoba Hyrnka?

Wtedy się uspokoiła i zwisała bezwładnie, zamyślona. Przez jakiś czas lecieliśmy w błogosławionej ciszy. Skorzystałem z tej chwili wytchnienia i zacząłem krążyć, wypatrując ścigających nas kul. Ale nic się nie działo. Poleciliśmy dalej.

Gdzieś spod mojego golenia dobiegł mnie głos dziewczyny. Był bardziej wyważony niż przedtem, ale wciąż pełen ognia.

–Demonie – powiedziała – dlaczego nie pozwoliłeś, by pożarły mnie wilki? Wiem, że ty i twój pan i tak zamierzacie mnie zabić.

–Nie mogę udzielić wyjaśnień na ten temat – odparł rok – ale jeśli chcesz mi podziękować, nie krępuj się.

–Zabierasz mnie teraz do Jakoba?

–Tak. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

–A potem?

Milczałem. Nie miałem najbledszego pojęcia.

–No więc? Mów! I to prawdę... jeśli zdołasz.

Próbując zmienić temat, rok przybrał lekceważący ton.

–Ja bym uważał na twoim miejscu, skarbie. To niemądre rzucać złości we uwagi, kiedy się wisi na takiej wysokości\*.

\* Czego przykładem jest Ikar, pionier lotnictwa. Według Faquarla, który, trzeba przyznać, nie

**jest najbardziej wiarygodnym ze źródeł, grecki mag Dedal skonstruował parę magicznych skrzydeł, więżąc w każdym z nich porywczego diablika. Skrzydła owe zostały przetestowane przez Ikara, afektowanego i niepoważnego młodzika, który zaczął robić głupawe uwagi na temat diablików, znajdując się tysiąc metrów nad Morzem Egejskim. By wyrazić swój protest, diabliki zaczęły zrzucać pióra, jedno po drugim, w wyniku czego Ikar wraz ze swoimi złośliwościami spadł na łeb, na szyję w morze, które stało się jego grobem.**

–I tak mnie nie puścisz, sam mówięś.

–No tak. – Rok westchnął. – Prawda jest taka, że nie wiem jakie plany ma wobec ciebie mój pan. A teraz zamknij się na chwilę. Podchodzę do lądowania.

Zanurkowaliśmy w ciemności ku oceanowi pomarańczowych świateł i ulicy, gdzie chłopiec i ja schroniliśmy się w noc pożaru u Underwoodów. Zrujnowana biblioteka wciąż tam była; widziałem jej masywne ściany wciśnięte między światła otaczających ją, mniejszych sklepów. Budynek podupadł przez tych kilka lat i w miejscu dużego świetlika, który się rozpadł, ziała teraz spora dziura. Rok zmniejszył swoje rozmiary, zbliżając się, starannie ocenił kąt podejścia i opuścił dziewczynę nogami naprzód, jakby wrzucał list do skrzynki. Opadaliśmy na dno przepastnego wnętrza, oświetlonego tu i ówdzie promieniami księżyca. Dopiero kiedy zesliśmy na bezpieczną wysokość nad zasypaną gruzem podłogą, puściłem swój ładunek\*. Spadła z piskiem i potoczyła się po podłodze. Stałem w przyzwoitej odległości od niej i po raz pierwszy przyjrzałem się jej porządnie. To była ta sama dziewczyna, która w ciemnej uliczce próbowała mi ukraść Amulet z Samarkandy. Była teraz starsza, chudsza i poważniejsza, jej twarz stała się szara i mizerna, oczy nieufne. Domyśliłem się, że ostatnie lata były dla niej ciężkie – a ostatnie minuty wręcz okrutne. Jedna ręka zwisała jej bezwładnie; ramię było rozcięte i oblepione zaschlą krwią. Mimo to jej buntowniczość była niemal dotykalna; wstała ostrożnie z podłogi, przyjęła wystudiowaną pozę z wysuniętym podbródkiem i wpatrzyła się we mnie przez kolumnę s – Średnio mi się tutaj podoba – warknęła. – Nie mogłeś mnie przenieść w jakieś czystsze miejsce? Spodziewałam się co najmniej Tower.

–Tu jest lepiej, uwierz mi. – Rok ostrzył sobie pazur o ścianę. Nie byłem w nastroju do rozmów.

–No to nie marnujmy czasu. Gdzie jest Jakob? Gdzie są magowie?

–Będą tu niedługo.

–Niedługo? Też mi organizacja. – Położyła ręce na biodrach. – A tacy niby jesteście przerażająco skuteczni. To wszystko rozłazi się w szwach.

Uniosłem moją wspaniałą, upierzoną głowę.

\* Z jakichś dwóch metrów. No co, w końcu była młoda i sprawna.

–Posłuchaj no – powiedziałem. – Nie zapominaj, że właśnie uratowałem cię przed kłami Nocnej Policji. Odrobina wdzięczności byłaby tu bardzo na miejscu, młoda damo. – Rok zastukał znacząco pazurami w podłogę i wbił w nią spojrzenie, na widok którego perscy żeglarze wyskakiwali za burtę.

Ona rzuciła mi spojrzenie, które mogłoby skwasić mleko.

–Spadaj, demonie! Stawię czoło tobie i twojej nikczemności. Nie boję się ciebie!

–Nie?

–Nie. Jesteś tylko bezużytecznym impem. Twoje pióra są wyliniałe i zapleśniałe!

–Co? – Rok dokonał pospiesznych oględzin. – Bzdura! To światło księżyca nadaje im ten połysk!

–Cud, że ci jeszcze nie powypadały. Widywałam gołębie z lepszym upierzeniem.

–Słuchaj no...

–Unicestwiałam już potężniejsze demony! – krzyknęła. – Myślisz, że zrobi na mnie wrażenie przerośnięty kurczak?

Co za tupeciara!

–Ten szlachetny Rok – powiedziałem z pełną goryczy godnością – nie jest moją jedyną postacią. To tylko jedno ze stu tysięcy przebrań, które mogę przywdziać. Na przykład... – Rok wyprostował się i wcieliłem się szybko, po kolei, w okrutnego czerwonoookiego minotaura ze spienionym pyskiem, granitowego gargulca klapiącego paszczką, wijącego się i plującego jadem węża, wyjącego upiora, chodzącego trupa, latającą aztecką czaszkę świecącą w ciemności. Pełna paleta paskudztw\*, przy

**najmniej jak na mój gust. – No i? – zapytała groźnie czaszka. – Co po**

**wiesz na to?**

**Dziewczyna przełknęła głośno ślinę.**

**–Nieźle – odparła – ale te wszystkie kształty są wielkie i pretensjonalne. Założę się, że nie dasz rady wymyślić nic subtelnego.**

**–Oczywiście, że dam radę!**

**–Założę się, że nie potrafisz stać się naprawdę malutki... tak malutki, powiedzmy... żeby... żeby zmieścić się do tamtej butelki. – Wskazała**

**\* Aczkolwiek niezbyt pomysłowych. Byłem zmęczony i nie w sosie.**

szyjkę butelki po piwie, wystającej spod kupy śmieci, przez cały czas jednak obserwując mnie kątem oka.

Ten stary kawał! Kto dał się nabrać raz, nie da się nabrać drugi. Czaszka pokręciła się powoli z boku na bok i wyszczerzyła zęby w uśmiechu\*.

–Brawo, ale to nie działało na mnie nawet za dawnych czasów\*\*.

Wiesz co – ciągnąłem – może usiądź sobie i odpocznij. Wyglądasz na wykończoną.

Dziewczyna prychnęła, wydeła usta i założyła ręce na piersi, krzywiąc się z bólu. Widziałem, jak się rozgląda, oceniając możliwe wyjścia.

–I niczego nie próbuj – poradziłem jej. – Bo ci rozwalę głowę krokwią.

–Złapiesz ją w zęby? – Uuch, ależ była cięta.

W odpowiedzi czaszka zniknęła i stała się Ptolemeuszem. Przemieniłem się odruchowo – to zawsze była moja ulubiona forma\*\*\* – ale gdy tylko to zrobiłem, ujrzałem, że dziewczyna, ze zdumioną miną, cofnęła się o krok.

–To ty! Demon z uliczki!

–Nie gorączkuj się tak. O tamto nie możesz mieć do mnie pretensji. To ty na mnie napadłaś.

Chrząknęła.

–Prawda. Wtedy też o mało nie złapała mnie Nocna Policja.

–Powinnaś bardziej uważać. A zresztą, po co ci był Amulet z Samarkandy?

Dziewczyna spojrzała na mnie, nie rozumiejąc.

–Co takiego? Ach, to świecidełko. Cóż, to był magiczny przedmiot,

nie? W tamtych czasach kradliśmy magiczne artefakty. Taki był cel na-

\* Prawdę mówiąc, szczerzyłem się cały czas, jako że szczerzenie się to jedna z niewielu rzeczy, jakie mogą robić czaszki.

\*\* Znacie tę sztuczkę. Sprytny śmiertelnik przekonuje głupiego dzina, żeby się wcisnął do butelki (lub w jakieś inne ciasne miejsce), potem korkuje go, ewentualnie godzi się wypuścić po

**spełnieniu trzech życzeń, et cetera, et cetera. Ehem. Choć może się to wydawać nieprawdopodobne, jeśli dżin wejdzie do butelki z własnej woli, takie więzienie faktycznie jest dość mocne. Ale nawet najmniejszy i najgłupszy z impów raczej nie nabierze się dziś na ten stary numer. \*\*\* Uznajcie to za oznakę szacunku za to, co dla mnie zrobił.**

szej grupy. Okradaliśmy magów i próbowaliśmy sami używać ich rzeczy. Głupota. Straszna głupota. – Kopnęła cegłę. – Au.

–Rozumiem, że już nie uprawiacie tej działalności?

–Raczej nie. Od kiedy wszyscy przez nią zginęliśmy.

–Z wyjątkiem ciebie.

Jej oczy błysnęły w ciemności.

–Naprawdę sądzisz, że przeżyję dzisiejszą noc?

Miała trochę racji.

–Nigdy nie wiadomo – odpowiedziałem szczerze. – Może mój pan zechce cię oszczędzić. W końcu już raz cię ocalił przed wilkami.

Prychnęła.

–Twój pan. A ma jakieś imię?

–Używa nazwiska John Mandrake. – Przysięga nie pozwalała mi powiedzieć więcej.

–On? Ten pretensjonalny, mały głupek?

–A, więc już się spotkaliście?

–Dwa razy. Za drugim razem tak go strzeliłam, że go zauroczyło.

–Naprawdę? Nic dziwnego, że nie chciał o tym mówić. – Ta dziewczyna podobała mi się z każdą chwilą coraz bardziej. Prawdę mówiąc, była jak powiew świeżego powietrza. Przez długie wieki mojej mozolnej pracy spędziłem bardzo mało czasu z pospólstwem – magowie instynktownie starają się utrzymywać nas w tajemnicy, z daleka od zwyczajnych mężczyzn i kobiet. Na szponach jednej ręki mogę policzyć plebejuszy, z którymi tak naprawdę rozmawiałem. Oczywiście przeważnie nie były to satysfakcjonujące doświadczenia – to trochę tak, jakby delfin chciał pogawędzić z morskim ślimakiem – ale czasem zdarzały się wyjątki. I Kitty Jones była jednym z nich. Miała styl.

Pstryknąłem palcami, posyłając małą Iluminację, która poleciała do góry i usadowiła się między krokwiemi. Z pobliskiej kupy gruzu wyciągnąłem parę desek i pustaków i skleciłem z nich krzesło.



**–Proszę – powiedziałem. – Usiądź sobie wygodnie. O właśnie. Więc...**

**walnął Johna Mandrakea w szczękę, tak?**

**Odpowiedziała z ponurą satysfakcją.**

**–Tak. Zdaje się, że cię to bawi. Przestałem rechotać.**

**–To widać?**

–Dziwne, biorąc pod uwagę, że wspólnie służycie złu i że spełniasz jego każdą zachciankę.

–Wspólnie służymy złu? Nie no, pamiętaj, że łączy nas stosunek typu pan każe, sługa musi. Jestem niewolnikiem! Nie mam wyboru w tej kwestii.

Zrobiła buzię w ciup.

–Po prostu wypełniasz rozkazy, tak? Jasne. To świetna wymówka.

–A owszem, jeśli brak posłuchu oznacza nieuchronną zagładę. Spróbuj sobie na własnej skórze Suszącego Ognia, ciekawe, czy ci się to spodoba.

Zmarszczyła brwi.

–Mnie to brzmi jak marny wykręt. Chcesz powiedzieć, że wyrządzasz

te wszystkie podłości wbrew własnej woli?

–Może nie ująłbym tego dokładnie w ten sposób, ale... tak. Od impa po afryta, wszyscy jesteście związani wolą magów. I nie możemy nic na to poradzić. Trzymają nam nóż na gardle. W tym momencie na przykład, muszę pomagać Mandrake'owi i chronić go, czy mi się to podoba, czy nie.

–Żalotne – oznajmiła stanowczo. – Żalotne i tyle. – I rzeczywiście, kiedy usłyszałem własne słowa, mnie też się tak wydało. My, niewolnicy, od tak dawna znosimy nasze więzy, że rzadko o nich mówimy\*; rezygnacja w moim własnym głosie sprawiła, że mojej esencji, do samego jej dna, zrobiło się niedobrze. Spróbowałem przysłonić swój wstyd odrobiną słusznego oburzenia.

–Och, ale oczywiście walczymy – powiedziałem. – Pożeramy ich, kiedy nie uważają i przekręcamy ich słowa, kiedy tylko się da. Zachęcamy ich do rywalizacji i podpuszczamy, by rzucali się sobie do gardeł. Zasypujemy ich luksusami, aż ich ciała robią się grube, a umysły zbyt otępiałe, by mogli dostrzec własny upadek. Robimy, co w naszej mocy. A to, w większości przypadków, jest więcej, niż robicie wy, ludzie.

Słyszając to, dziewczyna wybuchnęła dziwnym, rwącym się śmiechem.

–A jak myślisz, co ja próbowałam robić przez te wszystkie lata? Sabotaż, kradzieże artefaktów, dezorganizacja pracy miejskich instytucji... to było beznadziejne, od początku do końca. Równie dobrze mogłam zostać sekretarką, jak chciała moja matka. Moi przyjaciele zostali zabici albo

\* Tylko nieliczni, tacy jak stary Faquarl, otwarcie (i beznadziejnie) snują plany buntu. Ale gładzą o tym od tak dawna bez efektu, że nikt na nich nie zwraca uwagi.



przekupieni, i wszystko to zrobiły demony takie jak ty. Niemów mi, że nie macie z tego frajdy. To coś w krypcie było zachwycone każdą sekundą... -Jej ciało zadrżało gwałtownie; przerwała i potarła oczy.

–Cóż, zdarzają się wyjątki... – zacząłem, ale umilkłem.

Jakby pękła jakaś cienka bariera, ramiona dziewczyny zatrzęsły się i nagle zaczęła płakać, poddając się spazmom długo tłumionej rozpacz. Płakała cicho, tłumiąc szloch pięścią, jakby chciała mi zaoszczędzić zażenowania. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czuję się bardzo niezręcznie. Nie przestawała bardzo długo. Usiadłem po turecku kawałek dalej i z szacunkiem odwróciwszy głowę, wpatrywałem się w mrok.

Gdzież się podziewał ten chłopak? Przychodźże wreszcie. Nie spieszyło mu się, to pewne.

Żalodne. Żalodne i tyle. Choć starałem się je ignorować, jej słowa dręczyły mnie w ciszy nocy.

⟨KLtty

## 42

itty w końcu się pozbierała. Ucichł ostatni szloch rozpacz. Westchnęła ciężko. W zrujnowanym budynku było ciemno, z wyjątkiem niewielkiej przestrzeni pod dachem, gdzie słabo lśniło giczne światło. Jego blask przygasł. Demon siedział niedaleko, wciąż mając postać śniadego wyrostka w spódniczce z zawiniętego kawałka materiału. Odwrócił twarz, światło rzucało skośne cienie na jego cienką szyję i pochylone nagie ramiona. Wyglądał dziwnie krucho.

–Jeśli to dla ciebie jakaś pociecha – powiedział – zniszczyłem tego afryta z krypty. – Nie spojrział na nią.

Kitty odkaszlnęła i wyprostowała plecy, odgarniając włosy z oczu. Nie odpowiedziała od razu. Poczucie rozpaczliwej beznadziei, które ją ogarnęło, kiedy demon porwał ją w niebo, teraz minęło, zmyte nagłą falą żalu za utraconymi przyjaciółmi, która pozostawiła po sobie pustkę i oszołomienie. Mimo to, Kitty próbowała zebrać myśli.

Ucieczka. Mogła spróbować ucieczki... Nie, trzeba było myśleć o Jakobie. Powinna na niego poczekać. Jeśli rzeczywiście miał tu przyjść. Skrzywiła się. Miała na to tylko słowo demona. Może faktycznie lepiej byłoby zwiać... Obróciła głowę na prawo i na lewo, szukając natchnienia.

–Zabiłeś go...? – zapytała nieuważnie. – Jak? – Niedaleko dostrzegła klatkę schodową, siedzieli więc na pierwszym piętrze. Większość okien była zabita deskami.

–Wrzuciłem go do Tamizy. Kompletnie zwariował, no wiesz, po tak długim czasie. Połączył swoją esencję z kośćmi Gladstonea. Nie chciał albo nie mógł się z nich wyzwolić. Smutna sprawa, ale cóż poradzić. Zagroził wszystkim, dżinom i ludziom, i najlepiej się ma pod setkami metrów wody.

–Tak, rzeczywiście... – Niedaleko było okno, które wyglądało na wybite. Może zdołałaby nim wyskoczyć. Kiedy zacznie biec, demon może zaatakować jakąś magią, ale jej odporność ją ochroni. Wtedy mogłaby wyskoczyć na ulicę, poszukać kryjówki...

–Mam nadzieję, że nie myślisz o niczym nierozsądnym – powiedział nagle chłopak.

Drgnęła, przyłapana na gorącym uczynku.

–Nie.

–Na pewno planujesz coś głupiego. Słyszę to w twoim głosie. No więc, nie rób tego. Nie zawracałbym sobie głowy magicznym atakiem. Z niejednego pieca chleb jadłem. Dobrze wiem, że jesteś odporna. Widziałem to już przedtem. Po prostu rzucę w ciebie cegłą.

Kitty przygryzła wargę. Niechętnie, i tylko na razie, zrezygnowała z prób ucieczki.

–Jak to, widziałeś to już przedtem? – zapytała. – Mówisz o tamtej szarpaninie w uliczce?

Chłopak zerknął na nią przez ramię.

–No, to też, oczywiście. Twoi kumple wytrzymali całkiem potężny

Piekielny Ogień. Ale mnie chodzi o jeszcze dawniejsze czasy, zanim nasi

kochani, londyńscy magowie zaczęli przechodzić samych siebie. Widy

wałem to nie raz. To się zawsze zdarza, prędzej czy później. Ale wiesz

co? Biorąc pod uwagę, jakie ryzyko ponosi ten przeklęty Mandrake,

mógłby się trochę wysilić i wreszcie tu przyjść. Nie sądzisz? Siedzimy tu

już godzinę.

**Kitty zmarszczyła brwi.**

**–Chcesz powiedzieć, że widywałeś już takich ludzi jak ja?**

**–Oczywiście! I to nie raz. Ha, domyślam się, że magowie nie pozwalają wam czytać ksiątek historycznych, więc nic dziwnego, że jesteś taką**

kosmiczną ignorantką. – Demon przekręcił się na siedzeniu przodem do niej. – A myślisz, że jak upadła Kartagina? Albo Persja? Albo Rzym? Oczywiście były wrogie kraje, gotowe skorzystać ze słabości tych imperiów, ale tak naprawdę załatwiły je podziały wewnętrzne. Romulus Au-gustulus, na przykład, spędził połowę swego panowania, próbując kontrolować własny lud, a przez ten cały czas Ostrogoci z wielkimi wężami maszerowali przez Italię. Jego dżin nie był w stanie dłużej kontrolować pospólstwa. A dlaczego? Bo zbyt wielu z nich było takich jak ty – odpornych na naszą magię. Detonacje, Fluksy, Piekielne Ognie zaledwie przypalały im brody. I oczywiście ludzie o tym wiedzieli, żądali więc swoich praw, chcieli nareszcie obalić magów. Było tyle zamieszania, że mało kto zauważył hordy barbarzyńców, dopóki nie splądrowały Rzymu. – Chłopiec podrapał się po nosie. – W pewnym sensie było to wyzwolenie, jak sądzę. Nowy początek i tak dalej. Przez wiele, wiele lat w Wiecznym Mieście nie było magów.

Kitty zamrugała. Jej znajomość historii była raczej skąpa i dziwne imiona oraz nazwy niewiele jej mówiły, ale wnioski były zdumiewająco jasne.

–Chcesz powiedzieć, że większość Rzymian była odporna na magię?

–No nie, może jakieś trzydzieści procent. Oczywiście w różnym stopniu. Nie potrzeba więcej do porządnego powstania.

–Ale my nigdy nie zdołaliśmy przekroczyć jedenastki! A przecież Londyn jest ogromny!

–Jedenaście procent? To całkiem nieźle.

–Nie. Jedenaście osób. I tyle.

Chłopiec uniósł brwi.

–Do licha, wasze metody rekrutacji raczej nie były zbyt sprawne. Ale z drugiej strony, to dopiero początek. Ile czasu minęło, od kiedy Gladstone rozkręcił ten interes? Jakieś sto pięćdziesiąt lat? No więc, masz swoją odpowiedź. Potrzeba dużo czasu, by w populacji wytworzyła się odporność na magię. Magowie władali Rzymem przez pięćset lat, zanim przyszła rewolucja. To ogromna ilość magii, sącząca się przez miasto. Ale to narasta, coraz więcej dzieci rodzi się z takimi czy innymi zdolnościami. Na przykład ty, co jeszcze potrafisz? Widzisz nas?

–Nie. – Kitty skrzywiła się. – Anne i Fred to potrafili. Ja umiem tylko... przetrwać.

Chłopak wyszczerzył się w uśmiechu.

–To wcale nie byle jaki talent. Nie umniejszaj go.

–Stanley umiał dostrzec magię również w przedmiotach. To stąd wiedzieliśmy, że masz ten wisiorek.

–Co? Ach, Amulet. Tak, takie rzeczy też się zdarzają. Cóż, prawdopodobnie najróżniejsze rodzaje zdolności kielkują teraz w londyńskiej populacji. Muszą tu być setki ludzi obdarzonych taką mocą. Ale pamiętaj, że większość z nich sama nie wie, że ją w ogóle posiada. Potrzeba czasu, by to sobie uświadomić. Jak ty się dowiedziałas?

Kitty z trudem zmuszała się, by nie zapomnieć, że ten drobny, uprzejmy i udzielający takich pożytecznych wiadomości chłopiec jest demonem – że należy go nienawidzić i unikać. Otworzyła usta, by odpowiedzieć, i zawahała się. Chłopak, zirytowany, przewrócił oczyma i uniósł ręce.

–Słuchaj, nie myśl, że komukolwiek o tym powiem. A już na pewno nie mojemu panu. Nie jestem mu nic winien. Mimo to nie mam najmniejszego zamiaru wyduszać tego z ciebie na siłę. Ja nie jestem magiem. – Brzmiało to, jakby faktycznie się obraził.

–Demon wystrzelił we mnie Czarny Bęben. – To małe wyznanie zaskoczyło samą Kitty. Powiedziała to bez zastanowienia.

–A, tak. Małpiszon Tallowa. Zapomniałem. – Chłopak przeciągnął się leniwie. – No więc, pewnie się ucieszysz, kiedy ci powiem, że Tallow nie żyje. Afryt go pożarł. I to całkiem stylowo. Nie, nie opowiem ci szczegółów. Chyba że ty powiesz mi więcej o sobie. Co się stało po tym Bębnie?

–I Kitty, wbrew sobie, opowiedziała swoją historię. Kiedy skończyła, demon wzruszył smutno ramionami.

–Widzisz, problem z tym Pennyfeatherem polegał na tym, że on sam zbyt był podobny do magów. Prawda? Chciwy, ograniczony i żądny władzy. Chciał wszystko trzymać w sekrecie, tylko dla siebie. Nic dziwnego, że mieliście tylko jedenastu członków. Moja rada, jeśli chce się rozpętać rewolucję, trzeba mieć lud po swojej stronie. Wszystkie te eksplozje i kradzieże do niczego by was nigdy nie doprowadziły.

Kitty nachmurzyła się. Zabolalo ją, że demon tak beztrąsko potwierdził jej własne zdanie na ten temat.

–Pewnie nie.





– Jasne, że nie. Najważniejsza jest edukacja. Wiedza o przeszłości. Właśnie dlatego magowie zapewniają wam takie marne wykształcenie. Założę się, że czytałeś całą masę triumfalnych bzdur o tym, dlaczego Brytania jest taka wspaniała. – Roześmiał się. – Najzabawniejsze jest to, że wzrastająca odporność ludzi zawsze zaskakuje również samych magów. Każde imperium myśli, że jest inne. że jemu się to nie przytrafi. Zapominają lekcji z przeszłości, nawet tej niedawnej. Gladstone zdobył Pragę tak szybko tylko dlatego, że połowa czeskiej armii akurat strajkowała. To poważnie osłabiło Cesarstwo. Ale mój pan i jego przyjaciele już zapomnieli o tym fakcie. On nie miał pojęcia, jakim cudem tamtego dnia uciekłaś jego moulerowi. Ale abstrahując od tematu, przyprowadzenie tego Hyrnka naprawdę zajmuje mu wieki. Zaczynam myśleć, że coś mogło mu się stać. Nic strasznego, niestety, bo już by mnie tu nie było.

Jakob. Kitty była tak pochłonięta słowami demona, że prawie zapomniała o swoim przyjacielu. Zaczerwieniła się. Rozmawiała z wrogiem -zabójcą, porywaczem, niegodziwym demonem. Jak mogła zapomnieć?

– Wiesz co? – powiedział demon przyjaźnie. – Zastanawiałem się nad czymś. Dlaczego przyszłaś po Hyrnka? Musiałaś wiedzieć, że to pułapka. A on mówił, że nie odwiedzałaś go od lat.

– Bo nie odwiedzałam. Ale ma kłopoty z mojej winy – wycedziła Kitty przez zaciśnięte zęby.

– Taaak... – demon zrobił minę. – Po prostu wydaje mi się to dziwne, i tyle.

– A co ty możesz o tym wiedzieć, demonie?! – Kitty wpadła w furję. – Jesteś potworem! Jak śmiesz choćby sobie wyobrażać, co ja czuję! – Była tak wściekła, że omal się na niego nie rzuciła.

Chłopak mlasnął językiem z dezaprobatą.

– Pozwól, że dam ci przyjacielską radę – powiedział. – Ty nie chciała

byś być nazywana „ziemskim pomiotem”, prawda? Więc, na tej samej

zasadzie, kiedy zwracasz się do ducha takiego jak ja, używanie słowa

„demon” jest, szczerze mówiąc, odrobinę poniżające dla nas obojga.

Właściwy termin to „dzin”, choć gdybyś zechciała, mogłabyś dodać ja

kiś przymiotnik w rodzaju „szlachetny” lub „prześwietny”. To tylko

kwestia manier. Pozwoli nam pozostać w przyjaźni.

**Kitty roześmiała się ostro.**

**–Nikt się nie przyjaźni z demonem!**

–Nie, zwykle nie. Różnice w sposobie postrzegania świata są po prostu zbyt wielkie. Ale to się zdarzało... – przerwał zamyślony.

–Tak?

–Uwierz mi na słowo.

–Na przykład kiedy?

–Och, dawno temu... nieważne. – Mały Egipcjanin wzruszył ramionami.

–Zmyślasz.

Kitty czekała, ale chłopak uważnie oglądał własne paznokcie. Nie powiedział nic więcej. Po długiej chwili Kitty przerwała milczenie.

–Więc dlaczego Mandrake uratował mnie przed wilkami? To się nie trzyma kupy.

Chłopak burknął.

–Chce zdobyć Laskę. To oczywiste.

–Laskę? Dlaczego?

–A jak myślisz? Dla władzy. Próbuje ją odnaleźć przed innymi. – Mówił zwięźle i szorstko. Wyglądało na to, że jest w kiepskim humorze.

Kitty nareszcie zaczęło coś świtać.

–Chcesz powiedzieć, że ta Laska jest ważna?

–Oczywiście. To Laska Gladstonea. Przecież o tym wiedziałaś, bo inaczej po co włamywalibyście się do jego grobu?

Kitty oczyma duszy znów zobaczyła łożę w teatrze i złoty klucz, który dostała. Przypomniała sobie słowa nieznanego, wspominającego o Lasce niby mimochodem. Widziała bladyszare oczy Hopkinsa, wpatrujące się w jej oczy, usłyszała jego głos, cichy w zgiełku kawiarni, wypytujący o Laskę. Poczowała mdłości na myśl, że zostali zdradzeni.

–O! Jednak nie wiedziałaś. – Jasne oczy dzina obserwowały ją. – Ktoś

was wrobił. Ale kto? Hopkins?

**Głos Kitty był słaby.**

**–Tak. I jeszcze ktoś. Nie widziałam jego twarzy.**

**–Szkoda. To prawie na pewno był któryś z głównych magów. I możesz sobie wybrać dowolnego. Wszyscy są tak samo źli. I zawsze posyłają kogoś, żeby wykonał za nich brudną robotę, czy to dżin czy człowiek. – Zamrugał, jakby uderzyła go jakaś myśl. – Domyślam się, że nic nie wiesz o golemie? – To słowo nic nie mówiło Kitty. Pokręciła głową.**

–Tak też myślałem. To wielki, wredny, magiczny stwór, który ostatnio sieje zamęt w Londynie. Ktoś nim kieruje i bardzo chciałbym wiedzieć, kto. Choćby dlatego, że to coś o mało mnie nie zabiło.

Chłopak, mówiąc to, miał tak nieswoja minę, że Kitty prawie uśmiechnęła się z wyższością.

–Myślałam, że jesteś szlachetnym dzinem o ogromnej mocy – powiedziała. – Jakim cudem ten golem cię pokonał?

–A takim, że jest odporny na magię. Wysysa moją energię, jeśli się za bardzo zbliżę. Nawet ty miałabyś większe szanse, żeby go powstrzymać.

–W jego ustach zabrzmiało to jak najgłupsza rzecz na świecie.

–Wielkie dzięki – zachnęła się Kitty.

–Mówię poważnie. Golem jest kontrolowany za pomocą manuskryptu ukrytego w jego ustach. Gdyby podejść blisko i wyrwać papier, golem wróciłby do swojego pana i na powrót rozsypał się w glinę. Widziałem to raz, w Pradze.

Kitty, zamyślona, kiwnęła głową.

–To chyba nie byłoby zbyt trudne.

–Oczywiście trzeba by się przebić przez duszącą, czarną mgłę, która wisi wokół niego...

–A... no tak.

–I ominąć jego wymachujące pięści, które przebijają beton...

–Aha.

–A tak poza tym to kaszka z mleczkiem.

–Skoro to takie łatwe – rzuciła ze złością Kitty – to dlaczego magowie go nie powstrzymali?

Dzin uśmiechnął się zimno.

–Bo to by wymagało odwagi. Oni nigdy nie robią niczego sami. Za

wsze polegają na nas. Mandrake wydaje mi rozkaz, ja go słucham. On

**siedzi w domu, ja idę i cierpię. Tak to właśnie działa.**

**Głos chłopca zabrzmiał nagle staro, przepełniało go znużenie. Kitty pokiwała głową.**

**–Ciężka sprawa.**

**Wzruszenie ramion.**

**–Tak to już jest. Nie mam wyboru. Dlatego interesuje mnie, z jakiego powodu przyszłaś ratować Hyrnka. Powiedzmy sobie szczerze, to była głupia decyzja i nie musiałaś jej podejmować. Nikt cię do niczego nie**

zmusza. Zrobiłaś głupstwo, ale z chwalebnych powodów. Uwierz mi, to prawdziwa odmiana zobaczyć coś takiego po tylu latach zadawania się z magami.

–To nie było głupstwo – odparła Kitty. – No więc, ile to już lat?

–Pięć tysięcy, albo jeszcze dłużej. W tę i z powrotem. Na przestrzeni wieków zdarza się czasem jakaś przerwa, ale jak tylko upadnie jedno imperium, wyrasta następne. Brytania to tylko najnowsze z nich.

Kitty zapatrzyła się w ciemność.

–I Brytania też z czasem upadnie.

–O tak. Już widać pęknięcia. Powinnaś więcej poczytać, zobaczyłabyś, że schemat się powtarza. Aha... ktoś jest na dole. Nareszcie...

Chłopiec wstał. Kitty też. Do jej uszu dobiegły teraz odgłosy szamotaniny, kłatką schodową poniosło się kilka szeptanych przekleństw. Jej serce zabiło szybciej. Po raz kolejny przyszło jej do głowy, że może powinna uciec i po raz kolejny zdusiła w sobie ten odruch.

Dżin spojrział na nią, szeroko uśmiechnięty. Jego zęby połyskiwały niesamowitą bielą.

–Wiesz co? Nasza rozmowa sprawiła mi sporą przyjemność – powie

dział. – Mam nadzieję, że nie każą mi cię zabić.

Dziewczyna i demon stali obok siebie, czekając w ciemności. Na schodach dały się słyszeć kroki.

*9iathanid*

athaniel został odeskortowany do Whitehall w kuloodpornej limuzynie. Towarzyszyła mu Jane Farrar i trzech milczących funkcjonariuszy Nocnej Policji. Jakob Hyrnek siedział po jego prawej policjant. Nathaniel zauważył, że policjant ma wielkie dziury i rozdarcia na spodniach munduru, a jego potężne, sękaty dłonie mają połamane paznokcie. Powietrze było gęste od zapachu piżma. Spojrział na Jane Farrar, siedzącą nieruchomo na przednim siedzeniu, i przyłapał się na myśli, czy i ona nie jest przypadkiem wilkołakiem. Choć wątpił w to; była zbyt opanowana i miała drobną budowę ciała. Ale z drugiej strony, nigdy nic nie wiadomo.

Po przyjeździe do Westminster Hall Nathaniel i Jakob zostali poprowadzeni od razu do



wielkiej Sali Jadalnej, której sufit połyskiwał od kul tropiących i gdzie wokół wypolerowanego stołu siedzieli premier i pozostali lordowie. Na stole nie było widać żadnych wykwintnych potraw, co wskazywało na powagę sytuacji. Każdy minister miał przed sobą tylko skromną butelkę wody mineralnej i szklankę. Szef Policji siedział na honorowym miejscu obok premiera; jego twarz wyrażała ogromną satysfakcję. Jessica Whitwell została zesłana na jedno z ostatnich miejsc. Nathaniel nie patrzył na nią. Wzrok utkwił w premierze, próbując wyczytać coś z jego twarzy, ale Devereaux wpatrywał się w stół.

Obecni byli tylko najważniejsi ministrowie. Makepeacea tu nie było.

Eskortujący ich policjanci zasalutowali Duvallowi i na jego znak usunęli się z sali. Jane Farrar wystąpiła naprzód. Zakaszła delikatnie.

Devereaux uniósł głowę. Westchnął, jak człowiek, który ma do wypełnienia niechciane, smutne zadanie.

–Tak, panno Farrar? Ma pani coś do zaraportowania?

–Tak, sir. Czy pan Duvall zapoznał pana ze szczegółami?

–Wspomniał coś o tej sprawie. Proszę się streszczać.

–Tak jest. Od kilku dni obserwowaliśmy działalność Johna Mandrakea. Kilka drobnych niejasności w jego ostatnich akcjach zwróciło naszą uwagę. Wykazywał w swoich działaniach pewną niejednoznaczność i niekonsekwencję.

–Protestuję! – przerwał jej Nathaniel tak uprzejmie, jak się tylko dało. – Mój demon zniszczył zbiegłego afryta. Trudno mnie chyba oskarżać o niekonsekwencję w tej sprawie.

Premier uniósł rękę.

–Tak, tak, Mandrake. Będziesz miał okazję, żeby przemówić, ale na razie, proszę, milcz.

Jane Farrar odchrząknęła.

–Pozwolę sobie to rozwinąć, panie. W ciągu ostatnich kilku dni Mandrake kilkakrotnie wybierał się na samotne wycieczki po Londynie i to w momencie kryzysu, kiedy wszyscy magowie byli proszeni o pozostanie w Westminsterze, by czekać na rozkazy. Tego popołudnia, kiedy znów udał się na tajemniczą wyprawę, wysłaliśmy za nim kule tropiące. Śledziliśmy go aż do pewnego domu we Wschodnim Londynie, gdzie spotkał się ze swoim demonem i tym niezbyt urodziwym młodzieńcem. Po zostali tam, najwyraźniej czekając na kogoś. Postanowiliśmy rozstawić

w pobliżu funkcjonariuszy Nocnej Policji. Późnym wieczorem do domu zbliżyła się dziewczyna; zatrzymana przez naszych policjantów zaczęła stawiać opór przy aresztowaniu. Była doskonale uzbrojona. Podczas zajęcia zginęło dwóch ludzi, a czterech odniosło rany. Mimo to nasi funkcjonariusze już mieli ją ująć, kiedy to zjawił się demon pana Mandrakea i pomógł podejrzanej w ucieczce. W tym momencie uznałam za swój obowiązek aresztować pana Mandrake'a.

Premier upił łyczek wody.

–A ta dziewczyna? Kim jest?

–Uważamy, że jest członkiem ruchu oporu, sir, i że przeżyła włamanie do opactwa. Wydaje się jasne, że Mandrake od jakiegoś czasu był z nią w kontakcie. A już na pewno pomógł jej ująć sprawiedliwości. Uznałam, że powinien pan się dowiedzieć o tej sprawie.

–Słusznie. – Czarne oczy Devereaux przez chwilę bacznie obserwowały Nathaniela.

–Czy dziewczyna miała przy sobie Laskę Gladstonea, kiedy zatrzymały ją wasze siły?

Jane Farrar zacisnęła usta.

–Nie, sir, nie miała.

–Za pozwoleniem, sir, jeśli mogę...

–Nie możesz, Mandrake. Henry, chcesz coś dodać?

Szef Policji wiercił się niespokojnie na krześle; teraz pochylił się do przodu i oparł swoje wielkie, grube dłonie na stole. Powoli obrócił głowę z boku na bok, obserwując kolejno pozostałych ministrów.

–Już od jakiegoś czasu miałem wątpliwości co do tego chłopaka, Ru-

percie – zaczął. – Kiedy go ujrzałem po raz pierwszy, powiedziałem sobie:

„Ten Mandrake jest utalentowany, zgadza się, i wygląda na pracowitego,

ale gdzieś głęboko jest w nim coś tajemniczego”. Wszyscy wiemy,

jak bardzo jest ambitny, wiemy, w jaki sposób wkradł się w łaski biednej

Jessiki i że dzięki niej zyskał władzę w Ministerstwie Spraw Wewnętrz-

nych w zdumiewająco młodym wieku. I jakie miał zadanie w tym resor-

cie? Walczyć z ruchem oporu, zniszczyć go, jeśli to możliwe, i sprawić,

by ulice stały się bezpieczniejsze dla nas wszystkich. A co się stało w

ciągu ostatnich miesięcy? Ruch oporu urósł w siłę, a ich kampania terroru

znalazła kulminację we włamaniu do grobu naszego Założyciela. Długo by

wymieniać oburzające czyny, których się dopuścili: British Museum,

**centrum handlowe na Piccadilly, National Galery... wszystkie te miejsca zostały zaatakowane i nikt nie został za to pociągnięty do odpowiedzialności.**

**Nathaniel, wściekły, zrobił krok do przodu.**

**–Jak już wiele razy mówiłem, te ataki nie miały nic wspólnego z... -Oliwkowozielona wstęga żelatynowatej substancji zmaterializowała się w powietrzu przed jego twarzą i owinęła wokół głowy, kneblując go boleśnie. Pan Mortensen opuścił rękę.**

**–Mów dalej, Duvall – powiedział.**

–Dziękuję. – Szef Policji wyraził wdzięczność przesadnym gestem. –

No więc, z początku pani Farrar i ja zakładaliśmy, że ten brak sukcesów jest wynikiem zwyczajnej niekompetencji pana Mandrakea. Potem zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie ma w tym czegoś więcej. Czy ten utalentowany i ambitny młodzieniec nie jest czasem wplątany w jakąś bardziej podejrzaną działalność? Postanowiliśmy go obserwować.

Po zniszczeniu muzeum odbył potajemną podróż do Pragi, gdzie, choć jego poczynania nie są do końca znane, spotkał się, jak sądzimy, z cze skimi magami. Tak, słusznie się pani bulwersuje, pani Malbindi! Kto wie, jakie szkody wyrządził ten chłopak, jakie tajemnice mógł zdradzić. Wiemy tyle, że jeden z naszych najlepszych praskich szpiegów, człowiek, który służył nam wiernie przez wiele lat, został zabity w czasie wizyty Mandrakea.

Słyszając to, wielu ministrów zaczęło szeptać między sobą. Duvall zastukał w stół swoimi grubymi paluchami.

–Mandrake rozpowszechniał nieprawdopodobną historyjkę na temat ataków w Londynie, utrzymując, że stoi za nimi golem... tak, pani Mal bindi, dobrze pani usłyszała, golem. Choć to śmieszne, wydaje się, że Mandrake z łatwością nabrał biedną Jessicę, i bajeczka o golemie posłu żyła mu za pretekst, by wyjechać do Pragi. Wrócił bez dowodów na swoje szalone twierdzenia i, jak właśnie słyszeliśmy, został przyłapany na konszachtach z ruchem oporu i na przeciwstawianiu się naszej policji. Jest oczywiste, że chce zdobyć Laskę Gladstonea. Może to nawet on

**sam skierował zdrajców do grobowca. Proponuję, by niezwłocznie**

**odeskortować pana Mandrakea do londyńskiej Tower i przesłuchać go na**

**leżycie. Powiem więcej, chętnie zajmę się tym osobiście.**

**Rozległ się pomruk aprobaty. Devereaux wzruszył ramionami. Tylko Whitwell milczała z kamienną twarzą. Tęgi Minister Spraw Zagranicznych, Fry, powiedział:**

**–I dobrze. Ja tam nigdy nie lubiłem tego chłopaka. Ma o wiele za długie włosy i bezczelną minę. Masz na myśli jakieś konkretne metody, Duvall?**

**–Może Studnia Skruchy? Proponuję zanurzyć go do rana, aż po nos. To zwykle skłania zdrajców do mówienia, jeśli węgorze nie odgryzą im języków.**

**Fry kiwnął głową.**

–Węgorze. Właśnie, to mi przypomniało... Co z kolacją? Pan Mortensen pochylił się do przodu.

–A Wyciągarka, Duvall? To często bywa skuteczne.

–Uważam, że Kula Smutku to najlepiej przetestowana metoda.

–To może po parę godzin każdego?

–Może. Mam zabrać tego nikczemnika, Rupercie? Premier nadał policzki i odchylił się do tyłu na krześle.

–Tak sędzę, Henryku – powiedział z wahaniem. – Tak sędzę. Duvall pstryknął palcami. Z cienia wyszło czterech policjantów, jeden

bardziej muskularny od drugiego. Przemaszerowali równym krokiem przez salę w kierunku więźnia; ich przywódca odpiął od paska cienkie, srebrne kajdanki. Widząc taki obrót sprawy, Nathaniel, który od jakiegoś czasu wił się i gestykułował, zaczął teraz protestować tak energicznie, że spod jego knebla wyrwał się krótki, stłumiony okrzyk. Premier jakby coś sobie przypomniał. Uniósł rękę.

–Chwileczkę, Henry. Musimy pozwolić temu chłopcu na obronę.

Szef Policji zmarszczył niecierpliwie brwi.

–Czy naprawdę musimy, Rupercie? Strzeż się. To wygadany mały drań.

–Myślę, że sam to ocenię. – Devereaux spojrział na Mortensena, który niechętnie kiwnął ręką. Glutowaty knebel wokół ust Nathaniela zdematerializował się, pozostawiając cierpki zapach. Chłopak wyjął chusteczkę z kieszeni i otarł pot z twarzy.

–No to streszczaj się – powiedział Duvall. – Tylko żadnych kłamstw.

Nathaniel wyprostował się i oblizwał wargi. W oczach starszych magów

widział tylko wrogość, z wyjątkiem – i to była teraz jego jedyna nadzieja – samego pana Devereaux. Dostrzegł w nich coś, co mogło być niepewnością, pomieszaną z głęboką irytacją. Nathaniel odchrząknął. Od dawna był dumny ze swej bliskiej więzi z premierem. Teraz przyszła chwila, by ją wypróbować.

–Dziękuję za możliwość wypowiedzenia się, sir – zaczął. Próbował

nadać swojemu głosowi niewymuszone, spokojne brzmienie, ale strach



**zamienił go w pisk. Dreszcze wywoływała już sama myśl o Komnacie**

**Perswazji, miejscu w Tower, gdzie odbywały się przesłuchania więźniów.**

**Bartimaeus miał rację, przez swoje działania wystawił się na ciosy**

**wrogów. Teraz musiał ich przegadać. – Insynuacje pana Duvalla są bez-**

podstawne. a pani Farrar jest, delikatnie mówiąc, nadgorliwa. Mam nadzieję, że jest jeszcze czas, by naprawić szkody, które wyrządzili.

Usłyszał dyskretne prychnięcie Jane Farrar gdzieś za swoimi plecami. Duvall warknął w proteście, ale uciszyło go jedno spojrzenie premiera. Odrobinę ośmielony, Nathaniel mówił dalej.

–Moja podróż do Pragi i sprawa dziewczyny to dwie zupełnie oddzielne kwestie, sir. Rzeczywiście uważam, że wiele ataków na terenie Londynu to dzieło golema; moje dochodzenie w tej sprawie jeszcze się nie zakończyło. Tymczasem posłużyłem się tym młodzieńcem – skinieniem głowy wskazał Hyrnka – by wywabić zdrajczynię Kitty Jones z kryjówki. To jej stary wspólnik i domyśliłem się, że spróbuje go ratować. Kiedy znalazłaby się już w mojej mocy, szybko zdradziłaby mi miejsce ukrycia Laski, którą wtedy mógłbym dostarczyć do pańskich rąk. Przybycie wilków pani Farrar kompletnie zrujnowało moją zasadzkę. Ufam, że otrzyma stosowne upomnienie.

Jane Farrar krzyknęła ze złością:

–Moi ludzie złapali tę dziewczynę! A twój demon ją porwał.

–Oczywiście. – Nathaniel był wcieleniem uprzejmości. – Ponieważ pani ludzie rozdarliby ją na strzępy. Przepelniała ich żądza krwi. A wtedy jak odzyskalibyśmy Laskę?

–To byli funkcjonariusze Policji Imperium, bezpośrednio podlegli panu Duvallowi...

–Owszem i trudno by znaleźć organizację działającą bardziej topornie i chaotycznie – Nathaniel zadał kolejny cios. – Przyznaję, że utrzymywałem wszystko w tajemnicy, sir – ciągnął słodko, zwracając się wprost do premiera – ale wiedziałem, że to delikatna operacja. Dziewczyna jest uparta i zawzięta. By zlokalizować Laskę, musiałem działać ostrożnie. W zamian za nią zamierzałem oferować dziewczynie bezpieczeństwo tego chłopca. Obawiałem się, że brak subtelności, z którego znany jest pan Duvall, wszystko zepsuje. I tak się niestety stało.

**Furia szefa policji sięgnęła zenitu. Jego śniada twarz przybrała kolor buraka, żyły na szyi i dłoniach wezbrały jak liny okrętowe, a paznokcie -które wydawały się odrobinę dłuższe niż przed chwilą – wbiły się głęboko w blat stołu. Ledwie mógł mówić, dławiąc się z wściekłości.**

**–Straże! Zabrać tego nikczemnego młodzika. Wkrótce sam się nim zajmę.**

–Zapominasz się, Henry. – Devereaux mówił cicho, ale groźba w jego głosie była oczywista. – To ja jestem sędzią i ławą przysięgłych w tym rządzie, i to ja zadecyduję o losie Mandrakea. I absolutnie nie przekonuje mnie twoje twierdzenie, że jest zdrajcą. John – mówił dalej – twój demon pojmał tę Kitty Jones?

–Tak, sir. – Twarz Nathaniela była sztywna z napięcia. Jeszcze nie był wolny. Czarny cień Studni Skruchy wciąż majaczył mu przed oczyma. Musiał stąpać ostrożnie. – Posłałem ją w spokojne miejsce, gdzie będę mógł doprowadzić do końca mój plan. Mam nadzieję, że to długie opóźnienie nie zepsuło wszystkiego.

–I zamierzałeś zwrócić Laskę mnie? – Devereaux spojrzał na niego kątem oka.

–Oczywiście, sir! Miałem nadzieję, że pewnego dnia zobaczę ją obok Amuletu z Samarkandy w rządowym skarbcu. – Przygryzł wargę i czekał. To była jego karta atutowa. Odzyskując Amulet z Samarkandy, uratował życie Devereaux i nie chciał, by premier teraz o tym zapomniał. – Wciąż jeszcze mogę to zrobić, sir – dodał. – Jeśli zaprowadzę Hyrnka do dziewczyny i obiecuję im obojgu bezpieczeństwo, myślę, że odda mi Laskę w ciągu godziny.

–A dziewczyna? Odejdzie wolno?

Nathaniel uśmiechnął się złośliwie.

–O nie. Kiedy już będę miał Laskę, dziewczynę i Hyrnka będzie można spokojnie przesłuchać. – Jego uśmiešek zniknął natychmiast, kiedy Jakob kopnął go w goleń.

–Ten chłopak to zręczny kłamca. – Duvall odzyskał częściowo panowanie nad sobą. – Proszę cię, Rupercie, przecież nie dasz się nabrać...

–Podjąłem decyzję. – Premier pochylił się nad stołem i zetknął palce. – Mandrake udowodnił w przeszłości, że jest użyteczny i lojalny. Musimy udzielić mu dobrodziejstwa wątpliwości. Trzymamy go za słowo. Niech zdobędzie Laskę. Jeśli mu się uda, jego tajemniczość w tej sprawie zostanie wybaczona. Jeśli nie, przyjmę wersję wydarzeń Henry'ego i ześlę go do Tower. Czy to wystarczający kompromis? Wszyscy zadowoleni? – Z uśmiechem odwrócił głowę od Duvalla, którego twarz wyrażała posępne rozczarowanie, ku Nathanielowi, zielonemu od mdłości i niepokoju. – Dobrze. Mandrake może odejść. A teraz, czy ktoś wspominał o jedzeniu? Więc na początek trochę bizantyjskiego wina!

**Pokój wypełnił ciepły zefirek. Niewidzialni niewolnicy wzięli się do pracy, roznosząc kryształowe kieliszki i karafki, wypełnione winem o barwie moreli. Jane Farrar uchyliła się, kiedy półmisek kielbasek z sarniny śmignął koło jej głowy.**

**–Ależ, sir! Chyba nie pozwolimy, by Mandrake załatwił to sam!**

**–Tak, musimy wysłać batalion funkcjonariuszy! – Duvall niecierpliwie odepchnął na bok podany kieliszek. – Zaufać mu byłoby głupotą.**

**Nathaniel był już w połowie drogi do drzwi. Zawrócił pospiesznie.**

**–Sir, to bardzo delikatna sytuacja. Banda wilczych łbów wszystko ze psuje.**

**Devereaux spróbował wina.**

**–Przepyszne. Esencja Marmary... no więc, znów pójdziemy na kom**

**promis. Mandrake'owi zostanie przydzielonych kilka kul tropiących,**

**byśmy mogli kontrolować jego ruchy. A teraz, czy ktoś mógłby mi przy**

**sunąć ten przepyszny kuskus?**

**Nathaniel skrępował Hyrnka niewidzialnymi więzami i prowadząc go za ramię, wyszedł z sali. Nie był zachwycony. Chwilowo pokrzyżował szyki Duvallowi, ale jeśli nie zdobędzie Laski, i to szybko, jego przyszłość będzie czarno wyglądała. Wiedział, że wykorzystał cały zasób życzliwości, jaką premier miał dla niego, a wrogość ministrów była wręcz namacalna. Jego kariera – i życie – wisiały na włosku.**

**Kiedy szli przez hol, zatrzymała ich Jessica Whitwell. Nathaniel rzucił jej nieustępliwe spojrzenie, ale nie odezwał się. Mistrzyni wbiła swój sokoli wzrok w jego oczy.**

**–Może przekonałeś naszego drogiego premiera, a może nie – powie**

**działa ochryłym szeptem. – Może odzyskasz Laskę, a może nie. Ale ja**

**wiem, że działałeś za moimi plecami, szukając korzyści moim kosztem**

**i nie wybaczę ci tego. Nasza współpraca dobiegła końca i nie życzę ci**

**sukcesu. Jeśli o mnie chodzi, możesz zgnić w lochu Duvalla.**

**Oddaliła się pospiesznie. Jej szaty szeleściły jak zeschnięte liście. Nathaniel patrzył za nią przez chwilę. W końcu, widząc, że Hyrnek przygląda mu się z ponurym rozbawieniem, wziął się w garść i kiwnął w stronę grupki szoferów, czekających po drugiej stronie holu.**

**Kiedy samochód ruszył na północ, cztery czerwone kule tropiące zmateriałyzywały się nad wyjściem z holu i cicho podążyły za nim.**

rozumiałem, jak to wygląda, kiedy tylko weszli po schodach. Mogłem to wyczytać z wymuszonego uśmiechu młodego Hyrnka i z niechęci, z jaką wspinał się na każdy stopień. Widziałem to w nym, stalowym spojrzeniu mojego pana i złowróźnie malej odległości, w jakiej podążał za więźniem. O tak, Nathaniel usiłował wywołać wrażenie, że wszystko jest w porządku, próbował uspić czujność dziewczyny. Nazwijcie mnie jasnowidzem, ale nie dałem się nabrać. Sprawy nie wyglądały tak różowo. Oczywiście niewidzialny diablik, siedzący na ramionach Hyrnka i ściskający mu gardło długimi, szponiastymi stopami, też stanowił pewną wskazówkę. Ręce chłopaka przyciśnięte były do boków pętlą długiego, łuskowatego ogona, tak więc nie mógł mówić, krzyknąć ani wykonać żadnego gestu. Cienkie pazury wbijały mu się w policzki, zachęcając go, by wciąż się uśmiechał. Diablik pracowicie szeptał mu coś co ucha i założyłem się, że nie były to czule słówka\*.

\* Poślednie duchy takie jak ten są często małoduszne i mściwe i korzystają z każdej okazji, by uprzykrzyć życie ludziom pozostającym w ich mocy opowieściami o torturach i innych straszliwościach. Inne znów mają niewyczerpany zasób sprośnych dowcipów. Już sam nie wiem, co gorsze.

Ale dziewczyna nie miała o tym pojęcia. Krzyknęła cicho, kiedy ujrzała Jakoba w otworze klatki schodowej i odruchowo zrobiła krok naprzód. Mój pan zawołał ostrzegawczo:

–Proszę się nie zbliżać, panno Jones!

Została na miejscu, ale nie oderwała oczu od przyjaciela.

–Witaj, Jakob – powiedziała.

Diablik poluźnił odrobinę uchwyt, by więzień mógł wychrypieć:

–Cześć, Kitty.

–Nic ci nie jest?

Cisza. Diablik ostrzegawczo połaskotał Hyrnka w policzek.

–Nie. Uśmiechnęła się słabo.

**–Przyszłam... przyszłam cię uwolnić.**

**Tym razem odpowiedzią było tylko sztywne skinienie. Szpony diablika wczepiły się na nowo w szyję chłopca. Sztuczny uśmiech Hyrnka powrócił, ale w jego oczach dostrzegłem rozpaczliwe ostrzeżenie.**

**–Nie martw się, Jakob – powiedziała stanowczo dziewczyna. – Wyciągnę nas z tego.**

**Cóż, to wszystko było bardzo wzruszające i przejmujące. Widziałem, że przywiązanie dziewczyny do tego młodzika\* było dokładnie tym, na co liczył mój pan. Obserwował ich powitanie z niecierpliwością i wyrachowaniem.**

**–Przychodzę tu pełen dobrych chęci, panno Jones – powiedział, bez czelnie kłamiąc. Niewidzialny diablik, uwieszony na szyi Hyrnka, prze wrócił oczyma i zarechotał bezdźwięcznie.**

**Nawet gdybym chciał powiedzieć dziewczynie o tym demonie, nie mogłem z nią rozmawiać, kiedy mój pan stał przede mną\*\*. Poza tym on nie był jedynym problemem. Zauważyłem kilka czerwonych kul, unoszących**

**\* Choć zupełnie niewytłumaczalne. Mnie on wyglądał na mięczaka. \*\* Oczywiście i tak bym tego nie zrobił. Ludzie i ich żałosne, małe sprawy nie mają ze mną nic wspólnego. Gdybym miał do wyboru: pomóc dziewczynie albo natychmiast się zdematerializować, prawdopodobnie zniknąłbym na jej oczach, zostawiając po sobie echo śmiechu i zapach siarki. Choć była urocza, dżinowi nigdy nie opłaca się spoufalać z ludźmi. Nigdy. Uwierzcie na słowo komuś, kto dobrze o tym wie.**



się wysoko między belkami stropu. Magowie obserwowali nas z daleka. Nie było sensu samemu prosić się o kłopoty. Tak więc, jak zwykle, stałem żałośnie obok i czekałem na rozkazy.

–Przychodzę pełen dobrych chęci – powtórzył mój pan. Ręce rozłożył

na znak pokoju, pokazując puste dłonie\*. Nikt oprócz nas nie wie, że

pani tu jest. Jesteśmy sami.

Kolejne kłamstwo. Obserwujące nas kule schowały się kokieteryjnie za belkę, jakby się zawstydzily. Diablik przybrał wyraz udawanego oburzenia. Oczy Hyrnka błagały dziewczynę, ale ona niczego nie zauważała.

–A wilki? – zapytała szorstko.

–Są daleko. O ile wiem, wciąż pani szukają. – Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu. – Chyba trudno żądać ode mnie kolejnych dowodów moich dobrych intencji – powiedział. – Gdyby nie ja, do tej pory zostałyby z pani tylko kości w jakiejś uliczce.

–Kiedy widziałam pana ostatnio, nie był pan taki troskliwy.

–To prawda. – Nathaniel wykonał coś, co w jego mniemaniu miało być dworskim ukłonem, ale z tymi powiewającymi włosami i mankietami wyglądało to, jakby się potknął. – Przepraszam za moją porywczosć.

–Wciąż chce mnie pan aresztować? Domyślam się, że właśnie dlatego porwał pan Jakoba.

–Owszem, zamierzałem panią wyciągnąć z ukrycia. Ale aresztować? Mówiąc szczerze, wszystko zależy od pani. Może zdołamy dojść do porozumienia.

–Słucham.

–Ale najpierw... chce się pani wzmocnić albo potrzebuje pierwszej pomocy? Widzę, że odniosła pani ranę i na pewno jest pani zmęczona. Mogę wysłać mojego niewolnika – tu pstryknął na mnie palcami – by przyniósł wszystko, czego pani sobie życzy: jedzenie, grzane wino, środki wzmacniające... niech pani prosi, a tak się stanie!

Pokręciła głową.

–Nie chcę pańskich magicznych, brudnych luksusów.

\* To znaczy, na ile było je widać spod jego ogromnych, koronkowych mankietów.

–Ale przecież na pewno czegoś pani potrzeba. Bandaży? Słodkich ziół? Whisky? Bartimaeus może zdobyć to wszystko w mgnieniu oka\*.

–Nie. – Twarz miała kamienną, nie wzruszyły jej miłe słówka. – Jaką propozycję ma pan dla mnie? Domyślam się, że chce pan zdobyć Laskę.

Nathaniel pobladł trochę na dźwięk tego słowa. Może zbiła go z tropu bezpośredniość dziewczyny, jako że magowie rzadko mówią szczerze i wprost. Powoli skinął głową.

–Ma ją pani? – Jego ciało zesztyniało z napięcia. Wstrzymał oddech.

–Mam.

–Czy można ją szybko wydostać z ukrycia?

–Tak.

Wypuścił powietrze.

–Dobrze, bardzo dobrze. Więc oto moja propozycja. Na dole czeka na mnie samochód. Proszę mnie zabrać do miejsca, w którym ukryta jest Laska i powierzyć ją mojej opiece. Kiedy już będę ją miał, pani i Hyrnek zostanieie bezpiecznie odwiezieni, gdziekolwiek zechcecie. Ta amnestia będzie obowiązywać przez jeden dzień. Zakładam, że zechcecie wyjechać z kraju i ten czas wam na to pozwoli. Proszę starannie przemyśleć moje słowa! To bardzo szczodra oferta, dla tak zatwardziałej zdrajczynie jak pani. Inni członkowie rządu, jak się pani przekonała, nie byliby  
ta Dziewczyna nie uwierzyła mu.

–Jaką mam pewność, że dotrzyma pan słowa? Nathaniel uśmiechnął się i zdjął kłaczek kurzu z rękawa.

–Żadnej. Będzie pani musiała mi zaufać.

**–To raczej niewykonalne.**

**–Jaki pani ma wybór, panno Jones? Już w tej chwili jest pani, że tak powiem, zapędzona w kozi róg. Pilnuje pani okrutny demon...**

**\* I znów lekka przesada, chyba że ma się wyjątkowo zaropiałe, chore oko, które potrzebuje chwili, żeby się rozkleić. Przy odpowiednio precyzyjnym rozkazie i częściowym wycofaniu wiążącego zaklęcia oczywiście mogę się zdematerializować, zmaterializować gdzie indziej, zlokalizować odpowiednie przedmioty i wrócić, ale potrzeba na to dobrych kilku sekund – albo więcej, jeśli przedmioty są trudne do znalezienia. Nie potrafię tak po prostu wytrzasnąć różnych rzeczy z powietrza. To by było głupie.**

Rozejrzała się wokół siebie, zdziwiona. Kaszlnąłem.

–To ja – powiedziałem.

–...i musiałyby pani stawić czoło mnie – ciągnął mój pan. – Tym razem pani nie zlekceważę. Prawdę mówiąc – dodał, jakby coś sobie przypomniał – chętnie bym poznał źródło pani magicznych osłon. To naprawdę bardzo ciekawe. Jak je pani zdobyła? Kto je pani dał? – Dziewczyna nie odpowiedziała. – Jeśli podzieli się pani ze mną tą informacją – ciągnął Nathaniel -jeśli szczerze opowie pani o swojej działalności w ruchu oporu, nie tylko puszcze panią wolno. Zrobię więcej. – Podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu. Skrzywiła się, ale nie cofnęła. – Mogę pani dać bogactwo – powiedział. – I pozycję, która przejdzie pani najśmielsze marzenia. Plebejusze tacy jak pani, obdarzeni rozumem, odwagą i zdolnościami, mogą zdobyć stanowiska w samym sercu rządu, dające im prawdziwą władzę. To żadna tajemnica. Będzie pani co dzień pracować z wielkimi postaciami naszego społeczeństwa i uczyć się takich rzeczy, od których zakręci się pani w głowie. Mogę panią wyzwolić od pani ponurego życia, dać pani wgląd we wspaniałą przeszłość, w czasy, kiedy magowie-imperatorzy podbijali świat. A potem może się. pani stać częścią naszej własnej, wspaniałej historii. Kiedy zwyciężymy w obecnie prowadzonych wojnach, stworzymy na nowo Rząd Kolonialny w Ameryce i będziemy potrzebować inteligentnych mężczyzn i kobiet, by umacniali nasze panowanie. Mówi się, że są tam do zdobycia ogromne tereny, panno Jones, połacie ziemi, na których mieszkają tylko zwierzęta i paru dzikusów. Proszę sobie wyobrazić... pani jako pierwsza dama Imperium...

Dziewczyna odsunęła się na bok. Ręka chłopaka opadła z jej ramienia.

–Dziękuję, ale nie sądzę, by mi to odpowiadało. Nathaniel skrzywił się.

–Szkoda. A co z moją propozycją? Zgadza się pani?

–Chciałabym porozmawiać z Jakobem.

–Proszę, oto on. – Mag, jak gdyby nigdy nic, odszedł kawałek dalej. Ja

też się odsunąłem. Dziewczyna podeszła do Hyrnka.

–Naprawdę wszystko w porządku? – szepnęła. – Nic nie mówisz.

Diablik poluźnił uchwyt na jego gardle, ale łagodnie przypomniał o

swoim istnieniu, przebierając mu pazurami przed twarzą. Hyrnek słabo kiwnął głową.

–Nic mi nie jest. Wszystko w porządku.

–Zamierzam przyjąć propozycję Mandrakea. Masz coś do powiedzenia?

Słabiutki uśmiech.

–Nie, nie, Kathleen. Możesz mu zaufać.

–Zawahała się, skinęła głową, w końcu się odwróciła.

–No dobrze, panie Mandrake. Domyślam się, że nie chce pan przedłużać sprawy. Gdzie jest pański samochód? Zabiorę pana do Laski.

Podczas jazdy z Nathaniela aż buchały emocje. Radość, podniecenie i najzwyczajniejszy strach tworzyły nieapetyczną mieszankę, która uwidaczniała się w jego zachowaniu. Nie mógł usiedzieć spokojnie, wiercił się na siedzeniu, co chwilę odwracał się, by przez tylną szybę popatrzeć na uciekające w tył światła miasta. Dziewczynę traktował z dziwaczną kombinacją przesadnej grzeczności i ledwie skrywanej pogardy, w jednej chwili wypytyując ją z przejęciem o to czy tamto, a w następnej wypowiadając zawołowane groźby. Reszta pasażerów, w tym ja, była poważna i milcząca. Hyrnek i Kitty gapili się sztywno do przodu (Hyrnek wciąż miał diablika owiniętego na twarzy), a szofer za szybą udawał rzeźbę\*. Ja -choć z braku miejsca byłem zmuszony przybrać formę świnki morskiej, wciśniętej między but dziewczyny a schowek na rękawiczki – jak zawsze byłem pełen godności.

Jechaliśmy spokojnie przez okryty nocą Londyn. Ulice były puste. Gwiazdy nad dachami zaczynały przygasać – zbliżał się świt. Silnik samochodu mruczał monotonnie. Niewidoczne dla Nathaniela, cztery czerwone kule kiwały się i bujały w powietrzu nad dachem limuzyny.

W przeciwieństwie do mojego pana, dziewczyna wydawała się bardzo opanowana. W pewnej chwili zrozumiałem, ona wie, że chłopak ją zdradzi. Spójrzmy prawdzie w oczy, nie potrzeba było rozumu dzina, żeby się tego domyślić. Mimo to jechała spokojnie na spotkanie z losem. Świnka morska smutno pokiwała głową. Coraz bardziej podziwiałem zdecydowanie Kitty i klasę, z jaką je okazywała. Ale to właśnie daje wolna wola. Mnie nie był dany ten luksus na tym świecie.

\* Kawał drewna w czapce z daszkiem miałby w sobie więcej wigoru i osobowości.

Pod kierunkiem dziewczyny jechaliśmy na południe, przecinając centrum miasta i rzekę, do podrzędnej dzielnicy przemysłowo-handlowej z trzypiętrowymi kamienicami czynszowymi. Pokazywali się już nieliczni, przygarbieni piesi, wlokący się na wczesne zmiany. Obok nas przeleciało kilka znudzonych półafrytów i jeden pulchny imp posłaniec, uginający się pod gigantyczną paczką. W końcu skręciliśmy w wąską, brukowaną uliczkę, która prowadziła pod niskim łukiem na podwórzec dawnych staj en.

–To tutaj. – Dziewczyna zastukała w szybę oddzielającą szoferkę.

Drewniany kłoc zaparkował i znieruchomiał, czekając na rozkazy. Reszta

z nas wysiadła, zeszywniała i zmarznięta w pierwszym świetle świtu.

Świnka morska rozciągnęła swoją esencję i na powrót przybrała formę

Ptolemeusza. Rozejrzałem się wokół i dostrzegłem kule tropiące, uno

szące się w pewnej odległości.

Po obu stronach mieliśmy rzędy pomalowanych na białą staj en, przerobionych na mieszkania i lekko zrujnowanych. Dziewczyna bez słowa podeszła do schodków, prowadzących do drzwi piwnicy. Nathaniel poszedł za nią, popychając przed sobą Hyrnka. Ja zamykałem pochód.

Mój pan spojrzał na mnie przez ramię.

–Jeśli spróbuje jakichś sztuczek, zabij ją.

–Musisz być bardziej konkretny – odparłem. – Jakiego rodzaju sztuczek? Karty, monety, hinduskie zaklinanie liny?

Spojrzał na mnie ponuro.

–Chodzi o cokolwiek, co łamałoby naszą umowę i miało na celu zrobienie mi krzywdy lub jej ucieczkę. Czy to jest wystarczająco jasne?

–Jak słońce.

Dziewczyna macała po ciemku wokół drzwi. Z jakiejś szczeliny wyciągnęła klucz. Po chwili drzwi otwarły się ze zgrzytem. Bez słowa przekroczyła próg; my trzej powlekliśmy się za nią.

Kluczyliśmy przez cały ciąg przypominających labirynt piwnic, Kitty, Hyrnek, Nathaniel i ja, jedno tuż za drugim, jakbyśmy tańczyli jakąś powolną i ponurą kongę. Dziewczyna dobrze знаła drogę – w niektórych miejscach zapalała światło, w innych schylała się pod niskimi

**framugami, o które my trzej waliliśmy czołami. Ani razu nie obejrzała się za siebie. Była to określona droga. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy postać Minotaura nie byłaby tu bardziej odpowiednia.**

Oglądając się, ujrzałem poświatę przynajmniej jednej kuli tropiącej ciągnącej się za nami jak ogon. Wciąż byliśmy obserwowani z daleka.

Dziewczyna wreszcie zatrzymała się w małym, bocznym pomieszczeniu przy głównej piwnicy. Zapaliła słabą żarówkę. Pomieszczenie było puste, z wyjątkiem sterty drewna w najdalszym kącie. Woda kapiała z sufitu i sączyła się strumykami po podłodze. Nathaniel zmarszczył nos.

–I co? – warknął. – Nic tu nie widzę.

Dziewczyna podeszła do sterty. Wyciągnęła nogę i nacisnęła coś pod spodem. Rozległo się zgrzytanie. Część ceglanej ściany otworzyła się, ziejąc ciemnością.

–Proszę nie ruszać się z miejsca! Pani nie wchodzi. – Zostawiając

wreszcie Hyrnka, mój pan zrobił kilka szybkich kroków i stanął między

Kitty i sekretnymi drzwiami. – Bartimaeus, wejdź do środka i opowiedz,

co zobaczysz. Jeśli Laska tam jest, przynieś mi ją.

O wiele bardziej nieufnie, niż mam to w zwyczaju, podszedłem do drzwi, otaczając się Tarczą na wypadek jakichś głupich pułapek. Zbliżając się, poczułem ostrzegawcze pulsowanie na wszystkich siedmiu planach -wskazówkę, że gdzieś tam kryje się potężna magia. Ostrożnie wsunąłem głowę przez dziurę i rozejrzałem się.

Pomieszczenie okazało się niewiele większe niż duża szafa – obskurna nora częściowo wypełniona tanimi gadżetami, które dziewczyna i jej kumple ukradli magom. Były tu tradycyjne szklane kule i metalowe pojemniki – wszystko tandetne i do niczego niezdatne\*.

Wyjątkiem był przedmiot oparty od niechcienia w odległym kącie, w niestosownym towarzystwie kilku wybuchowych lanc.

Kiedy widziałem Laskę z daleka nad płonącymi dachami Pragi, promieniowała mocą o sile sztormu. Pioruny tryskały z niej i raniły niebo, jej cień padał aż na chmury. Jej gniew ujarzmił całe miasto. Teraz była

\* Tak jak puszkowane warzywa nigdy nie są tak smaczne i pożywne jak świeże, tak samo kule żywiołów, laski z Piekielnymi Ogniami czy jakakolwiek inna broń stworzona przez uwięzienie w pudełku lub kuli impa, czy jakiegokolwiek innego ducha nigdy nie jest tak skuteczna i trwała, jak czar rzucony spontanicznie przez same duchy. Jednak wszyscy magowie używają tego tak często, jak się da, bo to o wiele łatwiejsze niż przechodzenie przez cały pracochłonny proces przywołania.



**milcząca i zakurzona. Nawet pająk prządl niewinnie pajęczyne między jej rzeźbioną główką i szczeliną w ścianie.**

**Mimo to energia wciąż w niej drzemała. Jej aura pulsowała silnie, wypełniając pokój światłem (na wyższych planach). Z takim artefaktem lepiej uważać, chwyciłem więc Laskę Gladstonea zgiętym palcem wskazującym i kciukiem, niechętnie, jakbym wyciągał robaka z jabłka, i wyniosłem ją z sekretnego magazynu, by pokazać ją memu panu.**

**Och, ależ był szczęśliwy. Ulga wręcz od niego biła. Wziął Laskę ode mnie i zapatrzył się na nią, a aura artefaktu oświeciła rysy jego twarzy przyćmioną poświatą.**

**–Panie Mandrake – odezwała się dziewczyna. Stała teraz obok Hyrnka, otaczając go opiekuńczo ramieniem. Niewidzialny diablík przesiadł się na drugie ramię chłopaka i przyglądał się jej podejrzliwie. Być może wyczuwał jej wrodzoną odporność. – Panie Mandrake, ja wypełniłam swoją część umowy. Teraz musi nas pan uwolnić.**

**–Tak, tak. – Mój pan ledwie oderwał od Laski pełne zachwyty oczy. – Oczywiście. Poczynię odpowiednie przygotowania. Znajdę dla was eskortę. Ale najpierw wyjdźmy z tego ponurego miejsca.**

**Kiedy wyszliśmy na zewnątrz, światło wczesnego poranka zaczęło się już sączyć zza narożników kamiennych stajen i słabo błyszczało na chromowanych elementach limuzyny, stojącej po drugiej stronie uliczki. Szofer siedział jak skamieniały na swoim fotelu, gapiąc się przed siebie. Wyglądało to, jakby w ogóle nie ruszył się przez ten cały czas, kiedy nas nie było. Dziewczyna spróbowała jeszcze raz. Była bardzo zmęczona, a w jej głosie nie było słyhać wielkiej nadziei.**

**–Nie musi nas pan stąd eskortować, panie Mandrake – powiedziała. –**

**Sami znajdziemy drogę.**

**Mój pan właśnie wydrapał się po schodkach, z Laską w ręce. Z początku zdawało się, że jej nie usłyszał. Jego myśli krążyły daleko, wokół zupełnie innych spraw. Zamrugął, zatrzymał się w miejscu i spojrzal na nią, jakby widział ją po raz pierwszy.**

**–Pan przyrzekł – powiedziała dziewczyna.**

**–Przyrzekłem... – Zmarszczył lekko brwi.**

**–Że nas pan puści. – Zauważyłem, że mówiąc to, dyskretnie przeniosła ciężar ciała na palce stóp, przygotowując się do nagłego ruchu. Byłem nawet trochę ciekaw, co zamierza zrobić.**

–Ach tak. – Może był kiedyś taki czas, rok czy dwa lata temu. kiedy Nathaniel dotrzymałby każdego przyrzeczenia. Uważałby, że złamanie przysięgi jest poniżej jego godności. mimo iż uznawał dziewczynę za swego wroga. Możliwe, że nawet teraz jakaś część jego duszy była temu niechętna. W każdym razie wahał się chwilę, jakby naprawdę miał wątpliwości. Ale zobaczyłem, jak zerka na czerwone kule, które wyłoniły się z piwnicy i znów polatywały nad nami. Oczy mu pociemniały. Patrzył na niego jego pan i to przesądziło sprawę.

Kiedy mówił, skubał mankiet, a podobieństwo do innych magów było teraz głębsze niż tylko zewnętrzny wygląd.

–Przyrzeczenia składane terrorystom nie są wiążące, panno Jones – powiedział. – Nasza umowa jest nieważna. Zostanie pani niezwłocznie przesłuchana i osądzona pod zarzutem zdrady, i osobiście odeskortuję panią do Tower. Proszę niczego nie próbować! – uniósł ostrzegawczo głos, gdy dziewczyna wsunęła rękę do kieszeni kurtki. – Życie pani przyjaciela wisi na włosku. Sofokles, pokaż się! – Wyszczierzony w uśmiechu diablik na ramionach Hyrnka zrzucił Zasłonę Niewidzialności na pierwszym planie, bezczelnie mrugnął do dziewczyny i kłapnął zębami koło ucha swojego więźnia.

Dziewczyna przygarbiła się lekko; wyglądała na pokonaną.

–Dobrze – powiedziała.

–Pani broń... to, co ma pani w kurtce. Proszę to wyjąć. Powoli.

Zawahała się.

**–To nie jest broń.**

**Głos Nathaniela uniósł się niebezpiecznie.**

**–Nie mam na to czasu! Proszę to pokazać albo pani przyjaciel straci ucho.**

**–To nie jest broń. To prezent. – Mówiąc to, wyciągnęła rękę. W palcach miała coś małego, okrągłego, połyskującego w świetle. Dysk z brązu.**

**Oczy Nathaniela rozszerzyły się.**

**–To moje! Moje magiczne zwierciadło\*!**

**Dziewczyna skinęła głową.**

**–A bierz je sobie. – Szybki ruch nadgarstkiem. Dysk poleciał, wirując, wysoko w powietrze. Nathaniel, diablik i ja odruchowo powiedliśmy za**

**\* Rozpoznawalne po fatalnym wykończeniu powierzchni. Bezczelny, leniwy imp we wnętrzu był jeszcze gorszy.**

nim wzrokiem. A kiedy tak patrzyliśmy, dziewczyna zadziałała. Jej ręce wyciągnęły się, łapiąc diablika za chudą szyję i szarpnięciem ściągnając go z ramion Hyrnka. Zaskoczony demon stracił chwyt i jego szpony zaczęły drapać powietrze, ale cienki ogon owinął się wokół twarzy Hyrnka, szybki jak bicz, i zacisnął się. Chłopak krzyknął, chwytając go kurczowo.

Nathaniel cofał się, śledząc wirujący dysk. Wciąż trzymał Laskę, ale wolną rękę wyciągnął w górę, w nadziei, że go złapie.

Palce dziewczyny wbiły się w szyję diablika. Oczy demona wylazły na wierzch, twarz zrobiła się fioletowa. Ogon zaciskał się coraz bardziej wokół głowy Hyrnka. Obserwowałem to wszystko z wielkim zainteresowaniem. Kitty polegała na swojej odporności, na swojej mocy, pozwalającej pokonać magię diablika. Wszystko zależało od tego, jak silna była ta odporność. Całkiem możliwe, że diablik zaraz weźmie się w garść, zmiażdży Hyrnkowi czaszkę i rozprawi się z dziewczyną. Ale ona była silna. I wściekła. Twarz diablika spuchła, z jego gardła wydobył się obrzydliwy skrzek. Nagle, z dźwiękiem pękającego balonu diablik zamienił się w mgłę, razem z ogonem, i rozpląnął się w powietrzu. Kitty i Jakob stracili równowagę i zvalili się na ziemię.

Magiczne zwierciadło wylądowało bezpiecznie w dłoni Nathaniela. Uniósł głowę i dopiero teraz zorientował się w sytuacji. Jego więźniowie chwiejnie zbierali się z ziemi.

–Bartimaeus! – krzyknął ze złością.

A ja siedziałem sobie spokojnie na pacholku do wiązania koni. Spojrzałem na niego.

–Tak?

–Dlaczego nie zrobiłeś nic, żeby temu zapobiec? Dałem ci ściśle instrukcje.

–A dałeś, dałeś. – Podrapałem się w tył głowy.

–Kazałem ci ją zabić, jeśli spróbuje czegokolwiek!

–Do samochodu! Szybko! – Dziewczyna była już na nogach i ciągnęła Hyrnka za sobą. Pobiegli po bruku do limuzyny. To się oglądało lepiej niż aztecką grę w piłkę. Szkoda, że nie miałem popcornu.

–No więc? – Nathaniel nie posiadał się ze złości.

–Kazałeś mi ją zabić, jeśli złamię warunki waszej umowy.

–Tak! Uciekając! I właśnie to robi! Do roboty! Suszący Ogień...

**Uśmiechnąłem się wesoło.**

–Ale ta umowa jest nieważna, puste słowa. Sam ją zламаłeś niecałe dwie minuty temu i to w wyjątkowo obrzydliwy sposób, jeśli wolno mi dodać. Więc ona już nie może jej zламаć, prawda? Słuchaj, jeśli odłożysz tę Laskę, łatwiej będziesz mógł sobie wydzierać włosy z głowy.

–Aaach! Odwołuję wszystkie poprzednie rozkazy i wydaję nowy, którego nie zdołasz przekręcić! Zatrzymaj ich, by nie odjechali tym samochodem!

–No dobra. – Musiałem posłuchać. Zsunąłem się z pacholka i ruszyłem w niechętny, powolny pościg.

W trakcie całej tej gadaniny obaj obserwowaliśmy chaotyczny bieg naszych przyjaciół na drugą stronę uliczki. Dziewczyna prowadziła. Dopadła limuzyny i szarpnęła drzwiczki kierowcy, prawdopodobnie z zamiarem zmuszenia go, by ich stąd wywiózł. Szofer, który jak do tej pory nie okazał nawet najmniejszego zainteresowania całym zamieszaniem, w dalszym ciągu gapił się przed siebie. Kitty wrzeszczała na niego, wykrzykując gorączkowe rozkazy. Szarpnęła go za ramię. Facet zachwiał się jakoś tak bezwładnie i zsunął bokiem z siedzenia, wpadając na przestraszoną dziewczynę. W końcu wylądował twarzą w dół na bruku. Jego ręka klapnęła zniechęcająco na kamienie.

Wszyscy znieruchomieliśmy na kilka sekund. Dziewczyna stała jak sparaliżowana, być może dziwiąc się własnej sile. Ja podziwiałem godną pochwały lojalność brytyjskiej klasy pracującej. Nawet mój pan, zdumiony, przestał na chwilę toczyć pianę z ust. Podeszliśmy bliżej.

–Siurpryza! – Zza samochodu wychynęła uśmiechnięta twarz. A właściwie wyszczerzona, bo czaszki, jak wiemy, tak naprawdę się nie uśmiechają. Mimo to promieniała niepohamowaną wesołością, która stanowiła ostry kontrast z rzadkimi, siwymi włosami upapranymi rzeczonym mułem, z przemoczonymi, czarnymi łachmanami przyklepionymi do kości i z ohydny, cementarnym smrodem, który dotarł do nas wraz z podmuchem wiatru.

–O, o. – Porażająca elokwencja. Moja zresztą.

Z klekotaniem kości i radosnym okrzykiem afryt Honorius wskoczył na maskę samochodu, z kośćmi udowymi do zewnątrz, z rękami na biodrach, z zawadiacko przekrzywioną czaszką. Z tego podwyższenia, opromieniony światłem wschodzącego słońca, obrzucił nas wzrokiem, jedno po drugim.

itty poczuła nagle, że nie stoi już na brukowanej uliczce i nie oddycha powietrzem poranka. Na kilka sekund znów znalazła się pod ziemią, uwięziona w ciemnej krypcie, poczuła zapach śmierci buchający w twarz i zobaczyła przyjaciół, ginących na jej oczach. To samo przerażenie, ta sama bezradność. Poczuła, że jej siła i odwaga kurczą się, jak skrawki papieru rzucone w ogień. Ledwie mogła nabrać tchu.

Najpierw ogarnęła ją złość na Bartimaeusa. Jego przechwałki, że zniszczył szkielet, okazały się jeszcze jednym kłamstwem. Potem pomyślała o Jakobie, który stał przy niej, trzęsąc się ze strachu. Umrze przez jej głupotę – była tego całkiem pewna i nienawidziła się za to.

Większość ubrania szkieletu rozpadła się. Te mizerne resztki, które pozostały, wisiały bezkształtne na białozółtych kościach. Zgubił gdzieś złotą maskę, w czarnych oczodołach czaszki płonęły małe, czerwone płomyki. Poniżej słońce przeświecało między żebrami i strzępami marynarki. Spodnie i buty przepadły w nurcie rzeki. Ale energia stwora pozostała niezmienną. Podskakiwał z nogi na nogę z przerażającą, rozklekotaną zręcznością.

–Jak milutko, słowo daję. – Wesół głos dźwięczał jak dzwonek spomiędzy kiwających się zębów. – Nie mógłbym prosić o więcej. Oto ja,

szczęśliwy jak owieczka, choć może z trochę przemoczonymi chrząstkami. I nie obijam się. Czego chcę? Pragnę tylko podążać tropem mojej utraconej własności, odzyskać ją i ruszyć w swoją drogę. I co znajduję? Moją Laskę, tak! Jak nową. A na dodatek dwie inne owieczki do zabawy, dwie owieczki, o których rozmyślałem, kiedy wirowałem w ujściu rzeki w zimnej, zimnej wodzie, a moje piękne ubranie gniło mi na kościach. Och, nie rób takiej niewinnej minki, skarbie – wysoki głos zamienił się w warkot, a czaszka obróciła się w stronę Kitty – jesteś jedną z nich. Mała myszka, która zakłóciła spoczynek mojego pana, która zabrała jego Laskę i myśli, że to takie kobiece, nosić paskudne srebro w torebce. Z tobą porachuję się na końcu.

Szkielet wyprostował się sztywno, zastukał kośćmi śródstopia o maskę samochodu i wycelował palcem w Bartimaeusa, który wciąż miał postać śniadego chłopca.

–No i jeszcze ty – powiedział – dzin, który ukradł mi twarz. Dzin, który utopił mnie w Tamizie. Och, ależ jestem na ciebie wściekły.

**Demon, nawet jeśli się denerwował, dobrze to ukrywał.**

**–Rozumiem cię – powiedział swobodnie. – Prawdę mówiąc, ja sam jestem trochę zawiedziony. Zechcesz mi powiedzieć, jak tu trafiłeś?**

**Czaszka kłapnęła ze złością zębami.**

**–Najzwyklejszy przypadek uratował mnie przed odejściem w zapomnienie – szepnął. – Kiedy dryfowałem z prądem, bezradny, w zimnej, zimnej ciemności, mój staw łokciowy zahaczył o zardzewiały łańcuch kotwicy, tkwiącej w dnie rzeki. Natychmiast chwyciłem go palcami i zębami, pokonałem prąd ciągnący mnie do oceanu, wspiąłem się ku światłu.**

**I gdzie się wynurzyłem? Na starej barce, zacumowanej na noc. Kiedy okrutna woda obciekła z moich kości, wróciły mi siły. Czego pragnąłem?**

**Mścić się! Ale najpierw odnaleźć Laskę, by odzyskać swoją moc. Dniem i nocą skradałem się po brzegu, węsząc jak pies za jej aurą... i dziś – jego głos wybuchnął nagle radosnym zachwytem – znalazłem ją, wytropiłem na tym podwórku i poczekałem wygodnie z tym nieruchawym kolegą. –**

**Lekceważąco wskazał ciało szofera wielkim palcem u nogi. – Niestety nie był zbyt interesującym rozmówcą.**

**Bartimaeus kiwnął głową.**

**–Ludzie nie są znani ze swojej błyskotliwości. Mnie wydają się strasznie nudni.**



–Prawda?

–Śmiertelnie.

–Hm. Hej! – Szkielet otrząsnął się, oburzony. – Próbujesz zmienić temat.

–Nic podobnego. Mówiłeś właśnie, że jesteś na mnie strasznie wściekły.

–Rzeczywiście. Gdzie to ja byłem...? Strasznie wściekły... Dwie małe owieczki, dziewczyna i dżin... – Wyglądało na to, że zupełnie stracił wątek.

Kitty wskazała kciukiem Mandrakea.

–A co z nim?

Mandrake obruszył się.

–Ja nigdy w życiu nie widziałem tego znakomitego afryta! Nie może czuć do mnie urazy.

Płomienie w oczodołach czaszki rozbłysły.

–Z wyjątkiem tego, że trzymasz moją Laskę. A to nie jest byle drobiazg. Co więcej... zamierzasz jej użyć! Tak! Nie zaprzeczaj, jesteś magiem!

Warto było podsycić jego oburzenie. Kitty odchrząknęła.

–On kazał mi ją ukraść – powiedziała. – To wszystko jego wina. Wszystko. Zmusił Bartimaeusa, żeby cię zaatakował.

–Doprawdy...? – Szkielet przyjrzał się Mandrake'owi. – Interesujące... -Znów pochylił się do Bartimaeusa. – Ona chyba nie mówi poważnie, co? Ten fircyk z Laską to naprawdę twój pan?

Mały Egipcjanin zrobił szczerze zażenowaną minę.

–Obawiam się, że tak.

–O rety. Coś takiego. No cóż, nie martw się. Zabiję go, kiedy już rozprawię się z tobą.

Jeszcze zanim skończył mówić, uniósł palec. Zielony płomień uderzył w miejsce, gdzie stał demon, ale chłopca już tam nie było – zrobił salto nad dziedzińcem i wylądował zgrabnie na kubie na śmieci obok najbliższego domu. Jakby kierowani jedną i tą samą myślą, Kitty, Jakob i John Mandrake odwrócili się i zaczęli uciekać, pędząc w stronę łuku prowadzącego z dziedzińca na ulicę. Kitty była najszybsza i to ona pierwsza zauważyła nagłą ciemność, która ich ogarnęła, gwałtowne przygasanie światła poranka dokoła, jakby jakaś siła fizycznie odpychała je od ziemi. Zwolniła, w końcu zatrzymała się. Cienkie macki ciemności wiły się i wnikały przez

sklepioną bramę, a za nimi nadciągała czarna chmura. Poza nią nie było nic widać, dziedziniec był odcięty od świata zewnętrznego.

Co znowu? Kitty wymieniła z Jakobem bezradne spojrzenie i obejrzała się przez ramię. Mały Egipcjanin wypuścił skrzydła i szybował w tę i z powrotem nad dziedzińcem, tuż poza zasięgiem podskakującego szkieletu.

–Trzymajcie się z daleka od tej chmury. – Był to głos Mandrakea, słaby i łamiący się. – Myślę, że jest niebezpieczna.

Kitty uśmiechnęła się szyderczo.

–Jakby cię to obchodziło. – Mimo to, ona też się cofnęła.

Chmura rozrastała się ku nim. Wisiała wokół niej straszliwa cisza i przytłaczający zapach mokrej ziemi. Jakob dotknął jej ramienia.

–Słyszysz...?

–Tak. – Ciężkie kroki dudniły w głębinie cienia. Coś szło w ich stronę.

–Musimy się stąd wydostać – powiedziała. – Biegnij do piwnicy.

Zawrócili i popędzili w kierunku schodów prowadzących do składziku

pana Pennyfeathera. Szkielet, który bezskutecznie strzelał magicznymi pociskami w pełnego werwy demona, dostrzegł ich z drugiego końca dziedzińca i klasnął w ręce. Wstrząs, bruk zadygotał. Nadproże nad drzwiami piwnicy pękło na dwoje i tona cegieł posypała się lawiną na schody. Kurz opadł, drzwi zniknęły. Szkielet przykucnął, podskoczył i już

–Ten przeklęty demon jest zbyt ruchliwy – powiedział. – Zmieniłem zdanie. Wy dwoje będziecie pierwsi.

–Dlaczego ja? – sapnął Jakob. – Nic nie zrobiłem.

–Wiem, drogie dziecko. – Oczodoły zalśniły. – Ale jesteś pełen życia. A po tak długim czasie spędzonym pod wodą naprawdę potrzebuję energii. – Wyciągnął rękę i w tym momencie zauważył wreszcie czarną chmurę, pełznącą przez dziedziniec, wysysającą światło z powietrza. Zapatrzył się w czerni, z dyndającą niepewnie szczęką.

–Proszę, proszę – powiedział miękko. – A to co?

**Kitty i Jakob uciekli z powrotem pod ścianę. Afryt nie zwrócił na to uwagi. Obrócił się i stanął przodem do chmury, wołając coś w dziwnym języku. Kitty poczuła, że stojący za nią Jakob drgnął.**

**–To po czesku – szepnął. – Coś jakby „wyzywam cię!”**

Czaszka obróciła się o sto osiemdziesiąt stopni i spojrzała na nich.

–Przepraszam na minutkę, dzieci. Mam tu niedokończoną sprawę.

Zajmę się wami za małą chwilunię. Czekaście tu.

Klekocząc kośćmi, ruszył przed siebie, wprost ku środkowi dziedzińca, z oczodołami utkwionymi w rosnącej chmurze. Kitty spróbowała pozbierać myśli. Rozejrzała się wokół. Droga tonęła w cieniu, słońce stało się przyćmionym dyskiem, słabo połyskującym na niebie. Wyjście z dziedzińca zablokowane było przez złowrogą ciemność. Z pozostałych trzech stron otaczały ich ślepe ściany i zakratowane okna. Dziewczyna zakłęła. Gdyby miała choć jedną kulę, mogłaby wybić im przejście w murze. A tak – byli bezradni. Szczury w pułapce.

Poczuła prąd powietrza i zobaczyła lekką, lądującą obok niej postać. Demon Bartimaeus złożył swoje delikatne skrzydła za plecami i kiwnął jej uprzejmie głową. Kitty skrzywiła się.

–Och, nie martw się. Miałem rozkaz powstrzymać cię, żebyś nie odje

chała tym samochodem. Podejź do niego, a będę musiał działać. Ale

poza tym rób sobie, co chcesz.

Kitty zmarszczyła brwi.

–Co się dzieje? Co to za ciemność?

Chłopiec westchnął smutno.

–Pamiętasz golema, o którym ci mówiłem? No więc, przyszedł. Ktoś postanowił interweniować. Nie przyznam ci nagrody, jeśli zgadniesz, dlaczego. Ta przeklęta Laska jest źródłem wszystkich naszych kłopotów. – Zmrużył oczy, wpatrując się w coś przez mgłę.

–A skoro już o tym mowa... Co on...? Och, nie. Powiedz mi, że on nie... A jednak. Co za dumny gnojek.

–Co?

–Mój pan. Próbuje aktywować Laskę.

Mniej więcej na wprost nich, niedaleko limuzyny, Mandrake stał plecami do ściany. Nie zwracając uwagi na działania szkieletu – który brykał w tę i z powrotem po kamieniach, wykrzykując obelgi pod adresem zbliżającej się chmury – oparł się na Lasce, z pochyloną głową, zamkniętymi oczyma, jakby spał. Kitty wydawało się, że widzi, jak poruszają się jego

**usta, szepczące jakieś słowa.**

**–To się na pewno nie skończy dobrze – powiedział demon. – Jeśli on próbuje jakiejś prostej Aktywacji, bez Wzmocnienia czy Zakłóć Tłumią-**

cych, to sam się prosi o kłopoty. On nie ma pojęcia, ile to zawiera energii. Przynajmniej tyle, co dwa maridy. Nadmierna ambicja, to zawsze był jego problem. – Smutno pokręcił głową. Kitty niewiele z tego rozumiała, a jeszcze mniej ją to obchodziło.

–Proszę cię... Bartimaeus, tak masz na imię? Jak mamy się stąd wy dostać? Możesz nam pomóc? Mógłbyś rozwalić ścianę.

Ciemne oczy chłopca przyjrzały się jej uważnie.

–A dlaczego miałbym to zrobić?

–Em... Bo ty... ty nie życzysz nam źle. Ty tylko wypełniałeś rozkazy... -Nie brzmiało to zbyt pewnie.

Chłopiec skrzywił się.

–Jestem podłym demonem. Sama tak mówiłaś. W każdym razie, nawet gdybym chciał wam pomóc w tej chwili lepiej, żebyśmy nie ściągali na siebie uwagi. Nasz przyjaciel afryt chwilowo o nas zapomniał. Przypomniał sobie za to oblężenie Pragi, kiedy golemu takie jak ten siał spustoszenie wśród oddziałów Gladstonea.

–On coś robi – szepnął Jakob. – Szkielet...

–Tak. Schylcie się. – Chmura ciemności zatrzymała się na chwilę, jakby podziwiała pląsy tańczącego przed nią szkieletu. W końcu podjęła decyzję. Macki popłynęły w stronę Mandrakea i Laski. Widząc to, szkielet uniósł rękę. Oślepiający strumień białego światła wystrzelił z niej i uderzył w chmurę. Rozległ się głuchy huk, niczym eksplozja tłumiona mocnymi drzwiami. Strzępy czarnego oparu rozpierzchły się we wszystkich kierunkach, wirując i topniejąc w ciepłe poranne słońca, które nagle znów rozbłysło.

Bartimaeus mruknął z aprobatą.

–Nieźle, nieźle. Ale niewiele mu to pomoże.

Jakob i Kitty wstrzymali oddech. Na środku dziedzińca ich oczom ukazała się gigantyczna postać, człekokształtna, ale o wiele potężniejsza, przysadzista i o topornych członkach, z ogromną, przypominającą głaz głową, osadzoną na ramionach. Golem wyglądał na zbitego z tropu zniszczeniem chmury. Bezsensownie wywijał łapami, jakby chciał na powrót pozbierać ciemność wokół siebie. Kiedy zrozumiał, że to bezskuteczne, ignorując triumfalne wycie szkieletu, puścił się ciężkimi krokami przez dziedziniec.

–Hmm, lepiej, żeby Mandrake pospieszył się z tymi zaklęciami... –

**powiedział Bartimaeus. – Ups, a oto i nasz Honorius.**



–Stać! – Krzyk szkieletu rozległ się echem po dziedzińcu. – Laska jest moją własnością! Wyzywam cię! Nie po to strzegłem jej przez sto lat.

żeby obrabował mnie jakiś tchórz. Widzę, że się gapisz przez to oko!

Wydłubię je i zmiażdżę w garści! – Mówiąc to, wystrzelił kilka ładunków magii w golema, który wchłonął je bez żadnego uszczerbku.

Gliniana figura szła dalej. Kitty widziała teraz wyraźniej szczegóły głowy: dwoje ledwie zaznaczonych oczu, a nad nimi trzecie, większe, o wiele wyraźniejsze, umieszczone pośrodku czoła. To trzecie oko kręciło się na prawo i lewo, lśniąc jak biały płomień. Usta poniżej były zaledwie nierówną szczeliną, symboliczną i bezużyteczną. Przypomniały jej się słowa demona – gdzieś w tych okropnych ustach znajdował się magiczny papier, który dawał potworowi jego moc.

Wyzywający krzyk. Afryt Honorius, rozwścieczony do białej gorączki nieskutecznością swojej magii, rzucił się przed siebie, by przeciąć drogę kroczącemu golemowi. Malutki, w zestawieniu z wielgachną postacią, szkielet ugiął kolana i skoczył; jednocześnie strumienie energii wytrysnęły z jego ust i dłoni. Wylądował na piersi golema, otaczając kościanymi rękami jego szyję, a nogami tors. Tam, gdzie dotknął, wybuchły błękitne płomienie. Golem zatrzymał się jak wryty, uniósł ogromną, podobną do kłody rękę i złapał szkielet za grzbiet.

Przez długą chwilę przeciwnicy pozostawali tak, spleceni i nieruchomi, w kompletnej ciszy. Płomienie strzeliły wyżej. Rozszedł się zapach spalenizny, powiało nieopisanym zimnem.

I nagle, jednocześnie – głośny dźwięk i wybuch błękitnego światła...

Szkielet zatrzęsł się.

Kawałki kości posypały się po bruku jak grad.

–Dziwne... – Bartimaeus siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi, z miną zafascynowanego widza. – To było naprawdę bardzo dziwne. Bo widzisz, Honorius nie musiał tego robić. To była bezsensowna brawura, pewne samobójstwo, choć oczywiście wymagało odwagi. Mimo swojego szaleństwa musiał wiedzieć, że golem go unicestwi. One niweczą naszą magię, ścierają w proch naszą esencję, nawet jeśli jest ukryta w kościach. Bardzo dziwne. Może w końcu zmęczzył się tym światem. Czy ty go rozumiesz, Kitty Jones?

–Kitty... – Jakob ciągnął ją niecierpliwie za rękaw. – Przejście jest wolne. Możemy się wymknąć.

–Tak... – Kitty jeszcze raz zerknęła na Mandrakea. Z zamkniętymi oczami wciąż recytował słowa jakiegoś zaklęcia.

–Chodź...

Od chwili zniszczenia szkieletu golem stał nieruchomo. Teraz znów się poruszył. Jego prawdziwe oko zaśniło, poruszyło się i utkwilo wzrok w Mandrake'u i Lasce.

–Zdaje się, że Mandrake ma kłopoty. – Głos Bartimaeusa był obojętny,

rzeczowy.

Kitty wzruszyła ramionami i zaczęła powoli posuwać się za Jakobem ku krawędzi muru.

W tej samej chwili Mandrake uniósł głowę. Z początku zdawał się nie dostrzegać nadciągającego niebezpieczeństwa. Po chwili jego wzrok padł na zbliżającego się golema. Na twarzy pojawił się uśmiech. Mag uniósł Laskę przed siebie i wypowiedział jedno słowo. Mgliste, różowofioletowe światło zawirowało powoli wokół trzonka łaski, unosząc się ku główce. Kitty zatrzymała się. Miękki, buczący dźwięk – jakby tysiąca pszczoł uwieczonych pod ziemią – drżenie powietrza; ziemia zatrzęsała się lekko.

–Niemożliwe – powiedział Bartimaeus. – Niemożliwe, żeby ją okiełznał.

Nie za pierwszym razem.

Chłopak uśmiechnął się szerzej. Wycelował Laskę Gladstonea w golema, który zatrzymał się niepewnie. Kolorowe światło igrało w rzeźbach, zdobiących Laskę. Twarz chłopaka była ożywiona blaskiem i straszliwą radością. Głębokim, władczyim głosem wypowiedział skomplikowane zaklęcie. Aura wokół Łaski błysnęła. Kitty zmrużyła oczy, zmuszona odwrócić je niemal całkowicie. Golem kiwnął się do tyłu na piętach. Aura zamigotała i rozbłysła światłem, które pomknęło z powrotem w dół, po Lasce i ręce maga. Głowa Mandrake'a odskoczyła do tyłu. Uniesiony nad ziemię rąbnął wprost o mur, który miał za plecami, z łomotem.

Leżał jak długi na bruku, przewracając w ustach językiem. Laska z grzechotem wypadła mu z dłoni.

–Ach. – Bartimaeus pokiwał głową. – Jednak jej nie okiełznał. Tak też myślałem.

–Kitty! – Jakob przeszedł już spory kawałek wzdłuż ściany. Gestykulował jak wariat. – Chodź, póki czas.

Gigantyczna, gliniana figura wznowiła swój powolny marsz w stronę rozciągniętego na brzuchu maga. Kitty ruszyła za Jakobem, ale po kilku krokach zawróciła do Bartimaeusa.

–Co teraz będzie?

–Teraz? Po małej pomyłce mojego pana? To proste. Wy uciekniecie. Golem zabije Mandrakea, weźmie Laskę i zanieś ją magowi, który patrzy przez to oko, kimkolwiek on jest.

–A ty? Nie pomożesz mu?

–Golema nie pokonam, jestem bezsilny. Już raz próbowałem. Poza tym, kiedy wy próbowaliście uciec, mój pan unieważnił wszystkie poprzednie zaklęcia, w tym również to, które kazało mi go chronić. Jeśli zginie, ja odejdę wolny. Pomaganie temu idiocie nie leży w moim interesie.

Golem mijał już limuzynę i zbliżał się do ciała szofera. Kitty jeszcze raz spojrzała na Mandrakea, który leżał nieprzytomny pod ścianą. Przygryzła wargę i odwróciła się.

–Widzisz, ja zwykle nie dysponuję wolną wolą – powiedział głośno

demon za jej plecami. – Więc kiedy już ją mam, nie będę działał na własną

szkodę, jeśli tylko mogę temu zapobiec. Właśnie to daje mi wyższość

nad takimi ogłupiałymi istotami ludzkimi jak ty. To się nazywa zdrowy

rozsądek. Ale lepiej już idź – dodał. – Twoja odporność może nie działać

w przypadku golema. To pocieszające, zobaczyć, że robisz dokładnie to,

co ja bym zrobił i uciekasz, póki możesz uciec.

Kitty wydeła policzki i zrobiła kilka kroków. Jeszcze raz obejrzała się przez ramię.

–Mandrake by mi nie pomógł – powiedziała.

–No właśnie. Bystra z ciebie dziewczyna. Zmiataj i zostaw go na pewną śmierć.

Spojrzała na golema.

–Jest zbyt wielki. Nie dosięgnę.

–Szczególnie kiedy już minie tę limuzynę.

**–Och, do diabła. – Kitty ruszyła biegiem. Nie do zdumionego Jakoba, ale w poprzek dziedzińca, w stronę kłocowatego giganta. Nie zwracała uwagi na obolałe, zdrętwiałe ramię, ani na rozpaczliwe wołanie przyjaciela. Przede wszystkim starała się zignorować głosy we własnej głowie, krzyczące, że jest idiotką, że to niebezpieczne, że to co chce zrobić i tak**

nic nie da. Pochyliła głowę, pobiegła szybciej. Nie była demonem ani magiem – była lepsza od nich. Nią nie kierowała wyłącznie chciwość i własna korzyść. Obiegła golema od tyłu, tak blisko, że zobaczyła rozmazaną glinę na jego powierzchni, poczuła okropny wyziew wilgotnej ziemi, ciągnący się za kolosem. Skoczyła na maskę limuzyny i przebiegła po niej, na wysokości torsu golema.

Niewidzące oczy patrzyły przed siebie, jak oczy martwej ryby. Trzecie oko nad nimi połyskiwało złowrogą inteligencją. Jego spojrzenie utkwione było w ciele Mandrakea. Nie dostrzegło Kitty, która podbiegła z boku, odbiła się z całej siły i wylądowała na plecach golema.

Niewyobrażalne zimno powierzchni sprawiło, że zachłysnęła się z bólu. Mimo odporności na magię, to było jak skok do lodowatego strumienia -straciła oddech, każdy nerw zapiekł jak ogniem. Od ziemnego smrodu zakręciło jej się w głowie, żółć podeszła do gardła. Kitty zarzuciła zdrową rękę na ramię golema i przyłgnęła do niego kurczowo. Przy każdym kroku groziło jej, że spadnie.

Spodziewała się, że golem sięgnie za plecy i zedrze ją z siebie, ale nie zrobił tego. Oko jej nie widziało, a władca golema nie mógł wyczuć jej ciężaru na ciele stwora.

Kitty wyciągnęła zranioną rękę. Ramię zabolalo, wrywając jej z gardła krzyk. Zgięła łokieć i sięgnęła do twarzy golema, szukając na oślepie otwartych ust. Demon powiedział, że w środku umieszczony był papier, manuskrypt. Jej palce dotknęły zimnej jak lód, kamiennej powierzchni. Przewróciła oczyma, omal nie zemdlala.

Nic z tego. Nie mogła dosięgnąć ust...

Golem zatrzymał się. Z zaskakującą szybkością jego grzbiet zaczął się pochylać. Kitty zjechała na jego ramiona, głową naprzód. Przez mgnienie oka dostrzegła pod sobą niezgrabną rękę, sięgającą w dół, do nieprzytomnego chłopaka, by złapać za kark i złamać go jak zapalkę.

Plecy wciąż się pochylały. Kitty zaczęła się zsuwać, jej chwyt słabł. Palce macały gorączkowo po wielkiej, płaskiej twarzy i w końcu natrafiły na jamę ust. Wsunęły się do środka. Gruzłowaty, zimny kamień... nierówne wypukłości, które niemal przypominały zęby... i coś innego, szorstkiego, a jednocześnie miękkiego. Chwyła to coś, w tym samym momencie tracąc do reszty oparcie na plecach golema. Poleciała naprzód, przez jego ramię, i wylądowała ciężko na ciele chłopaka, leżącego na ziemi.

Przekręciła się na plecy, otworzyła oczy i wrzasnęła.

Twarz golema była tuż nad nią. Rozwarta gęba, niewidzące oczy i trzecie oko, wbite w nią. ożywione wściekłością. Ale kiedy w nie patrzyła, wściekłość zniknęła, inteligentne spojrzenie zgasło. Oko na czole było już tylko owalem z gliny, wymyślnie rzeźbionym, ale matowym i martwym.

Kitty sztywno uniosła głowę i spojrzała na swoją lewą dłoń.

Między palcem wskazującym a kciukiem tkwił zwój pożółkłego pergaminu.

Boleśnie oparła się na łokciach. Golem był zupełnie nieruchomy, jedna garść zawisa kilka centymetrów od twarzy Johna Mandrakea. Glina była popękana i pełna dziur, stwór równie dobrze mógł być wielką rzeźbą. Nie promieniował już tym przerażającym chłodem.

–Wariatka. Kompletna wariatka. – Mały Egipcjanin stał obok niej,

z rękami na biodrach, kręcąc łagodnie głową. – Jesteś tak samo szurnięta,

jak tamten afryt. Ale przynajmniej – wskazał ciało maga – miałś

miękkie lądowanie.

Za plecami demona ujrzała Jakoba, zbliżającego się nieufnie, z wielkimi oczami. Jęknęła. Rana na jej ramieniu znów krwawiła, każdy mięsień ciała był obolały. Ostrożnie, z trudem wyprostowała się i wstała, podciągając się na wyciągniętej ręce golema.

Jakob gapił się na Mandrakea. Laska Gladstonea leżała w poprzek jego piersi.

–Nie żyje? – zapytał z nadzieją.

–Wciąż oddycha, niestety. – Bartimaeus westchnął i spojrzał z ukosa na Kitty. – Swoim wariackim czynem skazałaś mnie na dalszą mordęgę. – Spojrzał w niebo. – Chętnie bym o tym z tobą porozmawiał, ale wcześniej było tu kilka kul tropiących. Myślę, że obecność golema zmusiła je do ucieczki, ale wrócą, i to niedługo. Lepiej będzie, jeśli odejdziecie stąd jak najszybciej.

–Tak. – Kitty zrobiła kilka kroków, ale nagle przypomniała sobie o pergaminie w dłoni. Z obrzydzeniem otworzyła palce. Papier opadł na bruk.

–A co z Laską? – zapytał Bartimaeus. – Mogłabyś ją wziąć. Nie ma tu nikogo, kto by cię powstrzymał.

**Kitty zmarszczyła brwi, obejrzała się na Laskę. Wiedziała już teraz, że to potężny artefakt. Pennyfeather by ją wziął. Tak samo jak Hopkins,**

nieznajomy z teatru, afryt Honorius, Mandrake... Wielu oddało za nią życie.

–Raczej nie – powiedziała. – Na nic mi się nie przyda.

Odwróciła się i pokuśtykała za Jakobem w stronę łuku. Po części spodziewała się, że demon za nią zawoła, ale nie zrobił tego. W niecałą minutę dotarła do sklepionego przejścia. Kiedy je mijala, obejrzała się i zobaczyła, że śniady chłopiec na dziedzińcu wciąż za nią patrzy. W następnej chwili zniknęła mu z oczu.

*nathaniel*

## 46

agły, lodowaty szok. Nathaniel zachłysnął się, parsknął, otworzył oczy. Egipski chłopiec stał nad nim z przechylonym wiadrem w rękach. Zimna woda wlała się do uszu, nozdrzy i ust Nathaniela. Spróbował coś powiedzieć, zakaszłał, zadławił się, znów zakaszłał i przekręcił się na bok, uświadamiając sobie świdrujący ból w żołądku i tępe mrowienie w każdym mięśniu. Jęknął.

–Pobudka, słoneczko – zabrzmiał głos dzina, radosny jak nigdy. Nathaniel uniósł drżącą rękę i dotknął głowy.

–Co się stało? Czuję się... koszmarne.

–I tak też wyglądasz, uwierz mi. Dostałeś potężnego magicznego kopniaka od Laski. Przez jakiś czas twój umysł i ciało będą jeszcze bardziej ospałe niż zwykle, ale masz szczęście, że żyjesz.

Nathaniel spróbował dźwignąć się do pozycji siedzącej.

–Laska...

–Magiczna energia powoli parowała z twojego organizmu – ciągnął dzin. – Skóra trochę dymiała, a każdy włoszek świecił na końcu. Niesamowity widok. Twoja aura też całkiem sfiksowała. Ale cóż, to delikatny proces, pozbywanie się takiego ładunku. Chciałem cię obudzić od razu, ale wiedziałem, że trzeba poczekać parę godzin, żebyś bezpiecznie doszedł do siebie.



–Co?! Ile to trwało?

–Pięć minut. Znudziłem się.

Pamięć ostatnich wydarzeń powróciła falą do Nathaniela.

–Golem! Próbowałem...

–Pokonać golema? To prawie niewykonalne zadanie dla każdego dzina czy maga, a już szczególnie przy nieumiejętnym użyciu tak subtelny i potężny artefakt jak Laska. To i tak niezłe osiągnięcie, że w ogóle udało ci się ją uaktywnić. Ciesz się, że nie była wystarczająco naładowana, by cię zabić.

–Ale golem! Laska!... O nie... – z nagłym przerażeniem Nathaniel uzmysłowił sobie konsekwencje. Zniknięcie jednego i drugiego oznaczało kompletną porażkę, bezradność w obliczu wrogów. Niezmiernie znudzony, oparł głowę na dłoniach, nie starając się nawet tłumić szlochu, który wzbierał mu w gardle.

Otrzymał silny, stanowczy kopniak w nogę.

–Gdybyś miał dość rozumu, żeby się rozejrzeć – powiedział dzin – może zobaczyłbyś coś, co cię ucieszy.

Nathaniel otworzył oczy, odsunął palce z twarzy. Spojrzał. To, co zobaczył, omal nie uniosło go z ziemi. Niecałe pół metra od miejsca, w którym siedział, sylwetka golema rysowała się na tle nieba. Była zgięta w jego stronę, dłoń zawisała tak blisko, że mógł jej dotknąć, głowa pochylona była złowrogo, ale magiczna iskra zniknęła bez śladu. Golem miał w sobie nie więcej życia niż pomnik czy słup latarni.

A oparta o jedną z jego nóg, tak swobodnie, jakby była laską dżentelmena, stała sobie Laska Gladstonea.

Nathaniel spojrział na to wszystko ze zmarszczonymi brwiami, ale choć marszczył je i marszczył, nie mógł znaleźć rozwiązania tej tajemnicy.

–Ja bym na twoim miejscu zamknął usta – poradził mu dzin. – Jakiś przelatujący ptak mógłby w nich uwić gniazdo.

Z trudnością, jako że wszystkie jego mięśnie przypominały galaretę, Nathaniel wstał na nogi.

–Ale jak...?

**–To dopiero zagadka, co? – Chłopiec uśmiechnął się szeroko. – A ty myślisz, że jak to się stało?**

**–Widocznie ja tego dokonałem, tuż przed tym, zanim straciłem kontrolę. – Nathaniel powoli pokiwał głową. Tak, to było jedyne możliwe**

wyjaśnienie. – Próbowałem unieruchomić golema i widocznie mi się udało, w tym momencie, kiedy uderzył mnie odrzut. – Zaczynał być coraz bardziej zadowolony z siebie. Dżin parsknął, długo i głośno.

–Zgaduj jeszcze raz. synku. A dziewczyna?

–Kitty Jones? – Nathaniel obrzucił wzrokiem dziedziniec. Całkiem o niej zapomniał. – Ona... widocznie uciekła.

–I znowu pomyłka. To może ja ci powiem, co? – Dżin wbił w niego spojrzenie swoich czarnych oczu. – Sam się znokautowałeś, jak idiota, którym jesteś. Golem się zbliżał, bez wątpienia zamierzając zabrać Laskę i zgnieść ci głowę jak melon. Powstrzymała go...

–Twoja błyskawiczna akcja? – zapytał Nathaniel. – Jeśli tak, to jestem ci wdzięczny, Bartimaeusie.

–Ja miałbym cię ratować? Błagam, ktoś znajomy może nas usłyszeć. Nie. Golem niweczy moją magię, pamiętasz? Ja siedziałem i oglądałem przedstawienie. Tak naprawdę to była dziewczyna i jej przyjaciel. Oni cię uratowali. Zaraz, nie rób głupich min! Nie kłamie. Chłopak odwrócił uwagę golema, a w tym czasie dziewczyna wspięła się na jego plecy, wydarła mu manuskrypt z ust i rzuciła na ziemię. Ale w tej samej chwili golem złapał i ją, i chłopaka, i w sekundę spalił ich na popiół. Dopiero wtedy siła go opuściła i wreszcie znieruchomiał, kilka centymetrów od twojego żalostnego karku.

Oczy Nathaniela zmrużyły się z powątpiewaniem.

–Bzdura! To nie ma sensu!

–Wiem, wiem. Dlaczego miałyby cię ratować? Wiem, że to przechodzi pojęcie, ale uratowała cię, i tyle. A jeśli nie wierzysz, że to prawda, no to... zobaczyć, znaczy uwierzyć. – Dżin wyciągnął coś z za pleców i pokazał Nathanielowi. – To właśnie wyciągnęła mu z ust. – Nathaniel natychmiast rozpoznał papier; był taki sam jak ten, który widział w Pradze, ale tym razem zwinięty i zaklejony grubą, woskową pieczęcią. Wziął go powoli, spojrział na rozwarte usta golema i z powrotem na zwój.

–Dziewczyna... – w głowie mu się to nie mieściło. – Ale ja chciałem ją zabrać do Tower, ścigałem ją. Nie, ona by mnie zabiła, a nie ratowała mi życie. Nie wierzę ci, dżinie. Kłamiesz. Ona żyje. Po prostu uciekła stąd.

Bartimaeus wzruszył ramionami.

–Niech ci będzie. Pewnie właśnie dlatego zostawiła ci Laskę, choć

**leżałeś nieprzytomny.**

–Och... – To był argument. Nathaniel zmarszczył brwi. Laska była najcenniejszą zdobyczą ruchu opora. Dziewczyna nigdy z własnej woli nie oddałaby jej. Może jednak naprawdę nie żyła. Znów spojrzał na manuskrypt. Nagle coś mu przyszło do głowy.

–Według tego, co mówił Kavka, imię naszego wroga będzie zapisane na pergaminie – powiedział. – Spójrzmy! Dowiemy się, kto kierował golemem.

–Wątpię, żebyś zdążył – powiedział dzin. – Uwaga... no i już po nim.

Z melancholijnym sykiem z powierzchni zwoju wytrysnął żółty płomień. Nathaniel krzyknął i pospiesznie rzucił tłący się pergamin na bruk. gdzie ów buchnął jaśniej i spłonął.

–Tak silne zaklęcie niszczy samo siebie, kiedy już nie znajduje się w ustach golema – ciągnął Bartimaeus. – Ale to nieważne. Wiesz, co będzie teraz?

–Golem ulegnie zniszczeniu?

–Tak, ale nie tylko. Najpierw wróci do swojego pana. – Nathaniel popatrzył na swego niewolnika z nagłym zrozumieniem. Bartimaeus uniósł z rozbawieniem brew. – To może być ciekawe, nie sądzisz?

–I to bardzo. – Nathaniel poczuł przyływ ponurej satysfakcji. – Jesteś tego pewien?

–Widziałem, jak to wygląda, dawno temu w Pradze.

–No dobrze... – Przeształ przez dymiące resztki pergaminu i pokuśtykał do golema, krzywiąc się z powodu bólu w boku. – Aach, ależ mnie boli brzuch. Zupełnie jakby coś na mnie spadło.

–Dziwne.

–Nieważne. – Nathaniel sięgnął po Laskę i podniósł ją. – No dobrze -powtórzył, na powrót odsuwając się od masywnej postaci. – Zobaczmy.

Płomień zgasł. Z manuskryptu został tylko popiół, polatujący na wietrze. Dziwny, mroczny zapach wisiał w powietrzu.

–Dzieło życia Kavki – powiedział Bartimaeus. – Zniknęło bez śladu. –

Nathaniel zrobił minę.

Kiedy ostatni strzępek papieru zniknął, przez znieruchomiałe ciało golema przeszedł dreszcz. Ręce poruszyły się, głowa drgnęła spazmatycznie, pierś uniosła się i znów opadła. Dało się słyszeć ciche westchnienie, jakby ostatni oddech umierającego. Przez chwilę panowała cisza,

**gliniany gigant stał całkiem nieruchomo. Ale nagle, z bolesnym skrzypieniem starego drzewa na wietrze, potężne plecy uniosły się, wyciągnięte ręce opadły**

do boków i golem stanął prosto. Przekrzywił głowę, jakby pogrążony w rozmyślaniach. Głęboko w czole tkwiło oko, ślepe i martwe. Kierująca golemem inteligencja opuściła je. A mimo to ciało poruszało się.

Nathaniel i dzin odsunęli się na bok, kiedy stwór obrócił się i ociężale zaczął maszerować przez dziedziniec. Nie zwracał na nich uwagi. Szedł takim samym, nieubłagany krokiem jak zawsze, z daleka wydawało się, że ma w sobie tyle samo energii, co przedtem. Ale przemiana już się zaczęła: drobne pęknięcia rozpełzały się po jego powierzchni. Brały początek na środku torsu, tam gdzie przedtem glina była gładka i mocna, i rozchodziły się promieniście w kierunku kończyn. Gigant zostawiał za sobą siad w postaci małych kawałków gliny, które wykruszały się z niego i sypały na bruk.

Nathaniel i dzin ruszyli za golemem równym krokiem. Nathaniela bolało całe ciało, idąc podpierał się więc Laską Gladstonea.

Golem przeszedł pod łukiem i opuścił dziedziniec stajen. Skręcił w lewo, w uliczkę i ignorując przepisy ruchu drogowego, pomaszerował środkiem jezdni. Pierwsza osoba, która go zobaczyła – potężny, łysy przekupień z wytatuowanymi ramionami i wózkiem pełnym warzyw – wydała na jego widok żaloszny pisk i pognąła na oślep w boczną uliczkę. Golem zignorował mężczyznę, podobnie jak Nathaniel i Bartimaeus. Mała procesja posuwała się dalej.

–Zakładając, że panem golema jest któryś ze starszych magów – zauważył Bartimaeus – ale tylko zakładając, nie zapominaj, jest całkiem możliwe, że idziemy do Westminsteru. To w centrum miasta. I zapewne wywołamy lekkie zamieszanie.

–I dobrze – odparł Nathaniel. – Właśnie o to mi chodzi. – Z każdą minutą jego nastrój był coraz lepszy, a niepokój i strach, które narastały w nim przez ostatnie tygodnie, zaczęły zniknąć. Wciąż nie było dla niego do końca jasne, w jaki sposób uniknął śmierci z rąk golema, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. Po wydarzeniach zeszłej nocy, kiedy to zwarte szeregi wielkich magów zwróciły się przeciw niemu, a groźba Tower zawisała mu nad głową, dziś znów był bezpieczny. Miał Laskę – Devereaux padnie mu za to do stóp – a co lepsze, miał też golema. Nikt mu nie wierzył. Teraz będą go przeproszać na klęczkach – Duvall, Mortensen i cała reszta. Nareszcie będzie mile widziany w ich kręgu, a to, czy pani Whitwell mu wybaczy, czy nie, prawdę mówiąc nie miało znaczenia. Nathaniel pozwolił sobie na szeroki uśmiech, idąc za golemem przez dzielnicę Southwark.

Los Kitty Jones był zdumiewający, ale i tutaj wszystko dobrze się skończyło. Mimo nakazów zdrowego rozsądku i logiki Nathaniel czuł się nieswojo z powodu złamania obietnicy danej dziewczynie. Oczywiście nie mógł nic na to poradzić – obserwowały ich kule tropiące, nie mógł więc w żaden sposób puścić jej wolno – ale cała ta sprawa odrobinę ciążyła mu na sumieniu. A teraz nie musiał się już martwić. Czy rzeczywiście pomagając mu (wciąż trudno mu było w to uwierzyć), czy też podczas próby ucieczki (co bardziej prawdopodobne) dziewczyna zginęła, a on nie musiał tracić czasu na myślenie o niej. Poniekąd szkoda, w pewnym sensie... O ile zdążył ją poznać, wydawała mu się osobą obdarzoną niemałą energią, talentem i siłą woli, w o wiele większym stopniu niż którykolwiek z wielkich magów z ich nieskończonymi kłótniami i głupimi przywarami. W jakiś dziwny sposób przypominała Nathanielowi jego samego i teraz prawie żałował, że już jej nie ma.

Dżin siedł w milczeniu obok niego, pogrążony głęboko w myślach. Wyglądało na to, że nie ma wielkiej ochoty na rozmowę. Nathaniel wzruszył ramionami. Kto mógł zgadnąć, o jakich dziwacznych i podłych rzeczach marzy dżin? Lepiej nie próbować.

Idąc, miażdżyli stopami małe kawałki wilgotniej gliny. Golem coraz szybciej gubił materię swego ciała, na jego powierzchni miejscami było widać spore dziury, a zarys kończyn zrobił się trochę nierówny. Szedł, z pozoru normalnym krokiem, ale z lekko pochylonymi plecami, jakby robił się stary i słaby.

Przewidywania Bartimaeusa, że golem wywoła „lekkie zamieszanie”, sprawdzały się coraz dokładniej. Przeszli już spory kawałek Southwark High Street, z jej straganami, budami z odzieżą i kramikami drobnych handlarzy. W miarę jak się posuwali, pospólstwo rozbiegało się z wrzaskiem na wszystkie strony, jak bydło doprowadzone do przesadnej paniki widokiem kroczącego olbrzyma. Ludzie rzucali się na sklepy i domy, wyłamywali drzwi i rozbijali okna, usiłując uciec. Jeden czy dwóch wspięło się na latarnie, kilku chudszych wskoczyło do studzienek ściekowych. Nathaniel śmiał się pod nosem. Ten chaos nie był tak do końca niepożądany. Pospólstwu dobrze robi, jeśli się nim lekko wstrząśnie i odbierze trochę samozadowolenia. Powinno czasem zobaczyć na własne oczy, przed jakimi niebezpieczeństwami chroni je rząd, powinno zrozumieć, jak niebezpieczna magia zagraża mu ze wszystkich stron. Dzięki temu w przyszłości nie będzie chciało słuchać takich wywrotowców, jak ruch oporu.



Mnóstwo kul tropiących pojawiło się nad dachami i polatywało milcząco wzdłuż ulicy, obserwując ich. Nathaniel przywołał na twarz wyraz powagi i spoglądał z wielkopańskim współczuciem na połamane stragany i przerażone twarze wokół.

–Twoi przyjaciele nas obserwują – powiedział dzin. – Myślisz, że są zadowoleni?

–Raczej zazdrośni.

Kiedy mijali dworzec kolejowy Lambeth i podążali dalej na zachód, zarysy golema stawały się coraz bardziej nieregularne; stwór wyraźniej powłóczył nogami. Duży kawał gliny, być może palec, oderwał się od postaci i padł z plaśnięciem na ziemię.

Przed nimi był Most Westminsterki. Teraz nie było już raczej wątpliwości, że ich celem jest Whitehall. Nathanielowi w głowie się kręciło na myśl o czekającej go konfrontacji. To musiał być naprawdę potężny mag, skoro odkrył jego podróż do Pragi i nasał na niego najemnika. Co do tego nie miał wątpliwości. Poza tym nie wiedział niczego o tym czarodzieju. Ale wkrótce wszystko samo miało się wyjaśnić.

Laska Gladstonea leżała wygodnie w jego dłoni. Opierał się na niej ciężko, bo wciąż bolał go bok. Idąc spoglądał na nią niemal z miłością. To był niezły prztyczek w nos dla Duvalla i reszty. Makepeace będzie bardzo zadowolony z obrotu sprawy.

Nagle zmarszczył brwi. Gdzie teraz trafi Laska? Prawdopodobnie zostanie umieszczona w jednym ze skarbców rządowych, dopóki ktoś nie będzie jej potrzebował. Ale kto potrafiłby to zrobić, oprócz niego? Stosując tylko zaimprovizowane zaklęcia, prawie zdołał jej użyć, i to za pierwszym razem! Z łatwością mógł ją okiełznać, gdyby dano mu okazję. A wtedy... Westchnął. Wielka szkoda, że nie mógł jej zatrzymać dla siebie. A jednak, kiedy już wróci do łask Devereaux, wszystko będzie możliwe. Kluczem była cierpliwość. Musiał poczekać na właściwy moment. W końcu skręcili w krótki, wznoszący się podjazd między dwiema wieżami strażniczymi ze szkła i betonu, prowadzący na sam Most Westminsterki. Za nim leżał Parlament. Tamiza połyskiwała w świetle poranka, małe łódki walczyły z przypiływem. Kilku turystów wyskoczyło przez balustradę i chlupnęło w wodę na widok rozpadającego się golema.

A on szedł dalej, z pochylonymi ramionami, z rękami i nogami jak ociosane kloce, z których wielkimi kluchami odpadała glina. Jego marsz był coraz bardziej nierówny, nogi chwiały się niepewnie przy każdym

kroku. Jakby rozumiejąc, że ma niewiele czasu, przyspieszył tak, że Nathaniel i dżin zmuszeni byli ruszyć za nim truchtem.

Od kiedy dotarli do mostu, na drodze zupełnie nie było ruchu. Teraz Nathaniel przekonał się, dlaczego. W połowie mostu mała, zdenerwowana jednostka Nocnej Policji ustawiła blokadę. Barykada składała się z betonowych słupków, drutu kolczastego i kilku krążących w powietrzu dzikich, widocznych na drugim planie impów, najeżonych ostrymi kolcami i zębami. Na widok zbliżającego się golema impy schowały kolce i zęby i uciekły z piskliwym zawodzeniem. Porucznik policji powoli wystąpił naprzód, pozostawiając resztę swoich ludzi czających się niepewnie w cieniu słupków.

–Zatrzymać się! – warknął. – Wkraczacie na teren rządowy. Nieauto

ryzowane działania magiczne są tu surowo zakazane, pod karą szybkiej

i okrutnej śm... – Ze skowytem szczeniaka odskoczył golemowi z drogi.

Stwór uniósł rękę, zmiotł słupek do Tamizy i przedarł się przez barykadę,

zostawiając kawałki gliny na pozrywanych drutach. Nathaniel i

Bartimaeus przeszli za nim, mrugając wesoło do kryjących się strażników.

Szli przez most, obok wież Westminsteru, prosto na Westminster Green. Spory tłum pomniejszych magów – bladych urzędników z ministerstw przy Whitehall – dowiedziało się o zamieszaniu i wynurzyło się, mrugając, na światło dzienne. Pełni respektu stanęli wzdłuż chodników, patrząc, jak powłóczący nogami olbrzym, teraz już znacznie uszczuplony, zatrzymał się na chwilę na rogu Whitehall, po czym skręcił w lewo, w stronę Westminster Hall. Niektórzy wołali do Nathaniela, kiedy ich mijał. Pomachał im królewskim gestem.

–To właśnie on terroryzował miasto – krzyknął. – Zwracam go jego

panu.

Jego odpowiedź wzbudziła wielkie zainteresowanie. Pojedynczo i dwójkami, a w końcu bezładną masą, tłum ruszył za nimi, trzymając się jednak w bezpiecznej odległości.

Wielkie drzwi do Westminster Hall były uchylone. Strażnicy uciekli na widok nadciągającego stwora i tłumu za nim. Golem ramieniem utorował sobie drogę do środka, schylając się lekko pod łukiem. Jego głowa zdążyła już prawie całkowicie stracić kształt; olbrzym topniał jak świeca nad ranem. Usta zlały się z torsem, a rzeźbione, owalne oko wisiało przekrzywione w połowie twarzy.

**Nathaniel i dżin weszli do holu. Dwa afryty o żółtej skórze i liliowych grzywach zmaterializowały się groźnie w pentagramach na podłodze. Spojrzały na golema i głośno przełknęły ślinę.**

–Taak, ja bym się nie fatygował – poradził mijający je dżin. – Zrobili

byście sobie kuku. Pilnujcie się, idzie za nami pół miasta.

Wielka chwila zbliżała się. Serce Nathaniela waliło jak młotem. Teraz już widział, dokąd idą. Golem kierował się korytarzem w stronę Sali Przyjęć, gdzie wstęp mieli tylko magowie z elity. Zakręciło mu się w głowie na myśl, co to oznacza.

Z bocznego korytarza wyszła drobna postać w szarym mundurze, z jasnozielonymi, niespokojnymi oczyma.

–Mandrake! Ty głupcze! Co ty wyprawiasz? Nathaniel uśmiechnął się uprzejmie.

–Dzień dobry, panno Farrar. Wygląda pani na mocno zdenerwowaną. Jane Farrar przygryzła wargę.

–Członkowie Rady prawie się dziś nie kładli. Teraz zebrali się znów i obserwują cię przez swoje kule. I co widzą? Chaos w całym Londynie! Pandemonium na Southwark, zamieszki, demonstracje, masowe niszczenie własności!

–Jestem pewien, że pani szanowni funkcjonariusze doskonale sobie z tym poradzą. A poza tym, ja robię tylko to, o co proszono mnie zeszłej nocy. Mam Laskę – machnął nią teatralnie – a na dodatek zwracam ten drobiazg jego prawowitemu właścicielowi, kimkolwiek on jest. Ups, to było cenne, zdaje się? – Golem, wchodząc w węższą część korytarza, zrzucił na podłogę wazę z chińskiej porcelany.

–Zostaniesz aresztowany... Pan Devereaux...

–Będzie zachwycony, mogąc poznać tożsamość zdrajcy. Tak samo zresztą, jak ci ludzie za mną... – Nie musiał się oglądać. Gwar tłumu za jego plecami był ogłuszający. – A teraz, gdyby zechciała nam pani towarzyszyć...

Przed nimi były podwójne drzwi. Golem, teraz już niewiele więcej niż bezkształtna masa, potykająca się i przewalająca z boku na bok, wybił sobie przejście. Nathaniel, Bartimaeus i Jane Farrar, wraz z tymi z gapiów, którzy trzymali się najbliżej, weszli za nim.

Jak jeden mąż ministrowie brytyjskiego rządu wstali z miejsc. Na stole przed nimi stało obfite śniadanie, ale talerze zostały odsunięte na bok, by zrobić miejsce dla kryształowych sfer śledzących poczynania golema poprzez kule tropiące. W jednej z nich Nathaniel rozpoznał widzianą z lotu ptaka Southwark High Street z tłumem przelewającym się niespokojnie wśród pozostałości targowiska; w innym zobaczył ludzi tłoczących się na Westminster Green; w trzecim widać było komnatę, w której się właśnie znajdowali.



Golem zatrzymał się pośrodku sali. Wylamanie drzwi wiele go kosztowało i wyglądało na to, że pozostało mu bardzo mało energii. Zniekształcona figura kiwała się w miejscu. Jej ręce zniknęły, nogi zlały się w jedną, płynną masę. Przez chwilę chwiał się, jakby za moment miał się przewrócić.

Nathaniel przyglądał się ministrom wokół stołu. Devereaux, z twarzą zielonkawą ze zmęczenia i szoku, Duvall fioletowy z wściekłości, Whit-well, z rysami sztywnymi i bez wyrazu, Mortensen z włosami w nieładzie i nienasmarowanymi oliwką, Fry, wciąż rytmicznie przeżuający resztki strzyżyka, Malbindi z oczyma jak spodki. Ku swojemu zaskoczeniu w grupce pomniejszych ministrów stojących z boku dostrzegł Quentina Makepeacea i Sholto Pinna. Widocznie poranne wydarzenia ściągnęły do tej sali każdego wpływowego maga.

Wędrując wzrokiem od twarzy do twarzy, widział tylko gniew i niepokój. Przez chwilę bał się, że był w błędzie, że golem rozpadnie się teraz, niczego nie udowadniając.

Premier odchrząknął.

–Mandrake! – zaczął. – Żądam wyjaśnienia tego...

Urwał. Golem poruszył się. Jak pijany gibnął się w lewo, w stronę Helen Malbindi, ministra informacji. Wszystkie oczy podążyły za nim.

–Wciąż może być niebezpieczny! – Szef policji Duvall wydawał się mniej sparaliżowany niż pozostali. Postukał premiera w ramię. – Panie, musimy natychmiast opuścić salę.

–Bzdury! – rzuciła szorstko Jessica Whitwell. – Wszyscy wiemy, co się tu dzieje. Golem wraca do swojego pana! Musimy zostać na miejscu i czekać.

W śmiertelnej ciszy patrzyli, jak słup gliny pełźnie do Helen Malbindi, która cofała się na chwiejnych nogach. Nagle jakby stracił równowagę, przewalił się na bok i na prawo, wzdłuż krawędzi stołu, w kierunku miejsc Jessiki Whitwell i Marmedukea Fry. Whitwell nawet nie drgnęła, ale Fry miauknął ze strachu, uskoczył do tyłu i zadławił się kością strzyżyka. Sapiąc, padł na swoje krzesło z wybaluszonymi oczyma i szkarłatnymi policzkami.

Golem skręcił do Whitwell i zawisł nad nią, gubiąc na parkiet wielkie kawały gliny.

Duvall krzyknął:

–Mamy odpowiedź i nie możemy dłużej zwlekać! Whitwell włada

tym stworzeniem. Pani Farrar, proszę zawołać ludzi i odeskortować ją do

Tower!



Gliniana klucha zadrżała dziwnie. Nagle przechyliła się, oddalając się od czarownicy ku środkowi stołu, gdzie stali Devereaux, Duvall i Mortensen. Wszyscy trzej odskoczyli krok do tyłu. Golem był teraz niewiele wyższy od człowieka, została z niego rozpadająca się kupa błota. Szurnął do przodu i znów się zatrzymał, na krawędzi stołu, oddzielony od magów metrem lakierowanego drewna.

Glina klapnęła na blat. I nagle, ze straszliwą celowością, popęzła, przelewając się z boku na bok słabymi, bolesnymi skurczami, jak wijący się kadłub pozbawiony członków. Sunęła między pozostałościami śniadania, roztrącając na boki talerze i kości, otarła się o najbliższą sferę kontrolującą kule tropiące, która natychmiast zamrugła i zgasła; przedzierała się wprost w kierunku nieruchomej postaci szefa policji Henrygo Duvalla.

W sali było teraz bardzo cicho, z wyjątkiem dyskretnego krztuszenia się Marmedukea Fry.

Duvall, z twarzą szarą jak popiół, odsunął się od stołu, odpychając krzesło, które w końcu stuknęło o ścianę.

Glina pozostawiła niemal połowę swojej masy między porzucanymi talerzami i sztucami. Dotarła do przeciwległego krańca stołu, uniosła się, kiwając niczym dżdżownica, po czym spłynęła na podłogę. Z niespodziewaną sprężystością wyprysnęła naprzód.

Duvall szarpnął się do tyłu, stracił równowagę i zapadł się w krzesło. Jego usta otworzyły się i zamknęły, ale nie wydały dźwięku.

Wijąca się masa gliny dosięgła jego wysokich butów. Zbierając resztki energii, uniosła się w kształt topornej, chwiejnej wieży i przez chwilę zawisała nad głową szefa policji. W końcu zwała się na niego. W tej samej chwili wyparowały z niej ostatki magii Kavki. Glina rozpadła się na kaskadę maleńkich cząstek, które opadły na Duvalla i ścianę za nim. Mały, owalny kawałek gliny potoczył się miękko po jego piersi.

W sali panowała cisza. Henry Duvall spojrział w dół, mrugając, przez lepłą warstewkę mazi. Z jego kolan gapiło się na niego oko golema.

*Bartimaeus*



amieszanie, towarzyszące zdemaskowaniu Henry'ego Duvalla przez mojego pana, było o tyleż gwałtowne, o ile nudne. Przez długą chwilę panował nieopisany harmider; wieść poniosła się falą z sali pełnej magów, poprzez Whitehall, aż do najdalszych zakątków miasta, budząc zdumienie nawet najpośledniejszych plebejuszy. Upadek któregoś z wielkich zawsze przyjmowany jest z wielkim podnieceniem i tym razem nie było inaczej. Jeszcze tego samego wieczoru odbyły się dwie czy trzy zaimprovizowane uliczne zabawy, a członkowie Nocnej Policji, jeśli w ogóle odważyli się pokazać twarze w ciągu następnych kilku tygodni, byli otwarcie wyśmiewani.

Ale tymczasem panował chaos. Dużo czasu upłynęło, zanim udało się aresztować Duvalla. I to nie z jego winy, jako że on sam był najwyraźniej ogłuszony obrotem sprawy i nie próbował opierać się ani uciekać. Jednak przekłęci magowie od razu zaczęli się upominać o jego miejsce i użerać jak sępy nad padliną o to, kto ma prawo objąć komendę nad policją. Mój pan nie brał udziału w tej burdzie. Jego czyny mówiły same za siebie.

W końcu pomagierzy premiera przyzwali grubego afryta, który dotąd czał się niepewnie w holu, byle dalej od golema, i z jego pomocą zaprowadzili porządek. Ministrowie zostali odprawieni, Duvall i Jane Farrar

## 459

odprowadzeni do aresztu, a podekscytowani gapie wygnani z budynku\*. Jessica Whitwell została do ostatniej chwili, piskliwie rozgłaszając swój udział w sukcesie Nathaniela. ale w końcu i ona wyszła z ociąganiem. Premier i mój pan zostali sami.

Co dokładnie zaszło między nimi, nie wiem. jako że zostałem wysłany razem z afrytem, by przywrócić spokój na ulicach. Kiedy wróciłem kilka godzin później, mój pan siedział sam w bocznym saloniku, jedząc śniadanie. Nie miał już przy sobie Laski.

Przybrałem postać Minotaura, usiadłem na krześle naprzeciw niego i zacząłem od niechcenia stukać kopytami w podłogę. Mój pan zerknął na mnie, ale nic nie powiedział.

–No więc – zacząłem – wszystko dobrze? – Mruknięcie. – Wróciliśmy

do łask? – Krótkie skinienie głową. – Jakie masz teraz stanowisko?

–Minister spraw wewnętrznych. Najmłodszy w historii. Minotaur zagwizdał.

–Ależ jesteśmy sprytni.

–No cóż, to chyba jakiś start, jak sędzę. No i nie podlegam Whitwell,

całe szczęście.

**–A Laska? Pozwolili ci ją zatrzymać?**

**Kwaśna mina. Wbił widelec w kaszanke.**

**–Nie. Powędrowała do skarbcza. Rzekomo „dla bezpieczeństwa”. Ni**

**komu nie wolno jej używać. – Twarz mu się rozjaśniła. – Ale może być**

**wydobyta w czasie wojny. Tak sobie myślę, że może później, w amery**

**kańskiej kampanii... – Upił łyk kawy. – Nie zaczęła się zbyt dobrze, jak**

**się zdaje. Zobaczymy. Zresztą, i tak muszę dopracować swoje podejście.**

**–Taak, już to widzę, jak dasz radę ją aktywować.**

**Nachmurzył się.**

**–Oczywiście, że dam radę. Po prostu opuściłem kilka klauzul ograniczających i inkantację ukierunkowującą, i tyle.**

**–Mówiąc prościej, sknocieś sprawę, kolego. Co się stało z Duvallem?**

**\* Większość wyszła szybko i nie sprawiając kłopotu. Kilku maruderom udzielono pomocy przy wyjściu, aplikując Piekielne Ognie w miękkie części ciała. Pewna liczba dziennikarzy z „Timesa”, których nakryto na robieniu szczegółowych notatek o panice, która ogarnęła magów, została odeskortowana w spokojne miejsce, gdzie ich relacje zostały skierowane na bardziej pożądane tory.**

Mój pan przez chwilę żuł zamyślony.

–Został zabrany do Tower. Whitwell znów jest szefem Służb Bezpieczeństwa. Będzie nadzorować jego przesłuchanie. Podaj sól.

Minotaur podał sól.

Jeśli mój pan był zadowolony, to i ja miałem powody do zadowolenia. Nathaniel przyrzekł mnie uwolnić, kiedy zostanie rozwiązana sprawa tajemniczych ataków. Była rozwiązana, z całą pewnością, choć czułem, że wciąż jest kilka spraw, które wymykają się wyjaśnieniu. Tak czy inaczej, to nie był mój interes. Spokojnie czekałem na swoje uwolnienie.

I czekałem.

Mijały dni, a chłopak wciąż był zbyt zajęty, by wysłuchać moich żądań. Obejmował władzę nad swoim ministerstwem, brał udział w naradach na wysokim szczeblu w sprawie Duvalla, wyprowadził się z mieszkania swojej dawnej mistrzyni i, korzystając ze swojej nowej pensji i prezentu od wdzięcznego premiera, kupił sobie elegancką kamieniczkę przy zielonym skwerze niedaleko Westminsteru. To ostatnie wiązało się dla mnie z wykonywaniem wielu niegodnych prac domowych, których nie mam czasu tutaj opisywać\*. Jeździł na przyjęcia w rezydencji premiera w Richmond, organizował imprezki dla swoich nowych pracowników i spędzał wieczory w teatrze, oglądając koszmarnie sztuczki, w których nagle zaczął się lubować z niewyjaśnionych powodów. Prowadził bardzo

Kiedy tylko było to możliwe, przypominałem mu o jego zobowiązaniach.

–Tak, tak – mówił wtedy, wychodząc rano do pracy. – Niedługo się tobą

zajmę. A co do zasłon w moim salonie, życzę sobie pięćdziesiąt łokci

jedwabiu w kolorze szarej ostrygi. Zrób zakupy u Fieldinga, a jak już tam

będziesz, to kup kilka dodatkowych poduszek. Przydałaby się też

taszkiemka emalia do łazienki\*\*.

\* Wymagały użycia wapna, tapety i mnóstwa środków czyszczących. Więcej nie powiem.

\*\* Nie różnił się pod tym względem od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent magów. Kiedy nie próbowali akurat wbijać sobie noży w plecy, spędzali czas na otaczaniu się wykwintnymi przedmiotami. Luksusowe mieszkanie są na wysokim miejscu na ich

–Twoje sześć tygodni prawie się skończyło – rzuciłem z naciskiem.

–Tak, tak. Ale naprawdę muszę już lecieć.

Pewnego wieczoru wrócił do domu wcześniej. Ja byłem akurat na dole -nadzorowałem układanie kafelków w kuchni\*, ale jakoś się wyrwałem, by jeszcze raz przypomnieć o swojej sprawie. Zastałem go w jadalni, ogromnym pokoju, jeszcze nieumeblowanym. Gapił się na pusty kominek i zimne, nagie ściany.

–Tu by ci się przydał porządny wzorek – powiedziałem. Tapeta od powiednia dla twojego wieku. Co powiesz na samochodziki albo parowozy?

Podszedł do okna, jego nogi stukały o gołe deski.

–Duvall przyznał się dzisiaj – powiedział w końcu.

–To dobrze – odparłem. – Nie? Patrzył na drzewa za oknem.

–Chyba tak...

–Bo dzięki swoim magicznym mocom wyczuwam, że nie jesteś dziko usatysfakcjonowany.

–A... tak. – Odwrócił się do mnie z wymuszonym uśmiechem. – To wyjaśniło wiele rzeczy, ale większość z nich już wiedzieliśmy. W piwnicy domu Duvalla znaleźliśmy warsztat, wyrobisko, w którym powstał golem i kryształ, przez który Duvall kontrolował oko. Bo to on zawiadywał stworem, co do tego nie ma wątpliwości.

listach życzeń, i to zawsze jakiś biedny dżin musi wykonywać czarną robotę. Najbardziej ekstrawaganccy byli perscy magowie. Musieliśmy w ciągu nocy przenosić pałace z jednego kraju do drugiego, budować je na chmurach, a nawet pod wodą. Jeden zażyczył sobie pałacu ze szkła. Pomijając już oczywistą kwestię braku prywatności, była to beznadziejna pomyłka. Zbudowaliśmy mu taki pałac pewnego wieczoru i radośnie się do niego wprowadził. Następnego ranka weszło słońce: ściany podziały jak gigantyczne soczewki, wspaniale wzmacniając promienie słoneczne. Do południa z maga i całego jego dworu zostały tylko zwęglone frytki.

\* Do pomocy w tym zadaniu przydzielił mi dwa diabluki, które upodobały sobie postać sierotek. Miały okrągłe oczy i tak żałosne miny, że stopiłyby najtwardsze serce. Niestety były również strasznie leniwe. Podpiekłem je na wolnym ogniu, zdobywając sobie w ten sposób ich posłuszeństwo.

–No widzisz.

–Dzisiaj potwierdził to wszystko. Powiedział, że od dawna chciał poszerzyć swoje wpływy i umniejszyć rolę Whitwell i innych. Posłużył się w tym celu golemem, który spowodował zamęt i podkopał pozycję pozostałych ministrów. Po kilku niewyjaśnionych atakach, kiedy wszyscy załamali ręce, Devereaux aż nazbyt chętnie podniósł jego status. Policja dostała większą władzę, Duvall dostał stanowisko szefa Służb Bezpieczeństwa. Od tego momentu miał świetną pozycję, by z czasem obalić Devereaux.

–Wszystko wydaje się jasne – przyznałem.

–Nie wiem... – Kąciki ust chłopaka wykrzywiły się w dół. – Wszyscy są zadowoleni. Whitwell dostała swoje dawne stanowisko, Devereaux i pozostali ministrowie wrócili do swoich głupich przyjęć, Pinn już odbudowuje sklep. Uwolniono nawet Jane Farrar, bo nie było dowodów, że wiedziała o zdradzie swojego mistrza. Wszyscy z radością zapomną o całej sprawie. Ale ja nie jestem pewien. Parę rzeczy mi się nie zgadza.

–Na przykład?

–Duvall twierdził, że nie działał sam. Podobno ktoś go do tego namówił, jakiś uczonec, niejaki Hopkins. Powiedział, że ten Hopkins przyniósł mu oko golema i nauczył go, jak go używać. Że to Hopkins skontaktował go z brodatym najemnikiem i zachęcił go, by wysłał najemnika do Pragi w celu odnalezienia maga Kavki. Kiedy ja zacząłem badać sprawę, Duvall skontaktował się z najemnikiem i kazał mu mnie powstrzymać. Ale to Hopkins był mózgiem całej operacji. I jak dla mnie brzmi to prawdopodobnie. Duvall nie był dość bystry, by samemu to wszystko wymyślić. Był tylko przywódcą bandy wilkołaków, nie wielkim magiem. Ale czy możemy znaleźć Hopkinsa? Nie. Nikt nie wie, kim on jest ani gdzie mieszka. Nigdzie go nie widziano. Zupełnie jakby nie istniał.

–Może nie istnieje.

–Tak myślą inni. Uważają, że Duvall próbował tylko zrzucić z siebie winę. I wszyscy zakładają, że brał też udział w spisku Lovelace'a. Mówią, że dowodem jest najemnik. Ale ja nie wiem...

–Mało prawdopodobne – powiedziałem. – Przecież Duvall był uwięziony razem z innymi w wielkim pentagramie w Heddleham Hall. Nie należał do spisku. Za to wygląda na to, że ten Hopkins może istnieć. On jest łącznikiem. Jeśli zdołasz go znaleźć...

Nathaniel westchnął.

–Właśnie, jeśli.

–Może Duvall wie więcej, niż mówi. Może jeszcze puści farbę.

–Teraz już nie. – Twarz chłopaka zapadła się. Nagle wydał mi się zmęczony i stary. – Wracając do celi po dzisiejszym przesłuchaniu, zamienił się w wilka, wyrwał się strażnikowi i przebił się przez zakratowane o- Uciekł?

–Nie bardzo. To było piąte piętro.

–Ach.

–No właśnie. – Chłopak stał teraz przy wielkim, pustym kominku, wodząc palcami po marmurze.

–Kolejna zagadka to włamanie do Opactwa Westminsterskiego i sprawa Laski. Duvall przyznał, że tamtego dnia wysłał golema, by mi ją zabrał. Powiedział, że to była zbyt dobra okazja, by ją przepuścić. Ale przysiągł, że nie miał nic wspólnego z ruchem oporu i z włamaniem do grobowca Gladstonea. – Poklepał kamień dłonią. – Pewnie muszę się tym zadowolić, jak inni. Szkoda, że ta dziewczyna zginęła. Mogłaby nam powiedzieć więcej...

Mruknąłem potakująco, ale nic nie powiedziałem. Fakt, że Kitty żyła, był drobnym szczegółem, niewartym, by o nim wspominać. Ani to, że sporo mi powiedziała o włamaniu do opactwa i że dżentelmen o nazwisku Hopkins miał z tym coś wspólnego. Mówienie o tym Nathanielowi nie było moją sprawą. Ja byłem tylko pokornym sługą. Robiłem jedynie to, co mi kazano. A poza tym nie zasłużył sobie.

–Spędziłeś z nią trochę czasu – powiedział nagle. – Rozmawiała z tobą?

–Obrzucił mnie wzrokiem i odwrócił oczy.

–Nie.

–Pewnie za bardzo się bała.

–*Au contraire*. Za bardzo mną gardziła. Burknął.

–Szkoda, że była taka uparta. Miała pewne... godne podziwu cechy.

–O, zauważyłeś je, tak? Myślałem, że byłeś zbyt zajęty wycofywaniem

**się z obietnicy, by zwracać na nią jeszcze uwagę.**

**Policzki mu poczerwieniały.**

**–Nie mogłem, Bartimaeusie...**

**–Nie truj mi tu o tym, co mogłeś – warknąłem. – Ona mogła pozwolić ci umrzeć.**

Tupnął nogą.

–Nie pozwolę sobie, żebyś krytykował moje czyny...

–Czyny nic nie znaczą. To twoja moralność budzi moje obiekcje.

–Tym bardziej moralność! To ty jesteś demonem, nie zapominaj! Dlaczego miałoby cię to obchodzić?

–Nie obchodzi! – Wziąłem się pod boki. – Wcale mnie nie obchodzi. Fakt, że skromna plebejuszka była bardziej honorowa, niż ty będziesz kiedykolwiek, w ogóle nie jest moją sprawą. Rób co chcesz.

–I zrobię!

–I dobrze!

–I dobrze!

Przez kilka chwil wściekaliśmy się tak, doprowadzając się do białej gorączki, niby gotowi załatwić sprawę na ostro, ale jakoś nie wystarczało nam do tego chęci.

Po chwili przerwy, kiedy on gapił się na róg kominka, a ja na pęknięcie na suficie, chłopak przerwał milczenie.

–Jeśli cię to w ogóle zainteresuje – warknął – to rozmawiałem z Devereaux i uzyskałem zwolnienie z więzienia dzieci Kavki. Są już z powrotem w Pradze. Kosztowało mnie to kilka przysług, ale udało się.

–Jakież to szlachetne z twojej strony. – Nie byłem w nastroju, żeby go klepać po plecach.

Spojrzał na mnie ponuro.

–To i tak byli pośledni szpiedzy. Nie warto było ich trzymać.

–Oczywiście. – Znów chwila ciszy. – No cóż – powiedziałem wreszcie. – Wszystko dobre, co się dobrze kończy. – Wskazałem gestem pusty pokój. – Zobacz, ile tu miejsca. Możesz tu zgromadzić tyle jedwabiu i srebra, ile zechcesz. A na dodatek masz więcej władzy niż kiedykolwiek, premier znów jest twoim dłużnikiem i wydostałeś się spod buta Whitwell.

Trochę się rozchmurzył na te słowa.

–To prawda.



**–Oczywiście jesteś też zupełnie sam i nie masz ani jednego przyjaciela -ciągnąłem – a wszyscy twoi koledzy boją się ciebie i chętnie zrobiliby ci krzywdę. A jeśli staniesz się zbyt potężny, premier wpadnie w paranoję i znajdzie pretekst, żeby się ciebie pozbyć. Ale przecież wszyscy mamy swoje kłopoty.**

**Rzucił mi złowrogie spojrzenie.**

–Cóż za urocza analiza.

–Mogę mówić dalej. I jeśli nie chcesz tego słuchać, to radzę ci, żebyś mnie natychmiast odprawił. Twoje sześć tygodni dobiegło końca, a to oznacza, że zaklęcie wiążące przestaje obowiązywać. Poza tym esencja mnie boli i mam dość białej emulsji.

Niespodziewanie kiwnął głową.

–Dobrze więc – powiedział. – Dotrzymam naszej umowy.

–He? A, tak. – Byłem odrobinę zaskoczony. Szczerze mówiąc, spodziewałem się tradycyjnego użerania, zanim zgodzi się puścić mnie wolno. To trochę jak robienie zakupów na wschodnim bazarze, targowanie się należy do tradycji. Ale być może fakt, że nie dotrzymał obietnicy danej dziewczynie, zaciążył mojemu panu na sumieniu.

Jakikolwiek był tego powód, chłopak w milczeniu poprowadził mnie do swojej pracowni na drugim piętrze. Przystrojona była podstawowymi pentagramami i akcesoriami.

W grobowym milczeniu dopełniłmy wstępnej procedury.

–Dla twojej informacji – rzucił uszczypliwie, kiedy już stanąłem w pentagramie – nie zostawiasz mnie całkiem samego. Idę dziś wieczór do teatru. Mój dobry przyjaciel Quentin Makepeace zaprosił mnie na premierową galę swojej najnowszej sztuki.

–Jakież to ekscytujące.

–Żebyś wiedział. – Spróbował zrobić zadowoloną minę, ale fatalnie mu to wyszło. – No więc, jesteś gotów?

–Tak. – Zasalutowałem mu oficjalnie. – Żegnaj maga Johna Mandrakea. Niech żyje długo i nigdy więcej mnie nie przyzywa... a tak przy okazji, zauważyłeś coś?

Mag przerwał, z uniesionymi ramionami i przygotowaną inkantacją.

–Co?

–Nie powiedziałem „Nathaniela”. To dlatego, że teraz widzę w tobie raczej Mandrakea. Chłopiec, który był Nathanielem, znika, już go prawie nie ma.

**–I dobrze – rzucił szorstko. – Cieszę się, że wreszcie to pojawiłeś. – Odchrząknął. – Żegnaj więc, Bartimaeusie.**

**–Żegnaj. – On przemówił. Ja odszedłem. Nie miałem czasu powiedzieć mu, że chyba nie do końca zrozumiał, co miałem na myśli.**

*KLtty*

48

**ani Hyrnek pożegnała się przy budynku odprawy celnej. Kitty i Ja-kob razem wyszli na nabrzeże. Prom miał za chwilę odpłynąć. Z kominów buchał dym, żagle łopotały w rzeńskiej bryzie. Ostatni pasażerowie wspinali się po trapie osłoniętym wesołą markizą. Nieco dalej grupa mężczyzn wносиła na pokład bagaże. Po niebie śmigwały rozwrzeszczane mewy.**

**Jakob ubrany był w ciemnobrązowy, podróżny garnitur, a na głowie miał biały kapelusz z szerokim rondem, przekrzywiony mocno do przodu, by ocienić twarz. W ręce, osłoniętej rękawiczką, niósł małą, skórzaną walizkę.**

**–Masz dokumenty? – zapytała Kitty.**

**–Tak, powtarzam po raz dziesiąty. – Wciąż trochę mu się zbierało na płacz po pożegnaniu z matką i przez to zrobił się drażliwy.**

**–To nie jest długa podróż – powiedziała Kitty pojednawczo. – Jutro będziesz na miejscu.**

**–Wiem. – Naciągnął głębiej kapelusz. – Myślisz, że mnie przepuszczą?**

**–Oj, tak. Przecież nas nie szukają. Ten paszport to tylko na wszelki wypadek.**

–Mhmm. Ale z moją twarzą...

–Nikt na ciebie nawet nie spojrzy. Uwierz mi.

–W porządku. Jesteś pewna, że ty nie...?

–Zawsze mogę do ciebie dołączyć. Oddasz temu człowiekowi walizkę?

–Pewnie tak.

–No to idź i to zrób. Ja poczekam tutaj.

Jakob zawahał się chwilę, ale w końcu poszedł. Kitty patrzyła, jak idzie wolno przez spieszący się tłum i z ulgą stwierdziła, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Zawył gwizdek okrętowy, gdzieś niedaleko rozległ się dzwon. Na nabrzeżu panował teraz ożywiony ruch. Kitty mijali marynarze, zaopatrzeniowcy, przekupnie, wydawano ostatnie rozkazy, wymieniano listy i paczki. Na pokładzie promu wielu pasażerów stało przy relingu, z twarzami błyszczącymi z podniecenia i rozmawiało ze sobą w dziesięciu różnych językach. Mężczyźni i kobiety z dalekich ziem – z Europy, Afryki, z Bizancjum i ze Wschodu... serce Kitty zabiło szybciej na tę myśl. Westchnęła. Bardzo chciała do nich dołączyć. Cóż, może jeszcze kiedyś. Ale najpierw miała inne rzeczy do zrobienia.

Tego straszliwego ranka uciekli oboje do drukarni Hyrnka, gdzie bracia Jakoba ukryli ich w nieużywanym pokoju za jedną z maszyn drukarskich. Tutaj, w hałasie, zaduchu i smrodzie skóry, opatrzone rany Kitty. Oboje powoli odzyskiwali siły, a tymczasem rodzina Hyrnków przygotowywała się na nieuniknione represje, przeszukania i grzywny. Minął dzień. Policja nie przyszła. Rozeszła się wieść o marszu golema przez Londyn, o upadku Duvalla, o awansie Mandrakea. Ale o nich – o zbiegach – nikt nie mówił. Nie było poszukiwań, nikt się nie mścił. Każdego ranka jak zwykle do zakładu przychodziły zamówienia magów. To było bardzo dziwne. Wyglądało to, jakby o Kitty i Jakobie zupełnie zapomniano.

Pod koniec drugiego tygodnia Hyrnkowie odbyli naradę w tajemnym pokoju. Mimo pozornej obojętności władz rodzina uznała, że pozostawanie w Londynie byłoby ogromnie niebezpieczne. Szczególnie narażony był Jakob, ze względu na swój wygląd. Nie mógł siedzieć w drukarni do końca życia, zresztą prędzej czy później mag Mandrake lub któryś z jego współników czy demonów znalazłby go. Musiał wyjechać w jakieś

bezpieczne miejsce. Pani Hyrnek wyraziła swoje zdanie stanowczo i hałaśliwie.

Kiedy się uspokoiła, wstał jej mąż. Między pyknięciami jarzębinowej fajki złożył spokojną propozycję. Biegłość rodziny w fachu drukarskim, powiedział, umożliwiła im już zemstę na Tallowie. spreparowali jego księgi tak, że własne zaklęcia sprowadziły na niego zagładę. Nie będzie więc trudno sfalszować parę dokumentów, takich jak dowody osobiste, paszporty i tym podobne, które umożliwią obojgu dzieciom opuszczenie kraju. Mogą pojechać na kontynent, gdzie inne gałęzie rodziny Hyrnków -w Ostendzie, Brugii czy Bazylei – przygarną ich z radością.

Propozycja została przyjęta z ogólną aprobatą i Jakob zgodził się na nią natychmiast. Nie miał ochoty znów zadzierać z magami. Ale Kitty była jakaś dziwnie nieobecna.

–To bardzo miło. naprawdę bardzo miło z waszej strony – powiedziała.

Kiedy bracia zabrali się do fałszowania dokumentów, a pani Hyrnek i

Jakob zaczęli przygotowywać rzeczy potrzebne na podróż, Kitty siedziała w pokoju, pogrążona w myślach. Po dwóch dniach samotnych medytacji ogłosiła swoją decyzję: nie pojedzie do Europy.

Biały kapelusz z szerokim rondem pospiesznie przedarł się ku niej przez tłum; Jakob uśmiechał się teraz, jego krok był lżejszy.

–Oddałeś walizkę? – zapytała.

–Tak. I miałaś rację, nawet na mnie nie spojrział. – Zerknął na trap, potem na zegarek.

–Słuchaj, mam tylko pięć minut. Powiniennem już iść na pokład.

–Tak. No to... do zobaczenia.

–Do zobaczenia... Słuchaj, Kitty...

–Tak?

–Wiesz, że jestem wdzięczny za to, co zrobiłaś, za uratowanie mnie i w ogóle. Ale szczerze mówiąc... myślę też, że jesteś idiotką.

–Co ty powiesz.

–Dlaczego tutaj zostajesz? Rada Brugii składa się z plebejuszy, maga w tym mieście prawie nie uświadczysz. Mój kuzyn mówi, że nawet sobie nie wyobrażamy takiej wolności... są

**biblioteki, sale konferencyjne, i to na tej samej ulicy. Nie ma godzin policyjnych, wyobraź sobie! Imperium**

przeważnie trzyma się na dystans. To dobre miejsce do prowadzenia interesów. A gdybyś chciała kontynuować swoją... – rozejrzał się ostrożnie na prawo i lewo – swoją, no wiesz co, mój kuzyn twierdzi, że mają też bliskie kontakty z podziemiem. Byłoby o wiele bezpieczniej...

–Wiem. – Kitty włożyła ręce do kieszeni i wydeła policzki. – Masz zupełną rację. Wy wszyscy macie zupełną rację. Ale ponieważ właśnie o to chodzi. Myślę, że muszę być tutaj, gdzie dzieje się magia, gdzie są demony.

–Ale dlaczego...?

–Nie zrozum mnie źle, jestem wdzięczna za nową tożsamość. – Poklepała się po kieszeni kurtki, poczuła szeleszczące dokumenty. – Chodzi oto, że... widzisz, niektóre rzeczy, które mówił demon Bartimaeus... dały mi do myślenia.

Jakob pokręcił głową.

–Właśnie tego nie mogę zrozumieć – powiedział. – Wierzysz słowom demona, i to tego samego, który porwał mnie, groził tobie...

–Wiem! Tylko że on wcale nie był taki, jak się spodziewałam. Mówił o przeszłości, o powtarzających się schematach, o wzlotach i upadkach magów na przestrzeni wieków. To się zdarza, Jakob, to się powtarza raz za razem. Nikt nie jest w stanie wyłamać się z tego cyklu. Ani plebejusze, ani demony, ani magowie. Wszyscy tkwimy w tym po szyję, jesteśmy uwięzieni w kole nienawiści i strachu...

–Nie ja – odparł Jakob stanowczo. – Ja się z tego wypisuję.

–Myślisz, że Brugia jest bezpieczna? Zejdź na ziemię. „Imperium przede wszystkim trzyma się na dystans”, sam tak powiedziałaś. Wciąż jesteś jego częścią, czy ci się to podoba, czy nie. Dlatego ja chcę zostać tutaj, w Londynie, gdzie są informacje. Tutaj są wielkie biblioteki, Jakobie, gdzie magowie trzymają swoje księgi historyczne. Pennyfeather mi o nich mówił. Gdyby udało mi się uzyskać dostęp do nich, jakimś sposobem dostać tam pracę... mogłabym się czegoś dowiedzieć. Szczególnie o demonach. – Wzruszyła ramionami. – Po prostu jeszcze za mało wiem,

**i tyle.**

**Jakob prychnął.**

**–Oczywiście że za mało. Bo nie jesteś przeklętym magiem.**

**–Ale z tego, co mówił Bartimaeus, magowie też niewiele wiedzą. O demonach. Tylko je wykorzystują. Właśnie o to chodzi. My... ruch oporu... –**



to do niczego nie prowadziło. Byliśmy tacy sami jak magowie, używaliśmy magii, nie rozumiejąc jej. Tak naprawdę ja już wcześniej to wiedziałam, a Bartimaeus tylko to potwierdził. Szkoda, że go nie słyszałeś. Jakobie...

–Jak mówiłem, jesteś idiotką. Słuchaj, to mój sygnał. – Głęboka syrena rozbrzmiała gdzieś z góry, z promu; mewy śmignęły w niebo. Jakob pochylił się, uściskał ją krótko. Ona pocałowała go w policzek. – Nie daj się zabić – powiedział. – I pisz do mnie. Znasz adres.

–Jasne.

–Do zobaczenia w Brugii. Daję ci miesiąc. Uśmiechnęła się.

–Zobaczymy.

Patrzyła, jak potruchtał na trap, podetknął dokumenty pod nos stewarda, dostał pieczętkę z wizą w paszporcie i wdrapał się na pokład. Markizę usunięto, trap wciągnięto na pokład. Jakob stanął przy relingu. Machał do niej, kiedy prom odpływał. Jego twarz, tak jak twarze pozostałych podróżnych, błyszczała radością. Kitty uśmiechnęła się, pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła brudną chusteczkę. Machała nią, dopóki statek nie skręcił i nie zniknął jej z oczu za zakolem Tamizy.

Kitty włożyła chusteczkę do kieszeni, odwróciła się i ruszyła nabrzeżem. Po chwili zniknęła w tłumie.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-21

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/